

DANSE
MACABRE

SABINE THIESLER

KOLEKCJONER DZIECI



Przerażająco realistyczna.
dpa

Sabine Thiesler

KOLEKCJONER DZIECI

Przełożyła
Barbara Tarnas

G+J

*Klausie, dziękuję Ci
za Twoje rady i Twoją miłość*

Prolog

Toskania 1994

Dolina wyglądała dziwnie. Wszystkie okna i drzwi w obu domach były pozamykane. Allora jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkała. Nie było widać ani mężczyzny, ani kobiety. Ale kiedy już się uspokoiła i na chwilę wstrzymała oddech, usłyszała ciche kwilenie, coś jak miauczenie kota.

Allora dłużyła w nosie i czekała. Miauczenie milkło na kilka minut, potem odzywało się znowu. Kiedy usłyszała wysoki przeraźliwy pisk, skuliła się i zaczęła drżeć. Powoli obezwładniał ją strach. Co to było? Czy nie powinna po prostu pójść tam i zapukać? Nie miała na tyle odwagi. Anioł nie był człowiekiem, przy którym można się po prostu zjawić i powiedzieć „allora”. Anioł miał w sobie coś, przed czym się wzdragała. Jakby był owinięty niewidzialnym drutem kolczastym, który, jeśli podeszło się za blisko, jednych tylko lekko ranił, a innym rozszarpał skórę.

I po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że może anioł wcale nie jest aniołem.

Słońce już dawno schowało się za horyzontem i zapadła noc. W lesie szybko zrobiło się ciemno, o wiele szybciej niż na otwartej przestrzeni. Allora nie myślała jeszcze o powrocie, bez przerwy patrzyła w kierunku młyna. Lamy po lewej i prawej stronie drzwi nie paliły się, w domu też panowała całkowita ciemność.

Kiedy Allora już tylko z trudem rozpoznawała kontury domu, uświadomiła sobie, że straciła poczucie czasu, teraz nie mogła wracać. Musiałaby spędzić noc w lesie.

Nagle usłyszała krzyk. Długi, nieprzerwany, niekończący się krzyk. I w tym momencie Allora zrozumiała, że to nie był kot, lecz człowiek.

Allora zatykała uszy, dopóki krzyk nie ucichł. Potem zapanowała śmiertelna cisza. Z młyna nie dobiegał żaden odgłos. Przecierała oczy, które piekły, jakby siedziała za blisko ognia i zbyt długo wpatrywała się w płomienie.

Była jak sparalizowana. Usiadła w wykrocie i nie była zdolna wykonać najmniejszego ruchu. W jej gołe stopy wpełzał chłód i powoli ogarniał całe nogi. Allora jeszcze głębiej wcisnęła się do dziury, zgarnęła wokół siebie gałęzie, liście i mech, wszystko, czego mogła dosięgnąć bez opuszczania kryjówki. Następnie objęła nogi ramionami, oparła brodę na kolanach i czekała. Jej oddech się uspokoił, serce biło teraz wolniej. Była jednak bardzo czujna, wszystkie zmysły skoncentrowała na milczącym młynie. Nic się tam jednak nie działo. Z młyna nie dochodził żaden dźwięk. Żaden odgłos. Okna i drzwi były nadal zamknięte. Mężczyzna już nie wyszedł z domu.

Zahukał puszczyk. Tak samo jak w nocy, kiedy umarła stara Giulietta. Jej ukochana niania.

Następnego dnia Allora nie była pewna, czy przez całą noc siedziała i czuwała, czy spała.

O świcie usłyszała skrzypienie zawiasów drewnianych drzwi kuchennych. Nad wierzchołkiem góry pojawiły się właśnie pierwsze promienie słońca, kiedy mężczyzna wyszedł z domu. Niósł na rękach chłopca – który nie dawał oznak życia – zupełnie tak samo, jak ją nosiła niania. Głowa chłopca zwisała przechylona przez lewe ramię mężczyzny, usta były otwarte. Jego jasne włosy lekko poruszały się na wietrze. Prawe ramię mężczyzny znajdowało się pod kolanami martwego chłopca, którego nogi bezwładnie dyndały na wszystkie strony, kiedy mężczyzna szedł z nim do wyschniętego stawu i ostrożnie układał na ziemi.

Wkrótce potem z ogłuszającym łoskotem zaczęła obracać się betoniarka, i wtedy Allora rzuciła się do ucieczki. Mężczyzna, którego od tej pory już nigdy nie nazywała aniołem, nie zauważył jej.

Allora miała zdrętwiałe i zziębnięte kończyny, płytki oddech i była tak zaprzątnięta myślami, że bieg sprawiał jej dużą trudność. Potrzebowała trzech godzin, aby dotrzeć do San Vincenti. Nikt nie zapytał, gdzie spędziła noc.

Poszła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko, nawet nie zmywając ziemi z rąk i nóg. Naciągnęła kołdrę po same uszy i próbowała zrozumieć, co się stało, ale nic z tego nie wyszło.

ALFRED

1

Berlin Neukölln, listopad 1986

Nie był na polowaniu i w ten mglisty i niezwykle zimny listopadowy dzień nie zamierzał szukać następnej ofiary. Po prostu stało się, zupełnie nieoczekiwanie również dla niego. Prawdopodobnie zwykłe zrządzenie losu lub po prostu głupi przypadek sprawił, że tego dnia zaspał i wyszedł z domu półtorej godziny później niż zwykle.

Lodowaty wiatr hulał po ulicach i mżył drobny deszcz. Alfred miał dreszcze i postawił kołnierz płaszcza. Nigdy nie nosił rękawiczek, szalik ani czapki. Uważał ubranie za zbędne obciążenie, przez cały rok chodził w skromnym szarym swetrze i ciemnoniebieskich kortowych spodniach. Spodnie były w lecie za grube, a w zimie za cienkie i teraz też nie chroniły go przed zimnym wiatrem, który przenikał do rękawów płaszcza.

Od trzech lat Alfred, nie nawiązując z nikim znajomości i przez nikogo nierozpoznany, mieszkał na jednym z licznych osiedli położonych na peryferiach Berlina. Nie miał przyjaciół i unikał bliższych kontaktów z ludźmi, odmawiał sobie wszelkiej rozrywki i zabawy, nigdy nie chodził do kina lub teatru, a w swoim skromnym mieszkaniu z tyłu podwórza nie miał nawet telewizora.

Chociaż dopiero przekroczył trzydziestkę, w jego bujnych, lekko połowianych włosach pojawiły się pierwsze siwe kosmyki, dzięki czemu jego charakterystyczna twarz zyskała szczególnie interesujący wyraz. Na pierwszy rzut oka był przystojnym, sympatycznym mężczyzną. Jego bładoniebieskie szkliste oczy przenikliwie mierzyły rozmówcę i sygnalizowały duże zainteresowanie. W rzeczywistości było raczej przeciwnie.

Przez chwilę się zastanowił, potem skręcił w prawo w następną boczną uliczkę prowadzącą w stronę kanału. O tej porze panował tu

mały ruch, dzieci od dawna były w szkole, a kto nie musiał, nie wychylał nosa z domu w taką pogodę. Budka z dönerami, knajpa, piekarz, na tej ulicy nie było nic więcej. Fryzjer, kiosk z gazetami, mały turecki sklepik z warzywami i owocami splajtowały rok wcześniej i nikt ponownie nie wynajął pustych lokali. Raz w tygodniu ulicami przejeżdżała śmieciarka, to wszystko. Starzy ludzie poumierali, nowi lokatorzy się tu nie sprowadzali. Nie do tej okolicy. Dużo mieszkań stało pustych, nikt nie zawracał sobie głowy wstawianiem wybitych szyb, w brudnych, zapuszczonych pokojach i na klatkach schodowych uwiły sobie gniazda gołębie.

W skroniach poczuł tępe pulsowanie krwi. Wiedział, że może to być wstęp do migreny. Poprzedni wieczór spędził, siedząc przy oknie w kuchni, i kilka godzin wpatrywał się w żółtą poplamioną fasadę budynku i szary mur, który oddzielał podwórze od sąsiedniej posesji. Podwórze było wyasfaltowane, obok pojemników na śmieci ktoś postawił doniczkę ze zwiędniętym fikusem. Z pewnością, żeby się go pozbyć, a nie z zamiarem zazielenienia otoczenia. Teraz ta biedna roślina schła już od tygodni i dla lokatorów domu była jedynym zielonym akcentem.

W jednej ręce Alfred trzymał list i zerkał do niego raz po raz, a w drugiej szklanekę z czerwonym winem, z której popijał małymi łyčzkami. Jego nieznośne siostry, bliźniaczki Lene i Luise, w lapidarnych słowach informowały go, że sąsiadka znalazła ich matkę. Martwą. W wannie. Dopiero po pogrzebie, przy porządkowaniu rzeczy zmarłej, bliźniaczki znalazły numer jego skrytki pocztowej i mogły go o tym powiadomić. Rzeczy matki spaliły, a dom sprzedały. Z góry zakładając jego zgodę.

Pozdrowienia.

To jasne, że musiały ją kiedyś znaleźć. Liczył się z tym już od dawna.

W październiku, kiedy miał tydzień wolnego i bardzo się nudził, pojechał do niej. Mieszkała w małym domku na skraju wsi w Dolnej Saksonii. Od trzech lat nie miał żadnych wiadomości od swojej matki Edith i był ciekaw, co u niej słychać.

Kiedy zajechał swoją białą hondą na podwórze i zatrąbił, nie zauważył śladu życia. Na posesji panowała martwa cisza. Dawniej, kiedy

ktos przychodził, zawsze czekał pies i matka natychmiast wychodziła przed drzwi, zawsze z podejrzliwie zmarszczonym czołem, ponieważ nigdy nie spodziewała się niczego dobrego, kiedy przed jej domem zjawiał się ktoś bez zapowiedzi.

Ale tym razem nie dotarł do niego żaden głos. Nic nawet nie drgnęło. Miał wrażenie, jakby w tym momencie nawet wiatr wstrzymał oddech, ponieważ nie poruszył się żaden liść. Kot nie skradał się ukradkiem za rogiem domu.

Przez cały ranek padał deszcz, ale teraz słońce wyszło zza chmur i wyraźnie ukazało brudne i zakurzone szyby w oknach, których nikt nie mył już od wielu lat. Zielsko pomiędzy kostkami bruku, zawsze tak pedantycznie pielone przez matkę, sięgało do kolan i zarosło prawie całe podwórze, w skrzynkach na kwiaty tkwiły zeschnięte już od wielu zim łodygi pelargonii.

Widok domu rodziców napełnił go przerażeniem. Zbliżał się powoli. Bezgłośnie, aby nie zakłócić grobowej ciszy, i w oczekiwaniu czegoś straszego.

Poszedł za chlew przez grządkę, pokrzywy sięgały mu bioder. Wcześniej rosły tu truskawki.

Kiedy skręcił za róg chlewu, zobaczył go, mieszańca sznaucera i owczarka, który zawsze był wiernym przyjacielem matki. Matka okazywała mu sympatię wyłącznie w ten sposób, że codziennie wieczorem napełniała jego miskę jedzeniem, ale Ringo i tak ją kochał. Po prostu nie umiał inaczej.

Ringo jak zawsze był uwiązany na łańcuchu i leżał na boku. Chude sztywne łapy wyglądały na całkiem bezwładne. W miejscu, gdzie kiedyś miał oczy, otwierały się głębokie, zalepione strupami krwi dziury, oczy i dużą część mózgu wydziobały wrony. A potem w czaszce Ringa zagnieździły się robaki.

Alfred pochylił się i pogłaskał skołtunioną sierść, która pokrywała wychudzone ciało, sama skóra i kości.

– Zagłodziła cię, mój stary – wyszeptał. – Niezle cię zagłodziła. – Alfred odetchnął głęboko. Później zajmie się Ringiem. Teraz musiał zajrzeć do domu i bał się tego, co tam zastanie.

Drzwi były zamknięte, a on już od dawna nie miał klucza. Dzwonił długo i wytrwale, ale w środku nic się nie poruszyło. Na jego wołanie także nikt nie odpowiedział. Małe okienko w sieni, tuż przy drzwiach, dawniej jedynie przemykane, przez które przeciskał się jako mały chłopiec, kiedy zapomniał klucza, również było zamknięte. Alfred przyniósł kamień, wybił okno i wszedł do domu. Wytrzepał odłamki szkła ze swetra, przeszedł przez sieni i otworzył drzwi do pokoju.

Edith Heinrich siedziała w fotelu przy zasłoniętym oknie i była już tylko własnym cieniem. Chudym, małym człowiekiem o tak drobnej sylwetce, że ledwo ją było widać zza oparcia fotela.

Kiedy jej syn wszedł do pokoju, nie poruszyła się, nawet nie drgnęła i nawet nie sprawiała wrażenia zaskoczonej. Jakby wyszedł tylko na chwilę, żeby przynieść pietruszkę z ogródka.

– To ja, mamó – powiedział Alfred. – Co słychać?

– Wspaniale – odpowiedziała. Jej sarkazm był niezmienny, a ton głosu wciąż jeszcze stanowczy i zimny, chociaż jego siła bardzo osłabła. Miała mocno ograniczone pole widzenia i z trudem poruszała głowę. Musiała obrócić całe ciało, żeby zobaczyć, jak Alfred przechodzi przez pokój i rozsuwa zasłony. Światło dnia zalało pokój i ukazało kurz, który wisiał w pomieszczeniu jak gęsta mgła.

– Na dworze świeci słońce – powiedział.

– I co z tego – odpowiedziała matka i zamknęła nieprzyzwyczajone do światła oczy.

Alfred zapalił górne światło i otworzył okno, ponieważ w pokoju śmierdziało stęchlizną, jak w wilgotnej piwnicy, w której gniją ziemniaki.

Edith natychmiast zaczęła drzeć i głębiej wcisnęła się w fotel. Alfred wziął z sofy wełniany koc i przykrył matkę. Edith się nie odzywała, patrzyła na niego matowymi oczami, które już dawno straciły blask.

Potem poszedł do kuchni. Matka z pewnością od dawna nic nie jadła, resztki pożywienia, które stały wokół, oraz to, co znalazł w lodówce, było bardzo stare i już spleśniałe. Pod zlewem znalazł plastikową torbę, zgarnął do niej resztki jedzenia i wyszedł na dwór, żeby je wyrzucić.

Z trudem otworzył zbutwiałe drzwi chlewu; kiedy ostrożnie je uchylił, omal nie wypadły z zawiasów. Jedna żywa jeszcze świnia leża-

ła apatycznie na ziemi i była tak samo chuda jak jego matka. Wziął nóż i poderżnął zwierzęciu gardło. Żałośnie zakwiczało, kiedy rozstawało się ze swoim samotnym, nędznym życiem.

W ogródku nie było nic do zebrania. Jabłoni, z której nieraz spadł jako dziecko, chorowała, wszystkie jabłka były pomarszczone i pokryte czarnymi naroślami.

– Musisz się przenieść do domu starców – powiedział do matki. – Sama nie dasz sobie rady.

– Nic nie muszę – odparła.

– Przecież sama umrzesz tu z głodu! Nie masz już siły, żeby wstać i pójść do kuchni, żeby przynieść sobie coś do jedzenia!

– No i co z tego?

– Nie mogę dopuścić, abyś tu zginęła marnie!

Oczy Edith wściekle się zaiskrzyły, na moment znowu pojawiło się w nich życie.

– Jeśli przyjdzie po mnie diabeł, to moja sprawa. A tobie nic do tego!

Alfred zdziwił się, jak dużo siły tkwiło jeszcze w tej wychudzonej, drobnej osobie.

– Zagłodziłaś psa. I świnię.

Tylko wzruszyła ramionami.

– Nie dawałaś biedakowi nawet wody!

– Przez cały dzień szczekał. A potem się uspokoił. Pewnie teraz śpi.

Alfred nic już nie mówił, zauważył, że matka była bardzo wyczerpana. Prawdopodobnie już od lat z nikim nie rozmawiała. Widział, jak głowa opadła jej na bok, usta lekko się rozchyliły i zaczęła cicho pochrapywać.

W pobliżu jabłoni wykopał grób dla psa i świni. Kiedy pogrzebał zwierzęta, zamiótł podwórze i posprzątał kuchnię. Potem poszedł do matki, podniósł ją z fotela i zaczął rozbierać. Przestraszona Edith otworzyła oczy i zaczęła krzyżeć. Cienko i przeraźliwie jak bażant w pysku lisa. Nie zwracał na to uwagi i dalej matkę rozbierał. Sweter po swetrze, bluzka po bluzce, koszula po koszuli. Edith była ubrana we wszystko, co miała, na cebulę.

– Co u bliźniaczek? – zapytał.

Edith nie odpowiedziała, tylko dalej krzyczała, jakby ją obdzierano ze skóry.

Już wcześniej wyszorował wannę, oczyścił ze zgromadzonego w niej od lat brudu i rdzy. Mimo to letnia woda do kąpeli była jasnobrązowa i mętna. Ze wstrętem wziął na ręce stare, pomarszczone, ale lekkie jak piórko ciało. Matka wyrwała się i drapała go po policzkach długimi ostrymi paznokciami. Ze wszystkich sił broniła się przed dotykaniem, podnoszeniem i kąpielą. Szarpała się jak dzikie zwierzę i bez ustanku krzyczała. Alfred czuł, jak krew spływa mu po policzkach i szyi i wsiąka w sweter. Matka wydawała mu się wstrętnym insektem, którego z przyjemnością by rozgniół.

Zawsze się wzbraniała. Przez całe życie. Przed każdym dotknięciem, każdą pieśczętą. Nigdy nie potrafiła wziąć swoich dzieci na ręce. A w tej chwili miała nadludzką siłę, na dodatek machała rękami i kopała, jakby wrzucał jej drobne ciało do mętnej brei.

Leżała w wannie, oklapła jak wałka, która machając mokrymi, ciężkimi skrzydłami, nie może wzbic się nad powierzchnię wody. Jej cienkie siwe warkocze pływały po wodzie, powieki były czerwone, jakby cały dzień płakała.

– Ty gówniarzu – wymyślała – natychmiast mnie wyjmij!

Alfred nie zareagował. Patrzył na jej wystające z wody szpiczaste kolana. Próbował zrozumieć, jak ten bezsilny, poruszający się w wannie szkielet jest jego matką, ale mu się to nie udawało. Ręką robił fale na wodzie, które kołysały jej ciałem w przód i w tył.

– Urodziłeś się z zielonymi wodami płodowymi – zaskrzeczała. – Jesteś potworkiem!

– Wiem, mamó – powiedział cicho i uśmiechnął się. Potem wyszedł z łazienki i starał się nie słyszeć, jak matka wołała o pomoc, kiedy szukał w pokoju kluczyków do samochodu.

Nigdy nie wyjdzie z wanny o własnych siłach. Był tego świadomy, kiedy odjeżdżał. I już po kwadransie zapomniał o niej.

*
**

Kiedy opróżnił trzecią butelkę wina, podarł list. Nie zamierzał kontaktować się z siostrami. Musi też załatwić sobie nowy numer skrzynki pocztowej.

Nie czuł się pijany. Zgasił światło w kuchni, siedział w całkowitych ciemnościach i próbował ćwiczyć umysł, sumując w myślach liczby od jednego do tysiąca. Ale nigdy nie doszedł nawet do dwudziestu.

Alfred włożył ręce do kieszeni spodni i szedł ze spuszczoną głową, wiatr dmuchał mu prosto w twarz i utrudniał oddychanie. Ból głowy stawał się coraz bardziej przenikliwy. Musiał szybko połknąć kilka pastylek aspiryny i napić się gorącej kawy.

Zaledwie kilka kroków dalej była knajpka „U Piłkarzy”. Alfred zajął przez okno do środka. Przy barze siedzieli dwaj mężczyźni. Jeden z nich miał siwe jak gołąb włosy i długi warkocz à la Mozart. To Werner. To oczywiście, że był tu już o tej porze. Werner odziedziczył spadek, nie było go wprawdzie stać na wielkie szaleństwa, ale gdyby pozostał w swoim tanim mieszkaniu, pieniędzy wystarczyłoby mu aż do dziewięćdziesiątego piątego roku życia. Werner był przekonany, że nie dożyje takiego wieku i umrze wcześniej, toteż pełen nadziei spoglądał w przyszłość. Każdego dnia pomiędzy dziewiątą a dziesiątą rano przychodził do „Piłkarzy”, zaczynał od dwóch kubków mocnej kawy, jajeczniczy i bułek, po czym powoli przechodził do piwa. Pił wolno, ale nieprzerwanie przez cały dzień, siedział przy barze, rozmawiał z ludźmi, którzy tu przychodzili, wiedział wszystko o wszystkich na osiedlu i od czasu do czasu rysował portrety niektórych gości.

O północy zawsze wracał do domu. Równym, pewnym krokiem i nigdy pijany. Werner należał do stałego inwentarza „Piłkarzy”, zapewne tutaj, w tej knajpie trafi go kiedyś szlag, tutaj spadnie ze stołka i wyniosą go nogami do przodu.

Odkąd Alfred poznał Wernera, unikał „Piłkarzy”, chociaż jeszcze niedawno dość regularnie jadał tam śniadania lub klopsiki na obiad. W oczach Wernera zauważył pragnienie i zachwyty, kiedy pewnego razu usiedli naprzeciwko siebie. Werner był nim zafascynowany i Alfred wiedział, że koniecznie pragnie go namalować. A tego Alfred chciał uniknąć.

Jeszcze pół godziny i Milli otworzył bar. U Milli można było dostać dużą gorącą kawę z mlekiem, najlepsze w mieście kiełbaski curry i aspirynę gratis. Stamtąd było niedaleko do kanału żeglugowego przecinającego Neukölln, postanowił więc, że jeszcze się przejdzie, a potem zje śniadanie u Milli.

Przestało padać, silny wiatr rozganiał chmury i tu i ówdzie wyrwał dziury w ich gęstej powłoce. Do kanału zostało mu jeszcze tylko kilka metrów. Wzdłuż brzegu ciągnął się wąski chodnik. Alfred odwrócił się w prawo, w kierunku Britz. Codziennie rano pomiędzy ósmą i dziesiątą wielu właścicieli psów wyprowadzało tu na spacer swoje czworonogi, ale o tej porze prawie nikt tędy nie chodził.

Spacery w ciszy nad kanałem były obecnie jedynymi chwilami w jego życiu, którymi naprawdę się rozkoszował. Szedł powoli i miał cudowne uczucie, że o niczym nie musi myśleć. Co chwila przepływały obok niego statki lub zespoły barek pchane przez holowniki, przeważnie z Polski lub Rosji, prawdopodobnie w drodze do Hamburga lub Holandii i Francji. Za każdym razem unosił rękę w geście pozdrowienia, a kapitanowie odwzajemniali mu się, dotykając palcami czapek. Od wielu dni rozmyślał nad tym, czyby nie zaciągnąć się na statek żeglugi śródlądowej, ale przeważnie były to firmy rodzinne, a na jednym statku pracowały najwyżej trzy osoby. Kapitan, jego żona i mechanik, który zazwyczaj był bratem lub szwagrem. Dlatego jako osoba postronna miał niewielką szansę na zatrudnienie. A nie potrafił niczego więcej oprócz szorowania pokładu. Gdyby rzeczywiście myślał poważnie o pływaniu po morzu, musiałby pojechać do Hamburga i tam próbować zamustrować się na jakiś kontenerowiec, aby wreszcie kiedyś przepłynąć wielką wodę.

Jeśli coś go przed tym powstrzymywało, to myśl o tygodniach uwięzienia na statku, bez szansy na odosobnienie, zejście na ląd lub zwolnienie ze służby. Nie chciał być jeszcze raz stłoczony wraz z innymi na ciasnej przestrzeni i znosić ich smród i dziwactwa. Już to kiedyś przeżywał. I nie chciał, żeby się powtórzyło.

W tym momencie usłyszał przeraźliwy krzyk dziecka, który natychmiast został zduszony. Jak zelektryzowany zatrzymał się i odwró-

cił. W niewielkiej odległości zobaczył małego, jasnowłosego chłopca, którego właśnie napadli dwaj młodociani, przynajmniej o pięć, sześć lat starsi od niego, i grozili mu nożem.

Alfred pobiegł na oślep. Było to 12 listopada 1986 roku, dziesięć minut przed pół do dwunastej.

Benjamin Wagner wałęsał się bez celu po ulicach od za kwadrans ósma. Jego blond włosy skręcały się od wilgoci, pojedyncze krople deszczu spływały po niesfornym kosmyku i łaskotały w nos. Tenisiówki były całkowicie przemoczone. Wewnętrzna strona każdego buta została celowo od gumy oderwana, żeby pomiędzy podeszwę a wierzch można było wsunąć linijkę. Lubił to często robić w szkole, kiedy się nudził, przez co buty rozrywały się coraz bardziej. A była to jego jedyna para tenisówek. W butach, które kupił mu ojciec, a matka każdego ranka zmuszała go do ich założenia, nie mógł wytrzymać, ponieważ obcierały mu pięty.

W tej chwili było mu okropnie zimno. Wprawdzie skafander nie przepuszczał wody, ale deszcz ściekał mu po plecach przez wycięcie na szyję, T-shirt przylepił się do ciała, co dawało taki sam efekt jak lodowaty kompres. Benjamin szczękał zębami. Wiedział, że popełnił błąd, nie wkładając na głowę kaptura, ale nienawidził kapturów. Kaptur ograniczał pole widzenia, a kiedy odwracało się głowę, zsuwał się na oczy. Poza tym pod impregnowaną tkaniną źle słyszał. Co w mieście było niebezpieczne. W mieście w każdej chwili trzeba być czujnym.

W szkolnej teczce, którą dziś włożył ze sobą, były dwie klasówki, które powinni podpisać rodzice. Szóstka z matematyki i piątka z dyktanda. Gdyby nie zdał do szóstej klasy, umieściliby go w internacie. Był o tym przekonany, ponieważ chłopak z jego klasy, który został na następny rok, wyłudował w internacie. A Benjamin nie chciał iść do internatu. Wszystko, tylko nie internat.

Poprzedniego wieczoru schował się w swoim pokoju, miał walkmana na uszach i stał przy oknie. Tato, przyjdź, proszę. Proszę, proszę, przyjdź, tato! Od czasu do czasu siadał na łóżku i przerzucał kartki pisma „Bravo”, które pożyczył od swojego przyjaciela Andiego, i czy-

tał ciągle ten sam artykuł o całowaniu. Nie mógł uwierzyć w to, co tam napisano. Nie potrafił sobie wyobrazić, że kiedy ludzie się lubią, wsuwają sobie nawzajem języki do ust. Ale za każdym razem mógł spokojnie usiedzieć najwyżej kilka minut. Potem z powrotem wsuwał „Bravo” pod materac, na wypadek, gdyby weszła matka, i podchodził do okna, żeby jeszcze raz posłać do nieba swoją modlitwę.

– Tato, proszę cię, przyjdź wreszcie! Dobry Boże, spraw, proszę, żeby tata wrócił do domu!

Ale tata nie wracał.

Jego matka Marianne siedziała na wózku inwalidzkim i oglądała popołudniowy serial w telewizji. Jeszcze trzy lata temu była wysportowaną młodą kobietą, ale pewnego wieczoru straciła czucie w nogach i po prostu przewróciła się w łazience. Nie przejmowała się przytępionym słuchem i ciągłym mrowieniem rąk i nóg i tała to przed mężem. U Marianne Wagner zdiagnozowano stwardnienie rozsiane. Mimo fizykoterapii i silnych lekarstw następowało pogorszenie, w końcu nie dało się uniknąć wózka inwalidzkiego, ponieważ dni, kiedy mogła normalnie chodzić i odzyskiwała trochę czucia w nogach, zdarzały się coraz rzadziej. Następstwem tego była depresja. Marianne cierpiała, ponieważ nie mogła dłużej być pełnowartościową matką dla swojego dziecka i pełnowartościową żoną dla swojego męża. Dużo płakała i zaczęła palić, chociaż to jeszcze pogarszało jej stan.

Benjamin ciągle bał się, że rozczaruje matkę. Kiedy wybuchała łzami, natychmiast czuł się winny, nie mógł znieść, że jego ukochana matka płacze. Wiedział, że bardzo cierpiała z powodu jego ogromnych problemów w szkole i robiła sobie wyrzuty, że to wszystko przez nią. W żadnym razie nie mogła dowiedzieć się o zawalonych klasówkach. Ponieważ zawsze, kiedy się zdenerwowała, następował kolejny rzut choroby, po którym była jeszcze bardziej chora.

Tego wieczoru przed telewizorem znowu paliła jednego za drugim. Po sposobie, w jaki gasiła papierosy, Benjamin mógł poznać, jak się czuje. Ręce jej drżały, była niespokojna i podenerwowana, miała zaczerwienione oczy. Widocznie płakała i martwiła się, ponieważ jej mąż Peter znowu nie wrócił do domu.

Benjamin wlepił wzrok w ulicę i hipnotyzował jej róg, na którym stał pomarańczowy, pomalowany dopiero tego lata dom. Zza tego rogu zazwyczaj wychodził ojciec, kiedy wracał z pracy, przeważnie tak szybkim krokiem, że łatwo było go przegapić, jeśli nie patrzyło się uparcie w jedno miejsce. Peter Wagner pracował przy taśmie w Siemensie i kończył o siedemnastej. Wtedy wsiadał w metro linii U7 i jechał do Karl-Marx-Strasse lub do stacji Neukölln. Obie leżały w tej samej odległości od jego domu, skromnej kamienicy czynszowej w stylu lat sześćdziesiątych, w której mieszkali od pięciu lat. Co prawda była to cholernie długa jazda metrem, dwadzieścia stacji, ale jeśli pociąg nie uciekł mu sprzed nosa i wszystko szło gładko, zwykle już przed szóstą był w domu. Jednak ostatnio dość często wstępował jeszcze na jednego ze swoim kolegą Ewaldem, który mieszkał przy Herrmannstrasse. Ewald wysiadał razem z nim na stacji Neukölln, przez co oszczędzał sobie przesiadki, a potem czekał go tylko krótki spacer do domu.

Ewald był cierniem w oku Marianne. Wściekała się z powodu każdego wieczoru, który jej mąż spędzał w knajpie, i przepijanych przez niego pieniędzy. Oprócz tego żałowała każdego wieczoru, którego nie mogła spędzić z mężem. Zdawała sobie sprawę, że zostało jej już niewiele czasu, i wtedy przestawała wierzyć, że dożyje pełnoletności Benjamina.

A przy tym Peter nigdy nie był agresywny, kiedy wracał do domu pijany. Przesuwał się ostrożnie, trzymając się ściany, i głupkowato uśmiechał, jakby ten chwiejny chód go bawił. Całą uwagę skupiał na sypialni, padał na łóżko i natychmiast zapadał w głęboki sen. W tym stanie nic nie mówił, nie odpowiadał na pytania i nie dawał się prowokować, opędział się tylko rękami. Wtedy nic do niego nie trafiało. Nawet największe problemy tego świata.

Benjamin często leżał w łóżku i do późnej nocy podsłuchiwał rozmowy rodziców. Nawet nie starali się mówić cicho, ponieważ byli przekonani, że Benjamin już od dawna twardo śpi. Słyszał wtedy, jak ojciec broni go przed matką. Uważał, że złe stopnie nie są niczym nadzwyczajnym u małych chłopców, przeważnie są wynikiem przejściowego okresu lenistwa, który mija po roku lub dwóch. Matka się z tym

nie zgadzała, Benjamin również nie całkiem wierzył w to, co mówił ojciec, ponieważ sam też się martwił swoją sytuacją. Nauczycielka powiedziała, że tylko cud może go uratować przed zostaniem na następnym roku w tej samej klasie.

– Jeśli nie nauczysz się poprawnej pisowni – powiedziała pani Blau – odbije się to na innych przedmiotach, ponieważ automatycznie będziesz gorzej oceniany. Trzeba zgadywać, co napisałeś, co masz na myśli i o co w ogóle chodzi. Czytaj książki, wtedy będziesz widział, jak słowa są napisane.

Benjamin w ogóle nie rozumiał tej całej ortografii. Dlaczego parówka pisze się przez „ó”, a na przykład skuwka przez „u”. Dlaczego raz pisze się morze przez „rz”, a drugi raz może przez „ż”. Pani Blau nie potrafiła mu tego przejrzyście wytłumaczyć. A potem, kiedy Benjamin pisał dyktando, wszystko mu się mieszało. W żaden sposób nie mógł zapamiętać reguł, kiedy należy pisać „u” otwarte lub z kreską, kiedy „rz”, a kiedy „ż”, a wyjątków w żaden sposób nie udawało mu się zapamiętać. Benjamin zastanawiał się i zastanawiał, stawał się coraz bardziej niepewny, wszystko mu się mieszało i dlatego robił strasznie dużo błędów. I za każdym razem dostawał piątkę. Po prostu tego nie umiał. To nie wchodziło mu do głowy.

Klasówkę z matematyki oblał, bo nie nauczył się tabliczki mnożenia. Jasne, że to jego wina, ale liczby również nie chciały wejść mu do głowy. Po prostu nie potrafił zapamiętać, że siedem razy siedem równa się czterdzieści dziewięć, a siedem razy osiem to pięćdziesiąt sześć. Liczby nie miały dla niego znaczenia, po trzech sekundach znowu je zapominał.

Benjamin postanowił, że pokaże ojcu złe stopnie i wszystko mu wyjaśni. Na pewno też będzie zawiedziony jak matka, też na pewno go zrozumie, ale przynajmniej nie będzie płakał. Popatrzy bardzo smutnym wzrokiem, lecz podpisze klasówki. I prawdopodobnie wypowie to straszne zdanie, które zawsze śmiertelnie przerażało Benjamina: „Musimy coś na to poradzić, synu”.

Krótko przed ósmą przestał wyglądać przez okno. Nadzieja, że ojciec wróci do domu trzeźwy i na dodatek będzie chciał z nim jeszcze

porozmawiać, coraz bardziej gasła. Usiadł z matką w pokoju, aby razem z nią obejrzyć dziennik. Matka cieszyła się, kiedy interesował się wiadomościami.

Siedział i się nie odzywał. Od czasu do czasu spoglądał na matkę i uśmiechał się. Kiedy wiadomości dobiegły końca, Benjamin powiedział:

– Tata pewnie zaraz wróci. Nie martw się.

Marianne dzielnie skinęła głową i pogłaskała Benjamina po ręce.

– Co byś powiedział na kanapkę z pasztetową?

Benjamin rozpromienił się.

– Noo, ja zrobię. – I pobiegł do kuchni.

Kiedy wrócił do pokoju z dwiema bułkami z pasztetową i dwiema szklankami mleka, matka spała. Ale gdy zaczął stawiać na ławie małą tacę z zalanym słońcem górskim pejzażem, obudziła się i mocno go przytuliła.

– Mój duży chłopiec – wyszeptwała. – Gdybyś wiedział, jak bardzo cię kocham.

– Ja ciebie też, mamó – szepnął Benjamin. – Ja ciebie też. – W tej chwili był nieskończenie szczęśliwy i mocno uściśnął matkę. Ale jednocześnie chciało mu się płakać. Tak bardzo chciałby jej wszystko powiedzieć, lecz się nie odważył.

O dziewiątej matka posłała go do łóżka. Benjamin bez słowa protestu zniknął w swoim pokoju. Nie mógł jednak zasnąć. Co chwila wyskakiwał z łóżka i wyglądał na ulicę. Co chwila zza rogu wynurzali się zupełnie obcy ludzie – nie było wśród nich jego ojca. O jedenastej był już za bardzo zmęczony, żeby dłużej czekać. Postanowił, że następnego dnia pójdzie na wagary, żeby zyskać trochę czasu, ponieważ pani Blau na pewno zapyta go o podpis rodziców. Po krótkiej chwili zasnął wyczerpany, ze swoim misiem w rękę.

Kiedy Benjamin jak zawsze kwadrans po siódmej wszedł do kuchni, matka właśnie smarowała kanapki na drugie śniadanie do szkoły. Była błada i wyglądała na zmęczoną. Jej długie, nieuczesane włosy zwisały na ramiona, jeszcze ich nie upięła, ale i tak Benjamin uważał, że są piękne.

– Jest tata? – zapytał Benjamin.

– Tak.

– Kiedy wrócił?

– O trzeciej. Chcesz kakao?

Benjamin przytaknął.

– Jesteś teraz zadowolona? – zapytał matkę.

– Ulżyło mi. Jasne.

Benjamin się uspokoił. Znaczy, że wszystko było w porządku. Porozmawia z ojcem dzisiaj po południu.

– Idzie dziś do pracy?

– Nie – powiedziała Marianne – ma wolne i odsypia wczorajsze pijaństwo. A teraz pośpiesz się, już pół do ósmej.

Benjamin nie musiał się śpieszyć, ponieważ wiedział, że dziś nie może się spóźnić, skoro nie zamierzał iść do szkoły, ale nie dał tego po sobie poznać. Jak zwykle przełknął ostatni kęs bułki z dżemem i dopił kakao. Potem wziął teczkę, w której miał już zapakowane „Bravo” i obie klasówki, schował drugie śniadanie, na pożegnanie musnął matkę wargami w policzek, w biegu zerwał z wieszaka w przedpokoju kurtkę i zbiegł po schodach.

Marianne Wagner podniosła się ze swojego wózka i stanęła przy oknie. Uwielbiała te chwile, kiedy udawało jej się na krótko utrzymać na nogach. Mam wspaniałego syna, pomyślała, a z problemami w szkole też damy sobie radę. Postaramy się o to wspólnie, wszyscy razem.

Widziała, jak chłopiec wychodzi z domu i bardziej podskakuje, niż biegnie po ulicy. To dziecko jest prawdziwym darem Bożym, pomyślała, zwłaszcza że drugiego już nigdy nie będę miała.

Zrobiło jej się lekko na sercu i pomachała synowi, chociaż nie mógł tego zobaczyć. Potem zastanowiła się, czy ma w domu wszystko, żeby ugotować mu jego ulubiony obiad. Siekane kotlety z brązowym sosem i świderkami.

W zamrażalniku nad lodówką znalazła małe opakowanie mielonego mięsa, jajek też jeszcze wystarczy, a tartą bułkę zawsze miała w zapa-sie w kredensie. Cała była w euforii, że może zrealizować swój pomysł. Pierwszy raz od długiego czasu cieszyła się, że wszyscy zjedzą wspólnie

obiad, ponieważ Peter też był dzisiaj w domu. Powoli zaczęła robić porządek w kuchni, koncentrując się na każdym kroku i każdym ruchu ręki. I to też wydawało się jej dzisiaj łatwiejsze niż kiedy indziej.

Następnie nalała sobie kubek świeżej gorącej kawy, usiadła w wózku i włączyła radio. Cat Stevens śpiewał *Morning has broken*. Był to w młodości jej ulubiony utwór, cicho nuciła go razem z piosenkarzem. Na dworze rozpadało się.

Dom towarowy Karstadt był już niedaleko. Benjamin przyspieszył kroku. Czas przeznaczony na szkołę cholernie się dłużył, jeśli nie było nic do roboty i nie wiedziało się, gdzie by tu pójść. Kiedy jego przyjaciel Andi szedł na wagary, żeby nie pisać klasówki z biologii lub angielskiego, miał przynajmniej babcię. U babci Andiego zawsze było ciasto i godzinami mogła grać w scrabble, chińczyka lub człowieku nie irytuj się. Andi był bezgranicznie zachwycony swoją babcią. Kiedyś pozwoliła mu nawet zapalić papierosa, ale przede wszystkim dała mu najświętsze słowo honoru, że nigdy nie wyda Andiego przed rodzicami. Taka babcia była na wagę złota. Zwłaszcza w taką pogodę. Benjamin postanowił, że zapyta Andiego, czy następnym razem nie mógłby pójść do jego babci.

Dziadek Benjamin, ojciec jego matki, nie żył już od kilku lat, a babcia mieszkała sama z jamnikiem i paroma kurami w małym domu na obrzeżach Berlina. O wiele za daleko, żeby mógł tam spędzić przedpołudnie. Rodzice ojca mieszkali w pobliżu Monachium. Benjamin już dwa razy był u nich na wakacjach. Może by tak zaproponować Andiemu zamianę. Andi pojechałby z nim na wakacje do Bawarii do jego dziadków, a za to on mógłby spędzać wolny czas u babci Andiego w Berlinie. W każdym razie to byłoby jakieś wyjście.

Ciepłe powietrze domu handlowego, które owiało go, kiedy stanął w drzwiach, było bardzo przyjemne. Benjamin rozpiął skafander, miał nadzieję, że to powietrze wysuszy mu koszulę na plecach, ale się nie udało. T-shirt jak był mokry, tak i pozostał. Benjamin wszedł więc do środka, przeszedł przez dział z pasmanterią i pończochami, minął kilka stoisk z tanią biżuterią i dotarł do ruchomych schodów za kosmetykami. Wjechał na czwarte piętro, ponieważ wiedział, że były tam toalety.

Miał szczęście. Męska toaleta była pusta. O tej porze w galerii panował jeszcze niewielki ruch, otwarto ją dopiero pół godziny temu.

Gwałtownymi ruchami Benjamin ściągnął skafander, sweter i koszulkę, z powrotem włożył sweter, ponieważ bardzo wstydził się nagiego ciała, i podłożył T-shirt pod elektryczną suszarkę do rąk. Musiał dziesięć razy włączać nawiew, żeby T-shirt wysechł. Z ulgą włożył go na siebie i w ciepłych, suchych rzeczach poczuł, że wraca mu dobre samopoczucie.

W tym momencie do toalety wszedł starszy, gruby mężczyzna z zaczesanymi do przodu rzadkimi włosami na tyle głowy i oślepiiony zamrugał oczami, chociaż w toalecie nie było specjalnie widno. Podejrzliwym wzrokiem zmierzył Benjamina, ale nic nie powiedział, tylko zniknął w kabinie. Kiedy Benjamin usłyszał, że mężczyzna zamknął drzwi na zasuwkę, wsadził głowę i mokre włosy pod nawiew, choć ciepłe powietrze docierało tylko na tył głowy. Dał więc sobie spokój, włożył skafander, wziął teczkę i ruszył do działu z zabawkami.

– Słuchaj no, młody człowieku, grasz już całą godzinę. Uważam, że powinieneś już kończyć – powiedział młody sprzedawca z czupryną Elvisa. – Tu nie plac zabaw. Nie masz dziś szkoły?

– Nasza nauczycielka jest chora – wyjąkał Benjamin i niechętnie, z ciężkim sercem odłożył nadajnik zdalnego sterowania autodromu. – Już idę.

– Aha, to w porządku – burknął sprzedawca i zdjął samochodziki z toru.

Benjamin zgarnął swoje rzeczy. Była jedenasta. Miał jeszcze ponad dwie godziny wolne i zastanawiał się, co mógłby teraz robić. Znudził mu się Karstadt, ale może już nie padało, mógłby więc pójść nad kanał karmić kaczki. Jeszcze nie tknął kanapek. Jedna dla niego, jedna dla kaczek. Tak było okay. W taką pogodę biedne zwierzęta z trudem znajdowały pożywienie.

Ubiegłej wiosny ścięto drzewa rosnące tuż nad brzegiem kanału, ponieważ groziło niebezpieczeństwo, że zwałą się do wody i utrudnią ruch statków. Pracownicy Urzędu Zieleni Miejskiej przepiłowali pnie na równe kawałki i starannie poukładali, żeby później je wywieźć. Mimo to kilka okrągłaków potoczyło się dalej i już tam zostały.

Benjamin usiadł na jednym z kłoców, zaledwie dwa metry przed nim w płytkiej wodzie pływało stado kaczek. Ze dwadzieścia, trzydzieści sztuk, które błyskawicznie pojawiły się znikąd, kiedy Benjamin rzucił pojedynczej, wolno płynącej parze pierwsze kawałki chleba.

Kiedy skończyła się pierwsza kanapka, znowu zaczęło padać. Benjamin włożył kaptur, ponieważ nie chciał znów mieć mokrej koszulki, i zaczął rzucać do wody kawałki drugiej kanapki, na którą właściwie sam miał ochotę. Kaczki stawały się coraz bardziej ufne i coraz bardziej bezczelne, podchodziły coraz bliżej. Niektóre brały pożywienie prosto z jego ręki, ponieważ wtedy nie musiały już walczyć między sobą o pojedyncze kęsy.

Odkąd Benjamin pamiętał, zawsze chciał mieć w domu zwierzę, ale nigdy go nie dostał. Matka bała się obowiązków, brudu i chorób, które zwierzę mogło sprowadzić do domu. Ojciec wprawdzie obiecał mu małego kotka, jeśli tylko zaliczy piątą klasę, ale na pewno nic z tego nie będzie. Nie miał więc co marzyć o kocie.

Benjamin był całkowicie pochłonięty karmieniem, ogarniał go entuzjazm, ponieważ podpływało coraz więcej kaczek, i nie zauważył dwóch wyrostków, którzy powoli zbliżali się do niego od tyłu. Spod kaptura niewiele widział i słyszał.

Obaj wyglądali jak skini, mieli ogolone głowy i nosili kurtki flyers. Niższy miał wytatuowaną błyskawicę na tysej czaszce. Brak włosów utrudniał oszacowanie ich wieku. Mogli mieć po szesnaście, siedemnaście, a może więcej lat. Dopiero kiedy ktoś schwycił Benjaminą za skafander i podniósł do góry, chłopiec zorientował się, co się dzieje. Wpatrywał się w dwie twarze, które wydały mu się wstrętnymi gębami, i zaczął krzyczeć. Kaczki odpłynęły w popłochu. Nagle dał się słyszeć krótki, ostry dźwięk, nóż sprężynowy wyskoczył z pochwy i ten wyższy przytknął mu go do gardła.

– Stul pysk – syknął.

Benjamin zamilkł.

Ten z błyskawicą ściągnął Benjaminowi skafander, w tym czasie wyższy mocno go trzymał.

– Gdzie masz forszę? – zapytał.

– Nie mam – wystękał Benjamin – naprawdę. Nigdy nie biorę pieniędzy do szkoły. Żeby mi nie ukradli.

– Cholera.

Niższy chwycił teczkę Benjamina i wyrzucił całą zawartość. Nie było tam portmonetki.

– Cholera.

Na to wyższy uderzył Benjamina pięścią w brzuch.

– Pokaż, co masz w kieszeniach – ryknął z wściekłością. – Ty tchórzliwa świnię, przecież musisz gdzieś mieć tę cholerną forszę!

Benjamin związał się z bólu. Stracił oddech i przez kilka sekund myślał, że się udusi. Chwytał powietrze jak wyrzucona na brzeg ryba, ale kiedy zaczął odzyskiwać oddech, wyrzucił kieszenie spodni. Było w nich najwyżej siedemdziesiąt fenigów i smerf z jajka-niespodzianki.

– Naprawdę nie mam więcej – wyszeptał Benjamin.

Wyższy uderzył Benjamina w podbródek z taką wściekłością, że chłopiec przeleciał dwa metry, wylądował w błocie i mocno przycisnął rękę do dolnej szczęki, którą rozsadał piekielny ból. W tym czasie ten z błyskawicą wyrwał wyższemu nóż z ręki, kucnął nad Benjaminskim i przyłożył mu ostrze do gardła.

– To cholernie niebezpieczne wychodzić z domu bez pieniędzy – powiedział spokojnym głosem wyższy. – Czegoś takiego to my nie lubimy!

– Cholernie niebezpieczne jest też napadanie na małe dzieci – całym zniecka krzyknął głęboki, wściekły męski głos i sprawił, że obaj skini skulili się ze strachu. – Ja w każdym razie czegoś takiego bardzo nie lubię.

Niższy natychmiast poderwał się i schował nóż za plecami.

Przed nimi stał Alfred z pistoletem w dłoni i mierzył z niego w obu skinów.

– Podejdź do mnie – powiedział Alfred do Benjamina. – A wy, zdrańcy, nie ruszajcie się z miejsca, bo odstrzelę wam te głupie łby!

Benjamin obejrzał się niepewnie, potem przemknął do Alfreda i stanął blisko niego.

– A teraz spieprzać, ale szybko! I żebyś tu więcej nie widział! Liczę do trzech, a potem ma was już nie być! Raz – dwa – trzy.

W tej samej chwili, kiedy powiedział „trzy”, strzelił im w twarz z pistoletu gazowego. Ten z błyskawicą głośno zawył i pobiegł na oślep, jakby gonił go diabeł.

Wyższy łapał powietrze, z trudem próbował otworzyć piekące oczy i zaciskał pięści.

– Zamknij oczy – powiedział Alfred do Benjaminą i jeszcze raz wystrzelił.

Wyższy krzyknął i upadł na ziemię. Tarł oczy i, wrzeszcząc, turlał się w trawie, żeby uśmierzyć ból.

– Chodź – powiedział Alfred. Schował pistolet, pociągnął ze sobą Benjaminą, który chwycił swój skafander, i ruszył przed siebie. Benjaminą szedł obok niego. Po około stu metrach, za zakrętem, Alfred się zatrzymał.

– Włóż skafander, przeziębisz się.

Benjaminą dygotał z zimna. Wciągnął skafander najszybciej, jak mógł.

– Moja teczka... – wyjąkał.

– Zabierzemy ją później, kiedy te wstrętne łobuzy już sobie pójdą. Po pierwsze, musisz się rozgrzać, żebyś się nie przeziębiał. A potem będziesz potrzebował gorącej czekolady z dużą porcją bitej śmietany. Chyba to lubisz?

W tej chwili Benjaminą nie potrafił wyobrazić sobie nic lepszego.

Alfred biegł dalej, Benjaminą nie odstępował go ani na krok.

Alfred nie mógł się skoncentrować, serce podeszło mu do gardła. Nawet nie zdawał sobie sprawy, że biegnie. Widział tylko tego małego chłopca obok siebie, fizycznie czuł jego obecność i nie wiedział, czy ma krzyczeć ze szczęścia, czy właśnie zaczął się jego nowy koszmar. Kiedy stało się to ostatni raz w Hahnenmoor w pobliżu Brunszwiku, trzy i pół roku temu, nie udowodniono mu żadnej winy. Zanim zabił małego Daniela, przez dwa dni Świąt Wielkanocy trzymał go w barakowozie. Nikt nie trafił na jego ślad i sprawa nie została wykryta. Natychmiast po tym zdarzeniu zerwał wszystkie kontakty, pojechał do Berlina i zaczął całkiem nowe życie. Codziennie pracował nad sobą i cierpiał jak zarzynana świnia. Czuł się jak alkoholik, który siedzi

przed butelką whisky i walczy ze sobą, starając się oprzeć pokusie. Trzymał się z daleka od szkół, przedszkoli i placów zabaw. W lecie, kiedy połowa świata spędzała dni i wieczory w parku, a dzieci szalały na łące, podczas gdy ich rodzice piekli kiełbaski na grillu, zamykał się w mieszkaniu. Unikał kąpielisk i basenów, ponieważ niewiele brakowało, żeby tam zwariował.

Ale był z siebie cholernie dumny. Kiedy nadchodziła zima i dni stawały się zimne, było mu źlej. Dzieci nie bawiły się już na ulicy, parki pustoszały. Był prawie zdecydowany wytrzymać tak długo, aż pęd ku zbrodni minie. Każdą żądzę można pokonać siłą woli. Każdą. I ćwiczył to nieprzerwanie. Kiedyś na tydzień zrezygnował z piwa. Potem z ulubionej porannej kawy. Potem przez jakiś czas zmuszał się do jedzenia chleba bez masła, co udawało mu się z wielkim trudem. Popołudniami często ogarniał go wilczy apetyt na coś słodkiego. Przeważnie pozwalał sobie wtedy na miseczkę musli lub kawałek ciasta, lub połówkę tabliczki czekolady. Tego też zaniechał na jakiś czas. Próbował zwalczyć każde przyzwyczajenie, wyrzekając się wszelkich przyjemności.

Kiedy zauważył, że przywykł sypiać godzinę codziennie po południu, zrezygnował z tego. Musiał zwalczać wszystko, co przerodziło się u niego w nawyk. I to mu się udawało. Był człowiekiem o silnej woli. I to w sobie podziwiał. Dopóki nie osłabł i nie wracał do recydywy, jego samoświadomość była stabilna.

A teraz ten obcy mały chłopiec szedł obok niego. Zupełnie przypadkowo, całkowicie z własnej woli. Nie musiał go zachęcać, nie musiał go namawiać ani niczym odurzać, po prostu tu był i szedł razem z nim. Alfred się spocił. Kierował się do ogródków działkowych. Ogródki w zimie świeciły pustkami. Nie było tam teraz żywej duszy.

Nogi niosły go prawie automatycznie. I nie mógł nic na to poradzić.

Teraz zwolnili tempo. Nie było powodu, żeby się śpieszyć, skini już sobie poszli. Benjamin spoglądał ukradkiem na idącego obok niego mężczyznę. Na pewno był starszy od taty i silniejszy. I trochę szczuplejszy. Wskutek monotonnej pracy przy taśmie ojciec nabrał ciała i urósł mu brzuch.

Jego oczy są takie śmieszne, pomyślał Benjamin, patrzy przed siebie jak osłupiały. A przecież nie widać tu nic niezwykłego. Ale patrzy, jakby za chwilę musiał zrobić coś bardzo skomplikowanego, może wyładować samolotem, a w powietrzu wisi gęsta mgła, i się boi.

Męczyzna sprawiał wyjątkowo sympatyczne wrażenie, Benjamin był o tym przekonany. Chociaż fakt, że miał przy sobie pistolet, trochę przejmował go dreszczem. Jednak w chwilę później pomyślał, że to coś wspaniałego. Jak w Ameryce. Jak na Dzikim Zachodzie. Gdzie każdy mógł komuś coś zrobić. Ale zawsze można się było obronić. Albo kogoś uratować. Tak jak on uratował jego.

– Dlaczego nie jesteś w szkole? – zapytał Alfred całkiem zniecka.

– Ja tylko tak. – Benjamin nagle się zawstydił.

– Co tylko tak? Jesteś na wagarach?

Benjamin przytaknął głucho.

– Dlaczego? Migasz się od nauki?

Benjamin potrząsnął głową i popatrzył w ziemię.

– Nieee. Zawaliłem niemiecki i matmę.

– No dobrze. Zawaliłeś dwie prace. Ale to już się stało. W takim razie dlaczego nie jesteś dziś w szkole?

– Nie mam podpisów rodziców.

– Głupstwo. Nie martw się, jakoś to załatwimy.

Benjamin milczał. Nie miał wprawdzie pojęcia, jak miałyby to wyglądać, ale wolał nie zadawać zbyt wielu pytań.

Alfred i Benjamin dotarli do mostu Teupitzer. Benjamin się zatrzymał.

– Muszę zabrać teczkę. Te typki na pewno już sobie poszły. – Chciał się odwrócić i pobiec przed siebie, ale Alfred trzymał go żelaznym chwytem.

– Chwi-leczkę. – Benjamin skulił się. – Teczkę zabierzemy później, okay? Nikt jej nie ukradnie. Zresztą leży w krzakach przy brzegu, nikt jej tam nie zobaczy, w taką paskudną pogodę nikt tamtędy nie chodzi. – Alfred poczuł palący żar. Teraz nie wolno mu było popełnić błędu. – Czy w twoich zeszytach są już jakieś podpisy rodziców? Na przykład pod wcześniejszymi pracami?

Benjamin przytaknął wystraszony. Uścisk na ramieniu przypominał mu imadło.

– Dobrze. W takim razie ja podpiszę za twoich rodziców. Potrafię to. Umiem podrabiać wszystkie podpisy. Nawet twoi rodzice się nie zorientują.

Przez moment Benjamin był pod wrażeniem.

– Chodź – powiedział Alfred. Skręcił w lewo i pociągnął chłopca ze sobą. Za torami kolejki zaczynały się kolonie działek. Kolonia Liczyrzepa. Kolonia Niedźwiadek. Kolonia Źródłko. Kolonia Georgia, Kolonia Szczęśliwe Chwile i wiele innych. Musiał od razu znaleźć odpowiednią działkę. Nie za bardzo podupadła, nie za trudną do otwarcia i nie przy drodze. Na dodatek musiał decydować szybko i spontanicznie. W żadnym wypadku nie mógł stracić zaufania chłopca.

– Myślę, że lepiej pójdę już do domu – powiedział Benjamin. – Dziękuję za wszystko. Naprawdę bardzo mi pan pomógł. – Spróbował się uwolnić, ale Alfred nie rozluźnił chwytu.

– To nie fair – zauważył. – Pomagam ci pozbyć się tych dryblasów, którzy kradną twoje rzeczy i chcą przetrzepać ci skórę... a ty nie chcesz nawet wypić ze mną kakao. Jestem zawsze okropnie samotny. Po prostu cieszę się, kiedy mam trochę towarzystwa.

Benamina ruszyło sumienie.

– Gdzie pan mieszka?

– Daleko. W północnej części miasta. W Heiligensee. Mam tam ładny duży dom i dwa psy.

– Jakie psy? – W Benjaminie natychmiast obudziła się ciekawość.

– Dalmatyńczyki. Suczkę i pieska. Bardzo kochane. Bardzo słodkie. Nazywają się Kropka i Anton.

– Fajnie. – Benjamin uśmiechnął się i w wyobraźni już widział dwa białe dalmatyńczyki w czarne plamy śpiące w jego łóżku.

– Ale moja ciotka ma tutaj działkę. Tu zaraz, na tyłach – mówił dalej Alfred. – Przez jakiś czas muszę tu codziennie przyjeżdżać i karmić świnki morskie, bo ciotka leży w szpitalu. Pomyślałem, że może sprawi ci frajdę, jeśli trochę mi pomożesz. No i koniecznie musisz się rozgrzać. To już niedaleko.

Umysł Benjamina pracował gorączkowo. Czuł, że myśli wirują mu po głowie tak szybko, że nie mógł ich zebrać i uporządkować. Słyszał swoją matkę, która już mnóstwo razy mówiła mu: „Nie wolno ci nigdzie chodzić z nieznanymi, słyszysz? Nawet jeśli ci coś obiecują. Zwierzątko, słodycze, zabawkę albo cokolwiek innego. To zawsze jest kłamstwo. Nie wdawaj się w dyskusje, po prostu bierz nogi za pas i zwiewaj. Czy to jasne?”.

Przytaknął. Oczywiście. Może inną dzieci poszłyby z obcym, ale nie on. Nigdy! Przecież nie był głupi, nie dałby się nabrać, rodzice nie muszą się o niego martwić.

A ojciec zawsze powtarzał: „Kiedy ktoś obcy zapyta cię o drogę, nigdy jej nie pokazuj. I nigdy nie wsiadaj do obcego samochodu! Nie wchodź do obcego mieszkania! Nie wierz w to, co ci ktoś opowiada. Przede wszystkim, jeśli chce ci wmówić, że my się zgodziliśmy. Albo że coś się stało twojej matce lub mnie i dlatego masz szybko wsiąść do samochodu i jechać z nim do szpitala. Nie wierz w to wszystko! Nie masz pojęcia, ile sztuczek mają w zanadrzu w takich sytuacjach źli ludzie”.

To mu wyjaśniło wszystko. Był pewny, że potrafi wybrnąć z każdej sytuacji. Zawsze sobie wyobrażał, że ucieczka to coś dziecinnie łatwego, lecz teraz było to piekielnie trudne.

Ale przecież ten mężczyzna mnie nie zaczepił, pomyślał Benjamin, on mi pomógł, kiedy byłem w niezłych tarapatkach! Ten nie szukał małych dzieci, żeby je uprowadzić, przypadkiem znalazł się w pobliżu, kiedy potrzebowałem pomocy. A więc na pewno nie był jednym z „tych”, których mieli na myśli mama i tata.

Benjamin potrafił zrozumieć, że mężczyzna czuje się samotny, i w rewanżu za ratunek pragnie trochę towarzystwa i pomocy przy karmieniu świnek morskich. Prawdopodobnie samotność to coś straszliwie nudnego.

Nie dalej jak w ostatnim tygodniu pani Blau opowiadała na lekcji religii, że bardzo dużo starych ludzi jest strasznie samotnych. Ci w domach starców mają jeszcze całkiem nieźle, przynajmniej mogą zagrać z kimś w kanastę lub w tysiąca, ale wiele osób mieszka samotnie i nie

mają nikogo. Ani dzieci, ani krewnych, ani przyjaciół. Nikt nie wie nawet, że tam mieszkają. Zwłaszcza w Neukölln jest sporo ludzi, którzy nie mają nawet kanarka, tylko telewizor, i zaledwie tyle pieniędzy, żeby kupić sobie coś do jedzenia.

Benjaminowi było bardzo żal wszystkich starych samotnych ludzi, chociaż uważał, że zawsze lepiej mieć telewizor niż kanarka. Ale do tej pory sądził, że jest się samotnym dopiero na starość. A ten mężczyzna jeszcze nie był stary, a mimo to już tak okropnie samotny. I to wydawało się Benjaminowi najgorsze.

Co powinien teraz zrobić? Mój Boże, przecież nie miał wcale tak dużo czasu, a mężczyzna trzymał go za rękę i ciągnął w głąb działek. Czy powinien wyrwać się i uciec? A jeśli mężczyzna był szybszy? Wyglądał na bardziej wysportowanego niż ojciec, a ojciec biegał szybciej od niego, kiedy mu na tym zależało. Podczas ostatniego festynu letniego w Hasenheide założył się z ojcem, który z nich potrafił szybciej biegać, i ojciec wygrał. Wtedy matka musiała zafundować wszystkim watek cukrową, ponieważ postawiła na Benjaminą.

Tak, ucieknę, powiedział sobie Benjamin, spróbuję trochę dalej, ucieknę na następnym zakręcie. Pobiegnę tak szybko, jak tylko potrafię. Wtedy mężczyzna mnie nie dogoni. Będzie tylko smutny albo zły, ale co to mnie obchodzi. Pewnie i tak już nigdy go nie spotkam, przecież tu nie mieszka, mieszka daleko stąd, w Heiligensee. Kopnął przed siebie kamień. Kamień potoczył się szybko i daleko. Benjamin chciał pobiec za nim i ponownie go kopnąć, jednak obcy mężczyzna ciągle trzymał go za rękę.

Tata na pewno się wścieknie, jeśli pójdę z tym mężczyzną do altany, pomyślał jeszcze Benjamin, pewnie jeszcze bardziej niż z powodu obu złych ocen. Tak, tak będzie lepiej. Muszę zwać. Jeszcze dziesięć metrów, a potem pobiegnę w prawo. Bez słowa. Niespodziewanie.

– Naprawdę jesteś miłym chłopcem – powiedział nagle mężczyzna i uśmiechnął się. – Pomogłem ci, a teraz ty mi pomagasz. Uważam, że tak jest super. Myślę, że możemy zostać przyjaciółmi. Co ty na to?

Serce Benjaminą mocno zabiło. Nie, teraz nie mógł uciec. Byłoby to po prostu podłe. Mężczyzna był taki sympatyczny i ufał mu. Nie

mógł go teraz zawieść. Szybko wypije kakao, potem szybko nakarmi świnki morskie, wszystko pójdzie raz-dwa. W każdym razie miał jeszcze dużo czasu, zdąży wrócić do domu, ani słowem nie wspomni o tym rodzicom, żeby ojciec nie uznał, że jest głupi lub naiwny, ponieważ go nie posłuchał.

Benjamin spojrzął na zegarek, który podarowała mu na gwiazdkę babcia z Bawarii. Zegarek był bardzo skromny i nie rzucał się w oczy. Nie podobał się Benjaminowi. Na pewno dlatego też te dwa typki mu go nie ukradły. Benjamin uważał, że to prawie damski zegarek. Chciał mieć prawdziwy chronometr. Z sekundnikiem, stoperem, z budzikiem, żeby pokazywał datę, czas na świecie i oczywiście, żeby był wodoodporny. O takim zegarku marzył, ale musiał na niego jeszcze trochę poczekać.

Było pięć po dwunastej. Miał dzisiaj sześć lekcji, matka spodziewała się go w domu dopiero przed drugą.

Mam jeszcze czas, pomyślał Benjamin, właściwie mogę wyświadczyć przysługę temu sympatycznemu mężczyźnie.

– Mój Boże, ale się napracowałam! – powiedział Peter, kiedy wszedł do kuchni. – Kotlety mielone, sos, makaron i duszone pory! Szaleństwo! Tak dobrze się dzisiaj czujesz? – Pocałował żonę we włosy.

– Zawsze dobrze się czuję, kiedy jesteś w domu.

Peter zrozumiał przytyk.

– Czy chcesz, żebym znowu miał wyrzuty sumienia? Przecież dałam mi trochę swobody!

– Od czasu do czasu. Okay. Ale nie na stałe. Nie trzy lub więcej razy w tygodniu. Czy zastanawiałeś się kiedyś, ile nas kosztuje twoje pijaństwo?

Marianne zauważyła, że Peter nad czymś myśli. Po krótkiej przerwie powiedział:

– Dobrze. Raz w tygodniu. Ale tego jednego razu nie pozwolę sobie odebrać. Rozumiesz?

Marianne posłała mężowi swój najpiękniejszy uśmiech.

– Rozumiem.

– Dlaczego zadałaś sobie dzisiaj tyle trudu z obiadem? Czy coś świętujemy?

– Nie, ale Benny wydawał mi się rano jakiś smutny. Jakby zgaszony. A może był po prostu zmęczony. W każdym razie pomyślałam, że na pewno ucieszy się z ulubionego dania. Od wieków nie jedliśmy kotletów mielonych!

– Powiedz szczerze! Ile godzin ci to zajęło?

Marianne odgarnęła z czoła kosmyk spoconych włosów.

– Co tam, nie było tak źle.

Oczywiście, że było źle. Spędziła w kuchni całe przedpołudnie. Każda czynność stwarzała problem i trwała dużo dłużej niż u zdrowego człowieka, każdy mały krok w kuchni oznaczał wielki wysiłek i musiał być dobrze przemyślany. I co chwila musiała robić sobie przerwy i odpoczy-

wać na krześle lub na wózku. Na samo wymieszanie mięsa potrzebowała teraz trzech kwadransów. A dawniej robiła to w dziesięć minut. Ale Peter nie musiał tego wszystkiego wiedzieć. Niechętnie mówiła o swojej chorobie, czuła się wtedy jeszcze słabsza. Miała nadzieję, że Peter zapomina na jakiś czas o wszystkich problemach, że znowu widzi ją taką, jak wtedy, kiedy się poznali, gdy była zdrowa, a Benny był jeszcze mały.

Marianne usiadła zmęczona na krześle kuchennym i zapaliła papierosa. Peter wyjął piwo z lodówki i usiadł obok niej. Gotowe kotlety trzymała w ciepłym piekarniku, makaron parował pod ścierką. Najmniej skomplikowane były pory, te zawsze można szybko podgrzać.

Marianne spojrzała na zegarek.

– Gdzie on się podziewa? Już za pięć druga! Zwykle jest w domu już za piętnaście druga.

– Czy wie, że ugotowałaś specjalnie dla niego obiad?

Marianne potrząsnęła głową.

– No tak... pewnie jeszcze gdzieś go poniosło. Myśli, że zjemy wieczorem. – Peter otworzył butelkę i jednym łykiem opróżnił ją do połowy. Kiedy odstawiał butelkę, wymknęło mu się głębokie westchnienie wyrażające dobre samopoczucie.

– Znowu ci zasmakowało? – zauważyła z wyrzutem Marianne.

– Powiedzmy, że teraz mi lepiej. – Peter uśmiechnął się i otworzył gazetę. – Jest coś ciekawego?

– Nie mam pojęcia, jeszcze nie czytałam.

Marianne paliła w milczeniu i z każdym papierosem robiła się coraz bardziej nerwowa.

O pół do trzeciej zadzwoniła do Andiego. Odebrał natychmiast.

– Halo, Andi, tutaj mama Benny'ego. Może wiesz, gdzie on się podziewa? Jeszcze nie wrócił do domu.

Andi przestraszył się. Benny'ego nie było dzisiaj w szkole. A więc poszedł na wagary, a jego matka o tym nie wiedziała. W żadnym razie nie mógł go wydać.

– Nie mam pojęcia – powiedział Andi. – Wyszliśmy ze szkoły jak zawsze.

- Kiedy dokładnie? O której godzinie?
 - No... skończyliśmy o pół do drugiej... a potem zaraz poszliśmy do domu. Gdzie mieliśmy iść w taką pogodę?
 - A nie wstąpiliście czasem na chwilę do Milli?
 - Neeee, dzisiaj nie.
 - Czy Benny miał jeszcze coś po drodze załatwić? Czy coś ci powiedział?
 - Neeee. Nic. Dzisiaj mamy dużo zadane z niemieckiego. Musimy napisać wypracowanie. Co najmniej trzy strony. To normalne świństwo.
 - Okay, Andi. Wielkie dzięki. Cześć. – Odłożyła słuchawkę.
- Peter cierpliwie stał w drzwiach.
- Przecież wiesz, że obaj zawsze wracają Sonnenallee. Potem Andi skręca w Fuldstrasse, a Benny idzie dalej sam. Ale to najwyżej jakieś dziesięć minut. Może nawet mniej. I gdyby dzisiaj też tak było, musiałby tu być kwadrans przed drugą. – Spojrzała na zegarek. – Teraz jest dziesięć po pół do trzeciej. Minęła już cała godzina!
 - Może rzeczywiście gdzieś się jeszcze włóczy. – Peter był tak samo poirytowany jak jego żona, mimo to starał się ją uspokoić beztrojskim wyjaśnieniem. Ale to tylko spotęgowało jej złość, ponieważ miała wrażenie, że mąż nie traktuje sprawy poważnie.
 - Wyglądałeś przez okno? Pada śnieg! Obrzydliwy mokry śnieg z deszczem. Benny nie wziął ze sobą czapki, szalika ani rękawiczek. Widziałam. Wszystko leży w przedpokoju. Myślisz, że łożenie po mieście w taką pogodę sprawia mu przyjemność? Na dodatek samemu? Kiedy Andi jest w domu!
 - Już dobrze. Nie wiedziałem. Jak myślisz, gdzie on może być?
 - Nic nie myślę. – Marianne wystąpiły gorączkowe czerwone plamy na policzkach, które sprawiły, że jej nienaturalnie blada twarz wyglądała jak umalowana.
- Żeby tylko nie dostała ataku, pomyślał Peter.
- Co mam myśleć? – zapisała. Kiedy była zdenerwowana, jej głos stawał się piskliwy jak u małej dziewczynki. – Nie jestem wróżką! Ale boję się, Peter, mam takie głupie przeczucie! Nie mógłbyś czegoś zrobić?

– Okay – powiedział Peter i odetchnął głęboko. Był rozdarty pomiędzy gniewem a troską. – Pójdę się rozejrzeć, może go gdzieś znajdę. A ty zadzwoń do wychowawczynie. Może coś się dzisiaj stało... coś, czego oczywiście Andi ci nie powie.

– Myślisz, że Benny boi się wrócić do domu? – Marianne energicznie potrząsnęła głową. – Przecież nic byśmy mu nie zrobili! To bzdura, Peter! Jeszcze nigdy porządnie go nie skrzyczeliśmy!

– Wiem, wiem! – Głos Petera przybrał na sile. – Przecież oboje nie wiemy, co mu chodzi po głowie! – Dopił piwo. – Pewnie to nic poważnego, ale zadzwoń do pani Blau. W każdym razie to nie zaszkodzi!

Marianne przytaknęła w milczeniu i sięgnęła po papierosa. Ręce tak jej drżały, że przypaliła go dopiero za piątym razem. Peter wyszedł z mieszkania. Mielone kotlety wysychały w piekarniku.

Alfred natychmiast spostrzegł, że ten się nadawał. Skromny drewniany domek, jeden z nielicznych, który nie był pomalowany na biało, jasnoniebiesko lub zielono, poza tym jedyny, który nie miał zamkniętych okiennic. Z upływem czasu farba na drewnie straciła połysk i odpadała całymi płatami. Mimo to nawet w listopadzie dom promieniował ciepłem. Ogród sprawiał wrażenie zadbanego i przygotowano go na zimę zgodnie z wszelkimi przepisami, delikatne rośliny stały w doniczkach na murku z tyłu domu, osłonięte od wiatru, huśtawkę ochraniał niepozorny, zielony, odporny na pogodę plastikowy pokrowiec. Alfred miał nadzieję, że domek jest czysty i porządnie urządzone i że w małej komórcie znajdzie wszystkie potrzebne mu narzędzia.

Na wysokiej drewnianej furtce, po której w lecie pięły się róże, widniał napis „Bliese”.

– Tak się nazywa? – zapytał Benjamin, a Alfred przytaknął. Tak było najprościej.

Furtka była zamknięta. Alfred demonstracyjnie przeszukiwał kieszenie, w tym czasie Benjamin czekał cierpliwie.

– Co za głupota – wymruczał Alfred – zapomniałem kluczy.

– A świnki morskie? – szybko zapytał Benjamin. – Będą głodne, jeśli nic nie dostaną.

– Dostaną. Oczywiście, że dostaną. Zaraz wejdziemy. Nie ma problemu.

Alfred wyciągnął ręce do Benjamin.

– Chodź, przesadzę cię na drugą stronę. – Benjamin zrobił krok w jego stronę, a Alfred jednym ruchem postawił go w ogrodzie.

Mój Boże, co za delikatne dziecko, pomyślał Alfred. I jakie lekkie.

Nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zniknie z chłopcem w altance. Chciał pozbyć się uczucia strachu, że zobaczy go jakiś niespodzie-

wanie przechodzący obok spacerowicz, który później może sobie o nim przypomnieć.

Alfred obszedł altankę dookoła, szukając odpowiedniego narzędzia. Ale wyłożona płytami ścieżka, taras, grządki, a nawet trawnik były dokładnie posprzątane, nie leżało tam nic zbędnego, choćby jakiś większy kamień lub kawałek drewna. A co dopiero żelazny pręt lub zapomniany szpadel.

Kiedy Alfred prowadził poszukiwania, Benjamin stał grzecznie przy huśtawce i czekał. Jest trochę nieśmiały, pomyślał Alfred, ale tak niezmiernie chętny. Kochany chłopak, który prawdopodobnie chce każdemu sprawić przyjemność i zawsze stara się nie martwić rodziców. Ale tym razem nie da się tego uniknąć. Alfred w ogóle się nie przejmował rodzicami chłopca. I tylko dziwił się, jakie to wszystko było proste. Mały stał tutaj. Cicho i spokojnie. Wsadził ręce do kieszeni spodni i próbował wyglądać przez gęsty żywopłot. Cierpliwie czekał, bo nie miał najmniejszego pojęcia, co go czeka. Nie rzucał się, nie krzyczał, nie walczył. Jeszcze nie. Co za różnica w porównaniu z Daniłem. Tamten w ogóle nie chciał go słuchać i Alfred, żeby sobie z nim poradzić, już w lesie musiał go odurzyć eterem.

Alfred powoli zaczynał się denerwować, ponieważ nie mógł znaleźć odpowiedniego narzędzia, ale naraz zauważył żelaznego amorka, który stał przed ogrodową latarnią, również wykonaną z żelaza. Amorek miał około czterdziestu centymetrów wysokości i był przeraźliwie szpetny. Cały czarny, miał twarz mongoidalnego niemowlęcia, tułów chłopca, lecz biodra szerokie jak u kobiety. Jego mały penis był ledwie zaznaczony i prawie całkowicie schowany między grubymi udami. Alfred aż wstrząsnął się na widok tak wielkiego braku gustu, ale dla jego celu ciężki amorek, który na szczęście nie został zakotwiczony w ziemi, był jak specjalnie stworzony.

Wziął do ręki amorka i zbił nim jedyne niewidoczne od strony drogi okno. Włożył do środka rękę, przekręcił zamek i otworzył okno.

– Chodź tu – powiedział do Benjaminu – podsadzę cię!

Kiedy Benjamin zniknął we wnętrzu altany, wdrapał się za nim tak szybko, jak tylko mógł.

Domek składał się z jednego pomieszczenia. Pod oknem, które wychodziło na drogę, znajdowało się szerokie łóżko, na którym leżał rozpostarty koc z owczej wełny. Na środku małego pokoju, tuż przed drzwiami, stał stół i dwa niewielkie fotele, wszystko z rattanu, niedbale pomalowane białą farbą. Najwidoczniej właściciele lubili siedzieć w lecie przed szeroko otwartymi drzwiami. W tylnej części pomieszczenia znajdował się aneks kuchenny z małym kontuarem i dwoma stołkami barowymi. Była tam jeszcze kuchenka elektryczna z dwiema płytkami grzewczymi, wisząca szafka i regał pod kontuarem. Za zlewozmywak służyły dwie plastikowe miski, które do czysta wymyte stały jedna w drugiej. W całej altanie pachniało wilgocią i zgnilizną, tak jak pachnie w domu, który przez wiele tygodni jest zamknięty i niewietrzony.

– Gdzie są świnki morskie? – od razu zapytał Benjamin.

– Nie ma tu żadnych świnek morskich – odparł Alfred, unikając spojrzenia chłopca, który teraz wpatrywał się w niego mocno przestraszony.

W tym momencie Benjamin zrozumiał, że wpadł w pułapkę. A więc to był ten zły mężczyzna, o którym mówili rodzice. To niemożliwe, to tylko zły sen. Obudź się, krzyknął w myślach, obudź się wreszcie! Marzył, żeby wpełznąć do ciepłego łóżka rodziców, przytulić się do pleców taty i wiedzieć, że nic, ale to nic nie może mu się stać. Straszne sny często wracały, ale nie były rzeczywistością, były tylko sennymi koszmarami.

Jednak Benjamin się nie obudził. To tutaj działo się naprawdę. Został złapany. To zdarzyło się naprawdę. To, przed czym zawsze ostrzegali go rodzice. Benjamin po prostu nie chciał i nie mógł uwierzyć, że przegrał. Że nie ma już wyjścia.

– Połóż się na łóżku – powiedział Alfred.

Benjamin stał jak wryty i nie zareagował.

Ton głosu Alfreda stał się bardziej ostry.

– Kiedy mówię, że masz się położyć na łóżku, to się kładź! Rozumiesz?

Benjamin przytaknął trwożliwie, powoli podszedł do łóżka i położył się, jakby czekał na lekarza, który zaraz przyjdzie i zrobi mu zastrzyk.

Alfred podszedł do małej komody, która stała naprzeciwko łóżka przy ścianie, i od razu znalazł to, czego szukał: ścierki kuchenne, ręczniki, obrusy.

– Uważaj – powiedział, kiedy wyjmował z szuflady w kuchni nożyczki, nacinał obrus i dał go w długie pasy – to całkiem proste. Nie krzycz, nie próbuj uciekać i rób to, co ci każę. Wtedy nie będę musiał cię związać i zakneblować i obu nam będzie lżej. Ale jeśli zaczniesz się drzeć lub bronić, wtedy będę bardzo, bardzo nieprzyjemny.

– Co pan ze mną zrobi? – wyszeptał Benjamin, a jego kolana tańczyły na kocu. Nie potrafił utrzymać ich nieruchomo i kontrolować, tak trząś się ze strachu.

– Dowiesz się w swoim czasie.

– Czy będzie bolało?

– To zależy.

Benjamin pomyślał, jaki był głupi. Przecież w gruncie rzeczy nie miał problemów! Cóż znaczyły dwie zawałone klasówki? Wszystko to wydało mu się takie śmieszne w porównaniu z tarapatami, w jakich teraz się znalazł. Dlaczego nie poszedł do matki i nie porozmawiał z nią? Dlaczego się wybrał na wagary? Jego klasa miała teraz lekcję muzyki i mógł tam być. Siedziałyby obok Andiego i graliby w karty pod ławką. Prawdopodobnie pan Finkus śpiewałby razem z nimi *Dziś tu – jutro tam*. Ulubioną piosenkę całej klasy. Wszystko byłoby jak zawsze. Wszystko byłoby jak dawniej. I żyłby dalej.

I wtedy nagle przypomniał sobie, jak kiedyś słyszał, że z przestępcami powinno się rozmawiać. Wtedy oni lepiej poznają człowieka, uznają, że jest nawet sympatyczny, i mogą go nie skrzywdzić.

– Rozbierz się – rozkazał Alfred, przeszukując szafkę kuchenną i regał. Koniecznie potrzebował alkoholu. Obojętne, w jakiej postaci. Obojętne czego. Musiał się napić, uspokoić, po prostu rozładować napięcie. Miał bardzo dużo czasu i zamierzał to wykorzystać. Jeśli nie znajdzie nic do picia, w ciągu następnej półgodziny będzie po wszystkim.

– Nawet pan nie zapytał, jak się nazywam. – Benjamin starał się mówić spokojnie, ale mimo to jego głos brzmiał piskliwie i drżąco.

– Nie chcę wiedzieć – powiedział Alfred. No, nareszcie. W najodleglejszym kącie regału, za puszkami konserw z warzywami, pomidorami bez skóry i przeterminowanymi słoikami szparagów, znalazł butelkę likieru wiśniowego, ale nie była nawet w jednej czwartej pełna. Alfred wlał likier do szklanki i zaczął pić. Powoli, ale nie przerywając.

– Nazywam się Benjamin Wagner – powiedział Benjamin. – Mam jedenaście lat, chodzę do piątej klasy i mieszkam przy Weserstrasse 25. Interesuję się...

Alfred wyskoczył zza kontuaru i wrzasnął:

– Głuchy jesteś? Powiedziałem, że nie chcę wiedzieć! Nie chcę znać twojego cholernego nazwiska! Nie interesuje mnie też, ile masz lat, do jakiej chodzisz szkoły ani czy twoi rodzice są grubi czy chudzi, bogaci czy biedni, niczego nie chcę wiedzieć! Dla mnie to nieważne! To nie ma nic do rzeczy! I jeśli nie będziesz trzymał gęby na kłódkę, postaram się ci w tym pomóc, rozumiesz?

Benjamin przytaknął przestraszony. Ten mężczyzna nigdy nie mógłby zostać jego przyjacielem.

– Rozbieraj się wreszcie, ty mały gadzie! No już, raz-dwa!

Benjamin powoli ściągnął sweter. W domku nie było dużo cieplej niż na zewnątrz. Okno, przez które wszedł mężczyzna, było cały czas otwarte. Co miał zrobić, żeby mężczyzna chociaż na chwilę wyszedł z altany? Wtedy może udałoby mu się wyskoczyć przez okno i uciec! Ale żaden podstęp nie przychodził mu do głowy. W książkach dzieci ciągle znajdowały się w sytuacjach bez wyjścia, a mimo to za każdym razem jakoś sobie radziły i znajdowały drogę ucieczki. Zawsze w ostatniej chwili wpadały na wspaniałe, ratujące je z opresji pomysły. Benjamin nie miał takiego pomysłu.

– Zrobisz to wreszcie? – zapytał Alfred.

Benjamin powoli zdjął dzinsy, następnie skarpetki. Całe jego ciało pokrywała gęsia skórka.

– Dalej! – rozkazał Alfred. Usiadł przed łóżkiem, pił i przypatrywał się Benjaminowi. Ścierki kuchenne i pocięty w pasy obrus leżały w zasięgu jego ręki.

Benjamin próbował zapomnieć, co tutaj robi i co się tu dzieje. W myślach był u rodziców. U swojej cudownej, bardzo chorej matki, która tak skutecznie potrafiła go pocieszyć, kiedy coś go bolało. Która przyrządzała najlepsze na świecie kotlety mielone z przepyszny brązowym sosem i która tyle razy szeptała mu do ucha: „Kocham cię, mój mały mężczyzno”. Myślał też o swoim ojcu, który już po raz enty naprawiał mu rower, podczas urodzin perfekcyjnie parodiował innych ludzi, tak lubił słuchać muzyki country i każdej zimy chodził z nim na sanki na Insulaner. Nie miał pojęcia, jak poradzić sobie z tęsknotą za rodzicami.

Benjamin powoli ściągał T-shirt przez głowę.

– Majtki też – powiedział Alfred i pochylił się trochę do przodu.

Przez ażur w firance, która wisiała w oknie przy łóżku, Benjamin widział niebo. Zdjął majtki i położył się całkiem nagi.

– Śnieg pada – powiedział cicho. – Niedługo będą święta. – I zaczął płakać.

Milli była całkowicie zaskoczona.

– Benny nie wrócił do domu? Nie może być! Właśnie Benny! Przecież to taki grzeczny chłopiec!

Milli miała pięćdziesiąt siedem lat, wyglądała na pięćdziesiąt siedem i od trzydziestu lat prowadziła budkę z jedzeniem na obrzeżach Berlina, z czego dwadzieścia dwa lata w Neukölln przy Wildenbruchplatz. Miała płomiennie czerwone włosy, co tydzień starannie je farbowała, upinała w kok, który górował nad jej głową i z każdym rokiem był o centymetr wyższy. Milli wiedziała o wszystkim, co się wydarzyło w okolicy, i chętnie dzieliła się tą wiedzą z innymi.

– Kiedy ostatnio był tu Benny? – zapytał Peter.

Milli zastanowiła się.

– Na pewno nie dzisiaj. Wczoraj? Tak, teraz sobie przypominam. Wpadł tu na chwilę wczoraj, zjadł klopsik. Ale powiedz, gdzie on mógł się podziąć?

– Gdybym to ja wiedział. – Peter sprawiał wrażenie wyczerpanego i zrezygnowanego. Było już pół do piątej, dwie godziny chodził po okolicy, pytał w knajpkach, budkach z dönerami i kioskach, w których sprzedawano słodycze, przetrząsnął wszystkie działy w Karstadtzie, bez rezultatu. Pytał o Benjaminą i podał jego rysopis również w dziale z zabawkami, ale nikt nie mógł przypomnieć sobie chłopca. No bo jak. Sprzedawca z fryzurą Elvise pracował tylko do południa i o pierwszej poszedł do domu.

Peter cały czas zdawał sobie sprawę, że jego poszukiwania nie mają sensu, ponieważ Benjamin nie był dzieckiem, które godzinami włóczy się po mieście i nie wraca do domu. Benjamin bał się o swoją matkę i robił wszystko, aby zaoszczędzić jej trosk, złości i zdenerwowania. Wiedział, że matka martwiła się, kiedy był niepunktualny. Dlatego zawsze telefonował, jeśli jeszcze szedł do kolegi lub spóźniał się z innego powodu.

Benjamin był kochanym dzieckiem, ale przede wszystkim można było na nim polegać. Był dzieckiem, które potrafiło przyznać się do winy. Dzieckiem, które mówiło „będzie lepiej”, kiedy rodzicom coś się nie udało. Dzieckiem, które przynosiło matce kwiatek lub rysowało obrazek, kiedy widziało, że była smutna. Dzieckiem, które wciąż jeszcze potrafiło przytulić się do ojca.

Takie dziecko nigdy bez powodu nie przebywało tak długo poza domem. Peter w najdalszym zakątku serca czuł, że coś się stało. Coś strasznego. Dlatego jeszcze zwlekał z powrotem do domu. Marianne zawsze poznawała po jego nosie, że coś jest nie tak. Nie mógł zawieść nadziei, której tak potrzebowała.

Milli nalała mu kieliszek wódki.

– Masz. Wypij. To ci pomoże. Przynajmniej na dwie minuty.

Peter przyjął poczęstunek i wypił jednym haustem.

– Czy masz nasz numer telefonu, Milli?

Milli złapała się za rozczochrane włosy, pogrzebała w nich, nie buńcząc fryzury.

– Pewnie mam. Ale nie pytaj, gdzie. – Podsunęła Peterowi kartkę i ołówek. – Lepiej zapisz mi jeszcze raz.

Peter pośpiesznie napisał numer.

– Proszę cię, zadzwoń koniecznie, gdybyś go zobaczyła albo coś usłyszała. Wszystko jedno. Możesz dzwonić o każdej porze. Nawet w środku nocy. Dobrze?

Milli schowała kartkę.

– Jasne, zadzwonię.

Peter skinął na pożegnanie i ruszył przed siebie ze spuszczoną głową. Milli jeszcze za nim zawołała:

– Aha, Peter!

Peter odwrócił się.

– Głowa do góry – powiedziała Milli i usiłowała się uśmiechnąć. Peter był jej za to wdzięczny.

Proszę, proszę, proszę, proszę, dobry Boże, spraw, żeby stał się cud, modlił się Benjamin, żeby tata mnie znalazł i żeby mnie zabrał do domu. Proszę, spraw, żeby mi pomógł. Proszę, proszę, proszę, dobry Boże!

Benny leżał na łóżku – do rąk i nóg miał przytroczone podarte kawałki obrusa – jego szeroko rozłożone ręce i nogi mężczyzna przywiązał do drewnianych nóg łóżka. Usta zakneblował ścierką kuchenną. Chłopiec nie mógł krzyczeć i z trudem oddychał. Jego oczy były zasłonięte inną ścierką, żeby nie mógł widzieć, co się wokół niego dzieje.

Leżał na plecach, a jego nagie ciało przykrywał drapiący koc w kratkę, który Alfred także znalazł w komodzie.

Stało się to, czego Benjamin tak gorąco pragnął, zły mężczyzna na chwilę wyszedł z domku, żeby poszukać gdzieś więcej alkoholu. Ale Benny nie mógł uciec. Nie miał szansy uwolnić się z więzów.

Proszę, proszę, dobry Boże, pomóż mi! Nie chcę już kota. Codziennie będę wynosił śmiecie. Dzień w dzień przez cały rok. Zrobię, co tylko chcesz. Proszę, proszę, dobry Boże, na pewno masz jakiś pomysł, na pewno znajdziesz jakieś wyjście! A jeśli nie, spraw, żebym nie żył. Ale zły mężczyzna nie może wrócić, proszę, proszę, dobry Boże...!

W tym samym czasie kiedy Alfred wrócił do altany z butelką Ballantines'a pod pachą, Peter Wagner wszedł do właściwego dla jego miejsca zamieszkania komisariatu policji przy Sonnenallee 107.

Jeszcze nigdy tu nie był, takie miejsca znał tylko z filmów i spodziewał się zobaczyć wrzeszczących pijaków, półnagie prostytutki palące papierosy na korytarzu, muskulamych robotników budowlanych, którzy grozili policjantom pobiciem, małych kieszonkowców opowiadających swoje kłamstwa, samotne kobiety, które czuły się śledzone, lub bezdomnych, którzy się pobili.

Długi korytarz świecił pustkami i panowała w nim śmiertelna cisza. Punkt przyjmowania zgłoszeń był czynny tylko przed południem – najwidoczniej Peter Wagner był jedyną osobą, która pilnie potrzebowała pomocy.

– Słucham – powiedział funkcjonariusz za zakratowanym oknem zamiast powitania i z obrażoną miną wyrzał zza gazety, zdejmując okulary.

– Chciałbym zgłosić zaginięcie, mój syn zniknął. – Peter odezwał się niezwykle cicho, jakby bał się mu przeszkodzić.

– Pokój osiemnaście A, na samym końcu po prawej, przed drzwiami do toalety. – Mężczyzna włożył okulary i ponownie wziął do ręki gazetę.

Peter Wagner poczłapał ciężkim krokiem przez korytarz. Gumowe podeszwy jego butów skrzypiały na linoleum w kropki, czuć było zapach paszтетowej. Jak w szpitalnej umieralni, gdzie kiedyś odwiedził kolegę cierpiącego na raka jelita i potem już nigdy go nie zobaczył.

Zabiję tę świnię, która zrobiła krzywdę mojemu małemu Benny'emu, przysiągł w myślach Peter i był w tym momencie cholernie poważny.

Marianne Wagner wprost odchodziła od zmysłów. Siedziała na wózku inwalidzkim i była całkowicie skoncentrowana na wrywaniu sobie włosów z głowy. Ból uśmierzały o wiele bardziej bolesne myśli, wizje horroru, od których po prostu nie mogła się uwolnić.

Kiedy Peter wrócił do domu, było krótko przed ósmą. Po sposobie, w jaki rzucił klucz na szafkę w przedpokoju, Marianne domyśliła się, że nic nie działo. Obawiała się spojrzeć na niego. Była jeszcze bardziej smutna od niego.

Milcząc, wszedł do kuchni, gdzie Marianne siedziała przy oknie, podszedł do lodówki i wyjął z niej piwo.

– Nie był dzisiaj w szkole – powiedziała cicho. – Rozmawiałam z panią Blau. Myślała, że jest chory.

Peter pił i nic nie mówił. Mówienie przychodziło Marianne z trudem.

– Niemiecki napisał na piątkę, a matematykę na szóstkę. Pewnie dlatego nie poszedł. – Twardo postanowiła, że nie będzie płakać, ale teraz nie potrafiła inaczej. Najbardziej nie do zniesienia była myśl, że Benjamin mógł się wpakować w jakieś nieszczęście, ponieważ nie miał odwagi pokazać w domu złych stopni. Wszystko, co złe, to była jej wina. Jej i Petera.

Peter pozwolił jej płakać. Jej płacz nie wywołał w nim agresji, tak jak to się działo w innych sytuacjach, ponieważ kobiecie łązy zawsze traktował jako próbę szantażu. Tym razem było inaczej, dzisiaj Marianne miała powód, aby płakać. Tyle że jej płacz czynił go jeszcze bardziej bezsilnym, jakby i bez tego tak się nie czuł. Nawet nie zdobył się na to, żeby do niej podejść i pocieszyć. Co miałby jej powiedzieć? Nie płacz, on niedługo wróci. Gdyby coś się stało, już dawno byśmy wiedzieli. Brak wiadomości to przeważnie dobra wiadomość. Wierz mi, wszystko będzie dobrze, każdego roku tysiące dzieci znikają i po jednym dniu wracają.

Nie, to były puste frazesy, wcale tak nie myślał, po prostu w tej sytuacji nie było słów pocieszenia. Przecież Benjamin nie był jakimś łobuziakiem, nawet przez myśl by mu nie przeszło, żeby uciekać z domu. Raczej bałby się zostać sam na dworze.

Wszystko to już opowiedział policjantowi, kiedy ten zupełnie nie przejawiając zainteresowania, wystukiwał formularz o zaginięciu na swojej przedpotopowej maszynie do pisania. Tylko od czasu do czasu wzruszał ramionami, co miało znaczyć ni mniej, ni więcej: wszyscy tak mówią.

– Zaczną szukać dopiero rano – Peter wybuchnął niespodziewanie. – Te przekłete urzędasy, te pierdzistołki po prostu nie wierzą, kiedy ktoś im mówi: mój syn nie jest dzieckiem, które zwałoby z domu! Oni trzymają się swoich przeklętych regulaminów, dla nich Benjamin jest tylko nową sygnaturą akt, która będzie rozpatrywana dopiero po czterdziestu ośmiu godzinach, i basta. Nie uwierzysz, co za beznadziejny, obojętny na wszystko tępak był na służbie! Najchętniej walnąłbym go w ten znudzony pysk. – Peter z wściekłości zrobił się czerwony jak rak.

– Wyobrażam sobie – szepnęła Marianne.

– Uważają, że może być u kolegi i tam przenocować. U kolegi, którego my może nawet nie znamy. Albo mógł wsiąść do jakiegoś pociągu, żeby pojechać do babci i dziadka albo po prostu w świat. Takich głupot mi naopowiadali. A ponieważ dziewięćdziesiąt pięć procent wszystkich zaginionych dzieci odnajduje się w ciągu czterdziestu ośmiu godzin, zarządzają poszukiwania dopiero po dwudziestu czterech godzinach. Tak to jest w naszym urzędniczym państwie. – Peter omal nie zakrzuszył się piwem i musiał odkaszląć. – I ten głupi dupek wróci dziś wieczorem do domu i spokojnie pójdzie spać. Bo cała maszyna jest natychmiast wprawiana w ruch tylko wtedy, kiedy istnieje podejrzenie popełnienia przestępstwa. A więc gdyby znaleźli jego rzeczy lub coś podobnego. Ta małpa powiedziała: nie mają dość ludzi, żeby mogli się zajmować każdym zgłoszeniem zaginięcia. Ale żeby wypisać mandat za złe parkowanie, na to zawsze mają dość ludzi!

– Nie rozumiem tego – mruknęła Marianne.

– A ja tym bardziej.

– Mój Boże, jak ciemno na dworze. I pada śnieg.

Peter roztrzaskał pustą butelkę po piwie na kuchennym stole i zerwał się na równe nogi.

– Zwariuję tu w domu. Nie mogę całą noc siedzieć i myśleć, gdzie on jest i co robi. Nie wytrzymam tego!

Marianne milczała, łzy płynęły jej po twarzy jak z fontanny, która cały czas się przelewa.

– Proszę, powiedz mi cokolwiek, gdzie on może być. Że nic mu się nie stało. Wymyśl coś! Potrzebuję czegoś, w co mogłabym uwierzyć.

Peter milczał. Zamiast odpowiedzieć, położył na chwilę rękę na jej wilgotnym policzku. Zanim wyszedł z mieszkania, powiedział tylko:

– Czekaj przy telefonie. – Potem zatrzaskał za sobą drzwi.

Marianne siedziała na wózku inwalidzkim, hipnotyzowała wzrokiem telefon i dalej wrywała sobie włosy.

Kiedy Peter wyszedł od „Piłkarzy”, zegar pokazywał dwudziestą trzecią pięćdziesiąt. Właściciel dobrze to zapamiętał, ponieważ było to dokładnie w tym samym momencie, kiedy Werner wyraźnym ruchem ręki pożegnał się z pozostałymi gośćmi i powiedział:

– Dzieci, idę już spać i życzę wszystkim spokojnej nocy, kocham was wszystkich. I tylko z tego powodu wrócę tu jutro rano. – Z wyjątkiem niewielkich zmian w formułce, było to na ogół wierne powtórzenie słów, którymi Werner codziennie wieczorem kończył swoje piętnastogodzinne posiedzenie w knajpie. Właściciel zawsze bardzo sobie chwalił jego słowa, ponieważ skłaniały one większość gości do zbierania się do wyjścia, dzięki czemu prawie zawsze mógł skończyć pracę punktualnie o północy.

Peter nie był pijany, ale się uspokoił.

– Odprowadź mnie, przyjacielu – powiedział Werner i położył rękę na ramieniu Petera – okropnie mi zimno.

Dopiero teraz Peter uświadomił sobie, że spędził cały wieczór w knajpie, wieczór, który powinien wykorzystać na szukanie syna. Dopiero w tej chwili ogarnęły go wyrzuty sumienia, i to z taką siłą, że poczuł mdłości. Miał uczucie, jakby przez ostatnie trzy godziny był nieprzytomny.

Przed knajpą Werner przytrzymał go z tyłu.

– Gdzie idziesz, przyjacielu?

– Na cmentarz – syknął Peter, wyrwał do przodu i nie zatrzymując się, nawet nie łapiąc oddechu, pobiegł aż nad kanał.

Na ostatnim rogu ulicy, nad samą wodą, stała budka telefoniczna. Zebrał wystarczającą ilość monet i zadzwonił do Marianne.

– Gdzie jesteś? – zapytała. – Co robisz?

– Szukam go – wrzasnął do aparatu, żeby zagłuszyć sumienie.

– Proszę cię, wróć do domu – wyszeptała bezdzwięcznie. – Nie wytrzymam dłużej tego wszystkiego!

– Zaraz będę – powiedział Peter i odłożył słuchawkę.

Miał przy sobie małą latarkę, niezwykle skuteczną, która swobodnie mieściła się w kieszeni kurtki. Powoli szedł wzdłuż brzegu, wiedział, że Benjamin lubił przesiadywać tu nad wodą. Dzisiaj po południu już raz sprawdził całą drogę nad kanałem i nic nie znalazł, tym bardziej absurdalne było szukanie nocą, ale jakieś niesprecyzowane uczucie potęgowało bicie jego serca. Oświetlał brzeg metr po metrze i był coraz bardziej zdenerwowany. Tak jakby za następnym krzakiem siedział Benjamin i mówił: Cześć, tato, ale mi zimno. Co mamy na kolację?

W zaroślach spała kaczka, odleciała, kwacząc, kiedy Peter niemal wszedł na nią. Wzdrygnął się, zgasił latarkę, na chwilę przystanął, wsłuchując się w ciemność, i ruszył szukać dalej.

Teraz w nocy zrobiło się jeszcze zimniej. Peter podciągnął wyżej zamek błyskawiczny pikowanej kurtki, żeby aż po brodę schować w niej szyję. Miejscami na trawie leżała cienka warstwa śniegu, na gołej ziemi pod krzakami i drzewami śnieg stopniał. Peter potknął się, ponieważ nie patrzył pod nogi, a latarka oświetlała przed nim tylko parę metrów terenu.

I wtedy ją zobaczył. Nad samą wodą, za krzakami, całkiem niewidoczną dla każdego, kto szedł drogą. Teczkę, której paski odblaskowe na klapie jaskrawo zaświeciły, kiedy trafił na nie stożek światła latarki. Czerwona teczka szkolna Benny'ego, ozdobiona na bokach wstawkami koloru lila i niebieskiego, z zatraskami, którymi chłopiec bawił się godzinami, kiedy było mu nudno. Gdy tylko dostał teczkę, zaraz pomałował paski przy klapie długopisem. Marianne bardzo się z tego powodu rozżościła, a teraz dziecięce bazgroły sprawiły, że Peterowi łzy napłynęły do oczu. Niedaleko teczki, w prawie zgniłych liściach, leżał piórnik Benjamin, zeszyty, kilka podręczników, pojedyncze kredki i gameboy.

Peter zadrżał z emocji. Skoro była tu jego teczka, więc Benny też musiał tu być. Gdzieś bardzo blisko. Peter zostawił teczkę i resztę rzeczy Benny'ego i poświecił dookoła, przygotowany na to, że pod jakimś krzakiem lub w zaroślach ujrzy leżące ciało swojego dziecka. Czołgał się na czworakach przez gąszcz roślin, podnosił zwisające do ziemi ga-

łęzie i grzebał w zgniłych stosach starych liści, ale nie było tam Benny'ego. Nigdzie.

Kiedy na moment się zatrzymywał, słyszał, jak fale cicho uderzają o brzeg kanału. A w oddali, daleko stąd, szczekał pies. Woda, pomyślał. Ktoś wrzucił go do kanału. Benny jest w kanale. W czarnej wodzie kanału żeglugowego Neukölln, który śmierdział martwymi rybami i ropą.

Peter zmęczył się i przez chwilę siedział nieruchomo na mokrej ziemi. Co ja wyprawiam, pomyślał, przecież o tej porze roku w wodzie jest za zimno. Przycisnęła dłoń do skroni. Z całej siły. Muszę zadzwonić na policję. Muszą przyjechać i szukać Benny'ego w kanale. Muszą sprowadzić płetwonurków. I psy tropiące. Może tylko zaplątał się gdzieś w krzakach.

Peter Wagner powoli wstał. Ledwo mógł wyprostować kolana, tak mu zeszytywniały od siedzenia na zimnie. Chociaż sprawiło mu to ból, postanowił zostawić rzeczy Benjamina leżące w błocie, wiedział, że tak będzie lepiej.

Kiika metrów dalej drogą przechodził mężczyzna. Był ubrany w płaszcz, ale nie miał czapki, szalika ani rękawiczek. Chyba niedawno przekroczył trzydziestkę, miał szczupłą, wysportowaną sylwetkę i falujące włosy. Nie szedł szybko, ale równym rytmem. Kiedy zauważył światło latarki nad brzegiem kanału, na jego ustach pojawił się mimowolny uśmiech. Ach tak, teczka, pomyślał, dopiero teraz znajdują teczkę. Dobrze, że nie zdążyłem podpisać klasówek. Ale to już nieważne. Mój kochany chłopczyk nie ma już problemów. Ani z rodzicami, ani z nauczycielami. W myślach postąpił całusa w stronę ogródków działkowych. Śpij, mój mały książę!

Potem przyśpieszył kroku.

Kiedy Peter Wagner biegł do telefonu, zobaczył czarny cień mężczyzny skręcający w boczną uliczkę. Nie zwrócił na niego uwagi.

Następnego dnia Alfred wstał punktualnie i przeznaczył sporo czasu na ćwiczenia jogi. Wczorajszy dzień zmarnował i chciał to dziś nadrobić. Czuł, że z każdym ćwiczeniem nabiera życia. Oblewała go fala ciepła, czuł się zdrowy i rześki.

Także widok z okna już nie wydawał mu się tak ponury, zwłaszcza że pogoda znacznie się poprawiła. Śnieg przestał padać i koło południa może nawet wyjdzie słońce. Czas na długi spacer, pomyślał Alfred. Spacer nad kanałem.

Wyszedł z domu o pół do dziewiątej. O tej porze nie było jeszcze Wernera. Mógł więc spokojnie wypić poranną kawę „U Piłkarzy”.

Kiedy Alfred wszedł do środka, Karl-Heinz, właściciel „Piłkarzy”, nie zdjął jeszcze krzesel ze stołów i właśnie wycierał bufet.

– Już podchodzę – powiedział na powitanie. – Mam rogaliki, jeśli chcesz.

– Wspaniale. – Alfred zdjął płaszcz.

– Dawno cię nie było – zauważył Karl-Heinz, kładąc dwa rogaliki na talerzu i wyjmując dzbanek z kawą z kawiarki. – Co słychać?

– Nic ciekawego. Dużo roboty.

Karl-Heinz skinął głową.

– Smacznego.

Alfred uwielbiał te rogaliki z delikatnym nadzieniem z budyniu i lukrową polewą. Były doskonałym dodatkiem do kawy.

– Byłeś już nad kanałem? – zapytał Karl-Heinz.

Alfred miał pełne usta i tylko potrząsnął głową.

– Jest tam istne piekło. Płetwonurkowie, policjanci, psy i Bóg wie kto jeszcze. Szukają małego chłopca.

W tym momencie do środka wszedł Werner. Kiedy ujrzał Alfreda, jego twarz rozpromieniła się radością.

– Dzień dobry, Alfredzie, mój przyjacielu! Co za miła niespodzianka!

Alfred chrząknął i zmusił się do uśmiechu.

Werner chwycił barowy stołek i przysunął go jak najbliżej do Alfreda.

– Brakowało mi ciebie, kochany. Koniecznie muszę cię namalować.

Masz trochę czasu?

– Niestety nie – powiedział Alfred i wstał. – Muszę jechać do Getyngi. Moja matka umarła.

– Ach, Boże – mruknął Werner. Był zawiedziony. Karl-Heinz bez słowa podsunął mu kawę.

– Ile? – zapytał Alfred.

– Dwa czterdzieści.

Alfred odliczył dokładną sumę i położył monety wprost na dłoni właściciela. Potem wziął płaszcz.

– Następnym razem, Werner – powiedział przyjaźnie. – Wtedy będziesz mógł mnie namalować. Jeśli zechcesz, to nawet w kolorze.

Werner głośno siorbał kawę.

– Spadaj! – burknął.

– Miłego dnia – powiedział Alfred do Karla-Heinza i wyszedł z knajpy. Teraz, tak czy inaczej, nie wytrzymałby dłużej „U Piłkarzy”, chciał być tam, chciał zobaczyć, co dzieje się nad kanałem.

Karsten Schwiers służył w policji od trzydziestu lat i miał już dosyć swojej pracy, swojego zawodu, a obecnie w ogóle całego życia. Jego żona Heidi przed trzema miesiącami spakowała walizkę, wzięła *beauty-case* i jamniczkę Fritzi i wyprowadziła się do przyjaciółki. W nieregularnych odstępach czasu dzwoniła, zadając obligatoryjne pytanie: „Co słyszą?”, i nie przejawiała najmniejszych oznak tego, że chciałaby wrócić. Na razie Karstenowi było to całkiem obojętne, ale cały czas czuł się przygnębiony.

To wszystko nie miało sensu. Nurkowie cały dzień szukali w kanale małego chłopca, który poprzedniego dnia nie poszedł do szkoły i od tamtej pory przepadł bez śladu. Jego ojciec znalazł w nocy na brzegu jego teczkę. Zdaniem Karstena nie wyglądało to na zbieg okoliczności. Przeprowadził drobiazgową rozmowę z rodzicami, ale nie posunął się ani o krok dalej. Ojciec był nieufny i zamknięty w sobie, widocznie nie miał dobrego zdania o pracy policji. Wziął zwolnienie lekarskie, siedział w domu i przez cały dzień pił. Już w południe nie nadawał się do rozsądnej rozmowy. „Pewnie wiem mniej niż wy – powtarzał. – Nic nie wiem, zupełnie nic. Wiem tylko, że Benny nie uciekłby z domu. Tylko marnujecie czas, wierzcie mi dziurę w brzuchu tymi pytaniami”.

Marianne Wagner od rana leżała w klinice Charité. Miała nowy rzut SM i była załamana nerwowo, zostawiono ją więc w spokoju, tym bardziej że i tak nie zdołałaby udzielić policji jakichkolwiek informacji.

Nadkomisarz Schwiers skończył dziś pracę punktualnie, dopóki Benjamin się nie znajdzie, nie miał zbyt wiele do roboty. Chciał tylko spać. Nawet trzymanie długopisu w dłoni było dużym wysiłkiem.

Powoli szedł do domu. Śnieg, który spadł przed dwoma dniami, już dawno stopniał, zrobiło się jeszcze zimniej, ale przynajmniej nie padało. Pamiętał, żeby głęboko oddychać, ale mieć zamknięte usta. Oby tylko się nie rozchorować, pomyślał. Leczenie grypy w sytuacji, kiedy nie

było przy nim nikogo, kto mógłby go doglądać, wydało mu się czymś strasznym. Dawniej, kiedy leżał w łóżku z gorączką, Heidi gotowała mu rosół lub herbatę, szykowała świeże pizamy i zmieniała pościel, kiedy się spocił. Wietrzyła sypialnię, gdy był w łazience, i przynosiła gazety oraz magazyny do czytania. Była jak dobry duch, który sprawiał, że chorowanie niemal sprawiało mu przyjemność. Kiedy wychodziła z pokoju, zawsze z uśmiechem mówiła: „Zadzwoń, kiedy będziesz czegoś potrzebował”. Było to tak cudowne zdanie, że chętnie znów by je usłyszał, ale już nie wierzył, że tak się kiedykolwiek stanie. Po prostu musiał przyzwyczać się do myśli, że Heidi go zostawiła.

Dzisiaj po raz pierwszy uświadomił sobie, że przy ulicy, którą właśnie szedł, nie rośło ani jedno drzewo. Przeprowadzę się, pomyślał, jeśli Heidi naprawdę nie wróci, przeprowadzę się. Gdziekolwiek, a niech tam, nawet do mniejszego mieszkania, najważniejsze, żeby za oknem rośło drzewo.

Kiedy przechodził obok „Piłkarzy”, pomyślał, czy nie powinien jeszcze raz porozmawiać z właścicielem, ale się rozmyślił i po prostu poszedł dalej. Właściciel potwierdził zeznanie Petera Wagnera, że był w knajpie prawie do północy.

Brzydka historia, zauważył Karsten, i całkowicie nieprawdopodobna. Albo lepiej: niewyobrażalna. Ojciec, który rzekomo zamierzał szukać zaginionego syna, ląduje w knajpie i baluje tam prawie trzy godziny. Dopiero potem przypomina sobie, po co właściwie wyszedł z domu. W całkowitych ciemnościach idzie wzdłuż kanału, pełza na czworakach przez krzaki i znajduje teczkę zaginionego syna?

Policyjne doświadczenie i instykt nadkomisarza policji mówiły mu, że ten ojciec musi mieć coś wspólnego z zaginięciem i śmiercią swojego syna. Ponieważ Karsten był przekonany, że Benny już nie żyje. Czuł to.

W sklepiku z prasą blisko domu kupił „Berliner Morgenpost”, „Sterna” i podwójny baton Marsa. Marzył o gorącej kąpieli, słodkim karmelowo-czekoladowym batonie, a potem już tylko o łóżku. Gdyby mógł jednym ciągiem przespać dwanaście godzin, rano znów byłby w formie.

Przestraszyła go cisza, jak każdego wieczoru, kiedy otwierał drzwi do mieszkania. Fritzi nie wyskakiwała już zza rogu i nie ślizgała się razem z małym afgańskim dywanikiem, żeby rzucić się na niego, podskakiwać z radości i lizać go po rękę. Fritzi nie przynosiła mu już smyczy i nie skamlała o spacer ani nie pochrapywała przed telewizorem, tak że musiał nastawiać go głośniej. Fritzi zniknęła z jego życia razem z Heidi i często zastanawiał się, czy może chociaż pies czasem za nim tęskni.

Kiedy Karsten wszedł do gorącej wody, przestraszył się i z trudem zaczął chwytać powietrze, po czym natychmiast odkręcił kran z zimną wodą. Zanurzył się w jeszcze trochę za gorącej wodzie i zamknął oczy. Co ten delikatny, naiwny, jedenastoletni chłopiec mógł przeskrobać, że ojciec musiał się go pozbyć? Karstenowi pulsowały skronie i miał uczucie, jakby głowa spuchła mu w obwodzie o kilka centymetrów, mimo to myślał intensywnie. Ale odpowiedź na to pytanie przestała jego wyobraźnię.

„Był takim kochanym, grzecznym chłopcem. Miał takie dobre serce” – mówił o Benjaminie ojciec. Już przed trzydziestu laty w szkole policyjnej Karsten nauczył się zwracać baczną uwagę na formę wypowiedzi. Peter Wagner mówił o nim w czasie przeszłym. „Był”, „miał”. A więc w jego myślach Benny już nie żył. A kto mógł to lepiej wiedzieć niż on sam.

Ciało Karstena robiło się coraz cięższe i coraz bardziej wiotkie, ręce zwisały na zewnątrz wanny, głowa przechyliła się na bok.

Ostry dzwonek telefonu przywrócił go do rzeczywistości i uchronił przed zaśnięciem w wannie. Karsten, klnąc, wygramolił się z wody i mokry i nagi niepewnym krokiem poczłapał do przedpokoju. Nie miał zamiaru się wycierać, ponieważ chciał szybko pozbyć się dzwoniącego i natychmiast znowu położyć się w wannie.

– Znaleźliśmy zwłoki dziecka – powiedział bez ceregieli jego kolega Watzki. – W altanie w kolonii Szczęśliwe Chwile, działka dziewiętnasta. Przyjeżdżaj jak najszybciej, to ważne, musisz to zobaczyć. – Watzki rozłączył się, nie czekając na odpowiedź Karstena.

– Szlag by trafił – zaklął Karsten, ostrożnie, żeby się nie poślizgnąć, pobiegł do łazienki, wytarł się niedbale i ubrał. Ubranie kleiło mu

się do ciała. Wsadził do kieszeni baton czekoladowy, a na mokre włosy włożył szarą czapkę zrobioną na drutach, którą znalazł w dolnej szufladzie szafy na ubrania. Od czasu, kiedy ostatni raz miał ją na głowie, a było to wiele lat temu, zżerały ją mole.

Szybko zbiegł po schodach i dopadł swojego dość jeszcze nowego, srebrnoszarego golfa, w nadziei, że chociaż dzisiaj jeden z jego uroczych sąsiadów nie przebił mu opon.

Benjamin siedział wyprostowany przy stole. Jego drobne ciało było wciśnięte pomiędzy krzesło i blat stołu w taki sposób, żeby nie mogło upaść, za plecami była wetknięta poduszka, głowa opierała się o ścianę, oczy były szeroko otwarte, jakby chłopiec jeszcze nie rozumiał, co się z nim stało. Przedramiona leżały na blacie, małe dłonie miał zaciśnięte w pięści i przymocowane taśmą klejącą, żeby nie ześliznęły się ze stołu. Benny był kompletnie ubrany, jego włosy sprawiały wrażenie starannie zaczesanych na czoło.

Jedyny mankament w tym spokojnym obrazie stanowił fakt, że Benny od blisko osiemnastu godzin nie żył.

Stół był nakryty dla dwóch osób, ale naczyń nie użyto.

Policyjny fotograf robił zdjęcia wnętrza altany i ciała, pod każdym kątem i z każdej możliwej perspektywy, z daleka, w zbliżeniu i wreszcie każdy szczegół z najbliższej odległości. Miał uczucie, że jeszcze nigdy w życiu nie robił tak szczegółowej i dokładnej dokumentacji fotograficznej miejsca zbrodni, a było ich już wiele. Od czasu do czasu ocierał pot z czoła, chociaż w domku było straszliwie zimno, mamrotał pod nosem przekleństwa, których nikt nie rozumiał i nikt nie powinien zrozumieć, a które powstrzymywały go przed zaszcyciem się w kącie i wybuchnięciem płaczem.

Koledzy z sekcji zabezpieczania śladów wciąż czekali, aż nadkomisarz Schwiers obejrzy miejsce zbrodni, a fotograf skończy swoją pracę. Nie mogli przedtem zabezpieczyć nakryć na stole, pościeli, ubrania chłopca i wielu innych drobiazków, żeby zabrać je do laboratorium lub dokonać analizy technicznej śladów w miejscu przestępstwa. Na fotografii mogli polegać. Był wytrawnym technikiem, zostało mu tylko kilka lat do emerytury i miał to we krwi, żeby niczego nie dotykać i nie zmieniać. Był też jednym z nielicznych, którzy w pracy nosili taki sam kombinezon ochronny jak funkcjonariusze zabezpieczający ślady.

– Ta drobna niedogodność – wyjaśniał niekiedy – to jedyne, co mogę zrobić, żeby okazać ofierze szacunek.

Karsten Schwiers stał kilka minut przed małym chłopcem i czekał, aż jego wyszkolony policyjny umysł zacznie pracować, ale była w nim tylko nieznośna pustka. Jestem w szoku, pomyślał, ja, stary wyga, jestem w cholernym szoku i przestaję rozumieć świat, ponieważ nie potrafię pojąć motywów działania tego mordercy.

Watzki stał przy oknie, obserwował swojego szefa i czekał.

– Odesłałem nurków – powiedział cicho.

– Oczywiście! – powiedział z sarkazmem Karsten. – To chyba logiczne! Czy do tego też potrzebujesz mojego błogosławieństwa?

Watzki nie wziął mu tego tonu za złe, zbyt długo znał Karstena. Zawsze, kiedy szef miał zmartwienie, robił się nerwowy i niesprawiedliwy. Nawet podczas przesłuchania łatwo przebierał miarę, ale wtedy Watzki zawsze sprowadzał go na ziemię. Godził się na zbieranie bur, godził się z rolę kontrolera wściekającego się starego człowieka, któremu roito się w głowie, że swoją pracą naprawi świat. A teraz, kiedy zbliżał się do szóstego krzyżyka, musiał pogodzić się z myślą, że nic nie osiągnął. Świat stawał się coraz bardziej brutalny, a przede wszystkim coraz bardziej podstępny.

– Kto go znalazł? – krzyknął Schwiers. – Znowu ojciec podczas wieczornego spaceru?

– Rencista – odpowiedział Watzki, starając się mówić spokojnie. – Herbert Klatt. Ma domek na działce numer dwadzieścia trzy. Często robi obchód kolonii, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zauważył, że zniknął szkaradny amorek spod latarni. Leżał na ziemi. Najwidoczniej to nim ktoś zbił szybę. Wtedy Klatt dokładniej przyjrzał się altanie i zauważył uszkodzone okno. Pomyślał, że jak zwykle włamali się bezdomni, którzy chcieli spędzić noc w suchym miejscu, i zaalarmował policję. I wtedy policjanci znaleźli Benjamina.

Karsten skinął głową.

– Do kogo należy domek?

– Do małżeństwa Bliese. Elektryka i jego żony. Oboje są na emeryturze. Mieszkają w Steglitz. Próbowaliśmy się do nich dodzwonić, ale nikt nie odbierał.

Karsten skinął na kolegów z zabezpieczania śladów.

– Możecie zaczynać. Ja już skończyłem.

Wyszedł na zewnątrz. Watzki podążył za nim, ale zachowywał odpowiedni dystans, żeby go nie drażnić swoją obecnością.

W tym momencie w ogrodzie pojawił się patolog. Był spóźniony.

– Gdybym pół godziny temu wiedział, kiedy nastąpił zgon i kiedy chłopiec został zamordowany, już dawno aresztowałbym sprawcę – powiedział Karsten z wyrzutem.

– Niech mi pan da dwie minuty, a powiem panu nazwisko, które ofiara wyszeptała w ostatniej sekundzie życia – skontrował patolog i zniknął we wnętrzu domku.

– Na tym dupku nie za bardzo można polegać – powiedział Karsten do Watzkiego – ale lubię go. Jedźmy teraz do rodziców.

– Myślisz, że to dobry pomysł? Uważam, że identyfikację...

– Tak myślę – odburknął Karsten. – Widziałem zdjęcia. Ten chłopak nie jest taki jak inni. Nigdy nie zapomnę jego twarzy. To dziecko to Bejnamin Wagner.

Kiedy zadzwonił telefon, radiobudzik pokazywał szóstą dwadzieścia. Mareike Koswig jęknęła i przez kilka sekund nie była w stanie zareagować, nawet się poruszyć. Jej przyjaciółka Bettina oplotła ją ramieniem i przyciągnęła do siebie. Bettina nawet w półśnie miała tyle niespodziewanej siły, ile Mareike nabierała dopiero po przysnyciu i dwóch kubkach kawy.

– Nie wstawaj – wyszeptała Bettina. – Zostaw ten przeklęty telefon. Po prostu nie ma cię w domu. Basta.

– Muszę – mruknęła Mareike i spróbowała uwolnić się z kurczowego objęcia i dosięgnąć telefonu, który stał na podłodze obok łóżka.

Dwoma palcami strąciła słuchawkę z widełek i chrząknęła z półmetrowej odległości:

– Słucham?

Bettina przysunęła się bliżej Mareike i starała się usłyszeć głos w aparacie, ale jej się nie udało, ponieważ Mareike, już całkowicie rozbudzona, w mgnieniu oka wyskoczyła z łóżka. Długość sznura umożliwiła jej poruszanie się z aparatem w ręku po całym pokoju.

Miała na sobie krótką, cienką nocną koszulę i co chwila odgarniała długie włosy z czoła.

Bettina oparła głowę na lewej dłoni i przyglądała się Mareike. Zostań ze mną, pomyślała, w przyszłym tygodniu lecimy do Indonezji, nie wykręć mi teraz jakiegoś numeru z pracą, zostań ze mną, bo inaczej zwariuję.

– Jeśli pojedę pociągiem o ósmej, mogłabym być w Berlinie na odprawie o jedenastej – powiedziała Mareike, a Bettina ponownie opadła na łóżko, chwyciła poduszkę Mareike i przycisnęła ją sobie do twarzy, żeby dać wyraz rozpaczki i móc wdychać zapach przyjaciółki. – Oczywiście – ciągnęła Mareike – przywiozę materiały, wszystkie, jakie mam.

Odłożyła słuchawkę i wskoczyła do łóżka do Bettiny, położyła się na niej, odrzuciła poduszkę z jej twarzy i pokryła ją pocałunkami.

– Tak mi przykro, *mia cara*, ale muszę jechać do Berlina. Wymiana informacji. Zamordowano małego chłopca – prawie dokładnie w taki sam sposób, jak przed trzema laty Daniela Dolla. Prawdopodobnie to nie potrwa długo, myślę, że za dwa dni będę z powrotem.

– Umrę bez ciebie. – Bettina spojrzała na Mareike i delikatnie pogładziła ją po włosach.

– Wiem. – Mareike pocałowała Bettinę, długo i namiętnie, a Bettina objęła ją tak mocno, jakby nie chciała jej już nigdy puścić. Ale teraz Mareike była już rozbudzona i uwolniła się bez trudu.

– Nie złość się, skarbie. Wezmę szybki prysznic. Zrobisz kawy?

Mareike wyskoczyła z łóżka i pobiegła do łazienki. Bettina podziwiała jej żywość, którą zachowywała, mimo że zbliżała się do czterdziestki. Miała wrażenie, że gdyby ktoś od niej tego zażądał, Mareike bez trudu wykonałaby salto z brzegu łóżka. Bettina wstała znacznie bardziej ociężała niż jej przyjaciółka, włożyła szlafrok i poszła do kuchni, żeby przygotować śniadanie.

Już dwadzieścia minut później Mareike piła kawę. Czarną, bez mleka i cukru, najlepiej jeszcze wrzącą. Miała na sobie dzinsy, bluzkę i żakiet, była dyskretnie umalowana, trzymała w ustach pierwszego papierosa i smarowała nutellą kromkę razowego chleba.

– Z jednej strony mam nadzieję, że to ten sam morderca – powiedziała Mareike. – Wtedy będziemy mieli o nim sto procent więcej informacji i podwójną szansę na znalezienie miejsca, gdzie mógłby popełnić jakiś błąd. Z drugiej strony mielibyśmy w tym wypadku do czynienia nie z pojedynczym, ale z seryjnym mordercą, przez co sprawa nabrałaby dużo większej wagi.

– I wtedy zostałabyś w Berlinie?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia. Najpierw muszę zobaczyć, jak się sprawa rozwinie i jakimi faktami dysponuje berlińska policja. – Mareike spojrzała na zegarek i jednym haustem dopiła kawę. – Przykro mi. Muszę lecieć.

– Ten przeklęty morderca zabija nasz związek – mruknęła z niezadowolaniem Bettina i wyglądała na śmiertelnie nieszczęśliwą.

– Nie opowiadaj bzdur. – Mareike podeszła do niej i objęła czule. – To może być sprawa mojego życia, Bettino. Nie zapominaj o tym i proszę, nie przysparzaj mi teraz stresów. Wróć tak prędko, jak to możliwe! – Wsunęła rękę pod szlafrok Bettiny i czule pieściła przez chwilę jej lewą pierś. – Będę za tobą bardzo, bardzo tęskniła, skarbie. – Pocałowała ją, a Bettina poddała się pocałunkowi, jakby miał być ostatnim. – *Ciao, bella* – szepnęła Mareike, wzięła torbę i wyszła z kuchni. – Zadzwoń, jak tylko będę coś wiedziała! – zawołała jeszcze z przedpokoju, potem drzwi trzasnęły i Mareike zniknęła.

– *Ciao, bellina* – szepnęła Bettina i nalała sobie następny kubek kawy.

Kiedy pociąg z Getyngi wjeżdżał na Dworzec Zoo w Berlinie, miał siedemnaście minut spóźnienia. Mareike stała już przy drzwiach i zatopiona w myślach wyglądała przez okno, podczas gdy pociąg, dudniąc kołami, powoli mijał ruchliwe ulice, wspaniale odrestaurowane stare budynki, nędzne podwórza i domy handlowe. Miała wrażenie, jakby ją łamano kołem, i bała się, że niedługo będzie musiała skoncentrować się na drobiazgowych faktach i okolicznościach morderstwa popełnionego na dziecku. Prawie przez całą drogę w przedziale babcia próbowała nauczyć swojego wnuka idiotycznego zdania „Król Karol podarował królowej Karolinie korale koloru koralowego”. Mały chłopiec nie mógł sobie z nim poradzić. Ciągłe mamrotał jakieś niemające związku dźwięki, podczas gdy jego babcia nieprzerwanie jak automat powtarzała zdanie. Mareike była bliska obłędu, lecz się nie wtrącała, ponieważ nie chciała prowadzić bezsensownej dyskusji ze starszą panią. Ale cały czas dźwięczał jej w głowie ten okropny łamaniec językowy i długo nie mogła się skupić, aby jeszcze raz przeczytać akta śledztwa w sprawie zamordowania Daniela Dolla i przywołać z pamięci jego szczegóły. Miała wyrzuty sumienia, że nie jest przygotowana w stu procentach.

Tymczasem cały korytarz wypełnił się ludźmi, którzy chcieli wysiąść na Dworcu Zoo. Trzy osoby za Mareike stała babcia ze swoim wnukiem. Kiedy pociąg wjechał na dworzec, Mareike jeszcze słyszała, jak babcia nie dawała za wygraną i dalej dręczyła wnuka tym beznaściejnym zdaniem.

Powierzenie dzieci dziadkom nie zawsze jest dobrym pomysłem, pomyślała wyprowadzona z równowagi Mareike i wysiadła z pociągu. Bettina bardzo pragnęła dziecka i od dwóch lat naprzykrzała się jej prośbami, żeby zaadoptować niemowlę. Mareike nie chciała. Miała wystarczająco dosyć ustawicznych wyrzutów sumienia, że praca nie

pozwała jej poświęcać dostatecznej ilości uwagi Bettinie. Jak mogłaby jeszcze znaleźć czas, żeby opiekować się dzieckiem? Bettina mogła przecież spełnić swoje gorące pragnienie, nie oglądając się na nią. Pracowała na pół etatu jako szkolna sekretarka, popołudnia, soboty i niedziele miała wolne i z całą pewnością nie powinna czuć się przepracowana. Mareike westchnęła w głębi duszy. Kiedyś będą musiały podjąć decyzję.

Na peronie Mareike rozejrzała się dokoła, jakby czegoś szukając. Rzeka ludzi płynęła we wszystkie strony, po kierunku poruszania się masy ludzkiej nie potrafiła się zorientować, gdzie jest wyjście. Toteż bez zastanowienia weszła na schody i wzdrygnęła się, kiedy nagle ktoś do niej powiedział:

– Pani Koswig?

– Tak.

Karsten Schwiers uśmiechnął się uprzejmie i wyciągnął rękę na powitanie.

– Nazywam się Schwiers. Karsten Schwiers. Sprawa Benjamina. Dobrze, że pani jest i że od razu panią znalazłem.

– Nie wiedziałam, że ktoś po mnie wyjdzie.

– Zdecydowałem się spontanicznie. Wyszukałem pani zdjęcie w komputerze... i znalazłem panią! Nie chciałaby pani pójść najpierw na kawę?

– Chętnie. – Mareike w mgnieniu oka się rozluźniła. Karsten Schwiers z miejsca wydał się jej sympatyczny. Typ mruka, starszego tatusia, twardy, ale serdeczny, potrafi burczeć, a także warczeć, z natury leniwy próżniak, który zapracowywał się na śmierć, kiedy boleśnie przeżywał jakąś sprawę. Zobaczymy, czy moje przewidywania się potwierdzą, pomyślała Mareike, mam nadzieję, że jest to przedstawiciel tego gatunku mężczyzn, z którymi najlepiej mi się współpracuje.

Karsten wziął bagaż i obserwował Mareike, jak sprężystym krokiem schodzi po schodach, i również wyrobił sobie zdanie na jej temat na podstawie pierwszego wrażenia. Przed czterdziestką, wysportowana, doświadczona i uzdolniona, raczej zorganizowana. Podoba mi się. Przynajmniej nie ma obawy, że utknie głupim obcasem w każdej

napotkanej na drodze kratce ściekowej. Wygląda na silną i nie nosi okularów. Pewnie dobrze strzela, jest w miarę odważna i na pewno nie da sobie wejść na głowę.

Jeszcze na dworcu poszli do małego barku. Kelnerka natychmiast przyniosła kawę, ale mimo to była tylko ledwie ciepła. Karsten wsypał do swojej filiżanki trzy czubate łyżeczki cukru, co Mareike uznała za szkodliwy nawyk, jednak nie skomentowała tego.

– No to od czego zaczniemy? – zapytał Karsten. – Może pojedźmy do komendy i na podstawie zdjęć z miejsc obu zbrodni zrobimy dokładną listę podobieństw w sposobie działania mordercy?

– Z pewnością powinniśmy to zrobić – powiedziała Mareike. – Ale gdyby to było możliwe, chciałabym najpierw obejrzeć altanę. To mi pomoże lepiej zrozumieć, co tam wtedy zaszło.

– Oczywiście, nie ma problemu, mam klucz. Właściciele i tak chcą sprzedać działkę. Po tym, co się stało z Benjaminem, doszli do wniosku, że nie spędzą już ani chwili w tym ogrodzie, a zwłaszcza w altanie.

– Dobrze ich rozumiem. Co to za ludzie?

– Małżeństwo Bliese. Para niezamożnych emerytów. Zimą spędzają w Steglitz, w małym mieszkanku na parterze, w lecie nie widzą świata poza działką. To ich jedyna możliwość wypoczynku poza domem. Oboje są żwawi i energiczni. – Karsten Schwiers rzucił okiem na bufet. – Zamówię jeszcze bułkę z szynką. Ma pani ochotę?

– Nie, dziękuję. – Mareike potrząsnęła głową. – Jadłam śniadanie.

Próbując ściągnąć wzrokiem kelnerkę, Karsten powiedział:

– Ale proszę opowiedzieć mi coś o Danielu Dollu. W gazetach nie było zbyt wiele.

– Nie, na szczęście. Po pierwsze, dzięki temu możemy być pewni, że nie mamy do czynienia z naśladowcą, gdyby miały zdarzyć się analogiczne przypadki, a po drugie, chcieliśmy, aby opinia publiczna jak najmniej wiedziała o całej sprawie, ponieważ do dzisiaj nie wpadliśmy na żaden konkretny ślad. Nie mamy nawet podejrzanego.

– Niech pani opowiada.

– Kiedy się to wydarzyło, Daniel Doll miał dziesięć lat, siostrę, wtedy w wieku sześciu lat, i młodszego, trzyletniego brata Maxa. Oj-

ciec był kierownikiem małej filii kasy oszczędnościowej w Brunszwiku, matka zajmowała się domem i dziećmi. W 1983 roku, w Niedzielę Wielkanocną, rodzina urządziła sobie piknik w Hahnenmoor, na północ od Müden. Była sałatka z makaronu z parówkami, fanta i cola dla dzieci, piwo dla rodziców. Po jedzeniu ojciec Eberhard uciął sobie drzemkę, mały Max też spał, a matka bawiła się z Sarah lalkami. Daniel oddalił się, żeby rozejrzeć się po okolicy. I już nie wrócił.

– Czy w tę niedzielę było dużo przyjezdnych w Hahnenmoor?

– Kilkoro. Wprawdzie bez trudu dało się znaleźć ustronne miejsce na piknik, ale nie było możliwe, żeby pójść na spacer i nikogo nie spotkać.

– Nie najlepsze warunki do popełnienia morderstwa w biały dzień.

– Nie. I do dzisiaj nie wiemy, czy morderca spotkał swoją ofiarę przypadkiem, czy ją upatrzył, obserwował i na koniec porwał. A jak było z Benjaminem?

Karstenowi udało się wreszcie przywołać kelnerkę i zamówić bułkę z szynką. Mareike zapaliła papierosa.

– Benjamin musiał pójść z mordercą dobrowolnie. Nie całkiem rozumiemy, dlaczego, ponieważ rodzice często go ostrzegali, żeby nie zadawał się z obcymi. Był w Karstadcie w dziale z zabawkami. Tyle wiemy. Potem musiał pójść nad kanał. Ale żeby zawlec małego chłopca na działki wbrew jego woli? To za daleko. Ktoś musiałby to zauważyć. A samochodem nie da się wjechać na teren działek.

– Może znał mordercę?

– Może. – Kelnerka przyniosła kanapkę, a Mareike przyglądała się zmieszana, z jaką łapczywością Karsten ją pochłaniał.

– Widzi pan – kontynuowała – i tutaj mamy pierwszą bardzo ważną różnicę. Daniel został uspijony eterem, a potem przewieziony w bagażniku samochodu. Pod jego paznokciami znaleźliśmy ślady plastiku. Tworzywo sztuczne, jakiego używa się przede wszystkim w japońskich samochodach. Może się obudził i chciał się uwolnić. Nic więcej nie wiemy.

Bułka zniknęła. Karsten starannie wytarł dłonie w serwetkę i wyglądał na bardzo zadowolonego.

– Czterdzieści pięć procent wszystkich seryjnych morderców przy drugim przestępstwie zmienia *modus operandi*, ponieważ rozwijają się i uczą, nie tracąc jednak przy tym indywidualnych cech w działaniu, wprowadzają coś nowego, żeby nie zostawiać indywidualnego podpisu sprawcy. Być może dopiero teraz wpadł na to, żeby najpierw oswajając małe dzieci i namawiać je, aby z nim poszły dobrowolnie.

– Mówi pan już o seryjnym przestępcy? – Mareike była zaskoczona.

– Biorę to pod rozwagę – powiedział Schwiers. – Ale proszę, niech pani mówi dalej!

– Potem sprawca pojechał z Danielem do Seershausen. To ponad czternaście kilometrów. Jest tam kamieniołom, w którym zawsze stoi kilka barakowozów dla robotników. Rzecz jasna w Niedzielę Wielkanocną nie było tam żywej duszy. I w Poniedziałek Wielkanocny też nie. – Mareike wyjęła z torby kilka zdjęć i położyła je na stole przed Karstenem. – To jest kamieniołom, a to tutaj, trochę odsunięte, to barakowóz, w którym znaleźliśmy Daniela. Trup siedział przy stole, na stole stały dwa kubki do kawy, własność robotników, dwa talerze, na talerzu Daniela leżało czekoladowe jajko wielkanocne w kolorowej cynfolii. Nie dał Danielowi czekolady, kiedy ten jeszcze żył, to była wyłącznie inscenizacja. Chciał pozostawić nam harmonijny obraz. Albo chciał, żebyśmy się tylko nieźle pogłowili, nic więcej.

– Taki sam obraz jak w przypadku Benjamina. – Karsten położył pięć marek na stole. – Chodźmy, musimy już jechać.

Mareike wyobraziła sobie ze szczegółami wszystko, co opowiedział jej Karsten. Widziała martwego Daniela Dolla siedzącego w barakowozie, a teraz widzi w wyobraźni Benjamina za stołem w altanie w Neukölln, z wytrzeszczonym, zgaszonym wzrokiem i szeroko otwartymi oczami, które chciały powiedzieć: Dlaczego nie przyszliście wcześniej? Zły mężczyzna miał tyle czasu, żeby mnie zabić, a wy mimo to mnie nie znaleźliście.

Trzymała w ręku zdjęcie Benjamina, śmiejącego się, szczęśliwego dziecka z miękkimi blond lokami i wicherkiem nad prawą stroną czoła. Podobieństwo do Daniela było zdumiewające. Wprawdzie Daniel był o rok młodszy, kiedy został zamordowany, ale miał taką samą delikatną budowę ciała, taką samą jasną cerę i również blond włosy. Chociaż były one gładko i równo przystrzyżone i trochę krótsze niż włosy Benjamina.

Mareike zapamiętała dokładnie wszystko, co widziała w altanie, jakby miała w głowie aparat fotograficzny. Wypłowiła stara tapeta w błękitne fiołki, szydełkowa serweta na blacie kuchennym, wyhaftowana w staromodny wzór poduszka na fotelu. Kilka razy malowane drewniane drzwi i okno tuż nad tapczanem, na którym cierpiał męczarnie Benjamin. Nie potrafiła sobie wyobrazić innego więzienia, w którym okno do wolności było tak blisko. Tani dywan z marketu na zniszczonej zielono-brązowej wykładzinie i kiczowaty obraz z widokiem gór i jeziora w Tyrolu w prymitywnych beżowych ramach, w który Benjamin musiał się wpatrywać godzinami.

– Przedmioty, które badali ludzie z sekcji zabezpieczania śladów, pokażę pani w komendzie – powiedział Karsten. Kiedy już dokładnie objaśnił Mareike, gdzie i jak były usadowione zwłoki Benjamina i gdzie przedtem leżał, w altanie zapanowała uciążliwa cisza.

Mareike znowu pomyślała o Bettinie, której największym pragnieniem było zaadoptowanie dziecka i dlatego już – wbrew woli Mareike

– nawiązała kontakt z kilkoma biurami pośrednictwa. Bettina nie mogła zrozumieć oporu Mareike, ale Bettina jeszcze nigdy nie była na miejscu zbrodni i jeszcze nigdy nie widziała twarzy martwego dziecka, które do ostatniej chwili miało nadzieję, że mama lub tata je odnajdzie i uwolni z rąk mordercy. Gdyby coś takiego przydarzyło się naszemu dziecku, pomyślała Mareike, nie, nie zniosłabym tego. Bettina widziała wyłącznie pozytywne strony adopcji, a Mareike tylko negatywne. Nie potrafiła sobie wyobrazić, że kiedykolwiek dojdą do porozumienia w tej sprawie.

– Niech mi pan coś opowie o przebiegu wydarzeń – powiedziała Mareike ochryłym głosem. Sekcja zabezpieczania śladów już dawno zakończyła pracę, mimo to Mareike włożyła rękawiczki i po kolei otwierała szafki i szuflady, chociaż nie miała większej nadziei, że coś znajdzie.

Karsten obserwował poczynania Mareike i starał się skoncentrować.

– Wczoraj, we wtorek, dwunastego listopada, Benjamin nie wrócił do domu. Poszedł na wagary z powodu dwóch złych stopni w szkole. Jego ojciec Peter Wagner zgłosił zaginięcie chłopca na policji już po południu i zaczął go szukać na własną rękę. Jednak wieczorem spędził kilka godzin w knajpie. Około pierwszej w nocy znalazł teczkę należąca do syna na skarpie kanału żeglugowego w Neukölln, zaledwie kilka minut pieszo od swojego mieszkania. Już następnego dnia rano, gdy tylko zrobiło się widno, nurkowie przeszukali kanał, a policjanci całą okolicę. Wreszcie wczesnym wieczorem, około osiemnastej, emeryt Herbert Klatt przez przypadek znalazł zwłoki. Dwadzieścia osiem godzin po zniknięciu Benjamin. Patolog stwierdził, że Benjamin nie żył już od około siedemnastu godzin. A więc znajdował się w rękach swojego mordercy mniej więcej dwanaście godzin i został zamordowany w nocy z wtorku na środe pomiędzy północą a pierwszą rano. Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jego ojciec znalazł teczkę.

– Mój Boże – jęknęła Mareike. – W przypadku Daniela Dolla było znacznie gorzej. Biedny dzieciak znajdował się w rękach mordercy trzydzieści dwie godziny, robotnicy znaleźli go trzydzieści osiem godzin po zaginięciu. Był wtedy martwy od sześciu godzin.

– Zakładam, że od przedłużania tortur powstrzymały mordercę zła pogoda i wyjątkowo niska jak na listopad temperatura. Gdyby nie było tak cholernie zimno... może znaleźlibyśmy Benjamina jeszcze żywego.

Mareike przytaknęła:

– To możliwe. Kiedy Daniel Doll został zamordowany, było prawie tak ciepło jak w lecie.

Mareike była zadowolona, że mogli już wyjść z altany. Powoli kierowali się do samochodu. Powietrze było mgliste, mętne niemal jak mleko, słońce tylko od czasu do czasu przedzierało się przez chmury. Mareike nagle zatęskniła za cichym biurem, gdzie mogłaby jasno pomyśleć. Atmosfera bezludnych i ponurych w zimie działek, na których zdarzyła się ta tragedia, była trudna do zniesienia.

– A co z ojcem? – zapytała. – Wydaje mi się to trochę dziwne, że tak hulał w knajpie, kiedy zaginął mu syn.

– Mnie też. Wyobraźmy sobie: kilka godzin pije w knajpie, idzie nad kanał, w ciemnościach znajduje teczkę syna i wraca do domu. Czas śmierci Benjamina pokrywa się niemal dokładnie z powrotem ojca do domu.

– Ale jaki mógł mieć motyw, żeby zamordować syna?

– Nie wiem, wiem tylko, że problemy go przerastają. Jego żona jest ciężko chora, czuje, że ciągle za dużo się od niego wymaga, za dużo pije i często kompletnie urywa mu się film.

– To wszystko nie stanowi jeszcze motywu.

– Zgoda. – Karsten westchnął. Przecież dlatego tu jesteś, pomyślał, może wspólnie posuniemy się trochę do przodu. Nie zapominaj o tym.

– A po co ta inscenizacja w altanie? Zgwałcenie? To wszystko nie pasuje do siebie. – Mareike drażyła dalej. – Ojciec, który wpada w szał i dusi swojego syna poduszką, przeważnie sam potem odbiera sobie życie.

– Gdyby to wszystko do siebie pasowało – odpowiedział Karsten zmęczonym głosem – Peter Wagner już dawno siedziałby w areszcie śledczym. Ale na razie siedzi w domu na kanapie i pije do utraty nieprzytomności. W kostnicy przysiągł martwemu synowi, że zabije drania, który to zrobił. A ja uwierzyłem w każde jego słowo.

Mareike głucho przytaknęła. Potem wsiedli do samochodu.

W komendzie Karsten na początek zorganizował dwa kubki kawy i rozłożył przed Mareike zdjęcia z miejsca zbrodni. I wtedy to zauważyła. Jednoznaczny dowód, że chodzi o tego samego sprawcę.

– Prawy górny kieł Benny’ego jest wyrwany. – Nagle poczuła kłujący ból głowy i potarła czoło.

– Tak. Dotąd nie informowaliśmy o tym prasy ani rodziców, prawdopodobnie właśnie dlatego zapomniałem od razu pani o tym powiedzieć.

– *Post mortem?*

Karsten przytaknął.

– Tak, nie ma wątpliwości.

– W takim razie nie mamy tu do czynienia z ojcem nadmiernie przeciążonym problemami, ale rzeczywiście z seryjnym mordercą – stwierdziła głucho Mareike. – Ponieważ Danielowi również wyrwano obcęgami prawy górny kieł. Najwidoczniej morderca przykłada dużą wagę do pamiątek. Małych poręcznych pamiątek, które można łatwo i dyskretnie nosić przy sobie. Drobnych części ciała ofiar, które się nie psują i które pozostają na zawsze. Można powiedzieć: na wieczną pamiątkę.

Karsten przez kilka chwil wpatrywał się w nią wytrącony z równowagi. Potem uderzył otwartą dłoń w blat biurka.

– Jasna cholera – powiedział. – Szlag by to trafił.

– Hahnenmoor pod Brunzswikiem... ogródki działkowe w Berlinie... ten morderca jest mobilny. Nie możemy nawet zakreslić terenu jego działania. – Mareike zapaliła papierosa, chociaż nad drzwiami wisiała ohydna tabliczka „Palenie wzbronione”. – W zasadzie wiemy na pewno tylko jedno: znowu to zrobi. Jeśli go nie złapiemy, ciągle będzie to robił.

Cienkim ołówkiem, prawie go nie naciskając, Alfred narysował na kartce wymyśloną przez siebie toaletę. Chciał, aby splukiwanie odbywało się prawie całkowicie bez użycia wody, i był przekonany, że jego wynalazek – jeśli go dopracuje – będzie się sprzedawał na całym świecie. Niedostatek wody stawał się coraz większym globalnym problemem i kiedyś, być może, już nikt nie będzie mógł sobie pozwolić na splukiwanie toalety czystą wodą pitną.

Jego ręka lekko dotykała bloku rysunkowego, linie były rozwlekłe i niepewne, wykonał pośpieszny szkic swojego pomysłu i to całkowicie mu wystarczyło. Problem stanowiło ciśnienie w spluczce, musiał je znacznie zwiększyć, ale do tego nie wystarczało normalne ciśnienie w systemie doprowadzającym wodę do domów. Powoli zaczął kreślić eksperymentalne rozwiązania, wymyślił dwie włożone jedna w drugą tuleje w kształcie cylindrów i kule, kiedy wyrwało go z transu buczenie lodówki.

Wstał i otworzył ją. Zobaczył słoik z resztką zaschniętej od tygodni musztardy, kawałek goudy w plastikowej folii był całkowicie spleśniały. Termin przydatności do spożycia na jeszcze nieotwartym kartonie mleka upłynął cztery dni temu. Kapary, zielony pieprz i tubka koncentratu pomidorowego miały swoje stałe miejsce na drzwiach lodówki, odkąd wprowadził się do tego mieszkania, szuflady na warzywa nawet jeszcze nie otworzył, tak go przejmowała dreszczem myśl, co w niej zastanie. Obok małego, okrągłego i twardego jak kamień salami leżały dwie butelki jasnego piwa, którego nie wypił, ponieważ nie miał odpowiedniej szklanki.

Alfred wyłączył lodówkę i zostawił otwarte drzwi. Mogę sobie darować zużywanie prądu, pomyślał, jeśli coś jem, to tylko u Milli lub od Turków za rogiem, gdzie czasem kupował owczy ser, pieczywo i zielone oliwki.

Czuł, jak burczy mu w brzuchu, i uzmysłowił sobie, że już dawno nie był u Milli. Chciał się dowiedzieć, co nowego się wydarzyło od momentu znalezienia Benjamina.

Wziął płaszcz i klucze i wyszedł z domu.

Kiedy Alfred dotarł do budki, zauważył, że Milli była zajęta rozmową z jakimś mężczyzną i kobietą. Stał obok.

Milli mrugnęła do niego przyjaźnie i zapytała:

– Jak zawsze?

Alfred przytaknął.

– Jak zawsze.

Milli przekręciła kiełbaski na grillu i ponownie odwróciła się do obojga gości, którzy tylko pili kawę.

– Nie – powiedziała Milli – Benjamin nie było tu we wtorek. Dobrze pamiętam, bo tego dnia panowała taka paskudna pogoda, że w ogóle nikogo tu nie było. A już na pewno nie dzieci. Te od razu odeślabym do domu.

Alfred ze strachu wstrzymał na chwilę oddech. Coś niesamowitego! Stał obok dwojga policjantów, którzy rozpracowywali sprawę morderstwa.

– W ogóle nie widziała pani Benjaminą we wtorek? Może chociaż krótko, kiedy na przykład szedł ulicą... sam... lub w towarzystwie jakiegoś mężczyzny?

– Nie – zaprzeczyła Milli – jestem pewna. Nie widziałam go. Już się nad tym zastanawiałam, kiedy usłyszałam, że zamordowano dziecka. Mój Boże, co to był za słodki bachor. Taki grzeczny i dobrze wychowany. Nie jak te wszystkie łobuzy. Coś takiego. Nie rozumiem.

– Kiedy ostatni raz widziała pani Benjaminą? – zapytał mężczyzna.

– W poniedziałek. Przyszedł po szkole i kupić sobie klopsik. Okropnie je lubił. Ale coś go gryzło. Był bardzo przygnębiony. Co ci jest? Coś przeszkrobałeś, zapytałam, ale nic nie odpowiedział. Ani słowa. Zjadł i jak zwykle powlókł się do domu.

Kobieta wyjęła z torebki mały notes i coś zapisała. I w momencie, kiedy patrzyła w dół, a na twarz opadł jej kosmyk włosów, Alfred nagle zorientował się, kim była.

Chciał odejść, zanim go rozpozna, lecz właśnie wtedy Milli podała mu nad kontuarem kiełbasę.

– Smacznego, Alfredzie – powiedziała, niepotrzebnie wymieniając jego imię.

Alfred czuł, jak zlewa się potem. Gorączkowo się zastanawiał, czy to mogło mieć jakieś znaczenie. Wszystko miało jakieś znaczenie, na świecie nie było przypadków. Ale kobieta nie spojrzała na niego, jeszcze mógł zniknąć, pozostając nierozpoznanym.

Najchętniej po prostu zostawiłby kiełbasę i wyniósł się stamtąd, jednak to za bardzo rzuciłoby się w oczy.

A więc Alfred jadł i pił w rekordowym czasie, podczas gdy Milli złorzeczyła człowiekowi, który mógł zrobić coś takiego małemu chłopcu. Przywołała średniowiecze, kiedy morderców kamienowano, ćwiartowano, rozciągano na kole lub palono na stosie, ale widziała też mordercę Benjamina zamkniętego w lodowatym, wilgotnym i pozbawionym światła lochu i skazanego na powolną głodową śmierć.

– Gdybyśmy mieli karę śmierci – podsumowała zwięźle – coś takiego nigdy by się nie zdarzyło. Mam rację, Alfredzie?

– Całkowicie – odparł Alfred i położył pieniądze na ladzie. – Dziękuję, Milli, śpieszę się.

Uśmiechnął się krótko, podniósł kołnierz płaszcza i odszedł długim szybkim krokiem.

– Kto to był? – zapytała Mareike, ponieważ twarz Alfreda wydała jej się skądś znajoma.

– Alfred Fischer – odpowiedziała Milli. – Miły człowiek. Bardzo uprzejmy i przyzwoity. I inteligentny.

Mareike kiwnęła głową i odrzuciła myśl, jaka przez chwilę kołatała jej w głowie. Że twarz mężczyzny przypominała jej chłopaka, ale ten nazywał się Alfred Heinrich. Z pewnością nie Alfred Fischer. Była tego całkowicie pewna, toteż jego obraz szybko wyleciał jej z pamięci.

Alfred poszedł prosto do domu, żeby się spakować. Mareike Koswig. Teraz przypomniawszy sobie to nazwisko. Mareike była wszystkiemu winna. W końcu to ona była winna wielu rzeczy, które go spotkały. A ryzyko, że jeszcze ją spotka, było za duże. Dlatego będzie lepiej, jeśli wyjedzie z miasta.

Bovenden, czerwiec 1970

Nawet teraz, po dziesiątej, wieczorne powietrze było jeszcze tak ciepłe, że Martina Bergmann jechała swoim nowiutkim zielonym garbusem z otwartym oknem. Czuła się bardzo szczęśliwa. Dzisiaj były jej dwudzieste pierwsze urodziny i świętowała je z rodzicami, bratem Pauliem, ciotką Tilli i dziadkami. Całe popołudnie siedzieli na tarasie i rozkoszowali się pięknym letnim dniem. Co za szczęśliwy traf. Martina pamiętała wiele zepsutych przez deszcz urodzin, kiedy była jeszcze dzieckiem.

Przed pół rokiem wyprowadziła się z domu, dostała pracę pielęgniarki na oddziale dziecięcym w klinice w Getyndze i zarabiała pierwsze własne pieniądze. Garbusa dostała od rodziców w prezencie na urodziny i aż się paliła, żeby odwieźć do domu ciotkę Tilli, która mieszkała w Northeim, i wypróbować nowy samochód.

Od kilku minut jechała autostradą A7 i była coraz bardziej odprężona, ponieważ samochód jechał cicho i lekko, a ona czuła się pewnie za kierownicą i cudownie wolna.

– Jeśli chcesz, możesz u mnie przenocować – powiedziała Tilli. – Nie musiałabyś jeszcze dziś wracać do Getyngi.

– Dziękuję, Tilli, to miło z twojej strony – odparła Martina. – Ale jestem szczęśliwa, że mogę jeszcze trochę się przejechać. To takie cudowne. Zawsze marzyłam o takim samochodzie. Jeździ po prostu wspaniale i teraz nie będę już miała żadnych kłopotów z zakupami. Nigdy bym nie przypuszczała, że rodzice szarpną się na taki obłędny prezent!

– Dlaczego nie? – Tilli się uśmiechnęła. – Inni dostają samochody już z okazji matury, a ty dopiero na dwudzieste pierwsze urodziny. Jak

to się mówi, na nową drogę życia. – Tilli miała miły ciepły głos. Była o dwa lata starsza od matki Martiny, ale wyglądała o ładnych parę lat młodziej. Prawdopodobnie to sprawa uczesania, pomyślała Martina, w którym jest jej wyjątkowo do twarzy.

Patrzyła na ciotkę z boku i nie zauważyła kamienia, który leciał prosto na nią i w tej samej chwili roztrzaskał przednią szybę.

Martina ostro skręciła kierownicą, samochodem zaczęło zarzucać, rozpaczliwym gestem wcisnęła hamulec, uderzyła lewym bokiem auta w barierkę ochronną; rykoszetem rzuciło nim w prawo, w końcu ześlizgnął się do lekko spadzistego rowu i stanął. Głowa ciotki Tilli była teraz papkowatą zakrwawioną masą, w której nie dało się rozpoznać twarzy. Na tylnej kanapie leżał ogromny polny kamień. Martina Bergmann opadła na kierownicę i straciła przytomność. Była dwudziesta druga trzydzieści pięć.

Wszyscy trzej jak zahipnotyzowani patrzyli z estakady w dół.

– Mylisz się – powiedział Thorsten – jeden trafiliśmy.

– Chodźcie, lepiej się zmywajmy – powiedział Alfred.

– Dlaczego? – Thorstenowi w ogóle się nie śpieszyło. – Najpierw chcę zobaczyć, co oni teraz robią. Jeśli od razu uciekniemy, nie będziemy mieli żadnej frajdy.

– Ale jeśli będziemy tu tak stali, to nas złapią! – Alfred powoli zaczynał się bać.

– Najpierw rzucasz kamieniem i zgrywasz bohatera, a potem nagle bierzesz nogi za pas? Co z tobą? – Thorsten obserwował zafascynowany, jak jakiś samochód zatrzymuje się na miejscu wypadku.

– No, chodźmy wreszcie. W garbusie siedziały dwie osoby. Jedną trafiłeś prosto w pysk. Masz oko, Freddy.

Alfred już nie wiedział, co powinien zrobić, chciał tylko uciec.

– Człowieku, nic nie rozumiesz. Thorsten, musimy zwiewać!

– Ach, co tam. – Thorsten przecząco pokręcił głową. – Najpierw musieliby nam coś udowodnić. Chyba jeszcze wolno patrzeć.

Bernie nagle zgiął się wpool i zwymiotował. Kiedy znowu podniósł głowę, jego twarz była cała zielona.

– Nie chcę mieć z tym głównym nic wspólnego, zmywam się. – Ledwie mógł mówić i tylko jęczał. Potem odwrócił się i chciał uciec, ale Thorsten był szybszy i złapał go za kurtkę.

– Przestań bredzić, ty tchórze. Wymyśliliśmy to całe przedstawienie i teraz chcemy wszystko obejrzeć. A może sam chcesz się przekonać, jak to jest spaść z mostu?

Tymczasem na miejscu wypadku zatrzymał się jeszcze jeden samochód. Jakiś mężczyzna próbował wyciągnąć Martinę z samochodu. Ktoś z drugiego samochodu pobiegł, żeby ustawić trójkąt ostrzegawczy.

– Zejdźmy na dół – zaproponował Alfred. – Zaraz zbierze się tu tłum gapiów. Między nimi nie zwrócimy na siebie uwagi. I będziemy mogli zobaczyć, co się dzieje.

Bernie przytaknął bezsilnie.

– Okay – powiedział Thorsten – schodzimy.

Kiedy Alfred, Thorsten i Bernie przyszli na miejscu wypadku, prawie jednocześnie przyjechały policja i karetka pogotowia. Zatrzymały się następne samochody, gapie zbierali się wokół zielonego garbusa, helikopter ratowniczy zażądał, żeby policja zamknęła autostradę, i utworzył się korek. Kiedy stało się jasne, że w ciągu najbliższej półgodziny dalsza jazda nie będzie możliwa, wokół rozbitego samochodu zgromadziło się jeszcze więcej gapiów, którzy i tak musieli czekać w swoich pojazdach.

Panowało straszne zamieszanie, policja powstrzymywała ciekawskich i miała przy tym pełne ręce roboty.

Alfredowi udało się zajrzeć do wnętrza garbusa i zobaczył tę bryłę mięsa, krwi i drzazg kostnych, tę zakrwawioną masę z lepкими jasnymi włosami, która kiedyś była głową.

Wszedł w krzaki, żeby zwymiotować jak Bernie, i poczuł się tak podle, jak jeszcze nigdy w życiu. Próbował sobie wyobrazić, co powiedziałby na to Rolf, ale nic nie przychodziło mu do głowy. Żaden głos ani nawet żadna myśl.

– Co tu się stało? – Thorsten zapytał zuchwale stojących dookoła, lecz nie otrzymał odpowiedzi.

Niedługo później przyjechał karawan. Szczątki Tilli włożono do trumny i samochód odjechał. Martina została przetransportowana śmigłowcem do szpitala uniwersyteckiego, kamień skonfiskowała policja. Zielonego garbusa laweta zabierze z samego rana. Nadawał się już tylko na złom.

Thorsten i Bernie zostali jeszcze na miejscu wypadku. Nie mogli się nadziwić, że jeden zwykły kamień może spowodować coś takiego.

Alfred uciekł. Całkiem niepostrzeżenie. Pieszko. Nie był teraz w stanie jeszcze raz spać na krótko skradzionego forda, którego zostawili na bocznej drodze niedaleko wiaduktu, i razem z innymi pojechać do domu. Niech Thorsten sam sobie z tym radzi. Jednak Thorsten zawsze uważał siebie za technicznego idiotę, i dlatego zostawiał te sprawy innym. A Bernie na pewno jeszcze nigdy tego nie robił. Ale co go teraz interesowali inni. Jakoś sobie poradzą. W razie konieczności będą musieli iść pieszo, chociaż było to niebezpieczne. Mogliby zwrócić uwagę przejeżdżających kierowców.

Alfred był zły na siebie. Po co łamać sobie głowę Thorstenem i Berniem, miał przecież dość własnych problemów.

Prawie jedenaście kilometrów marszu, które go czekało, wcale mu nie przeszkadzało, w końcu miał na to całą noc. Ważne było tylko to, żeby zjawić się w domu na śniadanie, żeby matka nie zadawała głupich pytań.

Ciepłe południowe słońce było mylące. Teraz w nocy zrobiło się dotkliwie zimno, nieprzyjemny, porywisty wiatr pędził niepokonane nad rozległymi polami. Alfred miał na sobie tylko T-shirt i skórzaną kurtkę, której nie zapiął, chociaż drżał na całym ciele. Zabił kobietę, cholera, tak po prostu, całkiem bezmyślnie, dla żartu, tylko po to, żeby zaimponować kumplom. Chciał cofnąć czas, tylko o dwadzieścia cztery godziny, tyle by wystarczyło i wtedy wszystko byłoby po staremu. Nagle to „po staremu” stało się najbardziej upragnioną sytuacją.

Wiatr rozgonił chmury i nagle w prześwicie pojawił się półksiężyc. Alfred nie wiedział, czy jest malejący, czy rosnący, w gruncie rzeczy wcale go to nie interesowało, ale Rolf by wiedział. Rolf interesował się wszystkim, dlatego prawie na wszystko miał gotową odpowiedź. Może

gdyby był ktoś, kogo mógłby kochać, ktoś taki jak Rolf, to wówczas wszystko potoczyłoby się inaczej.

Teraz szedł do domu, do matki i siostr, które były mu serdecznie obojętne, i dalej będzie kłamał, żeby się nie dowiedziały, co się stało. Chciał bowiem uniknąć ich spojrzeń, pełnych nie tylko obojętności, ale i pogardy.

Czuł, że dotkliwie odczuwa brak ojca, tego pana Nieznanego, który go spłodził, a potem tak po prostu całkiem bez powodu umarł.

Dotarł do domu o drugiej. Zziębnięty i całkowicie wyczerpany. W domu było ciemno. Wydawało się, że nikt nie zauważył jego nieobecności, nikt się tym nie kłopotał. Zwykle było nie do pomyślenia, żeby matka nawet nie sprawdziła w nocy, czy jest w domu, czy nie.

Najciszej, jak tylko mógł, wszedł po wąskich schodach do swojego pokoju i położył się – tak jak stał – na łóżku. Chociaż był zmęczony jak pies, nie mógł zasnąć. Oddałby wszystko, żeby można było cofnąć to, co się stało.

Po skończeniu szkoły Mareike Koswig już trzeci rok służyła w policji. Od dwóch miesięcy jeździła na patrole ze swoim kolegą Holgerem Meise. Łagodzili kłótnie rodzinne, odwozili pijaków do izby wytrzeźwień oraz sporządzali protokoły szkód powypadkowych. Mareike widziała już kilka ciężkich wypadków, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Już nigdy nie uwolni się od widoku zmiażdżonej głowy Tilli, zawsze będzie go miała przed oczami. Mareike zrobiła zdjęcia z miejsca wypadku, które jeszcze tej samej nocy zostały wywołane.

O trzeciej dwadzieścia zatrzymali pijanego kierowcę, który miał we krwi 2,8 promila i jechał pod prąd, nie zdając sobie z tego sprawy. O czwartej piętnaście wrócili na komisariat. Rozłożyli przed sobą wywołane zdjęcia. Mareike kilka razy sfotografowała Tilli. Ze wszystkich stron. Pozornie niewiele się namyślając, wielokrotnie naciskała migawkę. Widziała w tym jedyną szansę, żeby przezwyciężyć lęk.

Na jednym ze zdjęć widać było twarz chłopca, który z ogromnym przerażeniem przyglądał się przez szybę ofiarom. Miał ciemne, lekko falujące włosy i wydatne kości policzkowe. Mareike sfotografowała Tilli z profilu i flesz oświetlił twarz chłopaka.

– Co o tym myślisz? – podsunęła zdjęcie Holgerowi pod nos.
– No... tak, ktoś patrzy przez szybę. Nie był tam jedynym gapiem.
– Przypatrz mu się dokładnie! Ma czternaście, może piętnaście, najwyżej szesnaście lat!

– I co? – Holger nie wiedział, do czego zmierzała.

Mareike wstała i przyniosła sobie kubek z kawą ze stolika pod ścianą, na którym stała cicho bulgocząca kawiarka. Z pewnością była to już jej siódma kawa tej nocy.

– Co taki chłopak robi na autostradzie o pół do jedenastej w nocy? Możesz mi to wytłumaczyć? Wszystkie pobliskie miejscowości są oddalone od tamtego miejsca o wiele kilometrów.

– Wielkie rzeczy. – Holger nie widział tego tak dramatycznie. – Może stał z rodzicami w korku i cała kochana rodzinka zapragnęła zobaczyć, co się stało?

– Rodzice z niedorostkiem nie wysiadają z samochodu, żeby obejrzeć sobie zabitych, zmasakrowanych ludzi! Nigdy! Wołają, żeby ich syn nie oglądał na własne oczy okrucieństwa i przemocy. Nie, Holger, powiem ci, co robi w nocy piętnastolatek na autostradzie: rzuca kamieniami z estakady!

Holger wyglądał, jakby dopiero teraz się obudził. Nagle zaczął się zastanawiać.

– Może masz rację.

– Musimy spróbować go znaleźć. Zdjęcie nie jest złe.

– Dobra. – Holger podszedł do wiszącej na ścianie mapy. – Tu był wypadek. Z tej estakady poleciał kamień. – Zaznaczył miejsce czerwoną szpilką. – Chłopaki z kryminalnej powinni dotrzeć do każdej szkoły w promieniu trzydziestu kilometrów. Gdzieś muszą go rozpoznać.

– Też tak myślę. Roześlę zdjęcia i dołączę krótki raport.

Holger skinął głową, a Mareike usiadła za swoim biurkiem. Była z siebie bardzo zadowolona.

Już dwa dni później policjanci z sekcji kryminalnej zidentyfikowali twarz ze zdjęcia. Wiedzieli, że chłopak nazywa się Alfred Heinrich i chodzi do dziewiątej klasy gimnazjum imienia Kurta Tucholsky'ego.

Dwudziestego trzeciego czerwca o piętnastej trzydzieści dwaj detektywi z sekcji kryminalnej i Mareike Koswig stanęli przed drzwiami domu Heinrichów. Mareike właściwie powinna teraz spać, ponieważ przez cały tydzień miała nocną zmianę, ale ten wypadek zainteresował ją tak bardzo, że ważniejsze dla niej było towarzyszenie policjantom. Już od jakiegoś czasu zresztą zastanawiała się, czy wcześniej lub później nie przenieść się do sekcji kryminalnej.

– Policja, sekcja kryminalna z Getyngi – powiedział Weiland, starszy z detektywów. – Czy pani syn jest w domu?

Edith bez słowa skinęła głową. Zmarszczyła czoło i wyglądała, jakby w ciągu następnych pięciu minut spodziewała się swojej egzekucji.

– To dobrze – powiedział Weiland. – Chcemy zadać mu kilka pytań, a ponieważ nie jest pełnoletni, konieczna będzie przy tym pani obecność.

Edith ponownie skinęła głową i szeroko otworzyła drzwi na znak, że troje policjantów może wejść do środka.

Kilka minut później siedzieli naprzeciw siebie w kuchni. Alfred z emocji dostał na twarzy jaskrawych wypieków i nie mógł nic na to poradzić.

– Gdzie byłeś przedwczoraj w nocy, tak między dziesiątą a jedenastą? – zapytał Kölling, młodszy z detektywów.

– W domu. A gdzie miałbym być? Mieszkam tu. – Alfred starał się uderzyć w beczelny, beztroski ton, co nieszczególnie spodobało się policjantom.

– Zdarza się, że młodzi ludzie wychodzą czasem wieczorami z domu. Do przyjaciół, do pubu lub dyskoteki.

Alfred potrząsnął głową.

– Byłem tutaj.

– I co robiłeś cały wieczór? – zapytał Weiland.

– Uczyłem się słówek do tej cholernej szkoły. Angielskich. Wczoraj mieliśmy klasówkę.

– I co? Jak ci poszło? – zapytała Mareike przyjaźnie.

– Syf. Zawaliłem w stu procentach.

– W takim razie niezbyt pilnie się uczyłeś – sucho stwierdził Kölling.

– Wcale nie. Tylko że były zupełnie inne tematy. Nie te, które znałem.

Wyraz twarzy Weilanda wyraźnie wskazywał: nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Odwrócił się do matki Alfreda.

– Czy może pani potwierdzić, że dwudziestego pierwszego czerwca syn był przez cały wieczór w domu?

Edith zawahała się i potarła czoło, jakby musiała się głęboko zastanowić.

– Nie wiem. Mógł być, a mogło go też nie być. Wychodzi, kiedy chce, przychodzi, kiedy chce, robi, co chce. Nie wtrącam się do tego. Jest dostatecznie dorosły. Gdybym go kontrolowała od rana do wieczora, musiałabym poświęcić na to całe życie. A mam – dzięki Bogu – co innego do roboty.

Mamo, pomyślał Alfred, na Boga, mamo, czy nie możesz chociaż raz mi pomóc? Jeden jedyny raz? Czy jest ci zupełnie obojętne, co się teraz ze mną stanie?

– Chciałbym porozmawiać z pani mężem – powiedział Weiland do Edith.

– Nie żyje. Od narodzin Alfreda. – Jej głos zabrzmiał gorzko.

Weiland zamilkł. Przesłuchanie przejął teraz Kölling i zwrócił się do Alfreda:

– Co robiłeś w poniedziałek wieczorem o dwudziestej drugiej trzydzięci na autostradzie A siedem, kiedy wydarzył się tam tragiczny wypadek? Bo przecież widziałeś wypadek?

Alfred przez chwilę nie wiedział, co teraz powiedzieć, jak zareagować, ale wtedy Weiland położył przed nim fotografię. Zmiażdżoną głowę Tilli i jego twarz w tle.

– To chyba ty, prawda?

Alfred bez słowa spuścił głowę. Nie miał już wymówki.

Ton głosu Köllinga stał się bardziej ostry.

– Czego tam szukałeś?

Alfred wzruszył ramionami.

– Niczego. Przejeżdżaliśmy tamtędy, ja i kilku kumpli, zobaczyliśmy wypadek i zatrzymaliśmy się. Chcieliśmy zobaczyć, co się stało.

– Jakim samochodem jechaliście?

– Jednego z moich kumpli.

Weiland otworzył notes.

– Nazwisko? Adres? Marka samochodu? Numer rejestracyjny?

Alfred coraz bardziej spuszczał z tonu.

– Nie wydam nikogo.

Kölling roześmiał się szyderczo.

– Skoro nic nie przeskrobałeś, to przecież jasne, że nikogo nie wydasz. No chyba że masz coś na sumieniu. A więc, jak to było?

Alfred zrozumiał, że popełnił błąd, i odważył się zrobić krok do przodu.

– Okay, ukradliśmy samochód. Ale tylko tak, żeby się przejechać. Chcieliśmy go potem odstawić z powrotem.

Edith oddychała głęboko, cicho pogwizdując przez szparę między górnymi przednimi zębami.

– I co? Zwróciliście go?

– Nie wiem.

– Jak to nie wiesz?

– Poszedłem do domu.

– Co? – Teraz wpadła mu w słowo Mareike, ponieważ dobrze znała tę okolicę. – Z miejsca wypadku do twojego domu, a więc z Nörten-Hardenberg do Bovenden, jest mniej więcej jednaście kilometrów! Dlaczego szedłeś pieszo?

– Nie wiem. Tak sobie. Inni działali mi na nerwy. – Wyraźnie czuł, że to przesłuchanie go przerosło.

– Ilu was było? – zapytał Kölling.

– Trzech.

– Jak nazywają się pozostali?

– Nie powiem.

– Okay. W takim razie wszystko pójdzie na twój rachunek. Skoro tak wolisz, to proszę bardzo. Pokłóciliście się tego wieczoru?

Alfred potrząsnął głową. Gdyby potwierdził, musiałby wyjaśnić dlaczego, a mimo najszczerzej chęci nic nie przychodziło mu na myśl. Miał w głowie kompletną pustkę i uczucie, że spartolił wszystko, co tylko można było spartolić.

– Dobrze. W takim razie wracajmy do tematu – powiedział Weiland. – A więc, kiedy się spotkaliście?

– Tak około siódmej.

– Gdzie?

– Tutaj we wsi. W klubie młodzieży.

– I co potem robiliście?

– Nic. Gadaliśmy. Piliśmy piwo.

– Gdzie?

– Przy fontannie. Była ładna pogoda.

– A potem?

– Potem ukradliśmy samochód.

– Gdzie?

– Z działki przy przejeździe kolejowym. Ludzie nic nie zauważyli.

Pewnie oglądali telewizję.

– Co to był za samochód?

– Ford.

– Jaki kolor?

– Ciemny, brudnoczerwony.

Edith przerwała wypytywanie.

– Mam jeszcze coś do zrobienia na dworze.

– Przykro mi, pani Heinrich, to musi poczekać – powiedział

Kölling i Weiland pytał dalej:

– Co robiliście potem?

– Zrobiliśmy sobie przejażdżkę.

– Gdzie?

– Przed siebie. Po okolicy. Nie mam pojęcia.

– Kto prowadził?

– Ja.

Edith westchnęła.

– Od kiedy masz prawo jazdy?

- Już dawno.
- Gdzie zatrzymaliście samochód, kiedy zobaczyliście wypadek?
- Na bocznej drodze. Przy krawężniku.
- I potem przebiegliście estakadą na drugą stronę i zesłiście na miejsce wypadku?

Alfred przytaknął.

Mareike przerwała detektywom:

- Dobrze znam to miejsce. Z bocznej drogi nie widać autostrady. Stamtąd chłopaki nie mogli zauważyć wypadku. Dopiero z estakady wszystko widać.

Weiland nachylił się do przodu i spojrzał Alfredowi prosto w oczy, co nie było dla chłopaka zbyt przyjemne.

- W takim razie dlaczego zatrzymaliście się właśnie tam? Możesz mi to wyjaśnić?

Alfred zmienił pozycję i podrapał się po plecach, żeby zyskać na czasie.

- Usłyszeliśmy syrenę policyjną i dlatego się zatrzymaliśmy.

Kölling szyderczo wyszczerzył zęby.

- Jeśli człowiek siedzi w kradzionym samochodzie, to kiedy usłyszy policyjną syrenę, chyba raczej ucieka?

Alfred wzruszył ramionami. Ta wymówka również nie miała większego sensu.

Weiland zatarł ręce.

- Historia robi się coraz barwniejsza. A więc zatrzymaliście się, ponieważ usłyszeliście radiowóz, byliście ciekawi i pobiegliście na estakadę, zobaczyliście wypadek, dokładnie przyjrzełiście się wszystkiemu, a potem nie wróciliście do domu lub najbliższego pubu czy gdziekolwiek indziej skradzionym samochodem, którym dzięki Bogu nikt się nie zainteresował, tylko jeden z was, mianowicie ty, maszerował pieszo jedenaście kilometrów do domu. Chociaż wcale się nie pokłóciliście. Nie kapuję tego, Alfredzie. I nie opowiadaj mi, że miałeś ochotę na spacer. Nie uwierzę w to.

Alfred milczał. Czuł się zapędzony w kozi róg.

Weiland był prawie u celu.

– Powiem ci, jak to było: kręciliście się po okolicy skradzionym samochodem, bez celu, a to szybko robi się nudne. Wtedy wpadł wam do głowy pomysł, żeby rzucić parę kamieni z estakady. Słyszeliście, że tak się robi, i chcieliście spróbować. W ciemnościach nikogo nie widzieliście. Nie chcieliście nikomu nic zrobić, chcieliście tylko trochę postraszyć kierowców, po prostu zobaczyć, co się stanie. Świetny pomysł, wreszcie coś się dzieje. Prawdopodobnie chcesz innym zaimponować, prawdopodobnie po prostu nie zastanawiasz się, jakie mogą być konsekwencje, w każdym razie rzucasz pierwszy kamień, ten trafia w przednią szybę garbusa i dzieje się coś strasznego. Samochód zarzuca i ląduje w rowie. Wszyscy dostajecie cholernego pietra i zbiegacie, żeby zobaczyć, co się naprawdę wydarzyło. Patrzysz przez szybę i widzisz, co narobiłeś. Nagle pojmujesz, że zabiłeś kobietę, i uciekasz. Po prostu biegniesz przed siebie. Jesteś w szoku i biegniesz do domu. Zostawiasz kumpli i samochód. Czy tak było?

W kuchni Heinrichów panowała cisza. Nikt nie powiedział słowa. Wtedy Edith już nie wytrzymała.

– Zrobiłeś to, Alfred? Powiedz, co ci strzeliło do głowy? Czy odebrało ci do reszty rozum?

Alfred zdał sobie sprawę, że to już koniec. Był w porządnym tarapatkach, nie miał już żadnej wymówki i żadnego wyjścia z tej sytuacji. I to doprowadzało go do wściekłości. Czuł, że policzki płoną mu ze złości i miał niepohamowaną chęć, aby w tej przeklętej kuchni rozbić wszystko w drobny mak. Ale nie robił tego, patrzył tylko na matkę, która bez trudu wytrzymywała jego nienawistny wzrok.

Dlaczego nie stajesz po mojej stronie, pomyślał i zacisnął wargi, żeby nie krzyknąć. Mam nadzieję, że nigdy nie będziesz potrzebowała mojej pomocy, mamo. Lepiej nie zdawaj się na mnie, mamo, już nigdy!

Troje policjantów wstało.

– Pani Heinrich, musimy zabrać syna – oznajmiła Mareike.

Edith skinęła głową. Kiedy Alfred szedł do drzwi z policjantami, powiedziała do Mareike:

– Jego wody płodowe były zielone. Zielone i trujące. Zawsze wiedziałam, że coś z nim jest nie w porządku.

Policjanci nie odpowiedzieli i wyprowadzili Alfreda z domu. Alfred uśmiechał się szyderczo. Zielone zatrute wody płodowe. Tylko brzuch czarownicy mógł się czymś takim wypełnić. Matka chciała go otruć, a on to przeżył. Był więc kimś wyjątkowym. I fakt ten przemówił do niego z jeszcze większą jaskrawością niż przedtem.

Na Dworcu Zoo hulał wiatr i było zimno. Alfred powoli szedł po peronie. Następny pociąg do Brunszwiku powinien przybyć o czternastej piętnaście, teraz była trzynasta trzydzieści dwie. Miał czterdzieści trzy minuty, ale nie kupił biletu w okienku. Nienawidził stania jak petent w kolejce, kiedy osoba za nim wpatruje mu się w plecy. Nie chciał czuć oddechu na karku i w żadnym razie nie życzył sobie być przypadkowo dotykany. Niedający się uniknąć ścisk w kolejce zбивał go z tropu i denerwował.

Cały swój dobytek upchnął w dwóch torbach: w skórzanej, do przewieszania, która była bardzo ciężka i głęboko wrzynała mu się w ramię, oraz w niebieskozielonej sportowej torbie z plastiku, której nieporęczny pękaty kształt utrudniał mu chodzenie, co doprowadzało go do wściekłości. Kilka minut bił się z myślami, czy po prostu nie zostawić obu toreb na peronie, żeby nie wozic ich ze sobą. Wtedy byłby wreszcie wolny. Nawet zredukowany do dwóch toreb dobytek wydawał mu się przykrym balastem. Szybko odrzucił tę myśl. Tam, gdzie się wybierał, potrzebował kilku rzeczy, które były niezbędne do przeżycia: zapalek, świec, noża, latarki i kilku innych przedmiotów.

Alfred jeszcze raz zszedł z peronu i powłókł się ze swoim bagażem schodami w dół do hali dworcowej. W jednym z dworcowych barów kupił hot doga z musztardą i kawę. Zgrzyt pociągów świdrował w uszach nawet tutaj. Nie można było zrozumieć zapowiedzi, które bez przerwy skrzeczały z głośników. Jeśli ktoś jest zdany tylko na nie, lepiej niech od razu wraca do domu, pomyślał Alfred. A obcokrajowiec w ogóle nie ma szans.

Z kosza na śmieci, który stał tuż obok niego, wydobywał się smród gnijących resztek mięsa, i Alfred przeszedł do innego barowego stolika, ponieważ natychmiast zrobiło mu się niedobrze.

Jeszcze trzydzieści pięć minut.

Brunszwik. Dziwnym trafem ucieszył się, że jedzie do Brunszwiku. Trzy lata mieszkał tam z Grete. Z Margarete Fischer, swoją wciąż jeszcze żoną i matką jego syna Jima.

Był przepiękny letni dzień na początku czerwca sześć lat temu, kiedy podczas joggingu pierwszy raz spotkał Grete. Nocami sprzątał biurowiec i zanim położył się spać, lubił jeszcze rano przebiec kilka kilometrów. Wysportowana kobieta, znacznie starsza od niego, lekkim krokiem pokonywała ten sam dystans co on i wytrzymywała jego tempo. Biegali tak obok siebie, jakby bez wysiłku. Zaprosił ją na kawę. Już podczas pierwszego spotkania dowiedział się, że ma trzydzieści sześć lat i jedenastoletniego syna, Toma, z którym mieszka sama. Ojciec dziecka zostawił ją, kiedy Tom miał dwa lata. Bez powodu, bez słowa wyjaśnienia – po prostu pewnego dnia wyszedł z domu i nigdy więcej się nie pokazał ani nie odezwał. Nie miała jego numeru telefonu, adresu, nie wiedziała nawet, czy jeszcze żyje.

Alfred uznał za fascynujące to, że w naszym cywilizowanym świecie człowiek może tak po prostu rozpuścić się w powietrzu, ale nie powiedział jej tego. Bał się, że ją zrani.

Margarete oznajmiła mu, że pracuje w księgarni i jest bardzo zadowolona ze swojej pracy. Ponieważ dużo czyta, dla równowagi potrzebny jej jest jogging.

Kiedy zapytała go, czym się zajmuje, powiedział, że studiuje ekonomię polityczną na trzecim semestrze. Ma niewiele pieniędzy, małe mieszkanie, nocami sprząta biurowiec, żeby zarobić na studia.

To zaimponowało Grete. Wymienili się numerami telefonów i umówili na następny dzień.

Wcale mu nie ciążyło, że rozpoczął związek z Grete od kłamstwa.

W następnym tygodniu widywali się codziennie. Co rano przebiegali swój dystans przez las i jedli wspólnie śniadanie, ponieważ Grete

musiała być w księgarni dopiero o dziesiątej. Tom chodził do piątej klasy, obiady jadał przeważnie u swojego przyjaciela Stefana, tam też odrabiał lekcje i wracał do domu dopiero około wieczora, tak jak Grete. Matce Stefana to odpowiadało, bo dzięki temu jej syn nie był cały czas sam, i miała oko na nich obu. Za to Grete od czasu do czasu organizowała weekendowe wycieczki i odciążała na parę godzin matkę Stefana. Czasami Stefan nocował w weekendy u Toma.

W sobotę drugiego tygodnia znajomości Grete zaprosiła Alfreda do swojego mieszkania na kolację. Lubiła gotować i chciała trochę się do niego zbliżyć.

Alfred przyszedł punktualnie. Przyniósł róże i samochód-zabawkę dla Toma, którego zobaczył pierwszy raz tego wieczoru.

Tom był wybitnie ładnym chłopcem. Miał gładkie ciemne włosy, które ciągle spadały mu na czoło, a on je odrzucał z oczu ruchem głowy. Podczas gdy Grete szykowała w kuchni jedzenie, Albert żartował z nim w pokoju. Grete była szczęśliwa, że obaj tak dobrze się rozumieją.

Przeszła samą siebie i przyrządziła kilka włoskich dań, ale Alfred nie wykazywał większego zainteresowania smaczną kolacją. Kiedy Tom około pół do dziesiątej grzecznie, choć niechętnie zniknął w swoim pokoju i łóżku, Alfred prawił Grete komplementy na temat jej wspaniałego syna.

Po jedzeniu pierwszy raz zaczęli wspólnie pić i wypili dużo. Alfred nabrał śmiałości, za to Grete była o wiele bardziej powściągliwa i opamnowana.

W końcu wzięła go za rękę i zaciągnęła do sypialni, gdzie obie połowy łóżka były świeżo posłane, i zaczęła się rozbierać.

Alfred bał się tego pierwszego razu. Twarz mu płonęła, zaczął się pocić. Chociaż narastała w nim myśl o ucieczce, jeszcze raz napełnił po brzegi swój kieliszek, wypił dużymi łykami i uśmiechnął się wymuszenie. Mimo najlepszych chęci nie wiedział, co powinien teraz zrobić.

Przecież o tym wiedziałeś, pomyślał, przecież to przeczuwałeś, kiedy przyjąłeś zaproszenie na kolację, nie możesz teraz zawieść! Jego

wymówki nie na wiele się zdały, Grete leżała już nago na łóżku i uśmiechała się do niego.

– Chodź – szepnęła – na co czekasz?

Czuł się, jakby musiał z dziesięciometrowej wieży skoczyć do lodowato zimnej wody. Jako dziecko nigdy nie odważył się na to na pływalni i za każdym razem był wykpiwany, kiedy na górze robił zwrot i wśród powszechnych śmiechów schodził po drabinie.

Usiadł na łóżku i powoli się rozbierał. Pod wpływem wzroku kobiety wydał się sam sobie nagi, obcy i dziwny. Jego niezdecydowane zachowanie uznała za nieśmiałość, co w jej oczach tylko dodało mu atrakcyjności.

Kiedy skończył się rozbierać, przyciągnęła go do siebie, przytuliła się do niego i bardzo powoli i ostrożnie zaczęła go uwodzić.

W pewnej chwili zapomniał, co się z nim dzieje. Miał zamknięte oczy, i kiedy zaczął rozkoszować się pieszczotami, nie myślał już o Grete, lecz o Tomie, i oddał się swoim fantazjom.

Był ciepły letni dzień pod koniec sierpnia, kiedy wszystko uległo zmianie. Tego dnia wybrali się na wycieczkę nad jezioro, było gorąco nie do wytrzymania i Alfred szalał z Tomem i Stefanem w wodzie. Grete nie miała ochoty pływać, siedziała na brzegu na ręczniku i wyjmowała pestki z arbuza. Sok z arbuza kapał na ręcznik i zwabiał osy. W pewnej chwili Grete przerwała, złapała się ręką za brzuch i wykrzywiła twarz, jakby ją coś zabolało. Potem z trudem wyprostowała podwiniętą do tej pory nogę i nie zauważyła, że stawia ją na osie, która natychmiast ją użądliła. Grete krzyknęła z bólu. Alfred, który właśnie w wodzie trzymał Toma w mocnym uścisku, przestraszył się. Pomyślał, że krzyk Grete odnosi się do niego, i natychmiast uwolnił Toma. Tom podpłynął do Stefana i dalej taplali się w wodzie.

Grete zawołała Alfreda, ale on z powodu erekcji wstydził się wyjść na brzeg.

Kiedy wreszcie się odważył, szybko wybiegł z wody, owinał biodra ręcznikiem i wziął Grete w ramiona. Była tak przejęta puchnącą stopą, że nie zwracała na nic uwagi.

- To przeklęte bydlę... – wskazała na martwą osę, którą już zabiła.
- Musisz włożyć stopę do wody – powiedział. – To ją ochłodzi.
- Nie mogę stąpnąć. Cholernie boli.

Alfred wziął Grete na ręce i zaniósł do jeziora. Wszedł do wody po biodra, żeby stopa Grete była cała zanurzona. Zimna woda uśmierzyła ból.

Grete mocniej objęła go za szyję i przycisnęła twarz do jego piersi.

- Jestem w ciąży, Alfredzie – wyszeptła.

Alfred miał uczucie, że zapada się w piaszczystym dnie jeziora, patrzył na Toma i Stefana, którzy kilka metrów dalej próbowali się nawzajem podtapiać, i nie był zdolny do żadnej reakcji.

- Co ty na to? – zapytała Grete poirytowana.

- Nic! To cudownie! Tylko że nie liczyłem się z tym, to takie nowe, takie zaskakujące dla mnie. – Mówił o wiele za szybko i Grete uśmiechnęła się rozbawiona. – Jak to się mogło stać?

- Pokażę ci, kiedy będziemy w domu. Czy możemy już jechać? Chłopcom powoli robi się zimno w wodzie.

Alfred przytaknął i wyniósł ją na brzeg. Potem ją pocałował. Był to jego końcowy komentarz.

Ręcznik obsiadło stado os, które wzięły w posiadanie również arbuza. Grete trzęsła się z przerażenia. Zawołała chłopców i czym prędzej uciekła do samochodu. W tym czasie Alfred wyrzucił arbuza w krzaki, wypłukał ręcznik w jeziorze, ubrał się, wszystko spakował i załadował do samochodu.

Grete urodziła zdrowego chłopca, który ważył 3300 gramów, miał pięćdziesiąt jeden centymetrów wzrostu i dano mu na imię Jim. Alfred zażyczył sobie tego imienia na pamiątkę po ojcu, który wyemigrował do Ameryki i którego nigdy nie widział. Grete nie miała nic przeciwko temu. Nieustannie wrzeszczące dziecko na jej rękach miało mały zadarty nos i wyglądało dokładnie jak „Jim”, był o tym przekonany.

Cztery tygodnie później wzięli ślub. Alfred nie zaprosił nikogo ze swojej rodziny, czego Grete nie mogła zrozumieć, ale ostatecznie było jej to całkowicie obojętne. Dla niej najważniejsze było, że miała teraz wspaniałego męża i ojca dla swoich obu synów.

Dla Alfreda miało znaczenie, że przyjął nazwisko Grete.

Nazywał się teraz Alfred Fischer i już nic nie przypominało o Alfredzie Heinrichu, którym był do czasu ślubu.

Kiedy Alfred przyjechał do Brunszwiku, pragnął tylko jednego – być sam. Ludzie w pociągu, na dworcu, na ulicach, a także przedświąteczny nastrój w mieście na dwa dni przed początkiem adwentu bardzo działały mu na nerwy. Pierwsze gwiazdy wigilijne migwały w oknach, a przed drzwiami domów handlowych chodzili w tę i z powrotem niechlujnie ubrani Mikołaje z brodami, które trzymały się jedynie na gumkach zaczepionych za uszy, i rozdawali ulotki reklamowe. Trochę padało i ruch na ulicach zakorkował się we wszystkich kierunkach.

O siedemnastej trzydzieści Alfred wszedł do autobusu jadącego w kierunku Celle. Jego ulubione miejsce w ostatnim rzędzie było wolne. Sprawdził, czy na plastikowym obiciu nie było gdzieś przyklejonej guma do żucia lub plamy, i usiadł przy oknie.

W Watenbüttel autobus skręcił na drogę krajową numer 214. Teraz, w ciemności, nie potrafił wprawdzie dobrze rozeznaczyć się w okolicy, ale lubił jeździć przez małe miejscowości i wyobrażać sobie, jak za oświetlonymi oknami dzieci odrabiają lekcje, oglądają telewizję, bawią się z przyjaciółmi lub jedzą kolację z rodzicami.

Wysiadł w Ohof i poczekał trzydzieści pięć minut na autobus, którym pojechał do Müden. Resztę drogi przebył pieszo.

Tu, w tej okolicy, orientował się doskonale. Unikał głównych dróg i jak lunatyk szedł pewnie przez las i wąskimi ścieżkami przez bagna. W zimie nikt o tej porze tędy nie chodził, na skraju lasu nie zauważył też żadnego zaparkowanego samochodu, w którym zabawiałaby się para zakochanych.

Nie napotkawszy żywej duszy, po dwudziestu minutach dotarł do kamieniołomu. Serce waliło mu jak młotem, aż huczało mu w uszach, kiedy otwierał drzwi scyzorykiem.

Na stole stały puste puszki po sardynkach w oleju, które były używane jako popielniczki i przepełnione niedopałkami, oprócz tego mnóstwo pustych butelek po piwie. Na drzwiach wisiał teraz plakat z roz-

neglizowaną dziewczyną, w którą rzucano strzałkami i celowano przede wszystkim w wydatny biust.

W małym oknie wciąż jeszcze wisi strzęp firanki w pomarańczowo-beżowe paski, wisiła tam już trzy lata temu, tylko że teraz jej kolory prawie całkiem wyblakły. Uśmiechnął się, kiedy przypomniał sobie, jak zaciągnął firankę, gdy Daniel leżał przed nim nagi, z szeroko otwartymi ze strachu oczami i mokrym od potu czołem. Ani przez chwilę nie przyszło mu do głowy, że ktoś mógłby go tu nakryć, kiedy zaciągał firankę, zależało mu wyłącznie na jednym: żeby nikt nie zobaczył tego delikatnego chłopca, tak bezbronny w całej swojej niewinności, który należał tylko do niego i tylko jemu był przeznaczony.

Alfred usiadł na pryczy i lekko pogłaskał koc.

Daniel. Dwa dni i jedną noc się z nim zabawiał, aż był zbyt wyczerpany, żeby jeszcze przedłużać upojenie. To była mała wieczność, najintensywniejsze i najwspanialsze chwile, jakie kiedykolwiek przeżył, tylko że dla Daniela nie było to wspaniałe, całkiem przeciwnie. I teraz, teraz wreszcie wrócił do miejsca, do którego od trzech lat powracał w marzeniach, co napełniało go głęboką wdzięcznością. Tu, w tym barakowozie, nie chciał w nadchodzących dniach robić nic więcej, tylko oddawać się wspomnieniom. Może uda mu się jeszcze raz przeżyć i rozkoszować tym, co nieprzerwanie, raz po raz robił z Danielem i Benjaminem. Tak długo, aż dotarły do niego ich błagania i mógł okazać łaskę. Był litościwy, zwracał im wolność, wysyłając na śmierć, nawet jeśli przez to ich tracił. Miał władzę i kochał ją.

Deszcz coraz bardziej przybierał na sile. W tej chwili nie pragnął już być sam, chociaż wspomnienia były cudowne i nikt nie mógł mu ich odebrać. Nie miał wielu potrzeb, uważał, że jest skromnym człowiekiem, i pragnął tylko znajdować dzieci, obejmować je drżące i dygoczące ze strachu, dzieci, które miały nadzieję, że znajdą jakiś sposób, aby uniknąć swego losu. A przy tym ich jedynym przeznaczeniem było spełnianie jego pragnień.

Zrozumiał sens swego życia. Nie był stworzony do uszczęśliwiania kobiet lub gromadzenia bogactw, lecz do kolekcjonowania dzieci, zabawek

Boga, które tylko on mógł uchronić przed rozczarowaniami, jakie niesie ze sobą życie.

Wspomnienia o Danielu Dollu stawały się coraz bardziej realne, aż uwierzył, że czuje zapach jego skóry, która pachniała słońcem i ciepłem. Wyobrażał sobie zakurzoną polną drogę w migocącym upale. Alfred szedł boso tą drogą, słyszał trzeszczenie małych kamyków pod stopami i odczuwał podniecenie niczym ostry, słodki ból. Błękitne niebo tysiącami oczu życzliwie obserwowało jego i Daniela, który przeciągał się przed nim na trawie.

Tęsknota za ciepłym małym ciałem ogarnęła go w tej chwili tak intensywnie, że zaczęło mu się kręcić w głowie. Wstał i szeroko rozpostartymi rękami mocno przytrzymał się ścian barakowozu.

W ów Poniedziałek Wielkanocny przed trzema laty tak długo siedział przy Danielu i głąskał jego martwe ciało, aż stało się zimne i blade, a skóra przestała pachnieć. Trwało to dwie, trzy godziny, dzisiaj nie potrafił tego określić. Nie czuł już nawet zapachu potu, którym dziecko oblewało się ze strachu. Daniel był już jedynie ochłapem, a jego zimne ciało stało się sztywne i jakby pokryte woskiem.

Alfred zrozumiał, że czas już iść. Chciał zachować Daniela we wspomnieniach jako łagodny powiew wiatru, a nie jako lalkę z modeliny o zgaszonych oczach w głębokich ciemnych oczodołach. W walce ze śmiercią szeroko otwarte usta Daniela nie były w stanie krzyczeć i podsunęły mu pomysł, który zapragnął jeszcze zrealizować. W barakowozie obok innych narzędzi leżały obcęgi. Wziął je do ręki i wyrwał chłopcu jeden z przednich zębów. Było to zadziwiająco łatwe i poszło bardzo szybko. Teraz miał małą pamiątkę, która już zawsze będzie mu przypominać o Danielu. O aniele z delikatnym meszkiem na cienkich rączkach.

Danielowi się udało. Był zbawiony. A Alfred mu w tym pomógł.

Kiedy potem szedł przez całkiem ciemne, pogrążone w nocy Hahnenmoor do swojego samochodu, który zaparkował w dużej odległości, obracał w palcach ząb, aż zakrzepła krew Daniela wytarła się i w końcu całkiem zniknęła.

Była czwarta rano, w domu panowała całkowita cisza. Ale kiedy Alfred otwierał drzwi, czuł, że coś się zmieniło, i to go zdenerwowało.

Wszedł do sieni, cicho zamknął za sobą drzwi i nie zapalił światła. Nasłuchiwał w ciemności. Nic. Potem zdjął buty i bezgłośnie zakradł się do kuchni. Dopiero kiedy zamknął za sobą drzwi, zapalił światło.

Otworzył lodówkę i wziął sobie jogurt. Nie mógł uwolnić się od uczucia, że coś się stało, i jadł jogurt właściwie tylko po to, żeby w spokoju zastanowić się, co zrobić w następnej kolejności. Może Grete nie ma w domu, może Tom i Jim nie leżą w swoich łózkach, możliwe, że był sam w domu. Nagle ta myśl mu się spodobała i jednocześnie poczuł, że właściwie było mu obojętne, co się wydarzyło w tym mieszkaniu. Z Danielem Dollem, który nie żył już od kilku godzin, nie miało to w każdym razie nic wspólnego.

Wstał i szukał pamiętki w kieszeniach spodni, kiedy nagle w drzwiach ujrzał Grete. Nie słyszał, jak wchodziła, i wzdrygnął się z zaskoczenia.

– Już spakowałam twoje rzeczy – powiedziała zamiast przywitania. – Trzy walizki. Są w sypialni. Możesz się wynosić. Najlepiej jeszcze dziś w nocy. To zaoszczędzi ci ceremonii pożegnania z dziećmi i nie będziesz musiał niczego przed nimi udawać. I tak nic do nich nie czujesz.

Alfred jeszcze nie zdążył wymacać w kieszeni pamiętki. I to najbardziej denerwowało go w tej chwili. Serce biło mu jak młotem i musiał usiąść.

– Przepraszam, zamyśliłem się – rzekł niespokojnie. – Co powiedziałaś?

Grete stłumiła głos, żeby nie wrzasnąć i nie pobudzić dzieci. To było mocne.

– Wynos się! – wyszczała. – Teraz, natychmiast. Wynos się z mojego życia i żebym cię tu nigdy więcej nie widziała!

Grete nawet się nie domyślała, jak to wyrzucenie z domu pasowało do jego planów. Musiał zniknąć. Możliwie jak najszybciej. I już wracając do domu, łamał sobie głowę, jak miał to wytłumaczyć Grete. Jaki powód mógłby jej podać, dlaczego opuszcza ją tak pośpiesznie i zostawia samą z dwójką dzieci. A teraz to ona go wyrzuca. To było po prostu bajeczne.

– Dlaczego? Co się stało? – zapytał i starał się, żeby w jego głosie nie pobrzmiwało zdziwienie.

– Był tu twój przyjaciel Herbert. Kiedy czekał na ciebie, opowiedział mi co nieco o twoim życiu.

Herbert. Dobry Boże! Alfred myślał, że facet już dawno zaćpał się na śmierć. Ale najwidoczniej jeszcze nie. Skąd, do cholery, miał jego adres? Prawdopodobnie od matki. To było jedyne wyjaśnienie. Dał mu adres swojej matki. Na wszelki wypadek. Nie mógł przypuszczać, że kiedyś okaże się to błędem. Przyszedł najwyższy czas, żeby zniknąć. Matka też nie powinna od tej pory wiedzieć, gdzie mieszka.

– Ciekawe. No i co? Czego się dowiedziałas?

– Że jesteś przeklętym kłamcą i prawdziwym dupkiem.

Alfred tylko się uśmiechnął i dopiero to ją naprawdę rozsierdziło.

– Nie masz matury. I nie studiowałeś ekonomii.

Alfred wzruszył ramionami.

– Nie masz ojca w Ameryce. Twój ojciec nie żyje.

– A jeśli nawet. Czy to takie ważne? – Nie mógł zrozumieć, że z powodu takich błaźhostek Grete zezłościła się do tego stopnia.

– Siedziałeś w więzieniu, bo zabiłeś kobietę. Zgadza się?

Alfred milczał. Kłótlivy ton głosu Grete wyraźnie działał mu na nerwy.

– Teraz rozumiem, dlaczego ze mną nie śpisz. W więzieniu Herbert był twoim kochankiem. Jesteś pedałem i zawsze byłeś pedałem, nienawidzę cię.

Aha, więc o to chodzi. Więzienie może by jeszcze przełknęła, ale mieć za męża mężczyznę, który jej nie pożąda, nigdy nie pożądał, tego było za wiele. Mógł to nawet zrozumieć, a kiedy stała tak w kuchni, w cienkiej spranej koszuli nocnej, zrobiło mu się jej żal.

– Gdzie byłeś tak długo?

– Jeździłem w koło. Chciałem być sam.

– Dwa dni i prawie dwie noce? – Jej głos był ostry i lodowato zimny.

Alfred wstał. Chciał koniecznie skończyć tę rozmowę. Im prędzej stąd wyjedzie, tym lepiej.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. Już nigdy więcej nie uwierzę, cokolwiek byś powiedział. – Grete była bliska wybuchnięcia płaczem.

– I nie musisz. Grete, mówię ci, zostawmy to teraz. To do niczego nie prowadzi. Tylko się kłócimy. Będzie lepiej, jeśli teraz sobie pójde. Biorę samochód. Okay?

Teraz Grete naprawdę się rozpląkała. Usiadła przy stole, położyła głowę na przedramieniu i szlochała. Przez chwilę Alfred zastanawiał się, czy nie powinien jej objąć i pocieszyć, ale dał spokój i wyszedł z kuchni.

Zatrzymał się jeszcze w sieni i ostrożnie, dokładnie przeszukał kieszenie spodni. Jest! Bogu dzięki! Nie zgubił swojej pamiętki.

Dwa razy musiał obrócić, żeby znieść walizki. Kiedy ostatni raz wchodził na górę, Grete stała w korytarzu, na nocną koszulę włożyła grubą kamizelkę robioną na drutach i zaciskała ją na piersiach, jakby stała na lodowatym wietrze, a nie w ogrzewanym mieszkaniu.

Alfred bawił się pękiem kluczy i wpatrywał w wykładzinę podłogową. Dopiero teraz zauważył, że szary dywan ma małe niebieskie kropki.

– Trzymaj się – powiedział. – Odezwę się od czasu do czasu. Przykro mi, Grete. Nie chciałem sprawić ci bólu.

Potem odwrócił się, żeby odejść. Bezgłośnie zamknął za sobą drzwi, jakby ćwiczył to tysiąc razy.

Deszcz przestał padać. W Hahnenmoor panowała teraz całkowita cisza. Alfred czuł głęboką radość, która przyjemnie odprężyła jego ciało. I mimowolnie się uśmiechnął.

Alfred obudził się, ponieważ drżał na całym ciele, w barakowozie było wilgotno i zimno. Leżał w płaszczu na pryczy i próbował sobie przypomnieć, kiedy i jak zasnął. Z trudem usiadł. Było zupełnie ciemno, stopniowo wracała mu orientacja. Po jego lewej stronie była ściana, na prawo przy pościeli stała plastikowa torba. Teraz raczej nie była mu potrzebna, musiał mieć torbę na ramię, w której na pewno powinna być latarka. Osunął się na kolana i zaczął systematycznie przeszukiwać podłogę.

Ze wstrętem grzebał w kłębach kurzu, który utworzył ohydne kępy z włosów, okruchów i pajęczyn. Skaleczył się w dłoń zardzewiałym gwoździem i w pierwszej chwili się przestraszył, ponieważ czuł, że krew kapie na podłogę. Ręka go piekła, kiedy szukając dalej, rozsmarowywał krew w piachu i kurzu. Nie wzbudziło to jego niepokoju. Po trzech latach nikt przecież nie będzie przeszukiwał barakowozu, a na pewno nie będzie kojarzył krwi na podłodze z zamordowaniem Daniela i sprawcą czynu.

Kiedy już sprawdził brudną podłogę, w końcu znalazł torbę na krześle. Latarka leżała prawie na wierzchu. Najpierw spojrział na zegarek. Pół do szóstej. Jeszcze trzy i pół godziny, zanim na dworze zrobi się jasno.

Kiedy znalazł świece, zapalił jedną i postawił ją na stole na stopionej stearynie, zgasił latarkę, żeby oszczędzić baterie. Musiał napalić w małym żelaznym piecyku, inaczej nie wytrzyma tu kilku dni. Nie przewidział, że będzie tak bardzo zimno i wilgotno, to znaczy, po prostu o tym nie pomyślał. Dni z Danielem Dollem były cudownie ciepłe.

Jednak dym z piecyka zdradzał, że barak jest zamieszkały. A tego musiał się wystrzegać.

Alfred postanowił, że gdy tylko zrobi się jasno, pójdzie do najbliższej wioski, aby kupić coś do jedzenia. Pomyślał, że dopiero wiecz-

rem rozpali w piecu. W listopadowe noce zazwyczaj nikt nie wałęsał się po Hahnenmoor, a więc ryzyko było niewielkie.

Jednak w ciągu następnych dwunastu godzin nie miał szans, żeby się ogrzać w barakowozie.

Znowu się położył. Masował zeszywniałe palce i próbował powstrzymać drżenie i szcęknięcie zębami, ale mu się to nie udawało. Pół godziny później wstał i wyszedł na dwór. Miał nadzieję, że poranny marsz przez ciemne Hahnenmoor pobudzi krążenie krwi i dostarczy trochę ciepła jego stopom.

O dziewiątej otwierano w Hahnenmoor mały sklep sieci Edeka, o pół do dziesiątej wszedł do środka. Nie chciał zwracać na siebie szczególnej uwagi jako jeden z pierwszych klientów. Jednak przebywał w sklepie dłużej, niż było to konieczne, i czuł, jak ciepło stopniowo rozchodzi się po jego ciele. Po dobrej godzinie opuścił sklep z kilkoma pudełkami musli, jajkami, paczką krojonego chleba, ekspresową herbatą, butelką rumu, dwiema paczkami spaghetti, koncentratem pomidorowym, główką czosnku i trzema litrowymi butelkami wody mineralnej.

Przed sklepikiem z papierosami wpadł mu w oczy nagłówek umieszczony na tablicy: „Berlin poluje na mordercę”. Rozbawiony wszedł do środka i kupił gazetę. Z góry cieszył się na lekturę przy prostym, ale smacznym jedzeniu.

Około dwunastej z powrotem był w barakowozie. Z ulgą stwierdził, że najwidoczniej nikt nie odkrył jego obecności, rzeczy nie były zdekompletowane i leżały na łóżku i stole dokładnie tak samo, jak je zostawił.

Najpierw na jednopalnikowym kocherze zagotował wodę na herbatę i zastanowił się nad swoim położeniem. Mógł żyć bez prądu, na dworze leżało dosyć starego drewna do palenia, jedynym problemem była woda. Najpóźniej rano musiał poszukać jeziora, stawu lub strumienia, w którym mógłby zaopatrywać się w wodę do gotowania. Nie wiedział, ale przypuszczał, że Hahnenmoor to rezerwat przyrody. Jeśli tak, to woda musiała tu być dosyć czysta i zdatna do picia.

Nie czuł głodu. Spaghetti ugotuje dopiero wieczorem. Małymi łyżkami chęptał gorącą herbatę, całkiem zadowolony z siebie i ze

świata. Życie było po prostu wspaniałe, a najlepsze było w nim to przyjemne uczucie, że jest sam, nikt mu nie przeszkadza i nikt mu się nie naprzykrza.

Jego wzrok padł na nagłówek „Wiadomości Brunszwickich” i przebiegł oczami artykuł o zniknięciu Benjamina i odnalezieniu jego zwłok. Nie było w nim nic nowego, a także nic, czym musiałby się martwić. Za przykry uznał jedynie fakt, że do śledztwa dopuszczono Mareike Koswig.

Potem Alfred wyparł z myśli Mareike Koswig i oddał się przyjemnym fantazjom. Wyobrażał sobie, jak młody policjant i policjantka bez żadnego doświadczenia, bez znajomości ludzi i z niewielkimi ambicjami dokonują wizji lokalnej w altanie, zacierają ślady, nawzajem depczą sobie po piętach i zarzucają brak kompetencji. Prawdopodobnie jedno nie wiedziało, co robi drugie. Alfred nie potrafił sobie wyobrazić, żeby poszczególne wątki śledztwa skoordynowane i uporządkowane zbiegły się i doprowadziły do konkretnych rezultatów. Widział tłum spanikowanych policjantów, każdy z nich uważał, że jest ogromnie ważny, ale żaden nie potrafił się zdobyć na jakiś rozsądny pomysł.

Obrazy w głowie Alfreda stawały się coraz bardziej wyraźne, uśmiechał się. Nigdy mu niczego nie udowodnią. Nigdy. Nie mieli w swoich szeregach nikogo, kto dorastałby mu do pięt. Policjanci byli poczciwymi, posłusznymi zwierzchnikom drobnomieszczanami i żaden z nich nie wyróżniał się ponadprzeciętną inteligencją. Tak jak on, Alfred. Żaden z nich nie był nawet w najmniejszym stopniu w stanie wyobrazić sobie, co działo się w jego głowie, kiedy mordował Daniela i Benjamina. A ponieważ go nie rozumieli, to go nie złapią.

W Alfredzie coraz bardziej narastała euforia. Nie miał już chęci czytać tego głupiego artykułu o bezsilności policji, lecz otworzył jedyną książkę, jaką posiadał i której fragmenty znał prawie na pamięć. Była to *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego.

Siedział na pryczy po turecku i starał się mieć wyprostowane plecy. Otwartą książkę położył na kostkach, dzięki temu miał wolne ręce, żeby od czasu do czasu wypić łyk ciepłej herbaty. Za każdym razem kiedy odstawiał kubek, składał ręce na brzuchu.

Alfred czytał powoli, chłonał każde słowo. „No tak, a prawdziwi geniusze, a więc ci, którzy mają prawo zabijać innych, czy oni nie powinni cierpieć, choćby za tych, którzy przelewali przez nich krew?”

Tak, tak, pomyślał i zamknął na chwilę oczy, tak, ja cierpię. I czytał dalej: „Jeśli ktoś rzeczywiście nosi w sercu wielką prawdę i prawdziwie głębokie uczucie, temu nigdy nie zostaną oszczędzone ból i cierpienie. Myślę, że ludzie prawdziwie wielcy muszą przez całe życie odzuwać głęboki smutek”.

Właśnie tak jest, pomyślał, dokładnie tak. Kochał tę książkę, to były jego myśli. Były mu tak bliskie, że często wierzył, iż to on sam przeniósł je na papier. Dostojewski i on – w myślach byli braćmi i coraz mocniej się jednoczyli.

Nie miał nic wspólnego z tym światem, z tym, co na zewnątrz. Świat ciążył mu, ponieważ ciągle zmuszał do czegoś. Musiał płacić, uśmiechać się i być uprzejmy. Legitymować się i udzielać odpowiedzi. Musiał godzić się z tym, że życzo mu dobrego dnia, zagadywano i wciągano w rozmowy. Musiał trzymać się prawa, regulaminów i przepisów ruchu drogowego, musiał telefonować i pisać listy, udzielać informacji, odwoływać się, umawiać. Wszystko to przejmowało go wstrętem. Chciał żyć i całkowicie oddawać się swoim myślom, które uważał za wyjątkowe i którymi się napawał. Kiedyś je spisze i sam sobie postawi pomnik, żeby jego idee nigdy nie poszły w zapomnienie.

Daniel i Benjamin... to były jego dzieła. Decydował o ich życiu i śmierci, o rodzaju i czasie ich śmierci. Należał do wybrańców, którzy mieli prawo wyrokować o innych. I ta świadomość go uskrzydlała. Jego życie miało sens, uzasadnienie. Benjamin i Daniel byli istotami stworzonymi przez niego, a Alfred ich Bogiem.

W pewnym momencie Alfred struchlał ze strachu, ponieważ usłyszał głosy w kamieniołomie. Całkowicie bezgłośnie odłożył książkę i instynktownie wziął do ręki kupioną butelkę rumu, żeby uderzyć nią w razie potrzeby. Napiął wszystkie mięśnie i wstrzymał oddech.

Przez szparę w ścianie z desek zobaczył kłócaącą się parę. Uciekajcie, pomyślał, wynocha, do cholery. Nie słuchał, co tamci mówią i o co się kłóca, obserwował ich i płytko oddychał. Tak mu to zakłóciło spokój,

że aż rozboleła go głowa. Migotało mu przed oczami. Gdyby miał broń, zacząłby strzelać. Był tego pewny. Zabierajcie się stąd, do pioruna, myślał, zanim otworzę te przeklęte drzwi i coś się stanie.

W końcu para powoli się oddaliła, żywo gestykułując i obrzucając się nawzajem wymówkami. Kiedy już znikli z ograniczonego pola widzenia Alfreda, intensywnie nasłuchiwał jeszcze przez kilka minut, i kiedy nic już nie słyszał, wyszedł na dwór i upewnił się, czy naprawdę odeszli. Potem wysikał się na piach i ponownie zniknął w barakowozie.

Na pryczy leżał wełniany koc, który rozsiewał gorzki i zbutwiały zapach, jakby od lat nie był prany. Ale Alfredowi to nie przeszkadzało. W każdym razie nie był to koc, na którym leżał Daniel. Był tego całkowicie pewny. Tamten prawdopodobnie zabrali policjanci z sekcji zabezpieczania śladów. To znowu go ucieszyło i wrócił mu dobry humor.

Położył się i szczelnie owinął kocem. Jeszcze raz przez głowę przebiegły mu zdania z Dostojewskiego: „Zwyczajni ludzie powinni żyć w posłuszeństwie wobec zasad i nie mają prawa ich przekraczać, dlatego właśnie, że są zwyczajnymi ludźmi. Ludzie nadzwyczajni natomiast mają prawo popełnić każde przestępstwo i złamać każdą zasadę, właśnie dlatego, że są nadzwyczajni”.

We mnie wszystko jest nadzwyczajne, pomyślał Alfred i zasnął całkowicie pogodzony ze sobą.

Berlin, styczeń 1987

Marianne Wagner pamiętała, żeby po śniadaniu o siódmej połknąć dwie białe tabletki, a po obiedzie o dwunastej musiała rozpuścić w wodzie dużą różową pastylkę i wypić całą zawartość szklanki. Lekarstwo miało ohydny smak. Do kawy o czwartej dostawała trzy lśniące złotem kapsułki, które wspaniale wyglądały, a jeszcze wspanialej się po nich czuła, tak że zawsze długo je ścisnęła i obracała w palcach. Za każdym razem było jej żal, kiedy popijała je łykiem letniej, niesłodzonej herbaty z dzikiej róży. Po przezroczystych kapsułkach czasem przychodził w wizytą Peter. Tak około piątej. Kiedy jeszcze mogła stać i do pewnego stopnia chodzić. Peter całkowicie stracił grunt pod nogami. Twierdził, że ma urlop, ale Marianne wiedziała, że to kłamstwo, ponieważ od śmierci Benjamina minęły prawie dwa miesiące, a on dalej siedział w domu i pił. Nie pójdzie już do pracy. Już nigdy. Była o tym przekonana.

Każdego dnia Peter niemal zadręczał się w klinice, ponieważ ją kochał. Ponieważ była jedyną podporą, jaką jeszcze miał na tym świecie. Ona to czuła i wiedziała o tym, ale teraz już jej to nie pomagało.

Bezsilny i ze zgarbionymi plecami siadał na brzegu łóżka i opowiadał o każdym szczególe, którego dowiedział się w sprawie Benjamina, ponieważ chciała wszystko wiedzieć. Łatwiej znosić ból, kiedy nie trzeba go cierpieć samemu, jeśli wypowie się najpotworniejsze rzeczy, zamiast tylko ciągle o nich myśleć. Tysięczny raz opowiadał jej, jak i gdzie znaleziono Benny'ego i jak wyglądał na lodowatym błyszczącym chromem katafalku w kostnicy. Peterowi było trudno rozpoznać syna, ponieważ jego martwa, blada, drobna twarz wydawała mu się całkowicie obca. Skóra Benny'ego sprawiała wrażenie woskowanej, jakby

została wymodelowana z elastycznej masy, zdawało się, że mógłby chłopca zabrać do domu i położyć na kanapie. I Benny już nigdy by się nie zmienił. Nie zgniłby. Nie zniknął, może tylko trochę by się zakurzył.

Peter pocałował go w policzek. Jego skóra przypomniła mu w dotyku zimny ser, który właśnie wyjął z lodówki. Potem upadł.

Marianne zazdrościła mu tego pocałunku. Ona miała tylko wspomnienie pożegnania z Bennym tego ranka, kiedy jeszcze nie wiedziała, że było to pożegnanie na zawsze. Peter potrafił pojąć, że Benny nie żył, ponieważ widział jego ciało, ona nie potrafiła.

Dwa tygodnie rozmyślała nad tym, co jej zostało. Bezrobotny mąż, który był na dobrej drodze, żeby zapisać się na śmierć, nieuleczalna choroba, w niedalekiej przyszłości nieopłacone mieszkanie i martwe dziecko. To było mniej niż nic.

Każdego dnia dzielnie łykała tabletki i kapsułki, a po kolacji wkładała sobie czopek, ponieważ działał usypiająco i chronił przed napadami strachu. Odkąd przebywała w klinice, jeszcze nic jej się nie śniło, ani razu. I była za to wdzięczna. Przed kilkoma dniami podczas oglądania telewizji nawet raz się głośno roześmiała, chociaż nie potrafiła sobie potem przypomnieć, co oglądała.

Ale już od dawna nie wykonywała ćwiczeń, nie zmuszała się, aby znowu i znowu próbować zrobić kilka kroków. I to był błąd. Teraz to zauważyła.

Nie myślała, że to będzie takie trudne, wstać z wózka inwalidzkiego i przytrzymać się klamki okiennej. Musiała potem kilka sekund odpocząć. Ale to nieważne, ponieważ o tej porze nikt nie chodził po oddziale. Nocna pielęgniarka siedziała w dyżurce i czytała *Nędzników* Wiktora Hugo. Powiedziała o tym Marianne, ponieważ była niezmiernie dumna, że się przegryza przez takie grube tomisko. Niebezpieczeństwo, że pielęgniarka wejdzie do pokoju, było więc raczej niewielkie.

Na oddziale panowała całkowita cisza. Nikt nie płakał, nikt nie krzyczał, nikt nie chodził w tę i z powrotem po korytarzu, nikt nie prowadził głośnych rozmów. W oddali usłyszała skowyczący alarm samochodu i uśmiechnęła się. Bogaci ludzie to dopiero mają problemy!

Kupują drogie alarmy samochodowe, żeby się zabezpieczyć przed czymś tak banalnym jak kradzież samochodu.

Na myśl o tym, co się za chwilę stanie, oblała ją ciepła fala radości, pozwoliła jej głębiej oddychać i wypełniła siłą. Wykorzystała ten moment, przekreśliła klamkę w oknie i powoli je otworzyła. Lodowate powietrze przeszło jej piersi – miała na sobie tylko nocną koszulę. W tej chwili już nic na to się nie poradzi. Gdyby poprosiła pielęgniarkę o pomoc przy ubieraniu, ta zapewne mocno by się zdziwiła.

Teraz czekało ją najtrudniejsze. Uczepiła się otwartego skrzydła okiennego, które huštało się w tę i z powrotem, jeszcze raz trochę się podciągnęła i pomagając sobie rękami, wykonała kilka małych podskoków i usiadła na parapecie. Dzięki Bogu parapet był dostatecznie szeroki. Powoli podniosła rękami lewą nogę, spuściła ją za okno i mocno przytrzymała się framugi, żeby nie spaść. Jeszcze nie. Nie była jeszcze gotowa. To samo zrobiła z prawą nogą i właściwie już tylko musiała się odepchnąć.

Marianne patrzyła w dół. Przed nią leżała niewielka część szpitalnego parku z dwoma wąskimi trawnikami i dwiema ławkami. Trzy latarnie oświetlały prostą jak strzełił alejkę. To nie jest miejsce na marzenia, pomyślała, i nie miejsce na pożegnanie z ukochanym.

Może jeszcze kiedyś będziesz miał dzieci, pomyślała, kiedy niedawno Peter był u niej o piątej. Z jakąś młodszą i przede wszystkim zdrową kobietą. Jeśli ci się uda nie zapaść na śmierć, wspomnienie o Benym stopniowo zblednie. Nie wezmę ci tego za złe.

Ostatni raz pogłaskała się po włosach, delikatnie przeciągnęła dwoma palcami po policzku i zatrzymała je na wargach. Automatycznie pocałowała palce. Nie mogła nic powiedzieć. Już i tak było jej ciężko powstrzymać łzy.

– Widziałem truskawki u Aldiego – powiedział na krótko przed wyjściem. – Wyobrażasz sobie coś takiego! Teraz w zimie! Ale ci przyniosę. Kiedy przyjdę jutro po południu. – Uśmiechnął się jak dwanaście lat temu, kiedy się poznali, a potem drzwi zamknęły się za nim.

Teraz na parapecie okna w klinice pomyślała o truskawkach, które dla niej kupi i których ona już nie zje. Rozpłakała się, ponieważ było jej bardzo przykro.

Chciała jeszcze chwilę poczekać, aż się uspokoi. Ocierała łzy z oczu ręką nocnej koszuli i przez to o mało nie wypadła z okna.

W pierwszej chwili przestraszyła się, ale strach szybko minął. Potem nie myślała już o Peterze, lecz o Bennym, którego znowu zobaczy za kilka chwil. Gdzieś tam, w górze, w morzu gwiazd. Była o tym przekonana.

I kiedy jej serce zaczęło bić jak młotem, odepchnęła się od parapetu i poleciała mu naprzeciw.

Getynga, wrzesień 1989

– Twoje zdrowie – powiedziała Mareike i uniosła kieliszek.

Bettina uśmiechnęła się.

– I twoje.

Dzisiaj, szesnastego września, mijał właśnie piąty rok, od kiedy były razem, i siedziały w ulubionej włoskiej restauracyjce, żeby uczcić rocznicę. Mareike była bardzo rozluźniona i uradowana. W istocie była szczęśliwym człowiekiem. Miała przyjaciółkę, z którą żyła i którą bardzo kochała, zawód, który uważała za interesujący i który, mimo kilku zmian na gorsze i frustracji, sprawiał jej satysfakcję, nie znała problemów finansowych i była zdrowa. Czego człowiek może jeszcze oczekiwać? I kiedy trzymała w ręku kieliszek i piła za zdrowie Bettiny, miała nadzieję, że może tak zostanie.

Odkąd zdecydowały się adoptować dziecko, Bettina stała się innym człowiekiem. Była pełna radości życia i energii, przepojona niezłomnym duchem walki, co wiązało się z biurokratycznymi przeszkodami, które stawiały im na drodze urzędy opieki nad nieletnimi i pomocy społecznej. Uprzedzenia, z jakimi odnoszono się do pary lesbijek, były dziwaczne. Ale Bettina z uporem się przez nie przebiwała i nie ustępowała. Mareike podziwiała jej niewiarygodny upór.

Mareike i Bettina poznały się w kinie. Usiadły obok siebie przypadkiem. Na pierwszy rzut oka mała grubaska obok, która bez przerwy opychała się popcornem, wydała się Mareike nieznośna. Tak samo było z Bettiną, na której sąsiadka zrobiła wrażenie pozbawionej humoru, zasuszonej starej panny, a za brak wychowania uznała fakt, że podczas filmu kobieta zdjęła buty. Do dzisiaj nie wiadomo, co spowodowało wybuch i dlaczego zaczęły się kłócić i hałasować jak dwie rozwścieczone

hieny. Kiedy wyczerpały zasoby impertyncji, zaczęły chichotać i wyszły z kina, żeby w jakimś innym miejscu móc spokojnie porozmawiać. Początkowa antypatia bardzo szybko przerodziła się w sympatię. Wkrótce zostały nierozłącznymi przyjaciółkami, ale dopiero po półtora roku pierwszy raz poszły ze sobą do łóżka.

– Mam w domu schłodzoną butelkę szampana – wyszeptała Bettina. – Co byś powiedziała na małą orgietkę?

– Czemu nie – odrzekła Mareike. – Ale w takim razie musimy teraz przestać pić wino, inaczej jutro w biurze będę miała ciężką głowę i dwa promile alkoholu we krwi.

Bettina uśmiechnęła się. Nic i nikt ich nie rozdzieli. Mareike miała teraz czterdzieści jeden lat, ona trzydzieści pięć. Bettina była przekonana, że jej życie przez trzydzieści lat bezbłędnie i świadomie zmierzło do tego dnia, kiedy wylądowała w kinie obok kobiety, która od tamtej pory wypełniała wszystkie jej myśli i uczucia.

Kelner przyniósł jedzenie. Lasagne z warzywami dla Bettiny i stek z pieprzem w sosie śmietanowym dla Mareike.

– Smacznego, mój aniele – powiedziała Mareike w chwili, kiedy zadzwoniła jej komórka.

– Nie – jęknęła Bettina. – Proszę, nie teraz. Nie dziś wieczorem!

Mareike tylko wzruszyła ramionami i słuchała, co mówił jej kolega z pracy.

– Muszę jechać na Sylt – wyjaśniła po skończeniu rozmowy. – Nasz morderca dzieci znowu zaatakował. Tym razem mały jasnowłósy chłopiec. Dwie godziny temu znaleźli go na wydmach.

– Czy to pewne, że...

– Pewne – wpadła jej w słowo Mareike – to on. Znowu zatrzymał sobie swoje trofeum. Tak mi przykro, Bettino, proszę cię, nie bądź zła.

Chłopiec nazywał się Florian Hartwig, siedział w zamku z piasku na zbudowanym z piasku siedzeniu przed zbudowanym z piasku stołem. Stół ozdabiały piaskowe ciastka w kształcie ślimaka, ryby, żółwia i kota.

Florian nie żył od kilku godzin, kiedy rano o szóstej w zamku z piasku znalazł go mężczyzna uprawiający jogging.

Kiedy wrzucono do komputera specyficzne dziwne fakty i szczegóły z miejsca zbrodni, a także wyniki obdukcji, ten natychmiast powiązał je z Danielem Dollem i Benjaminem Wagnerem, ponieważ również ostatniej ofierze, tak samo małemu, delikatnemu i jasnowłosemu chłopcu jak Daniel i Benjamin, brakowało górnego prawego kła. Wyrwanego obcęgami *post mortem*.

Pod kierownictwem Mareike Koswig i Karstena Schwiersa ponownie uformowała się grupa dochodzeniowa. Mareike czuła, że ten morderca zawładnął całym jej życiem, i to doprowadzało ją do wściekłości.

Grupa dochodzeniowa składała się z czterdziestu osób, było wśród nich kilkoro policyjnych psychologów, którzy próbowali stworzyć profil sprawcy i wykazać, co działo się w głowie mordercy i jakimi pobudkami się kierował.

Dopóki ofiara była w rękach mordercy, błagała o życie, starała się być posłuszna i robiła wszystko, czego on żądał, sprawował nad małymi chłopcami idealną kontrolę. Nie uszedł jego uwagi żaden ruch, głos, najdrobniejszy gest, mina i natychmiast był nagradzany albo karany. On decydował o długości i ciągłości męki oraz strachu, on dyktował reguły gry. I to on zawsze dawał dziecku odrobinę nadziei, perspektywę możliwej wygranej, żeby nie rezygnowało i nie odmawiało udziału w grze. Podniecała go władza, a nie akt gwałtu. Ta wszechmocna chwila gasiła na pewien czas każde upokorzenie, jakie znosił, i napełniała

go głęboką radością. Udawało mu się, przynajmniej na chwilę, zalepić wszystkie rysy na własnej świadomości.

Potem zaczął manipulować zwłokami i miejscem zbrodni, chciał w ten sposób odcisnąć swoją niepodważalną osobistą pieczęć. Nikt nie miał prawa pozbawić go triumfu i zapomnieć o nim. Za pomocą tego teatru próbował też manipulować policją. Policja powinna stworzyć sobie bardzo konkretny obraz: popatrzcie, nie jestem zwykłym prymitywnym mordercą, który rzuca się gdzieś na dziecko, gwałci je i po prostu zostawia zwłoki. O nie, ja stawiam przed wami zadanie i rucam wyzwanie. Ze wszystkich sił będę się starał doskonalić metody działania. Ale teraz kolej na was. Będę was obserwować, a gdybym popełnił jakiś błąd, na przyszłość tego uniknę. Możecie być pewni.

Mareike zrozumiała przesłanie. Najwidoczniej już dość długo upajał się swoimi czynami, tylko akumulator poczucia własnej wartości powoli się wyładowywał. Nie potrzebował już w następnym tygodniu szukać nowej ofiary, miał czas. Za każdym razem między morderstwami upływały trzy lata.

Każdy czyn był sukcesem. A on był zadowolony, a kiedy był zadowolony, panował nad sobą.

Istniały dwie możliwości: albo zabijał gdziekolwiek bez zastanowienia i wybierał miejsca zbrodni, które znajdowały się możliwie daleko od siebie, żeby utrudnić pracę policji i zaabsorbować jej uwagę różnymi wskazówkami, albo zabijał zawsze w pobliżu swojego miejsca zamieszkania – ale w tym przypadku musiał często się przeprowadzać. I zapewne musiał mieć po temu jakieś powody.

Człowiek, który często się przeprowadza, przeważnie nie jest z nikim bliżej związany. Najprawdopodobniej nie miał żony, dzieci, stałej pracy i utrzymywał się z dorywczych zajęć.

Całe życie kogoś udawał, a był nieudacznikiem. Ciepłe kluski. Mareike była o tym przekonana.

Mareike i Karsten siedzieli obok siebie dni i noce, tysiące razy trzymali w rękę fotografie z miejsca zbrodni i zastanawiali się nad charakterem i motywami sprawcy.

A Mareike dowiedziała się jeszcze czegoś: wszyscy trzej chłopcy zostali przez sprawcę uduszeni gołymi rękami. Kciuki mordercy z dużą siłą zaciskały się na ich krtaniach. Sprawca musiał więc patrzeć swoim ofiarom prosto w twarz i obserwować powolne zbliżanie się śmierci, kiedy ich mordował. Czuł, że nie była to tylko władza, lecz upajające uczucie wszechmocy. Był panem życia i śmierci, potężniejszym niż zwykli ludzie, dla których odczuwał tylko pogardę.

W naukach prawniczych już od dłuższego czasu istnieje pogląd, że w chwili zabójstwa morderca nie patrzy na swoją ofiarę, jeśli wcześniej ją znał.

Zgodnie z tą teorią morderca Daniela, Benjamina i Floriana wprowadził starannie planował swoje czyny, ale ofiary wybierał przypadkowo. Nie łączyło go z nimi żadne pokrewieństwo, krewni i znajomi dzieci byli całkowicie wykluczeni jako podejrzani.

Chociaż policjanci na Sylcie również bardzo się starali – nikt niczego nie widział. Podejrzana osoba – mężczyzna z dzieckiem – samochód na wydmach... nie było ani jednego sensownego zeznania, które można by potraktować poważnie.

Także w Berlinie, w blokach w pobliżu kolonii dzieci, nikomu nic nie rzuciło się w oczy. Nikt nie widział mężczyzny z dzieckiem, nikt nie zauważył samochodu na wymarłych alejkach dzieci.

Grupa dochodzeniowa zaczęła teraz sprawdzać każdego, kto w ciągu ostatnich pięciu lat przeprowadził się z Brunszwiku lub okolicy do Berlina, a potem do Szlezwiku-Holsztynu. Mareike uważała tę pracę za raczej bezsensowną, ponieważ nie przypuszczała, żeby morderca – tak jak go oceniała – szedł do urzędu meldunkowego i meldował się zgodnie z przepisami. Ten człowiek stał na marginesie społeczeństwa i mało przejmował się prawem.

Mareike miała rację. Te poszukiwania również nie przyniosły rezultatu.

Dokładniej wzięto pod lupę recydywistów skazanych za gwałty na dzieciach i pedofilów zarejestrowanych w policyjnych kartotekach, a także ekshibicjonistów, odbywających karę więźniów na przepustce i osoby niedawno zwolnione. Było możliwe, że morderca w czasie

pomiędzy zabójstwami siedział w więzieniu skazany za inne przewinienia.

Wszystkie te czynności nie naprowadziły ich na żaden ślad. Mareike już prawie zwątpiła.

Wspólnie z Karstenem Schwiersem zwołała konferencję prasową, na której musiała przyznać, że nie posunęli się jeszcze ani o krok naprzód w wyjaśnieniu obu morderstw.

– Gdzieś w tym kraju sprawca siedzi sobie przed telewizorem, czyta gazetę, pije piwo i po królewsku się bawi na myśl o tym, że nie mamy najmniejszego pojęcia, kim on jest – podsumował Karsten.

Mareike tylko skinęła głową. Myślała podobnie.

Hamburg, jesień 1989

W listopadzie 1986 roku Alfred wytrzymał w Hahnenmoor ponad miesiąc i jeszcze raz udowodnił sobie, że do życia może wystarczyć mu mniej niż nic. Na krótko przed świętami Bożego Narodzenia poczuł nagle niepoohamowaną tęsknotę za szumem morza, sztormowym wiatrem, słonym powietrzem i po krótkim namyśle postanowił pojechać nad morze.

Znalazł pracę na Sylcie na basenie w List. Kierowniczka basenu, pani Michaelsen, za trzysta marek miesięcznie oddała mu do dyspozycji służbowe mieszkanie będące w gestii zarządu, małą klitkę o powierzchni osiemnastu metrów kwadratowych z małąką wnąką kuchenną i dostępem do ogrodu. Toaletę musiał dzielić z pracownikami zarządu, ale ci przebywali w budynku tylko od poniedziałku do piątku od ósmej do siedemnastej. Prysznic mógł brać po pracy na basenie.

Dla Alfreda był to najgorszy okres w życiu. Do jego obowiązków należało sprzątanie natrysków, przebieralni, korytarzy, toalet, a po skończeniu pracy na zapleczu również samego pomieszczenia pływalni. Nie zajmował się tylko samym basenem i jakością wody.

Sprzątał po szkolnej dzieciarni, która zostawiała w szafkach papieru po kanapkach i czapki na wieszakach. Kiedy przechodził przez pomieszczenia, oglądał małych chłopców pod prysznicami, obserwował ich, jak ćwiczyli na pływalni skoki na głowę i udawali „topielca”.

Z trudem to wytrzymywał.

Prawie co tydzień myślał o ucieczce, ale za każdym razem zwyciężała fascynacja tym, co można było zobaczyć na pływalni. W końcu podjął wyzwanie, żeby oprzeć się ciągłej pokusie. Ćwiczył silną wolę. Dzień po dniu. Przez dwa i pół roku.

Do lata 1989 roku. Florian Hartwig przychodził raz w tygodniu ze szkołą na zajęcia z pływania i w czwartki wieczorem na sekcję pływacką. Florian był według niego najdelikatniejszym i najładniejszym z wszystkich chłopców.

A potem spotykał go na plaży. Przez całe lato Florian bawił się tam ze swoim przyjacielem Maximilianem, który przewyższał go o głowę i ważył dwa razy tyle co on. Florian darzył Alfreda zaufaniem, znał go z pływalni i prawie codziennie widywał go nad morzem.

Alfred wypowiedział pracę na basenie i „służbowy pokój”, żeby opiekować się chorą matką w Bawarii. Tak powiedział kolegom. W rzeczywistości wcale nie wyjechał z Syltu. Ukrywał się na wydmach i spał w samochodzie, używanym, przerdzewiałym fiacie, którego kupił jakiś czas temu.

I czekał na swoją szansę.

Stało się to we wrześniu. Maximilian miał świnkę i Florian bawił się sam. Naprawdę ucieszył się na widok Alfreda, kiedy ten usiadł przy nim w zamku z piasku. I znowu wszystko, co się potem wydarzyło, było dla Alfreda przerażająco łatwe.

Bezpośrednio po zamordowaniu Floriana Hartwiga Alfred znalazł z ogłoszenia mieszkanie w Hamburgu i natychmiast je wynajął. Wpłacił kaucję za trzy miesiące i sprawa była załatwiona. Mieszkanie znajdowało się w dzielnicy St. Georg, wielkością, rozkładem i wyposażeniem prawie niczym nie różniło się od mieszkania w Neukölln w Berlinie, w którym mieszkał do listopada 1986 roku.

Dwa tygodnie później znalazł pracę na stacji benzynowej. Trzy razy w tygodniu od siedemnastej do drugiej w nocy siedział za kasą i przyjmował należności za benzynę, ropę do diesli, butki, colę, piwo, kwiaty i czasopisma. Traktował swoją pracę bardzo poważnie, był skoncentrowany i nigdy się nie mylił. Kiedy po dziewięciu godzinach zamykał kasę, zgadzała się co do feniga, ponieważ piekielnie uważał przy wydawaniu reszty i rozminianiu banknotów. Długo i skrupulatnie sprawdzał podpisy na kartach kredytowych, ciągle liczył się z tym, że ktoś może chcieć go oszukać.

Stale miał też na oku dystrybutory paliwa, próbował utrwać sobie w pamięci kierowców i marki samochodów, aby móc podać dokładne dane, gdyby ktoś odjechał, nie płacąc rachunku. Ale nie miał takiej okazji.

Ponieważ każdego dnia spodziewał się napadu, zawsze trzymał w kieszeni pistolet gazowy, z którego nie wahałby się zrobić użytku. Wiedział to. Już raz tego dowiódł, nad kanałem.

Wtedy to w czwartkowe południe zajechał na stację swoim ciemnoniebieskim mercedesem Dieter Draheim, co zdarzało się bardzo rzadko.

Wszedł do części sklepowej i skierował się prosto do Alfreda, który układał papierosy na regale.

– Bardzo mi przykro, panie Fischer – powiedział szef i uśmiechnął się, co Alfred uznał później za wstrętne i aroganckie. – Chętnie byśmy pana dalej zatrudniali, ale niestety się nie da. Czasy są ciężkie i musimy się ograniczać. Chciałbym od razu rozliczyć się z panem.

Alfred stał jak ogłupiały wyrostek. A tego nienawidził najbardziej ze wszystkiego.

– Dlaczego? – zapytał. – Czy coś przeszkobałem?

– Ależ nie, wręcz przeciwnie! – Draheim ciągle się uśmiechał. – Tu nie chodzi o pana, po prostu już nie potrzebujemy nikogo więcej. Muszę rozstać się z jednym pracownikiem, pan jest u nas najkrócej i niestety wybór padł na pana.

Draheim podał mu przez ladę zaległe wynagrodzenie. Zapłacił za cały czwartek, chociaż Alfred pracował tego dnia niecałe cztery godziny.

Alfred nic nie powiedział. Wziął pieniądze i schował je do kieszeni spodni. Wyszedł zza lady, nie uznał Draheima za godnego spojrzenia, przeszedł przez sklep, poczęstował silnymi kopniakami stojak z okularami przeciwsłonecznymi i regał z mapami i atlasami samochodowymi, które przewróciły się z trzaskiem. Potem wyszedł ze sklepu.

Draheim nie zareagował. Nie krzyczał, nie wymyślał, nie pobiegł za Alfredem. Ale w myślach pogratulował sobie, że pozbył się pracownika, który tak się zachowuje.

*
**

Kaucja za mieszkanie pochłonęła prawie wszystkie jego oszczędności, pilnie potrzebował pieniędzy. I chociaż gardził sobą za to, zadzwonił do Grete.

Grete odebrała telefon już po drugim dzwonku.

– Cześć, kochanie – powiedział i postarał się, żeby jego głos zabrzmiał beztrzesko. – Tu Alfred. Co u ciebie?

– Dobrze. Dziękuję za pamięć. I nie mów do mnie więcej „kochanie”. – Głos Grete był lodowaty.

No tak, pomyślał Alfred, ładna historia.

– Co u Jima? I u Toma?

– Wszystko dobrze – odpowiedziała. – Coś jeszcze? Chyba nie dzwonisz po sześciu latach milczenia po to, żeby się dowiedzieć, czy Jim ma łupież?

– Straciłem pracę – wymamrotał.

Grete albo nie zrozumiała, co powiedział, albo jej to nie obchodziło.

– Słuchaj – powiedziała. – Dobrze się składa, że dzwonisz. Byłam cała w nerwach, bo nie wiedziałam, skąd mam wziąć twój numer telefonu lub adres, nie wiem nawet, gdzie mieszka twoja matka... – Grete zaczerpnęła powietrza, Alfred poczuł, że bardzo się boi, żeby nie odłożył słuchawki.

– Chcę ponownie wyjść za mąż – powiedziała cicho. – Czy ciągle nie zgadzasz się na rozwód, czy możemy wreszcie dojść do porozumienia? Powiedz, czego chcesz, i miejmy to szybko za sobą. Okay?

Myśli kłębiły się Alfredowi w głowie. Propozycja Grete całkowicie go zaskoczyła, zakaszłał zmieszany. Pomysł, na który wpadł w tym momencie, był tak niesamowity, że jego ciało przeszył gorący prąd.

– Sto tysięcy – powiedział. – Wtedy dostaniesz rozwód.

– Sto tysięcy? – Grete przełknęła ślinę.

– Sto tysięcy. Twój ojciec na pewno chętnie zapłaci taką sumę, przecież dla niego to pestka. I jeśli o mnie chodzi, będziemy mieli to szybko z głowy.

– Sto tysięcy to mnóstwo pieniędzy.

– Jeśli ktoś chce koniecznie wyjść za mąż i ma takich majątnych rodziców jak ty, to bułka z masłem. Pięćdziesiąt tysięcy teraz, a drugie po ogłoszeniu wyroku.

- Muszę porozmawiać z rodzicami. Jak mogę cię złapać?
 - Mam skrytkę pocztową w Hamburgu. Numer dziesięć dwadzieścia trzy pięćdziesiąt sześć. Ale nie przejmuj się, zadzwonię za dwa dni.
 - Dobrze. - Grete głośno westchnęła.
 - Aha i jeszcze coś. Jestem tym zainteresowany wyłącznie pod warunkiem, że załatwimy to szybko. Powiedz to ojcu. Gdybym musiał czekać na pieniądze pół roku, możesz zapomnieć o swoim ślubie. W poniedziałek jadę do Gifhorn. Tam chcę odebrać pierwszą ratę.
- Odłożył słuchawkę i poczuł się jak sprinter po pobiciu rekordu świata. Wiedział, że Grete załatwi pieniądze.

Tydzień później Alfred przebiegał dwudziestopięciokilometrowy dystans nad Alsterą. Zawsze tą samą trasą, okrążenie za okrążeniem. Chciał pomyśleć.

Ojciec Grete, Heinz, przekazał mu pięćdziesiąt tysięcy marek w gotówce, najpewniej brudne pieniądze, ale Alfreda to nie interesowało. Rozwód powinien nastąpić najpóźniej wiosną, a w lecie Grete chciała wyjść za mąż za profesora gimnazjum z Hanoweru. Alfred nie robił dalszych trudności, nie interesował się Jimem, a Grete w zasadzie zawsze była mu obojętna.

Dobrze mu się wiodło. Wszystko było w porządku. Finansowo był na jakiś czas zabezpieczony, ale musiał uważać, żeby tak pozostało. Powinien pomnażać pieniądze, żeby za parę lat nie obudzić się z pustymi rękami.

Alfred starannie ukrył pięćdziesiąt tysięcy w swoim mieszkaniu. Pierwszy raz bał się, że ktoś mógłby się do niego włamać. Poprzedniego wieczoru przeliczył pieniądze pod kołdrą, żeby sąsiedzi niczego nie zauważyli, ponieważ nie miał w oknach zasłon.

Tyle pieniędzy. Jeszcze nigdy nie widział takiej fury pieniędzy. Było to upajające uczucie. Rolf, gdybyś mógł to zobaczyć, czy wyszłyby ci na wierzch, pomyślał.

Rolf. Z nim mógłby spędzić życie i dzielić się wszystkim, co posiada. Z nim byłoby to możliwe. Prawdopodobnie wszystko ułożyłoby się inaczej, gdyby nie zdarzyło się to z Rolfem.

Alfred biegł i biegł. Nie czuł oddechu ani mięśni nóg. Nie męczył się i zapomniał liczyć okrążenia. Nie myślał już o pieniądzach, teraz myślał już tylko o Rolfie. Łzy napłynęły mu do oczu, może sprawił to zacinający zimny wiatr, a może wspomnienie.

Alfred był dzieckiem, które ciągle przebywało samo. Rodzina utrzymywała się ze skromnej wdowiej renty, matka miała dość roboty z ga-

dziną (tak nazywała zwierzęta) i drobiazgiem (tak nazywała dzieci), ogrodem i domem. Ziemię oddała w dzierżawę. Bliźniaczkom młodszy brat wydawał się strasznie nudny, a Rolf musiał pomagać matce. Lekcje mógł odrabiać dopiero wieczorem, kiedy już wydoił krowy, nakarmił świnie, a bez przerwy marudzące bliźniaczki leżały w łóżku. Rolf uczył się coraz gorzej, był stale przemęczony i ciągle zasypiał w szkole. Kiedy ze szkoły przychodził list, matka sprawiała mu takie lanie bambusową trzcina, aż jego mały goły tyłek robił się czerwony jak rak i opuchnięty.

Na Alfreda nikt nie zwracał uwagi i chłopiec szybko pojął, że lepiej się schować, nie rzucić się w oczy, pozostawać niewidzialnym. Przesiadywał w ciemnych kątach, pod kuchennym stołem, za fotelem, kuczał obok kubła na śmieci za brudną plastikową zasłoną albo godzinami leżał cicho pod łóżkiem. Patrzył, jak matka biła brata, i nigdy nie pisała nawet słówka. Nie wiedział, dlaczego brat dostał lanie, ale nie pytał. Rolf nigdy nie uronił ani jednej łzy podczas tej bolesnej procedury, Alfred również starał się nigdy nie płakać. Przełknął tylko łzy, kiedy kopnęła go krowa, jak spał w sianie, nie płakał, kiedy spadł z jabłoni, a także kiedy na podwórzu wszedł na zardzewiały gwóźdź, który przebił jego małą stopę i wyszedł wierzchem buta.

Matka biła Alfreda za każdym razem, kiedy coś przeszkrobał, miał szczęście, że rzadko zwracała na niego uwagę. Kiedy marzył pod jabłonią i nie przychodził do domu na kolację, nikt o niego nie pytał. Ale w takie wieczory Rolf, ledwie przełknął ostatni kęs, wybiegał z domu, żeby poszukać młodszego brata. I zawsze go znajdował! Podnosił go wówczas, mocno obejmował i mówił: „Dzięki Bogu, że cię znalazłem!”

Kiedy Alfred leżał potem w łóżku, zasypiał szczęśliwy i było mu ciepło i błogo. A więc był na świecie człowiek, który wiedział, że on w ogóle istnieje. I który go choć trochę lubił.

Nikt z nim nie rozmawiał. Matka nie czytała mu książek i nie opowiadała bajek. Bliźniaczki były całkowicie zajęte sobą. Nikt nie wyjaśnił mu reguł rządzących tym światem, nikt nie powiedział mu, co jest dobre, a co złe, co jest prawdą, a co fałszem.

Najpiękniejszymi chwilami w życiu Alfreda były te chwile, kiedy Rolf na przykład mówił: „Chodź, pokażę ci, jak się łowi ryby”.

Siedzieli obok siebie na brzegu jeziora i Alfredowi nie wolno było powiedzieć ani słowa. Ale do tego się już przyzwyczaił. Rolf trzymał wędkę z żyłką w wodzie i czekał. Alfred pilnie go obserwował i też czekał. Rolf opierał brodę na rękę, wodził wzrokiem po jeziorze i odrobinę zezował. Alfredowi jego gruby brat wydawał się cudowny i w tej chwili niezmiernie go kochał.

Alfred przypatrywał się, jak żyłka zaczynała nagle drgać i Rolf wyciągał z wody nadzianą na haczyk trzepoczącą się rybę, która rozpaczliwie chwyciła pyskiem powietrze. Potem Rolf wyjmował scyzoryk i robił głębokie nacięcie pod jej głową. Alfred był zafascynowany, kiedy ciemnoczerwona krew powoli sączyła się z ciała srebrzystej ryby. Wyglądało to tak, jakby w rybie zachodziła zadziwiająca metamorfoza.

– Czy ją to boli? – zapytał kiedyś Alfred.

– Nie – odparł Rolf. – Wcale. Kiedy matka bije mnie kijem, jest dużo gorzej.

– Czy ona teraz nie żyje, tak jak tata?

– Tak – powiedział Rolf – ale co ty wiesz o tacie. Przecież w ogóle go nie znasz. – Nie miał ochoty mówić o ojcu, w ogóle nie chciał o nim pamiętać, zwyczajnie go to bolało.

I tak w rodzinie Heinrichów konsekwentnie przemilczano pamięć o ojcu, który zmarł o wiele za wcześnie i bez zastrzeżeń kochał swoje dzieci. Zapewne Alfredowi pomogłoby, gdyby przynajmniej o tym wiedział.

Alfred odkrywał świat na swój sposób. Łaził po ogrodzie i pobliskich łąkach i badał każde zwierzę, które znalazł. Odrywał nogi pająkom, rozgniatał ślimaki, kroił na kawałki żaby, jaszczurki i chrząszcze, małej myszy przeciął nawet gardło, tak jak to widział u Rolfa. Mysz była tak zaskoczona, że poszła na śmierć, nie wydając dźwięku. Tak samo jak wszystkie inne zwierzęta. Żadne nie krzyczało, nie jęczało ani nie skamlało. Alfred nauczył się też, że są zwierzęta, które krwawią, i inne, papkowate, które zamiast krwi mają szklisty lub żółtawy śluz. Takie uważał za nudne.

*
**

Kiedy bliźniaczki miały po dwanaście lat, prawie jednocześnie – w odstępie zaledwie kilku dni – dostały swoją pierwszą miesiączkę. Poczyły się teraz całkiem dorosłe i stały się jeszcze bardziej zarozumiałe i niezdolne. Edith kupiła dwie paczki podpasek i, co oczywiste, została obie własnemu losowi. Luise i Lene uwielbiały to, że podczas tych dni nie musiały chodzić w szkole na gimnastykę, co do reszty menstruacja była po prostu tylko uciążliwa. Tak jak codzienne mycie zębów.

Alfred miał pięć i pół roku, kiedy wszedł do łazienki po swojej siostrze. Lene i Luise zasnęły, strasznie śpieszyły się do szkoły i wybiegły z domu nawet bez śniadania. W pośpiechu Lene zapomniała spuścić wodę w toalecie i w muszli była krew. Alfred zafascynowany wpatrywał się w sedes. Najwidoczniej siostra mocno się skaleczyła, ale ani nie płakała, ani nie krzyczała. Tak dużo czerwonej krwi, a ona po prostu pobiegła do szkoły. Ale umrze. Jeszcze dziś przed południem. Może w jej przypadku potrwa to trochę dłużej niż u żaby lub myszy, lub wszystkich innych zwierząt, które krwawiły.

Alfred pomyślał, że już nigdy nie zobaczy siostry. Całe przedpołudnie siedział cicho na swoim łóżku i bawił się kontaktem w ścianie, do którego wkładał i wyjmował wtyczkę. Wkładał i wyjmował. I tak przez kilka godzin.

Aż Lene i Luise w południe wróciły do domu. Chichocząc i trajkocząc jak zawsze. Lene nie umarła. Jej oczy nie zrobiły się też szkliste jak u ryby. I nie wyglądała, żeby ją coś bolało.

Alfred przestał rozumieć świat.

Alfred chodził wszędzie za Rolfem. Mały cień, który starał się nie rzucać w oczy, nie zrobić nic złe, który chciał być niewidzialny, ale nie chciał być sam. Rolf był dla niego przyjacielem i bratem, matką i ojcem. Był bramą do świata, bez Rolfa świat kończył się dla Alfreda przy jabłoni. Rolf udzielał mu odpowiedzi na nieliczne zadawane pytania. Kiedy otrzymał odpowiedź, trzy dni trzymał buzię na kłódkę, żeby nie działać bratu na nerwy.

Kiedy więksi chłopcy grali w nogę, Alfred przynosił piłkę, jeśli poleciała poza boisko i wylądowała w strumieniu, jeździł z Rolfem

rowerem, siedząc na bagażniku, a nawet chodził z nim do kina. Kiedy Rolf kupował sobie bilet, Alfred przemykał pod okienkiem kasowym poza zasięgiem wzroku kasjerki.

Były to filmy dozwolone od lat szesnastu, na których źli mężczyźni w kapturach na głowie wchodzili przez zamaskowane drzwi i podryzali gardła pięknym kobietom, filmy, w których mnisi w podziemnych lochach dręczyli swoich więźniów, a wstępem do przestępstwa zawsze była burza z piorunami; zawsze działo się w nich coś straszego, kiedy ktoś szedł nocą przez las lub pod żelaznym mostem. Alfred prawie wariował ze strachu. Drżąc, siedział na podłodze za fotelami kinowymi i nie mógł zebrać się na odwagę, żeby spojrzeć na ekran. Rolf zlizywał z dłoni proszek musujący i wydawało się, że te okrutne sceny w ogóle nie robią na nim wrażenia.

Strach Alfreda urósł do niewiarygodnych rozmiarów. Zawładnęła jego życiem. Wieczorem, kiedy było ciemno, nie miał odwagi pójść do obory lub piwnicy, spał tylko przy włączonym świetle i płakał podczas burzy.

Bliźniaczki wyśmiewały się z niego, a matka powtarzała: „Ten dzieciak do niczego się nie nadaje”. Alfred myślał już tylko o własnej śmierci i doprowadzało go do szaleństwa, że nie wiedział, kiedy się to stanie i jakie męki go czekają.

Rolf nauczył go pływać, strugać łódki z kory, pokazał mu, gdzie się przecina rosówki, żeby jej obie części dalej żyły. Obaj z Rolfem strzelali z pistoletu-zabawki, do którego jako naboje wsadzali wkłady do długopisu, i celowali nimi w zwierzęta w książce do biologii. Rolf i Alfred porozumiewali się wymyślonym przez siebie szyfrem, przesyłali sobie zaszyfrowane wiadomości, a potem palili kartki w umywalce.

W ciepłe sierpniowe popołudnie Rolf powiedział:

– Chodź, idziemy pukać jabola. – Alfred pomyślał o zrywaniu jabłek albo o czymś podobnym, lecz potem Rolf usiadł po turecku na ziemi w swojej kryjówce nad strumieniem, a Alfred naprzeciw niego. Rolf wyjął siusiaka ze spodni, a Alfredowi wydało się totalnie głupie, żeby sikać na siedząco. Ale wtedy Rolf powiedział, że ma robić wszystko dokładnie tak samo jak on. I Alfred to robił. Rolf pocierał swojego

siusiaka w górę i w dół i Alfred tak samo pocierał swojego małego, cienkiego siusiaka. Poczłł łaskoczącą przyjemność w okolicy pachwiny i zrobiło mu się rozkosznie ciepło, ale to było już wszystko. Rolf natomiast po krótkim czasie stawał się coraz bardziej nerwowy, pocierał coraz szybciej i w końcu rzucił spode łba tak straszne spojrzenie, jakiego Alfred jeszcze nigdy nie widział. Potem wydał z siebie wysoki dźwięk, jakby chciał zacząć śpiewać, i trysnął kleistą jasną cieczą w kierunku Alfreda.

– Nie martw się – powiedział Rolf i uśmiechnął się bardzo zadowolony. – U ciebie też tak kiedyś będzie. Tylko musisz często próbować, a jak już się uda, jest obłądnie.

Co wieczór Alfred bał się chwili, kiedy kazano mu iść do łóżka. Wtedy leżał, drżąc, przykryty po uszy kołdrą, i z przerażeniem obserwował cienie, które przemykały po pokoju, gdy wiatr poruszał liśćmi dużego kasztanowca przed domem.

Matka mówiła, że śmierć jest kostuchą, która przychodzi i ścina głowy starym i chorym, ale przede wszystkim niepotrzebnym ludziom. Prędzej czy później dopadnie każdego. Kiedy słyszy się w nocy pohukiwanie puszczyka, to znak, że ona już jest, i człowiek umiera.

Noc w noc Alfred łudził się, że śmierć go nie znajdzie. A rano szedł do komórki i sprawdzał, czy kosa, którą matka po śmierci ojca przyniosła z łąki, wciąż wisi na haku.

Ale prawdziwe męczarnie zaczęły się dopiero, kiedy Alfred poszedł do szkoły. Był niezdarą, któremu nic nie wychodziło, można mu było dokuczać, jak tylko się chciało. Kiedyś przed pierwszą lekcją uczniowie z jego klasy wyrzucili mu wszystko z tornistra, połamali kredki, podarli zeszyty i poplamili atramentem starannie odrobione lekcje. Kiedyś przytrzymali go i obcięli włosy, schowali krzesło, żeby jako jedyny musiał stać podczas lekcji. Zabierali mu drugie śniadanie i jedli na jego oczach, w czasie wf-u zrobili mu dziury w spodniach i nazywali go głupkiem.

Alfred znosił to wszystko, nie bronił się i nigdy nie powiedział ani słowa. Czekał, aż dręczenie go przestanie im sprawiać przyjemność,

tak samo jak jemu po jakimś czasie zdziwiło się wrywanie odnóży konikom polnym. Czekał daremnie. Nie przestali, przeciwnie, stawali się coraz gorsi.

Najsilniejszy w klasie był Pjotr. Przyjechał z rodzicami z Białorusi, chodził już tam do szkoły, ale z powodu słabej znajomości języka musiał zacząć naukę w Niemczech od początku. Był dwa lata starszy od innych dzieci, o pół głowy wyższy i bardzo silny, o ciężkiej i masywnej budowie ciała. Miał rude włosy i bladą, prawie białą skórę upstrzoną olbrzymimi brązowymi piegami, które były tak duże jak główka pinетки i tworzyły na jego twarzy błazeńskie wzory. Pjotr był strasznie brzydki i nie nadążał na lekcjach za innymi, ale nikt nie odważył się z niego żartować ani go zaczepiać, ponieważ potrafił spuścić takie manto jak nikt inny w klasie. I kiedy zauważył, że to jego jedyna mocna strona, zawsze jako pierwszy wywoływał kłótnie i wszczynął bójkę. Toteż pierwszym słowem niemieckim, którego się nauczył, było „zabiję cię”.

Pjotr gardził Alfredem z powodu jego ślamazarności; jeszcze nigdy nie widział też u tego chudego śledzia, i to go drażniło.

Pewnego piątku Alfred został jeszcze po lekcjach w klasie, żeby się spakować, co u niego zawsze trwało dłużej niż u innych, ponieważ z zasady był wolniejszy, zawsze nosił ze sobą o wiele za dużo rzeczy i musiał pozbierać wszystkie manatki, które pochowali mu inni uczniowie.

W tym momencie do klasy wszedł Pjotr i zamknął za sobą drzwi. Alfred zorientował się, że jest w pułapce. Ze strachu zsiąkł się w spodnie i kwiczał jak świnia, która wie, że za chwilę ją zarzną.

Pjotr szyderczo szczyrzył zęby, kiedy długimi, powolnymi krokami zbliżał się do o wiele mniejszego Alfreda, który nawet nie próbował uciekać, i uderzył go w twarz. Alfred połknął wybity ząb i krew, i nie był zdolny wymyślić żadnej strategii, żeby uciec Pjotrowi.

– Trzy marki – powiedział Pjotr. – Co tydzień. Wtedy będziesz miał spokój. Albo cię zabiję.

– Nie mam pieniędzy – wyjąkał Alfred.

– Dobra, dobra – uśmiechnął się Pjotr i znowu uderzył. Tym razem w żołądek. Alfred zaczął się dusić z braku powietrza, ale się nie poddał. I nie płakał.

Teraz Pjotr złapał go za kurtkę, podniósł i powiesił na środkowym wieszaku na ubrania. Alfred czuł, że nie ma sensu się szarpać, i nie ruszał się. Pjotr podszedł do szafy, w której przechowywano pomoce naukowe, znalazł kłębek sznurka i przywiązał prawą i lewą rękę Alfreda do sąsiednich wieszaków, tak że wisiał tam jak ukrzyżowany i nie miał cienia szansy, żeby się uwolnić. Zanim Pjotr odszedł, jeszcze kopnął Alfreda w krocze. Pierwszy raz Alfred nie potrafił powstrzymać się od płaczu.

Pjotr bardzo zadowolony z siebie wyszedł z klasy.

Edith przeklinała to cholerne guzdranie, kiedy Alfred nie przyszedł na obiad, i postanowiła, że złozi mu skórę, jak tylko wróci do domu. Rolf milczał. Martwił się i z obojętną miną rozgrzebywał jedzenie na talerzu. Podobnie jak bliźniaczki, które nie były całkowicie zgodne co do tego, jak powinna wyglądać ich dwudziesta piąta dieta. O młodszym bracie nawet nie pomyślały.

Chociaż właściwie Rolf powinien kosić łąkę za domem, po południu wybrał się na poszukiwania. W ogrodzie Alfreda nie było, na jablońni też nie, tak samo nad strumieniem oraz w ich kryjówce. Nie zaszył się w stodole ani w chlewie. Nie wczołgał się za zlew ani nie leżał pod łóżkiem, po raz pierwszy naprawdę zniknął.

Rolf coraz bardziej się denerwował. Pojechał rowerem do szkoły. Dozorca mieszkał w małym domku przy szkole i na wszelki wypadek najpierw poszczał Rolfa psami, zanim wysłuchał jego historii i zrzedząc pod nosem, otworzył szkołę.

Kiedy Rolf przeszukiwał budynek, dozorca przeszedł, paląc papierosa, przez przebieralnię przy sali gimnastycznej, przejrzał pozostałe tam rzeczy i wrzucił wszystko do dużego worka.

Rolf nie wiedział dokładnie, gdzie była klasa jego brata, ale szybko ją znalazł.

Alfred wciąż wisiał w szatni. Broda opadła mu na piersi i wyglądał jak martwy. Rolf uwolnił go i zaniósł do domu.

Rolf wyjaśnił matce, że Alfred przewrócił się nad strumieniem, wybił sobie ząb i stracił przytomność.

– Już ci wierzę – powiedziała Edith, ale przynajmniej nie krzyczała.

Tego wieczoru Alfred pierwszy raz wypłakał z siebie wszystkie troski i zale. Przytulił się do Rolfa i opowiedział o wszystkim, co przydarzyło mu się do tej pory w szkole.

Teraz Rolf wiedział, co ma zrobić.

Pjotr nie przychodził do szkoły przez trzy tygodnie. Miał silne wstrząśnienie mózgu, strzaskaną rękę, złamane dwa żebra i szczękę.

Kiedy Pjotr znowu pojawił się w szkole, nie odezwał się do Alfreda ani słowem, ale zostawił go w spokoju. Inni uczniowie także przestali go szykanować. Nie lubili go, ale przynajmniej teraz nie zwracali na niego uwagi. Żarty się skończyły. Alfred się obronił i wytyczył granicę, choć potrzebował do tego pomocy Rolfa.

Katastrofa nadeszła ukradkiem i niepostrzeżenie. Rolf nie miał apetytu i często wymiotował, ale tylko Alfred to zauważył. Nie miał jednak odwagi powiedzieć o tym matce. Bał się, że zdradzi Rolfa lub że na dodatek wbije mu nóż w plecy. Rolf robił się coraz szczuplejszy i słabszy. Nagle zaczął mieć trudności z porąbaniem kawałka drewna lub przyniesieniem ciężkiego wiadra z węglem. Był chudy jak szczapa i miał zapadnięte policzki, a matka powiedziała jedynie, że to tylko to przekłete dojrzewanie. Bliźniaczki chichotały i dalej się głodziły, mimo to nie pozbywały się dziecięcego tłuszczu.

Ciało Rolfa było usiane niebieskimi plamami, ale stało się to widoczne dopiero w lecie, kiedy chłopiec włożył krótkie spodnie. Matka skwitowała to uwagą, że w jego wieku mógłby już przestać się bić.

Dopiero kiedy z powodu potwornego bólu głowy nie mógł już wstać i pójść do szkoły, Edith zabrała go do lekarza.

Alfred leżał pod łóżkiem i czekał na Rolfa.

Edith wróciła około północy. Sama. Alfred stał w kuchni i wpatrywał się w nią wystraszony.

– Jest w szpitalu – powiedziała. – Od razu go zatrzymali. Nie martw się, to na pewno nic poważnego. Lekarze znowu postawią go na nogi. Po prostu za szybko urósł.

Alfred skinął głową.

– Co oni z nim robią? – zapytał cicho.

– Oczyszczą mu krew, bo nie wszystko z nią w porządku.

Jak można oczyścić krew?, zastanawiał się Alfred. Wodą? Czy będą go płukać, czy do środka dostał mu się brud? Postanowił, że jutro z samego rana spróbuje tego z myszą lub żabą.

Matka rozłożyła ramiona.

– Chodź do mnie, mój mały zajączku.

Alfred się przestraszył. Matka jeszcze nigdy czegoś takiego nie powiedziała i jeszcze nigdy tak go nie nazwała. Zbliżył się do niej bardzo powoli i ostrożnie, ponieważ bał się, że go zbije, jeśli tego nie zrobi.

Przyciągnęła go do siebie, objęła i mocno przycisnęła.

– Teraz jesteś moim dużym chłopcem – szepnęła, a powieki jej suchych oczu były mocno zaczerwienione.

Alfred nie potrafił odwzajemnić matczynej czułości, ale zrozumiał, co znaczyły te słowa: Rolf już nie wróci.

Alfred chciał odwiedzić brata w szpitalu. Koniecznie. Ale Edith nigdy nie zabrała go ze sobą. W proteście Alfred przestał jeść i pić. Wszystko, co musiał zjadać i co Edith na siłę wlewała lub wpychała mu do ust, wypluwał na podłogę w kuchni. Edith tłukła go za to, ale znosił bicie i nie przestawał prosić i błagać, żeby pozwoliła mu iść ze sobą do szpitala. W końcu Edith się poddała, chociaż nie zmieniła zdania, że dzieci nie mają czego szukać w szpitalu.

Rolf nie miał włosów na głowie i był jeszcze chudszy niż przedtem, ale uśmiechnął się, kiedy zobaczył Alfreda. Jego wargi były całkiem suche, sklejały się ze sobą i trudno mu było mówić.

– Nie dawaj się mały, słyszysz? – Alfred przytaknął dzielnie, chociaż chciało mu się płakać. – Teraz musisz liczyć tylko na siebie, ale dasz radę. Musisz mieć siłę i jasny umysł. To wszystko. I nie zapominaj: to ty jesteś szefem. To ty kierujesz swoim życiem. Miej otwarte oczy i nie daj się zaskoczyć. To cała tajemnica.

– Nigdy nie będę taki silny jak Pjotr – wyszeptał Alfred.

– W takim razie musisz być mądrzejszy. – Rolf zrobił krótką przerwę i kilka razy głęboko odetchnął. – Co robisz, kiedy nie możesz przerwać sznurka?

– Biorę nóż.

– No widzisz. – Rolf próbował się uśmiechnąć. – Już kapujesz, co mam na myśli.

– Co za głupstwa pleciesz? – zapytała Edith.

Głos Rolfa stawał się coraz bardziej cichy.

– Chodzi o przeżycie, mam, ja przegrałem, ale nie chcę, żeby Alfred też przegrał.

Alfred położył się na łóżku obok Rolfa, który objął go ramieniem, i pierwszy raz w swoim życiu Alfred modlił się do kogoś, kogo nie znał, ale prosił go, żeby zatrzymał czas i pozwolił mu leżeć tak wiecznie.

Edith milczała. Patrzyła na obu synów i zastanawiała się, jak do tego doszło, że tak bardzo się kochają. Przecież ich tego nie nauczyła.

Wyszli dopiero wówczas, kiedy Rolf zasnął. Przez całą drogę do domu Alfred płakał. Kiedy przed domem wysiadł z samochodu, powiedział:

– Dziękuję, mam.

Niecałe dwa tygodnie później odbył się pogrzeb. Wszystko, co się wydarzyło, Alfred odbierał jak film, na który dostał się kiedyś ukradkiem, ale go nie rozumiał. Nie potrafił sobie wyobrazić, że w tej udekorowanej kwiatami trumnie leży Rolf. Rolf, który się nie ruszał, nic nie mówił, nie stukał w wieko, pozwalał wszystko ze sobą robić. Przecież nie można było tak po prostu zakopać go w ziemi! Jeszcze w szpitalu Rolf powiedział mu, że nie wie, gdzie będzie, kiedy choroba go zabije, ale na pewno gdzieś będzie. Gdzieś, gdzie nie ma chorób i Pjotrów, którym trzeba łamać zębra. Gdzieś, gdzie w spokoju będzie mógł obserwować, co dzieje się na Ziemi. I może będzie nawet mógł towarzyszyć Alfredowi i czuwać, żeby nie stało mu się nic złego. Nie wie tego dokładnie, ale postara się, żeby być przy nim, przy Alfredzie, nawet jeśli Alfred nie będzie tego czuł.

A teraz ta na stałe zamknięta trumna ma zostać w jakiejś dziurze przysypana metrową warstwą ziemi? Czy Rolf tego nie wiedział? Jak chciał potem być przy nim, obserwować świat, zapobiegać złu?

Trumnę spuszczone do dołu. Jeszcze było ją widać. Matka stała nad grobem jak czarna wiedźma. Nie chciała, żeby Rolf był przy Alfredzie, to ona zorganizowała pogrzeb, to ona tak zarządziła. To ona o wszystkim zadecydowała i nienawidził jej za to w tej chwili. Obok matki stała jej siostra Rita, która specjalnie na pogrzeb przyjechała z Karlsruhe. Nie znał ciotki Rity, znał tylko kartki od niej z życzeniami na urodziny i święta, ale miała takie same surowe rysy wokół ust jak matka i dlatego jej nie ufał.

Edith rzuciła trzy łopaty piachu na trumnę i odwróciła się. To samo zrobiły Rita i bliźniaczki, które podczas całego pogrzebu nie wydały ani jednego dźwięku, co było niezwykle. Kiedy na Alfreda przyszła kolej rzucenia piachu na trumnę, powiedział „nie” i uciekł.

– Co jest z tym dzieciakiem? – zapytała cicho Rita.

Edith wzruszyła ramionami.

– Jest taki sam jak jego ojciec. Tak samo uparty.

Alfred z niewielkiej odległości obserwował, jak grób był zasypywany, kiedy jeszcze sąsiedzi, przyjaciele i krewni wrzucali do środka garści ziemi.

Rolf nie miał racji. Nie będzie mógł być przy nim.

I teraz – czuł to – naprawdę był sam.

Po śmierci brata Alfred nie powiedział ani słowa. Do nikogo. Ani w szkole, ani w domu. Siedział obojętny, obgryzał paznokcie i dębał w nosie. Dzień i noc próbował zrozumieć śmierć. Po prostu nie mieściło mu się w głowie, żeby ktoś w jednej chwili mógł raz na zawsze zniknąć z powierzchni ziemi.

Chciał częściej i bardziej bezpośrednio doświadczać śmierci, aby wpaść na jej trop. Dlatego złapał kosa, zanurzył go w misce z wodą i obserwował, jak ptak powoli i w męczarniach tonie. W stodole powiesił za tylne nogi kota i żywcem ściągnął z niego skórę. Kot darł się jak niemowlę. Alfred stał obok i zafascynowany przyglądał się, jak po

długich męczarniach zwierzę powoli rozstawało się z życiem. W plastikowym pudełku zamknął mysz, podziwiał niestrudzone, bezsensowne próby ucieczki i całym dniami czekał, aż w końcu umrze z głodu i pragnienia. I wreszcie udusił królika, któremu w śmiertelnej walce oczy wyszły z orbit. Nie widzi mnie, pomyślał Alfred, widzi śmierć.

Wykonał jeszcze jedno doświadczenie: od niego zależało, czy śmierć przyjdzie, czy nie. On był panem. On sprawował kontrolę. To zdanie przekazał mu Rolf: „Nigdy nie wolno ci stracić kontroli”.

Tylko że Rolf po prostu umarł. I nikt nie miał takiej mocy, aby zachować go przy życiu.

Alfred litrami pił mleko, ale odmawiał jedzenia. Przejmował matkę zgrozą. Kupiła mu czerwony wóz strażacki, ale nie raczył nawet spojrzeć na niego. Ani razu nie wziął go do ręki. Kiedy matka go dotykała, otrząsał się, jakby miała dżumę, i siadał kilka metrów dalej. W bezruchu i w znacznej odległości. Ze wzrokiem, który nic nie widział, nigdzie nie docierał i tylko ginął gdzieś w oddali. Nie chciał dłużej uczestniczyć w życiu.

Po dziesięciu dniach Edith skapitulowała. Nie mogła sobie poradzić z tym odrętwieniem i poszła do pastora. Poprosiła go, żeby porozmawiał z chłopcem. O Rolfie. O śmierci i o życiu. Może Alfred prędzej posłucha pastora niż jej. Zresztą i tak nie miała talentu do znajdowania właściwych słów.

Pastor przyszedł i usiadł obok Alfreda w jego pokoju. Nie zadawał mu pytań i nie oczekiwał odpowiedzi. Nie wymagał też od Alfreda żadnej reakcji, wcale na niego nie patrzył, kiedy opowiadał matemu chłopcu wszystko, co wiedział o śmierci i życiu wiecznym, co przeczytał w książkach i już niezliczoną ilość razy wygłaszał z ambony. Tak naprawdę nigdy nie miał poczucia, że jego słowa padają na urodzajny grunt. Ale Alfred zamienił się w słuch, co pastor widział w jego oczach, Alfred prawdziwie chłonał każde jego słowo. I pastor po raz pierwszy poczuł, że jego zawód ma sens.

Kiedy mówił o duszy, która ulatuje z wyczerpanego chorobą lub śmiertelnie zranionego ciała, po prostu niemogącego już dłużej funkcjonować, Alfreda przeszył prąd i zaczął drżeć ze wzburzenia.

– Dusza – powiedział pastor – jest tym wszystkim, co stanowi o człowieku. Dusza potrafi myśleć i czuć, kochać i nienawidzić, a po śmierci jest wreszcie wolna i ulatuje. Może ulecieć do wiecznego życia. Dusze zmarłych są wśród nas, ale ich nie widzimy. Tylko czasem czujemy ich obecność. Dusza staje się aniołem stróżem, jak człowiek w czapce niewidce, który zawsze jest przy nas i nas strzeże. Dla duszy nie ma żadnych przeszkód. Przenika przez mury i żelazne drzwi, przez góry i morza. Jeśli jest duszą dobrego człowieka, wtedy jest szczęśliwa, i to jest niebo. Jeśli człowiek był zły, dusza będzie wiecznie nieszczęśliwa i niezadowolona, i to jest piekło.

– Kiedy dusza ulatuje z ciała człowieka? – zapytał Alfred i było to pierwsze zdanie, które wypowiedział od pogrzebu Rolfa.

– Zaraz po śmierci – odpowiedział pastor. – Kiedy serce przestaje bić, a mózg myśleć, dusza ulatuje i pozostawia po sobie tylko ludzką powłokę, która potem rozkłada się w grobie. Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz. Nasze ciało jest doczesne, ale dusza jest wieczna.

Od tego dnia Alfred znowu zaczął jeść i znowu mówił, ale tylko wówczas, kiedy było to niezbędne. Uparł się, żeby do posiłków nakrywać również dla Rolfa, i wtedy kładł najlepsze i wyjątkowe kęski, które najchętniej sam by zjadł, na jego talerzu – ale kęski te zawsze pozostawały nietknięte, dopóki po skończonym posiłku matka nie wyrzuciła ich do śmieci.

Matka i bliźniaczki w ogóle nic nie rozumiały. Ciągłe wierzyły, że Rolf leży pod ziemią. Alfred nie miał ochoty im tego wyjaśniać i nie chciał mieć z nimi więcej do czynienia. Bo on był inny.

Hamburg, luty 1990

W następnych dniach w Hamburgu gwałtownie spadła temperatura. Mróz malował kwiaty na szybach, a piasek w piaskownicy zamarzył na kamień, kiedy jej koleżanka Marlies po raz pierwszy zwróciła na niego uwagę. Nie miał na sobie płaszcz ani marynarki, tylko czarne kortowe spodnie i szary golf, i stał nieruchomo na zimnie.

– Popatrz na tego faceta po tamtej stronie – powiedziała Marlies. – Myślałam, że czeka na autobus, ale przepuścił już trzy.

Carla nie zareagowała, jednak nie spuszczała go z oka. Wyglądał dobrze. Cholernie dobrze. Chociaż trudno było ocenić jego wiek. Mimo wyrazistych rysów jego twarz wyglądała młodo, ale włosy już posiwiały. Wlepiął wzrok w przedszkole. Niewzruszenie. Na należącym do przedszkola placu zabaw jej koleżanka Rosa bawiła się z czterolatkami, które – grubo opatulone – huśtały się lub wspinały na ustawione tam przyrządy.

Teraz mężczyzna zaczął rozcierać zeszywniałe palce. Aha, pomyślała Carla, a więc nie jest z kamienia. Powoli narastało w niej nieprzyjemne uczucie. Pojawiało się zawsze, kiedy zaczynało ją swędzić w przetyku. Osobliwe uczucie. Carla zastanawiała się, czy to przypadek dla policji. Była kierowniczką, ponosiła odpowiedzialność, kiedy popełniła jakiś błąd, musiała odpowiadać na zarzuty. Mężczyzna, który od półgodziny przypatruje się przedszkolu... Po co? Na pewno nie był normalny. Ale też nie był nienormalny. Nie zaczepił żadnego dziecka. A samo patrzenie nie było przecież zabronione.

Nienawidziła takich sytuacji, kiedy nie wiedziała, jak powinna zareagować. Są ludzie, którzy podejmują decyzję już po krótkim namyśle. Inni w ogóle się nie namyślają i od razu wiedzą, co zrobić. Niektó-

rzy mogą się zastanawiać, ile tylko chcą, a i tak zawsze są niezdecydowani i nigdy nie podejmują jednoznacznej decyzji. W głębi duszy Carla doskonale zdawała sobie sprawę, że nie nadaje się na kierownicze stanowisko, ale kiedy zaproponowano jej tę funkcję, oczywiście powiedziała tak. Bez namysłu. Od razu, ponieważ było jej przykro odmówić. I bardzo jej to pochlebiało. Widocznie do tej pory jeszcze nikt nie zauważył, że miała tak duże problemy z podejmowaniem decyzji.

Marlies stanęła obok niej przy oknie.

- Czy on ciągle tam jest?
- Zabawny facet – mruknęła Carla.

Marlies wykrzywiła się.

- Ale nic na to nie poradzisz. W końcu co w tym złego? – Marlies była podobna do jej siostry. Silna, wesoła osoba, której nic nie było w stanie wyprowadzić z równowagi. Zawsze reagowała szybko i intuicyjnie i zawsze prawidłowo. Kiedy przed kilkoma tygodniami jedno z dzieci nadziało się na ostry patyk, który utkwiał mu w plecach, Marlies nakrzyzczała na Elfi, która chciała wyciągnąć patyk z pleców dziecka, i kazała go zostawić. Zająła się dzieckiem, mówiła do niego bez przerwy, trzymała je za ręce, głaskała i twardo patrzyła w oczy, kiedy jechało już pogotowie. Dziecko w ogóle nie zauważyło, co mu się stało. Nawet nie płakało, tak było zafascynowane tym wszystkim, co opowiadała mu Marlies. Ratownikom wyraźnie ulżyło, kiedy ujrzeli, że patyk ciągle tkwi w plecach dziecka, położyli je na brzuchu na noszach i zabrali do szpitala. Marlies też wsiadła do karetki i cały czas coś mówiła do dziecka.

Carla była wtedy ogromnie wdzięczna Marlies. I nie potrafiła odpowiedzieć sobie na pytanie, czy też nie chciałaby wyciągnąć patyka z pleców, gdyby była sama z dziećmi.

Dość obojętna uwaga Marlies na temat mężczyzny stojącego po drugiej stronie ulicy trochę uspokoiła Carlę.

- Włożę płaszcz i porozmawiam z nim – powiedziała, a Marlies skinieniem głowy wyraziła zgodę. Tym samym Marlies uznała sprawę za załatwioną.

Ale kiedy Carla w zimowym płaszczu wyszła na ulicę, mężczyzna zniknął.

Następnego dnia znowu tam stał. W tym samym miejscu, mniej więcej o tej samej porze. Znowu bez czapki, szalika i rękawiczek, choć dzisiaj przynajmniej miał na sobie palto. Padał drobny śnieg. Tym razem Carla nie czekała pół godziny, tylko od razu podeszła do nieznanego.

– Przepraszam pana, pracuję w przedszkolu naprzeciwko. – Ale głupio, pomyślała, za co przepraszasz? Nie potrafiła inaczej. Tak była przyzwyczajona. Przepraszala też, gdy ktoś potrącił ją na ulicy. Kiedy przed dwoma laty jakiś kierowca wymusił na niej pierwszeństwo przejazdu i zarysował bok jej samochodu, również wysiadła i zaczęła się z miejsca tłumaczyć. Bez przerwy przepraszala, że się urodziła, że była na tyle bezczelna, aby żyć na tym świecie.

– Wiem – powiedział, uśmiechając się. – Często tu panią widuję.

– Co pan tu robi? – zapytała Carla. – Dlaczego obserwuje pan przedszkole?

– Nie obserwuję przedszkola. – Mężczyzna ciągle się uśmiechał, jego zęby były trochę za żółte. – Obserwuję panią! Widziałem, jak wczoraj stała pani przy oknie. Wydała mi się pani niezdecydowana. Wtedy nagle przyszło mi na myśl, że pani zaraz do mnie podejdzie, i poszedłem sobie.

Odebrało jej mowę. Twarz jej płonęła.

– Dlaczego, to znaczy, dlaczego pan poszedł?

Mężczyzna uśmiechnął się szerzej.

– Naprawdę interesuje to panią? – Skinęła głową. – Nie spodziewałem się tak dużego zainteresowania. Ale dobrze. Wczoraj wydała mi się pani rozgniewana. A nie chciałem z panią rozmawiać, kiedy jest pani wściekła.

– Teraz też jestem wściekła.

– Nie, wcale pani nie jest. – Tak po prostu stwierdził. Sprzeciw był bezcelowy. Punkt wyraźnie dla niego i znowu się uśmiechnął. Dziwnym zbiegiem okoliczności uśmiech nie był arogancki. Był jakiś inny. Jaki, tego nie wiedziała.

No ładnie, krzyknęła na siebie w duchu, coś podobnego. Pożegnaj się, wracaj do przedszkola i zajmij się dziećmi. Niech sobie tu stoi i od-

mraża nogi. Ten facet przewyższa cię o całe niebo. Nie masz co się z nim równać. Jest jednym z tych, którzy zawsze mówią, jak ma być, i nic nie można na to poradzić.

– Kiedy kończy pani pracę?

– O szóstej. – Właściwie musiał to wiedzieć, skoro ją obserwował. Ale przyszło jej to do głowy dopiero teraz.

– Wspaniale – powiedział. – Przyjdę po panią. A potem zapraszam na kolację.

– No dobrze – wyjąkała, a jej twarz płonęła, jakby wykąpała się w sosie chili. Potem odwróciła się na pięcie i nie rozglądając się na boki, przebiegła przez ulicę i nawet nie zauważyła, że jakiś samochód musiał ostro zahamować, aby jej nie przejechać.

Zanim weszła do przedszkola, jeszcze raz się rozejrzała. Już go nie było. Wstydziła się. Ogromnie się wstydziła, że tak łatwo przyjęła zaproszenie. Jakby rzucała się na szyję każdemu, kto się nawinie. Mogła powiedzieć okay, o ósmej. Muszę najpierw pójść do domu, wziąć prysznic, przebrać się i nakarmić kota. Ale nie powiedziała tego. Ponieważ nigdy nie mówiła, czego właściwie chciała. I teraz pójdzie na kolację w dżinsach i kolorowym swetrze w poziome pasy, który jej matka przed laty zrobiła na drutach. Pasy w kolorach tęczy, które wprawdzie pogrubiły, ale dzieci uwielbiały ten sweter, bo był taki kolorowy.

Powiem mu, że zmieniłam zdanie, że nie pójdę z nim na kolację, że nie mam ochoty. Poza tym dopiero teraz sprawdziłam w kalendarzu, że nie mam czasu... Ale kiedy zdejmowała płaszcz, dobrze wiedziała, że tego nie zrobi.

Marlies podeszła do niej i uśmiechnęła się.

– No i co? Co powiedział? Że jest gwałticielem dzieci, ale jeszcze się nie zdecydował, które w następnym tygodniu chce zwabić do ciemnego lasu?

– Nie. Zaprosił mnie na kolację. Marlies, on obserwował mnie, a nie dzieci!

Marlies zbaraniała.

– I co? Pójdziesz?

Carla przytaknęła i znowu się zawstydziła, ale Marlies cała ta historia wydała się bardzo ekscytująca.

– To wspaniale. Zrób mi jednak tę przyjemność i przez skromność nie zamawiaj znowu tego, co najtańsze. Weź też przystawkę. I w żadnym wypadku nie odmawiaj aperitif. Poproś szampana, a nie sherry lub jakiegoś głupie prosecco. Wybieraj to wszystko, na co sama nie możesz sobie pozwolić. Spędź uroczy wieczór, użyj życia i dopiero potem zastanawiaj się, czy facet cię interesuje, czy nie. Zawsze możesz pogonić go na drzewo, kiedy już odprowadzi cię do domu.

Carla skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Dokąd pójdziecie? – Marlies była teraz naprawdę podekscytowana.

– Nie mam pojęcia. Przyjdzie po mnie o szóstej.

– Coooo? Czy to ma znaczyć, że zamierzasz iść na kolację w tym okropnym dzieciennym sweterku? Chyba nie myślisz poważnie?!

Oczywiście. Marlies natychmiast odkryła jej słaby punkt. Marlies nigdy nie dałaby sobie w taki sposób w kaszę dmuchać i nie pozwoliłaby się tak zaskoczyć. Marlies intuicyjnie zareagowała tak jak trzeba.

– Przecież nie muszę się specjalnie stroić dla takiego faceta – próbowała się bronić Carla.

– No nie. Dla takiego faceta nie. Ale dla siebie. Nie będziesz miała żadnej przyjemności z kolacji ani z całego wieczoru, jeśli będziesz wyglądała jak kłown Dolly, który czeka, aż ktoś rzuci w niego tortem. Praktycznie, skromnie, przyzwoicie. Bez makijażu i żadnych ekstrawagancji. Tak można wyglądać, kiedy się pracuje w przedszkolu, Carlo, ale nie kiedy się wychodzi na kolację!

– To co mam zrobić? – Marlies miała całkowitą rację.

– W przerwie na obiad jedź do domu i przebierz się. Ja cię tu zastąpię. Nie ma problemu.

Carla skinęła głową.

– Dzięki, Marlies.

Kiedy Carla szła do biura, aby sporządzić grafik dyżurów na następny tydzień, zastanawiała się, kto tu właściwie jest szefową.

Kiedy tego wieczoru Carla wróciła do domu, było dopiero pół do jedenastej. Zamknęła za sobą drzwi, zdjęła buty i wtedy momentalnie zjawił się kot, ocierał się o jej nogi, mruczał i żebrał o znaki miłości.

Zabrała go do kuchni, dała mu trochę pokarmu i zaczęła szperać w lodówce w poszukiwaniu zapomnianej tabliczki czekolady. Potem położyła się na kanapie, głaskała leżącego na jej brzuchu kota, słuchała cichej relaksacyjnej muzyki w wykonaniu Sade, zajadała kawałki czekolady i ponownie odtwarzała w myślach cały wieczór.

Nazywał się Alfred. Alfred. Tak staromodnie, a przecież nie był jeszcze taki stary. Zapytała go, a on chętnie udzielił jej odpowiedzi. „Trzydzieści sześć” – powiedział. Alfred, który miał trzydzieści sześć lat. Pomyślała, że tacy Alfredowie należeli do pokolenia jej dziadków i będą stopniowo wymierali. Alfred Fischer. Tak banalnie.

Zapytał ją, czy ma ochotę na aperitif. Zwykle potrząsnęłaby głową odmownie, ale teraz przytaknęła.

– Kieliszek szampana dla pani – zwrócił się do kelnera, jakby czytał w jej myślach. Nic na to nie powiedziała.

Na przystawkę wybrała carpaccio z łososia, a potem faszerowaną pularkę z tortellini. Co prawda wydała się sobie okropnie bezczelna, ale pamiętała o tym, co powiedziała jej Marlies. Alfred zamówił makaron, penne all'arrabiata, i dopiero to sprawiło, że poczuła wyrzuty sumienia. Kiedy jadła carpaccio z łososia, a on jej się przyglądał, omal nie udławiła się z zakłopotania i czuła, że twarz jej płonie. Powiedział, że jest wegetarianinem. Nie dlatego, że nie lubi mięsa, ale nie chce być współwinnym śmierci ani jednego zwierzęcia. Stara się w każdej życiowej sytuacji, także tu, w mieście, szanować wszystkie stworzenia, nawet te najmniejsze i niepozorne, obojętnie, czy chodzi o muchę, komara czy mrówkę, i strzec życia każdej żywej istoty.

Wszystko, co powiedział, nie ułatwiło jej spożywania podanej po carpaccio pulardy, która miała wymieniony smak. Życzył jej smacznego, jednak ciągle się wstydziła i dłubała w ptaku, jakby pierwszy raz w życiu trzymała w rękach nóż i widelec. Własny sposób bycia wydawał jej się niezgrabny i dziwaczny, a im bardziej się sobie przypatrywała i o tym myślała, tym bardziej czuła się speszona.

Alfred jadł powoli i rozważnie. Tak świadomie, jakby każdą sztukę makaronu, którą wkładał do ust, prosił w duchu o wybaczenie, że zaraz zostanie zjedzona. Ledwie maczał usta w czerwonym winie, ona piła trzy razy szybciej od niego, co wprawdzie zauważyła, ale nie mogła zmienić. Kiedy wypiała, poczuła się trochę pewniej.

I po carpaccio z łososia, pulardzie i tiramisu na deser, które Alfred zamówił także dla siebie, leżała teraz na łóżku i zjadała jeszcze jeden po drugim kawałki czekolady. Zniknęło już dwie trzecie tabliczki.

To był wyczerpujący wieczór. Dowiedziała się, że mężczyzna był menedżerem. Menedżerem w dużej firmie. Kiedy dalej go wypytывała, zmieniał temat, doszła więc do wniosku, że woli rozmawiać o wszystkim, tylko nie o swojej pracy. Widocznie miał tego dosyć przez cały dzień. Pewnie i tak za dużo myślał o pracy. Menedżer, który zamawia najtańsze i najprostsze dania z karty. Wydało jej się to fascynujące, ponieważ było takie niezwykle.

Na dodatek menedżer, który wystawał na przystanku autobusowym i obserwował przedszkolankę. Obłąd. Który był wegetarianinem, mało jadł, mało pił, nie czuł zimna, a wieczorem szedł do restauracji w swetrze i kurtce, jakby wybrał się do schroniska dla narciarzy. Jej serce biło radośnie. Życie było wspaniałe. Sprawilo jej niespodziankę, jakiej nie wyobrażała sobie w najśmielszych snach. Poznała menedżera! Kto wie, może z tym człowiekiem jej życie potoczy się w innym kierunku.

Chciał wiedzieć o niej wszystko. O jej pracy, rodzicach, siostrze, ale najbardziej interesowały go jej marzenia. Czego jeszcze oczekiwała od życia, jakie miała pragnienia?

– Dzieci – powiedziała Carla. – Dwoje lub troje. I dom z ogrodem, i dużo zwierząt. – Z gromadką stworzeń, którymi by się opiekowała

i dla których mogłaby żyć. To nadałoby jej życiu sens. Większy niż opiekowanie się obcymi dziećmi.

Carla dostrzegła w jego oczach brak zrozumienia. Wyczuła, że chciał zapytać, dlaczego w jej wieku nie ma jeszcze dzieci, ale nie zrobił tego. W końcu znali się dopiero kilka godzin. Miała trzydzieści pięć lat i wyglądała na trzydzieści pięć. Ani o dzień młodziej, ani o dzień starzej. Powoli jej czas zaczynał się kurczyć. Biologiczny zegar tykał.

Uśmiechnęła się i pomogła mu:

– Ale niech pan nie pyta, dlaczego jeszcze nie mam dzieci! Mogę tylko powiedzieć, że sama nie wiem. Tak jakoś wyszło. Najpierw czas był niesprzyjający, ponieważ chciałam się dalej uczyć, awansować w pracy, potem to nie był ten mężczyzna, a innym razem brakowało pieniędzy... jakoś nigdy się nie składało, a teraz jeszcze trochę, a będzie za późno.

– Na dom z gromadą zwierząt nigdy nie jest za późno – podrzucił.

– W mieście to niemożliwe. Zwłaszcza jeśli pracuje się zawodowo i codziennie dziewięć do dziesięciu godzin przebywa się poza domem. Nie można na tak długo zostawiać zwierząt samych. One potrzebują miłości i poświęcenia im czasu. Dużo czasu. Inaczej stają się złośliwe. Ponieważ są jak ludzie. Jeśli ktoś za długo jest sam i czuje się samotny, również staje się złośliwy.

Alfred zmarszczył czoło.

– Ryzykowna teza.

– Możliwe. Ale jestem o tym przekonana. – Carla wypita duży łyk czerwonego wina. Alfred uśmiechnął się i czuł, że ją rozumie. Że myśli podobnie. W końcu on też był w pewnym sensie przyjacielem zwierząt i dzieci.

Dopiero teraz, tu, na kanapie, uprzytomniła sobie, że całkiem zapomniała zapytać go, czy ma żonę. Lub dzieci. Albo czy może jest rozwiedziony. Zaakceptowałaby to. Żonaty mężczyzna nieoczekiwanie stanął pod przedszkolem i czekał na przedszkolankę. Z pewnością były bardziej atrakcyjne kobiety. Młodsze kobiety. Ale jeśli szukał kochanki, istotnie był to opłaczalny rewir łowiecki.

Czego od niej chciał? Nie umiała odpowiedzieć sobie na to pytanie. Nie rozgryzła tego przez cały wieczór. Kiedy skończyła kolację, natychmiast zapłacił rachunek. Potem odprowadził ją jeszcze go domu. Szli pieszo. Kiedy przyszedł po nią do przedszkola, również poszli pieszo.

– Staram się nie korzystać z samochodu – powiedział. – W miarę możliwości. Chodzenie jest zdrowsze. I nie rozumiem ludzi, którzy siadają za kierownicą, żeby przejechać kilometr lub dwa.

Do jej mieszkania było daleko. Szli prawie trzy kwadranse i miała duży kłopot, żeby iść swobodnie, ponieważ nie chciała dać po sobie poznać, że w czółenkach na obcasie, które bardzo rzadko wkładała, zrobiły jej się na stopach pęcherze. Pęcherz na prawej nodze właśnie pękł, cienka skóra podwinęła się od ciągłego tarcia, przy każdym kroku twarda skóra jej dość jeszcze nowych butów ocierała otwartą ranę. Przez ostatnie pięćset metrów do mieszkania nie mogła już powstrzymać mocnego utykania. Alfred widział to, ale nic nie powiedział. Prawdopodobnie nie chciał wprawiać jej w zakłopotanie.

Kiedy dotarli do drzwi mieszkania, stanął i spojrzął na nią.

– Dziękuję, że pani przyjęła moje zaproszenie. Bardzo mnie to ucieszyło. Chciałbym wiedzieć, dlaczego pani to zrobiła.

– Nie wiem – odparła Carla. – Nie zastanawiałam się nad tym.

– W porządku – skwitował. – To mi się podoba. – Uśmiechnął się, powiedział: – Dobranoc – i zniknął w ciemności.

Carla była poirytowana. Nie wiedziała, co ma dalej zrobić. Znowu poczuła się niepewnie, co na chwilę wprawiło ją we wściekłość.

Poznałam menedżera, pomyślała, kiedy włożyła do ust ostatni kawałek czekolady i czekała, aż się rozpuści na języku. I dałabym wszystko, żeby go znowu zobaczyć.

Zdjęła z brzucha kota, wstała, postawiła krzesło przed regałem z książkami, stanęła na nim i zdjęła z najwyższej półki książkę telefoniczną. Spośród czterech ciężkich tomów ten właściwy leżał na samym spodzie. Oczywiście. Zawsze tak było. Poszukała jego nazwiska. W książce telefonicznej znajdowało się trzynastu „Alfredów Fischerów”. Jeden był elektrykiem, drugi adwokatem, przy pozostałych nie wyszczególniono zawodu. Oprócz tego było jedenaście „A. Fischer” i czterdzieści

trzy nazwiska Fischer bez imion. A więc sześćdziesiąt pięć możliwości. Mógł być każdym z owych Fischerów. W ten sposób nie posunie się do przodu. Faktem było, że nie znała jego adresu ani numeru telefonu, nie wiedziała też, w jakiej firmie pracuje. Wspaniale. Musiała się pogodzić z tym, że pojawiał się na przystanku autobusowym. I znowu piłka była po jego stronie. To on trzymał w ręku wszystkie nici. To on zdecyduje, czy będzie dalszy ciąg, czy nie.

Wzniosła akt strzelisty do nieba i miała głęboką nadzieję, że znowu go zobaczy. Już nigdy nie pójdzie do pracy w tęczowym sweterku. Teraz codziennie musiała być przygotowana na wszystko.

Gdyby tego wieczoru Carla przeczuła, jak głęboko Alfred wkroczy w jej życie, prawdopodobnie nigdy więcej nie raczyłaby spojrzeć na tego niezwykłego mężczyznę na przystanku autobusowym.

Już nigdy więcej nie pojawił się przed przedszkolem. Marlies nie widziała go więcej na oczy, czego bardzo żałowała. Ale następnego wieczoru zadzwonił do Carli do domu i przez telefon zwracał się do niej już po imieniu.

– Tu Alfred – powiedział i zabrzmiało to tak dziwnie sztywno, jakby prawie nigdy lub tylko bardzo rzadko wymawiał swoje imię. – Masz czas dziś wieczorem? Chciałbym ci coś pokazać.

– Tak, oczywiście, mam czas – odparła Carla i serce podeszło jej do gardła.

– Ubierz się ciepło i włóż wygodne buty. Będę u ciebie o pół do ósmej.

Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, już odłożył słuchawkę.

Właściwie zamierzała iść do kina, ale teraz ten projekt wziął w łeb. Pół do ósmej. Miała jeszcze dwie godziny, a musiała wziąć prysznic, umyć głowę, wybrać ubranie, trochę się umalować i pomyśleć o tym, co chce jej pokazać. Nie spodziewała się tego rodzaju telefonu. I dlaczego nagle zaczął mówić do niej po imieniu? Przypominał jej konia, którego wbrew jego woli wyciąga się ze stajni, a który potem, za bramą, nagle znieścacka rusza galopem przed siebie.

Rozebrała się i weszła pod prysznic. Kiedy stała pod strumieniem ciepłej wody, zastanawiała się, czy poszłaby z nim do łóżka, gdyby do tego doszło. Woląca wiedzieć to wcześniej, żeby potem nie podejmować decyzji w ostatniej chwili. Czy pójdą do niego, czy do niej? Pewna przyjaciółka kiedyś jej powiedziała: „Jeśli chcesz prześpać się z mężczyzną, którego nie znasz, zrób to w jego mieszkaniu, a nie w swoim. Bo jeśli okaże się, że chce ci coś zrobić, to w swoim mieszkaniu będzie miał kłopot z ciałem. A z twojego po prostu się zmyje. On to dobrze wie. Może chce cię zabić, ale na pewno nie

chce mieć kłopotów i dlatego w jego mieszkaniu będziesz bardziej bezpieczna”.

Tak, prześpi się z nim. W końcu to los jej go zesał, i poczuła się tak ożywiona, jak już od dawna nie była. Starannie się umyła, po prysznicu posmarowała kremem całe ciało i użyła delikatnych, ale intensywnych perfum, które dwa lata temu siostra podarowała jej ze słowami: „Niepozorne kwiatki muszą przynajmniej silnie pachnieć, aby zwabić pszczoły”. A potem potrzebowała ponad kwadrans, żeby się zdecydować, czy włożyć figi i stanik, czy tylko figi i koszulkę, czy body. Zdecydowała się na figi i top z cienkimi ramiączkami zamiast koszulki. Oba staniki, które miała i które wkładała bardzo rzadko, na przykład z okazji zebrań rodzicielskich, były straszliwie niemodne, a body wymagało zbyt długiego gmerania przy haftkach. Każde wyjście do toalety zmieniało się w koszmar, zwłaszcza kiedy się śpieszyła lub drżały jej palce i nie mogła wetknąć haczyków w odpowiednie uszka. W ciasnej restauracyjnej toalecie trzeba było się pochylić i wyciągnąć do przodu czarną koronkę, aby w mrocznym świetle zobaczyć to, czego nie dało się wyczuć palcami. Z całą pewnością body było wynalazkiem jakiegoś wrogiego kobietom, seksistowskiego zakonnika. Zdejmowało się je tylko z dołu do góry, co w windzie było może i praktyczne, ale na pierwszą noc dość absurdalne.

Na bieliznę włożyła beżowy golf, granatowy spodnium i czarne, ciepłe, zamszowe botki z suwakami do kostek. Wprawdzie spodnium i botki nie pasowały do siebie, ale nie mogła nic na to poradzić. Nie miała nic innego.

Od jej kosmetyków, które też miały już trzy lata, trąciło przykrym zapachem. Bała się, że od przeterminowanych środków kosmetycznych dostanie pryszczycy, i zadbała tylko o krytyczne miejsca pod oczami, żeby wyglądać bardziej świeżo. Cienka warstwa cieni do powiek oraz tusz do rzęs nadały jej oczom blasku, posmarowała usta błyszcznikiem, chociaż wiedziała, że nie będzie po nim śladu już po półgodzinie lub po pierwszym kieliszku wina.

Włosy zostawiła rozpuszczone. Kiedy piąty raz rzuciła kontrolne spojrzenie w lustro i dziesiąty raz przejechała szczotką po włosach, rozległ się dźwięk dzwonka na dole.

Zarzuciła na siebie włochate brązowe palto z misia, o którym można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że było eleganckie, ale w którym jak dotąd nigdy przy żadnej pogodzie nie zmarzła, i zbiegła po schodach.

Zajechał pod drzwiami różowym chevroletem. Błotniki i ozdobne listwy były ciemnoniebieskie. Nie wierzyła własnym oczom.

– Wsiadaj – powiedział i uśmiechnął się.

Obeszła samochód dookoła, wsiadła do środka i poczuła się, jakby leżała na ulicy. Ruszył, kiedy jeszcze zamykała drzwi.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

– Nad morze – odpowiedział.

Jechał szybko. O wiele za szybko, jednak nie protestowała. Patrzyła na jego rękę, która niedbale i swobodnie spoczywała na kierownicy, i wcale się nie bała. Była to szeroka, czerstwa i bardzo silna ręka, która wiedziała, co to ciężka praca. Ta ręka w ogóle nie pasuje do tego subtelnego mężczyzny, stwierdziła, ale uspokaja. Ta ręka wszystko załatwi, pokona każde niebezpieczeństwo. Carla była zafascynowana kostkami palców, które poruszały się lekko jak młoteczki fortepianu podczas cichej muzyki. Niczego tak gorąco nie pragnęła jak tego, aby ta ręka jej dotykała.

– To mój ostatni dzień z tym samochodem – powiedział.

– Dlaczego? – zapytała Carla.

– Już do mnie nie pasuje. Ten okres mojego życia, kiedy koniecznie musiałem mieć samochód, mam już za sobą.

– Menedżer z takim wózkiem... to dość zabawne... – powiedziała Carla i roześmiała się w duchu.

– Tak? – zapytał i spojrzał na nią z boku.

– Tak – odparła.

Potem jechał dalej, milcząc. Miała dużo czasu, żeby o nim pomyśleć. Zdanie: „To mój ostatni dzień z tym samochodem”, już jej nie niepokoiło. Nawet przeleciało jej przez głowę, że mogłby uderzyć w filar mostu i zabrać ją ze sobą na tamten świat. Myślała o tym, że już dawno nie czuła się tak dobrze, tak swobodnie i beztrudnie. Cała jej niepew-

ność uleciała. Czuła się tak, jakby знаła tego mężczyznę już od lat, jakby już od wieków otaczał ją swym opiekuńczym ramieniem i prowadził łagodnie przez całkowicie nieznaną świat, którego bez jego pomocy nigdy by nie poznała. Zapragnęła go mieć. Nie chciała by go już stracić, pragnęła w spokoju przebywać w jego pobliżu i podążać za nim, wszędzie. Uwierzyła, że wreszcie znalazła ramię, na którym mogła się oprzeć, zamknąć oczy, i niech się dzieje, co chce.

– Jesteś głodna? – zapytał Alfred.

Carla potrząsnęła głową. Nie czuła ani głodu, ani pragnienia, nie czuła tęsknoty ani strachu. Nie było jej ani zimno, ani ciepło. Siedziała na beżowym skórzanym siedzeniu w tym ekstrawaganckim samochodzie i po prostu była nieskończenie zadowolona.

W Hamburg Eidelstedt, gdzie mieszkała Carla, Alfred od razu wjechał na A 23 w kierunku Heide i pognął autostradami nr 5 i 202 aż do St. Peter-Ording. Było pół do dziesiątej, kiedy zaparkował samochód i w zupełnych ciemnościach poszli po niekończącej się plaży. Carla nie potrafiła sobie wyobrazić, co teraz się stanie, co dziś wieczorem się z nią stanie.

– Jutro o dziewiątej rano muszę być z powrotem w Hamburgu – powiedział Alfred. – Ale mamy całą noc. – To, że ona musiała być jutro w przedszkolu już o pół do ósmej rano, najwidoczniej wcale nie przyszło mu do głowy, a ona mu tego nie przypominała. Ale z podniecenia serce biło jej jak młotem i czuła, jak krew pulsuje w skroniach.

– Ale przecież wcale nie musieliśmy jechać tak daleko. Z Hamburg jest blisko nad morze...

– Kocham te bezkresne plaże – powiedział Alfred tak cicho, że musiała wytężyć całą uwagę, żeby go zrozumieć. – Kiedy tu jestem, mam uczucie, jakbym był w zupełnie innym kraju, a nie w Niemczech. Potrzebuję tego od czasu do czasu.

Spacerowali półtorej godziny, prawie nie rozmawiając. Kiedy wrócili do samochodu, usiedli w środku i patrzyli na morze. W nieuchwytej dali ledwie dawało się ustalić, gdzie jeszcze była plaża, a gdzie już morze.

Alfred miał ze sobą butelkę taniego czerwonego wina, wodę mineralną i słone krakersy. Do tego duży kawałek greckiej fety, który oceniła na

co najmniej 800 gramów. Jedli i pili w milczeniu, a Carla nie odważyła się przerwać ciszy wypowiedzeniem choćby jednego słowa. Wszystko wydawało się jej zbyt banalne. Czekwała na to, żeby w jakimś momencie objął ją ramieniem lub wziął za rękę – ale nie zrobił tego.

W pewnej chwili zaczął opowiadać, że w domu był najmłodszym z pięciorga rodzeństwa. Ojciec zostawił jego matkę zaraz po jego narodzinach i przeniósł się do Teksasu, gdzie żył na olbrzymim ranchu. Kilka lat temu jego obie siostry, bliźniaczki Lene i Luise, przeprowadziły się do ojca. W Ameryce dawały lekcje niemieckiego, no i na ranchu zawsze było dużo pracy i chciały zająć się ojcem, kiedy będzie już stary. Jego brat Heinrich był wziętym ginekologiem we Fryburgu i specjalizował się we wczesnym wykrywaniu raka. Jego drugi brat Rolf był cenionym architektem i od niedawna pracował w Berlinie w Ministerstwie Budownictwa. Najlepszy kontakt miał z Rolfem, Rolf regularnie wpadał do niego na kilka dni, żeby odwiedzić młodszego brata. Z Rolfem świetnie się rozumieli, był bardzo wykształconym człowiekiem, posiadał szeroką wiedzę w prawie wszystkich dziedzinach i przez całe życie był nie tylko jego przyjacielem, ale także życzliwym doradcą.

Od pewnego czasu z jego matką nie było najlepiej. Miała teraz siedemdziesiąt pięć lat i Alfred umieścił ją w domu seniora w Hanowerze, gdzie przynajmniej miała znakomitą opiekę.

Carla była pod wrażeniem rodziny Alfreda. Chociaż jego matka właściwie sama wychowała dzieci, wszystkie ukończyły studia i nie straciły ze sobą kontaktu. Ta rodzinna historia uspokoiła ją i jeszcze lepiej poczuła się w towarzystwie Alfreda.

– Czy masz dzieci? Jesteś żonaty? – zapytała Carla. Teraz zdobyła się na odwagę, ponieważ było to dla niej najważniejsze pytanie.

– Mam dwóch wspaniałych synów – powiedział i uśmiechnął się. – Starszy ma teraz dwadzieścia jeden, a młodszy dziesięć lat. Obaj mieszkają jeszcze z matką, z którą niestety już nie utrzymuję kontaktu. Do tego stopnia, że już całą wieczność nie widziałem własnych synów. Mam nadzieję, że to się zmieni, kiedy się od niej wyprowadzą.

Nie wzbudziło jej podejrzeń to, że w wieku trzydziestu sześciu lat Alfred był kochającym ojcem dwudziestojednolatka. I kiedy tak pa-

trzymała na lśniące w świetle księżycy morze, zaczęły jej ciężać powieki. Wtuliła się głębiej w swojego misia i była bardzo zadowolona, że go włożyła. W pewnym momencie usnęła. Alfred nie dotknął jej ani razu.

Carla oddychała równomiernie i głęboko i Alfred widział, że zasnęła. Było mu to na rękę, teraz mógł wreszcie przestać pleść wymyślone historie, które coraz łatwiej przechodziły mu przez usta. Dlaczego po prostu nie powiedział Carli prawdy o sobie, o swojej rodzinie, a przede wszystkim o ojcu, sam dobrze nie wiedział.

Ojciec Alfreda, który również miał na imię Alfred, był prostym rolnikiem, kochającym swoją rodzinę ponad wszystko. Pewnego ranka w maju 1954 roku pracował właśnie na polu, kiedy przybiegł jego dwięcioletni syn Rolf i krzyknął:

– Mama, mama!

– Co jest z mamą?

– Krzyczy – wrzasnął Rolf – i płacze, i zrobiła się cała czerwona. – Rolf patrzył spode łba. Zawsze tak się zachowywał, kiedy był czegoś niepewny, wystraszony lub straszliwie wzburzony.

– Czy jest tam akuszerka?

– Nie ma nikogo – powiedział z płaczem Rolf. – Bliźniaczek też nie ma. Mama posłała je po panią Bosemann, ale jeszcze nie wróciły.

Alfred pocałował Rolfa i wziął go za rękę.

– Chodź. Musimy się pośpieszyć.

Edith leżała na podłodze w kuchni w zielonej kałuży obrzydliwie śmierdzących wód płodowych. Jej twarz nie była już czerwona, lecz blada jak ściana, łapała powietrze jak ryba wyrzucona na ląd. Alfred ostrożnie wziął ją na ręce i zdziwił się, że się nie broniła. Zwykle broniła się przed wszystkim. Przed każdym słowem, każdą pieszczotą, zwłaszcza przed każdą przesadną troskliwością.

– Do cholery – burknęła i pozwoliła Alfredowi zanieść się do łóżka.

Musi być z nią bardzo źle, pomyślał Alfred i kochał ją w tym momencie. Było to uczucie, którego nie doznawał już od wieków. Nawet kiedy przed wieloma miesiącami rzucił się na nią i wdarł się do jej

wnętrza, nie była to miłość, lecz wyłącznie pożądanie i pragnienie zagłuszenia na kilka chwil samotności i opuszczenia.

Alfred wziął ją za rękę, z lękiem słuchał ciężkiego oddechu i szeptał:

– Co mam zrobić? Powiedz mi, zrobię wszystko dla ciebie... – kiedy Henriette Bosemann wbiegała już po schodach, a za nią bliźniaczki, które były jeszcze bardziej blade niż ich rodząca matka.

Alfred wystraszył się, puścił rękę Edith i skwapliwie posłuchał komendy Henriette Bosemann, która wypłoszyła Alfreda i bliźniaczki z pokoju. Zdążył jeszcze zobaczyć, jak Henriette odrzuciła kołdrę i między nogami jego żony wprowadziła dwa palce w pochwę, aby wyczuć otwór macicy. Zatrząst się z przerażenia i uciekł.

Henriette zażądała czystych ręczników, świeżego prześcieradła, wrzątku i gorącej herbaty. Alfred przyniósł wszystko, czego sobie zażyczyła, i uspokoił dzieci. Próbował wysłać bliźniaczki do łóżka – bez rezultatu. Odeszły dopiero wówczas, kiedy znudziło je siedzenie przed zamkniętymi drzwiami. Rolf został. Siedział obok ojca na najwyższym stopniu schodów i patrzył spode łba. Alfred miał wrażenie, że syn już rozumie, co się dzieje w pokoju za zamkniętymi drzwiami. Siedzieli obok siebie jak członkowie zaprzysiężonej wspólnoty.

Kiedy Alfred płakał, ponieważ słyszał krzyki żony, Rolf położył głowę na jego ramieniu. Alfred nie mógł dojrzeć, czy jego syn też płacze.

Nad ranem obaj usnęli i obudził ich dopiero ostry głos Henriette, która trzymała na rękach drobne, zawinięte w ręcznik niemowlę.

– Chłopak – zaskrzeczała dumnie, jakby to wszystko było jej dziełem.

– Nareszcie – wychlipał Rolf – nareszcie, nareszcie, nareszcie mam brata.

Edith spała kilka godzin. W tym czasie Alfred ugotował dzieciom na obiad ziemniaki i jajka. Niemowlę leżało w wystruganej przez niego kołysce. Każdy, kto przechodził obok kołyski, trącał ją nogą, żeby cały czas się bujała. Malec był zadowolony. Chrząkał, ssał kciuki, a poza tym nie miał żadnych wymagań. Kiedy krzyczał, bliźniaczki na zmianę brały go na kolana i śpiewały „Aaa, kotki dwa ...”, co bardzo szybko go nużyło. Wtedy Rolf brał młodszego brata na ręce, szeptał

mu pieścizotliwe słówka i wyciskał niezliczone całusy na jego małej, okrągłej buzi, aż malec znowu zasypiał.

Po południu Edith wstała z łóżka, poszła do obory, wydoiła krowy, a potem wróciła do kuchni, żeby przyrządzić kolację. Rolf siedział przy oknie z niemowlęciem na kolanach. Uśmiechnął się do matki.

– Mam brata – ciągle powtarzał. – Nareszcie, nareszcie, nareszcie mam brata! – Czule go łaskotał i cmokał w drobne paluszki.

– Zostaw go w spokoju – powiedziała Edith i potrząsając głową, sprzątała ze stołu, na którym wciąż jeszcze stały resztki obiadu.

– Śmieje się! Zobacz, mamo, śmieje się! – Rolf był uszczęśliwiony.

– Niemowlęta nie potrafią się śmiać – odparła Edith, wkładając brudne naczynia do zlewu. – Niemowlęta potrafią tylko krzyczeć i płakać.

Odkręciła wodę w zlewie, podeszła do Rolfa, wzięła dziecko z jego rąk, usiadła, rozpięła bluzkę i wsunęła mu pierś w usta. Rolf przyglądał się zafascynowany, ale też bardzo zawstydzony, jeszcze nigdy nie widział piersi swojej matki. Niemowlę ssało, a Edith w ogóle nie zwracała uwagi na starszego syna.

– Czy to jest smaczne? – zapytał cicho.

– Nie – odpowiedziała Edith. – Ale niemowlętom nie zależy na tym, żeby było smaczne.

W nocy wstawiała trzy razy, ponieważ dziecko krzyczało. Łapczywie chwyciło pierś i piło z siłą i wolą życia, od której niemal zapierało jej dech. Pomyślała wtedy o nocy, kiedy Alfred po wielu miesiącach, znowu pod ciężką, o wiele za ciepłą kołdrą dotykał jej ciała, a ona się nie broniła jak dawniej, lecz po prostu na wszystko mu pozwalała. W duchu nawet cieszyła się z tego i jednocześnie prosiła Boga o wybaczenie, ale jej nie wysłuchał, lecz ukarał tym dzieckiem, które teraz wysysało z niej resztki energii. Zgrzeszyła. Tak jak w innych przypadkach, a pokuta trwała dwadzieścia lat lub dłużej. Na początku były to nieprzespane noce, świadomość, że przez całe miesiące nie będzie mogła przespąć ani jednej całej nocy, potem dziecięce choroby, obawy i troski, którymi Bóg karał ją każdego dnia.

W czasie ciąży zmuszała się do codziennego odmawiania trzech różańców, prosząc Najświętszą Panią, żeby przynajmniej po raz czwarty

uniknęła losu matki. Odmawianie różańca trwało długo i właściwie każdego dnia brakowało jej czasu, ale była uparta i wytrwała. Przez dziewięć miesięcy. Dotrzymała obietnicy danej swemu Stwórcy.

Zaraz po porodzie Henriette Bosemann zważyła, zmierzyła, umyła i pobieżnie zbadała niemowlę. Na tyle, na ile mogła ocenić w tym wczesnym stadium, dziecko było zdrowe i zatrute wody płodowe mu nie zaszkodziły. Ale powiedziała, że trzeba poczekać. Późniejsze skutki mogły się ujawnić jeszcze po kilku miesiącach, a nawet latach.

Edith nigdy nie chciała tego dziecka. A kiedy to usłyszała, jeszcze bardziej go nie chciała, ponieważ czuła, że sprowadzi na rodzinę same zmartwienia i kłopoty.

Tego pierwszego dnia z dzieckiem w domu zapadła wreszcie około piątej rano w głęboki sen, z którego nie obudziłyby jej nawet wrzask niemowlęcia. I dlatego nie usłyszała cichego wołania o pomoc swojego męża, który nie miał już siły, aby wyraźniej zwrócić na siebie uwagę.

Kiedy o siódmej zadzwonił budzik, Alfred, który o tej porze zazwyczaj był już na polu, siedział skulony na brzegu łóżka. Kiedy położyła mu rękę na plecach i właśnie chciała zapytać, co się dzieje, wyszeptał:

– Sprowadź lekarza. Szybko!

Potem upadł.

Uznała tę sytuację za absurdalną i poczuła się całkowicie zbita z tropu. Włożyła szlafrok, wyrównała końce paska, co zajęło jej mniej więcej cztery sekundy, starannie go zawiązała, weszła po wąskich schodach do małego pokoiku na poddaszu, w którym spał Rolf, i potrząsnęła nim, żeby się obudził.

– Szybko, biegnij po doktora Schefflera. Niech natychmiast przychodzi, z tatą jest niedobrze.

Rolf przecierał oczy i patrzył na matkę z niedowierzaniem.

– Dziecko?

– Nie chodzi o dziecko, chodzi o twojego ojca! No już, pośpiesz się, do cholery!

Rolf wyskoczył z łóżka, wciągnął spodnie i włożył sweter. Najwięcej czasu zajęło mu zawiązanie butów, ale po kilku sekundach zbiegł po schodach i wypadł z domu.

Edith wróciła do sypialni. Alfred leżał na łóżku z zamkniętymi oczami i szeroko otwartymi ustami. Pochyliła się nad nim, ale nie dawał znaku życia, nawet ledwie słyszalnego tchnienia.

Jej silny mąż, który potrafił odkręcić każdą śrubę, powalać drzewa, budować stajnie, łąpać rozszalałe byki, podnosić ciężkie kamienie, umarł, tak po prostu.

Minęło prawie dwadzieścia minut, wreszcie zjawił się doktor Scheffler. Krótko zbadał Alfreda i potrząsnął głową.

– Nic się już nie da zrobić – powiedział. – Pani mąż nie żyje. Natychmiastowa śmierć. Nie było ratunku. Kiedy serce po prostu się zatrzymuje, każdy lekarz jest bezsilny.

W tym momencie Edith zaczęła krzyczeć. Tak przenikliwie, że nikt z obecnych nie mógł tego wytrzymać. Bliźniaczki stały w drzwiach blade i zmieszane, Rolf obgryzał paznokcie i zerkał spode łba, a niemowlę kwiliło, samo w kołysce w kuchni.

Doktor Scheffler trzymał mocno Edith, która chciała bić wszystkich dookoła, wreszcie udało mu się wsunąć jej do ust tabletkę na uspokojenie. Edith wypluła proszek na lustro w sypialni, gdzie najpierw się przykleił, a potem nieskończenie powoli zaczął się zsuwać.

Po piętnastu minutach Edith przestała krzyczeć i doktor sobie poszedł. Położyła nogi Alfreda na łóżku, starannie go przykryła, odgarnęła mu z czoła sklejonny kosmyk włosów i powiedziała do niego:

– Nigdy ci nie wybaczę, że mnie tak zostawiłeś.

Potem odwróciła się do dzieci, które wystraszone stały w pokoju i z przerażeniem w oczach obserwowały tę scenę.

– Wasz ojciec nie żyje – powiedziała Edith. – Prawdopodobnie właśnie wstępuje do nieba. Nie martwcie się, na pewno ma się dobrze, i od teraz będzie tam z góry doglądać, czy jesteście grzeczne.

– Ale jak może być w niebie, skoro leży tu w łóżku? – zapytała Luise.

– No właśnie, jak to możliwe? – zapytała też Lene.

– Jego dusza jest w niebie – wyjaśniła Edith. – To tutaj, co tu leży, to wprawdzie jest tata, ale to także już nie jest tata.

Rolf przytaknął i wytarł łzę z oka, a to wyglądało, jakby już zamierzał wyjść.

– Idź, przynieś dziecko – powiedziała matka. – Myślę, że damy mu na imię Alfred.

Nawet nie dali mi własnego imienia, nawet tego mi pożałowali, pomyślał Alfred rozgoryczony, zanim zapadł w krótki głęboki sen jak Carla.

Carla obudziła się o piątej, kiedy włączył silnik. Padał drobny śnieg. Będzie ślisko na autostradzie, pomyślała. A potem przypomniały się jej wczorajszy wieczór i noc i niewiele brakowało, żeby wybuchnęła płaczem. To była jej wina. Wszystko zepsuła. Po prostu usnęła. Prawdopodobnie czuł się zawiedziony i urażony, że nie słuchała go dłużej. I z pewnością był sfrustrowany tym, że usnęła, zanim zdążył się do niej zbliżyć. A mogła to być taka piękna noc.

– Dzień dobry, księżniczko – powiedział, kiedy zobaczył, że już nie śpi, i uśmiechnął się. – Dobrze spałaś?

– Tak mi przykro... – wyjąkała.

– Z jakiego powodu? – Albo naprawdę był zaskoczony, albo tylko tak udawał.

– Że usnęłam. Kiedy opowiadałeś o swojej rodzinie.

– Daj spokój, to w ogóle żaden problem! – Powiedział to tak szczerze, że poczuła lekką ulgę.

– Dzisiaj sprzedaję ten samochód – oznajmił. – Mam trzech kupców.

– Za ile?

– Osiem tysięcy.

Zmarszczyła czoło.

– Tak mało? Takie samochody są przecież szalenie rzadkie!

– Tak, ale nie jest więcej wart. Osiem tysięcy. To mnie zadowala.

Alfred czuł, że droga jest śliska, ijechał powoli i ostrożnie. Carla była wciąż jeszcze senna i zamknęła oczy. Z tym człowiekiem poszłaby wszędzie. Nie potrafiła wyobrazić sobie sytuacji, nad którą on by nie zapanował.

ENRICO

Powoli, jakby z namaszczeniem, włożył szorty i wyszedł na taras. Stąd było niedaleko do Piazza del Campo i wysoka wieża Palazzo Pubblico wyraźnie górowała nad poukładanymi piętrowo dachami domów. Kai zapalił papierosa i usiadł. Słońce zachodziło tak szybko, że widać było, jak z minuty na minutę staje się coraz bardziej pomarańczowe. Via dei Rossi w dole już od dwóch godzin była zacieniona.

Niebo płonęło. Pomarańczowe, różowe i fioletowe barwy zlewały się ze sobą, co na każdym namalowanym obrazie tworzyłyby kiczowatą kombinację, ale w rzeczywistości było tak piękne, że wprost zapierało dech w piersiach.

Uwielbiał te spokojne chwile w swoim małym skromnym mieszkaniu na poddaszu, dwa pokoje, kuchnia, łazienka, taras, a wszystko nieprzyzwoicie drogie. Siena miała ceny Nowego Jorku.

Kai Gregori był wysokim, atletycznie zbudowanym mężczyzną, któremu w wieku czterdziestu pięciu lat niewielki zadatek brzucha jedynie dodawał męskości i budził sympatię. Siwiejące powoli włosy tworzyły pełen powabu kontrast z zawsze opaloną cerą, którą zawdzięczał raczej odziedziczonym genom niż uganianiu się za każdym promieniem słońca. Wąsko osadzone oczy nadawały jego twarzy szczególny wyraz, dzięki któremu nie dało się go wrzucić do jednego worka z modelami z katalogów domów towarowych. Kai nienawidził swoich wyjątkowo dużych stóp, dlatego nawet w upalne tokańskie lato chodził w zakrytym obuwiu. W jego szafie w ogóle nie było sandałów.

Kai był mężczyzną, na którego zwracały się wszystkie oczy, kiedy wchodził do restauracji, w sklepie Alimentari zawsze go zauważano i żadna włoska *mamma* nie odważyła się wepchnąć przed nim do kolejki.

Lekarze traktowali go uprzejmie i bez względu na to, jak był ubrany, już na pierwszy rzut oka uważano go raczej za arystokratę niż biedaka.

Wszystkie te przymioty na ogół ułatwiały, a nie utrudniały mu życie i Kai potrafił to docenić. Jednocześnie jeszcze nigdy nie musiał starać się o względy kobiet, to one próbowały nawiązywać z nim bliższe kontakty, co najwyraźniej uznawał za wygodne i przyjemne.

Tak więc przez trzydzieści lat aktywności seksualnej nigdy nie skarżył się na brak okazji, i jeśli jakaś się trafiała, nie zdarzyło się, aby ją przepuścił lub z niej nie skorzystał, co szybko przyniosło mu sławę macho. Uważał to raczej za komplement niż zniewagę i dobrze się czuł w swojej skórze.

Tylko jeden jedyny raz poniosły go emocje i oświadczył się drobnej brunetce z brodawką wielkości feniga na lewym policzku. Spojrzała wówczas na niego tak przejmującym wzrokiem, że słowa uwięzły mu w gardle i łzy napłynęły do oczu. Poczerwieniła na twarzy, ujęła pod stołem jego rękę, wsunęła ją sobie pod spódnicę i szepnęła:

– Nigdy nie będziesz tego żałował.

Pożałował już po siedemnastu miesiącach. On uczęszczała na kurs florystyki, on studiował ekonomikę przedsiębiorstw i szybko miał dość rozmawiania przy kolacji o „wtykaniu kwiatów w mech na metalowej siatce”. W mieszkaniu zwiślały z sufitu zasuszone bukiety, od czasu do czasu spryskiwane kolorowymi lakierami samochodowymi, wszędzie stały doniczki z pachnącymi kwiatami, w oknach wisiały wieńce, na każdym wolnym miejscu wędły najrozmaitsze gatunki kwiatów w różnej wielkości wazonach, w zlewie gniły resztki roślin i zatykały odpływ lepkiem, szklistym, cuchnącym szlamem.

Każdego wieczoru Veronika przykładła sobie na brodawkę namoczone w wodzie liście szałwii i już po pięciu miesiącach przestała z nim sypiać.

Pewnego popołudnia, kiedy niespodziewanie wrócił wcześniej do domu, zastał ją z rozłożonymi nogami w małżeńskim łóżku, przed którym klęczał młodzieniec w bokserkach w kratkę. Miał gęste niegustowne wąsy, a z kącików ust ściekała mu ślina. Jego skupiony i zacie-

kawiony wzrok sprawiał, że wyglądał, jakby właśnie językiem pobierał materiał do badania cytologicznego.

Kaia wprost zamurowało i nawet nie był w stanie dać młodzieńcowi w twarz. Bez słowa wycofał się z sypialni, ale to, co zobaczył, wypalało mu dziurę w mózgu, jak rozżarzony papieros przytknięty do ręki torturowanego.

Począwszy od tego dnia, nie potrafił spojrzeć Veronice w oczy. Jej twarz przypominała mu ekran, na którym leci ciągle ten sam obrzydliwy film. Przeprowadzenie kończącego związek rozvodu było trudne, ponieważ Kai postanowił nie zamienić z Veroniką nawet jednego słowa.

Potem Kai przeprowadził się do Kolonii. Trzypokojowe mieszkanie miało własny taras na dachu i miejsce parkingowe w podziemnym garażu i nie było w nim ani jednej rośliny, tylko szkło i chrom, dyskretne oświetlenie i elegancka szara wykładzina podłogowa, na której odznaczało się każde stąpienie. Najważniejszymi rekwizytami w tym mieszkaniu były płyn do mycia szyb i odkurzacz, a jeśli chodzi o resztę, to pracował w renomowanej firmie pośrednictwa w handlu nieruchomościami i prowadził bujne życie seksualne z wieloma, często zmieniającymi się partnerkami. W szufladzie w kuchni przechowywał wyłącznie kondomy i chusteczki higieniczne i nawet nie zadawał sobie trudu, żeby zapisywać imiona i numery telefonów kobiet, z którymi spędzał weekendy.

Dowiedział się, że Veronika wybrała się z nowym kochankiem w rejs po morzu i podczas sztormowej nocy wypadła za burtę i utonąła. Ta wiadomość zainteresowała go w takim samym stopniu jak prognoza pogody skazańca prowadzonego na szafot. Jednak w jego hipernowoczesnej kuchni według projektu Bulthaupa strzeliły korki od szampana, ponieważ od tej pory nie musiał płacić jej alimentów.

Ból głowy następnego dnia był ostatnim wspomnieniem po Veronice, potem już nigdy o niej nie pomyślał.

Firma pośrednicząca w handlu nieruchomościami szybko się rozwijała. Pięć lat temu dostał propozycję objęcia kierownictwa włoskiego biura w Sienie. Ponieważ i tak miał już dosyć swojej niepraktycznej, delikatnej wykładziny, nie zastanawiał się długo i podjął wyzwanie.

Kai przyszedł do domu i przyniósł ze sobą butelkę grappy, żeby w ciemności upić się na tarasie. Jak mu się to często zdarzało. I za każdym razem nie mógł sobie następnego dnia przypomnieć wydarzeń z poprzedniego wieczoru.

Kiedy nazajutrz Kai Gregori siedział w swoim biurze, po raz pierwszy uzmysłowił sobie, że jego sekretarka Monica najwidoczniej nie była naturalną blondynką. Odrosty miały już grubość palca i były tak czarne jak espresso, które postawiła na jego biurku.

– *Prego, signor*: – Uśmiechnęła się i pokazała żółtawe zęby. Kiedy wychodziła z pokoju, zauważył, że jej kolana uderzają jedno o drugie, i wyobraził sobie, jak jej uda ocierają się o siebie i zostawiają czerwone bolące ślady. Nagle zrobiło mu się niedobrze i wylał kawę do wazonu. Monica wciąż była w jego oczach piękną kobietą, ale teraz musiał kilka razy przełknąć ślinę, żeby nie zwymiotować.

Rozcierał skronie. Bolała go głowa. Wstał i podszedł do okna. Na Via del Porrione, która prowadziła prosto na Piazza del Campo, panował o tej porze niewielki ruch, większość Włochów pozniakała już w swoich domach, żeby zjeść obiad. Fasada San Martino wydała mu się dzisiaj ponura i zimna. Ogromne kamienie ciosowe, z których zbudowano potężne mury, zawsze go fascynowały, ale teraz miał wrażenie, że za chwilę zwałą mu się na głowę. Czego właściwie szukał w mieście, które zbudowano z różnych odcieni szarości? Mżył lekki deszcz. Jakiś chłopak pędził swoją vespą po ulicy, warkot silnika prawie rozsadzał Kaiowi czaszkę. Tak dalej się nie dało. Może powinien pójść do „Luciana”, zjeść trochę tortellini i napić się chianti, może to znowu rozjaśni mu umysł.

Monica wsunęła głowę w drzwi.

– *Mi scusi...*

– Co tam?

– Byli tu wczoraj Schraderowie z Kolonii. Chcieli zwiedzić te ruiny pod Moncioni.

– Byłem w Umbrii. Chciałem się trochę rozejrzeć. Można tam dostać furę kamieni za pół ceny.

– Wiem. Ale czy pierwotnie nie zamierzał pan wrócić już wczoraj rano?

Miał ochotę natychmiast ją zwolnić.

– Chciałem, ale mi się nie udało.

– Schraderowie przyjechali z Kolonii specjalnie z powodu tych dwóch obiektów.

Przypominała mu pitbulla, który zacisnął szczękę na rękę i coraz głębiej zatapia zęby w ranie, zamiast otworzyć pysk.

Kai podszedł do biurka, zajrzał do otwartego terminarza i zmusił się do uśmiechu.

– Jak długo tu zostaną?

– Jeszcze dwa tygodnie.

Rzucił jej wyzywające spojrzenie.

– No więc. W czym problem?

Monica bardzo cicho odpowiedziała:

– Jeśli Schraderowie nie tracą cierpliwości, nie będzie problemu.

Zabrzmiało to jak wyrzut i doprowadziło go do jeszcze większej wściekłości. I kiedy pomyślał o tym, jak często zastanawiał się, czy nie powinien zrobić tego z nią w biurze, teraz dziękował Bogu, że go przed tym powstrzymał. Ale prawdopodobnie Monica też nie myślała o niczym innym.

Włożył komórkę do kieszeni marynarki.

– Muszę jeszcze raz wyjść. Będę z powrotem najpóźniej o pół do czwartej. Proszę poczęstować ich cappuccino i pokazać katalog. Niech się czymś zajmą. Czy zebrała pani materiały o obu obiektach?

– Oczywiście – przytaknęła. – Ale państwo Schraderowie chcieli koniecznie zobaczyć szczegółowy kosztorys, ile kosztowałoby wierne odrestaurowanie ruin przy użyciu starych materiałów. Według wstępnych wyliczeń plus minus dwadzieścia pięć tysięcy euro.

Westchnął w duchu. Znał ten typ ludzi. Nie zakochiwali się w domu, pięknym kawałku ziemi, upajającym widoku – dla nich było to zwykłe zadanie rachunkowe. Natychmiast się niecierpliwili, jeśli nie wiedziało się, ile kosztuje armatura w sklepie Ferramente. Z tego typu klientami można spędzić wiele dni, ponieważ chcą pięć razy obejrzeć

każdą ruinę i za każdym razem trzeba ich tam zawozić, bo sami nie trafią. A po tygodniu odjeżdżają i na „wieczne nie do widzenia” rzucają lapidarnie: „bardzo dziękujemy za pański trud, będziemy w kontakcie”.

Monica oparła ciężar ciała na jednej nodze, drugą stopą kręciła w powietrzu, co znowu go rozdrażniło. Uśmiechnęła się.

– Oboje wyglądają na bardzo interesujących ludzi, ale myślę, że nie będzie z nimi łatwo.

– Dziękuję za ostrzeżenie. Jeśli za bardzo mnie zdenerwują, zostawię ich na środku drogi i wrócę do domu.

Monica zachichotała.

– *Buon appetito*, Kai, niech pan zje coś przyzwoitego, jest pan całkiem zielony na twarzy.

Miał ochotę ją udusić.

– Mam spotkanie z *dottore* Manetti – skłamał niezdarnie. – Zastanawiamy się, czy nie powinniśmy sami kupić tych ruin, odrestaurować i sprzedać z zyskiem.

– Ach tak – założyła za uszy długie rozjaśnione włosy – całkiem zapomniałam. *Dottore* Manetti telefonował z Rzymu. Chciałby we wtorek napić się z panem wina u „Gina”.

Poczerwieniał na twarzy.

– *Arrivederci* – wysyczał i wyszedł z biura, nie zamykając za sobą drzwi.

Anne Golombek zaparkowała tuż przed Porta San Marco. Zostawiła dwie walizki w bagażniku, przykryła laptopa i *beauty-case* zakurczonym różowym kocem i odeszła tylko z torebką w rękę. Jej hotel, Palazzo Torrino, musiał być gdzieś w pobliżu, najpierw jednak chciała się przekonać, idąc pieszo, jak tam podjechać samochodem. W biurze podróży zapewniono ją, że jest to hotel średniej klasy, dopiero wtedy zarezerwowała pokój na tydzień. Potem chciała rozejrzeć się dalej. W końcu miała bardzo dużo czasu. Tygodnie, miesiące, może lata. Narastało w niej dziwne uczucie wolności, ale także opuszczenia. Nie miała nic szczególnego do zrobienia. Jutro obchodziła czterdzieste drugie urodziny. Sama w Sienie. I trochę się tego obawiała.

Hotel był imponującym pałacem z XVII wieku, wewnątrz od razu się jej spodobało. Pokój ze stołem, łóżkiem i komodą z ciemnego drewna był jednak dość ciasny. Harald wiedziałby, czy komoda była autentyczna, czy podrobiona, ona tego nie wiedziała. Nad łóżkiem wisiał obraz z motywem aniołka Williama Bouguereau, tania reprodukcja w okazałych złotych ramach, nazwisko malarza znajdowało się w lewym rogu. Dwoje dzieci-aniołków, które się obejmują, z małymi skrzydełkami przyklejonymi do nagich pleców, chłopiec-aniołek całuje dziewczynkę-aniołka w policzek, ona na to zezwala i zmieszana spuszcza wzrok. Anne zdjęła obraz ze ściany i wsunęła pod łóżko.

Otworzyła okno. Na zewnątrz było nadzwyczaj cicho, wysoki mur i subtropikalny ogród zatrzymywały zgiełk miasta, pachniało lawendą i rozmarynem. W pokoju nie było telewizora, tylko radio z jednym programem i skrzeczącym głośnikiem. Moderator i dzwoniący słuchacz właśnie krzyczeli na siebie i jednocześnie się śmiali, natychmiast włączyła odbiornik.

Prysznic był antyfeministyczny. Na stałe zamontowana pod sufitem główka rozpylała wodę jak spryskiwacz do kwiatów. Nie było szansy,

żeby wziąć normalny prysznic i umyć się. Też z XVII wieku, pomyślała, i miała wrażenie, jakby w ogóle nie czuła wody na ciele. Mimo to trochę się odświeżyła. Zrobiła staranny makijaż i wyszła z hotelu.

Kiedy pokonywała drogę do samochodu, krótko zapikowała jej komórka. SMS. „Daj znać, czy dobrze zajechałaś. Babcia”. Ciągłe mówiła „babcia”. Ciągłe. Jakby nic się nie wydarzyło, pomyślała rozgniewana. Jednak jej matka była jedną z niewielu osób po siedemdziesiątce, które potrafiły wysłać SMS. Co ona sobie myśli? Ma teraz oddzwonić i wysłuchać, co będzie na obiad? Dlaczego matka nie może po prostu na chwilę zadzwonić, zamiast wysłać SMS? Telefonowanie z Niemiec do Włoch było znacznie tańsze niż odwrotnie.

Anne usiadła na murze miejskim i wystukała na klawiaturze komórki: „Zajechałam szczęśliwie. Pozdrowienia. Anne”, i wysłała SMS.

Potem poszła dalej. Ulice wyglądały jak wymarłe, wszystkie okiennice były pozamykane z powodu panującego w południe upału. Malutką kafejkę zauważyła dopiero, kiedy już obok niej przeszła. Kupiła ćwiartkę pizzy za dwa euro pięćdziesiąt i powoli jadła w cieniu drzewa figowego, które rosnęło za występem muru.

Po zjedzeniu pizzy poczuła się syta i zadowolona. Położyła wyprostowane nogi na ciepłym kamieniu i na chwilę zamknęła oczy. Harald na pożegnanie nawet jej nie objął.

– Chyba wiesz, co robisz – powiedział i wszedł do domu.

Anne siedziała w samochodzie jeszcze pięć minut i czekała, ale nie wyszedł. W końcu odjechała. Czuła się jak zbity pies, miała wyrzuty sumienia i uczucie, że znowu wszystko zrobiła źle. Dopiero po przejechaniu trzystu kilometrów zrodziło się w niej podejrzenie, że Harald mógł postąpić tak świadomie, żeby obudzić w niej wątpliwości.

Anne otworzyła oczy i wstała. Poczowała się na tyle silna, żeby pojechać na miejsce, gdzie przed dziesięciu laty zdarzyła się ta do dziś niewyjaśniona tragedia.

Eleonore Prosa nosiła nazwisko, które Włosi przynajmniej potrafili wymówić i napisać, za co niekiedy była im wdzięczna. Przed ośmiu laty po dwudziestu ośmiu latach małżeństwa porzuciła męża i postanowiła ulokować swoje oszczędności na Południu. Była to kobieta wysoka, żylasta, koścista i nigdy się nie pociła. Właśnie już od dwóch godzin piłowała drewno, aż piła mechaniczna zaczęła dymić, teraz oparła ręce na biodrach i zastanawiała się, co zrobić w następnej kolejności. Nabrała głęboko powietrza w płuca, wypuściła ze świstem i doszła do wniosku, że najpierw wypije szklankę wody. Odkąd cztery lata temu postanowiła, że będzie dla siebie łaskawa, niczego sobie nie odmawiała, jadła i piła wszystko, na co miała ochotę.

Musiała jeszcze zmienić pościel w pokoju gościnnym i uprasować ścierki, ale na to miała jeszcze czas. Massmannowie zadzwonili, że nie przyjadą wcześniej niż jutro przed szesnastą. Jak miło. Mogła teraz pozwolić sobie na półgodzinną sjęstę na leżaku lub zasiać świeżą rukolę. Miała tak wiele możliwości. Życie było po prostu cudowne.

Kiedy szła do domu, pomyślała, że już od wieków nie ćwiczyła jogi, która wtedy, po ciężkiej operacji kręgosłupa, pomogła jej wrócić do życia. Brakowało jej też regularnych medytacji. Po prostu miała za dużo pracy na La Pecora, tak dużo, że wciąż brakowało jej czasu, żeby zająć się sobą. Teraz na początek chodziło o to, żeby pić wodę, dużo wody, żeby codzienną ilość pięciu litrów wypijać jeszcze przed dwudziestą, zanim będzie mogła pozwolić sobie na kieliszek czerwonego wina.

Kiedy wyszła z kuchni z butelką chłodnej wody w rękę, zobaczyła przed tarasem obcą kobietę, która stała w bezruchu i wpatrywała się w nią błędnym wzrokiem.

Eleonore pomyślała, że musi przebić się przez gruby mur, kiedy pytającym tonem powiedziała do kobiety *buongiorno*.

Kobieta nie zareagowała. Nawet nie mrugnęła okiem. Dopiero po chwili zaczęła powoli odwracać głowę, całkowicie ignorując Eleonore. Eleonore oceniła ją na czterdzieści kilka lat, ale wciąż miała figurę trzydziestolatki. Tylko zmarszczki wokół oczu były głębokie i popękane, jakby „wprasowane” w twarz. Jej średniej długości falujące włosy połyskiwały czerwienią. L'Oréal, pomyślała Eleonore, „bo jesteś tego warta”. Kasztan opalizujący. Trzeba ją nanosić co cztery tygodnie i jest cholerycznym świństwem. Turystka. Pewnie zabłądziła. Na pewno nie-Włoszka. Włoszki się nie gapią, od razu gadają, co im ślina na język przyniesie.

– *Buongiorno* – powiedziała kobieta – ładnie tu u pani.

– Hm. Dziękuję. Nazywam się Eleonore Prosa, czy mogę pani w czymś pomóc?

– Przepraszam, ale czy mogłabym się przez chwilę rozejrzeć... ostatni raz byłam tu dziesięć lat temu.

– Napije się pani wody? – Eleonore postawiła butelkę na stole na tarasie.

– Chętnie. To bardzo miłe z pani strony.

Kiedy Eleonore weszła do domu, żeby przynieść dwie szklanki, Anne usiadła i próbowała zorientować się, jakie zmiany tu zaszły. Dość duża część lasu dębowego przeobraziła się w winnice i gaje oliwne, dwie ruiny, z których zachowały się tylko fundamenty, zostały odbudowane, a droga prowadząca do jeziora wydawała się teraz znacznie szersza. Cyprysy na wschodnim zboczu były teraz prawie trzy razy wyższe, a kaktusy przy domu urosły tak bardzo, że dziki na pewno czuły przed nimi respekt. Uwielbiała to miejsce aż do owego piątku przed Wielkanocą. Mogła tu przesiadywać godzinami, bujać w obłokach, marzyć i błędzić wzrokiem po rozległych łagodnych wzgórzach, podczas gdy Harald i Felix wóczyli się po okolicy, chodzili do lasu podglądać zwierzęta, budować szałas lub łowić ryby w jeziorze.

Eleonore wyszła na taras, postawiła na stole szklanki i odkorkowaną butelkę wina.

– To na wypadek, gdyby miała pani ochotę na kieliszek wina.

Anne uśmiechnęła się z wdzięcznością. Duża szklanka wody i mały kieliszek wina – było dokładnie tym, czego teraz potrzebowała.

– Nazywam się Anne Golombek – powiedziała – i byłam po prostu ciekawa. Dziesięć lat temu spędzałam w tym domu urlop z mężem i synem. Każdego wieczoru siedzieliśmy na tym tarasie... dla mnie to jak kawałek ojczyzny. – Co za głupstwa wygadujesz, pomyślała, ale nie szkodzi. Najważniejsze, że tu jesteś. I cicho dodała: – To był niezwykły urlop. Nie zapomnę go do końca życia, ale wtedy mieszkało tu jeszcze starsze małżeństwo, Pino i Samantha, wynajmowali pokoje i gotowali dla gości. Oczywiście, tylko jeśli ktoś chciał. Z tyłu, z drugiej strony domu, była mała kuchnia, w której można się było samemu obsługiwać.

– Teraz ja mieszkam z tyłu domu – powiedziała Eleonore – mam tam pokój, wnękę kuchenną, kącik do spania, łazienkę, więcej nie potrzebuję. A tu od frontu wynajmuję apartament. To mi wystarcza na życie.

Też bym tak chciała, pomyślała Anne. Wnęka kuchenna, kącik do spania, łazienka. I zostawić wszystko za sobą. Także upiory przeszłości. Pozbyć się całego balastu. Nic nie mieć.

Nie musieć nic robić. Skończyć z odpowiedzialnością. Tylko wolność, zająć się sobą lub całkowicie się zatracić.

– Zazdroszczę pani – powiedziała.

– Samotność jest dobra tylko od czasu do czasu – stwierdziła Eleonore. – Zazwyczaj nikt tu nie zagląda. Mam na myśli, nikt taki jak pani. Teraz w lecie, kiedy są tu goście, jest w porządku, mam dość urozmaiceń, wtedy jest mnóstwo do roboty – ale w zimie? Co tu robić przez cały dzień? Przeważnie jadę w tym czasie na kilka tygodni do Niemiec.

– Od dawna pani tu mieszka?

– Od ośmiu lat. Rozwiodłam się siedem lat temu. To nie miało związku z moim mężem. To nie była jego wina, ale chciałam wyjechać. Jeszcze raz chciałam coś zmienić w życiu, chciałam sobie coś udowodnić. Sama nie wiem co. Może to, czy w ogóle wytrzymam sama ze sobą. – Uśmiechnęła się szeroko. – A tymczasem nauczyłam się kowalstwa, murarki, stolarki i czuję się z tym wspaniale. Bo ten dom jest jedną kupą złomu.

– Wtedy nie wydawał mi się taką ruiną...

– Może, nie wiem... – Eleonore wzruszyła ramionami. – W każdym razie Pino i Samantha przez lata nic przy nim nie robili, a kiedy mi go sprzedawali, był już w bardzo złym stanie. I nie znałam ani jednego słowa po włosku. Ale przez przypadek poznałam pewnego Niemca, który uciekł od świata i zaszył się tu na odludziu, miał smykałkę do wszelkich napraw i prac w ogrodzie. W każdym razie tak myślałam. I on mnie tu skierował. A teraz widzę, że wszystko, co robił, robił z czystego wyrachowania. I w gruncie rzeczy znowu zaczynam życie od początku. A nie jest to łatwe. Kiedy mam gości, nie mogę rozebrać tarasu, żeby prawidłowo ułożyć rurę ściekową do oczyszczalni, a więc muszę czekać do zimy. A w zimie jest tu cholernie zimno. Przeważnie za zimno, żeby prowadzić jakieś prace budowlane.

Anne przytaknęła. Za zimno na prace budowlane. A cóż dopiero na to, żeby leżeć w ziemi. Nago pod mokrymi lub oszronionymi liśćmi.

Eleonore ponownie nalała. Anne piła już trzeci kieliszek wina.

– Uważam, że to, co pani tu robi, jest godne podziwu.

– A pani?

– Dopiero niedawno przyjechałam. Chciałabym zostać tu przez jakiś czas, może poszukać małego domu, trochę się uspokoić.

– Sama?

– Tak... – Anne uśmiechnęła się bezradnie. – Wygląda na to, że mamy ze sobą wiele wspólnego. Zobaczymy, jak będzie ze mną.

– Też rozstała się pani z mężem?

– Niezupełnie, ale chyba tak to się skończy. Najpierw musimy trochę od siebie odpocząć.

– A pani syn?

Anne jednym haustem wypiła całą szklankę wina.

– Jest dorosły. Jest... tu go nie ma. Nawet dobrze nie wiem, gdzie teraz jest. – Anne zaczęła drżeć, a Eleonore przypisała to działaniu alkoholu.

Anne podstawiła szklankę.

– Czy mogłabym dostać jeszcze jeden łyeczek?

Eleonore skinęła głową i nalała.

– Gdzie zostawiła pani samochód?

– W Montebenichi. Przyszłam tu pieszo, bałam się, że droga może nie nadawać się dla samochodu. Ale do Sieny nie jest daleko. Wynajęłam tam pokój w hotelu. Na początek.

Anne wypła wino. Eleonore nic już nie powiedziała, tylko patrzyła na nią. Zabawna kobieta, pomyślała Eleonore, kiedy Anne powoli wstała i niepewnym krokiem szła w dół do strumienia.

La Pecora, Wielkanoc 1994

Był Wielki Piątek 1994 roku około szóstej po południu. Dla Anne, Harald i Felixa ostatni wieczór w Toskanii, i Anne nie miała pewności, czy będą mogli zjeść na zewnątrz. Przygotowała mozzarellę z pomidorami i ostry sos czosnkowy, do tego wszystkie możliwe przekąski z resztek jedzenia, ponieważ musiała do jutra opróżnić lodówkę. Harald uwielbiał brać wszystkiego po trochu, kilka fasolek, ogórków, trochę łososia, parę plasterków szynki i mortadeli, trochę odgrzanego makaronu, sedano do przegryzania i połówkę primolo, ostatnie dwie cipollini, a do tego schłodzone chianti i cola dla Felixa. Jeszcze przez chwilę wahała się, czy zanieść to wszystko na taras, ponieważ na południowym wschodzie piętrzyły się czarne burzowe chmury i wydawało się jej, że już czuje powiew wiatru zwiastujący nawałnicę. Harald pomagał Pinowi posadzić kilka cyprysów za domem, Felix bawił się na dole nad strumieniem. Budował tamę z drewna i kamieni w poprzek wąskiego koryta, aż utworzyły się małe jeziorka, w których chciał hodować traszki.

Anne stała na tarasie i obserwowała przepływające w pobliżu obłoki oraz piętrzące się czarne chmurzyska. Szkoda, że będą musieli zjeść w kuchni. I jednocześnie pomyślała, że teraz znowu przez wiele miesięcy nie będzie obserwować chmur, nawet ich nie zauważy. Pogoda w Niemczech skłaniała tylko do podjęcia decyzji, jak się ubrać: czy włożyć ciepłą kurtkę, czy lekką, a może nieprzemakalną, czy zabrać ze sobą parasol, czy do zimowego palta wziąć czapkę i rękawiczki, czy nie. I to ciągłe skrobanie szyb w samochodzie, włączona dmuchawa, wieczne korki podczas deszczu albo w dni słoneczne: otworzyć dach, opuścić szyby – tęsknota za Toskanią. Może czasem rejs parostatkami

z Felixem lub piknik. W lecie otwarty basen. Okay, niech i tak będzie, idź z Michaeliem, pod warunkiem, że będzie tam jego matka. A o ósmej masz być w domu. I nie chodź w mokrych kąpielówkach. Cześć, synku, ale, ale, czy napisałeś już wypracowanie? Okay, jednak jutro już na pewno. Obiecujesz? Słowo honoru.

To wszystko było przed nią, teraz mieli jeszcze ten wieczór. Ten jeden wieczór. We troje.

Kiedy Anne usłyszała pierwsze pomruki burzy, nakryła stół w kuchni i nawet postawiła kilka świeczek. Gdyby tak spędzić tu święta i Nowy Rok – wyobraziła sobie – ale Harald i Felix woleli śnieg i narty. Felix miał teraz dziesięć lat i już zjeżdżał za ojcem każdą trasą, podczas gdy Anne ciągle uczyła się zjeżdżania pługiem na oślej łączce.

Harald rozmawiał z Pinem i Samanthą i śmiał się głośno. Już prawie skończył sadić cyprysy. Kiedy zauważył Anne, która wyglądała przez okno w kuchni, powiedział, że przyjdzie za pięć minut. Wtedy Anne zawołała Felixa. Strumień nie był daleko. Co prawda nie widziała Felixa, ponieważ gęste krzaki i drzewa zasłaniały widok, ale przecież musiał usłyszeć jej wołanie. Kiedy go wołała, zazwyczaj natychmiast przychodził, poza tym wiedział, że na stole czeka kolacja.

Jednak tym razem nie przychodził.

Przez następne minuty i godziny Anne snuła wspomnienia, jakby od tamtej pory nie upłynęło dziesięć lat, lecz wszystko zdarzyło się wczoraj. Zza rogu domu wyłonił się Harald z ogromnym jajem wielkanocnym i wszedł do kuchni.

– Spójrz. Od Samanthy i Pina dla Felixa na Wielkanoc.

Czekoladowe jajo miało wielkość piłki do futbolu i było owinięte kolorowym, błyszczącym, pozłacanym od wewnątrz papierem w małe zajaczki wielkanocne kucające pomiędzy kiczowatymi, fantastycznymi kwiatkami.

Harald uśmiechał się.

– Takie monstrum trudno będzie schować, ale to miłe z ich strony. – Ale, ale, dla ciebie też mam niespodziankę.

– Tak? – Anne uwielbiała niespodzianki.

– Goście, którzy mieli przyjechać jutro, nie przyjadą. Mężczyzna dostał zawału serca. Więc jeśli chcesz, możemy zostać jeszcze cały tydzień po świętach.

Co za pytanie! A więc to nie jest ostatni wieczór. Z radości Anne poczuła się bardzo lekko.

– Cały czas miałam nadzieję na coś takiego! Fantastycznie! Jasne, że zostajemy! Felix też się ucieszył! Był taki smutny, że już wyjeżdżamy. – Harald pocałował Anne we włosy.

– Najpierw zaniosę to monstrualne jajo do naszej sypialni.

Anne wyszła na taras. Niebo już prawie poczerwiało. W każdej chwili mogło zacząć padać.

– Felix!!! Wracaj do domu! Kolacja! – Krzyknęła najgłośniej, jak tylko mogła. Musiał ją usłyszeć, ale nie odpowiedział. Usłyszała jedynie, jak Pino zapala swojego fiata punto, a potem chrzęst toczącego się po zwirowym podjeździe samochodu. Najwidoczniej mieli jakieś plany na ten wieczór, co zdarzało się raczej rzadko.

Anne ponownie zawołała. Jeszcze głośniej i dłużej niż poprzednio. Harald wyszedł na zewnątrz.

– Pójdę zobaczyć, gdzie on się włóczy.

Harald przeszedł przez łąkę i zniknął za rosnącymi nad strumieniem krzakami. W tym wszystkim nie było jeszcze nic nadzwyczajnego, ale Anne czuła, jak jej serce zaczyna gwałtownie bić. Czuła jego bicie w gardle i twarz jej płonęła. Coś było nie w porządku. Żeby ukryć drżenie i niepokój, zapaliła papierosa. Zaczęły padać pierwsze krople deszczu. Powolne, ciężkie, ogromne krople, które spadały ze stukotem na drewniany stół i zostawiały małe kałuże. Wrócił Harald.

– Do jasnej cholery, gdzie się podział ten nicpoń? Nie wziął ze sobą zegarka?

– Oczywiście, że ma zegarek! A poza tym boi się burzy! Nie rozumiem, dlaczego nie wraca do domu. – Z niejasnego powodu Anne nie chciała, żeby Harald zobaczył jej drżenie.

Harald wziął swoją komórkę.

– Pójdę jeszcze raz nad jezioro. Zadzwoń do mnie, jeśli wróci.

Do jeziora szło się piechotą około piętnastu minut. Anne i Harald nie pozwalali Felixowi bawić się nad jeziorem, a już na pewno kąpać się w nim, ponieważ były tam niebezpieczne wiry, które mogły wciągnąć nawet doświadczonego pływaka.

Harald zaczął biec. Szybkim, długim, energicznym krokiem. Niepokój doprowadzał go do wściekłości. Anne weszła do domu i stanęła przy oknie kuchennym. Deszcz padał coraz gwałtowniej, do tego zaczął wiać zimny wiatr. W oddali słychać było grzmoty. Dzięki Bogu burza nie doszła jeszcze nad dom. Anne miała dreszcze, włożyła żakiet i zapaliła następnego papierosa, cały czas hipnotyzując wzrokiem komórkę. Proszę, zadzwoń i powiedz, że go znalazłeś. Proszę cię, proszę.

Zadzwoiła komórka. Anne natychmiast zobaczyła na wyświetlaczu, że nie był to Harald. „Numer nieznanym”, prawdopodobnie dzwonił ktoś z Niemiec.

– Słucham? – Głos Anne zabrzmiał bardzo chłodno, nie chciała teraz rozmawiać, oczywiście to dzwoniła jej matka.

– Tak, wszystko w porządku, u nas wszystko dobrze, świetnie... Nie, w zasadzie nic nowego... Ach tak, prawie bym zapomniała, zostaniemy tydzień dłużej... Tak, jacyś ludzie zrezygnowali... A co u was?... Oczywiście, tak będzie najlepiej... Nie, po prostu nie wiem teraz, co jeszcze powiedzieć. Porozmawiamy jutro. Albo w święta. Tak, zadzwonimy w niedzielę przed południem... Tak, ja też ci życzę. I pozdrów tatę. Ciao... Tak, tak, oczywiście. Trzymaj się. Ciao. – Rozłączyła się.

Dlaczego nie powiedziała matce, że umiera ze strachu, że ma poczucie, iż musi wstrzymać oddech, ponieważ życie zamiera, kiedy kogoś brakuje? Bała się, że matkę uderzy jej przerażony, zaniepokojony głos i zacznie zadawać tysiące pytań. Pytań, które tak naprawdę nie były pytaniami, lecz ukrytymi wyrzutami. Pytań, na które wcale nie chciałyby usłyszeć odpowiedzi. Anne nie zniósłaby tego.

Anne spojrzała na zegarek. Harald wyszedł zaledwie siedem minut temu. Trzeba liczyć, że na drogę tam i z powrotem będzie potrzebował pół godziny. Może nawet obejdzie jezioro dookoła. To potrwa jeszcze ze trzy kwadransy. Czują, że nie wytrzyma tyle czasu, wzięła gazetę,

otworzyła ją i zamknęła. Wilgotną szmatką przetarła blat kuchenny. Umyła leżący na nim nóż. Ponownie wstawiła mozzarellę do lodówki. Wyrzała przez okno. Lało jak z cebra. Niebo całkiem poszarzało. Ledwo mogła dostrzec krzaki nad strumieniem. Może Felix gdzieś się schował, żeby nie biec do domu w deszczu. Gdzie można schować się na dole? W lesie? Nad strumieniem? Na łące?

Na pewno nie poszedłby do wioski. Nie było tam żadnego sklepu, nawet małego baru. Po co miałby tam iść? Na piechotę zajmowało to przynajmniej trzy kwadranse. Nie, nie mógł być w wiosce. Ale w takim razie gdzie, do diabła? Pobiegł za jakimś zwierzęciem? Kotem? Szczeniakiem? Zabłądził? Za godzinę zrobi się ciemno. O Boże! A teraz w kwietniu noce były zimne.

Harald wyszedł już jedenaście minut temu.

Próbowała sobie przypomnieć, w co Felix był ubrany. W niebieską bluzę? Nie, tę miał na sobie wczoraj. A może wyszedł tylko w koszulce bawełnianej? W tej białej z Goofym, albo brązowej z wieżą Eiffla, który jesienią przywieźli z Paryża? Odchodziła od zmysłów, nawet nie wiedziała, w co Felix był ubrany!

Teraz trzeba zachować spokój. Żadnej paniki. Już Harald go znajdzie. Na pewno mu się uda. Za kilka minut wejdą obaj, przemoczeni do suchej nitki, ręka w rękę. Przecież Felix był jeszcze taki mały, miał strasznie chude ręce i nogi i delikatną cerę niemowlęcia. Miał miękkie, gładkie, jasne włosy, zawsze opadające mu na oczy, których nie pozwalał sobie obciąć. Twierdził, że jeszcze ma czas, żeby pójść do fryzjera. Mój aniołek, pomyślała, moje słońeczko. Niemal przezroczysty i tak bardzo delikatny.

Czasem wzruszała się, patrząc, jak zrzuca z siebie na podłogę odwrócone na lewą stronę zmechacone spodnie i sweter, sztywne od brudu skarpetki, adidasy, które ze stopami jakoś dziwnie rosły szybciej od niego. Patrząc na pokryte bliznami piszczele i czarne stopy, widziało się, że walczył o swoje miejsce w życiu, począwszy od drzew, krzaków i strumieni. W swoim pokoju gromadził kamienie i patyki, które okazywały się równie ważne jak budzące grozę figurki potworów i matchboksy, a jego chomik imieniem Hobbit mógł swobodnie buszować

w tym bałaganie i czasem znikać na całe dni. Anne stale się dziwiła, jak temu małemu stworzeniu udaje się przeżyć w tych warunkach.

Wracał Harald. Anne wstrzymała oddech. Był sam. Jego koszula i spodnie ociekały wodą, włókł się z trudem, widać, że stracił całą energię. Burza przechodziła teraz tuż nad ich głowami. Grom i błyskawica prawie jednocześnie przesyły powietrze. Ostatnie metry przebył, biegnąc. Anne otworzyła mu drzwi. Oboje milczeli, nagle stali się jedynymi ludźmi na świecie. Byli tak nieskończenie samotni i opuszczeni, że czuli wstyd, kiedy na siebie patrzyli.

– Ściągnij te mokre rzeczy – powiedziała Anne – i włóż coś suchego. – Harald nie zareagował.

– Obszedłem dookoła to cholerne jezioro – powiedział zdyszany. – Nic. Nikogo. Już nie wiem, gdzie mógłbym go szukać. – Uderzył pięścią w stół tak gwałtownie, że Anne przestraszyła się, że złamie rękę. Wyraźnie poznała po nim, jak go to zabolalo.

– I co teraz zrobimy? – wyszeptła Anne, ponieważ koniecznie musiała powiedzieć to zdanie, chociaż wiedziała, że nie ma na nie odpowiedzi. I prawdopodobnie to zdanie go rozwścieczyło.

– Nie wiem – krzyknął. – Nie wiem, po prostu nie wiem, gdybym wiedział, tobym to zrobił, ale nie wiem! – Niewiele brakowało, żeby wybuchnął płaczem i dzięki temu Anne poczuła, jak wracają jej siły. Jeszcze nic nie było stracone. Jeszcze wszystko było możliwe. Pojutrze będzie Wielkanoc. Schowają jajko i będą szaleć w ogrodzie, będą jeść ciasto z truskawkami i grać w *boccia*. W słoneczną ciepłą Niedzielę Wielkanocną w Toskanii. Ojciec, matka i dziecko. Wszystko inne byłoby absurdem. Coś takiego mogło się zdarzyć w filmie, ale nie w rzeczywistości. Nie tu, nie w tej cudownej okolicy. I przede wszystkim nie im. Musimy zachować spokój, pomyślała zdecydowanie, nie możemy teraz wpadać w panikę.

Anne powiedziała mu to wszystko, a Harald wpatrywał się w nią, jakby postradała zmysły. Nie przebrał się, nie włożył kurtki, tylko wziął latarkę i znowu wyszedł. Wdrapał się na górę za domem, biegał we wszystkich kierunkach, walcząc z czasem i zapadającymi ciemnościami.

Kiedy nie było już nic widać na wyciągnięcie ręki, wrócił. Jedyne po to, żeby wziąć kluczyki do samochodu. Wsiadł do wozu i jeździł po okolicy. We wszystkie strony. Bez celu, bez planu. Kierując się tylko własną intuicją. Pytał ludzi, czy nie zauważyli małego chłopca, ale oczywiście nikt go nie widział. W końcu poszedł do *carabinieri*. Przyjęli szczegółowe zawiadomienie o zaginięciu, wypełnili kilka formularzy, każdy w czterech kopiach. Potem poprosili Harald, który sprawiał wrażenie, jakby miał za chwilę wybuchnąć, aby zachował spokój. Teraz w nocy nie mogli nic zrobić, ale rozpoczną poszukiwania o świcie.

Burza już dawno ucichła, teraz nieustannie padało, ale deszcz nie był silny. Harald zdawał sobie sprawę, że nie ma najmniejszej szansy, aby znaleźć chłopca jeszcze tej nocy, i wrócił do domu.

Felix był gdzieś tam na dworze i wierzył, i czekał, nie tracił nadziei, że ojciec przyjdzie po niego, krzyczał i płakał za nim. Żebrał i błagał, ale rodzice nie przychodzili. Nikt nie przychodził. Harald nie powiedział tego, ale Anne widziała, że jej mąż ma wrażenie, że zawiódł.

Wreszcie zdjął mokre ubranie i przebrał się w suche rzeczy. Anne obserwowała go w milczeniu, nie miała pojęcia, czy chce, żeby zostać go w spokoju. Podeszedł do regału, wyjął butelkę whisky, nalał sobie pół szklanki i wypił duży łyk. Potem usiadł przy kuchennym stole, plecami do niej, położył głowę na przedramieniu i rozplakał się.

To było najgorsze. Ponieważ było czymś ostatecznym.

Anne i Harald przesiedzieli w kuchni całą noc i w ciszy nasłuchiwali. Czy nie słychać kroków na żwirze, czy powoli nie otwierają się drzwi, czy nie słychać jego wołania. Milczeli i nasłuchiwali. To było nie do zniesienia. Pragnęli przynajmniej usłyszeć samochód, hałas dochodzący z drogi, warkot samolotu, cokolwiek... w czym byłoby choć trochę życia, ale siedzieli, nic nie mówiąc, jak w dźwiękoszczelnym pomieszczeniu, i to wszystko. Deszcz przestał padać i wiatr całkiem ucichł. Nawet kot nie zamiauczał. Teraz Anne pomyślała, że głuchnie, że ta cisza panuje tylko w jej głowie, że traci kontakt ze światem zewnętrznym, ale wtedy Harald wstał, podeszedł do zlewu i spryskał

sobie twarz lodowatą wodą. Anne słyszała płynącą wodę i wiedziała, że nie ogłuchła, po prostu na dworze wszystko było jak wymarłe.

Kiedy wzeszło słońce, Harald znowu wyszedł i ruszył na poszukiwania. Anne zrobiła sobie cappuccino i nie wiedziała, jak ma przetrwać ten dzień. Zaraz potem przyszli *carabinieri*, a ich paralizujące nerwy, ale jednocześnie nieco pocieszające działania w nieznacznym stopniu przytłumiły jej strach. Karabinierzy objeżdżają leśne drogi, oddział z psami przeczesuje okolicę, nurkowie przeszukują jezioro. Anne nie dowiedziała się niczego więcej, niż chciała wiedzieć. Miała nadzieję, że go znajdą, i jednocześnie miała nadzieję, że go nie znajdą. Chciała wiedzieć, co się z nim stało, ale z drugiej strony nie chciała tego wiedzieć, żeby nie stracić nadziei. I chociaż przetrząsnęła każdy zakątek mózgu i próbowała pobudzić do działania podświadomość, intuicję, instynkty i przeczucia, nie znalazła nawet najmniejszej wizji małego chłopca, któremu nie stała się żadna krzywda i który spędził noc pod drzewem oliwkowym, osłonięty przez zwietrzały mur, ponieważ prawdopodobnie złamał nogę i nie mógł już przybiec do domu. Nie było tam takiego obrazu. Niczego tam nie było. I musiała przyznać przed samą sobą, że jej nadzieja właśnie umarła.

Przyszedł don Matteo, wiejski proboszcz. Miał na sobie ciężkie kalosze, kortowe spodnie utyłane zaschniętą gliną, sztruksową koszulę, na niej wojskową kamizelkę z licznymi kieszeniami, w których przechowywał cały swój dobytek. Najwidoczniej przyszedł prosto z pola. Usiadł obok Anne, wziął ją za rękę i mówił do niej. Nie rozumiała, co mówi, ale potem zaczął się modlić i to przyniosło jej ulgę. Nie musiała mu odpowiadać, nie musiała nic wyjaśniać, po prostu siedział obok niej, tak po prostu.

Anne i Harald zostali w tym domu nie tylko na Wielkanoc, lecz jeszcze dwa tygodnie dłużej. Karabinierzy szukali trzy dni, potem zawiesili poszukiwania. Harald codziennie o wschodzie słońca wychodził z domu i wracał dopiero wieczorem, kiedy było już ciemno. Nie przedstawiał szukać. Anne siedziała w kuchni lub na tarasie i czekała. Nic nie robiła. Po prostu tylko tam była. Nic nie czytała, nie słuchała radia, ni-

gdzie nie chodziła. Zupełnie się wyłączyła. Przestała zdawać sobie sprawę, czy czas płynie, czy stoi w miejscu. Całkowicie straciła jego poczucie, nie wiedziała, czy minęło pięć godzin, czy piętnaście minut. Jakby przestała istnieć. Była jak wypalona. Wszystko w niej umarło. Była jak otopniała, nic nie słyszała, nic już nie czuła. Nawet bólu. Co jakiś czas wyobrażała sobie, że drzwi się otwierają i staje w nich Felix. Uśmiecha się i mówi: „Cześć mammo, jest coś do jedzenia?”

Dla Anne byłoby to najpiękniejsze zdanie. Najpiękniejsze w jej całym życiu. Ale już nigdy nie miała go usłyszeć.

Kiedy Anne wróciła, była blada jak ściana. Eleonore przyglądała się jej z z troskaniem.

– Dobrze się pani czuje?

– Tak, nic mi nie jest, ale za szybko wypitałm wino na pusty żołądek. Eleonore uśmiechnęła się i wstała.

– Zrobię coś do jedzenia.

Poszła do kuchni, Anne została na tarasie ze wzrokiem utkwionym w dali. Kilka mew krzyczało na niebie, chociaż właściwie nie miały tu czego szukać. Morze znajdowało się o wiele za daleko. Prawdopodobnie mamy wiatr od morza, pomyślała, ale kogo to interesuje. Burza piaskowa mogłaby przykryć ten kraj metrową warstwą kurzu, aż wszystko zniknie, każde drzewo oliwkowe, każda winnica, każdy dom. Przestało mnie to interesować. Od owego piątku przed Wielkanocą, dziesięć lat temu, świat przestał dla mnie istnieć.

Eleonore przyniosła trochę chleba, miskę oliwek i kawałek parmezanu. I usiadła. Anne z wdzięcznością zjadła kawałeczek sera.

Był już kwadrans po jedenastej, kiedy wróciła do hotelu. Od razu bardzo blisko znalazła miejsce parkingowe. Ciepłe żółte światło latarni ulicznych stwarzało przytulną atmosferę w mieście, które tu, gdzie nie było restauracji ani sklepów, sprawiało o tej porze wrażenie cichego i ospałego. Stara kobieta śpieszyła się do domu, para zakochanych, spleciona w uścisku i szepcząc do siebie, szła wolnym krokiem w kierunku Campo na pozór bez celu. Anne zeszła na bok, stary fiat cinquecento męczył się, jadąc pod górę stromą ulicą, i zatrzymał się przed ponurym domem, który wyglądał, jakby od lat nikt w nim nie mieszkał.

Stary mężczyzna z trudem gramolił się z malutkiego auta. Miał na głowie kapelusz, jaki nosił dziadek Anne, kiedy rano wychodził z psem na targ. Anne pomyślała o swoim dziadku i o małej papierowej tutce z kolorowymi żelowymi diabełkami, które tak lubiła ssać i które dziadek zawsze jej przynosił. I ta myśl ją zasmuciła. Ponieważ tamte czasy przeminęły. Zdała sobie sprawę, że wszystko, co dotychczas przeżyła, gdzieś uleciało. I teraz w ciepłą letnią noc szła przez Sienę i czuła się jak fabrycznie nowy twardy dysk, na którym nie zapisano jeszcze żadnych danych.

Mężczyzna zamknął masywne, ciężkie drewniane drzwi i zniknął w na pół zrujnowanym domu. Okiennice pozostały zamknięte, z zewnątrz nie było widać światła. Nawet najmniejszego przebłysku.

Anne była zmęczona. Wolno i ociężale, jak gdyby była pijana, weszła do hotelu, starając się nie zrobić żadnego błędnego kroku, nie potknąć się i nie przewrócić. *Signora* w recepcji z uśmiechem podała jej klucz do pokoju, jeszcze zanim o niego poprosiła. Anne była jej za to wdzięczna, była wdzięczna za każde słowo, którego nie musiała już wypowiadać tego wieczoru.

Mały pokój na pierwszym piętrze wydał się Anne spokojnym gniazdkiem, w którym nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo. Zdjęła buty, podeszła do okna i otworzyła je na oścież. Potem zgasiła światło, rozebrała się, z trudem wpełzła pod koc, który był bardzo naprężony i mocno wciśnięty pod materac, i natychmiast zasnęła.

Była noc 21 czerwca.

– Chwileczkę – powiedziała z uśmiechem Monica Benedetti i wskazała na fotel pod oknem. – Zechce pani usiąść na chwilę? – Spojrzała na zegarek. – Pan Gregori powinien przyjść lada moment.

Anne usiadła. Całą noc dobrze spała i cieszyła się, że nic się jej nie śniło. Kiedy rano otworzyła oczy, w pokoju było jeszcze zimno, ale w ogrodzie już cykały cykady i obudziły w niej złudne uczucie szczęścia. Było lato. Prawdziwe lato. Dzisiaj, jutro i pojutrze. I przez następny tydzień. A nie jak w Niemczech tylko dwa dni, a potem znowu chłodna, wilgotna jesień. Nie. Miała urodziny i całe lato przez sobą. *Happy birthday*, Anne. Nie można było lepiej zaczynać życia od nowa.

Śniadania podawano na ocienionym tarasie, po którym pięta się gęsta aktinidia. Ze swojego miejsca Anne wypatrzyła pod pinią w ogrodzie kamienną rzeźbę naturalnej wielkości i pozieleniałą od upływu lat. Rzeźba przedstawiała kobietę z obnażonymi piersiami, która jedną ręką unosiła fałdy spódnicy, a w drugiej trzymała jabłko, przyglądając mu się w zamyśleniu i z uśmiechem zadumy. Widok jak z innego świata, z innych czasów.

Cappuccino było czystą poezją. Anne nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek piła taką pyszną kawę. Do tego szklanka zimnej wody i babeczka z budyniem. Włoskie śniadanie.

Anne rozejrzała się dookoła. Za zwietrzałą średniowieczną fasadą tego domu nie spodziewała się tak hipernowoczesnego biura. Funkcjonalne, surowe i zimne. Człowiek mógłby zamarznąć, gdyby miał tu pracować. I tylko dwa obrazy na ścianie. Jeden ukazywał ogromne pole słoneczników, za nimi przycupnęła, prawie połknięta przez kwiaty, mała chatynka, pomalowana na czerwono zgodnie z miejscowym zwyczajem. Na drugim rozległe, pozbawione drzew wzgórze na Krecie w rozproszonym, poprzecinanym pasmami mgły powietrzu wczesnego poranka. Zacierający się krajobraz namalowany w delikatnych pa-

stelowych odcieniach, na wzgórzu dom, cztery cyprysy osłaniające go od wiatru, nierealny, niezyciowy krajobraz.

Anne siedziała w fotelu, którego siedzisko miało dziwny kształt. Nie wiedziała, jak wyglądają fotele klubowe, ale tak je sobie wyobrażała. To biuro z całą pewnością urządził mężczyzna, tak wiele rzeczy było tu nieprzewidywalnych, a za następnymi drzwiami mogło znajdować się dosłownie wszystko. Nawet fotel dentystyczny albo regały z książkami prawniczymi i dziesiątkami metrów komentarzy do nich.

Monica wyszła zza biurka i podała Anne katalog.

– Proszę, oto nasze aktualne oferty. Może zechce pani rzucić okiem?

Anne skinęła głową i na chybił trafił otworzyła katalog. Podane w nim nazwy miejscowości zupełnie nic jej nie mówiły. Szybko go zamknęła.

– To nie na wiele mi się przyda. Szukam czegoś w bardzo konkretnej okolicy, a kiedy czytam „Castelnuovo” lub „Castelfranco”, nie mam nawet pojęcia, gdzie to jest.

– Rozumiem. – Monica wzięła od niej katalog i odłożyła na półkę. – Myślę, że pan Gregori zaraz przyjdzie. Napije się pani czegoś?

– Szklankę wody, jeśli można.

I w tym momencie Kai Gregori wszedł do przedpokoju biura. Miał jeszcze mokre włosy, zaczerwienioną twarz i był lekko spocony. Widocznie przed chwilą brał prysznic. Podał Anne rękę.

– Pani Golombek? – Anne skinęła głową. – Gregori. Bardzo przepraszam, że musiała pani czekać, ale mnie zatrzymano.

– Nie szkodzi. Nigdzie się nie śpieszę.

Uśmiechnął się, a Anne odwzajemniła uśmiech. Kai otworzył drzwi do swojego gabinetu. – Proszę, zechce pani wejść. Monica, proszę zrobić nam kawę.

Monica spojrzała na Anne pytającym wzrokiem.

– Kawę czy wodę?

– Wodę. – Anne weszła za Kaiem do biura.

Wskaźnik poziomu paliwa czarnego mercedesa-jeepa pokazywał jedną czwartą. Zwykle najpierw podjeżdżał z klientem na stację benzynową,

tankował samochód, a zużyte paliwo rozliczał na końcu trasy. Dzisiaj tak nie zrobił i sam sobie zadawał pytanie, dlaczego. Może było to ukryte pragnienie jego podświadomości, żeby zasygnalizować jej, że wycieczka ma charakter raczej prywatny niż służbowy, może chciał sprawić wrażenie człowieka lekkomyślnego i spontanicznego, po to, aby nie dać sobie przypiąć łatki mieszczańskiego, przesadnie poprawnego agenta nieruchomości... a może po prostu chciał tylko szybko ruszyć w drogę. Pojechać z nią w góry, bez żadnej zwłoki.

Sądził, że rozumiał, czego ona szuka. Wprawdzie nie wiedział, dlaczego pragnęła się zaszyć – inaczej nie można było tego nazwać – koniecznie we Włoszech i akurat w tej okolicy, ale na pewno jeszcze się tego dowie. Miał dla niej na widoku całkiem konkretny obiekt, ale jego doświadczenie pośrednika w handlu nieruchomościami nauczyło go jednego: nigdy nie pokazuj najlepszej oferty na początku ani na końcu. Jeśli pokażesz ją na początku, nie zostanie potraktowana poważnie, tylko miliarderzy i celebryci kupują pierwszy lepszy obiekt, jaki widzą, a po pięciu proponowanych ofertach zapominają już o tej pierwszej i zawsze sądzą, że dokonali złego wyboru. Jeśli natomiast najciekawszy obiekt pokazuje się na końcu, klienci są już wtedy przeważnie rozdrażnieni, przestają wierzyć, że znajdą coś odpowiedniego, i ich wymagania maleją. Na tym polegała sztuka sprzedawania nieruchomości, żeby wyczuć, który dom klient na pewno kupi, i odpowiednio zaplanować prezentację. W myśl tej zasady z pewnością spędzi z Anne Golombek przynajmniej dwa dni. Cudowna perspektywa, ponieważ Anne Golombek miała w sobie coś, co go w magiczny sposób pociągało. Może był to jej dystans lub tajemnica, jaką bez wątpienia posiadała, ale próbowała ukryć. Dlatego wydała mu się niesamowicie atrakcyjna, a jej pragnienie, aby znaleźć dom wyłącznie dla siebie, było po prostu fascynujące. W ostatnich latach miał do czynienia przeważnie z parami około sześćdziesiątki, które szukały domów na lato lub spokojnych rezydencji na starość.

Właśnie skręcili z głównej drogi Grosseto–Arezzo w kierunku Bucine, kiedy Anne spojrzała na niego zjadliwie.

– Dlaczego nie pokazał mi pan najpierw programu trasy, zanim zaczął mnie pan wozić po okolicy? Może się okazać, że to wszystko było daremnym trudem i tylko niepotrzebnie stracił pan czas i pieniądze.

– Taki mam styl pracy. Nieruchomości nie kupuje się przy biurku. Na podstawie fotografii nie można zdecydować, czy dom się podoba, czy nie. Trzeba poznać okolicę, poddać się jej urokowi, zaznajomić z dojazdem, zobaczyć ogród, nacieszyć się widokiem. Trzeba stanąć przed nimi i poczuć atmosferę. A tę każdy przeżywa inaczej. Najczęściej nie zależy to nawet od tego, czy dom jest wyremontowany, czy nie, i najczęściej jest zupełnie inna, niż człowiek wyobrażał sobie, będąc w Niemczech. Po prostu trzeba stanąć przed takim domem i się zakochać. Dać mu się oczarować i już nigdy nie pozwolić wymazać go z pamięci. Taki dom powinien budzić tęsknotę. Pożądanie. Nawet jeśli jest to całkowicie nierealne. Potem głęboko odetchnąć i pomyśleć: mój Boże, muszę go mieć, inaczej umrę. Wtedy już nie ma znaczenia, że na dachu brakuje trzech dachówek albo że kafelki w łazience mają nieodpowiedni kolor. – Spojrzał w lusterko wsteczne i zwolnił, ponieważ wyprzedzał go inny samochód. – To tak jak w miłości. Słyszałem o ludziach, którzy dopiero po dziesięciu latach małżeństwa zauważyli, że ich partner ma krzywy nos. Zauważyli to dopiero, kiedy łączące ich uczucie gasło. – Teraz Kai odważył się spojrzeć na nią. Patrzyła przed siebie nieruchomym wzrokiem. Na jej twarzy malował się niezgłębiony wyraz. – Dlatego też wożę moich klientów po okolicy i raczej zawsze pokazuję im o jeden obiekt za dużo. Dzięki temu wyrażają sobie ogólne wrażenie i nie mają poczucia, że coś pominęli lub przeoczyli.

Anne przytaknęła:

– Widać z tego, że jest pan idealistą.

– Kiedy pani tu zamieszka, to też albo stanie się pani idealistką, albo wróci do Niemiec. Kiedy pokocha się ten kraj, chce się, żeby wszyscy inni także nauczyli się go postrzegać i kochać. Bycie tu pośrednikiem to dla mnie kiepski interes. Nie to, co praca w mieście, gdzie wieczorami przy szampanie można przechwalać się przed przyjaciółmi z branży: słuchajcie, dzisiaj dobrze mi poszło, sprzedałem trzy

apartamenty własnościowe i dom czynszowy. Natomiast moja praca tutaj jest – hm, jak by to wyrazić – raczej jak misja.

– Podoba mi się to, co pan mówi.

Powoli kończył się teren niezalesionych wzgórz i teraz były one pokryte gęstymi lasami.

– Znam tę okolicę – powiedziała Anne. – Spędzałam tu urlop dziesięć lat temu.

– I tak bardzo się pani spodobała, że teraz koniecznie chce pani tu wrócić?

Anne zawahała się.

– Mniej więcej.

Był zaskoczony, ale nie dopytywał. Kiedy mówił dalej, rozmawiał bardziej sam ze sobą niż z nią.

– Okolica jest tutaj bardziej przyjemna, ale też bardziej dzika i bezludna. Rośnie tu tylko to, co chce rosnąć. Choć wyraźne kontury giną, człowiek czuje się przytulnie. Krajobraz sprzyja dobremu samopoczuciu i chce się tu żyć, a nie tylko wegetować w markowych ciuchach i wystawiać się na pokaz. Tu obowiązuje zasada *vivere e lasciarvivere*, „żyj i pozwól żyć”, w tej dzikiej okolicy, ale z dostępem do cywilizacji, luksusu i wszystkich niezbędnych wygód. W lesie człowiek jest bardziej odizolowany i ukryty, lecz bardziej samotny. I aż do następnej posiadłości krajobraz się nie zmienia. Takie lasy dębowe jak tu znajdzie pani również w Niemczech, jednak takich gór już nie.

– To prawda. Chociaż bardziej wolę Toskanię porośniętą lasami niż wyłysiałą.

Kai uśmiechnął się, wjechali właśnie do Ambry, miasteczka, które leżało w centralnym punkcie doliny i oferowało wszystko, co było potrzebne mieszkańcom: pocztę, bank, piekarnię, aptekę, trzy sklepy spożywcze, dwa bary, sklep obuwniczy, kwiaciarnię, sklep żelazny, pralnię chemiczną, rzeźnika, przychodnię lekarską, szkołę, trzy kościoły i kino.

Z trudem przejechał przez Piazza, na którym zawsze parkowało mnóstwo samochodów, i skręcił w lewo, kierując się do Cenniny, małej górskiej wioski, do której prowadziła wprawdzie asfaltowa, ale bardzo wąska i kręta droga.

Anne oparła się wygodnie. Cennina. No tak. Poszli tam wtedy na letni koncert, który zaczynał się dopiero wieczorem o dwudziestej pierwszej. Felix został w domu i opiekował się małym ptaszkiem ze złamanym skrzydłem, którego znalazł w krzakach. Za pomocą małej łyżeczki poił go wodą i wtykał w dziób znalezione przez siebie i pocięte na kawałki rosówki. Ale ptak odmawiał przyjmowania pożywienia. Ani razu nie otworzył dzioba. Wtedy Felix znalazł w lodówce resztki polenty z obiadu, która okazała się przysmakiem ptaka. Głośno zakwilił, kiedy Felix zbliżył się z polentą, i rozdziawiał dziób tak szeroko, że otwarte gardło wydawało się większe niż jego cała głowa. A Felix wtykał i wtykał.

Kiedy po koncercie w Cenninie wrócili do domu, wydawało się, że ptak śpi. Felix kołysał go w dłoni, szeptał uspokajające słowa i był bardzo szczęśliwy. Przekonali go, żeby na noc ułożył ptaka w kartonie po butach wymoszczonym mchem.

Następnego dnia ptak nie żył. Po prostu pękł. Olbrzymia ilość polenty napęczniała w jego małym brzuszku i rozerwała go. Harald i Felix pochowali ptaka. Harald postarał się urządzić godną ceremonię i postawił na miejscu pochówku kamień. Jeszcze trzy dni Felix zalewał się łzami, kiedy o tym pomyślał.

Od tamtej pory już nigdy więcej nie wziął do ust polenty.

Za Cenniną zaczynała się bardzo kręta droga szutrowa, ale do jej pokonania nie był konieczny jeep. Zresztą serpentyny były tak ciasne, że Kai kilka razy musiał manewrować do tyłu i do przodu, żeby w ogóle pokonać zakręt. Wreszcie dotarli do Solaty. Wioska robiła wrażenie opuszczonej i zaniedbanej, chociaż najwidoczniej była zamieszkana. Zgraja psów z dzikim ujadaniem rzuciła się na samochód, ale Kai się tym nie przejął i po prostu jechał dalej, mimo iż psy próbowały przegryźć opony.

Po dziesięciu minutach jazdy przez lasy oliwek i jadalnych kasztanowców dotarli do ruiny. Była to duża posiadłość w kształcie litery U, położona na wzgórzu ze wspaniałym widokiem na dalekie Valdarno aż po Prato Magno, wysokie góry dzielące Umbrię od Toskanii.

Anne wysiadła z samochodu i obejrzała się przerażona.

– Co to ma być? – zapytała. – Po co pokazuje mi pan tę ogromną ruinę, w której jest miejsce na sześć apartamentów i żeby ją odbudować, musiałabym wydać ze dwa miliony euro, nie mówiąc o tym, ile by to trwało i o kłopotach z robotnikami?

– Niech pani zapomni na chwilę o ruinie – powiedział Kai. – Chodzi mi o miejsce. Podoba się pani? Położenie? Widok? Odległość od najbliższej miejscowości?

Anne powoli obchodziła ruiny, co nie było łatwe ze względu na bujnie rozrośnięte krzaki jeżyn.

– Nie – odpowiedziała po chwili. – Według mnie widok na dolinę Valdarno jest zbyt odległy. Jest tu zbyt anonimowo. Nie podoba mi się, ponieważ kiedy rano otworzę oczy, nie zobaczę „mojego lasu”, „mojego wzgórza”, „mojej kaplicy”, które są mi bliskie, nie zobaczę w ogóle nic. Tylko bezmienną okolicę. Domy i drogi leżą tak daleko, że prawie ich nie widać. Zgubię się w tym krajobrazie. Prawdopodobnie w nocy dolina jest usiana światłami, cywilizacja jest pozornie tak blisko, a to sprawi, że będę się czuła jeszcze bardziej samotna, niż gdybym wpaływała się w ciemny las, w którym nie widać żadnego światła. – Okręciła się wokół własnej osi, rozłożyła ręce i roześmiała się. – Będę tu stała na górze i wystawiała się na widok całego świata. Każdy będzie mógł mnie oglądać. Będzie widział z drogi, czy właśnie jem lub leżę na leżaku, jestem w domu lub pracuję w ogrodzie, będę tu bardziej wystawiona na widok publiczny niż w mieście. Żeby tego uniknąć, musiałabym posadzić drzewa i żywopłoty, a w oknach powiesić zastony. Nie chcę tego wszystkiego.

– A miejscowość?

Anne zastanawiała się przez chwilę.

– Tak, uważam, że wioska też jest za daleko. Nie chcę mieć sąsiada, który się denerwuje, kiedy za głośno gra u mnie radio, ale nie chcę też maszerować godzinę, żeby spotkać drugiego człowieka.

Kai uśmiechnął się i otworzył drzwi samochodu.

– No tak. Teraz już wiem dokładniej, czego pani szuka. Proszę wsiadać. Co pani na to, żebyśmy najpierw poszli coś zjeść? Znam w pobliżu

małą osterię z prostym, lecz bardzo smacznym jedzeniem. Spodoba się pani. A potem pokażę pani dom pani marzeń.

Anne wsiadła do samochodu.

– Fantastycznie. Ale to ja zapraszam. Mam dzisiaj urodziny.

Tego dnia nie oglądali już nieruchomości, ponieważ utknęli w małej osterii w Castelnovo Berardenga przy wyjeździe z wioski. Na początku byli bardzo uprzejmi wobec siebie, na przekąskę zjedli kilka crostini i rozmawiali o nieruchomościach. Anne miała uczucie, że się powtarza, że wszystko opowiedziała mu już w biurze, Gregori musiał się strasznie nudzić. Kai zamówił pół litra chianti i dużą butelkę acqua minerale frizzante. Wznosili toasty, Anne paliła papierosy, i kiedy podano jej gnocchi, a Kaiowi ravioli, butelka z winem była pusta. Kai zarządził następną karafkę.

Wtedy znowu przypomnieli sobie o urodzinach Anne, Kai złożył jej życzenia i zapytał, ile ma lat, a Anne zażartowała, że przecież widać, dwadzieścia osiem. Kai uśmiechnął się na to, a Anne roześmiała się tak głośno, że aż wypluła na stół kilka kawałków gnocchi, co bardzo ją zawstydziło.

Kai uprzątnął je ze stołu serwetką, którą wcisnął za wazon z kwiatami, udając, że nic się nie stało.

– Dlaczego szuka pani domu tu, w Toskanii, tylko dla siebie? – zapytał Kai.

Anne spojrzała na niego szelmowsko.

– Ponieważ chcę być razem z moim synem, wreszcie, po tak wielu latach... i ponieważ mój mąż w Niemczech rżnie się z moją najlepszą przyjaciółką.

Kaia na moment zatkanęło.

Gnocchi z sosem pesto są wyśmienite, stwierdziła Anne, i w ogóle życie jest cudowne. Podkreśliła tę opinię szerokim gestem i przewróciła kieliszek z winem.

– Nic się nie stało – bąknął Kai i ponownie nalał jej wina.

Kiedy na stół wjechał *coniglio umido*, królik w sosie, zamówili jeszcze pół litra wina.

– Dzisiaj mam urodziny i dzisiaj zaczynam nowe życie – powiedziała Anne. – To może być początkiem początku, ale może być też początkiem końca. I jedno dobre, i drugie. Ale myślę, że powinniśmy mówić sobie po imieniu.

Podniosła kieliszek, Kai również. Ta kobieta zdobyła go szturmem, ale wcale mu to nie przeszkadzało. Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się. Oczy Anne miały niezwykłą głębię, i kiedy spojrzało się na ich dno, można się było zagubić w całkowitej pustce. Nieważne, jaką grę prowadziła, nie potrafiła ukryć smutku, który wszystko przyćmiewał, gasił wszystko, co wcześniej lśniło w jej oczach.

– Masz ochotę na deser? – zapytał.

– Poproszę espresso. Wprawdzie jest dla mnie o wiele za gorzkie i ma obrzydliwy smak nawet z cukrem, ale skoro wszyscy Włosi piją espresso po jedzeniu, ja też wypiję espresso po jedzeniu. Jeśli mam tu zamieszkać, chcę robić to, co wszyscy. Codziennie będę kupować gazetę, będę ją czytać, a potem zostawiać gdziekolwiek. Latem będę zamykać okiennice i zapalać światło w pokoju. Będę siedzieć przed domem i czekać, aż ktoś przechodzący porozmawia ze mną. I to będzie szalenie emocjonujące.

– *Due caffè* – zawołał do obsługi – *e il conto, per favore!*

– Ja stawiam – przypomniała. – Tak było ustalone. A co dotyczy domu – pieniądze nie grają roli. Jeśli mi się spodoba i jeśli nie będzie to czyste zdzierstwo, pieniądze nie będą miały znaczenia. No, i co ty na to? Czy twoje serce agenta nieruchomości nie zabiło żywiej po takiej deklaracji? – Anne nagle stała się agresywna i nie wiedziała dlaczego.

Nie był zły. Miętko i cicho powiedział:

– Krótka sjesta dobrze ci teraz zrobi.

Spojrzała na niego.

– Odwieszysz mnie do hotelu?

Skinął głową. Obsługa przyniosła espressi i rachunek. Anne położyła na nim pieniądze i wychyliła kawę jednym haustem, jak ostatni kieliszek wódki, którego nie ma się ochoty wypić, ale trzeba.

– Możemy iść.

Duży parking, na którym stały jedynie trzy samochody, był oddalony zaledwie o kilka kroków od osterii.

- Cudowne urodziny – powiedziała. – Możesz jeszcze prowadzić?
- Tak. To niedaleko.

Uwiesiła się ciężko na jego ramieniu.

- To dobrze. Ja nie mogłabym teraz jechać.

W czasie jazdy głowa opadła jej na szybę i Anne zasnęła. Kai popatrzył na nią. Była jednocześnie wesołą wdówką i czarną wdową. Na wszelki wypadek chciał wiedzieć, jakie ma plany. Jutro pokaże jej dolinę. Właściwie mógłby zaproponować jej jeszcze kilka innych nieruchomości – ale wówczas nie byłby wierny swoim zasadom. Za bardzo się niecierpliwiła, a on był w stu procentach pewny, że dolina będzie dla niej najlepsza.

Ocknęła się dopiero, kiedy zatrzymał się przed hotelem.

- Może na chwilę wejdę z tobą na górę?

Nic nie powiedziała, uśmiechnęła się i wysiadła.

- Do jutra – mruknęła, zanim zniknęła w hotelu. Kai odprowadził ją wzrokiem. Nie spodziewał się niczego innego.

Kiedy się obudziła, był kwadrans przed siódmą. Miała jasny umysł, wyschnięte usta i wilczy apetyt na czekoladę. Napiła się wody prosto z kranu w łazience, wybrała ekstremalnie czerwoną i ekstremalnie rzucającą się w oczy szminkę i wyszła z pokoju.

Była najprzyjemniejsza pora dnia w mieście. Wszystkie sklepy otwarte, sienneńcy robili teraz zakupy w malutkich sklepach Alimentari, po ulicach wałęsali się turyści, vespy i fiaty trąbiły na wyścigi, wieczorne słońce było łagodne i już nie za gorące.

Anne zastanawiała się, czy nie powinna przez chwilę posiedzieć w katedrze, ale zdecydowała się na coś innego. Bardziej ciągnęło ją na Campo.

Na Campo panował duży ruch. Młodzież siedziała i leżała na gorących kamieniach, grała na gitarach, słuchała muzyki lub się obciskała. Wszystkie stoliki w restauracjach i kawiarniach dookoła placu były pozajmowane, jednak Anne miała szczęście, znalazła jedno wolne miejsce i przysiadła się do pary emerytów. Zamówiła herbatę i kawałek ciasta z owocami pokrytego centymetrową warstwą kolorowej galaretki, przypominającej sztuczny pudding z fabryki plastiku. Zastanawiała się, czy może przez pomyłkę nie zdjęto go z wystawy, ale ciasto było prawdziwe i nawet dało się zjeść. Anne nie miała ochoty wdawać się w dyskusję z emerytami, a oni również nie wydawali się tym zainteresowani. Rozmawiali ze sobą po niemiecku i byli całkowicie pochłonięci wkładaniem nowego filmu do aparatu fotograficznego, co im się nie udawało, ponieważ aparat nie przewijał kliszy.

– Coś takiego teraz, kiedy wreszcie tu jesteśmy... – wyszeptała kobieta, jakby się bała, że zaraz wybuchnie awantura, bo jej mąż był już cały czerwony na twarzy. I rzeczywiście.

– Wyrzucę to dziadostwo do pierwszego kosza na śmieci – urągał. – Nie chciałem kupować tego aparatu. Chciałem yashicę.

Kobieta była bliska płaczu.

– Czyli to moja wina.

– Tego nie powiedziałem! – wrzasnął.

– Ale tak myślisz – wyszeptła.

Anne nabrała głęboko powietrza i głośno westchnęła, chociaż wcale tego nie chciała, ale zaraz zrekompensowała ten brak uprzejmości uśmiechem.

– Nie powinien pan tak bardzo rozwijać kliszy, bo ząbki jej nie chwytają. Mają państwo jeszcze jedną? – Kobieta przytaknęła i zaczęła grzebać w torebce. Kiedy podawała Anne film, w jej oczach malowała się cała nadzieja tego świata, co Anne uznała za przesadne i nie na miejscu.

Anne założyła kliszę.

– Teraz musi działać. Czy zrobić państwu zdjęcie?

– O tak! – Oboje jak na zamówienie radośnie uśmiechnęli się do aparatu, jakby świętowali rocznicę ślubu. Anne nacisnęła wyzwalacz i zwróciła aparat.

– To było bardzo, bardzo miłe z pani strony – powiedziała kobieta. Nie mogła odmówić sobie przytyku wymierzonego w męża. – A ty już chciałeś wyrzucić aparat!

Mężczyzna nic na to nie odpowiedział, ale kolor jego twarzy wrócił do normy. Wstał i poszedł do toalety.

Anne przypaliła sobie papierosa i z rozmysłem unikała wzroku kobiety. Tylko nic już nie mów, pomyślała, proszę, zamknij jadaczkę. Chcę mieć chwilę spokoju.

– Jest pani na urlopie? – zapytała kobieta.

Mój Boże, co za okropna gwara, co za zwyrodniały niemiecki. I właśnie takiego głupiego pytania się obawiała, kiedy zakładała kliszę.

– Tak – odparła i ostro dmuchnęła dymem obok głowy starszej pani. – Z mężem i trójką dzieci. Dzisiaj mama ma wolne, a wszystkim zajmuje się tata.

– O mój Boże, jakie to miłe.

– Tak.

Królestwo za ilustrowany magazyn, ale nie miała nic ze sobą. Nawet notesu w torebce, który pomógłby jej udawać, że intensywnie myśli i robi ważne notatki.

– My też spędzamy urlop. Tutaj jest po prostu cudownie. Przepięknie.

– Tak – potwierdziła Anne.

Mężczyzna wrócił z toalety.

– Chodźmy już, Ilse – powiedziała. – Przecież chciałaś jeszcze zrobić trochę zdjęć.

Kobieta wstała.

– Już zapłaciłeś?

– Tak, w środku przy barze.

Oboje wzięli swoje rzeczy i odeszli pomiędzy rzędami stolików.

– Do widzenia – krzyknęła kobieta, a Anne tylko skinęła głową.

Dwie minuty później zjawił się kelner i po angielsku wypytywał, gdzie się podziali ci starsi państwo. Nie zapłacili.

– Nie ma sprawy – powiedziała Anne. – Ja wszystko ureguluję. – Też była Niemką i chciała zatrzeć złe wrażenie.

Co ja właściwie tutaj robię, pomyślała. Siedzę w zachodzącym słońcu pośród tysięcy turystów, jem ciastko, które niezbyt mi smakuje, i płacę rachunek za zupełnie obcych emerytów, bardziej zuchwałych niż banda niedorostków, która kradnie na stacji benzynowej puszkę coli i ucieka. Dlaczego nie zaprosiłam go do pokoju? Szybki numerek? *One-Afternoon-Stand*, czemu nie? Miałaby się komuś tłumaczyć? Nie, nikomu. Po raz pierwszy od wielu lat. Najwidoczniej oduczyła się robić to, na co miała ochotę. Nie bardzo też wiedziała, co sprawi jej przyjemność. Kai na pewno myślał podobnie. Bez miłości, bez zobowiązań, bez następstw i bez kontynuacji. Może bez kontynuacji. Całkowicie nieskomplikowanie. Czysty seks. O Boże, ile już czasu upłynęło, kiedy ostatni raz to przeżywała. Ponad dwadzieścia lat. Może spędziliby jeszcze ze sobą wieczór i nie musiałaby tu siedzieć i dać się okpić dwojgu staruchom. Na pewno byłoby cudownie i znowu poczułaby, że żyje. To pasowałoby do jej nowego początku, do jej nowego życia. Ale jestem głupia, znowu wszystko zmarnowałam.

Kiedy zauważyła, że sama sobie zaczęła działać na nerwy, przywołała kelnera, niechętnie zapłaciła i poszła. Starła się przybrać swobodny wyraz twarzy, aby nikt, kto spotka ją na Campo, nie wyczytał z niej, że prawie eksploduje żądzą przespania się z mężczyzną.

Tej nocy był roztargniony i bez końca przegrywał. Zdawał sobie sprawę, że nie szczęścia została przerwana, ale wypił za dużo whisky i po prostu nie potrafił przestać. Martwił się z powodu przepuszczonej okazji z Anne, a nie banknotów, które nieprzerwanie przesuwiał po stole, bez szansy na ich odzyskanie, już nie wspominając o ich pomnożeniu. Giorgio tylko popatrzył na niego i stwierdził, że kto ma szczęście w miłości, ten nie ma szczęścia w kartach, a Kai zapytał:

– Co takiego, jaka miłość? – Potem żaden nic już nie powiedział. Dopóki starczało mu pieniędzy, nie było problemu.

Okolo drugiej doszło do tego, że zmiotł ze stołu wszystko, co na nim leżało, rozpaczliwie porozrzucił karty i banknoty, czym wywołał gwałtowną kłótnię. Giorgio miał fula w ręku i zanosilo się, że go pobije, Alvaro starał się zapanować nad chaosem, a Kai wrzasnął na Giorgia, Alvara i Sergia, że są parszywymi dupkami. Na to Sergio wyciągnął nóż, Alvaro próbował załagodzić sytuację, a Giorgio uderzył.

Kai natychmiast nakrył się nogami. Krew tryskała mu z nosa. Tamci trzej oparli go o ścianę, a kiedy krwotok ustał, Kai zwymiotował w wyniku nadmiernej konsumpcji alkoholu.

Obudził się, kiedy zaczęły mu dokuczać promienie słońca wpadające przez brudne i zakurzone okno knajpy. Leżał na zimnej podłodze, huczało mu w głowie i czuł w niej tępy ból. Miał wrażenie, że już nigdy nie będzie mógł chodzić całkiem prosto, żeby mu nie rozsadziło głowy. I na dodatek zmarzł. Smród starego dymu papierosowego i rozlanej, powoli wietrzejącej whisky budził w nim obrzydzenie. Było pół do ósmej. Na dziesiątą umówił się z Anne. Gdyby udało mu się wydostać z tej spelunki, miałby jeszcze dość czasu, żeby pojechać do domu, wziąć prysznic i wypić kawę.

Tak dłużej nie może być. Trzeba skończyć z tymi wyskokami. Jeden urwany film gonił drugi, groziło mu, że się całkiem wykołei.

Ci idioci po prostu zostawili go tu leżącego na ziemi. Podniósł się z trudem, starał się nie zwracać uwagi na ból głowy, który był jak walenie młotem, i szukał włącznika światła. Nie znalazł go. Potykając się i klnąc, przeszedł do pomieszczenia z barem i wymacał wyłącznik za ladą. Światło sprawiło, że poczuł się, jakby znowu był wieczór, i chociaż wiedział, że prawdopodobnie zrobi mu się od tego niedobrze, naładował sobie szklankę piwa i wypił ją duszkiem. Tak go zemdliło, że z trudem utrzymywał się na nogach.

Drzwi wejściowe były zamknięte. Oczywiście. Przecież nie zostawiliby otwartego lokalu z powodu jednego pijanego w sztok agenta nieruchomości. Z pewnością około dziesiątej przyjdzie sprzątaczką lub Paolo, właściciel lokalu, żeby posprzątać i uzupełnić zapasy, ale o dziesiątej będzie już za późno. Anne nie mogła zobaczyć go w takim stanie.

Wrócił do sali w głębi ze stołami do gry. Lepkie karty z wczorajszego wieczoru leżały w koszu na śmieci. Sergio wyjął nóż, tyle pamiętał, przekłęty nóż. Jeszcze raz miał szczęście. Na prawo od automatów do gry były schody do toalety. Kai ostrożnie zszedł na dół. Stopień po stopniu, żeby teraz głupio nie upaść i nie połamać sobie kości.

Wsadził głowę pod kran z zimną wodą. Trzymał ją tak kilka minut. Od razu poczuł się lepiej. Otworzył drzwi do damskiej toalety i zauważył, że wysoko pod sufitem było uchylone okno.

Czuł się jak ostatni menel, kiedy stał na klapie od sedesu i wyęzając resztki sił, podciągał się po brudnej ścianie, aby precyzyjnie się przez okno. Nad spłuczką widniał napis *vaffanculo*, „pocałuj mnie w dupę”.

Kiedy sięgnął na zewnątrz, chwycił za coś miękkiego i wzdrygnął się ze wstrętem. Leżała tam rozkładająca się już martwa mysz z wnętrznościami wyzartymi przez jakieś głodne zwierzę. Zatrząsał się i wyczołgiwał dalej. Z pogardą dla śmierci. Aż wreszcie stanął na podwórku. Znajdował się nieco ponad Sieną. Jego wzrok padał na miasto. Dachy domów połyskiwały w świetle porannego słońca, odetchnął głęboko z uczuciem ulgi.

Pół godziny później był w domu i wziął tak obfity prysznic, jakby przez pół roku czołgał się po pustyni. Po podwójnym cappuccino z odrobiną soku z cytryny, półlitrowej butelce wody mineralnej i dwóch aspirynach poczuł się lepiej. Wrócił do życia i przysiągł sobie, że od tej pory będzie robił wszystko inaczej i już nigdy ani na chwilę nie straci świadomości z powodu alkoholu.

Zostawili samochód na małym parkingu – bardziej w zatoce zakrętu niż na parkingu – gdzie stał mały szary fiacik, którym najwidoczniej nie jeźdżono już od miesięcy lub lat, prawie cały obrósł bowiem wysoką trawą. Samochód nie był przerdzewiały, opony miał nieuszkodzone, wydawał się w całkowitym porządku. Wspaniałe auto. Jakby stworzone do poruszania się po małych włoskich miasteczkach z wąskimi, krętymi uliczkami.

– Spójrz na ten samochód, jest wprost obłądny... – Anne zajrzała do środka. Na tylnej kanapie leżał młotek, za przednią szybę wciśnięto urzędowy formularz. Podatek był opłacony.

– Tak. Szkoda go. – Kai wzruszył ramionami. – Musi tu stać już od miesięcy. To już zabytek, gratka dla miłośników staroci. Można by go świetnie sprzedać. Takie cacka seryjnie padają łupem złodziei, ponieważ ludzie mają bzika na punkcie starych samochodów.

– To głupota, żeby tak tu zapuszczał korzenie.

Kai wziął Anne za rękę i pociągnął za sobą.

– Najpierw obejrzyj dom. Może ten fiacik jest wliczony w cenę.

Wąska kręta droga prowadziła do domu, czuło się, że tam stoi, chociaż zaśnaniały go gęste liście drzew. Kai i Anne zbliżali się powoli.

Właściwie były tam dwa domy. Na prawo od drogi wznosiła się duża podłużna budowla, która na ukształtowanym w formie tarasów kawałku ziemi przytulała się do zbocza góry. Do dwupiętrowego domu wchodziło się z dwóch tarasów znajdujących się na różnych wysokościach. Drugi dom stał na lewo od drogi i był małym młynem, bardzo wysokim, bardzo wąskim, z dwoma poziomami. Układ obu domów i granicząca z nimi góra tworzyły rodzaj niewielkiego dziedzińca, przez co zespół nabrał spójności i sprawiał niezwykle romantyczne wrażenie.

Oba domy otaczały gęsto zalesione góry, a zamknięta za domami dolina otwierała się tylko od strony drogi. Obok młyna wił się strumień, którego woda, spadając z małego wodospadu, gromadziła się

w basenie. Zbiornik był tak zarośnięty, że na pierwszy rzut oka wydawał się stawem. Strumień wypływał przy dolnym końcu basenu i szukał sobie drogi przez łąki i skały.

Oba domy były porośnięte bluszczem i passiflorą, obok drzwi wejściowych rosły lawenda, rozmaryn i szałwia.

– Co to jest? – wyszeptała Anne. – Raj?

Kai nie odpowiedział.

Na najwyżej położonym tarasie, który o tej wczesnej porze był skąpany w pałącym słońcu, siedział mężczyzna i czytał. Wydawało się, że nie zwraca uwagi na gości, którzy szli drogą pod górę i znajdowali się bezpośrednio w jego polu widzenia. Siedział prosto jak świeca, nie dotykając oparcia krzesła, w całkowitym bezruchu, pozornie bardzo na czymś skoncentrowany. Jedynie przeguby rąk dotykały brzegu stołu, a obie dłonie trzymały ukośnie uniesioną książkę.

Przecież tak nie da się czytać, pomyślała Anne, nikt tak nie czyta. Ani to przyjemność, ani relaks, to ciężka praca. Przedstawienie. Tylko nam demonstruje, że czyta. Prawdopodobnie usłyszał nasz samochód, kiedy jeszcze byliśmy na górze. Dlaczego nie podnosi wzroku? Dlaczego na nas nie czeka? Dlaczego nie odłożył książki?

Mężczyzna sprawiał wrażenie posągu, rzeźby człowieka wykutej w kamieniu przez Michała Anioła. Jego twarz miała zdrowy kolor, który wskazywał, że najwidoczniej cały czas spędza na świeżym powietrzu, a białe włosy lśniły w słonecznym świetle.

– Hallo, Enrico! – zawołał Kai. – Przyprowadziłem ci kupca. Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy?

Wreszcie mężczyzna się poruszył i powoli opuścił książkę. Przez jego twarz przemknął uśmiech.

– Ależ nie, wcale – powiedział. – Spokojnie się rozejrzyjcie. Wszystkie drzwi są otwarte, wszędzie możecie wejść.

Podanie ręki na powitanie nie było możliwe, ponieważ Enrico siedział na górze na tarasie, Anne i Kai stali na dole na drodze, a Enrico nie czynił żadnych przygotowań, żeby zejść do nich.

Ma to coś, pomyślała Anne. Charyzmę. Wygląda jak piękny dumny Rzymianin. Żeby obraz był perfekcyjny, brakuje mu tylko togi

i zawiązywanych na łydkach sandałów. Prawdopodobnie jest gejem. Mężczyźni z takim wyglądem zawsze są gejami.

– Chodź – powiedział Kai. – Pokażę ci wszystko.

Weszli do głównego budynku i stanęli w kuchni: małym pomieszczeniu z wiekowymi belkami, krzywymi ścianami i murami z naturalnego kamienia, nadprożem nad małym oknem szczeblinowym, tak krzywym jak na obrazie z dawno minionych czasów. Światło wpadało do kuchni przede wszystkim przez przeszklone drzwi, teraz otwarte na oścież. Chociaż na dworze z minuty na minutę robiło się coraz cieplej, w kuchni było bardzo chłodno. W rogu stała murowana kamienna ława, przed nią stół z ciężkiego heblowanego drewna kasztanowca. Anne natychmiast zwróciła uwagę na fotografię wiszącą nad ławą. Zdjęcie ukazywało jasnowłosą kobietę, mniej więcej w jej wieku, która trzyma w ręku kieliszek z winem i wygląda na bardzo zamyśloną. Fotografia była fascynująca, o bardzo intensywnych kolorach, ale sprawiała wrażenie obcego ciała w tych starych murach. Blat kuchenny również zrobiono z ciężkich kamieni, a wnękę za blatem z topornych *mattoni*. Najwidoczniej własnoręcznie wykonane z drewna drzwiczki szafek podkreślały wrażenie rustykalnej kuchni z ubiegłego stulecia. Zamiast kredensu z sufitu na ciężkim łańcuchu zwisała wąska półka, a ustawione na niej talerze i filiżanki kołysały się pod wpływem przeciągu.

Wąskie, kręte kamienne schody prowadziły na piętro, gdzie wzrok natychmiast padał na duży, ale bardzo skromny kominek. Wspaniała podłoga ze starych *mattoni* doskonale współgrała z przywróconą do dawnego wyglądu szafą i dwoma małymi fotelami, które stały pod oknem. Z okna roztaczał się przepiękny widok na znacznie niżej położony strumień i mały młyn. W sypialni stało ogromne małżeńskie łóżko i komoda.

Wydawało się, że Enrico niewiele posiada. Pokój był dość ciemny, ponieważ prawie całe światło zabierał rosnący tuż przed oknem orzech. Szklane drzwi otwierały się na najwyższej położony taras, na którym ciagle w bezruchu siedział Enrico. Teraz Anne mogła zobaczyć, że czytał *Świat Zofii*, co zresztą w ogóle jej nie zdziwiło. No tak, filozof. Filozof przed starym młynem, który sam odrestaurował. To doskonale pasowało do siebie.

Z pokoju kominkowego przechodziło się do łazienki, którą zbudowano na dwóch poziomach. Na górze były dwie umywalki, schodziło się po schodach i wchodziło prosto pod otwarty podwójny prysznic, naprzeciwko którego znajdowała się toaleta. Drzwi do toalety były otwarte i odsłaniały widok na dziwną skałę, w której Enrico wykuł małe schody, oraz na gęsty las okalający dolinę.

Anne spojrzała na Kaia wytrącona z równowagi.

– To nie może być prawdziwe – powiedziała. – Czegoś takiego nie ma na tym świecie.

Kai uśmiechnął się.

– Nie wiem, czy już zauważyłaś... ale dom nie ma ogrzewania. Musisz to wiedzieć. Przy całej romantyczności tego miejsca – jest to spory problem.

– A jak się tu bierze prysznic? Zimny?

Kai otworzył drzwi i odchylił małe przepierzenie na zewnątrz przed łazienką.

– Tutaj zawsze jest podłączona butla z gazem, który ogrzewa wodę. Butle trzeba zawozić do Ambry i tam napełniać. Jest to bardzo skuteczne – ale cholernie uciążliwe. Pod palnikami w kuchni też jest butla gazowa.

Anne przytaknęła. No tak, dlaczego by nie. Gdybym szukała wygód, wybrałabym mieszkanie z wanną.

Kiedy ponownie wyszli na podwórze, Enrico stał na drodze w wy-czekującej postawie z założonymi rękami, co znowu zirytowało Anne.

– Piękny dom – powiedziała. – Trudno uwierzyć, że pan dopiero go wyremontował. Sprawia wrażenie, jakby od stu lat nic się tu nie zmieniło.

– Ten dom oraz życie tutaj mają coś wspólnego ze sztuką – stwierdził cicho Enrico. – Ale nich pani przyjrzy się młynowi.

Młyn był zbudowany – tak samo jak główny budynek – wyłącznie ze starych używanych materiałów, krzywych belek i zwietrzałych kamieni. Miał dwa pomieszczenia połączone chybotliwymi schodami i małą łazienkę. Przed młynem znajdował się opadający płaskimi stopniami taras. Prowadził on wprost do naturalnego basenu, przez który przepływał strumień. Do ciemnej groty można było dostać się

jedynie z zewnątrz, przez pół roku znajdowała się pod wodą, jak poinformował Anne Kai. Właściwie z niej nie korzystano. Była tylko wybiegiem dla ropuch, żab, węży i jaszczurek – i nic więcej.

Anne podeszła do basenu i usiadła na pniu drzewa, który służył za ławkę. Liczne w tym miejscu żaby w panice wskakiwały do wody i chowały się w gęstych wodorostach przy brzegu.

– Kupuję ten dom – powiedziała. – Tutaj będę mogła całkowicie odmienić swoje życie. Nie wiem, czy mi się to uda, ale przynajmniej mam szansę.

– A co powiesz na to, żebyśmy obejrzeeli jeszcze z pięć, sześć obiektów i dopiero potem byś zdecydowała? Na twoim miejscu zbyt szybko się nie śpieszył, chyba że ci tak pilno?

– Nie. Ale oszaleję, jeśli nie będę tego miała. Jeśli jutro przyjdzie ktoś i to kupi.

– Nie zaoferuję tego nikomu, dopóki ty się nie zdecydujesz.

– Wiesz, lepszy wróbel w garści niż... Może Enrico złożył ofertę do jeszcze innego agenta albo rozpowiedział w wiosce, że chce sprzedać. Nie, nie. – Nawet myśl o takiej możliwości denerwowała Anne. – Nie, Kai. Nie muszę oglądać niczego więcej, coś takiego jak ten dom już się nie powtórzy. Znam domy w Toskanii. Są przepięknie położone i malowniczo porozrzucane na wzgórzach, z pojedynczymi cyprysami tu i ówdzie i wytwornymi podjazdami. Nie. Nie chcę czegoś takiego. Chcę tego domu. Jest w nim coś. Nie pytaj mnie, co. Już nie potrafię wrócić do Sieni i zapomnieć o tym domu.

– Jasne. – Kai liczył się z tym, że Anne kupi ten dom, ale ta szybka decyzja zaskoczyła go. – Czy chcesz jeszcze raz obejrzeć wszystkie pomieszczenia?

Anne uśmiechnęła się.

– Myślę, że najpierw powinniśmy porozmawiać z Enrikiem.

Enrico był w kuchni i przyrządzał trzy espressi.

– Napijcie się kawy?

– Chętnie – powiedział Kai.

– Bardzo chętnie – odpowiedziała Anne.

– Usiądźcie na dworze pod orzechem, zaraz przyjdę.

Całe podwórze pomiędzy oboma budynkami było jednym dużym tarasem i sprawiało wrażenie letniego pokoju mieszkalnego. Niedokładnie wykonany, prowizoryczny drewniany płot chronił przed upadkiem z wysokiego kamiennego muru do strumienia. Anne usiadła tak, że miała widok na młyn.

– Mój Boże, jakie to piękne. Po prostu nie potrafię opisać atmosfery... tu jest tak spokojnie, dziko i pierwotnie, cicho i romantycznie, las jest ciemny i złowieszczy, ale jednocześnie daje ochronę, jest tu tak ustronnie, a mimo to człowiek czuje się bezpiecznie... No i przede wszystkim to miejsce jest nie z tego świata. Tutaj człowiek zanurza się w przeszłości.

– Masz rację – potwierdził Kai. – Chyba naprawdę musisz kupić ten dom.

Enrico podszedł po żwirze do stołu, przy którym siedzieli. Jego kroki były lekkie i sprężyste, chociaż Anne oceniła go na pięćdziesiąt kilka lat.

Postawił na stole espressa i zimną czystą wodę.

– Jeśli masz ochotę, pójdziemy potem do lasu. To niedaleko, jakieś sto metrów, pokażę ci źródło. Tylko ta dolina czerpie z niego wodę. Nikt poza tym. Podłączyłem pompę, która dostarcza wodę do domu. Nie będziesz musiała kupować wody mineralnej. Nie ma lepszej wody.

– To cudownie.

– Woda jest najważniejsza. Wszystko inne się załatwi. Pomyślności.

Enrico pił swoje espresso. Malutka filiżanka wyglądała absurdalnie w jego kościstych szorstkich palcach.

Kai od razu przeszedł do rzeczy.

– Enrico, Anne chce kupić ten dom.

– Wiem. – Enrico uśmiechnął się i spojrzał na Anne. – To było dla mnie jasne, kiedy zobaczyłem, jak chodzisz po pokojach. Człowiek tak chodzi po domu tylko wtedy, kiedy się w nim zakocha. Ale ja już to wiedziałem, kiedy weszliście na drogę. Od razu sobie pomyślałem: sprzedany. Od ręki. Dlatego nie wszedłem razem z wami i nie opowiadałem o wszystkim. Po co? Teraz będziesz miała dużo czasu, żeby wszystko poznać.

Było już dziesięć po siódmej, ale nie trzeba było jeszcze zapalać światła. Zresztą świece tworzyły bardziej przytulną atmosferę. Enrico, kiedy tylko mógł, starał się unikać używania prądu. Teraz wystarczała mu jedna świeczka do podgrzewacza. Jeszcze dwa tygodnie temu potrzebował dwóch, a w niektóre zimowe wieczory wypalał nawet cztery. Zwłaszcza jeśli lekkomyślnie ustawiał sobie dwie do zmywania. Robił tak wówczas, kiedy następnego dnia stwierdzał ślady sosu pomidorowego na talerzu lub zaschnięte resztki mleka w garnku. Od czasu do czasu starał się zmywać przy świetle dziennym, jednak żałował na to czasu. Każda minuta spędzona na świeżym powietrzu była drogocenna, a miał tyle do zrobienia, że na wszystko nie wystarczyłoby mu życia. Wiedział, jak to jest być zamkniętym w jednym pomieszczeniu i nie móc wyjść na słońce lub deszcz. Dlatego nauczył się tym bardziej cenić przyrodę w tej ukrytej, samotnej dolinie.

Usiadł i głęboko oddychał. Zmierzchało. Był to czas tylko dla niego. Bez Carli, która, w przeciwieństwie do niego, siedząc naprzeciwko, rzucała mu pełne wyrzutów spojrzenia, ponieważ od kilku godzin nie powiedział słowa, a ona z minuty na minutę czuła się coraz bardziej zagubiona. Dzisiaj, w chwilach takich jak ta, znowu stawało się dla niej szczególnie jasne, że on nikogo nie potrzebuje. Nie potrzebuje ani przyjaciela, ani kobiety, ani doradcy, ani towarzysza, nie potrzebuje pomocnika ani partnera do rozmowy. Gdyby świat musiał koniecznie się zmienić, sam znalazłby sposób, żeby tego dokonać.

Rozejrzał się dookoła. Wieczorny wiatr ustał, w lesie panowała cisza. Nawet cykady zamilkły, ponieważ tu, w kotlinie, słońce chowało się za górami już wczesnym wieczorem. I kiedy wieczorne słońce jeszcze długo ogrzewało wzgórze, a powietrze wydawało się ciepłe i delikatne, dolinę wypełniał już wilgotny wieczorny chłód, który sprawiał, że nawet w sierpniu człowiek tu marzł.

Enrico nie czuł tego wszystkiego. Ciągłe miał na sobie cienką koszulę i krótkie spodnie, a na gołych stopach sandały. Od lat starał się być niewrażliwy na zimno i ból, na głód i pragnienie. Powoli i z wielkim trudem starał się do tego wszystkiego przyzwyczaić i traktować jako coś normalnego. Był to uciążliwy proces, ale dawał mu poczucie wolności.

Jeszcze kilka dni i robaczki świętojańskie oświetlą dolinę jak tysiące widzów z zapalniczkami w rękach na koncercie popowym.

Nie potrzebował czegoś takiego. Nie potrzebował telewizora i radia, nie potrzebował zabaw ani rozmów. Może od czasu do czasu jakiejś książki. Ale na razie wystarczały mu jego myśli. Był ich twórcą, miał władzę nad nimi i nad światem, który sobie stworzył. Godzinami mógł siedzieć i myśleć, także bez świecy i bez pochodni.

Dwudziesta pierwsza trzydzieści. Nienawidził tej pory dnia, która właśnie nadeszła. Włączył komórkę i wybrał się jak co dzień na wycieczkę. Zszedł do parkingu, potem drogą do małej kotliny, przeszedł przez strumień i skręcił w prawo do górskiej ścieżki, która prowadziła stromo pod górę. Wszedł się chyżo i bez wysiłku, bardzo szybko pokonywał wysokość i pewnie stawiał kroki w ciemności. Półksiężyc ledu oświetlał kamienistą nierówną drogę.

Po chwili sprawdził na wyświetlaczu, czy ma zasięg, i zatrzymał się. Położył komórkę na płaskim kamieniu i głęboko oddychał. Światło wyświetlacza przeszkadzało mu, odwrócił więc aparat. Kiedy nad strumieniem bezgłośnie przefrunęła sowa, ogarnęło go coś na kształt smutku. Już wkrótce tu, w Valle Coronata, zamieszka Anne. Tak samo jak on będzie wspinać się na górę, żeby móc zatelefonować. Nie chciał o tym myśleć, nie chciał dopuścić do siebie tego uczucia. Uczucia wszystko niszczyły. Jeśli nad nimi nie panował, robił się agresywny. Nie mógł na to pozwolić, ponieważ jego agresja była jak eksplozja.

O dwudziestej pierwszej trzydzieści dwie zadzwonił do niej.

– Carla! – powiedział i nadał swojemu głosowi radosne brzmienie.
– Co u ciebie? Wszystko w porządku?

– Enrico – odpowiedziała – posłuchaj. – Była zdenerwowana i drżał jej głos, co zawsze ogromnie działało mu na nerwy. Ale jeszcze nigdy nie powiedział ani słowa na ten temat.

– Mój ojciec jest umierający. Bardzo z nim źle. Jedna z nas musi zawsze być przy nim. Przez całą dobę.

– Dlaczego nie zawieziecie go do szpitala?

Zaczerpnęła powietrza.

– Nie chcemy mu tego robić. Wciąż bardzo dobrze zdaje sobie sprawę, co się z nim dzieje. Ale nie wydaje mi się, żebym musiała ci to wyjaśniać. Chciałbyś umierać w szpitalu?

Nie. Nie chciał. I nie będzie. Był tego absolutnie pewny. Zapobieganie temu. Na sto procent. I uchroni też przed tym Carłą.

– Co powiedział lekarz?

– Powiedział, że to może trwać jeszcze trzy godziny, trzy dni, trzy tygodnie lub trzy miesiące. Teraz jest bardzo, bardzo słaby... ale może zdarzy się cud i jeszcze się z tego wykaraska.

– Wracaj do domu – powiedział Enrico. – Natychmiast. Najlepiej jutrzejszym pociągiem.

– Ale przecież nie mogę! Jak to sobie wyobrażasz? Przecież nie mogę zostawić matki i siostry w takiej sytuacji! – Mówiła bardzo głośno. Jej głos sprawiał mu ból w uszach. Musiał zacisnąć zęby, żeby nie stracić kontroli nad sobą, musiał sobie zadać wiele trudu, aby spokojnie odpowiedzieć.

– Ależ możesz! Chyba że chcesz przez następne trzy miesiące czuć przy łóżku ojca? W gruncie rzeczy czuje się tak samo jak wszyscy starzy ludzie w tym wieku. Mogą umrzeć pojutrze lub za rok. Carla, chciałbym, żebyś wróciła do domu. Zobaczysz, że ojciec jeszcze dożyje do Bożego Narodzenia.

Carla milczała. Potem cicho zapytała:

– Skąd możesz to wiedzieć?

Enrico powoli tracił nerwy. Jeśli nie wrócisz do domu, będziemy mieli problem. Nie ma cię już trzy tygodnie, to wystarczy.

Carla zmieniła temat.

– A poza tym jest coś nowego?

– Nie, nic. – Carla nie wiedziała, że Enrico zamierza sprzedać dom. Powie jej, kiedy tu przyjedzie. Nie będzie to łatwe, ponieważ Carla wymyśliła sobie, że ten dom na zawsze pozostanie jej włoskim domem.

Ale on nie chciał mieć stałego domu. Chciał być wolny. Bez własności, bez balastu. Chciał zawsze mieć możliwość wyruszenia każdej chwili w drogę.

– Trzymaj się, kochanie – powiedziała. – Przyjadę najszybciej, jak będę mogła. I proszę, myśl o mnie.

– Oczywiście. Jutro znowu zadzwonię o pół do dziesiątej.

– Dobrze. Całuję. – W jej głosie zabrzmiała rezygnacja, wiedział, że zrobi to, czego zażądał.

Wyłączył telefon. Najmniej przyjemny obowiązek dnia został wykonany. Nienawidził tego, w ogóle nienawidził obowiązków, nienawidził konieczności robienia czegoś. Nie uznawał żadnych regulaminów, odrzucał wszelkie nakazy. Chciał budzić się rano i czerpać radość z życia. I mieć we wszystkim wolny wybór, móc czytać, kopać ziemię lub zabić kurę. To było życie. Ani mniej, ani więcej.

Wstał i poszedł z powrotem do domu, a stamtąd w dół do strumienia. Księżyc zniknął za chmurami i zrobiło się zupełnie ciemno, ale znał tu każdy kamień, każdy korzeń drzewa, każdą nierówność na zboczu. W tym terenie potrafił znaleźć drogę z zamkniętymi oczami. To było główną podstawą jego bezpieczeństwa. Długo ćwiczył, żeby to osiągnąć. Tym głępszą decyzją była sprzedaż domu. Gdzieś indziej będzie musiał znowu zaczynać od początku i znowu niechybnie wypłyną na powierzchnię wszystkie jego lęki. Już się pojawiały. Obawa przed nimi dała o sobie znać już teraz.

Przykucnął nad strumieniem i zaczął pić zimną wodę. Kiedy zrobiło mu się niedobrze, musiał położyć się na wilgotnym mchu. I wtedy znowu wróciło, wspomnienie, którego nie wolno było do siebie dopuszczać.

Chłopiec wołał matkę, jakby zrozumiał, że umrze.

Swoją matkę. Tak trudno to było zrozumieć.

Nie, teraz nie wolno mu było dalej o tym myśleć.

Szybko wstał i pobiegł do basenu, nie zdejmując ubrania, wskoczył do czarnej, lodowatej wody i zanurzył się, nawet przez chwilę nie myśląc o ropuchach, żabach, jaszczurkach i wodnych wężach żyjących na dnie zbiornika. Przebywał pod wodą tak długo, aż nie mógł już wytrzymać, aż musiał się wynurzyć i zaczerpnąć głęboko powietrza.

– Całkiem zwariowałaś! – Harald tak darł się do telefonu, że Anne musiała trzymać komórkę w odległości dwudziestu centymetrów od ucha. – Od dwóch dni jesteś w tych przeklętych Włoszech, gdzie kradną nie tylko torebki, ale nawet dzieci, i już chcesz kupić pierwszy lepszy dom. Jesteś niespełna rozumu?

– Nie potrafisz tego ocenić, nie widziałeś go!

– Anne, proszę! Wynajmij, co chcesz, przecież nie musisz od razu kupować!

– Tego domu nie można wynająć, można go tylko kupić.

Harald się uspokoił. Najwidoczniej już zrezygnował.

– Nie rozumiem cię. Naprawdę cię nie rozumiem! Chciałaś wyjechać na parę tygodni, może na parę miesięcy, ale tylko wówczas, jeśli znajdziesz jakiś punkt zaczepienia, który by nas naprowadził na ślad Felixa... A teraz... co to ma być? Chcesz wyemigrować? Chcesz na zawsze przeprowadzić się do Włoch? Chcesz się rozwieść?

– Mój Boże! – Anne głośno jęknęła. – Po co od razu mówić o rozwodzie? To wspaniały dom. Całkiem wyjątkowy. Ma dziwną, niepowtarzalną atmosferę. Czegoś takiego nie znajduje się co krok. Czuję, że umrę, jeśli w nim nie zamieszka. A jeśli mi się odmieni lub jeśli będę chciała wrócić, to go sprzedam. W czym problem?

– Włosi zedrą z ciebie skórę, Anne! Nie widzisz tego? Przecież nie masz pojęcia o domach! Czy wiesz, jak działa oczyszczalnia ścieków, czy rury kanalizacyjne są prawidłowo położone, czy działa drenaż gruntu, czy dach ma porządną izolację... Do licha, trzeba zwrócić uwagę na tysiące rzeczy! Prawdopodobnie dom jest zwykłą ruderą. A potem dostaniesz tylko jedną trzecią ceny, za którą go kupiłaś, jeśli zechcesz go sprzedać. Potrafisz powiedzieć zaledwie kilka słów po włosku, nie znasz tam żywej duszy, wykołują cię!

– Jesteś żalonym defetystą. Dla ciebie zawsze wszystko ma same minusy, a świat roi się od przestępców i idiotów.

– Jestem tylko realistą. I nie chcę, żebyś popełniła ogromny błąd.

– Po pierwsze, domu nie sprzedaje Włoch, lecz Niemiec... a po drugie, zakochałam się w tym domu. Basta. W domu, mój skarbie! W położeniu, w atmosferze, w tym, czym ten dom promieniuje. I mam w nosie drenaże i oczyszczalnię ścieków. Kiedy zakochuję się w jakimś mężczyźnie, też jest mi obojętne, czy ma krzywy palec u nogi albo płamy wątrobowe.

Głos Haralda był lodowaty.

– Zawsze uważałem, że masz smykałkę do interesów, zawsze uważałem cię za inteligentną osobę, ale to, co teraz mówisz, jest czystą głupotą.

Anne wściekła się.

– A to, co ty mówisz, jest czystą arogancją. Śmiesz mówić o rzeczach, których nie znasz, których nigdy nie widziałeś i których w ogóle nie potrafisz ocenić!

Harald się opanował.

– Ja tylko cię proszę, żebyś nie popełniła błędu i nic nie przyspieszała! Bądź tak uprzejma i dowiedz się czegoś więcej o tym domu. Sprowadź kogoś, kto się na tym zna! Sprawdź wszystko dokładnie! Kilka razy i przy każdej pogodzie. Obejrzyj okolicę, najbliższą wieś! I kieruj się rozumem! Nie pozwól, aby górę wzięły emocje!

Anne straciła ochotę na dalszą rozmowę.

– Coś jeszcze?

Harald starał się nadać swojemu głosowi ciepłe brzmienie.

– To, co zamierzasz, Anne, jest pozbawione sensu. Tylko rozdrapujesz stare rany i wykańczasz się.

– Już sto razy mówiłeś mi to w domu.

– I powtórzę jeszcze sto razy, gdyby to miało coś dać.

– Ja nie rozdrapuję ran, one nigdy się nie zagoiły.

– Chyba będzie lepiej, jeśli teraz skończymy.

– Tak. Może tak będzie lepiej. Dobranoc.

– Śpij dobrze.

Anne wyłączyła komórkę i położyła ją na nocnym stoliku. Gdyby już wtedy posłuchała wewnętrznego głosu i została. Wtedy, dwa tygodnie po zniknięciu Felixa.

Był czwartek po Wielkanocy. Harald wrócił do domu z rozwianymi włosami i niemal w euforycznym nastroju. Nie było go kilka godzin i w tym czasie rozlepił setki ulotek na murach, drzewach, pojemnikach na śmiecie i oknach wystawowych. W Castelnuovo Berardenga, Montebenichi, Rapale, Ambrze, Cenninie, Capannole i Bucine.

Na ulotce było zdjęcie roześmianego Felixa, z grzywką zdmuchniętą na bok przez wiatr, odkrytym czołem i zaczerwienionym od słońca nosem. Pod zdjęciem widniał niemiecki i włoski napis: „Felix Golombek, lat dziesięć, zaginął 16 kwietnia o godzinie 18.00. Ma 120 centymetrów wzrostu, bardzo szczupłą budowę ciała i blond włosy. Ostatnio miał na sobie T-shirt, dżinsy i sportowe buty. Jeśli ktoś go widział, proszę o skontaktowanie się z numerem telefonu 3 38 67 54 32 lub z policją w Ambrze”.

Kiedy Harald przylepiał ulotkę na drzwiach baru w Capannole, zaczęła go stara kobieta. Widziała takiego małego chłopca. W Sobotę Wielkanocną. W srebrzystoszarym porsche na siedzeniu pasażera. Stara kobieta oczywiście nie zapamiętała numeru rejestracyjnego, ponieważ nie uznała tego za ważne. Zapamiętała ten samochód tylko dlatego, że jechał bardzo wolno. Tak jakby szukał miejsca do zaparkowania, chociaż mógł stanąć wszędzie przy krawężniku. Ale Maria Sacci nawet nie potrafiła powiedzieć, czy za kierownicą siedział mężczyzna, czy kobieta. Po prostu nie zwróciła na to uwagi.

Harald natychmiast poinformował karabinierów w Bucine o rozmowie z Marią, a ci solennie go zapewnili, że się tym zajmą. Będą informować go na bieżąco.

Zwykle Harald nie palił, teraz poprosił Anne o papierosa. Wreszcie miał punkt zaczepienia, cienką nić, której mógł się uczepić. Drżał z podniecenia.

– W każdym razie w sobotę jeszcze żył. To znaczy, że jest bardzo prawdopodobne, że teraz też żyje. Gdzieś, razem z tą świnią ze srebrzystoszarego porsche.

Anne ta myśl wydała się mniej pocieszająca i powiedziała:

– Przecież nawet nie wiemy, czy to był Felix! Na świecie jest wielu małych jasnowłosych chłopców. I kto wie, co ta kobieta naprawdę widziała? Może chłopak miał nawet ciemne włosy, a ona pomyślała sobie, mały chłopiec to mały chłopiec. Może dwie godziny wcześniej Felix przejeżdżał tamtędy w fiacie, tylko nikt nie zwrócił na to uwagi, bo chłopiec w fiacie to po prostu widok najnormalniejszy na świecie.

Zdawała sobie sprawę, że w tej chwili całkowicie zniweczyła jego piękną nadzieję, ale nie mogła już cofnąć tego, co powiedziała, i musiała brnąć dalej.

– Gdybym to ja porwała małego chłopca, nie pojechałabym z nim na spacer cholernie rzadkim i rzucającym się w oczy samochodem.

Harald gapił się w okno, palił i trzymał papierosa w tak dziwny sposób, jakby to był jego pierwszy papieros w życiu.

– Jeśli złapię tego łajdaka, zabiję go gołymi rękami.

– Wiem.

Oboje milczeli przez chwilę.

– Jeśli ta kobieta mówiła prawdę, to na pewno nie był to ktoś z najbliższej okolicy – zastanawiała się Anne. – Tutejsi wieśniacy nie jeżdżą takimi samochodami. A więc był to jakiś obcy, może turysta, który wywiezie go za granicę. Gdziekolwiek. Może do Belgii albo gdzie indziej. I sprzeda go komuś z porno-biznesu... i jeśli nie potrafię czegoś znieść, to właśnie tej myśli.

Jego euforia się ulotniła. Był wściekły, a prawdopodobnie również zrozpaczony. W obu przypadkach jednakowo wykrzywił usta. Anne mówiła dalej:

– Harald, zastanów się... W tym lesie raz na sto lat przejdzie jakiś grzybiarz, a w czasie szalejącej burzy żaden handlarz żywym towarem

nie leży w krzakach i nie czyha na jakieś dziecko, które raz na dwieście lat pojawi się na tym odludziu. Nie, ta banda poluje na dzieci w miastach, kiedy bawią się na ulicach. I dlatego nie wierzę, że to Felix był w tym porsche.

– A co myślisz?

– Nie wiem, nie potrafię sobie tego wszystkiego wytłumaczyć. Po prostu nie mam pomysłu! Powiedz, jak ci się wydaje, skąd Felix wziąłby się w tym porsche.

Harald opadł na krzesło i wzruszył ramionami.

– Może masz rację. To głupie z tym porsche. W takim razie to mógł być tylko jakiś spacerowicz. Albo kłusownik. Przypadkiem spotkał Felixa, kiedy ten bawił się nad strumieniem, i zapytał go, jak najszybciej dostać się do wsi. Felix poszedł z nim, żeby pokazać mu drogę. A kawałek dalej stał już samochód....

– Felix nie poszedłby z obcym...

Harald sięgnął po whisky.

– W mieście pewnie nie, ale tu, w lesie, jest inna sytuacja, tu każdy obcy natychmiast staje się sprzymierzeńcem. Na odludziu trzeba sobie nawzajem pomagać, tam wszyscy jadą na jednym wózku. Po prostu nie był podejrzliwy. I w końcu wsiadł do samochodu, bo lało jak z cebra. Tylko po to, żeby przez chwilę posiedzieć w suchym miejscu, aż przestanie padać.

Harald zamilkł. Reszta była jasna. Po prostu Felix w nieodpowiednim czasie znalazł się w nieodpowiednim miejscu i spotkał mordercę, który go w ogóle nie szukał. Korzystając z przypadku, zabił Felixa i prawdopodobnie zakopał gdzieś na własnym kawałku gruntu. Nikt go tam nie znajdzie, ponieważ nikt go tam nie będzie szukał. Nie da się przekopać wszystkich prywatnych gruntów w Toskanii.

Anne od dwóch tygodni nie wychodziła z domu, żeby nie przegapić momentu, gdyby wrócił Felix. Harald musiał ją długo przekonywać, żeby poszła z nim do wsi, aby coś zjeść. W końcu znaleźli się w Ambra-Albergo. Zimne niebieskie ściany, głośno nastawiony telewizor pod sufitem, błyszczące jaskrawe i zimne światło jarzeniówek podkreślały obskurny stan lokalu. Bez Felixa oboje byli całkiem zagubieni. Stracili

już wszelką nadzieję i czuli, że niewiele brakuje, a stracą też siebie nawzajem. Tego wieczoru Anne i Harald wiedzieli to wszystko, ale żadne z nich tego nie powiedziało.

– Muszę wracać do domu – odezwał się Harald. – Nie mogę na dłużej zamknąć praktyki.

Anne tylko skinęła głową. Oczywiście. Dopiero trzy lata temu Harald przejął praktykę od starego wiejskiego lekarza, który kilka miesięcy później zmarł. Dużo pacjentów przeniosło się do drugiego lekarza we wsi, ponieważ na początku odnosili się do niego z rezerwą i sceptycznie. Kosztowało go dużo ciężkiej pracy, żeby pozyskać stałe i wierne grono pacjentów. Teraz, na czas urlopu, znowu zastępował go doktor Sprenger, to znaczy, zajmował się wszystkimi. Gdyby Harald został tu dłużej, ponownie straciłby pacjentów.

Anne przyglądała mu się, ale nie widziała w nim już śladu miłości. Szukała jej na jego twarzy, przeszukiwała wspomnienia i chciała na nowo odkryć to trwałe uczucie, znowu je odnaleźć, ale nic tam nie było. Wyłącznie pustka. I obojętność. On zawsze będzie jej przypominał Felixa. Trudno było wyobrazić sobie Felixa bez niego, ale tak samo i jego bez Felixa. Prawdopodobnie Harald czuł podobnie.

– Ja jeszcze zostanę – powiedziała Anne.

Patrzył na nią zmieszany.

– Po co? Co tu będziesz robić? Będziesz siedzieć w czyimś domu i czekać na telefon? Równie dobrze można zadzwonić do naszego domu. Będziesz chodzić w kółko po lesie i szukać go? Przez dwa tygodnie nawet nie weszłaś do lasu, a więc co chcesz robić?

– Teraz nie mogę stąd wyjechać.

– Anne, potrzebuję cię w gabinecie. To jest ważniejsze niż włóczenie się tutaj po wsi i pokazywanie zapłakanej twarzy. I ciągle to samo pytanie, zadawane tysiące razy, czy może ktoś cokolwiek widział. A po czterech tygodniach żaden człowiek nie potrafi sobie przypomnieć, co robił na krótko przed Wielkanocą.

– Przecież nie możemy teraz tak po prostu wyjechać!

– Właśnie że możemy. Nawet powinniśmy. Bezczyenne siedzenie tutaj nic nie da. Karabinierzy już nic więcej nie zrobią, chyba że przy-

padkiem potkną się o Felixa. Rozwiesiliśmy ulotki. Przepytaliśmy wszystkich ludzi, których mogliśmy przepytać. Przeczesał każdy cholerny centymetr ziemi dookoła domu w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. Setki, co tam setki, tysiące metrów kwadratowych. Płetwonurkowie przeszukali jezioro, psy obwąchały cały las w okolicy. Nie możemy zrobić nic więcej, Anne. Możemy tylko tu siedzieć i czekać, aż zwariujemy.

Obok ich stolika przeszła kelnerka, Harald zamówił następne pół litra wina, po prostu podnosząc pustą karafkę. Sprawiał wrażenie stanowczego i twardego. Jego wychudzona twarz wyglądała, jakby ją wykuto z kamienia. Prawdopodobnie w tym momencie można było uderzyć w nią młotkiem, nie wyrządzając mu żadnej krzywdy.

Anne czuła, jak wino uderza jej do głowy i w ustach rozchodzi się wstrętny kwaśny smak. Mówienie przychodziło jej z coraz większym trudem.

– A więc według ciebie ważniejsze jest, żebym pobierała krew, zakładała opatrunki uciskowe i mówić: Doktor zaraz przyjdzie, jeszcze małą chwilkę, pani Nakczinsky?

– Tak.

– Jesteś odrażający.

Harald nic na to nie powiedział, w ogóle już nic nie powiedział tego wieczoru. W milczeniu wypili zamówione pół litra wina, chianti jeszcze nigdy nie miało tak gorzkiego smaku. Potem zapłacali i wstali od stolika. Kiedy Anne wychodziła, miała uczucie, że wszyscy się jej przypatrują: To ta od tego małego chłopca, który zaginął... ale nikt nic nie powiedział, nikt jej nie zatrzymał, nikt nie szepnął: „Naprawdę tak nam przykro”. – Po prostu wyszli nienagabywani i znowu byli sami na świecie. Już nic nie czuli. Jakby wyrwano im serca.

Droga w milczeniu do La Pecora zdawała się nie mieć końca. Anne zamknęła oczy i z powodu ostrych serpentyn robiło się jej coraz bardziej niedobrze. Myślała, że zwymiotuje, ale nie doszło do tego. Samochód gnał z łoskotem przez noc po szutrowej drodze, podskakiwał na wybojach i nierównościach, czuła, że Harald jedzie o wiele za szybko, ale było jej wszystko jedno. Przepaść wydała się jej nagle wcale nie taka straszna.

W La Pecora od razu poszła do łóżka. Zdołała się jeszcze rozebrać i wsunąć pod kołdrę, chociaż niczego nie pragnęła bardziej, niż żeby ktoś wziął ją w ramiona, żeby mogła się wypląkać. I żeby wreszcie ktoś ją pocieszył. Ale nie było przy niej nikogo.

Ponieważ Harald stał na tarasie, wpatrywał się w ciemności i przekliął cały ten niesprawiedliwy, zasrany świat.

Następnego dnia Anne wstała bardzo wcześnie i zaciekle rzuciła się w wir pracy. Spakowała walizki, przyrządziła śniadanie i napełniła lodówkę turystyczną jedzeniem na drogę, a w tym czasie Harald ładował samochód. W małym pokoiku Felixa zmusiła się, żeby po prostu spakować jego rzeczy, jak robiła to już wiele razy, całkowicie bez emocji, jakby miała za chwilę zawołać: „Felix, przyjdź wreszcie, zostaw w spokoju tę ropuchę, umyj ręce i zrób jeszcze siku, zaraz wyjeżdżamy...”. Wyobrażała sobie, że chłopiec jest na dworze i zaraz przybiegnie z mokrymi nogami od brodzenia w strumieniu i spodniami zabrudzonymi mchem.

Ile to już razy besztowała go z tego powodu, jaka była niecierpliwa, jaka nieznośna i na pewno także niesprawiedliwa, kiedy znęcała się nad tą dziecięcą duszyczką, ponieważ dla niej najważniejsze było, aby dziecko siedziało czyste w samochodzie.

Było jej tak przykro, było jej teraz tak nieskończenie przykro. Dałaby wiele, żeby jeszcze raz mieć sposobność wszystko naprawić i mocno go objąć...! Była za głupia, żeby zrozumieć, jakie to szczęście, kiedy mały utyflany chłopiec stoi nadąsany pod drzwiami i nie chce się rozstać ze swoimi patykami, kamieniami i ropuchami.

I teraz go zostawiają. Swoim wyjazdem wysyłają mu sygnał, że się poddali. Nie będą go więcej szukać, ponieważ zrozumieli, że już nigdy go nie znajdą. On już nie istniał. Już nigdy nie będzie błagał o domek na drzewie, nie będzie chodził na nocne spacerki z Haraldem i nie będzie zbierał figurek z jajek z niespodzianką. Jego miejsce w samochodzie, przy stole w kuchni i w szkole pozostanie puste. Rozpłynął się w powietrzu, zniknął z tego świata, bez wcześniejszego ostrzeżenia. I bez pożegnania.

Harald nie wierzył już w jego powrót, a Anne miała uczucie, że zdradziła Felixa.

Harald zamknął drzwi domu i wrzucił klucz razem z krótką wiadomością dla Pina i Samantha do przeznaczonej na to doniczki stojącej przy schodach. Za pobyt zapłacili już wcześniej.

To, co było, na zawsze pozostało za nimi. A Anne nie miała najmniejszej ochoty na życie, które ją czekało.

Potem ruszyli. Harald jechał pod górę szutrową drogą niezwykle wolno, ale nie oglądali się za siebie.

Miało upłynąć dziesięć lat, aż Anne wróci do La Pecora.

Z lekko krętej drogi do Montebenichi roztaczały się fascynujące widoki, które bardzo przypominały Chianti. Łagodnie pofałdowane wzgórze porośnięte winoroślą, tu i ówdzie wspaniałe posiadłości, które można wynajmować na wakacje, łąki, na których pasły się konie, i od czasu do czasu pola kwitnących o tej porze roku słoneczników. Widok na Montebenichi – położone na wierzchołku góry wyglądało jak czapa ze szczepionych ze sobą średniowiecznych domów zbudowanych z naturalnego kamienia – zapierał dech w piersiach.

Dzień był gorący i Kai do końca opuścił szybę, która do tej pory była tylko lekko uchylona. Czekał na głośny protest, kiedy wiatr rozwiął kunsztowną fryzurę pani Schrader, ale kobieta nie powiedziała ani słowa, tylko pogrzebała w torebce, wyjęła jedwabną chustkę w kwiaty i zawiązała sobie na głowie.

W sam raz nadajesz się do tego miejsca, pomyślał Kai, należysz dokładnie do tych tokańskich Niemców, którzy zapewniają mi utrzymanie, ponieważ po dwóch latach znowu sprzedasz to, co kupiłaś, a potem zafundujesz sobie bungalow z płaskim dachem na Costa del Sol.

– Co ładnego pan mi dzisiaj pokaże? – zapytała słodkim tonem pani Schrader. Starła się przezwyciężyć zły humor wywołany otwarciem okna, ale jej się to nie udało.

Zamiast odpowiedzieć, Kai zapytał:

- Czy mam zamknąć okno?
- Nie, nie. Tak jest dobrze. Lekki przeciąg dobrze robi w taki upał – jęknęła.
- Czy woli pani najpierw obejrzeć ruinę, czy coś gotowego?
- Jedno i drugie.

Kai musiał zjechać na pobocze i zatrzymać się, żeby na wąskiej drodze przepuścić jadącą z naprzeciwka szeroką ciężarówkę.

– Pokażę pani pakiet trzech obiektów. Wykończone i niewykończone. Każdy obiekt może pani kupić osobno albo wszystko razem za bardzo korzystną cenę.

– A co my poczniemy z trzema domami? – Pani Schrader nerwowym ruchem obciągnęła obcisłą spódnicę, która ciągle się podwijają, odstawiając jej grube kolana.

– Sprzedacie z zyskiem. Za kilka lat sprzedacie dwa obiekty. Albo najpierw wyremontujecie i dopiero potem sprzedacie. Na pewno nie stracie na tym, ceny w Toskanii stale rosną.

Pan Schrader, który siedział na tylnej kanapie, obudził się, a wraz z nim obudził się jego zmysł do interesów.

– To brzmi interesująco.

Wjechali do Montebenichi, Kai przejechał wolno przez małe miasteczko. Przez całe przedpołudnie próbował skontaktować się z Anne, ale najwidoczniej wyłączyła komórkę. Kai coraz bardziej się denerwował.

– Mój Boże, jak pięknie – mruknęła pod nosem pani Schrader. Jej mąż na tylnej kanapie znowu pogrążył się w letargu.

Kai skręcił w wąską kamienistą polną drogę, a następnie w kręty szutrowy podjazd prowadzący obok licznych wiejskich posiadłości do rozległej doliny, przez którą wiał się strumień często zamieniający się w zimie w szeroką rzekę. Za mostem droga znowu wiodła pod górę do San Vincenti, gdzie Kai zaparkował na *piazza* obok przedpotopowej, od dawna nieczynnej budki telefonicznej.

– No to jesteśmy na miejscu – powiedział, wysiadł i obszedł samochód, żeby pomóc pani Schrader.

Stali przed *palazzo*, który był największą i najbardziej imponującą budowlą w miasteczku.

– Na przykład *palazzo* z siedemnastego wieku jest częścią pakietu. Możecie go kupić. Trzeba go tylko trochę odnowić, nie wymaga jednak gruntownego remontu. Chcecie wejść do środka?

Kai poszedł przodem, Schraderowie podążyli za nim bez słowa. Kai otworzył okazałe główne drzwi i zapalił światło w przedsionku,

które wydało się jeszcze bardziej zimne na tle surowych pobielonych wapnem ścian.

Pani Schrader stała w kącie znudzona, najwyraźniej nie czuła się tu dobrze, pan Schrader natomiast otwierał wszystkie okna, obracał klucze we wszystkich drzwiach, odkręcał wszystkie krany, opukiwał ściany, lecz nic nie mówił. Kai zostawił ich w spokoju i czekał na pytania, ale żadne nie padło.

I wtedy ją zobaczył. Jechała na bardzo hałaśliwej beżowej vespie i oczywiście od razu zauważyła otwarte okna *palazzo*. Zatrzymała się, zsiadła i uśmiechnęła się. Kai szybko cofnął się od okna, lecz było za późno. Już dawno go zauważyła.

Allora miała osiemnaście albo dwadzieścia osiem, albo trzydzieści osiem lat. Nikt tego nie wiedział i nikt też tego nie chciał wiedzieć. A już najmniej sama Allora. Była opalona i muskularna i miała włosy białe jak gołąb, które sama obcinała nożyczkami, w zależności od nastroju chwili. Raz dłużej, raz krócej.

Czasem, kiedy patrzyło się na jej twarz, wyglądała jak stara kobieta, która większą część życia ma już za sobą, innym razem sprawiała wrażenie młodej dziewczyny, niemającej jeszcze dwudziestu lat. I tak jak nie dało się ocenić jej wieku, tak samo nie dało się przewidzieć jej zachowania.

Fiamma znalazła ją w sierocińcu we Florencji, gdzie siedziała w łóżku z barierką i bez przerwy oblizywała żelazne pręty. Fiamma wpadła na pomysł, żeby umieścić ją u starej Giulietty, która mieszkała w małej chacie całkiem sama i nie miała nikogo do pomocy. Giulietta była niemal całkowicie głucha i prawie ślepa i bardziej się czołgała, niż chodziła. Giulietta już od lat nie pojawiała się we wsi – po prostu było to dla niej za daleko.

W mieście potrzebowano kogoś, kto raz w tygodniu zamiecie drogę i *piazza*, przywiezie z targu kwiaty do kościoła i pomoże przy zbiorze oliwek. W San Vincenti było dużo pracy i Fiamma zabrała ze sobą Allorę. Dziewczyna nie miała dowodu, żadnych papierów ani imienia. Ale miała ulubione słowo: *allora*. Kiedy je wymawiała, oznaczało ono

„tak” lub „nie”, „już idę” i „nie da się”, „zrobię to” lub „nie lubię tego”, „odczep się” lub „zostań”, ale też „jestem zmęczona” lub „jestem głodna”. Tym jednym słowem wyrażała prawie wszystko, a wyraz jej twarzy i sposób wymawiania były przy tym tak dobitne i sugestywne, że każdy ją rozumiał.

Na pewno nie wyszło to od Fiammy, ale już po krótkim czasie wszyscy nazywali ją Allora.

Allora miała u Giulietty mały pokój za kuchnią, w którym mieściło się tylko łóżko. Nazywała Giuliettę *mia nonna* – moja babcia – codziennie gotowała jej minestrone, ponieważ była to jedyna potrawa, jaką umiała przyrządzić. Po jedzeniu wylizywała do czysta talerz i łyżkę i wstawiała je z powrotem do szafki. Nonna obwiązywała kolana bawełnianymi szmatami, żeby posuwać się na nich wokół domu. Nonna uśmiechała się radośnie, kiedy Allora czesała jej skołtunione włosy. Była *strega*, starą czarownicą z San Vincenti, której bały się dzieci, a niektórzy przebąkiwali, że ma już dobrze ponad sto lat. Po południu, kiedy siedziała na zwietrzanej kamiennej ławce obok Allory, po raz pierwszy od wielu lat wystawiła twarz do słońca. Allora nasłuchiwała w podnieceniu, czy zmarszczki na twarzy Nonny nie trzaskają, kiedy się już narzwały, tak jak włosy, które kurczą się w płomieniach.

Allora zdjęła stare opaski z zaschniętą ropą owiniętą wokół kolan Nonny i tak długo tarła zeskorupiałe szmaty pod bieżącą wodą, aż straciły brązowy kolor i znowu stały się beżowe. Potem powiedziała *allora*, mruzczała pod nosem coś niezrozumiałego, co mogło być modlitwą, położyła liście szaławii na głębokich ranach i ponownie obwiązała kolana Nonny, które już nigdy się nie wyleczą i stale będą się paskudzić. Nonna nie widziała, co Allora robi, i nie słyszała, co Allora mamrocze pod nosem, ale czuła, że kolana mniej ją palą.

Czasami Allora biegła do wsi i kradła dla Nonny amaro, likier ziołowy, ponieważ babcia tak bardzo go lubiła. A Reno, sprzedawca w sklepie Alimentari, przymykał oczy, kiedy Allora wsuwała butelkę pod spódnicę. Potem Nonna i Allora siedziały wieczorami przy świecach, Nonna piła amaro i opowiadała o wojnie. Przeżyła tylko dlatego, że kiedy rozstrzeliano jej rodzinę, wczołgała się pod podłogę z drewnianych

desek. W tamtych czasach wszyscy mieszkali jeszcze w drewnianej chacie w lesie, pół godziny drogi pieszo od Moncioni. Wtedy Allora brała Nonnę za rękę, głąskała jej wychudzone palce i cicho popłakiwała.

Od czasu do czasu przychodziła Fiamma, przynosiła chleb i warzywa, niekiedy nawet kawałek szynki. A innym razem coś do ubrania. Kurtkę dla Nonny i spodnie lub nowe buty dla Allory. Allora trzymała buty na parapecie, tuż obok obrazka z Najświętszą Panienką, i bardzo je oszczędzała. Bała się je włożyć, obawiała się każdego ziarenka kurzu, każdego zadrapania i dalej chodziła boso. A zimą w grubych skarpetach, które Nonna robiła na drutach, kiedy siedziała przed kominkiem przy samym ogniu.

Od tej pory *piazza* był nienagannie zamieciony, na ołtarzu małego kościoła stale stały świeże kwiaty i po latach znowu widywano Nonnę na drodze. Z trudem powłóczyła nogami, ale przez krótki czas mogła nawet iść wyprostowana. Allora woziła ją na taczce do wsi, ostrożnie wywracała przy starym kasztanowcu i ubezpieczała podczas marszu. Dzieci bały się teraz ich obu i obrzucały je maronami, które Allora zbierała i wieczorem piekła na ogniu.

Był zimny lutowy poranek, kiedy Allora wygramoliła się ze swojego malutkiego pokoiku i zdziwił ją smród, jaki wydobywał się z pokoju Nonny. Nonna leżała na podłodze z oczami nieruchomo utkwionymi w sufit, ale z szyderczym uśmiechem w kąciku ust, jakby sama nie mogła uwierzyć w to, że śmierć jednak nie zapomniała o niej. Przytuliła do siebie butelkę amaro, chroniąc ją jak śpiące dziecko. Umierając, ubrudziła się własnymi odchodami, jak gdyby chciała nasrać na śmierć, ale jej się nie udało. Śmierć odniosła nad nią zwycięstwo.

Allora starannie ją umyła i zawinęła w jedyne czyste prześcieradło, jakie Nonna posiadała i troskliwie przechowywała na wypadek śmierci. Ostatni raz uczesała jej skołtunione, zakurzone, choć wciąż jeszcze kruczoczarne włosy, wzięła chudą ukochaną Nonnę na ręce i zawiozła taczka do kościoła. Tam położyła przed ołtarzem, wyjęła kwiaty z wazonu i rozsypała na niej. Potem pierwszy, ostatni i jedyne raz w życiu pocałowała ją w czoło, powiedziała *allora* i wyszła z kościoła.

Kiedy wróciła do domu, zdjęła buty z parapetu, przeżegnała się przed Najświętszą Panią, obeszła powoli wszystkie pomieszczenia i podpałała dom.

Od tej pory mieszkała w domu Fiammy i Bernarda. Miała tam własny pokój, biało otynkowany i czysty, stało w nim łóżko, stół i dwa krzesła, szafa i regał, na którym stawiała swoje buty. Był to piękny pokój z drzewem figowym za oknem i kilkoma godzinami słońca rano. Ale Allora była nieszczęśliwa. Tęskniła za pętającą na kolanach i gadającą jak najęta Nonną, której czarne włosy wpadały do minestrone i która śmiała się bezzębnyimi ustami, kiedy znalazła marchewkę w zupie. Która godzinami cierpliwie siedziała przy oknie i czekała na parszywego kocura, wskakującego co parę dni przez okno, otrząsającego się z pcheł, a potem zasypiającego na kolanach Nonny. Która godzinami głaskała go swoimi powykręcanyimi przez artretyzm palcami i pozwalała chęptać minestrone, którą potem sama zjadała do końca, a wreszcie Allora wylizywała talerz do czysta. Czasem kot przychodził też w środku nocy, związał się pomiędzy stopami Nonny i ogrzewał ją jak termofor z rozczochranej sierści.

Fiamma nigdy nie wybaczyła Allora podpalenia domu starej Giulietty. Gmina z pewnością mogłaby go sprzedać i przeznaczyć pieniądze na jakiś pożyteczny cel. Całymi tygodniami była dla niej szorstka i już nie tak uprzejma jak dawniej. I ciągle pytała Allorę, dlaczego to zrobiła.

– Allora – odpowiadała Allora.

Fiamma nic z tego nie rozumiała, potrząsała głową i żałowała teraz, że zabrała Allorę z sierocińca i uwolniła z zakratowanego łóżka.

Allora dalej zamiatała drogę i *piazza*, przynosiła kwiaty do kościoła i sadziła rośliny na bezimiennym grobie Nonny. Z lasu przyniosła kamień, który położyła na grobie. Chętnie wryłaby na nim słowa *mia nonna*, ale nie umiała pisać.

Od czasu do czasu myła samochód burmistrza i kosiła trawę przed domem, podczas gdy Bernardo pił grappę z ważnymi ludźmi – z geometrą, geologiem, architektem i właścicielem składu z materiałami

budowlanymi. Mężczyźni przyglądali się jej, jak bosy biega za kosiar-
ką do trawy, która sama jechała po trawniku jakby prowadzona niewi-
działną ręką, wystarczyło nią tylko kierować.

Bernardo powiedział:

– Uważam, że ona ma znacznie więcej talentów, niż się wydaje. –
Mężczyźni roześmieli się, a Allora pomyślała wtedy, że to miłe, że Ber-
nardo tak mówi.

Nadeszły pierwsze ciepłe dni i czas kwitnienia maków, które pokry-
wały łąki, lasy oliwkowe i kamienne tarasy błyszczącymi kwiatami, jak-
by Monet upstrzył płótno morzem czerwonych punktów.

Allora toczyła się po lekko opadającej łące, rozkoszowała się wilgot-
nym chłodem trawy, mrówkami, które wędrowały w górę po jej nogach
i wspinały się po małych włoskach, jakby to były ułożone na ich dro-
dze pnie drzew. Hipnotyzowała chmury i nuciła partyzancką piosenkę,
którą zawsze powtarzała Nonna. Wokół panowała całkowita cisza, kiedy
biały owczarek maremma z powiewającymi faflami i wyszczerzonymi
kłami dopadł do niej, skoczył i zacisnął zęby na jej ramieniu.

Allora wydała tak przeraźliwy krzyk, że pies natychmiast ją puścił
i uciekł, jakby zobaczył diabła.

Bernardo znalazł ją, kiedy siedziała blada jak ściana, oparta o drze-
wo oliwkowe, i lizała ranę. Tego było za wiele dla wytrwałego do tej po-
ry burmistrza San Vincenti, marzącego każdej nocy o Allora, która za-
ledwie kilka pokoi dalej spała w jego domu w swoim pokoju, i każdej
nocy spierającego się ze sobą, czy może się odważyć wślizgnąć do niej
pod kołdrę. Nie odważył się. Ani razu, chociaż jego przyjaciele – geo-
metra, geolog, architekt i właściciel składu z materiałami budowlanymi
– byli przekonani, że tak robi. Ale gdy Fiamma chrapała z otwartymi
ustami, często wymykał się do łazienki i przyglądał swojej twarzy w lu-
strze, kiedy robił to sam i wyobrażał sobie, że Allora na to patrzy.

Teraz już się nie zastanawiał, lecz przycisnął wargi do jej usmaro-
wanych krwią ust i całował ją tak długo i zapamiętale, że Allora zapo-
mniała o ranie i próbowała zrozumieć, co się z nią dzieje. Czegoś takie-
go jeszcze nigdy nie przeżyła. Język w swoich ustach uznała za coś

o wiele bardziej smacznego niż obliźwanie prętów przy łożku, talerzy, sztućców lub własnego odbicia w lustrze, w którym chciała doszukać się smaku. I chrząkała z przyjemnością, tak jak kiedyś chrząkała Nonna, a Bernardo prawie szalał z pożądania. I jej nogi rozłożyły się całkiem same, nie mogła i nie chciała nic na to poradzić, ba, nawet tego nie zauważyła i wszystko, co potem burmistrz czynił, było wspaniałym, niedającym się opisać doznaniem, i pomyślała, że nie może być nic lepszego niż język krążący w jej ustach. Czuła przechodzące po niej mrowie i robiło się jej coraz bardziej gorąco, jakby sierpniowe słońce dosięgało każdej kosteczki, jakby niebo spadło jej na głowę, jakby świat zawirował i już nie wiedziała, gdzie jest, myślała, że unosi się w powietrzu, i wydawało się jej, że to, co czuła, było nią samą, Allorą, którą znała od tak wielu lat, a mimo to wcale nie znała. Jest tak pięknie, że teraz mogłabym umrzeć, pomyślała i zapragnęła już nigdy nie obudzić się z tego odurzenia. Wtedy spojrzała na burmistrza, który robił jej krzywdę. Twarz mu płonęła, pocił się i stękał. Allora pomyślała, że kona. Chciała go zapytać, pomóc mu, ale przeszła przez nią fala, która uniosła ją w górę ku morzu rozkoszy, ponownie krzyknęła, jak gdyby tym razem Bernardo wgrzył się w jej ciało.

Bernardo leżał na niej całkiem spokojnie i ledwo oddychał. Allora płakała i błagała, żeby nie umierał. Bernardo usiadł, z kieszeni spodni wyjął ogromną i już mocno zużytą chustkę do nosa i wytarł nią spocone czoło.

– *Allora* – powiedziała.

Bernardo uśmiechnął się i wstał.

– Chodź ze mną – powiedział – musimy ci opatrzeć ramię, a potem coś ci pokażę.

Podarował jej swoją starą vespę, która od lat stała w szopie na drewno. Już jej nie potrzebował, choć była jeszcze sprawna. Allora ucieszyła się tak bardzo, że natychmiast pocałowała go w usta, lecz Bernardo ją odepchnął, rozejrzał się nerwowo dookoła i zachowywał tak odpychająco, że Allora już nic z tego nie rozumiała.

Allora szybko się uczyła. O tym, co tak lubiła robić, nie wolno nikomu opowiadać, nikt nie powinien tego widzieć, to było tajemnicą i było zakazane. I trzeba zawsze być tylko we dwoje, nie w troje lub

w czworo. Kiedy raz usiadła na kolanach geometrze, pocałowała go w usta i wsadziła mu język do gardła, ponieważ ucieszyła się, że położył drugi kawałek ciasta na jej talerzu, i uśmiechała się do niego, jego żona zareagowała takim wybuchem gniewu, że Allora uciekła do ogrodu, przykucnęła pomiędzy krzakami pomidorów, których gryzący sok palił jej skórę, i starała się zrozumieć, co złego zrobiła.

Jak na razie znała reguły gry, przestrzegała ich i wszystko szło dobrze. Żadna żona nie wiedziała o spragnionej miłości Allorze, która tak chętnie rozkładała nogi, żeby zakosztować odrobiny raju.

Rozumiała, że jej zainteresowanie powinno dotyczyć wyłącznie mężczyzn, i było jej dość obojętne, jacy to byli mężczyźni. Z proboszczem, chichocząc, jadła placek z wiśniami, który upiekła wdowa Bracchini, a w nocy ogrzewała jego zimne plecy, ponieważ sztywna końska derka, którą przykrywał się od dwudziestu lat, była o wiele za wąska. Rano wstawiała jeszcze przed nim, gotowała mleko i prała jego rzeczy. Nikt nie widział, jak do niego wchodziła i jak wychodziła, a Bernardo nie pytał, gdzie spędza noc. Kiedy w niedzielę przyjmowała komunię z rąk don Mattea, wyglądała jak uosobienie Najświętszej Pani i miała tak niewinne spojrzenie, że nikt nigdy się nie domyślił, że znała tego mężczyznę, który stał przed nią, dużo lepiej niż reszta wioski.

Z geologiem wy pływała małą łódką na Lago Trasimeno, rozkoszowała się łagodnym kołysaniem, piła ciężkie czerwone wino w południowym słońcu i wodziła językiem po jego ciele jak po klawiaturze, aż słońce schowało się za górami. Od geologa dostała oliwę i małe radio i co wieczór przed snem słuchała muzyki.

Była tak samo samotna jak wcześniej, ale czuła się jak człowiek, który codziennie ma możliwość przejechania się górską kolejką w wesółym miasteczku.

Było gorące majowe popołudnie, kiedy jechała vespą przez las do ruin na górskim grzbiecie, skąd roztaczał się widok na dwie doliny. Ruiny zarosły wrzosem i dziką jeżyną, a z murów zostały tylko te fragmenty, które były najmniej narażone na smaganie wiatru. Tylko drewniana rama okienna, która jakimś cudem przetrwała dziesiątki lat, hałasowała na wietrze. I w tym oknie stał mężczyzna.

Wyglądał jak zjawa. Jak duch, który powrócił do domostwa swoich przodków. Allora zahamowała tak gwałtownie, że o mało co nie przeleciała głową przez kierownicę, i wlepiła w niego wzrok. Mężczyzna uśmiechnął się i zniknął. Allora czekała z łomoczącym sercem. Po kilku minutach wyszedł, parę razy klasnął w dłonie, żeby otrząsnąć je z kurzu, i otrzepał kolce ze spodni. Był wysoki i piękny i Allora czuła się jak zahipnotyzowana spojrzeniem jego wąsko osadzonych oczu.

– Allora – powiedziała.

– Chce ci się pić? – zapytał Kai. – W samochodzie mam wodę.

Skierował się za róg domu do swojego jeepa, a Allora szła za nim w milczeniu. Jak marionetka poruszana niewidzialnymi nićmi.

Podał jej butelkę z wodą, była zmieszana i piła tak łapczywie, że zamoczyła sobie T-shirt, ale ciągle miała sucho w gardle. Nie było tu nikogo. Byli sami na świecie, nie było innej kobiety, która mogła wpaść do pokoju i dostać ataku szału, a ten mężczyzna wydawał jej się jeszcze bardziej rajski niż burmistrz, geometra, geolog lub właściciel składu z materiałami budowlanymi.

Oddała mu butelkę i wpatrywała się w czerwono-czarne chrząszcze, które pełzały dokoła po ściółce leśnej, jeszcze nigdy takich nie widziała. Jak przejmująca grozą inwazja.

Wypił tylko jeden łyk, zakręcił butelkę i z powrotem wrzucił ją na tylne siedzenie.

– Już wcześniej widywałem cię w tej okolicy – powiedział i uśmiechnął się.

– Allora – odparła, odwróciła się i pobiegła do vespy, jakby ugryzła ją tarantula, wskoczyła na siodelko, zapuściła silnik i popędziła na złamanie karku. Z twarzą czerwoną jak po biegu na dystansie pięciu tysięcy metrów.

Kai lekko rozbawiony wzruszył ramionami i wszedł do samochodu. Ta sikorka się mnie boi, pomyślał, biedactwo, a może wcale tak nie jest.

Allora się nie bała. Nie czuła strachu przed rajem. Kiedy Kai spojrział na nią, po raz pierwszy w życiu poczuła się świadoma siebie, nagle spojrzała na siebie jego oczami i zobaczyła rozczochrane włosy, których jeszcze nigdy nie dotknął fryzjer, poplamiony T-shirt i wyblakłą

spódnicę, podrapane nogi i zrogowaciałe brudne stopy. Nie była pewna, czy ma czyste usta i czy jej paznokcie nie są za krótkie. Wstydyła się i po raz pierwszy przestała lubić siebie, a także swoje imię. Zakończyła się.

Od tej pory szukała go i wszędzie go znajdowała. Czatowała na niego przy drodze, która prowadziła z Montebenichi przez San Vincenti w kierunku Castelnovo Berardenga lub San Gusme, Moncioni, Monte Luco lub Montevarchi. Często tędy przejeżdżał, ponieważ wolał wozić swoich gości boczną szutrową drogą, przez przepiękne lasy i winnice, niż główną trasą, wprawdzie szybszą, ale dużo brzydszą.

Śledziła go, szpiegowała, obserwowała, pojawiała się przed nim z uśmiechem na ustach i równie szybko znikła. Gdy tylko go zobaczyła, traciła głowę, w jego obecności stawała się nieporadna. Nie miała pomysłu, jak zwrócić na siebie jego uwagę, brakowało jej też odwagi, żeby pocałować go tak zuchwale jak wszystkich innych, i niemal umierała z tęsknoty.

I popadła w niełaskę u burmistrza, ponieważ przestała wpuszczać go do swojego pokoju.

Kai znowu skoncentrował się na Schraderach i starał się nie myśleć o Allorze. Na pewno za godzinę będzie jeszcze stać w tym samym miejscu.

Schraderowie weszli do kuchni, w której najważniejszy element stanowił ogromny kominek zajmujący całą szerokość pomieszczenia.

– Jest tak przesadnie duży, żeby w zimne noce można było siedzieć tuż przy nim obok płomieni – wyjaśnił.

– Ach, mój Boże – powiedziała pani Schrader, na której kominek wywarł niewielkie wrażenie. A potem odezwała się do męża: – Herbert, chodźmy już, tylko tracimy tu czas. *Palazzo* mnie nie interesuje.

Małego mieszkania znajdującego się dokładnie naprzeciwko *palazzo* w ogóle nie chcieli oglądać, to znaczy, pani Schrader nie chciała go oglądać. Na twarzy pana Schradera malowała się frustracja, ponieważ właśnie próbował pogodzić się faktem, że wbrew woli żony nie będzie mógł zrobić żadnego interesu w Toskanii.

A potem wszystko już szło na opak. Pojechali do Colliny leżącej na przeciwko San Vincenti, do której łatwo można było się dostać wąską leśną drogą. Ale nie dało się podjechać bezpośrednio do na pół zrujnowanego domu. Pan Schrader wpadł w dziurę wykopaną przez nornicę, skręcił sobie nogę i siedł, utykając. Pani Schrader robiła mu wyrzuty, że nigdy nie patrzy pod nogi, a pan Schrader był tak rozdrażniony, że ani razu nie spojrzął na piękno oliwkowych gajów, które ciągnęły się do samego domu.

Tuż przed domem pani Schrader wdepnęła w końską kupę, chociaż zawsze patrzyła pod nogi, a kiedy wreszcie zechciała pokonać kilka stopni, żeby wejść do domu, nagle nie wiadomo skąd wypęzła żmija.

Teraz pani Schrader miała wszystkiego po dziurki w nosie i chciała wracać do hotelu. Nie chciała już obejrzeć od środka Colliny, w ogóle nie chciała już nic więcej oglądać i nie chciała już nic kupować, cała Toskania przestała jej się podobać. Mały bungalow w Hiszpanii z widokiem na morze i dozorca na zamkniętym terenie – to uznała za znacznie lepsze. W okolicy, gdzie domy były czyste, porządne i biało otyłkowane, gdzie przed domami rośnie wypielęgnowana trawa i gdzie nie ma nornic, końskich kup, a już na pewno nie ma żmij. Gdzie do marketu Spara byłoby nie dalej niż sto metrów i gdzie wszyscy mówiliby po niemiecku. Straciła ochotę. Chciała wyjechać. Natychmiast.

Pan Schrader tylko przytakiwał. Pogodzony i zrezygnowany.

Co za dzień, pomyślał Kai, tylko iść do najbliższej knajpy i zalać się w trupa. I modlić się, żeby już nigdy nie spotkać takich ludzi jak ci Schraderowie.

Collina była w tej okolicy jednym z najpiękniejszych domów, jakie znał. Z widokiem niemającym sobie równych. Ale Schraderowie nawet tego nie zauważyli.

Kiedy szli do samochodu, jeszcze raz się odwrócił. W oknie stała Allora i kiwała na Kaia. Czekwała na niego.

Kai nie pomachał do niej. Tęsknił za Anne i po raz dwudziesty spróbował dodzwonić się na jej komórkę.

Anne starała się odtworzyć w myślach Valle Coronata, ale wszystko mieszało się jej w głowie. Czy w głównym budynku były trzy, czy cztery pokoje, czy młyn miał łazienkę, czy na dolnym tarasie przy basenie było światło? Czy w ogóle można spuścić z niego wodę? A jeśli tak, to w jaki sposób?

Nic już nie wiedziała. Harald miał całkowitą rację, potrzebowała dużo więcej informacji.

Było pochmurnie i parno, kiedy po śniadaniu wyszła z hotelu. Chciała kupić gdzieś butelkę wina dla Enrica, jako małe zadośćuczynienie za to, że znowu zjawia się tam tak nagle.

W sklepie Alimentari, oddalonym tylko o dwie ulice, kupiła Rosso di Montepulciano rocznik 98 i natychmiast ruszyła w drogę. Wyłączyła komórkę.

Miała duże trudności, żeby odnaleźć dolinę, ponieważ kiedy jechała z Kaiem, nie zwracała uwagi, gdzie ją wiezie. Kai. Zadzwoń do niego po południu, pomyślała, może zjemy razem kolację.

Z Ambry pojechała do Duddova, wybrała wąską drogę i tym razem bardziej świadomie przyglądała się pięknemu krajobrazowi. W Duddova przejechała koło małego kościoła i potężnego kasztanowca, a potem skręciła w prawo. Zdziwiło ją, że droga prowadzi pod górę. Coś się nie zgadzało. Przy fattorii „Il Padiglione”, która leżała pod samym grzbietem góry, zawróciła. W Duddova zapytała o drogę starą kobietę z długimi siwymi włosami i nie rozumiała ani słowa, kiedy ta wyjaśniała jej, gdzie leży Valle Coronata. Ale zrozumiała, w jakim kierunku ma się udać, podziękowała i skręciła w małą dróżkę prowadzącą pod balkonem, przez co odnosiło się wrażenie, że porusza się po prywatnej działce. Ale kiedy jechała dalej przez gaje oliwkowe i droga nieprzerwanie wiodła w dół, już sobie ją przypomniała.

Zarośnięty fiat stał na parkingu w niezmiennym stanie. O to też będzie musiała zapytać Enrica. Powoli szła do domu z butelką wina w rękę. Oprócz śpiewu ptaków nie było nic słyszeć, nikogo też nie było widać. Dom, najwidoczniej opuszczony, stał w przedpołudniowym słońcu i wydawał się jeszcze bardziej pociągający, jeszcze bardziej urokliwy niż za pierwszym razem.

Enrica znalazła z tyłu domu, biegał niestrudzenie pomiędzy stertą kamieni a źródłem i układał kamienie przy źródle. Miał na sobie tylko kąpielówki. Jego ciało było opalone i bardzo umięśnione, nigdzie ani grama tłuszczu. Kiedy zobaczył ją stojącą przed domem, zatrzymał się i uśmiechnął.

– Znowu jestem – powiedziała i podała mu butelkę. – Proszę, to za zakłócenie spokoju.

Enrico wziął butelkę i spojrzał na etykietkę.

– O, Montepulciano, wspaniale. Musimy wypić je razem.

Szli powoli do domu.

– Chcę ci jeszcze obramować źródło kamieniami – powiedział. – Wtedy ziemia nie będzie go już zasypywać, a poza tym będzie ładniej wyglądać. Może znajdę jeszcze jakąś starą kamienną głowę, Dionizosa albo kogoś innego, z której będzie tryskać woda. Potem ją przymuruję.

To niewiarygodne, pomyślała Anne i poczuła się lekko rozdrażniona, ale też jednocześnie uradowana.

– Nie mogłam wytrzymać w Sienie – powiedziała ostrożnie. – Chciałam koniecznie jeszcze raz obejrzeć dom.

– Tak też sobie pomyślałem – odparł. – Spodziewałem się ciebie. Co powiesz na kawę?

– Tak, chętnie.

Poszedł przodem i włożył robocze spodnie, które wisały na krzaku szaławii przed młynem. Anne weszła za nim do kuchni. Chociaż nad kuchenką i zlewem było bardzo ciemno, nie zapalił światła, lecz z pewnością lunatyka wsypał kawę i wlał wodę do dzbanka do espresso i postawił go na najmniejszym gazie.

– Żeby to tylko za bardzo nie podniosło ceny domu – powiedziała z uśmiechem.

– Czemu? – Nagle bardzo spoważniał.

– No bo jeśli teraz wymyślisz jeszcze coś... w tej chwili na nic więcej nie mogę sobie pozwolić. Jeśli zapłacę za dom, będę sflukana. Przez następne dziesięć lat nic się tu nie może popsuć.

Enrico stanął i założył ręce na brzuchu.

– Opuszczę ci dwadzieścia tysięcy. Kai ustalił sumę bez porozumienia ze mną, uważa, że jest tyle wart. A ja uważam, że cena jest za wysoka. A wszystkie prace przy domu zrobiłbym tak czy inaczej. Chciałem je zrobić i zrobić. Kiedy się wprowadzisz, dom będzie w idealnym stanie. Muszę jeszcze rozkopać ziemię wokół młyna i położyć drenaż. Bez tego jest tu za mokro. Tylko do tej pory nie miałem na to czasu. Chcesz mieszkać tu również w zimie?

Anne odetchnęła płytko.

– Może. Gdyby... no.... ale... już...

– W takim razie będzie ci potrzebne ogrzewanie. W zimie może tu być cholernie zimno.

– No... – Serce Anne waliło jak młotem.

– Położyłem już całą instalację. Brakuje tylko grzejników. Zamontuję ci je. Ale oczywiście będzie też potrzebny zbiornik na gaz w ogrodzie, bo z butlami daleko nie zajedziesz, nie wystarczą do ogrzewania.

Anne aż się spociła. Nie mogła w to wszystko uwierzyć i uporządkować w głowie. Albo będzie zrujnowana finansowo, jeśli on to wszystko zrealizuje, albo on jest kompletnie zwariowany.

Milczała. Woda zabulgotała w dzbanku. Enrico wlał kawę do dwóch małych filiżanek i postawił je na stole. Przyniósł cukier i kilka suchych herbatników i usiadł.

– A ty? – zapytała Anne. – Od kiedy tu mieszkasz?

– Od trzynastu lat.

– I nie brakowało ci w zimie ogrzewania?

– Nie. Ja nic nie potrzebuję. Obie łazienki wybudowałem też tylko dlatego, żeby ewentualnie kiedyś móc sprzedać ten dom. Mnie wystarczy raz na dzień wskoczyć do basenu. Dla mnie łazienka jest czystym luksusem, a tego nie chcę.

– W zimie też codziennie kąpiesz się w basenie?

Enrico przytaknął:

– Przeciągnąłem szlauch ze źródła w dół do basenu, tak że mogę brać prysznic. Rok temu Carla do listopada brała prysznic na dworze. Coraz bardziej przyzwyczajają się do tego.

– Czy Carla to twoja żona?

– Tak. Nie wzięliśmy ślubu, ale od wielu lat żyjemy ze sobą.

Anne spojrzała na zdjęcie, pod którym siedziała.

– Czy to ona?

Enrico skinął głową.

– Tak. Ale teraz jest u rodziców w Niemczech. Jej ojciec jest ciężko chory. Mam nadzieję, że wkrótce wróci.

Jego głos miał bardzo łagodne, miękkie brzmienie. Ten oschły, wysportowany, muskularny mężczyzna najwidoczniej był niezwykle wrażliwy, ale mimo to znowu poczuła niepokój. Enrico i kobieta? I kiedy gryzła herbatnik i rozglądała się po kuchni, próbowała dociec, dlaczego mimo najlepszych chęci nie potrafiła sobie tego wyobrazić.

– Ta kuchnia jest przepiękna. Nie widziałam ładniejszej.

– Prawdopodobnie nie widziałas zbyt wielu tokańskich kuchni. – Enrico uśmiechnął się ukradkiem.

– A w ogóle, dlaczego chcesz to sprzedać?

– Życie zrobiło się dla mnie za wygodne, wiesz... Mam tu wszystko, a dochodzi coraz więcej. Odkąd dwa lata temu podłączyli nam prąd, mieszkanie w dolinie już mnie nie bawi. Chcę prowadzić proste życie. Nie potrzebuję tego wszystkiego. Prądu, mebli, dobytku. W zasadzie nie potrzebuję też domu. Najchętniej podróżowałbym tylko z jedną walizką. To dla mnie jest wolność. Ale Carla tak nie chce.

– I gdzie pójdziesz, kiedy sprzedasz dom?

– Nie wiem. Coś się znajdzie. Choćby volkswagen bus, w którym mógłbym rozłożyć materac. To wspaniałe uczucie nie wiedzieć, co będzie dalej.

– O mój Boże. – W Anne zaczęły się budzić wyrzuty sumienia. – A co mówi na to twoja żona?

– Nie mam pojęcia. Jeszcze nic nie wie.

– A jeśli będzie chciała tu zostać?

– Na pewno będzie chciała. Ale to niemożliwe. Nie miej z tego powodu skrupułów.

Enrico wstał, od razu umył obie filiżanki i postawił na zwisającej z sufitu półce, która przy każdym dotknięciu kołysała się i powodowała cichy brzęk naczyń, który przypominał nastrojową muzykę.

– Podoba mi się ta półka.

– Zrobiłem ją specjalnie do tej kuchni. Przy tych krzywych ścianach nie możesz postawić kredensu. Poza tym nie lubię mebli. A więc – powiedz, co chciałabyś zatrzymać, możesz wziąć wszystko, mnie to już nie jest potrzebne.

Co za człowiek.

– Mówisz, jakbyś chciał odebrać sobie życie.

– Nie. – Teraz wreszcie znowu się uśmiechnął. – Z całą pewnością tego nie chcę. Przeciwnie. Chcę dożyć przynajmniej do dziewięćdziesiątki i dlatego staram się żyć trochę skromniej. Żeby wystarczyło mi na dłużej pieniędzy. I w ogóle. Gdybym chciał się zabić, zostawiłbym dom Carli.

Anne miała wrażenie, jakby znała Enrica już od lat, i nagle poczuła się jak u siebie w domu. Ale to, co powiedział, było w gruncie rzeczy pozbawione logiki.

– W takim razie sprzedaj dom jak najdrożej! Wtedy na dłużej wystarczy ci pieniędzy! Nie rozumiem tego!

– Nie. – Teraz Enrico był wyraźnie poruszony. – Nie, buduję dom, remontuję go, odbudowuję, zarządzam według własnego pomysłu, nadaję mu formę. Moje domy są dziełami sztuki. To nie pierwszy dom, który kupiłem w zrujnowanym stanie i odbudowałem. I podczas pracy w mojej głowie powoli kształtuje się cena, za jaką później go sprzedaję. I kiedy już wymyślę tę cenę, jest ona stała i już jej nie zmieniam. Nie targuję się. Nie dyskutuję. Ale też nie chcę wziąć więcej, niż sobie założyłem. Pracuję szybko i solidnie. Gdybym zażądał ceny adekwatnej do mojej pracy, moje domy miałyby horrendalną cenę. Ale mnie przecież nie chodzi o zarabianie pieniędzy. Chodzi mi o to, żebym mógł dalej wieść prosty żywot. I o nic więcej.

– Jesteś filozofem. – Ten mężczyzna pociągał ją swoim urokiem. Zaczynał ją fascynować. Nie jako mężczyzna, jako człowiek. Jego sposób myślenia, sposób na życie wywarły na niej duże wrażenie.

– Mój Boże – obruszył się – filozof! Nie, Anne, oczywiście, że czytam książki filozoficzne, ale czy je rozumiem? Filozofie wyznawane przez innych są mi obce. Nie potrafię ich sobie przyswoić. Kieruję się swoją własną filozofią... lecz niestety nie miałem jeszcze okazji, żeby ją spisać.

Oboje milczeli przez chwilę, potem Enrico powiedział:

– Mam dla ciebie propozycję. Przywieź swoje rzeczy i spędź tu kilka dni. Ta dolina ma aurę, z którą trzeba się powoli oswojać, żeby móc stwierdzić, czy się ją lubi, czy nie, i czy w ogóle da się tu wytrzymać. Przebywanie tu jest sztuką doświadczania granic samotności, Anne. Panuje tu taka cisza, że aż dzwoni w uszach. Nie docierają tu żadne odgłosy cywilizacji. Nie słychać wycia alarmów samochodowych, ludzkich głosów, trzaskania drzwiami, muzyki. Absolutnie niczego. I do tego ciemność. Noce są tutaj tak czarne, że prawdopodobnie jeszcze nigdy takich nie przeżyłaś. I ani jednego świecącego punktu z innego domu, latarni, reflektora – nic tu nie dochodzi. Nasze oczy są przyzwyczajone do wychwytywania w nocy każdego źródła światła, jest to coś w rodzaju nadziei i pewności, że człowiek nie jest sam na świecie. Tutaj tego brakuje. Spojrzenie ginie w całkowitej czerni. Albo w całkowitej nicości. Jakkolwiek byś to chciała nazwać. To wszystko jest fascynujące i jednocześnie napełnia trwogą. I można tu wytrzymać tylko wtedy, jeśli się przez całe życie czegoś takiego szukało. Powinnaś tego spróbować, Anne. Nie jest ważne, że w domu cieknie kran albo że okno się nie domyka. Ale czy wytrzymasz w samotności. I to można uznać za decydujące.

Anne czuła, że Enrico ma rację.

– Możesz podać mi szklankę wody?

Enrico skinął głową i napełnił szklankę wodą z kranu.

Anne przypomniała sobie, co wczoraj wieczorem powiedział przez telefon Harald. Że powinna zainteresować się oczyszczalnią ścieków, rurami odpływowymi i kanalizacją. Że powinna uważać, żeby jej nie

oszukano. To był jego świat. To były problemy, którymi zajmował się Harald. Enrico był zupełnie inny. Dla niego większe znaczenie miały odczucia niż działające ogrzewanie. I nagle stwierdziła, że znalazła się dużo bliżej prawdziwego życia.

Ale czy naprawdę powinna tu zostać? Tu, na odludziu, sama z obcym mężczyzną? Przecież w zasadzie nic o nim nie wiedziała, w ogóle go nie znała, tylko jego imię, a nawet ono nie musiało być prawdziwe. Nikt nie wiedział, gdzie jest. Podawanie adresu też nie miało sensu. „Valle Coronata”, tylko kilkoro starszych mieszkańców Duddova mogłoby to zrozumieć, nikt więcej. Zresztą tu nawet nie dochodziła poczta. Gdyby tu została, byłaby całkowicie zdana na łaskę tego człowieka. Nie znała domu ani lasu. Gdyby jego zamiary okazały się mniej przyjazne, niż się wydawało, nie miałyby żadnej szansy. Na pewno był od niej silniejszy. Ucieczka by się nie powiodła, a komórka nie działała w dolinie.

To czyste szaleństwo, zostaw to, krzychał jej rozum. *Bella Italia* ma też swoje ciemne strony. Nie zapominaj, że tu zaginęło twoje dziecko. Też w lesie, zaledwie kilka kilometrów stąd. Ale co miała jeszcze do stracenia? Męża, który ją zdradzał, życie we Fryzji, które ją irytowało, i ból, którego nie była w stanie opanować. No i dobrze, jeśli Enrico coś jej zrobi, nigdy jej nie znajdą, po postu zakopie ją w lesie i wtedy ona zniknie z tego świata. Tak jak Felix. Może został tu zamordowany i zakopany, leży pod ziemią, zaledwie kilka metrów stąd. Albo pięćset metrów dalej, albo pięć lub pięćdziesiąt kilometrów dalej. Gdziekolwiek.

Może jej przeznaczeniem było doznanie tego samego. Może w ostatniej sekundzie życia dowie się, co stało się z Felixem. I serce podpowiedziało jej, zrób to, zostań tu, nowe życie wiąże się z nowymi doświadczeniami. A jeśli się ich boisz, lepiej zostań we Fryzji.

– No i jak? – zapytał Enrico.

– Uważam, że twoja propozycja jest wspaniała – odparła i w tym momencie opadło z niej napięcie, ponieważ już się zdecydowała. – Jeśli ci to naprawdę nie przeszkadza, chętnie zostałabym kilka dni. Ale pod warunkiem, że naprawdę ci to nie przeszkadza!

– Kiedy się kupuje samochód, trzeba odbyć jazdę próbną. Kiedy się kupuje dom, trzeba w nim na próbę zamieszkać. Nie da się inaczej.

– Okay. – Anne wstała. – W takim razie pojedę teraz do Sieny i przywiozę moje rzeczy. Czy mam coś jeszcze przywieźć? Coś na kolację?

– Przydałyby się jakieś warzywa...

– Dobrze. – Anne wyszła na dwór. Po ciemnościach panujących w kuchni słońce ją całkiem oślepiło. Skinęła mu głową. – No to na razie.

– Na razie – powtórzył Enrico i zniknął w domu.

Anne szła powoli do samochodu i nie mogła uwierzyć w to, co się z nią działo.

W Sienie kupiła kilka karczochów, sałatę i pomidory, do tego pół pecorino i sto gramów świeżego sosu pesto. Potem poszła do pokoju w hotelu, żeby się spakować. Kiedy skończyła, była już czternasta, lecz młoda dziewczyna w recepcji okazała się bardzo miła i nie policzyła jej za ten dzień, chociaż wymeldowała się tak późno. Kiedy płaciła rachunek, przypomniała sobie, że nie wyjęła spod łóżka obrazu z aniołkami i nie powiesiła go z powrotem na ścianie, ale było już za późno. Nic nie powiedziała, oddała klucz i wyszła z hotelu. Kto wie, może jeszcze tu kiedyś wróci, a może nie.

Kiedy wsiadała do samochodu, włączyła komórkę i zobaczyła na wyświetlaczu, że Kai wiele razy próbował się do niej dodzwonić. Zadzwoiła do niego. Natychmiast odebrał i tak mu ulżyło, że ją słyszy, jakby na cztery tygodnie przepadła bez wieści w dzikiej puszczy i wreszcie – żywa – znowu się pojawiła. Ucieszyło ją to i zgodziła się spotkać z nim na Piazza Indipendenza.

Kiedy już z daleka zobaczyła go, jak idzie lekkim krokiem, z ujmującym uśmiechem na twarzy i w trochę za szerokim garniturze, w którym było coś wzruszającego, zaczęła się przez chwilę zastanawiać, czy jednak nie pojechać do doliny dopiero jutro. Wystarczy, jeśli pojedzie tam jutro, wtedy będzie mogła spędzić wieczór i całą noc z Kaiem, wreszcie przeżyć to, o czym marzyła, odkąd Harald nawiązał romans z jej byłą przyjaciółką Pamelą. Z tą zacną, miłą, usłużną, będącą zawsze do dyspozycji, powtarzającą w kółko: mój Boże, jak ja bym chciała być taka ładna jak ty. Z Pamelą, tą niepozorną, podpierającą ścianę na zabawach... z Pamelą, o której zawsze myślała, że można by zostawić ją samą na bezludnej wyspie z dwudziestoma wyposzczonymi więźniami i żaden by jej nie tknął. Pamela była solidną firmą. Pamelę można było poprosić o podlewanie kwiatów, wyprowadzanie psa na spacer i przyrządzanie mężowi czegoś ciepłego do jedzenia. A samej spokojnie wyjechać na urlop. Gdyby zaistniała taka konieczność, zgodziłaby się, aby Pamela i Harald spali w jednym pokoju – i teraz coś takiego. Coś tak niebywałego! Coś tak niewyobraźnego!

Anne była całkiem ślepa lub zaślepią „przyzwoitością” Pameli, którą jej przypisywała, ale najwidoczniej niesłusznie. Wszystko zaczęło się wówczas, kiedy stary Hauke umierał. Przez czterdzieści lat pływał po morzu, był czerstwym chłopem i już od paru tygodni leżał na łożu śmierci. Harald codziennie po obiedzie jeździł do niego do starego probostwa, żeby jeszcze przed popołudniowymi godzinami przyjąć obejrzyć go, zrobić zastrzyk i chociaż przez kwadrans posłuchać jego niestworzonych opowieści. Mył go, zmieniał pościel, wstawiał mleko do lodówki i smarował chleb pasztetową na kolację. Taki był Harald: wiejski lekarz i pielęgniarka, duszpasterz i społeczne pogotowie. Wie-

rzył, że w ten sposób uda mu się uchronić starego Haukego przed spędzeniem ostatnich dni życia w domu opieki.

Przysługa, jaką wyświadczał staremu Haukemu, wymagała dużo czasu, Anne zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedziała, że nie chodziło przy tym tylko o „jedną” przysługę.

Dokładnie naprzeciwko domu Haukego mieszkała jej przyjaciółka Pamela. Była saksofonistką – prawdopodobnie rzeczywiście bardzo utalentowaną – i dawała koncerty w Husum, Heide i w Hamburgu, czasami także w Monachium, Kolonii lub Wiedniu. Grała wszędzie, gdzie to było potrzebne. W kościołach, w salach koncertowych lub sportowych, jej CD sprzedawały się miernie, ale starczało jej na utrzymanie. Pamela wyglądała jak postać z typowych dowcipów, jak karykatura saksofonistki. Miała długi, mocno spleciony warkocz z tyłu głowy, który czasem upinała w kok, a gdy mogła sobie pozwolić na trochę swobody, kiedy szła na bal lub wiejski festyn, rozpuszczała włosy, które sięgały jej do talii. Druciane oprawki okularów pamiętały czasy jej dzieciństwa: surowego, nijakiego, monotonnego i beznadziejnie nudnego. Na co dzień nosiła bluzki i czarne spodnie, a od święta bluzki i czarne spódnice. W zwykłe dni wkładała wygodne adidas, w których mogła wędrować po górach, a od święta lakierki na płaskim obcasie. Jej nieumalowana twarz nie знаła makijażu po przehulanej nocy, nie znała worków pod oczami od nadmiaru szampana ani wągrów od tłustego jedzenia. Do swojej czystej cery Pamela używała tylko świeżego wiejskiego powietrza, wody i kremu nivea. Taka była Pamela. Dusza człowiek. Przynosiła Anne ulgę i dawała jej pewne oparcie, ponieważ Anne potrzebowała takiej przyjaciółki jak Pamela, która zawsze była pod ręką, kiedy jej życie pękało w szwach.

Przez wiele tygodni Pamela bez słowa skargi zносиła łzy Anne i opowiadania ciągle tej samej historii o Wielkanocy w Toskanii, kiedy zaginął Felix. I jeszcze za setnym razem przysłuchiwała się z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami, jakby jeszcze nie znała smutnego zakończenia opowieści. Była jak pamiętnik, w którym można ciągle zapisywać te same zdania. Anne nigdy nie miała uczucia, że ją nudzi albo że działa jej na nerwy. Pamela ją obejmowała, kołysała jak dziecko

i pozwalała jej się wyplakać. I Anne wierzyła w jej przyjaźń. Myślała, że jeśli coś takiego jak lojalność w ogóle istnieje, to została wynaleziona specjalnie dla takiej istoty jak Pamela.

Kiedy Harald mył i karmił starego Haukego, przeważnie wpadał jeszcze naprzeciwno na herbatę do Pameli. Ale Anne się o tym dowiedziała, kiedy było już za późno i ich romans trwał już kilka tygodni. Pamela nie miała przyjaciela, dużo czasu spędzała sama i herbatki z Haraldem były dla niej mile widzianą odmianą. Opowiadała mu o swoich koncertach oraz o Brahmsie, Hindemicie i Bartoku, których uwielbiała. Harald nie miał o tym wszystkim najmniejszego pojęcia. Muzyka nie odgrywała w jego życiu żadnej roli. Anne jeszcze dzisiaj nie mogła zrozumieć, że kiedyś w czasie słuchania orkiestry dętej cierpliwie rozpinął guziki jej bluzki.

Skandal wybuchnął w pewne październikowe popołudnie, kiedy stary Hauke chciał sięgnąć po okulary i strącił z nocnego stolika szklanke z mlekiem, która rozbiła się na twardych kamiennych płytkach. Próbował zebrać skorupy, ponieważ bał się, że nadeptnie na nie przy wstawaniu, wtedy zakreśliło mu się w głowie i spadł z łóżka. Na swoje nieszczęście twarzą prosto w odłamki szkła. Miał liczne rany cięte, krew kapłała na łóżko i dywan, a kiedy wstał, także na stół i na fotel. Przestraszył się. Wpadł w panikę, rozmazał rękami krew po twarzy i wyglądał potem jak zombi, który po zamordowaniu swojej ofiary wykapał się w jej krwi. Zapomniał, gdzie stoi telefon, doczłapał do okna, walił w szybę i głośno wzywał pomocy.

W tym czasie koło jego domu przechodziła Elsa Sörensen, która właśnie szła do swoich wnuków. Pilnowała ich codziennie po południu od piętnastej do dwudziestej, kiedy jej synowa robiła trwałe w salonie fryzjerskim w Heide. Jej syn pracował w systemie dwutygodniowym na platformie wiertniczej na Morzu Północnym.

Elsa ledwie rozpoznała przerażającą postać w oknie. Pobiegła do najbliższego domu do Martinsenów i Frauke Martinsen zaalarmowała policję. Policjanci, którzy po kwadransie później przyjechali do Haukego i wyłamali drzwi, od razu się zorientowali, że wszystko znacznie gorzej wyglądało, niż było w rzeczywistości. Umyli staremu twarz, za-

prowadzili go z powrotem do łóżka i zapytali, czy chce iść do szpitala. Na to Hauke zaczął z przerażenia tak wierzgać nogami, jak mu się to nie zdarzyło przez ostatnie siedemdziesiąt osiem lat, i wzywać swojego lekarza domowego Haralda Golombka. Samochód Haralda stał przed domem Haukego, ale jego tam nie było. Nikt nie umiał tego wytłumaczyć, zaczęto więc go wszędzie szukać. W gabinecie go nie było, w domu też nie, a jego asystentka w przychodni nic nie wiedziała o innych zaplanowanych wizytach domowych. Komórkę miał wyłączoną, nie wiadomo było, co robić. Aż Elsa, która zawsze domyślała się, co w trakcie piszczy, wpadła na pomysł, żeby zapukać do Pameli, bo, być może, pan doktor...

Pamela otworzyła drzwi policji ubrana w bladozielony szlafrok w kwiaty, Harald również nie był kompletnie ubrany, kiedy policjanci poprosili go, żeby zajął się starym Haukem.

Wszystko stało się publiczną aferą i głównym tematem rozmów we wsi, jeszcze zanim Anne i Harald mogli porozmawiać ze sobą o tym, co zaszło. Stary Hauke umarł jeszcze tego samego wieczoru na zawał. Jego serce nie wytrzymało zdenerwowania i gwałtownego wierzgania nogami.

Następnego dnia Anne poszła do Pameli. Pamela uśmiechnęła się, otwierając drzwi, właśnie wycierała ręce w kuchenną ścierkę. Anne też się uśmiechnęła, zdjęła jej druciane okulary i z całej siły uderzyła ją w twarzyczkę niemowlęcia pielęgowaną kremem nivea. Potem przemaszerowała obok osłupiałej Pameli do salonu, gdzie na ścianach wisały najprzeróżniejsze saksofony, podniosła szklaną pokrywę akwarium, w którym pływały świecące kolorowe neonki, zdjęła ze ściany średniej wielkości saksofon i wrzuciła do wody pełnej bąbelków od urządzenia napowietrzającego. Złoty saksofon wyglądał w akwarium wprost przepięknie, Anne była zachwycona. Kiedy przechodziła obok wytrąconej z równowagi Pameli, syknęła jeszcze przez zęby: – Więcej do mnie nie dzwoń! – i zniknęła z jej mieszkania i z jej życia.

Kiedy Anne wróciła wieczorem do domu, Pamela już dawno zdążyła się poskarżyć na nią Haraldowi. Harald z wściekłości zrobił się czerwony jak rak i miał pretensję do żony, że zachowała się jak rozhisteryzowane

babsko i skompromitowała się przed całą wsią. Jeśli Pamela rozpowie o tej przykrej scenie – a tego można się było spodziewać – będzie ośmieszony jako lekarz. A przecież wiadomo, że miłość jest jak letnia burza, która zaskakuje cię na otwartej przestrzeni i po kilku sekundach jesteś przemoczony do suchej nitki. Nie można przed nią uciec i nie jest pewne, czy się ją przeżyje, czy nie, kiedy dookoła wałą pioruny i prąd przeszywa cię aż po czubek głowy. Człowiek miota się pomiędzy strachem i fascynacją i nagle jest sam jak palec na świecie. I czuje się, jakby go trafił piorun i częściowo sparaliżował. Nie jest zdolny zrobić kroku i wrócić do domu. Wie tylko jedno: stracił głowę i nie obchodzi go, co się wokół dzieje, i nikt nie powinien robić mu z tego powodu wyrzutów. Nie jest winien, że nad jego głową przeszła burza. W każdym razie to nie jest powód, żeby tak agresywnie reagować i nie tylko uderzyć bezbronną kobietę w twarz, ale na dodatek utopić kosztowny instrument w akwarium. Zachowanie Anne jest nadzwyczaj prymitywne i niewybaczalne u żony lekarza.

Anne nie zapamiętała wszystkiego, co jeszcze powiedział, ponieważ jego monolog trwał dość długo. Dziwiła się, że ten człowiek, którego, jak jej się zdawało, tak dobrze znała, nagle zaczął używać porównań, czego do tej pory nigdy nie robił. I dziwiła się sobie samej, że udało jej się całkiem spokojnie nalać do szklanki whisky, nie rozlewając nawet kropli, usiąść w fotelu, ze znudzonym wyrazem twarzy założyć nogę na nogę, zapalić papierosa i z zainteresowaniem obserwować samą siebie. Wszystko, co mówił, było jej zupełnie obojętne, wokół niej panował lodowaty chłód, a ona nawet nie zaczęła drżeć. To wszystko nie miało z nią już nic wspólnego, nagle poczuła się tak silna jak kobieta, która od dwudziestu lat przebija się przez życie i nic już nie jest w stanie jej zadziwić. Patrzyła na Haralda, który chodził w tę i z powrotem po pokoju, zachwycony swoją mową i argumentami, i wyobraziła go sobie nago. Cała sceneria wydała jej się nagle tak niedorzeczna, że musiała się uśmiechnąć, co Harald zinterpretował jako arogancję.

Kiedy w swoich filozoficznych rozważaniach doszedł do punktu, że życia nie da się z góry przewidzieć i nie sam człowiek jako taki, tylko

jego uczucia są prawdziwie wolne, wyobraziła go sobie jeszcze bardziej nagiego, ale tym razem z perspektywy Pameli, i wówczas poczuła, że ból powraca. Nagle uświadomiła sobie absurdalność całej sytuacji. Harald całkowicie postawił na głowie problem winy i cholernie dobrze czuł się w roli sędziego. Musiała słuchać wykładu i wyrzutów, ponieważ zamoczyła saksofon, a wszystko to, co poprzedziło jej reakcję, wydawało się nie tylko nieważne, lecz już zapomniane.

Kiedy wyjaśniał Anne, że nikt nie potrafi oprzeć się pożądaniu i tęsknym spojrzaniom, przerwała mu prozaicznym pytaniem:

– Powiedz mi, dlaczego sypiasz z kobietą, która ma w sobie tyle seksu co but ortopedyczny?

Harald popatrzył na nią, jakby wbiła mu nóż w plecy. Cała jego psychologiczna mądrość gwałtownie odpłynęła.

– Tak uważasz? – zapytał głosem, który zabrzmiał jak głos speszonego dziecka, któremu się mówi: Ta grzywka ci nie pasuje.

– Wszyscy we wsi tak uważają – odpowiedziała zimno Anne – pytanie tylko, kto tu się naprawdę ośmiesza.

Harald zamknął jak politowania godny aktor, zapomniał tekstu swojego monologu i uciekł ze sceny jak zbity pies.

Anne chciała go zranić i udało jej się. Już o tym nie mówili, w ogóle więcej ze sobą nie rozmawiali. Nie witali się, nie żegnali i więcej się nie dotykali. Anne spała na kanapie w pokoju gościnnym, a on od czasu do czasu chodził do Pameli. Anne przestała rozumieć świat. Zawsze sądziła, że kobieta, która mogłaby jej zagrozić, musiałaby być co najmniej młodsza, ładniejsza, szczuplejsza, mądrzejsza i weselsza od niej.

Była niezłomnie przekonana, że go odzyska. Kiedy będzie miał dość milczenia i grzecznego seksu z tą niewydarzoną saksofonistką.

Dopiero kiedy znalazła w szafie pierwszą płytę CD z muzyką Hindemitha, przestraszyła się, że może go stracić na zawsze.

Anne podeszła do Kaia. Kai musnął ustami jej prawy policzek, tak że wcale tego nie poczuła.

– Cieszę się, że cię widzę. Kilka kroków stąd znam przyjemny mały bar, w którym można posiedzieć...

– Okay, chodźmy. – Serce Anne biło jak młotem, kiedy na niego patrzyła. Przy nim czując się, jakbym znowu miała dwadzieścia lat, pomyślała, i nie jest to najgorsza rzecz, jaka może spotkać człowieka.

W barze oboje zamówili campari i stuknęli się szklankami.

– Za co pijemy? – zapytał Kai. – Za Valle Coronata?

– No jasne. – Anne uśmiechnęła się. – Jestem już w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach zdecydowana na kupno.

– Dlaczego w dziewięćdziesięciu dziewięciu? Czy istnieje jeszcze jakiś problem? Czy chodzi o sprawy finansowe?

Anne potrząsnęła głową.

– Nie, nie chodzi o pieniądze. Dziś przed południem byłam u Enrica, zaproponował mi, żebym przez kilka dni pomieszkała w Valle Coronata. Jestem pewna, że będzie cudownie, ten jeden procent zachowuję tylko na wypadek, gdybym już po trzech dniach miała dość tego lasu.

Kai zmarszczył czoło, a jego oczy wyglądały tak, jakby zrosły się na środku.

– To znaczy, że chcesz z... chcesz zamieszkać na kilka dni u Enrica? U tego dziwaka? Do diabła, przecież go wcale nie znasz!

– Myślisz, że mnie zje?

Kai próbował żartować:

– Nie, prawdopodobnie nie, przynajmniej dopóki nie zapłacisz. Ale...

– Co „ale”?

– Nie wiem. Jest bardzo miły, ale to jakiś dziwak. Trudno za nim trafić. To człowiek, który świadomie wybrał życie na odludziu, jest fantastą i na pewno wiele potrafi, ale... – Kai przerwał i patrzył przed siebie. – Do cholery, nie potrafię tego wytłumaczyć. Zapewne jest to najlepszy sposób na poznanie domu, tu masz rację... – Spojrzał na nią i wziął ją za rękę. Anne wzdrygnęła się nieznacznie, ponieważ nie była na to przygotowana, nie cofnęła jednak ręki. – Ale cieszę się, że wiem, gdzie jesteś. Kiedy tam pojedziesz?

– Kiedy wypijemy nasze campari.

Kai nie potrafił ukryć rozczarowania.

– Myślałem, że pójdziemy na mały spacer po mieście, może wejdziemy na Torre del Mangia, obejrzymy przepiękny zachód słońca z dużej wysokości, wysoko nad dachami miasta, a potem zaproszę cię na kolację do najbardziej romantycznej restauracji w Sienie...

Anne westchnęła.

– To brzmi bardzo kusząco i miałabym na to ogromną ochotę... ale co mam teraz zrobić? Powiedziałam Enricowi, że przyjadę dziś wieczorem. Będzie na mnie czekał. A przecież nie mogę do niego zadzwonić i powiedzieć, że przyjadę dopiero jutro przed południem! Z chęcią bym została, ale nie mogę!

Kai zamówił jeszcze dwa campari.

– Co chcesz robić w Valle Coronata, kiedy go kupisz? Czy to tajemnica? Szukasz kryjówki? Powiedz mi.

– Zapytaj mnie jeszcze raz, co będę tam robić, kiedy już spędzę tam kilka dni. Wtedy będę wiedziała.

– I odpowiesz na moje pytanie?

– Tak.

– Obiecujesz?

– Obiecuję.

– Weź ze sobą grubą kurtkę. W dolinie jest zimno i panuje wilgoć. Tam jest co najmniej siedem stopni mniej niż na górze i dziesięć stopni mniej niż w mieście.

Anne skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Okay. A teraz już pójdę, bo inaczej udzielisz mi jeszcze tylu dobrych rad, że kupię sobie *finca* na Majorce. – Wstała. – Dziękuję za campari.

Kai też wstał i objął ją.

– Zobaczymy się najpóźniej za trzy dni.

Anne przytaknęła i poszła.

Kiedy wsiadała do swojego samochodu na Via Santa Caterina, czuła się trochę niepewnie i nie pozbyła się tego uczucia, nawet kiedy włączyła radio i usłyszała swoją ulubioną piosenkę *Melodramma* w wykonaniu Andrei Bocellego.

– *E questo cuore canta un dolce melodramma, è l'inno dell'amor che canterò per te, è un melodramma che, che canto senza te.*

Na nowo zakiełkowała w niej tęsknota, a pieśń tylko umocniła w niej uczucie, że znowu zmarnowała cudowną szansę, żeby wreszcie paść mu w ramiona.

W kuchni nie paliło się światło, ale Enrico wyjątkowo ustawił dwie świece na stole, dwie na blacie kuchennym i jedną świeczkę do podgrzewacza na kotłyszającej się półce. Anne była zafascynowana nie tylko romantyczną atmosferą, lecz także postawą Enrica, który wprawdzie miał w domu prąd, ale z niego nie korzystał.

– Opowiedz mi o sobie – poprosiła Anne. Na kuchence gotowały się karczochy, Enrico doprawiał pesto śmietaną i skubał liście rukoli z anielską cierpliwością i takim oddaniem, jakby osobiście znał każdą gałązkę. Obserwowanie go podczas pracy w kuchni działało na Anne uspokajająco i cieszyła się, że sama nie musi nic robić. Zmuszała się, żeby ciągle sięgać po szklankę wody, i tylko moczyła usta w czerwonym winie, żeby za szybko nie poczuć zmęczenia.

– Nie mam nic ciekawego do powiedzenia na swój temat – odparł wymijająco Enrico.

Anne uśmiechnęła się.

– Nie wierzę ci. Prowadzisz niezwykle tryb życia... i zanim wylądowałaś tutaj, w tej dolinie, coś musiało się wydarzyć. Nie przychodzi się tak po prostu na świat w Hamburgu, nie kupuje się skrzynki z narzędziami i nie łąduje w Valle Coronata, za siedmioma górami i siedmioma rzekami!

– Zgadza się. – Enrico spojrzał na Anne, jego wzrok był przyjazny i ciepły, i zaczął powoli mówić:

– Byłem menedżerem w dużym niemieckim przedsiębiorstwie... zajmowałem się wszystkim, pracownikami, produkcją... wdrażałem nowe pomysły, opracowywałem przełomowe wynalazki, na nowo skonfigurowałem całe oprogramowanie przedsiębiorstwa. Dobrze zarabiałem, choć nie za bardzo, ponieważ nie zobaczyłem ani feniga za swoje wynalazki. Były one, że tak powiem, własnością firmy, ponieważ byłem jej pracownikiem. Uważałem, że to nie w porządku. Nienawidziłem

tego, że codziennie musiałem wkładać garnitur, bo kiedy zjawiałem się w golfie, wywoływało to niewiarygodne oburzenie. W końcu wszystko mi zbrzydło i złożyłem wypowiedzenie.

– Co to była za firma?

– Nie lubię o tym mówić...

– Przecież jesteśmy tu zupełnie sami, a ja chciałabym przynajmniej mieć jakie takie pojęcie...

– Branża naftowa.

Anne skinęła głową, lecz na moment popsuło jej to szyki.

– A potem, po wypowiedzeniu?

Mówi o wiele za dużo, pomyślał Enrico, ale przynajmniej wie, o czym się jej opowiada. Jest jedną z tych, która czuje się lepiej, kiedy dużo wie o człowieku. Potrafił to zrozumieć, a więc dalej odpowiadał na jej pytania.

– Zaproponowali mi doskonałe warunki. Za te same pieniądze mogłem pracować o połowę krócej. Miałem nienormowany czas pracy i właściwie wolną rękę. Mogłem robić, co chciałem. Wymagali tylko ode mnie wciąż nowych pomysłów.

– Przecież to fantastyczne! Trudno sobie wyobrazić lepszą pracę!

Enrico wyjął karczochoy z garnka. Mówił powoli, kontrolował się, próbował sobie przypominać, nie chciał popełnić teraz błędu.

– Być może. Pewnie masz rację. Ale złożyłem wypowiedzenie i kłamka zapadła. Już ci mówiłem... nie uznaję hazardu, nie targuję się i nie można mnie kupić. Kiedy już podam cenę, nie zmieniam jej. A kiedy rzucam pracę, też nie zmieniam decyzji. Odszedłem więc.

Anne zamilkła. Co za szaleństwo! To czyste szaleństwo, jeśli Enrico powiedział prawdę, jeśli rzeczywiście dostał taką propozycję.

Enrico ciągnął dalej:

– Tego wszystkiego było dla mnie za dużo. Miałem mieszkanie, dobry samochód, przyjaciółkę, mnóstwo mebli i masę kłopotów w szafie. Miałem terminarz na biurku i karty kredytowe w kieszeni. Miałem regularne dochody, stały adres, a moje plany życiowe sięgały zawsze od jednego urlopu do następnego. Codziennie rano o siódmej trzydzieści dzwonił budzik i codziennie wieczorem oglądałem „Wiadomości”. Kie-

dy zapraszałem Carlę do restauracji, to zawsze na jakiś wyjątkowy wieczór, chociaż mogliśmy sobie pozwolić na to, żeby trzy razy dziennie jadać w restauracji. Mój telefon ciągle dzwonił, byłem do dyspozycji o każdej porze. Moja perspektywa na przyszłość wyglądała następująco: jeszcze dwadzieścia lat takiego życia i zanudzę się na śmierć, potem pójdę na emeryturę, zacznę żyć, a po dwóch latach dostanę za wału serca, kopnę w kalendarz i zostawię wszystko spadkobiercom. Na moim grobie będzie napisane: nigdy nie poznał życia. A tego nie chciałem. I z tego punktu widzenia wypowiedzenie było całkiem słuszne.

Enrico położył jednego karczocha na talerzu Anne i obok postawił pesto.

– Smacznego.

Anne była poirytowana.

– A ty? W ogóle nic nie zjesz?

– Zjem, ale jeszcze nie teraz. Jem bardzo mało i rzadko. Już ci mówiłem, staram się żyć oszczędnie i zwyczajnie. I kiedy coś gotuję i cieszę się na myśl o jedzeniu, staram się rezygnować, kiedy potrawa jest już gotowa.

– To okropne! Przecież to żadna frajda! Odbierasz sobie całą radość życia!

Enrico uśmiechnął się.

– Wcale nie. Jestem zadowolony. A teraz nie pozwól wystygnąć temu smacznemu karczochowi!

Anne zaczęła jeść, ale była rozczarowana. Błoga, spokojna i romantyczna atmosfera uleciała. Miała wrażenie, że jest obserwowana i zmuszana jak małe dziecko do zjedzenia kaszki manny.

W kuchni panowała cisza, toteż Anne tym bardziej starała się nie robić hałasu przy jedzeniu. Wokół ust Enrica błędził lekki nieokreślony uśmiech. Wyglądało na to, że Enrico ma nadzieję, iż lada moment popadnie w stan nirwany. On gra przede mną, pomyślała Anne, tak samo jak wówczas, kiedy przyjechalśmy tu pierwszy raz, kiedy siedział na tarasie z książką w ręku. Coś udaje. Ale po co? Przecież nie musi tego robić. To on jest tu w domu, a nie ja. I kupię ten dom, nawet jeśli on nie jest filozofem.

– A potem? – zapytała. – Co robiłeś po rzuceniu pracy?

Enrico usiadł sztywno wyprostowany i położył ręce na kolanach.

– Sprzedałem wszystko. Mieszkanie, meble, prawie wszystkie ubrania. I samochód. To był bardzo cenny samochód. Mercedes z 1935 roku. Prawdziwy zabytek, w idealnym stanie. Chciałem kupić żaglówkę i popłynąć dookoła świata. Zamierzałem żywić się prawie wyłącznie rybami i żyć tak, aby do końca życia wystarczyło mi pieniędzy. Ale Carla nie chciała. Robiła trudności. Bała się wody i fal, burzy i sztormów, samotności, nigdy nie popłynęła nawet na Helgoland, ponieważ uważała, że przebywanie na kołyszącym się pokładzie jest niebezpieczne. Bała się, że utonie albo umrze od ciągłych wymiotów. Może i miała rację. Ponieważ Carla wciąż jeszcze boi się śmierci – ja już dawno mam to za sobą.

– Potrafisz żeglować?

– Nie. Albo powiedzmy raczej: jeszcze nigdy nie próbowałem. Ale są książki. A jeśli człowiek wszystko dokładnie sobie zaplanuje i odpowiednio się nastawi, na pewno się uda. Wiatr jest wielkością wymierną. Tak samo woda. Siła – kołysanie – prędkość – masa – wszystko da się obliczyć. Więc niebezpieczeństwo maleje.

Anne dobrze rozumiała, dlaczego Carla wzbraniała się przed wypłynięciem łodzią z Enrikiem. Skoro nie był doświadczonym żeglarzem, ona też by tego nie zrobiła.

– Carli nie było łatwo rzucić pracę, ponieważ pół roku wcześniej została kierowniczką przedszkola. Na pozór praca sprawiała jej przyjemność, lecz dobrze widziałem, że ją beznadziejnie wykorzystywano, i koniecznie chciałem ją stamtąd wyciągnąć.

Robiłem za nią grafiki dyżurów, kalkulacje, sporządziłem plan oszczędności dla kuchni i postarałem się o robotników, którzy odmalowali pomieszczenia dla dzieci i za pół ceny położyli nową wykładzinę. Robiłem zabawki dydaktyczne, żeby nie musiała kupować nowych, pilnowałem dzieci na placu zabaw, a kiedyś pojechałem nawet jako opiekun na krótką wycieczkę do Fichtelgebirge. Oczywiście za darmo. Zrobiłbym za nią wszystko, ale to nie miało sensu. Nie nadawała się do tej bardzo odpowiedzialnej pracy. Była za miękka, zbyt wrażliwa. Kie-

dy jakieś dziecko stłukło sobie kolano, płakała bardziej niż ono, a w panice zapominała numeru telefonu straży pożarnej. Nie mogłem na to patrzeć. Przekonywałem ją. Ciągle. Aż w końcu rzuciła tę pracę.

Enrico nalał sobie kieliszek wina z plecionej butelki i wypił jednym haustem, podczas gdy Anne z jeszcze większą dyscypliną tylko maczała usta w winie. Twarz Enrica była teraz płomiennie czerwona.

– I wtedy kupiłem stary autobus i przebudowałem go. Mała kuchnia, rozkładany stół, dwa krzesła, materac, szafeczka – to wszystko. To wystarczało za cały nasz majątek. Chciałem pojechać w podróż dookoła świata. Jeśli nie łodzią i nie przez wodę, to chociaż autobusem po drogach.

Chociaż Enrico pił wino, jego wargi były całkiem suche. Lepka ślina kleiła mu się w kącikach ust. Anne co chwilę musiała na to patrzeć i bardzo ją to drażniło. Taki piękny, wręcz niezwykły mężczyzna – i coś tak banalnego. Coś tak banalnie obmierzłego.

– To nieprawdopodobne – powiedziała. – Też o tym marzyłam. Po prostu wyjechać. Gdzie oczy poniosą. Nie wiedzieć, czego można się spodziewać. Zobaczyć świat.

– W takim razie zrób to – zachęcał Enrico. – Jedź, a nie chowaj się tu, w tej dolinie.

– A dlaczego ty ostatecznie ukryłeś się w tej dolinie? – Anne szybko skontrowała, żeby uniknąć pytania Enrica, czego ona właściwie tu szuka. Nie chciała rozmawiać o Feliksie. Nie dziś wieczorem. Może później.

– Stary rozklekotany autobus rozkraczył się tu, w Toskanii. Powyżej Duddova, na placu, na którym składowano drewno. Nie pojechalismy dalej. Mimo najlepszych chęci. Próbowałem wszystkiego, ale nie ujechał już ani jednego metra. Nawet do warsztatu w Ambrze. I wtedy podczas jednego ze spacerów natknąłem się na Valle Coronata z ruinami zarośniętymi od trzydziestu lat, i nagle doznałem olśnienia, stwierdziłem, że to jest moja misja. Że moim celem jest odbudowa i ożywienie młyna. Życie tu, w tym miejscu. Przy źródle. W lesie. Tu, gdzie życie miało swój początek.

– Kiedy to było? To znaczy, od kiedy tu jesteś?

– Od trzynastu lat. Najpierw kupiłem i wyremontowałem Valle Coronata, a potem także inne ruiny.

Trzydzieści lat, pomyślała Anne. A więc już tu był, kiedy zaginął Felix. A La Pecora nie jest daleko. Może trzy kwadransy pieszo. Żaden problem. Może coś słyszał, może coś widział, może ludzie we wsi coś mu powiedzieli, na targu słyszy się dużo... może dowiedział się czegoś, co wtedy nie wydało mu się ważne, ale teraz sobie przypomniał. Może z czasu, kiedy ona i Harald już od dawna byli w Niemczech. Enrico był punktem zaczepienia. Dobry początek, ale chciała jeszcze trochę poczekać, zanim opowie o Feliksie.

Enrico postawił na stole rękolę oraz ocet i oliwę. Jego ruchy były bardzo spokojne, lekko drżące ręce mogły z powodzeniem trzymać skalpel i wykonywać precyzyjne cięcia. Postawił na stole dwa talerze – najwidoczniej zamierzał zjeść z nią sałatę. Potem usiadł i uśmiechnął się jak zwykle.

– Smacznego – powiedział.

– Smacznego – mruknęła Anne.

Przez chwilę milczeli. Anne obserwowała, jak Enrico je. Powoli, rozważnie, jakby z namaszczeniem. Kiedy na nią spojrzał, miał w oczach coś wyczekującego, badawczego... wyniosłego byłoby tu niewłaściwym słowem – jego wzrok zbił ją z tropu. Wydawało jej się, że jest dzieckiem, które czeka, aż ktoś mu powie, co się dalej stanie.

I nagle wyobraziła sobie schodzącego po schodach Felixa. Wysoki, postawny, jasnowłosy młody mężczyzna, opalony na brąz, silny i szczęśliwy. Ubrany w za szerokie spodnie i obcisły T-shirt, uśmiecha się i mówi: „Cześć, mam, usłyszałem twój głos i pomyślałem sobie, że do ciebie zajrzę”. – Mocno ją obejmuje i mówi: „Sorry, że się nie odzywałem tyle czasu, to było podłe z mojej strony, sprawiłem wam ogromną przykrość... ale wiesz, tu było tak odłotowo... życie z Enrikiem, życie w lesie, ciężka praca... wiesz, to było naprawdę coś dla mnie. A gdybyś wiedziała, gdzie jestem, zabrałabyś mnie do domu i znowu wsadziła do gimnazjum. A tego nie chciałem. Za nic w świecie. Nie bądź zła, mam, okay?”.

Miałby teraz dwadzieścia lat. Felix. Jej piękny, silny chłopiec.

Kiedy Anne się obudziła, było zupełnie ciemno. Nie wiedziała, gdzie się znajduje, nie widziała własnej ręki przed oczami, czuła tylko, że leży na materacu z poduszką i wełnianym kocem. Powoli obmacywała teren wokół siebie. Materac leżał na ziemi, nie było tam nic więcej. Nie było lampy, torby, niczego. Dzinsy, bluzkę i zakiet miała wciąż na sobie, ale butów nie.

Mój Boże, spała w młynie czy w dużym domu? Nie potrafiła sobie przypomnieć, jak znalazła się w łóżku, wiedziała tylko, że w którymś momencie przestała tylko maczać usta w winie i zaczęła pić dużymi łykami.

Nakryła się kocem po szyję i szczelnie się nim otuliła, aby zimne nocne powietrze nie znalazło do niej dojścia – jednak nie na wiele się to zdało. Drżała na całym ciele, a teraz na dodatek zaczęła szczerkać zębami.

Jak długo siedzieli w kuchni? I o czym rozmawiali? Do diabła, nie mogła sobie nic przypomnieć! W głowie miała wielką, czarną pustkę. Po prostu absolutna dziura. Kto zaprowadził ją do łóżka? Zapewne Enrico. Musiał ją przynieść, a ona spała tak mocno, że nawet tego nie zauważyła. Jeszcze nigdy jej się to nie zdarzyło. Niektóre noce i wieczory pamiętała tylko w zarysach, ale pamiętała.

Próbowała stłumić strach, który w niej narastał. Nagle wydało się jej całkowicie absurdalne, że znalazła się w tej odludnej dolinie z jej murami, schodami i parowami, w dolinie, której nie знаła... i spała w domu, którego również prawie nie znała. I gdzieś tu był ten mężczyzna, którego znała jeszcze mniej. Gdzieś tu.

Różne myśli kłębiły jej się w głowie. Musiała poczekać, aż zrobi się widno. Wcześniej nie było możliwości rozeznania się w sytuacji. Leżała na materacu w jakimś pomieszczeniu. Ale nie to było najgorsze. Być może to jej wyobraźnia znów oszalała w tej nieprzeniknionej czerni,

która ją otaczała niczym gruby, duszący koc nieprzepuszczający światła ani powietrza.

Rano, pomyślała. Rano wszystko będzie dobrze. Rano wszystko się wyjaśni. Rano wszystko zrozumie.

A potem znowu usnęła i nic nie czuła. Drżenie ustąpiło i ciało zrobiło się bardzo ciężkie.

Hamburg, 2004

Eduard Hartmann rzeził. Miał zamknięte oczy i leżał sztywno na plecach, ale nie spał. Carla właśnie zmieniła mu pieluchę, umyła go, powlekła świeżą pościel i wyniosła na dwór śmierdzącą torbę z brudami. Teraz w sypialni pachniało przyjemnie świeżością i czystością. Rolety w oknie i drzwiach balkonowych były opuszczone, a pięćdziesięcioletni żyrandol zawieszony na środku pokoju dawał zimne mleczne światło. Carla podeszła do okna, podniosła rolety i lekko uchyliła okno. Potem włączyła lampkę na nocnym stoliku ojca i zgasła górne światło.

– Nie możesz z tym poczekać? – wyskrzecztał ojciec, nie otwierając oczu. – Po co otwierasz okno, chcesz mnie wykończyć? Mam jeszcze dostać zapalenia płuc?

Carla bez słowa wstała i ponownie zamknęła okno.

– Trochę świeżego powietrza dobrze by ci zrobiło.

Ojciec otworzył oczy i zamrugał powiekami.

– Co to za ponure światło? Czy już umarłem? Czy zaraz przyjdą sąsiedzi ze świecami? A może nie stać nas już na prąd?

Carla, która właśnie usiadła na brzegu łóżka blisko ojca, westchnęła, wstała i włączyła górne światło.

– No – ojciec chrząknął i znowu zamknął oczy.

Carla głęboko odetchnęła.

– Tato, chciałam się pożegnać, za kilka godzin mam pociąg. Znowu jadę do Włoch.

Ciało Eduarda Hartmanna przeszył skurcz, podsunął się dziesięć centymetrów wyżej i wlepił wzrok w Carlę.

– Przecież jesteś tu dopiero trzy dni!

– Trzy tygodnie, tato! Nie trzy dni! – Pogłaskała go po policzku. – Nie martw się! Mama i Susi dobrze się tobą zajmą, a ja wrócę tu jesienią!

– Możesz sobie tego oszczędzić. Do jesieni umrę. Prawdopodobnie umrę już w przyszłym tygodniu, ale co to ciebie obchodzi. Dla ciebie to za dużo poczekać jeszcze kilka dni, aż wreszcie zdechnę tu jak zwierzę. Dla ciebie jest ważniejsze, żeby pojechać do tych wstrętnych, parazytych Włoch, do tych obrzydliwych makaroniarzy i do tego brudnego gołodupca i włóczęgi... jak mu tam...?

Carla nie odpowiedziała.

– Dobrze, jedź sobie! Rozumiem, że skoro wyjeżdżasz, to nic cię nie obchodzi, rodzice nigdy cię nie obchodzili! Byłaś podłym dzieckiem i wyrosłaś na podłą kobietę!

– Tato, pielęgnowałam cię przez trzy tygodnie. W dzień i w nocy! Od trzech lat przyjeżdżam tu regularnie, żeby się tobą opiekować! – Łzy napłynęły jej do oczu, wzięła go za rękę, chociaż nie miała pewności, czy w ten sposób nie zdradza siebie i Alfreda.

– No już dobrze – mruknął Eduard i ziewnął. – Jestem zmęczony, muszę się przespać. Jutro będzie ciężki dzień.

Ojciec zaczął cicho chrapać, żeby zademonstrować, że rozmowa była skończona. Żadnego „do widzenia”, uściśnięcia ręki, spojrzenia na pożegnanie, niczego.

Carla pochyliła się i pocałowała go w czoło.

Ojciec nie zareagował.

Po cichu wyszła z pokoju.

Za drzwiami czekała jej siostra Susi.

– Co powiedział?

– Nic. Zrzędził. Jak zawsze. Dobrze wiesz, jaki on jest. A Alfred jest dla niego cierniem w oku.

Susi skinęła głową.

– Masz jeszcze czas, żeby wypić łyczek szampana?

Carla spojrzała na zegarek i poszła za nią do kuchni.

Susi postawiła na stole dwa kieliszki szampana.

– Zostań – powiedziała. – Możesz mieszkać u mnie, Bernd nie będzie miał nic przeciwko temu. Nie bój się, nie będziesz musiała codziennie zajmować się tatą. Możemy się wymieniać, tak to zorganizuję, że dwa razy dziennie przyjdzie pielęgniarka. To nas bardzo odciąży.

– On zrazi do siebie każdą pielęgniarkę. Nikt na stałe nie wytrzyma jego gadania.

– To się jeszcze okaże. – Carla zawsze zazdrościła Susi energii i zdecydowania. Siostra nikomu i niczemu nie dawała się zastraszyć, a za swoje przekonania skoczyłaby w ogień. Była fanatyczką sprawiedliwości, co bardzo utrudniało jej życie, ponieważ wszystko ją raziło, wszędzie tropiła zło i wciąż się o coś procesowała. Można było powiedzieć o niej wszystko, tylko nie to, że szukała w życiu zgody i harmonii, przez co miała więcej wrogów niż przyjaciół. Ale Carla zazdrościła Susi siły, bo sama była jej całkowitym przeciwieństwem. – Zostań! – powtórzyła Susi. – Psiakrew, co masz do stracenia? Tkwisz na tym odludziu, całkowicie odizolowana od świata, z mężczyzną, który cię nie kocha...

– Właśnie że mnie kocha! – Gdyby miała wierzyć w jedną jedyną rzecz na świecie, to wierzyłaby w to, że Alfred naprawdę ją kocha.

– Ale z tobą nie śpi!

Carla wzruszyła ramionami i na jej twarzy pojawiło się zmieszanie.

– No nie... nie wiem, myślę, że wiele jest powodów...

– Jakich? – Susi była twarda.

– Nie mam pojęcia, choć jestem pewna, że to nie ma nic wspólnego ze mną.

– Nie rozmawiacie o tym? Nie mówisz mu, czego pragniesz? Czego ci brakuje?

Carla potrząsnęła głową.

– Nie umiem ci tego wytłumaczyć, z Alfredem nie można rozmawiać o takich rzeczach.

Susi pokręciła głową i wzniosła oczy do góry.

– Myszko, przecież to wszystko to jeden wielki szajs! Taki związek od początku do końca nie jest nic wart! Wegetujesz gdzieś w lesie, bez telefonu, chorobliwie na wszystkim oszczędzając, bez rozrywek,

telewizora, przyjaciół... i co to ma być? Powinnaś wrócić do ludzi, potrzebujesz odmiany, potrzebujesz sensownego zajęcia, a szczególnie potrzebujesz przyjaciółki, z którą byś mogła porozmawiać, zanim uduśisz się w tym bagnie!

Carla potarła nieumalowane oczy i uśmiechnęła się.

Mój Boże, gdybym ja tak robiła, pomyślała Susi, wyglądałabym jak jakiś flejtuch ze slumsów, który przez trzy dni nie wychodził z wyrka. Tymczasem moja siostra paradytuje spokojnie po okolicy z nieumalowaną twarzą, a przecież wyglądałaby fantastycznie z delikatnymi cieniami na powiekach i odrobiną różu na policzkach... Odkąd poznała tego mężczyznę, sama siebie pogrąża. Systematycznie. Z pewnością lunatyka robi wyłącznie to, co jest dla niej złe i co popycha ją ku katastrofie.

– Masz rację, chciałabym mieć przyjaciółkę – powiedziała Carla. – U nas jest cholernie cicho, bo oboje z Alfredem nie rozmawiamy wiele. No bo o czym? Kiedy wracam z Niemiec, milczenie przychodzi mi z wielkim trudem, ale potem... Po kilku dniach przyzwyczajam się do tego. A z czasem w ogóle tracę ochotę, żeby otwierać usta.

– Co ty mówisz?! – Susi była przerażona. – To jeszcze jeden powód, żeby wrócić do Niemiec. Proszę cię, Carlo!

Carla potrząsnęła głową.

– Nie ma mowy. Alfred nie może żyć beze mnie, a ja bez niego.

– Widzę, że nie można ci już pomóc. – Susi czuła do Alfreda wyłącznie pogardę.

– Za mało go znasz – powiedziała miękko Carla. – To fantastyczny człowiek.

– Na Boga, Carlo, przecież on traktuje cię jak małe dziecko! Nie widzisz tego? Kontroluje cię od rana do wieczora! – Susi znowu się zdenerwowała. – Chce wiedzieć, z kim się spotykasz, z kim rozmawiasz przez telefon, co mówisz, mogłabyś przecież mówić o nim, mogłabyś powiedzieć coś głupiego, mogłabyś przecież komuś zdradzić, w jakiej mieszkasz dziurze!

– Przestań, Susi! – Carla nie wzięła za złe tego, co Susi powiedziała, nawet się uśmiechnęła. – Martwi się o mnie. Bardzo szybko zaczyna się niepokoić. A nie zachowywałby się tak, gdyby mnie nie kochał.

On tylko zawsze chce wiedzieć, gdzie jestem. I na tym polega cała tajemnica.

Susi westchnęła.

– Rzeczywiście, ciebie nie da się już uratować. – Chciała dolać jej szampana, ale Carla szybko położyła dłoń na kieliszku. – Mnie już nie nalewaj, muszę iść.

W tej chwili do kuchni weszła matka Carli i Susi. Carla wstała i objęła ją. Matka szepnęła:

– Nie bierz tacie za złe, że taki jest, dobrze? Nie potrafi teraz okazywać uczuć, a lepiej, żeby był taki nieprzyjemny, niż gdyby w ogóle nic nie mówił.

Carla skinęła głową.

– Myślisz, że powinnam jeszcze raz zająrzeć do niego?

– Możesz, ale teraz śpi.

Kiedy Carla weszła do sypialni, ojciec leżał na plecach, nie wydając żadnych odgłosów. Głęboko osadzone oczy były zamknięte. Rzęzęnie ustało.

– Cześć, tato – powiedziała cicho Carla.

Kiedy się nad nim pochylała, wyszeptał:

– Jestem w drodze do piekła, moje dziecko.

– W ogóle nie wolno ci tak myśleć. Ani mówić.

– Ależ tak, moja mała; to prawda. Ale może ta przeklęta taczka jeszcze ugrzęźnie w błocie i uda mi się odwlec mój koniec, aż znowu przyjedziesz.

Jego wąskie usta ściągnęły się w słabym uśmiechu i Carla wiedziała, że to miało być wyznanie miłości. Prawdopodobnie największe, do jakiego w ogóle był zdolny jej ojciec.

InterCityExpress 241 „Klaus Störtebeker” z Westerlandu miał już dziewiętnaście minut spóźnienia, kiedy Carla dziesięć minut przed planowym odjazdem dotarła na dworzec. Ścisnęła walizkę nogami i mocno opierała się plecami o kolumnę, żeby żaden z nastolatków, którzy stali naokoło z butelkami piwa w rękach, nie skorzystał z okazji i nie zepchnął jej pod pociąg. Nienawidziła owych potężnych pociągów, które z przeraźliwym zgrzytem wpadały na dworzec niczym nawałnica, jak gdyby w ich pobliżu nie znajdowały się setki ludzi podatnych na obrażenia. Kiedy miała szesnaście lat, była świadkiem, jak noga starszego mężczyzny ugrzęzła między peronem i wagonem metra. W miejscu, gdzie właściwie znajdowała się tylko szpara szerokości dwóch, trzech centymetrów, tkwiło udo, które na ogół ma średnicę trzydziestu, czterdziestu centymetrów. Strażakom zajęło ponad godzinę, zanim przy użyciu palnika udało im się uwolnić mężczyznę, by odtransportować go do szpitala. Carla przeżyła wówczas szok i jak dotąd nie zapomniła tego widoku. Od świadków wypadku dowiedziała się, że stała na peronie, płakała, krzyczała, policjanci ją uspokajali i w końcu zawieźli do domu – sama nic z tego nie pamiętała.

Tylko tego mężczyznę – tego starego uwięzionego mężczyznę, który wyglądał jak jej ojciec, kiedy jeszcze kilka lat temu wychodził z domu w płaszczu i kapeluszu, i przeważnie z parasolem w rękę. Zobaczyła w nim całe życie swojego ojca, rozpłaszczonego przez pociąg metra i pokonanego. Było tyle rzeczy silniejszych od człowieka. Silniejszych nawet od wszechpotężnego ojca małej córeczki. Który teraz leżał tu, w domu z żółtych wypalanych cegieł i z brunatnymi roletami w oknach i stawiał czoło śmierci. I po prostu nie chciał zrozumieć, że tego wroga nie da się pokonać.

Obok niej stał żołnierz Bundeswehry i głośno smarkał na ziemię. Żółtawy kleisty śluz, który zapewne zaschnie w ciągu dnia, był dobrze

widoczny na peronie. Carla poczuła taki wstręt, że nieustannie musiała przetykać ślinę, żeby stłumić mdłości. I wtedy pomyślała o Alfredzie, któremu także ślina stale kleiła się w kącikach ust, ponieważ pił za mało płynów, i któremu coraz bardziej żółkły i zieleniały zęby, no bo przecież pasta była za droga. Alfred, którego tak kochała, ale już od wieków nie pocałowała. Już na samą myśl o tym robiło się jej niedobrze.

Żołnierz obok dostał napadu kaszlu i raz po raz kichał w otwartą dłoń. Pomiędzy kolejnymi atakami kaszlu z ciekawością przypatrywał się śluzowi pomiędzy palcami. Carla starała się nie patrzeć, próbowała ignorować to, co się obok niej działo, i skoncentrowała się na tym, żeby nie zemdleć. Nie tutaj, nie na peronie pełnym przeciągów. Nie chciała na sam koniec wylądować w szpitalu w Altonie i spędzić tam dwa dni w pomalowanej na beżowy kolor sali chorych z jarzeniówką nad łóżkiem i krucyfiksem na przeciwległej ścianie. Chciała usiąść w spokojnym, cichym przedziale w towarzystwie sympatycznych ludzi. Chciała jechać do domu. Do Włoch. Do Valle Coronata. Do Alfreda. Albo lepiej: do Enrica. W myślach ciągle był dla niej Alfredem, ale nie lubił, kiedy go tak nazywała, i musiała na nowo uczyć się jego imienia. Z jakiegoś powodu, którego nie znała, imię Enrico o wiele bardziej mu się podobało. Nie rozumiała powodów tej zmiany, lecz je szanowała. W końcu każdy może kazać nazywać siebie, tak jak chce.

O tym, że Alfred przed ślubem z Grete nazywał się Heinrich, Carla nie wiedziała. Enrico – włoski odpowiednik Heinricha.

Kiedy wjechał pociąg, żołnierz wciąż kaszlał. Skład zahamował z ogłuszającym piskiem i Carla zamierzała właśnie podnieść walizkę, kiedy żołnierz szybkimi krokami podszedł do niej, zasmarkanymi, brudnymi palcami wziął jej bagaż i powiedział:

– Pani pozwoli, że pomogę. – Carla zdętwiała. Ale nie mogła już nic poradzić i uśmiechnęła się wymuszenie. Zresztą i tak było za późno, rączka walizki już została ubrudzona smarkami żołnierza.

Carla, zataczając się, przeciskała się przejściem w pociągu, szukając swojego przedziału, a żołnierz cały czas był blisko za jej plecami. Kiedy stanęła, żeby jeszcze raz spojrzeć na miejscówkę, żołnierz omal

na nią nie wpadł, ponieważ nie przewidział, że ona nagle się zatrzyma. W końcu znalazła swój przedział. Z ulgą opadła na miejsce przy oknie, żołnierz wszedł za nią, położył walizkę na półce bezpośrednio nad jej głową i uśmiechnął się.

– Dziękuję – powiedziała Carla. – To bardzo miło z pana strony.

Żołnierz również się uśmiechnął i usiadł naprzeciw niej.

– Jest tu dość miejsca. Równie dobrze mogę zostać tutaj. – Jego nos był czerwony i mokry, żołnierz wytarł go mankietem munduru. Carla starała się nie dać po sobie poznać, jakie to wszystko było dla niej wstrętne, i rozstrojona zamknęła oczy.

Była wyczerpana. Przemęczona nocami spędzonymi przy łóżku ojca.

Ciągłym wrywaniem się z głębokiego snu, kiedy tylko stęknął, jęknął lub krzyknął. Kiedy wołał, ponieważ miał pełną pieluchę lub potrzebował środka przeciwbólowego.

W ostatnich tygodniach nigdy nie spała jednym ciągiem dłużej niż dwie godziny. I teraz miała czas. Do Monachium jechało się sześć godzin. Żołnierz był obmierzły, ale się go nie obawiała. Będzie kaszlał, lecz nic jej nie zrobi. Owinęła więc dwa razy pasek torebki wokół łokcia, wcisnęła ją pomiędzy talię i ścianę wagonu, oparła głowę o wiszący na wieszaku żakiet i zasnęła.

Kiedy obudziła się na krótko przed Monachium, była sama w przedziale. Żołnierz już wysiadł, zostawił pozdrowienia, na zaparowanej szybie napisał „Szczęśliwej podróży”.

Berlin, początek lata 2004

Kiedy Mareike otwierała drzwi, czuła się tak zmęczona, jakby właśnie przebiegła maraton. Zaraz za drzwiami zdjęła buty i powiesiła torebkę na wieszaku. Dziś rano o pół do szóstej została wezwana do Grunewaldu, Jagen 17, ponieważ jakiś jogger znalazł tam zwłoki. Przez cały dzień prowadziła dochodzenie i dopiero teraz, po dwudziestej, dzięki autopsji okazało się, że stary mężczyzna zmarł na zawał serca bez udziału osób trzecich. Cały dzień mozolnej, stresującej, drobiazgowej pracy i wszystko na marne. Teraz chciała jeszcze tylko coś zjeść, przez chwilę pooglądać telewizję i zapomnieć o mężczyźnie, który upadł tak nieszczęśliwie, że zawisł na drucie kolczastym.

– Jan! Edda! Jesteście tam? – zawołała i zdjęła cienką lnianą bluzkę.

Drzwi nagle się otworzyły, wbiegł jedenastoletni chłopiec, rzucił się do niej i zawisł na jej szyi.

– Hej, mammo!

Mareike dała mu całusa i poczochrąła włosy.

– Gdzie Edda?

– U Mony. Ale wróci o dziewiątej, tak powiedziała.

– No, mam nadzieję. A Bettina?

– Poszła na wywiadówkę. Przecież wiesz!

– Ach tak, racja. Całkiem zapomniałam. – Mareike poszła do kuchni, a Jan za nią.

W lodówce był jeszcze mały garnek z resztką bulionu z kurczaka.

– Jadłeś już kolację?

Jan skinął głową.

– Bettina coś mi zrobiła, zanim wyszła. Zresztą gram teraz na komputerze, mogę już iść?

– Jasne. Odrobiłeś lekcje?

– Wszystko zrobione. – Jan zniknął w swoim pokoju. Mareike postawiła garnek na kuchence i zapaliła gaz.

Trzydzieści lat temu Bettinie i Mareike udało się, wreszcie zaadoptować trzyletnią Eddę. Poprzedziła to sześćioletnia walka z władzami. Jeden z pracowników Urzędu ds. Młodzieży uznał, że czterdziesto-trzyletnia wówczas Mareike była za stara, inny z zasady sprzeciwiał się powierzeniu dziecka parze lesbijek. Każdy wynajdywał inny włos w zupie z paragrafów, jednak Mareike i Bettinie udało się rozwiązać wszelkie uprzedzenia dzięki uporowi, wytrwałości i wsparciu prawnika. W roku 1991 adoptowały Eddę, a dwa lata później rocznego Jana, co nie sprawiało już żadnych trudności.

Bettina czuła się niezmiernie szczęśliwa i była w swoim żywiole. Oboje bezgranicznie kochała i bez problemu udawało jej się łączyć wychowywanie dzieci z pracą szkolnej sekretarki, podczas gdy Mareike prawie nie bywała w domu, bo pracowała po dwanaście godzin na dobę. Trzy lata temu cała rodzina przeprowadziła się do Berlina. Karsten Schwiers objął kierownictwo wydziału zabójstw i montował zespół. Mareike nie była przez kolegów szczególnie lubiana, ale ją szanowano, ponieważ nie ulegało wątpliwości, że zostanie następczynią Karstena, który w przyszłym roku wybierał się na emeryturę.

Wspólna praca sprawiła, że Karsten i Mareike zaprzyjaźnili się, nigdy jednak nie zdołali rozwikłać ich największej sprawy mordercy dzieci, który w Berlinie Neukölln, w Hahnenmoor pod Brunszwikiem i na Sylcie zabił trzech małych chłopców i każdemu wyrwał ząb *post mortem*.

Piętnaście lat temu seria morderstw nagle się urwała. Karsten i Mareike założyli, że sprawca nie żyje, siedzi w więzieniu za inne przestępstwo lub uciekł za granicę, lecz nie mogli się pogodzić z faktem, że muszą zamknąć akta niewyjaśnionej sprawy.

Na stole leżały *Ivanhoe*, *czarny rycerz* Jana Schmökera, którą Jan właśnie czytał, książka o rybach słodkowodnych, ponieważ bardzo chciał mieć akwarium, części wiecznego pióra i beznadziejnie sfatygowany podręcznik do matematyki, nad którym znęcały się już trzy roczniki

uczniów. Mareike zebrała wszystko, położyła przy koszyku na pieczywo i usiadła.

Jan był dzieckiem, które nie sprawiało żadnych trudności. Bez specjalnych starań osiągał bardzo dobre wyniki w szkole. Nie był zbyt solidny, ale wysportowany, wesoły i bezgranicznie kochał swoje obie matki, Bettinę i Mareike.

Edda natomiast przechodziła właśnie okres dojrzewania i z trudem znosiła szkolne męki, dużo bardziej interesowała się piercingiem w pępku, który kazała sobie zrobić w tajemnicy, niż katastrofalnymi ocenami z angielskiego. Edda była ciągle obrażona, kapryśna jak królowa matka, z zasady z niczego niezadowolona i oprócz przyjaciółek wszystko i wszyscy działali jej na nerwy.

Mareike włączyła mały telewizor stojący na szafce kuchennej, zamieszła zupę i zaczęła skakać po programach. Bettina nienawidziła oglądania telewizji przy jedzeniu, mówiła, że nie chce ponosić winy za niedorozwój umysłowy dzieci, ale Mareike najzwyczajniej musiała teraz popatrzeć na kolorowe obrazki. Bo po prostu w kuchni było za cicho.

Na RTL szedł dokument o trudnych dzieciach, którego Mareike już po kilku sekundach miała dość, na Sat 1 leciał teleturniej Clever – widzisz i wiesz, na Vox tani serial kryminalny, który uznała za nudny, Pro 7 nadawał teleturniej muzyczny dla dzieci, który działał jej na nerwy, Erste pokazywał ckliwy melodramat, a na Zweite szedł Magazyn Reporterów. Mareike zostawiła Zweite, najbardziej ją interesowało, i słuchała jednym uchem, jak prezenter opowiada o skandalicznym stanie niemieckich autostrad, szukała jednocześnie talerza i łyżki. Zupa była prawie gorąca, kiedy prezenter zapowiedział temat o niewyjaśnionym morderstwie dziecka we Włoszech.

Mareike zdjęła zupę z ognia i nastawiła głośniej telewizor. Reportaż pokazywał Sycylię, gdzie w ciągu ostatnich pięciu lat znaleziono zwłoki czterech małych zamordowanych dziewczynek. Wszystkie cztery zostały wyrzucone na brzeg na różnych plażach, ale żadna nie utonęła. Morderca zabił je i – prawdopodobnie z łodzi – wrzucił do wody. Policja nie znalazła do tej pory najmniejszego śladu, który mógłby wskazywać na sprawcę. Dobrowolne testy DNA przeprowadzone

w okolicy miejscowości, w których mieszkały dziewczynki, nie przyniosły rozwiązania.

A więc Włochom wcale nie idzie lepiej niż mnie, pomyślała Mareike i przez moment myśl ta wydała się jej bardzo pocieszająca.

Następnie reporter doniósł o małym chłopcu, który w niewyjaśnionych okolicznościach zaginął w Toskanii i już się nie odnalazł. W 1994 roku chłopiec narodowości niemieckiej, o imieniu Felix, przebywał tu z rodzicami na urlopie i zaginął podczas zabawy w pobliżu domu. Rodzice wynajmowali dom pod Ambrą niedaleko Montebenichi i musieli wrócić do Niemiec bez dziecka, zostawiając sprawę niewyjaśnioną.

Mareike bez namysłu wzięła ołówek i zapisała nazwę miejscowości. Zupa stygła, podczas gdy ona słuchała dalej.

Filippo mieszkał w małej wiosce Badia a Ruoti, również w pobliżu Ambry.

W 1997 roku zniknął bez śladu w drodze do szkoły. I wreszcie Marco, który jesienią 2000 roku chciał spotkać się z przyjaciółmi nad jeziorem, ale nigdy tam nie dotarł.

Na filmie widać było przepiękny krajobraz i miejsca, gdzie trzech chłopcy najprawdopodobniej rozpułnili się w powietrzu i nikt niczego nie zauważył.

Włoska policja była raczej pewna, że dzieci nie żyją, jednak dopóki nie znajdą się ciała, nie mogli wiele zrobić. Tak więc na tym etapie zawiesili dochodzenie, nie osiągnąwszy żadnych rezultatów.

Kiedy Mareike zobaczyła zdjęcia zaginionych chłopców, dostała gęśiej skórki na całym ciele. Wszyscy trzech byli blondynami, bardzo szczupli, bardzo delikatni i niscy jak na swój wiek. Wszyscy trzech mieli od dziesięciu do trzynastu lat oraz wstrząsająco upiorną – jak uznała Mareike – wspólną cechę z Danielem, Benjaminem i Florianem.

– Wróciłam! – krzyknęła na cały głos Edda z przedpokoju.

– Świetnie! Nawet jesteś punktualna! – odkrzyknęła równie głośno Mareike, a mimo to starała się nie uronić ani jednego zdania z reportażu.

Edda z impetem otworzyła drzwi do kuchni.

– Oglądasz telewizję? – zapytała z przekąsem. – I to jeszcze przy jedzeniu? Nie wiesz, że telewizja ogłupia?

– Edda, bądź przez chwilę cicho, chcę tego posłuchać...

Edda zrobiła obrażoną minę.

– Ledwie wróciłam do domu, a ty już zrządzisz. Jak chcesz, to mogę się wynieść. – Edda wyszła z kuchni i trzasnęła drzwiami.

Mareike przewróciła oczami i westchnęła. Potem znowu skupiła się na telewizorze, ale po krótkim oświadczeniu *maresciallo di carabinieri*, Albana Lorenzo, reportaż dobiegł końca. Albano wyraził obawę, że teraz w Toskanii może również zacząć rosnać przestępczość. W Toskanii, gdzie młodzi ludzie wciąż szanują swoich rodziców i mają perspektywy na przyszłość, gdzie dawniej przestępczość w ogóle nie istniała i można było spokojnie pozwolić dzieciom bawić się w lesie i zostawić worek pieniędzy na drodze – a następnego dnia wciąż tam był.

Mareike wyłączyła telewizor i zapaliła papierosa.

Nawet nie wiedziałam, że we Włoszech jest tylu chłopców o blond włosach, pomyślała. A jeśli nasz morderca wyniósł się z Niemiec i przeprowadził do Włoch? Mogło tak być i to by wyjaśniało, dlaczego seria morderstw w Niemczech nagle się urwała. We Włoszech dzieci znikwały również w odstępie trzech lat. Psiakrew, pomyślała, teraz już wszędzie widzę tego przekłętego mordercę. Ale to możliwe! Wielu ludzi emigruje i przenosi się na Południe. Niby dlaczego nie może być wśród nich nasz morderca?

Przyniosła telefon z przedpokoju i zadzwoniła do Karstena Schwiersa.

– Karsten – zapytała – czy oglądałeś reportaż na dwójce?

Karsten nie oglądał, opowiedziała mu więc całą historię z detalami. Dołączyła też swoje przypuszczenia i zapytała go, czy nie powinna się skontaktować z tokańską policją...

– Proszę cię – mitygował ją Schwiers. – Proszę cię, Mareike, daj sobie spokój. – Dostatecznie dobrze znała ten wyniosły ton. Tak mówił zawsze, kiedy uważał, że sfiksowała. – Nasz morderca ma bzika. Zawsze reżyseruje dla nas sceny, do których wykorzystuje swoje ofiary. Żeby było nam choć trochę miło na miejscu przestępstwa. – Teraz w głosie Karstena pobrzmiwał sarkazm, Mareike nic nie odpowiedziała. – To idealnie spełniało swoją rolę, ale mimo tych ryzykownych sztuczek nie wpadliśmy na jego trop. Dlaczego teraz nagle na włoskiej

pampie miałyby sobie odmawiać satysfakcji i nie wystawiać zwłok na pokaz? Rozumiesz, w czym rzecz.

– Rozumiem – powiedziała głucho.

– A więc jak można na podstawie podpisu mordercy odkryć podobieństwo, a nawet jego tożsamość, tego nie potrafię do końca pojąć.

– Pomyślałam sobie, żeby wysłać faks do karabinierów i poprosić o kilka informacji.

– Mareike... w Afryce, Chinach i Uzbekistanie na pewno też znikają małe dzieci. Przecież nie możemy korespondować z całym światem i porównywać wszystkich przypadków.

– Już dobrze, tak sobie tylko pomyślałam.

– Nie złość się. Zobaczymy się jutro?

– Pewnie. – Mareike odłożyła słuchawkę.

Bettina wróciła do domu o dziesiątej. Na wywiadówce w klasie Jana mówiono jedynie o zbliżającej się wycieczce i była zła, że w ogóle tam poszła. Nie знаła się na wycieczkach szkolnych. I nie potrzebowała informacji, które rodzice dzieci wyjeżdżających po raz pierwszy chłonęli jak gąbka.

Kiedy weszła do pokoju, Mareike przewracała kartki przewodnika Meriana po Florencji.

– No, no – zdziwiła się Bettina z uśmiechem. – Od kiedy interesujesz się Michałem Aniołem i da Vincim?

– Od czasu, kiedy mój kolega z pracy Mohrs cały dzień z zachwytem opowiadał mi o Toskanii. Jeszcze nigdy tam nie byłam. A ty?

Bettina potrząsnęła głową.

– Co ty na to, żebyśmy pojechały na wakacje do Toskanii? Bardzo mnie zaciekawiła. – Było to nawet zgodne z prawdą.

– Edda i Jan przeklną cię, jeśli będziesz przez cały dzień biegać po kościołach i muzeach!

– Wcale nie. Poszukamy sobie małego domku na malowniczym wzgórzu z bajecznym widokiem, otoczonego gajami oliwkowymi, winnicami i lasami cyprysów... będziemy chodzić na wycieczki, jeździć na rowerach, a w tej okolicy z kranów płynie chianti.

- No, to jest argument! I co, tak całkiem bez morderstw i zabójstw?

Dasz radę wytrzymać?

- Oczywiście – skłamała Mareike, nawet się nie czerwieniąc.

Bettina usiadła na poręczy fotela Mareike i objęła ją.

- To brzmi wprost fantastycznie! To zbyt piękne, żeby mogło być prawdziwe.

Siena, czerwiec 2004

Kiedy Anne odjechała, Kai Gregori stał jeszcze jakiś czas na ulicy w Sienie i zastanawiał się, co by tu począć ze sobą dziś wieczorem. Znudzony rysował czubkiem buta kółka i wzory na steatycie, którym wybrukowano ulicę, i przy okazji zauważył, że spocily mu się stopy w mokasynach, ponieważ w lecie nigdy nie nosił skarpet. Przydałoby się wziąć prysznic, pomyślał. Ale dobrze wiedział, że rzadko udawało mu się ponownie wygrzebać z domu, kiedy już się w nim znalazł. Było jeszcze wcześniej i nie chciał przesiedzieć całego wieczoru w domu.

Kai postanowił, że na chwilę zajrzy do biura. Szybkim krokiem przeszedł przez Campo i zaraz za Palazzo Pubblico skręcił w Via del Porrione. Z daleka zobaczył, że rolety w oknach biura są do końca opuszczone, a więc Monica poszła już do domu. Tym lepiej.

Biurko Moniki było uprzątnięte bez zarzutu, jakby bała się zostać na nim choćby odcisk palca. Za to na jego biurku zawsze walały się akta, fotografie, opracowania, listy, broszury i notatki, totalny bałagan, który Monica codziennie wieczorem uparcie układała w stertę, co za każdym razem go denerwowało, ale chyba nie dało się już tego zmienić. Monica zawsze robiła to, co uważała za słuszne. I nie były w stanie wyperswadować jej tego żadne prośby, groźby, rozkazy i trzęsienie ziemi.

Na osłonie monitora zobaczył kilka przyklejonych wiadomości napisanych ręką Moniki: Schraderowie poskarżyli się, że zmarnowali dzień cennego urlopu na zwiedzanie bezsensownych nieruchomości. – Do diabła ze Schraderami. – *Dottore* Manetti czeka na pana telefon jutro o dziesiątej rano, podpisanie u notariusza umowy na kupno apartamentu w Castelnuovo Berardenga zaplanowane na najbliższy wtorek

na piętnastą trzydzieści, a sprzedaż Casa del Muro na czwartek na dziesiątą trzydzieści.

Poza tym nic ważnego. Wyłączył lampkę na biurku i wyszedł z gabinetu. W kuchni zajął jeszcze szybko do lodówki. Jak zwykle. Dwa kartony mleka, kawałek pecorino, trzy jogurty i otwarta butelka prosecco z wetkniętą w szyjkę srebrną łyżeczką, żeby nie wylatywały bąbelki. Według niego była to głupota i zwykła bzdura. Spróbował tyk. Prosecco było już lekko zwietrzałe. Wziął otwartą butelkę i wyszedł z biura.

Na Campo usiadł na ziemi w pobliżu fontanny. Kamienie przyjemnie grzały swoim ciepłem. Zresztą czerwiec był jego ulubionym miesiącem. Dni były długie, ale jeszcze rześkie i młode lato budziło w człowieku chęć na więcej. Nie tak jak w sierpniu, kiedy człowiek ma już dość upału i lato wydaje mu się lepkie i duszne.

Kai powoli pił prosecco. W takich chwilach jak ta nie lubił być sam.

Obserwował pary, turystów, sienneńczyków, którzy powoli przechadzali się bez celu lub pośpiesznie przemykali ulicami. Nie miał tu nikogo bliskiego. Gdyby teraz umarł, tu na Campo, wprawdzie zwróciłoby to powszechną uwagę i ktoś wezwałby ambulans, ale nikt by się tym naprawdę nie przejął. Był człowiekiem, po którym nikt by nie zapłakał. I chociaż mieszkał w centrum miasta, to w gruncie rzeczy był samotny jak Enrico, który stale ukrywał się w jakimś lesie i był szczęśliwy, jeśli nikt nie zakłócał mu spokoju. Czy to była jego, Kaia, wina, że do tej pory żadna kobieta nie chciała się z nim związać? Zapewne. Ponieważ po jakimś czasie każda zaczynała działać mu na nerwy, ponieważ każdej zaczynał kiedyś przeszkadzać jego nudny tryb życia i ponieważ chciał bez komentarzy robić i pozwalać sobie na to, na co właśnie miał ochotę. Nie chciał słyszeć żadnego „gdzie idziesz?” albo „musisz jeszcze coś zjeść”, albo „to już druga butelka”. Pragnął tylko móc tu, na Campo, położyć głowę na czyichś kolanach, zaczekać, aż się ściemni, liczyć gwiazdy i w końcu milcząc, ale nie samotnie, wrócić do domu. Może potem wypić jeszcze razem butelkę czerwonego wina na tarasie, w jakimś momencie wstać nagle i pójść do łóżka. Zostawić kieliszki do następnego wieczoru lub do następnej burzy z wichurą, która

nie namyślając się wiele, zmiecie je na ulicę. Za żadne skarby nie chciał mieć obok siebie kogoś, kto odruchowo zaniósłby kieliszki do kuchni, wstawił do zlewu i odkręcił kran. Nie chciał widzieć rażącego kuchennego światła, kiedy z pogrążonego w mroku, oświetlonego jedynie poświatą księżyca tarasu przechodził do ciemnej sypialni.

Powoli zapadał zmrok. Wysokie domy przylegające do Campo wyrzucały się w łagodnym żółto-czerwonawym świetle reflektorów. Kai podniósł się z trudem. Od siedzenia na twardych kamieniach bolały go wszystkie kości. Ale prosecco będzie po tym bardziej smakowało. Do najbliższego baru było tylko kilka kroków.

Kiedy wrócił do domu i z trudem wdrapywał się po schodach, trzymając się poręczy, było już pół do drugiej. Za dużo wypił – jak zawsze. Nie był jednak na tyle pijany, żeby nie zauważyć, że tej nocy coś się zmieniło na jego klatce schodowej. Momentalnie zapaliły mu się wszystkie światła ostrzegawcze, był w najwyższym stopniu skoncentrowany i czujny. W jednej chwili całkiem wytrzeźwiał. Powoli i jak najciszej pokonywał stopień po stopniu i starał się wyczuć, skąd się wzięło to nieprzyjemne uczucie.

I nagle już wiedział. Był to dziwny, powodujący nudności zapach. Jakby mieszanina gnijącej trawy, szczurzego moczu, kwaśnego mleka i przejrzałych fig.

Na ostatnim stopniu schodów, przed drzwiami jego mieszkania, siedziała Allora i uśmiechała się. Jej górny prawy siekacz był czarny jak smoła.

– Czego tu szukasz? – szepnął cicho. Nie chciał obudzić całego domu. Allora nie odpowiedziała, tylko zachichotała.

Obawiał się, że kiedyś do tego dojdzie. Allora łąziła za nim od tygodni. Czekwała w ruinach, chowała się za drzewami i krzakami, czaiła przy drodze. Tylko żeby go zobaczyć, pochwycić jego spojrzenie. Kiedy ją widział, starał się w miarę możliwości ignorować i zachowywał się tak, jakby jej nie zauważył. Zdawał sobie sprawę, że kiedyś Allora nie wystarczy już wielbienie go z daleka. I stało się. Teraz siedziała przed jego drzwiami jak wyrzucony na śmietnik kot.

– Nie możesz tu zostać – powiedział Kai. – W moim mieszkaniu też nie. – Dziwnym trafem nagle zaczął się bać tego zaniedbanego stworzenia.

Ledwo powiedział te słowa, Allora zaczęła przeraźliwie wycić, jak żywcem obdzierany ze skóry młody pies. W panice otworzył drzwi i wciągnął ją do mieszkania. Wycie ustało w mgnieniu oka i Allora sapła z ulgą. Kai poszedł do kuchni, Allora podreptała za nim. Kai wyjął z lodówki karton soku pomarańczowego, otworzył go i napełnił po brzegi dużą szklankę.

– Masz. Najpierw się napij.

Allora posłusznie wzięła szklankę i piła sok, nie odrywając ust od szklanki. Cała promieniała, mlaskała z zachwytem i co chwilę oblizywała usta językiem.

– Musisz się wykapać – powiedział. – Tak nie możesz tu zostać. Wszystko mi uświnisz.

Przez twarz Allora przemknął cień smutku, jej radosny nastrój jakby zwiądnął, ale dzielnie przytaknęła.

Kai poszedł – Allora za nim – do łazienki. Kiedy przed trzyema laty wprowadził się do tego mieszkania, prawie niczego nie zmienił w łazience. Z jednej strony, ponieważ nie miał ochoty ani czasu, a z drugiej strony, ponieważ łazienka miała coś, co w jego oczach uchodziło za oryginalne. Nad umywalką i przy prysznicu zachowały się jeszcze resztki starych weneckich kafli. Miejsca, w których ich brakowało, pomalował odporną na wodę, siwą farbą, co wbrew oczekiwaniom dobrze wyglądało i dodatkowo ożywiło łazienkę. Wykonana z miedzi armatura była bardzo wzorzysta, przyozdobiona esami-floresami i straszliwie kiczowata, co nadawało jej wyjątkowy wygląd. W zasadzie łazienka była tak upiorna, że aż piękna. Całość dopełnił lustrem w okazałych złotych ramach i figlarnymi kinkietami ze szkła weneckiego. Jedynym obcym elementem w tej łazience była wanna.

Stała na lwich nogach i sprawiała wrażenie, jakby się miała wywrócić, kiedy człowiek oprze się o jej brzeg, żeby podnieść ręcznik z podłogi. Emalia lekko zardzewiała od lejącego się do niej przez kilka dziesięcioleci strumienia wody i ciągnętego kapania z kranu, a na jej dnie

odznaczał się żółtawy pasek, którego w żaden sposób nie dało się wyszorować.

Właściwie Kai chciał kupić nową wannę, ale jakoś się na to nie zdobył. A ponieważ nigdy jej nie używał, było mu to obojętne. Teraz po bieżnie opłukał ją wodą z prysznica, zamknął odpływ korkiem i kiedy ciepła woda leciała silnym strumieniem, obficie parując, modlił się, że by wanna okazała się szczelna.

Dodatki do kąpeli. Psiakrew, w ogóle nie miał czegoś takiego w domu. Z konieczności wlał do wody trochę płynu do prania wełny. Skoro nadawał się do miękkiej wełny, nie mógł zaszkodzić delikatnej skórze.

Allora jak zaczarowana obserwowwała każdy jego ruch i z zachwytem wahała zapach płynu do prania wełny.

Po niecałych pięciu minutach wanna była pełna. Świetnie, pomyślał. Wcale nie tak źle. Może ja też powinienem się kiedyś wykąpać. Allora błyskawicznie się rozebrała i weszła do wanny. Nie miał wyjścia, po prostu musiał na nią patrzeć. Miała piękne ciało. Twarde, ciężkie życie i dużo pracy dały lepszy rezultat niż studio fitness.

Nie czuła jego wzroku. Utonęła w górze piany, zamknęła oczy i chrząkała z zadowolenia.

– Nie śpiesz się – powiedział. – Będę obok.

W salonie otworzył na oścież drzwi na taras. Ciepłe nocne powietrze wtargnęło do środka. Na chwilę wyszedł na taras i oddychał głęboko. W jego wannie leżała Allora. Żeński odpowiednik Kacpra Hausera z San Vincenti. Miał niewyraźne przeczucie, że właśnie zwałił mu się na głowę ogromny kłopot. Najwidoczniej przyciągał jak magnes tego typu stworzenia. Lgnęły do niego już, kiedy jeszcze był dzieckiem. Wszystkie bezpańskie psy i zabłąkane koty przychodziły i nie odstępowały go, jakby wiedziały, że był jedynym, który mógł im pomóc. Ptak, który wypadł z gniazda, z dużą pewnością lądował pod jego nogami, żółwie wlokły się ostatkiem sił, aby umrzeć w jego pobliżu. A teraz Allora. I poczuł się zażenowany, ponieważ Allora kojarzyła mu się z zaniedbanym zwierzęciem.

Wrócił do salonu i podszedł do barku. Tak nazywał występ muru nad głęboko osadzonym oknem, na którym stał rząd butelek z mocny-

mi trunkami. Kai wziął butelkę whisky i nalał sobie pół szklanki. Pierwszy łyk przeszył mu głowę jak strzała, aż znieruchomiał przestraszony, po chwili przez jego ciało przepłynęła przyjemna fala gorąca i uspokoił się.

Tak pogrążony w rozmyślaniach przesiedział prawie trzy kwadranse. Nie słyszał żadnych odgłosów dochodzących z łazienki. Przez moment przyszło mu do głowy, że może coś się jej stało, ale z miejsca odrzucił tę myśl. W końcu była na tyle dorosła, żeby można ją było zostawić samą w wannie.

Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy jesteście utrudzeni, pomyślał rozbawiony i pociągnął duży łyk. I przypomniała mu się dawniej zawsze zadzierająca nosa Monica Benedetti. Niespełna rok temu, w pewne upalne popołudnie, całkowicie nieoczekiwanie rozplakała się w biurze. Nie był to zwykły płacz. To było morze łez. Kai bał się już, że zabraknie jej łez, jeśli jak najszybciej nie postara się o butelkę wody mineralnej, żeby dolać... a potem wyrzucała z serca wszystkie swoje troski, a Kai podawał jej jedną chusteczkę po drugiej. Opowiadała o swoim chłopaku Antonio, który właśnie rano zabrał z jej mieszkania swoją szczoteczkę do zębów i płyty CD. Od trzech miesięcy spotykał się z jakąś Iriną, którą poznał w kawiarni Gianna Naniniego, kiedy jadła lody takiej wielkości, po jakiej każdy normalny człowiek musiałby zwymiotować. Od tamtej pory codziennie jedli lody u Gianna, aż wreszcie rzucili się sobie w objęcia w pokoiku na poddaszu Iriny.

Monica opowiedziała to wszystko i jeszcze więcej, a jego nic a nic to nie interesowało. Kai modlił się, żeby wreszcie pohamowała potok łez i przestała mówić, pocieszał ją, słuchał, potakiwał i przyznawał rację, aż w końcu powiedziała mu, że jest dobrym człowiekiem. Prawdziwym przyjacielem w potrzebie.

Monica była smutna przez tydzień. Potem poznała Geralda, przyszła do biura rozpromieniona i stwierdziła, że żałuje każdej łzy, którą wylała z powodu tego *stronzo*, tego Antonia. Kai przyznał jej rację, a Monica ponownie zaczęła zwracać się do niego *per pan*, czego zaprzestała lub o czym zapomniwała na czas swoich smutków.

Pewnego razu w Kolonii pod drzwiami Kaia zjawił się bez zapowiedzi, za to z trzema walizkami, dwiema torbami i papużką Rambo, jego przyjaciel Bodo, którego Kai znał jeszcze ze szkoły i utrzymywał z nim luźny kontakt polegający na tym, że raz na pół roku wspólnie wypijali o parę kieliszków za dużo. Bodo był blady jak ściana, niewyspany i bez grosza przy duszy. W tamtym czasie Bodo jeszcze miał dom. Teraz umarła mu matka i czuł, że stracił ostatnią podporę w życiu. I Kai wydał mu się jej odpowiednią namiastką. Samotny, bezdzietny, z dużym mieszkaniem, idealny. Bodo przemieszkał cztery tygodnie u Kaia. Wieczór w wieczór telewizor był wyłączony, Bodo opróżniał jedną butelkę whisky za drugą i opowiadał o swoim życiu, niektóre epizody wielokrotnie. Aż w końcu Kai wyrzucił go za drzwi. Ze wszystkimi matkami i papużką Rambo. Gdyby nie zrobił tego wtedy – Bodo do dziś mieszkałby u niego.

A teraz Allora. Allora go wzruszała. Nie była mu tak obojętna jak Monica i nie mógł obejść się z nią jak z Bodem. Allora musiał wypluć na ten świat jakiś elf, troll lub pozaziemska parka. Allora nie była prezydentem ani dopustem losu. Była problemem.

Krótko przed trzecią stanęła nagle w pokoju i pachniała jak sweter po praniu. Miała na sobie jego płaszcz kąpielowy w niebiesko-zielone paski i uśmiechała się.

– Co zrobiłaś ze swoim zębem? – zapytał.

– Allora – powiedziała i wzruszyła ramionami.

Kai rozłożył prześcieradło na kanapie, przyniósł poduszkę i koc. Kręciło mu się głowie. Whisky go wykończyła. Koniecznie musiał się teraz przespać. Allora obserwowała go z całkowitym niezrozumieniem, ale nie powiedziała ani słowa.

Kiedy skończył, pozwoliła opaść płaszczowi kąpielowemu na podłogę i wsunęła się pod koc.

– Dobranoc, obudzę cię na śniadanie – powiedział i wyszedł z pokoju.

– Allora – mruknęła Allora i zabrzmiało to jak „dziękuję”.

Wydawało mu się, jakby jakiś wir, jakaś siła ssąca ciągnęła go w górę z ciemnej głębi snu, senne marzenia wirowały chaotycznie, a w jego

głowie nie było już góry, dołu, lewej i prawej strony. Trwało to chwilę, zanim zrozumiał, że leży w swoim łóżku, że po lewej stronie są drzwi, a po prawej okno i że wokół niego owinęła się mała chuda ręka, a równie mała i chuda dłoń gładzi go po brzuchu. Była ciepła i miękka, mocno przyciskała się do niego, a jej oddech owiewał mu kark jak łagodny letni wiatr. Kiedy całkiem się rozbudził i stopniowo pojmował, że przytula się do niego nagie ciało Allora, modlił się o siłę. O nie, proszę nie, to niemożliwe, jak mogło do tego dojść, o mój Boże, co to ma być, co ze mną robisz...

Ale nie był to Bóg, to była Allora, której ręka wędrowała po jego ciele, aż już nie wytrzymał i odwrócił się do niej. Jego usta znalazły jej twarz, a ręka też wybrała się na poszukiwania. Kiedy poczuł miękki puszek i jego palce zaczęły po nim krążyć, Allora zareagowała na to cichym śpiewem. Co w jego uszach zabrzmiało jak dzwon. Jak dzwonięcie na Anioł Pański w średniowiecznej kaplicy w San Vincenti.

Anne obudziła się, kiedy czerwonawopomarańczowe światło wschodzącego słońca nagle przepędziło upiory nocy. Atmosfera w pokoju w młynie była tak nierzeczywista i fantastyczna, że w mgnieniu oka wypełniło ją błogie uczucie szczęścia. Wszystko było dobrze. Wszystko było w porządku. Bała się tylko dlatego, że nie знаła tego odludzia, doliny, a zwłaszcza nie знаła Enrica. To wszystko. Spojrzała na zegarek. Pół do szóstej. Tak wcześnie. Enrico na pewno jeszcze nie wstał.

Rozejrzała się we młynie. Zawsze jest trochę inaczej, kiedy człowiek tylko ogląda pokój, a inaczej, kiedy się w nim budzi. Na przykład wcześniej nie zarejestrowała, jak piękny i duży był kominek. W tylną ścianę Enrico wmurował żelazną konstrukcję paleniska przedstawiającą dzieci bawiące się na łące. Obok kominka wisiały oprawione zdjęcia ruin. Właściwie było na nich widać resztki murów, zarośnięte kamienie i spróchniałe czarne belki. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak można zdobyć się na odwagę, żeby z tego zdziczałego „nic” na nowo stworzyć prawdziwy klejnot. Nie tylko filozof, lecz również ktoś, kto potrafi z sensem zabrać się do rzeczy i zrobić coś pięknego. Najwyraźniej estetyka była dla niego bardzo ważna. Półmetrowej grubości ściana z naturalnego kamienia miała tu i tam wbudowane małe kamienne półki lub wnęki, od czasu do czasu zostawiony polny kamień, a dookoła kamienia ściana pokryta białym tynkiem. Były tam malutkie okienka, wielkości połowy kartki papieru, wbudowane w mur, w jednym leżał wyjątkowo piękny kamień, w drugim stał mały kwiatek w równie małym wazoniku. W oknie wisiał półszlachetny kamień na kutym żelaznym łańcuchu i lśniąc, odbijał światło. Pod oknem znajdował się mały stół z jednym krzesłem. Kiedy siedziało się przy tym stole, przed oczami rozpościerał się wspaniały widok na całą dolinę i strumień aż do parkingu. To będzie moje miejsce do pisania i czytania, postanowi-

ła Anne, stąd zawsze w porę zobaczę, kiedy ktoś tu przyjdzie i zbliży się do obu domów.

Młyn był jednym skomponowanym z drobiazgów dziełem sztuki. A kompozytor artystą, któremu nie chodziło o użyteczność, lecz o piękno.

Anne powoli wstała i przeciągnęła się. Dziwnym sposobem czuła się wypoczęta i świeża. Jej buty stały porządnie jeden obok drugiego przy drzwiach. Musiał je zdjąć i tam postawić Enrico. Ubrała się, ponieważ chciała rozejrzeć się po całym młynie, i powoli zeszła po drewnianych schodach do pomieszczenia na parterze.

Ten pokój był znacznie ciemniejszy od pomieszczenia na górze, widok z okna również nie robił takiego wrażenia, gdyż pokój znajdował się niewiele wyżej niż łóżysko strumienia. Ale był to pokój, w którym w ponure ciche dni można się będzie ukryć, usiąść w fotelu z grubą książką w ręku, pod dającą ciepłe światło lampą. Mała łazienka przylegająca do pomieszczenia na dole też się jej podobała. Ciemne belki i stare *mattoni* na suficie sprawiały wrażenie ochronnej pokrywy nad człowiekiem, który w samotności rozbierał się w głębi młyna i był przez to tak nieskończenie bezbronny, kiedy wchodził pod prysznic. Enrico własnoręcznie wyrzeźbił ramy lustra nad umywalką, a mała secesyjna lampka rzucała rozproszone światło. Nie dość silne, żeby się umalować, ale wystarczające, żeby czuć się tu dobrze i swojsko. Łazienka była raczej kryjówką. Po zamknięciu drzwi człowiek miał wrażenie, że jest całkiem sam na świecie. Inaczej niż w dużej łazience w głównym budynku, w której panowała swobodna, widna atmosfera, świeciło słońce, a dzięki przestronności pomieszczenia człowiek czuł się większy niż w rzeczywistości.

To jest mój dom, pomyślała Anne. Tu mam jedno i drugie. Tu mam wszystko. Tu mogę rozwijać się i rosnąć, tu mogę cofać się i ograniczać do tego, co istotne. Valle Coronata było zamkiem i lochem, górą i doliną, słońcem i cieniem. Bezgraniczną wolnością i zarazem kamieniem nagrobnym.

Anne podeszła do przeszklonych drzwi prowadzących na taras, klucz tkwił w zamku, otworzyła drzwi i wyszła na dwór.

Enrico pływał w basenie. Spokojnie i powoli, jakby starał się nie poruszyć wody i nie wywołać najmniejszego hałasu. Uśmiechnął się, kiedy ją zobaczył.

Potem powoli wyszedł z wody. Całkiem nagi.

Enrico czuł, że Anne starała się nie patrzeć na niego, a jednak to robiła. Zauważył też, że chciała wywołać wrażenie, jakby wszystko było całkiem normalne, całkowicie naturalne, ale to się jej nie udawało. Jej niepewność wydała się Enricowi ujmująca i uśmiechnął się.

– Dobrze spałeś? – zapytał, kiedy polewał się wodą z węża na brzegu basenu.

Anne tylko skinęła głową.

– Wykąp się – powiedział. – Woda jest niezwykle orzeźwiająca, krew od razu zaczyna w człowieku szybciej krążyć.

– Nie, dziękuję. – Anne przechodziły dreszcze, gdy tylko spojrzała na wodę. – Kawa da ten sam efekt.

Anne przyrządziła kawę, ustawiła na tacy wszystkie artykuły spożywcze, które mogły się nadawać na śniadanie, i wyniosła na dwór. Właśnie nakrywała stół pod orzechem, kiedy przyszedł Enrico. Włożył szorty i sweter i promieniał dobrym humorem.

– Ładnie pachnie.

Usiadł i nalał kawę.

– Słyszysz ptaki? – zapytał. – Tu, w dolinie, jest ich nieprawdopodobnie dużo. Na szczęście. Zastępują mi budzik. Kiedy o wschodzie słońca zaczynają śpiewać, otwieram oczy i wstaję.

– Myślę, że wczoraj wieczorem byłam bardzo zmęczona. – Anne odważyła się na ostrożną próbę dowiedzenia się, co zaszło i co myśli o tym Enrico.

– Na pewno, to wszystko cię przytłoczyło. Przecież to jasne. – Enrico był delikatny i pełen zrozumienia. Jak matka mówiąca do dziecka, które się oparzyło: To moja wina, skarbie, powinnam była ci powiedzieć, że żelazko jest gorące. Enrico ciągnął dalej: – Nagle zwinęłaś się i usnęłaś. Próbowiałem cię obudzić, ale mi się nie udało.

– Straciłam przytomność?

– Może. To możliwe. W każdym razie zaniósłem cię do młyna, położyłem do łóżka i kazałem spać.

– Dziękuję.

Enrico posmarował twardą kromkę czarnego chleba taką grubą warstwą masła, że Anne od samego patrzenia zrobiło się niedobrze. Sama piła tylko kawę i wodę ze źródła. Nie była głodna i nie miała apetytu.

– Już ci się to zdarzało? – zapytał Enrico.

– Właściwie nie. – Anne zastanowiła się. – Chociaż w ostatnich latach coraz częściej zaciera mi się granica pomiędzy snem a rzeczywistością. I nie wiem, co było snem, a co wydarzyło się naprawdę. Czasem sny są tak realistyczne, że biorę je za prawdziwą monetę, a znowu czasem rzeczywistość wydaje mi się tak nierzeczywista, że odkładam fakty do akt i mówię sobie, nie wariuj, to tylko sen.

– Dobrze to znam. – Enrico uśmiechnął się. Już od dawna nie wiedział, co było prawdą, a co kłamstwem. Jego życie tworzył istny mętlik zdarzeń. Prawdziwych i wymyślonych, nie miał przeszłości, tylko jej niejasne wyobrażenie, i zmieniał ją każdego dnia. Potem przygotowywał sobie nową historię, która mu się podobała i którą mógł zapamiętać, i co rusz ją opowiadał, kiedy go pytano, a kiedy już go nie pytano, znowu ją zapominał. A skoro mógł tygodniami milczeć, jego przeszłość przypominała czystą kartkę, którą chce się zapisać od nowa.

– Może znajdę tu trochę spokoju – powiedziała. – Może uda mi się tu pozbierać.

– Powiesz mi, co przeżyłaś?

Zastanawiała się, dlaczego właściwie by mu nie powiedzieć, kiedy na parkingu zatrzymał się Kai i powoli szedł w stronę domu. Anne spojrzała na zegarek. Pół do ósmej. Wpatrywała się w niego jak w fatamorganę, ponieważ założyłaby się o cały swój majątek, że Kai nie był mężczyzną, który dobrowolnie wytknąłby tak wcześnie nos spod kołdry.

Kai najpierw spokojnie wypił kawę, potem sporządzili *compromesso*, umowę wstępną, która – nawet niepoświadczona notarialnie – zachowywała ważność przed sądem. Kai miał w głowie standardowy formularz

i ułożył suchą umowę, którą spisał przez kalkę. Enrico poświadczał w niej wolę sprzedaży domu za cenę dwustu tysięcy euro, a Anne gwarantowała wolę kupna domu za cenę dwustu tysięcy euro. Jako zaliczkę zapłaciła dziesięć euro. Gdyby teraz Anne nie kupiła Valle Coronata, straciłaby dziesięć euro, gdyby Enrico sprzedał dom komuś innemu, musiałby nie tylko oddać Anne dziesięć euro, ale jeszcze dopłacić drugie dziesięć euro. Regulowało to włoskie prawo.

– Idiotyizm – stwierdził Kai. – Nie chcecie uczciwej zaliczki, powiedzmy pięćdziesięciu tysięcy euro? Wtedy oboje będziecie się czuli pewniej!

Enrico nie zgodził się i potrząsnął głową.

– Z pieniędzmi człowiek nigdy nie czuje się pewnie. Kary za zerwanie umowy nic nie dadzą. Jeśli Anne do czasu wizyty u notariusza przemyśli sobie to wszystko i zdecyduje inaczej, i nie będzie chciała domu, to w porządku. Jeśli o mnie chodzi, nie oddam go nikomu innemu. Ma na to moje słowo. A moje słowo jest więcej warte niż pięćdziesiąt tysięcy euro.

Anne milczała, dostała gęziej skórki. Gdzie na tym świecie są jeszcze ludzie z takim kodeksem honorowym? Enrico fascynował ją coraz bardziej i nagle zrozumiała, że mu ufa. Całkowicie i bezgranicznie.

Kai uniośł brwi. Dla niego Enrico nie był biznesmenem, lecz jakimś pomyleńcem, który wcześniej czy później dostanie po nosie. Ale nic nie powiedział. W tym wypadku na pewno wszystko pójdzie dobrze. Czuł to.

Enrico podpisał jako pierwszy. Niezwykle wolno, wysokimi pochyltymi literami. Czelował swoje nazwisko bardzo ceremonialnie i Anne odniosła wrażenie, że niezbyt często się podpisywał, co uznała za dziwne. Jako menedżer w koncernie naftowym prawdopodobnie codziennie musiał podpisywać bardzo dużo dokumentów.

Anne spojrzała na podpisaną kartkę i zdziwiła się.

– Masz na imię Alfred?

– Tak, niestety – Enrico uśmiechnął się. – Ale tylko oficjalnie. Tylko kiedy muszę coś podpisać. We wszystkich innych sytuacjach jestem Enrico. To imię bardziej mi odpowiada.

Anne przytaknęła. Znała niewielu ludzi, którzy byli zadowoleni ze swojego imienia. Felix był taki. Był zachwycony swoim imieniem, odkąd babcia powiedziała mu, że *felix* znaczy szczęśliwy. A on był szczęśliwy.

Kiedy już wszyscy troje złożyli podpisy, wstali i poszli na parking. Anne miała przy sobie torebkę, a Enrico nie tylko zostawił na stole pod orzechem naczynia, lecz również otwarte na oścież drzwi do domu. Twierdził, że nie ma tam niczego na tyle ważnego, co musiałby koniecznie zamykać. A jeśli ktoś miałby coś ukraść (użył zwrotu: wziąć ze sobą), to niech sobie weźmie. Na pewno bardziej mu się to przyda niż jemu i miejmy nadzieję, że sprawi mu to radość.

Kai rzucił Anne spojrzenie mówiące „popatrz, co za wariat”, i Anne uśmiechnęła się. Wszyscy troje wsiedli do czarnego jeepa Kaia i ruszyli w drogę. W kierunku San Vincenti.

Kai pokazał Enricowi Casa Mèria, ruinę w pobliżu San Vincenti. Powiedział, że jeszcze dwa lata temu mieszkała tam stara Giulietta, którą we wsi nazywano czarownicą, Giulietta *la strega*. Mieszkała tam z pewną wariatką, która troszczyła się o nią, a po jej śmierci podpaliła dom. Obecnie mury ruiny zarosły krzakami jeżyn, ale Enrico mógł rzucić okiem, aby ocenić, co można zrobić z tych resztek domu.

Większa część dachu się zawaliła, zwęglone belki leżały na luźnych kamieniach lub połamały się i sterczały w niebo. Ponieważ Anne chciała okazać ciekawość, próbowała przejść się po pokojach na parterze, ale nie miała dość fantazji, żeby wyobrazić sobie w tych zwęglonych ścianach gotowy dom. Poza tym podrapała gołe nogi w krzakach i dała sobie spokój. Usiadła na trawie i obserwowała obu mężczyzn, którzy zagłądali do każdego kąta. Po policzkach Enrica ściekała krew, wydawało się jednak, że tego nie zauważył albo że mu to nie przeszkadza. Kai trzymał się z tyłu, mało się odzywał, najwidoczniej akceptował Enrica jako eksperta od ruin.

Anne się rozglądała. To dziwne, czuła się tu jeszcze bardziej samotna niż w dolinie, ponieważ dom stał na otwartym terenie i brakowało chroniących go dookoła gór. Było widać wprawdzie położone w oddali

na wzgórzu San Vincenti, lecz pieszo szło się tam co najmniej czterdzieści do pięćdziesięciu minut, oceniła Anne. Tysiąc razy wołała Valle Coronata.

Po trzech kwadransach mężczyźni skończyli drobiazgową inspekcję.

– Okay – powiedział Enrico. – Porozmawiaj z Fiammą. Kupię to, ale nie zapłacę więcej niż trzydzieści tysięcy.

– A jeśli gmina będzie chciała trzydzieści pięć? – Kai nie miał pojęcia, ile mogłaby kosztować ta ruina, wypuścił tylko próbny balon, żeby móc lepiej ocenić Enrica.

– Wtedy jej nie wezmę.

Kai westchnął głośno i przeklął w duchu. Zawsze ta przekłeta zasadniczość. Rozmowa z Fiammą będzie ciężką próbą. Z jej mężem, burmistrzem, poszłoby łatwiej. Był uległy i dobroduszny, a po dwóch butelkach chianti gotowy na wszystko, ale Fiamma w całym Valdarno miała opinię osoby, na której można połamać sobie wszystkie zęby. I to ona prowadziła negocjacje. W każdym razie zawsze, kiedy chodziło o pieniądze.

Anne powiedziała Kaiowi, że ma zamiar zostać w Valle Coronata jeszcze dwa, trzy dni, a on zrobił minę oznaczającą „chyba wiesz, co robisz”, którą stale miał w pogotowiu, ponieważ musiał ją często stosować w pracy. Potem obiecał, że możliwie jak najszybciej zabierze się do urabiania Fiammy, i odjechał.

Był ciepły dzień. Lawenda rosnąca przed drzwiami łazienki pachniała tak silnie, że Anne czuła ją aż przy orzechu. Lawenda, rozmaryn, szaflwia... wszystko bujnie kwitło przed młynem, cykały świerszcze i Anne pierwszy raz w życiu czuła, że zrobiła wszystko jak trzeba.

Enrico już od półtorej godziny był w domu i medytował, kiedy przed dom zajechał na terkoczącym motorowerze Aldo, robotnik pracujący przy oliwkach, i zatrzymał się tuż przed kuchennymi drzwiami. Enrico wyjrzał przez okno w sypialni. Aldo uśmiechnął się bezzębnymi ustami, a Enrico zapytał:

– *Buonasera, Aldo. Perché sei venuto? Ch'è successo?* – Enrico był uprzejmy, ale nie przesadnie przyjazny, ponieważ nie cierpiał niespodziewanych wizyt. Wydawało się, że najzwyczajniej w świecie nie rozumiał, iż była to wyłącznie jego wina, ponieważ nie sposób się do niego dodzwonić.

Aldo miał dużo czasu. Z przyklejonym do twarzy uśmiechem powoli zsiadł z motoroweru i otrzepał z kurzu robocze spodnie, podczas gdy Anne dokładnie mierzyła go wzrokiem. W przeciwieństwie do Enrica, który nigdy nie zawracał sobie głowy takimi rzeczami, Anne nagle zdała sobie sprawę, co Aldo musiał sobie teraz pomyśleć. Żona Enrica przebywała w Niemczech, a tu, na tarasie, siedziała inna kobieta, w szortach i sandałach, w kapeluszu od słońca na głowie i z książką w ręku. W żadnym razie nie sprawiała wrażenia kogoś, kto wpadł tu tylko na kilka minut. Prawdopodobnie uśmiezek na twarzy Alda oznaczał, że znowu trafiła mu się piękna historia, o której będzie można rozprawić w Duddova przynajmniej przez dwa dni.

– *Carla mi ha chiamato* – powiedział Aldo i w tej samej chwili głowa zniknęła z okna i Enrico zszedł po schodach. Nie zszedł – zleciał. Kiedy chciał, potrafił być szybki jak dwudziestolatek.

Dobrze, że nie przydybał nas razem, pomyślała Anne. Byłoby gorzej, gdybyśmy teraz razem zeszli po schodach. Ale jedno na górze, drugie na dole – to jeszcze ujdzie.

Aldo powiedział, że zadzwoniła do niego Carla i poprosiła, aby przekazał Enricowi, że przyjedzie dzisiaj o osiemnastej pociągiem do Montevarchi. Prosi, żeby Enrico wyjechał po nią na stację.

– *Certo* – powiedział Enrico. – Oczywiście. Pojadę po nią. Dziękuję, Aldo. Dziękuję, że przyjechałeś specjalnie, żeby mi to przekazać.

– Nie ma sprawy – burknął Aldo – przecież inaczej się nie da. – Anne sądziła, że w jego głosie słyszy pewien brak zrozumienia. Ci stuknięci Niemcy, którzy mieszkają na odludziu i jeszcze na dodatek nie mają telefonu. Nie tylko sami sobie tym szkodzą, ale też zwracają głowę sąsiadom.

Enrico zniknął w kuchni i po kilku sekundach wyszedł z butelką prosecco, którą wcisnął Aldowi w rękę.

– Pozdrów ode mnie żonę! I jeszcze raz wielkie dzięki. – Teraz Aldo się rozpromienił, wziął butelkę, umocował ją na bagażniku, skinął głową Anne, wsiadł na motorower i odjechał.

– Ja też będę się zbierać – powiedziała Anne. – Wezmę ten sam hotel w Sienie co przedtem. Wcale nie jest tak potwornie drogi i jest okay. Myślę, że będziemy w kontakcie. Każę przysłać pieniądze z Niemiec i za tydzień lub dwa zakończymy nasze sprawy. Tak?

– Nie ma mowy. Zostaniesz tutaj. Mamy dwa domy! Jest tu dość miejsca dla trzech osób! Będiesz mogła zaoszczędzić na hotelu. – Enrico był do tego stopnia stanowczy, że wszystkiego jej się odechciało.

– A Carla...? – Anne nie była pewna, jak odniesie się do tego ta obca kobieta. – Co sobie pomyśli, jak zobaczy, że już tu mieszkam? Wystarczy już, że ten Aldo będzie głośno trąbił dookoła jakieś sensacyjne opowieści, po tym jak mnie tu zobaczył. A Carla jeszcze nic nie wie, że chcę kupić dom. Nie wolałbyś najpierw jej tego delikatnie wytłumaczyć, kiedy będziecie sami?

– Nie – powiedział Enrico.

– Nie sądzisz, że przeżyje szok, kiedy mnie tu zastanie?

– Nie – jeszcze raz powiedział Enrico, a Anne wzdrygnęła się. To „nie” zabrzmiało jak kostka lodu wpadająca do pustej szklanki.

Enrico był niezwykle opanowany.

– Na pewno nie będzie robić trudności. Uwierz mi.

Anne milczała poirytowana. Co ma teraz zrobić? Zostać? A może jednak wyjechać?

Enrico wydawał się wyczuwać niepewność Anne i dodał:

– Musisz ją poznać. Carla kocha ten dom. A jeszcze bardziej kocha swój ogród, swoje kwiaty, zioła dookoła domu. To wszystko jest jej dziełem. To są jej dzieci. Musi wiedzieć, komu to wszystko zostawia. Będzie jej łatwiej, jeśli cię polubi.

– O mój Boże! – Anne odgarnęła grzywkę ze spoconego czoła. Dopiero teraz naprawdę miała ochotę uciec, zostawić wszystko za sobą. Chciała kupić dom – ale równie dobrze mogła zrezygnować z powodu tego całego terroru psychicznego.

Odwróciła się i poszła do młyna. Do diabła, to był związek Enrica i problem Enrica. Ona w ogóle nie miała z tym nic wspólnego. Wyluzuj, powiedziała do siebie, nie przespałaś się z tym facetem, więc nie musisz mieć wyrzutów sumienia. A jeśli nie ty kupisz ten dom, kupi go ktoś inny. W gruncie rzeczy powinno być ci całkowicie obojętne, jak zareaguje ta Carla.

Mówiła sobie to wszystko, choć sama w to nie wierzyła. Wzięła komórkę i poszła na wzgórze, żeby zadzwonić do Haralda i matki.

Złapała Haralda w przerwie na obiad. Właśnie wstawił do mikrofalówki mrożone gotowe danie, klops z pięcioma różyczkami brokuła i trzema kawałkami ziemniaka.

– Obrzydliwe – powiedział. – Gorsze niż w szpitalu. Ale co robić? – Starał się, żeby w jego głosie nie było słycać wyrzutu.

Może tęskni za mną przynajmniej jako kucharką, pomyślała Anne, chociaż tyle.

Powiedziała mu, że prawie kupiła dom i już podpisała umowę wstępną. Potem zrobiła pauzę i czekała na wyrzuty, pretensje lub co

najmniej pouczenia – nie usłyszała nic takiego. Harald był bardzo łagodny, kiedy powiedział:

– Na pewno wiesz, co robisz.

Te słowa dodały jej wiatru w żagle. Była przygotowana do wygłoszenia dłuższej mowy obrończej.

– A co u ciebie? – zapytała.

– Jak na razie spokój. W przychodni głównie turyści, którzy albo poparzyli się na słońcu, albo nadepnęli na jeżowca. Właściwie mógłbym na jakiś czas zamknąć interes i pojechać do ciebie.

Anne nie wierzyła własnym uszom. Spodziewała się wszystkiego, ale nie takiego tonu w ustach swojego męża. Wręcz łał miód na jej serce.

– Zaczekaj, aż kupię dom, dobrze? Aż Enrico i Carla się wyprowadzą. Wtedy będziemy mogli urządzić się tu tak, jak będziemy chcieli, i wtedy na pewno będę cię potrzebowała.

– Wiesz, nie chciałem przyjeżdżać wyłącznie jako człowiek od rozpakowywania mebli. – Teraz Harald był lekko nadąsany.

– Wcale nie miałam tego na myśli. – Trochę jednak tak. I Harald to wiedział. Byłoby wspaniale, gdyby był tu ktoś, kto mógłby zamontować kinkiety, wymienić butlę z gazem i powiesić półki. Ale najważniejsze, żeby Harald nie zjawił się tu teraz i nie próbował wyperswadować jej kupna domu. Chciała, żeby przyjechał dopiero wówczas, kiedy wszystko będzie załatwione i nie uda się już unieważnić transakcji.

– Daj mi znać, kiedy to będzie. Jeśli właśnie nie rozleje się fala letnich zachorowań na gripę, przyjadę.

– To miłe z twojej strony.

Oboje zamilkli. Zakłopotanie po obu stronach było wyraźne i Anne zakończyła rozmowę. Nie było nic więcej do powiedzenia.

Anne powoli wracała do domu i mimowolnie sięgnęła pamięcią do historii z Pamelą, chociaż dzisiaj uważała ją za nieco absurdalną, a swoją reakcję za bardzo infantylną i przesadną. Dzisiaj na pewno nie utopiłaby saksofonu w akwarium, dzisiaj usiadłaby przed lustrem, przeznaczyła dużo czasu, żeby zrobić staranny makijaż, umalować usta szminką, która nigdy mu się nie podobała. Szybki numerek nie byłby

zły, a może trzy lub cztery lub nawet pięć – jeden po drugim. Jak ty mnie, tak ja tobie. Nawet nie wiesz, jak to boli.

Wtedy, w tym przeklętym roku, dziesięć lat temu, straciła wszystko, co było dla niej ważne. Syna i w pewnym sensie męża. Nie miała już przyjaciółki, siostry. I przyczyna tkwiła nie w Pameli. Pamela była niczym i nikim. Pamela nie była prawdziwą przyjaciółką. Anne ją wykorzystywała. Zdawała sobie z tego sprawę i nie miała z tego powodu żadnych skrupułów. Pamela była nieprawdopodobnie wygodna i praktyczna, całkowicie niewymagająca i zawsze do dyspozycji. Pamela była jak pies, który merdając ogonem, pójdzie z obcym na spacer.

Tak czy owak, sprawa z Pamelą niepostrzeżenie się zatarła. Harald i Anne milczeli, w ogóle przestali ze sobą rozmawiać. Dzięki temu nie padały także takie pytania: „Skąd wracasz o tej porze? Już prawie pierwsza!” – lub: „Tak cholernie długo zeszło ci się u pani Hansen?” – lub: „Od kiedy to chodzisz na kręgle, przecież dawniej w ogóle cię to nie interesowało?”. – To wszystko nie miało znaczenia. Anne o nic nie pytała, on nic nie mówił. Harald też nigdy więcej nie wspomniał o Pameli, a Anne wykreśliła ją ze swojego życia. Nawet od czasu do czasu zapominała o niej. Dla Anne Pamela już nie istniała.

Pamela pokazała się Haraldowi ze swojej wrażliwej strony. Albo z pruderyjnej. Zależy, jak na to spojrzeć. Czasem obie te cechy trudno odróżnić. Oczywiście Pamela wściekła się z powodu saksofonu, jednak najgorsze było to, że Anne ją uderzyła. Nie mogła znieść tego upokorzenia. O tym, jak bardzo *sama* upokorzyła przyjaciółkę – oczywiście nie pomyślała.

Anne poprzestała na tym i Pamela nie miała sposobności, aby dać Anne odczuć nienawiść i pogardę. Dosięgły one Haralda. W dalszym ciągu leżał u jej stóp, próbował wyjaśnić zachowanie żony i kupić jej nowy saksofon. Ale Pamela była tak jednostronnie nastawiona, że nie potrafiła inaczej, przeniosła swoją złość na niego. Stracił na atrakcyjności, ponieważ był żonaty z Anne. Miała mu za złe, że mieszka z nią pod jednym dachem. Tysiąc razy mógł ją zapewniać, że teraz Anne znaczy dla niego mniej niż nic – nie wierzyła w ani jedno jego słowo. Pan doktor był mężem szalonej, brutalnej kobiety, pan doktor tańczył

na wszystkich weselach, lecz nigdy do rytmu. I chociaż czuła, że z ła-
twością mogłaby go zdobyć, tak długo wmawiała sobie, że nie może
stać panu doktorowi na drodze, aż w końcu go straciła. Miał dość ciąg-
łego wysłuchiwanie docinków i złośliwości, miał dość tego, że ludzie
krzywo patrzą na niego na targu. We wsi nie był już ojcem, który stracił
syna, lecz mężczyzną sypiającym z kobietą, która na zabawie w re-
mizie zawsze siedzi pod ścianą, kiedy wszyscy inni tańczą.

Nie zrobił jej sceny. Nie chciał żadnej dyskusji, po prostu więcej
do niej nie poszedł i romans umarł tak cicho, jak się zaczął. Anne za-
uważyła to dopiero dużo później. Kiedy z szafy zniknęły płyty z Hin-
demithem.

W tym czasie Anne żyła jak robot. Uśmiechała się, kiedy ktoś
wszedł do przychodni, uśmiechała się, kiedy wychodził. Pobierała krew,
badała próbki moczu, porządkowała karty pacjentów i powtarzała mo-
notonnie: – Pani taka a taka, proszę przyjść... – Codziennie mnóstwo
razy otwierała i zamykała kabiny numer jeden i numer dwa: – Kiedy
rozbierze się pani do połowy... – i po kilku minutach nie wiedziała już,
kto był w której kabinie. Umawiała wizyty, łączyła telefony do Haral-
da, udzielała porad, wysłuchiwała plotek i wieczorem już nie wiedzia-
ła, kto był w gabinecie.

Kiedy gotowała, przyrządzała takie same ilości co dawniej, ale były
to zbyt wielkie góry jedzenia, ponieważ nie było już Felixa, a ona nie
siadała razem z nim do stołu. Harald nigdy się nie skarżył. Kiedy wra-
cał z przychodni, podgrzewał sobie część jedzenia i przez cztery, pięć
dni jadł to samo. Bez szemrania. Prawdopodobnie tak samo jak ona nie
przykładał wagi do tego, co je. Po obiedzie zawsze leżał do piętnastej
na kanapie w salonie, zakładał ręce na brzuchu, zamykał oczy i leżał
tak bez ruchu. Nie można było po nim poznać, czy śpi, czy tylko roz-
myśla, czy w ogóle żyje.

O piętnastej zaczynał wizyty domowe, o szesnastej trzydzieści zno-
wu przyjmował w gabinecie. Kiedy zdarzyło się coś nieprzewidziane-
go, przychodził później. Pacjenci to rozumieli, potrafili docenić, że nie
muszą fatygować się do przychodni, kiedy leżą w łóżku z czterdziesto-
ma stopniami gorączki.

Wieczorami Harald prawie zawsze wychodził. Nie wytrzymywał siedzenia w domu. Milczenie doprowadzało go do szału. Nie pytała go, gdzie idzie i kiedy wróci, po prostu jej to nie interesowało. Zawsze był osiągalny przez komórkę. Dla pacjentów i dla Anne. Ale nigdy nie zadzwoniła. Kiedyś złapała się na tym, że zapomniała, jaki jest numer jego komórki. Było to dla niej żenujące, jak musiała szukać numeru, kiedy poprosiła ją o to sąsiadka, której mąż dostał silnych bólów brzucha.

W niedziele regularnie odwiedzali rodziców Anne w Hamburgu, którzy mieli mały szeregowy domek w pobliżu lotniska. Anne doprowadzało do szału, że każdą rozmowę przerywał co kilka minut huk lądujących lub startujących samolotów i filizanki na stole podskakiwały i brzęczały na spodeczkach, ale rodzice już tego nie słyszeli. Nie żeby ogłuchli, tak bardzo się do tego przyzwyczaili, że po prostu przestali zauważać. Widocznie człowiek może przyzwyczać się do wszystkiego. Cóż za pocieszająca myśl.

Owe niedzielne popołudnia były trudne do wytrzymania. Ponieważ rozmowa zawsze schodziła niechybnie na Felixa, chociaż Harald i Anne próbowali tego uniknąć i zgrabnie omijali każdy temat, który mógł się tym skończyć. Ale matka Anne w każdą niedzielę zalewała się łzami i zadawała przy tym ciągle te same pytania, na które nikt nie potrafił udzielić odpowiedzi. Przeważnie trwało to pół godziny. Podczas gdy matka szlochała, ojciec brał do ręki czasopismo i przerzucał je bezmyślnie. Jego usta tworzyły już tylko cienką linię, wargi całkowicie zanikły. Nie dałoby się wsunąć pomiędzy nie znaczka pocztowego. Harald wpatrywał się w obrus i mieszał kawę, chociaż nie było w niej cukru. Mieszał dwadzieścia minut lub dłużej. Aż matka skończyła.

Matka Anne potrafiła płakać – Anne nie. Potrafiła też pocieszyć się kawałkiem ciasta z wiśniami – Anne nie.

Nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, ale też nie chciała mieć nikogo. To było jak z trzęsieniem ziemi: mówią o tym przez tydzień w telewizji i zainteresowanie jest ogromne – potem kataklizm idzie w zapomnienie, chociaż ludzie, których to dotknęło, jeszcze całymi latami cierpią z powodu jego skutków. Tak to już jest i na pewno zawsze tak będzie, ponieważ każde cierpienie działa na nerwy widzom

stojącym z boku, kiedy znowu i znowu muszą słuchać tego samego. Tego nie wytrzyma żaden człowiek. W pewnym momencie współczucie przemienia się w odrzucenie i agresję. Żaden przyjaciel, żadna przyjaciółka nie znieśliby, gdyby tygodniami mówiło się o Feliksie. A więc tego nie próbowała i została sama ze swoimi myślami. Zawsze cieszyła się na chwile przed zaśnięciem. Wtedy była myślami przy Feliksie i nikt jej w tym nie przeszkadzał. I za każdym razem modliła się o sen, w którym mogła być przy nim.

Był zimowy wieczór pod koniec stycznia. Sobota. Nie pamiętała dokładnej daty. Było cholernie zimno, ponieważ wiał silny wiatr. Wichura wyła wokół domu, stary kasztanowiec przed kuchennym oknem jęczał niemiłosiernie. Anne bała się, że drzewo mogło przewrócić się na dach. Właściwie było jej to dość obojętne, ale w tym wypadku drzewo z całą pewnością rozbiłoby okno w dzieciennym pokoju, a tego by nie zniosła. Noc, podczas której lodowaty wiatr hula po pokoju Felixa, byłaby dla niej czymś strasznym.

Anne siedziała przy komputerze w swoim pokoju, bezmyślnie surfowała po internecie i właśnie chciała zejść na dół, żeby w czasie, kiedy na dworze szalała wichura, pooglądać telewizję.

W fotelu siedział Harald. W pierwszej chwili przestraszyła się, ponieważ myślała, że poszedł – jak w prawie każdą sobotę – do Störtebeka na skata. Ale nie był na skacie, siedział w salonie i patrzył na nią. Nie miał w ręku szklanki, gazety, książki, pilota, niczego. Po prostu siedział. Była trochę speszona, lecz nie zapytała go, o co chodzi. Wzięła program telewizyjny, rzuciła na niego okiem i chciała przejść obok, żeby włączyć telewizor. Wtedy chwycił ją za rękę i pociągnął na swoje kolana. Pierwszy raz po tak długim czasie. Przytrzymał ją, obejmując silnym ramieniem. Było jej niewypowiedzianie dobrze. Anne miała uczucie, jakby od wielu dni dryfowała po oceanie i w końcu zjawił się ktoś, kto wciągnął ją do łodzi, otulił kocem i sprawił, że w jej zmarzniętych członkach znów zaczęła pulsować krew. Pragnęła przytulać się godzinami, dniami, ale były to tylko minuty. Oboje nie powiedzieli jeszcze ani jednego słowa, kiedy po prostu wziął ją na ręce i zaniósł na górę do sypialni.

Nie można twierdzić, że od tej pory we fryzyjskim domu lekarza zagościło szczęście, jednak znowu zaczęli ze sobą rozmawiać, przynajmniej o najważniejszych, organizacyjnych sprawach. To bardzo przyczyniło się do złagodzenia atmosfery, nie była ona już tak napięta, nie miało się już wrażenia, że dom eksploduje, kiedy ktoś powie „dzień dobry” lub zadzwoni dzwonek przy drzwiach. Anne nie bała się już, że rano natknie się na Haralda w kuchni lub w łazience, a nawet powoli uczyła się uśmiechać do niego na powitanie.

Stopniowo odzyskiwała wiedzę, co właściwie znaczy określenie „dom”, nie krążyła już po pustych pokojach całkowicie załamana z żalu. Znowu miała ciało, znowu była kobietą. I sprawił to Harald.

Anne znowu mogła uznać ten dom za swoje gniazdo i twierdzić i zabrała się do robienia porządków. Wyszorowała podłogi, uprała dywany specjalną pianką, zamalowała białą farbą drobne defekty na ścianach, umyła lepiące się półki z przetworami, wypolerowała szafy i uprała firanki. I z dnia na dzień czuła się coraz bardziej komfortowo.

Czasem musiała zrobić przerwę w trakcie pracy, ponieważ dostawała skurczy w podbrzuszu. Były bardzo nieprzyjemne i nie znała ich do tej pory. Czegoś takiego nie czuła już od wieków. Za każdym razem szła do toalety, żeby sprawdzić, czy dostała okres – ale niczego tam nie było. I powoli kiełkowała w niej myśl, której nie miała już od lat. Myśl, która wywoływała u niej koszmary w czasach szkolnych i studenckich. Aż poznała Haralda i pierwszy raz poczuła, że spotkała właściwego człowieka. Rzuciła studia, wyszła za Haralda i urodziła Felixa. Nagle wszystko stało się normalne i legalne, a nie brudne i zakazane. Nie była już dziwką, lecz matką, która otrzymała błogosławieństwo rodziców, przyjaciół, znajomych i lokalnej społeczności. Uspokajające uczucie. Potem przez kilka lat brała pigułki, a kiedy je odstawiła, w swoich praktykach seksualnych zaczęli stosować inne priorytety, które zapobiegały zajściu w ciążę. Anne czuła się z tym dobrze i nigdy nie odniosła wrażenia, że Haraldowi czegoś brakuje.

Myśl, że mogło mu czegoś brakować, pojawiła się w jej głowie po raz pierwszy, kiedy na scenie pojawiła się Pamela.

I teraz te nagłe powtarzające się skurcze, i to śmieszne uczucie. I okres, który spóźniał się już tydzień. Oczywiście, nie uważała w ten burzowy styczniowy wieczór. Tak bardzo byli zajęci tym, że się od nowa poznają, zdobywają i na nowo wzniecają słaby płomień wygastej miłości. Kiedy namiętność znowu zaczęła płonąć, oboje prawie postradali zmysły. I w końcu leżała w jego ramionach. Płacząc. Wreszcie wróciła do życia.

Po ośmiu dniach Anne zrobiła test. Kiedy wskaźnik leżał na jej biurku, przez kilka minut chodziła nerwowo po domu, nie mogąc czytać ani robić niczego sensownego, i próbowała dociec, czego by sobie życzyła. Tak lub nie, pozytywny lub negatywny, problem lub brak problemu, coś nowego lub wszystko zostaje po staremu. Po prostu nie wiedziała. Po pięciu trwających całą wieczność minutach zmusiła się, żeby wejść do pokoju. Serce biło jej jak młotem, twarz płonęła i ledwo mogła iść, ponieważ ugiwały się pod nią kolana. Czuła się jak oskarżona czekająca na wyrok ławy przysięgłych: winna lub niewinna.

Wystarczył krótki rzut okiem. Wynik testu był oczywisty i jednoznaczny. Winna. Kiedy człowiek traci głowę, nigdy nie pozostaje to bez następstw. Felix zaginał, w drodze było drugie dziecko. Jednak tym razem nie odbierała tego jako radosnego uczucia. Tylko bezradność.

W najbliższą niedzielę Anne i Harald wybrali się na spacer. Pan doktor i jego małżonka szli przez wieś, czego nie robili już od trzech kwartałów. Tak jak wcześniej tematem wiejskich plotek była Pamela, tak teraz z pewnością stało się nim to wystawione na publiczny pokaz pojednanie. Anne modliła się, żeby właśnie teraz nie zadzwoniła komórka i żeby Harald nie musiał wracać, ponieważ stary Knut złamał nogę, Johann spadł z ciągnika albo u małej Meike nastąpiła perforacja wyrostka robaczkowego.

Chciała z nim porozmawiać. Już, teraz. Tu, na wale przeciwpowodziowym. Z widokiem na morze. Albo na mieliznie. W zależności od tego, czy będzie tam woda, czy nie.

Nie było wody. Położył rękę na jej ramieniu i powoli szli wałem, mając po prawej stronie łąki, na których pasły się tu i ówdzie owce, a po lewej, jak okiem sięgnąć, ciągnęły się mielizny. I wtedy mu powiedziała.

Najpierw wytrzeszczył na nią oczy, jakby była zielonym stworem i właśnie wysiadła z latającego talerza, potem krzyknął, poderwał ramiona do góry, jakby chciał ściągnąć z nieba Pana Boga i go uściskać, wreszcie roześmiał się głośno, uniósł Anne i zakreślił nią kilka kótek, tak że fruwała jak na karuzeli, następnie wykrzyczał: – To cudownie! – wyrzucił kilka koziołków na zboczu wału, wpadał w coraz szybszy korkociąg, aż całkowicie wyczerpany, rozpromieniony i ciężko oddychając, legł przy ogrodzeniu pastwiska.

Pan doktor tarza się owczym gównie, pomyślała Anne i uznała widok swojego rozważnego męża, który zawsze stał mocno obiema nogami na ziemi, za wstrząsający.

Zupełnie nad sobą nie panował. Cieszył się, snuł plany, marzył, był bezgranicznie szczęśliwy. Felix odszedł w zapomnienie. Wszystko jeszcze raz zaczynało się od początku. Nowe dziecko – nowe szczęście. I tym razem będzie go pilnował. Dobrze pilnował. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Drugi raz coś takiego mu się nie przydarzy. Będzie patrzył, jak dorasta. Jak bierze ślub i studiuje. Będzie niańczył wnuki i to dziecko umrze dopiero po jego śmierci. Długo, długo po nim. Tak, jak się należy.

Anne stawała się coraz bardziej milcząca. Im więcej mówił, tym bardziej coś budziło w niej opór. Kiedy w końcu zaczął opowiadać, jak chce przerobić, przemaalować i umeblować pokój Felixa, była pewna swojej decyzji. Nawet jeśli złamie tym serce Haraldowi.

Kiedy Harald w warsztacie w piwnicy zaczął budować kołyskę, Anne powiedziała mu, żeby przestał. Nie urodzi nowego dziecka. Harald odłożył narzędzie, które trzymał w ręku, tak powoli, jakby w tej chwili przez głowę przeleciało mu pięćdziesiąt myśli i jakby w tej sekundzie próbował je wszystkie uporządkować. Zrozumiał jednak i nie był w stanie nic powiedzieć.

I wtedy zaczął się kolejny okres milczenia, przerywanego wyłącznie zwięzłymi uwagami, szorstkimi pytaniami i krótkimi rozkazami: „Czy ktoś dzwonił? Dlaczego nie kupiłaś chleba? Mówiłem ci! Posprzątaj w cieplarni! Potrzebuję wolnego miejsca! Gdzie jest rachunek za prąd? Leży na stole! Posłuchaj, dobrze wiesz, o co mi chodzi!”.

Harald opłakiwał istotę, która jeszcze się nie urodziła, Anne opłakiwała syna, którego kochała dziesięć lat. On opłakiwał życie, które chciał, żeby się zaczęło, ona opłakiwała życie, które na zawsze straciła.

Anne nie mogła uwolnić się od myśli, że pewnego dnia Felix wróci. I jego miejsce w jej domu nie może być zajęte. Harald wyobrażał sobie, że prędzej meteoryt spadnie w ogrodzie, niż pewnego dnia stanie przed drzwiami żywy Felix.

Prawdopodobnie Anne pojechała do Włoch po to, żeby udowodnić Haraldowi, że go znajdzie. Żywego lub umarłego. Prawdopodobnie chciała też wreszcie zakończyć rachunek i uratować w ten sposób swoje małżeństwo. Ale do tego była jeszcze długa droga.

Kai rozważał na wszystkie strony, czy powinien jeszcze podjechać do domu, żeby się ogolić i włożyć świeżą koszulę. W końcu dodał gazu i skręcił do Sieny. Wprawdzie będzie go to kosztowało przynajmniej półtorej godziny, ale słyszał, że wygląd i pierwsze wrażenie są dla Fiammy bardzo ważne. Fiamma była twardym orzechem do zgryzienia. Mówiono, że najgorsza jest jej nieobliczalność. Wszystko zależało od jej humoru. To, czy przyjmie kogoś przyjaźnie i podchwyci jego pomysł, czy już po pięciu minutach pokaże mu drzwi, było kwestią szczęścia.

Kai miał nadzieję, że wyjątkowo dzisiaj Fiamma nie wstała lewą nogą, w pobliżu swojego mieszkania na Via di Salicotto szybko kupił w małym, okropnie drogim sklepie Alimentari butelkę grappy dla burmistrza, a w kwaciarni doniczkę z białymi margerytkami dla Fiammy.

Allora jeszcze spała, całkowicie niewidoczna pod górą koców, co teraz w lecie musiało być istną torturą. Zamachała rękami jak cepem, kiedy delikatnie nią potrząsnął, lecz kiedy go poznała, rozpromieniła się i powiedziała *allora*, co znaczyło tyle co: Dzień dobry, co dziś robimy? Wszystko jedno, i tak zostanę u ciebie.

Doskonale ją zrozumieli powiedziała:

– Nie, zawiozę cię teraz do domu. I tak muszę porozmawiać z Fiammą. Ubierz się, zaraz wychodzimy.

Oczy Allory ciskały błyskawice. Wściekłe i pełne gniewu, że chce się jej pozbyć. Nic nie powiedziała, lecz włożyła sukienkę, poszła do kuchni, otworzyła lodówkę, wyjęła z niej butelkę, przystawiła do ust i piła duszkiem.

Kai zorientował się dopiero wówczas, kiedy przełknęła ostatni łyk.

– Zwariowałaś? – krzyknął. – To było wino!

Allora wzruszyła ramionami, wypuściła butelkę, która rozbiła się na kamiennej podłodze, a wychodząc z kuchni, potknęła się, potrąciła stół i beknęła *allora*.

Od tej chwili bez słowa grzecznie za nim dreptała.

Kiedy przyjechali do San Vincenti, Kai zdążył zobaczyć, jak burmistrz wypada z domu i z piskiem opon odjeżdża swoim małym zielonym fiatem. Kai zaparkował przed domem burmistrza, Allora wyskoczyła z samochodu i w mgnieniu oka zniknęła. Kaiowi było to bardzo na rękę, nie chciał mieć jej przy sobie podczas rozmowy, ponieważ nie wiedział, jak Allora zareaguje, kiedy się dowie o sprzedaży ruiny po swojej ukochanej Nonnie.

Kai uśmiechnął się szarmancko i zastukał w drzwi kołatką. Nigdy nie wiadomo, czy nie był już obserwowany.

Kilka sekund później drzwi otworzyły się raptownie i Fiamma krzyknęła:

– *Buongiorno* – co zabrzmiało, jakby młotek wpadł do blaszanej miski.

– *Buongiorno* – jakie w odpowiedzi padło z ust Kaia, było tym bardziej łagodne i z miejsca nastroiło Fiammę ugodowo.

Miała na sobie o wiele za ciasną sukienkę w kwiaty, długie upięte w nieładzie do góry czarne włosy wyglądały jak zburzone ptasie gniazdo. Błyszczące czerwone usta dodawały jej dumnej postaci pewnej surowości.

– Czego pan chce? – zapytała o wiele za głośno.

– *Mi scusi, signora* – powiedział. – Nazywam się Kai Gregori, jestem pośrednikiem w obrocie nieruchomości, przyjechałem z Sieny i mam do pani pytanie. Chodzi o dom zmarłej Giulietty, o Casa Mèria.

– Pięć minut – odparła Fiamma. – Nie mam więcej czasu. Ale na miłość boską niech pan wejdzie, nie musi tego słyszeć cała ulica.

Kai wyraził podziękowanie uśmiechem, powiedział:

– *Pernessò* – i wszedł za Fiammą do domu.

W sieni wręczył jej margerytki i grappę.

– Dla pani i dla męża.

– Dziękuję – odparła krótko i postawiła oba prezenty na komodzie w sieni. – Proszę za mną.

W salonie usiadła na kwiecistej kanapie podobnej do jej sukienki. Widok obu kwiatowych wzorów drażnił wzrok Kaia. Prawie całkowicie zapadła się w miękkich poduszkach, i kiedy założyła nogę na nogę, jej kolano znajdowało się wyżej niż piersi.

Mój Boże, jak niewygodnie, pomyślał Kai i tylko przysiadł na brzegu fotela.

– Pięknie tu u pani – powiedział Kai, a Fiamma uśmiechnęła się, widać było, że pochlebstwo sprawiło jej przyjemność.

– No dobra, strzelaj pan – wezwała i ponownie zrobiła zawziętą minę.

– Chodzi o Casa Mèria zmarłej Giulietty. Z mojej wiedzy wynika, że dom i ziemia są własnością gminy San Vincenti. Mam klienta, który chciałby kupić tę ruinę.

– Kto to jest?

– Enrico Pescatore. Jest Niemcem, ale od wielu lat mieszka we Włoszech i odbudował już dużo takich zrujnowanych domów. Wyłącznie przy użyciu starych materiałów. Z wielką pieczołowitością i bardzo pięknie.

Fiamma dała odmowny znak. Nie chodziło jej o piękno.

– *Porcamiseria!* Niemiec. Znowu jakiś Niemiec. Wszędzie tylko Niemcy i Amerykanie. To straszne. Napije się pan czegoś?

– Z chęcią. Poproszę o szklankę wody.

Fiamma próbowała wygrzebać się z kanapy, ale żeby się podnieść, musiała rozstawić nogi. Kai nie wiedział, gdzie ma podziać wzrok, czuł się bardzo zakłopotany i przeklinał w duchu, że zachciało mu się wody.

– Przeważnie Niemcy kupują wyłącznie ruiny położone na uboczu, których nie chce żaden Włoch – powiedział, żeby zatuszować nieprzyjemne uczucie. – Potem odbudowują domy i robią z nich prawdziwe klejnoty. Czasem myślę, że zadają sobie więcej trudu niż Włosi, ponieważ są bardziej świadomi piękna tej okolicy. Włosi, którzy mieszkają tu od urodzenia, w zasadzie nie znają nic innego i przez to mniej ją doceniają.

Fiamma przyniosła z kuchni karafkę z wodą i dwie szklanki.

– *Madonna*, co za głupstwa pan plecie – burknęła.

Kai wzdrygnął się. Co za kategoryczne stwierdzenie. Postanowił natychmiast przejść do ataku.

– Chce pani w ogóle to sprzedać czy nie?

– Oczywiście. – Fiamma wypła duszkiem całą szklanę.

– No to ile ma kosztować ta ruina?

– Dwadzieścia pięć tysięcy – powiedziała Fiamma i znów opadła na kanapę. – Ale nie sprzedam Niemcowi.

Kai nie posiadał się z radości, słysząc tak niską ceną – liczył się z dużo wyższą – ale Fiamma była piekielnie twardym orzechem do zgryzienia.

Nabrał głęboko powietrza w płuca, musiał teraz szybko coś wymyślić.

– W tym przypadku jest trochę inaczej – zaczął. – Ojciec Enrica był Włochem i nazywał się Alfredo Pescatore. Miał niemiecką żonę, a rodzina mieszka w pobliżu Palermo. Kiedy Alfredo, który był murażem, spadł z rusztowania i uległ śmiertelnemu wypadkowi, jego żona wróciła z dziećmi do Niemiec. Tęsknota za Włochami nie opuszczała Enrica przez całe życie, lecz dopiero na krótko przed trzydziestką mógł urzeczywistnić swoje marzenie i wrócić do Włoch. Najbardziej pokochał Toskanię, dlatego zaczął restaurować tu stare domy i ruiny.

– Aha. Czyli w zasadzie jest Włochem. – Fiamma zapaliła wyjątkowo cienkiego papierosa o średnicy mniejszej niż słomka, który w jej pulchnych palcach ozdobionych masywnymi pierścionkami sprawiał głupie wrażenie. – Taaak.

– Kocha Włochy, Włochy są jego ojczyzną. Na dodatek ma zachwycającą żonę, która bardzo angażuje się w sprawy społeczne. Jestem pewny, że ona też przyda się społeczności San Vincenti.

Ten argument podzielał. Fiamma była bardzo czuła na punkcie zaangażowania społecznego i zaczęła się zastanawiać. Kai wiedział, że jest już blisko osiągnięcia celu.

– W tej chwili oboje mają problem, ponieważ właśnie sprzedali dom i nie mają dachu nad głową.

– Młody człowieku – Fiamma z widocznym wysiłkiem próbowała wstać z kanapy – powiedziałam pięć minut, a minęły już cztery. Jeśli o mnie chodzi, ten Enrico może mieć tę ruinę. Za trzydzieści tysięcy. Ponieważ w ogóle nie znam ich obojga.

– Umowa stoi – zatriumfował Kai i uśmiechnął się. Fiamma była szcwanym lisem, ale ostatecznie wygrali oboje.

Fiamma przyglądała sukienkę, przejechała ręką po rozczochranych włosach, co nie przyniosło żadnego skutku, i uśmiechnęła się.

– Młody człowieku, zapomniałam, jak się pan nazywa?

– Kai. Kai Gregori. Mieszkam w Sienie i mam tam też biuro.

– Kai... *Porcamadonna*... przecież to nie jest nazwisko! To jakiś skrót. Ale od czego?

– Nie, nie, to nie jest skrót, to nazwisko, niemieckie nazwisko – dodał cicho. Był teraz mocno speszony.

Fiamma ciągle się uśmiechała.

– A więc dobrze, Kai... powinien pan wiedzieć jedno. Gdyby nie był pan tak paskudnie miły i taki zdolny i gdyby nie miał pan tak cudownie niebieskich oczu... pewnie nie sprzedałabym tych ruin temu Enricowi.

Kai wciąż siedział w fotelu i Fiamma prężyła się teraz przed nim. Po raz pierwszy pomyślał o ucieczce. Kto wie, wszystko mogło jej wpaść do głowy, gdyby szybko się stamtąd nie zabrał.

Pochyliła się nad nim i szepnęła prosto w twarz:

– Co pan powie na mały kieliszek? Nie sądzi pan, że mamy coś do uczczenia?

– Oczywiście – odparł Kai głosem tak opanowanym, jak to tylko możliwe – ale czy nie jest na to trochę za wcześnie? Dopiero jedenaśta, a ja muszę jechać.

Fiamma roześmiała się głośno.

– Widać, że nie jest pan Włochem.

– Czy nie mówiła pani, że się pani śpieszy?

Fiamma otworzyła butelkę Asti Spumante.

– Zawsze mam czas na interesy. – Z ciemnobrązowej gładko wypolerowanej błyszczącej szafy wyjęła dwa kieliszki do szampana i nalała do pełna. Potem usiadła obok Kaia na oparciu fotela. Jej wyprężony biust znalazł się dokładnie przed jego oczami, co odczuł prawie jako gwałt. Fiamma wcisnęła mu do ręki kieliszek.

– *Salute!*

Stuknęli się i wypili. Kai próbował skoncentrować myśli na Monice Benedetti. Może mógłby telepatycznie wpłynąć na nią, żeby do niego zadzwoniła. Ale chociaż tak mocno się wyteżał, jego komórka milczała.

– Zawsze będzie pan mile widziany w San Vincenti, Kai – mruzczyła Fiamma i wymawiała samogłoski „a” i „i” oddzielnie, co brzmiało komicznie.

– To bardzo uprzejme z pani strony, *signora*... – Kai był nadzwyczaj ostrożny.

– Fiamma. Proszę mówić do mnie Fiamma.

– Dobrze. Fiamma.

– Wie pan, mój mąż ma strasznie dużo pracy i często nie ma go w domu...

– Na pewno wkrótce znowu się tu zjawię, najpóźniej do *compromesso*... ale teraz muszę już jechać, do biura... – Wyjął wizytówkę z kieszeni marynarki. – Proszę, oto moja wizytówka. Może pani dzwonić do mnie o każdej porze.

Fiamma z wymownym spojrzeniem wsunęła wizytówkę za dekollet.

Kai dopił wino, postawił kieliszek na ławie wyłożonej niebieskimi i białymi płytkami i wstał. Podał Fiammie rękę, ale ona nadstawiła policzek.

– Bardzo się cieszę, że panią poznałem. – Pocałował ją w oba policzki.

– Ja też – wyszeptała.

Kai podeszedł do drzwi.

– Do zobaczenia – powiedział i dodał: – *Ciao*, Fiamma.

Burmistrzowa była całkowicie oczarowana tą poufałością i machała mu, kiedy energicznym krokiem szedł przez ogródek przed domem, wsiadał do samochodu, w popłochu uruchomił silnik i odjechał, podobnie jak burmistrz, który wyszedł z domu na krótko przed jego przyjazdem.

Kiedy na peronie w Montevarchi Enrico objął Carlę i pocałował ją w policzek, pierwszym zdaniem, jakie do niej powiedział, było:

– Mam dla ciebie dobrą i złą wiadomość.

Spojrzała na niego niespokojnie i lekko sceptycznie.

– Co się stało?

– Sprzedałem Valle Coronata – oznajmił i uśmiechnął się. – No, prawie sprzedałem. W najbliższych dniach idziemy do notariusza. – Była blada jak ściana i zastanawiał się, czy miało to związek z tym, co jej powiedział.

– A dobra wiadomość? – Głos się jej łamał i był lodowaty.

– Kobieta, która kupiła dolinę, jest bardzo miła.

– Co mam przez to rozumieć?

– To, co mówię. Zawsze mówię bez ogródek i nigdy nie owijam niczego w bawełnę. Przecież mnie znasz.

Spojrzała na niego, a jej wzrok wyrażał tylko jedno zdanie, które odczuł tak wyraźnie, jakby było wryte na jej czole: jesteś podły.

– W tej chwili mieszka u nas w młynie – kontynuował. Tak czy inaczej, teraz to nie miało znaczenia. Teraz, kiedy już zdradził najgorsze, mógł jej spokojnie wszystko powiedzieć. – Zrobiła sobie odpoczynek od rodziny w Niemczech i z miejsca zakochała się w Valle Coronata. Myślę, że na pewno nie będzie ci przeszkadzać, jeśli zostanie w młynie, aż się wyprowadzimy. Inaczej musiałyby zamieszkać w hotelu, a sądzę, że kiedy zapłaci za dom, będzie całkiem sflukana. – Roześmiał się.

Carla się nie śmiała.

– I gdzie będziemy mieszkać?

– Znalazłem już wspaniałą ruinę. Spodoba ci się. W następnym tygodniu idziemy do notariusza. Oceniam, że za cztery tygodnie... wyszykuję jeden, dwa pokoje, w których będziemy mogli prowizorycznie się urządzić. A potem spokojnie odbuduję resztę.

Carla milczała. Enrico przyciągnął ją do siebie.

– Carla, jest lato. Tak czy owak, żyjemy pod gołym niebem. Jeśli chcesz, możemy też spać na dworze. – Wziął jej bagaż. – Chodź, idziemy.

Bez słowa wlokła się obok niego, a Enrico wiedział, co sobie teraz myśli. Dlaczego robisz to wszystko, nie pytając mnie o zdanie? Nie omawiając tego ze mną! Dlaczego zawsze stawiasz mnie przed faktami dokonanyymi? Dlaczego nigdy nie rozmawiasz ze mną, kiedy chcesz skierować nasze życie na zupełnie inne tory? Na pewno tak myślała, lecz nie powiedziała tego. Nie była w stanie robić mu wyrzutów. Była tak bezgranicznie zawiedziona, że każde słowo zdawało się zbyt błahe, nic nieznaczące.

Każda inna kobieta wzięłaby swój bagaż i następnym pociągiem wróciła do Niemiec. Ale nie Carla. Od wielu lat Carla robiła wszystko, czego od niej żądał, i ze stoickim spokojem spełniała jego życzenia. W niektóre noce, kiedy w całkowitych ciemnościach siadał sam przy stole, aby móc spokojnie pomyśleć, zastanawiał się, czy było to siłą, czy słabością Carli. Nie wiedział tego. Ale było dla niego ważne, że przynajmniej pod tym względem nic się nie zmieniło.

– Co słysząc u twojego ojca?

– Źle – powiedziała. – Bardzo przeżył mój wyjazd do Włoch... „Byłoby lepiej, gdybym przy nim została, zwłaszcza teraz, kiedy sprzedałeś moją ukochaną dolinę...”, dodałaby chętnie, jednak nie zrobiła tego.

Enrico skinął głową. Jej słowa dźwięczały mu w uszach. Z upływem lat nauczył się słyszeć wszystko, co pomijała milczeniem, i z trudem to przetykać.

Kiedy dotarli do doliny, Anne już nakryła stół pod orzechem i przygotowała kolację, a Enrico postanowił ustąpić pola kobietom. Chciał trzymać się od wszystkiego z daleka.

Carla przywitała się z Anne przyjaźnie i z dystansem, Anne próbowała, możliwie jak najczęściej, okazywać solidarność z Carłą i starała się nadać swojemu głosowi wyjątkowo serdeczne i ciepłe brzmienie. Mimo to atmosfera była nadzwyczaj chłodna.

Carla dłużyła widelcem w swojej sałacie, jakby roziło się w niej od robaków, i dłużyła się kawałkiem sera, jakby był zrobiony z twardej gumy. Kiedy w końcu zdołała go przełknąć, wymamrotała:

- Przepraszam – i pobiegła do domu.
- Nie chcesz do niej zajrzeć? – Anne zapytała Enrica.

Enrico potrząsnął głową.

- Wszystko w porządku. Czasem już taka jest.

Anne weszła po tokańskich schodach i przez przeszklone drzwi zajrzała z tarasu do sypialni. Carla siedziała na łóżku i płakała. Anne zastukała w drzwi.

- Carla, czy mogę wejść?

Carla z wściekłością spojrzała na nią zapłakanyimi oczami, wstała i jednym ruchem zasunęła firankę w drzwiach. Nie mogła dać wyraźniejszej odpowiedzi. Anne ponownie usłyszała szlochanie i powoli zeszła na dół.

Enrico w ogóle się tym nie przejął. Carla musiała się porządnie wyplakać. To nie mogło zaszkodzić. Był zadowolony. Postąpił słusznie, sprzedając Anne Valle Coronata, a Carla kiedyś to zrozumie i mu wybaczy. Tak jak zawsze mu wybaczała.

Kai bardzo dobrze znał dottore Bartoliniego, notariusza z Monteverchi, który prowadził wszystkie jego interesy na rynku nieruchomości. Kilkakrotnie rozmawiał z Bartolinim przez telefon i zlecał sporządzenie umów kupna, i omawiał z Anne każdy paragraf. Anne była mu za to wdzięczna, robiła sobie notatki na marginesie kopii, chociaż nie miała wątpliwości. Absolutnie ufała zarówno Kaiowi, jak i Enricowi.

Enrico odmawiał przeczytania umów przed ich podpisaniem.

– Nieufność nie jest dobrą podstawą interesów – powiedział. – Gdybym myślał, że ktoś mnie oszuka, nie mógłbym żyć w tym kraju.

– Fiamma jest bardzo szczwana – stwierdził Kai – kazała zmienić kilka paragrafów, chętnie ci je wyjaśnię.

– I tak to usłyszę, kiedy notariusz będzie czytał umowę – powstrzymał go Enrico. – Naprawdę mam ważniejsze rzeczy do roboty niż zaprzatanie sobie głowy na zapas jakimiś umowami. Najchętniej potwierdziłbym wszystko podaniem ręki.

Naprawdę on nie jest z tego świata, fantasta, już po raz któryś pomyślał Kai, ponieważ dobrze wiedział, że przy czytaniu umów Enrico zrozumie najwyżej połowę, a z cichego odczytywania pod nosem przez Bartoliniego prawdopodobnie ani jednego słowa.

Podpisanie obu aktów notarialnych odbyło się tego samego dnia bezpośrednio jeden po drugim. Anne włożyła na tę okazję lekką letnią sukienkę z blad różowym kwiatowym wzorem, która doskonale pasowała do jej nastroju. Od czasu zniknięcia Felixa jeszcze ani razu nie czuła się tak lekka i szczęśliwa. W torebce miała potwierdzony przez bank czek na sto osiemdziesiąt tysięcy euro, Enrico dotrzymał słowa i rzeczywiście opuścił dwadzieścia tysięcy.

Enrico był ubrany w ciemne kortowe spodnie i koszulę w kolorze bałkańska, miał świeżo umyte kręjące się z tyłu włosy, mówił bardzo niewiele. Tylko się uśmiechał i w milczeniu podał wszystkim obecnym rękę.

Wygląda jak Włoch, pomyślała Anne, przy okazji muszę zapytać go o rodziców. To po prostu niemożliwe, żeby w jego żyłach nie płynęła chociaż kropla rzymskiej lub neapolitańskiej krwi.

W umowie kupna widniała suma sześćdziesięciu tysięcy euro, żeby zaoszczędzić na opłacie notarialnej i podatku.

– To nic szczególnego, we Włoszech wszyscy tak robią – Kai uspokoił Anne. I to całkiem otwarcie, na oczach notariusza. Anne była tym jednocześnie przestraszona i rozbawiona.

– *Dunque* – powiedział Bartolini, uśmiechnął się szeroko, przenikliwie spojrzał znad okularów na każdego z obecnych i zaczął czytać. Co drugie zdanie opatrywał komentarzem, każdą uwagę zaczynał słowem *dunque*, które znaczyło „a więc” i najwidoczniej było jego ulubionym zwrotem.

Anne nie rozumiała ani jednego słowa. Podczas czytania i komentarzy, co z pewnością zajęło pół godziny, oddała się marzeniom i czekała na moment, w którym Valle Coronata ostatecznie przejdzie w jej ręce.

– *Dunque* – powiedział Bartolini. – *Altre domande?* – Kai spojrzał na Enrica i Anne pytającym wzrokiem, Enrico potrząsnął głową, Anne poszła w jego ślady.

Stosownie do tego notariusz zapytał jeszcze raz, czy oboje wyrażają zgodę na sumę stu osiemdziesięciu tysięcy euro, na koniec wziął potwierdzony przez bank czek, długo go sprawdzał, położył na środku stołu i kazał złożyć na nim podpis Enricowi, alias Alfredowi Fischero-wi, i Anne Golombek. Następnie oba egzemplarze *compromesso* i umowy wstępnej, w których zapisano faktyczną cenę sprzedaży, zostały uroczyście podarte na tysiąc kawałków. Sąd nie uznawał fotokopii.

Enrico wsadził czek do kieszeni spodni. Tak po prostu, jakby to był zwykły kawałek papieru. Anne serce waliło jak młotem. Jej twarz płonęła z radości. Teraz Valle Coronata należała do niej. Zaczynała nowe życie.

Przed drzwiami serdecznie objęła Enrica. Miała uczucie, że wreszcie uśmiechnęło się do niej szczęście. Szczęście polegające na tym, że spotkała tego dziwnego, ale tak cudownego człowieka.

Anne czekała w kawiarni na zakończenie podpisania umowy pomiędzy Fiammą i Enrikiem. Na koniec Fiamma zaprosiła wszystkich na kieliszek prosecco. Miała umalowane jaskrawoczerwoną szminką

usta i kiedy pocałowała Kaia i Enrica w policzek, obaj wyglądali dość głupio z czerwonymi odciskami ust. Potem dała Kaiowi przyjacielsko-agresywnego klapsa w tyłek i szepnęła, najzwyczajniej w świecie przechodząc na ty:

– Podoba mi się twój przyjaciel Enrico, nawet bardzo mi się podoba, chociaż... jak na pół-Włocha cholernie słabo mówi po włosku. I ten okropny akcent! – Potargała sobie kunsztownie ułożoną fryzurę i teraz była wreszcie tak samo rozczochrana jak zwykle.

Kai wzruszył ramionami.

– Zapytaj go, od czego to zależy. Ja nie mam pojęcia.

Fiamma, kołysząc biodrami, tanecznym krokiem zbliżyła się z kieliszkiem w rękę do Enrica.

– Jak się ma pańska żona? – wymruczała i spojrzała mu głęboko w oczy.

– W porządku – powiedział Enrico. – Ale dziś rano nie czuła się najlepiej, dlatego została w domu.

– Skąd pan tak dobrze zna włoski? – zapytała szybko i posłała mu szeroki uśmiech.

Enrico poczuł przez chwilę irytację. Wiedział, że jego włoski pozostawia dużo do życzenia. Czy Fiamma się z niego nabijała, czy po prostu chciała być miła? Na szczęście Kai uprzedził go o kłamstwie, jakim musiał się wobec niej posłużyć.

– Mój ojciec był robotnikiem portowym w Palermo – wyjaśnił bez wahania. – Rodzice mieli małe mieszkanie nad brzegiem morza, ja znam je tylko z fotografii. Nic nie pamiętam, kiedy miałem trzy lata, ojciec wdał się z romans z kucharką z małej smażalni ryb i matka wróciła do Niemiec. Była tak wściekła i zraniona, że już nigdy więcej nie powiedziała słowa po włosku.

– Sądziłam, że pana ojciec zabił się, spadając z rusztowania – odparła Fiamma rozgniewana.

– Ależ skąd. – Enrico posłał Fiammie swój najbardziej czarujący uśmiech. – Uciekł z tą kobietą. Jednak dla mojej matki jakby umarł, wstydziła się, że ją porzucił, i dlatego wolała opowiadać o nieszczęśliwym wypadku. Czasem bezmyślnie powtarzam tę historię.

Ciężki los i związane z nim kłamstwo biednego porzuconego dziecka wywarło na Fiammie jeszcze większe wrażenie.

– Biedaku! – Rzuciła mu tęskne spojrzenie. – Cóż za okropne miał pan dzieciństwo! Czy utrzymuje pan jeszcze kontakt z ojcem?

– Nie, zginął dziesięć lat temu – wyjaśnił Enrico. – Zabił go spadający kontener w porcie.

Fiamma zamilkła. Więc jednak ten młody pośrednik powiedział prawdę. Właściwie nie byłaby zdziwiona, gdyby ją okłamał. Natychmiast uwierzyła we wszystko, co opowiedział jej Enrico, i była tym do głębi poruszona.

– Od czasu do czasu będę zaglądać do Casa Mèria, jeśli wolno? – zapytała Fiamma słodko jak cukierek i przejechała zwilżonym palcem pod oczami, żeby wytrzeć ewentualne ślady makijażu.

– Ależ oczywiście – skłamał Enrico. – Będzie pani mile widziana o każdej porze.

Ta zapowiedź była dla niego najgorszą groźbą, jaka mogła paść z ust Fiammy. Kiedy budował nowy dom, nie życzył sobie niezapowiedzianych wizyt. Anne również stwarzała pewien czynnik niepewności. Na pewno raz na jakiś czas wpadnie na pomysł, żeby złożyć wizytę jemu i Carli. Było tylko jedno wyjście: od tej pory musiał mieć przez cały czas włączoną komórkę, żeby ewentualny gość mógł się wcześniej zapowiedzieć. Chociaż niczego nie nienawidził bardziej niż dzwoniącego telefonu. Oprócz tego istniało niebezpieczeństwo, że Carla zacznie gdzieś wydzwaniać, umawiać się, spotykać z kimś i opowiadać jakieś nonsensy. Nie chciał tego. Musiał się tego wystrzegać. Nie miał jeszcze pomysłu, jak wybrnąć z tej sytuacji, ale bał się, że już nigdy nie będzie miał takiego spokoju jak w Valle Coronata, i to go denerwowało. Może jednak sprzedaż doliny była błędem.

Carla nakryła do stołu, otworzyła butelkę wina, przyrządziła panzanellę, wiejską potrawę z resztek jedzenia, którą Enrico wprost uwielbiał: czerstwy chleb namoczony, wyciśnięty i rozdrobniony, do tego cebula, pomidory, seler naciowy, bazylia, sól, pieprz, ocet i oliwa. Z tego wszystkiego powstawała letnia sałatka o aromatycznym, kwaskowym i świeżym smaku i do tego sycąca. Najważniejszym składnikiem panzanelli, który nadawał potrawie smak, był tuńczyk, ale musiała go pominąć, ponieważ Enrico nie jadał tuńczyków. Brzydził się brutalnymi metodami połowu tuńczyków i nie chciał czuć się winnym ich śmierci i cierpienia.

– Załatwione? – zapytała chłodno Carla, kiedy Enrico i Anne szli pod górę.

– Tak, wszystko poszło jak z płatka. – Enrico sprawiał wrażenie, jakby pozbył się zbędnego ciężaru.

– Gratuluję – powiedziała do Anne całkowicie zrezygnowana Carla. Anne objęła Carlę, która pozwoliła jej na to.

– Jestem taka szczęśliwa... i jest mi tak przykro, że cierpisz z tego powodu.

– Już dobrze – odparła Carla. – Nie można mieć wszystkiego. – Nałała do kieliszków po trochu wina. – Wypijmy za święto doliny. Ponieważ od dzisiaj jesteśmy bezdomni.

– Mylisz się – powiedział Enrico – od dzisiaj jesteśmy właścicielami pięknej, spalonej do fundamentów ruiny. – Własna ironia najwyraźniej mu się podobała, lecz Carla pozostała poważna. Wszyscy troje wzniesli toast i wypili po małym łyku.

– A poza tym – powiedziała Carla do Enrica – w młynie jest wąż. Zamknęłam drzwi, żeby nie mógł wyjść. Może byś go złapał, zanim wypijemy całą butelkę wina.

– Ale chyba nie byłoby w tym nic złego, gdyby wylazł? – Anne nie bardzo rozumiała logikę Carli. – O Boże, przecież ja muszę tam dzisiaj spać!

– Taaak – odparła Carla, i po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się uśmiech – to wszystko należy do uroków życia w Valle Coronata. – Poszła do domu i po chwili wróciła z dwiema pełnymi butelkami wody. – To przecież całkiem proste. Kiedy zamknę drzwi, wiem, że wąż jeszcze tam jest. Jeslibym zostawiła je otwarte, cały czas miałabym wątpliwości, gdyby Enrico szybko go nie znalazł. Nie mogę siedzieć tu godzinami i obserwować drzwi!

Anne przytaknęła. Zrozumiała zarówno docinek, jak i powód takiego postąpienia Carli z wężem.

– To na pewno wąż? – zapytał Enrico. – A może żmija?

Carla wzruszyła ramionami.

– Nie wiem dokładnie. Ale był dość długi. Może położ żółtozielony. – Zwróciła się do Anne: – Położy natychmiast atakują i strasznie kąsają. Jedno ich ukąszenie powoduje obrzydliwe rany, które trudno się goją, ale przynajmniej nie są jadowite.

Enrico pobiegł w stronę domu. Przyniósł z komórki karton z tektury i kij i pobiegł do młyna. Anne wolno poszła za nim.

– Jak go zabijesz? Tym kijem? Nie lepszy byłby szpadel?

– Nie mam zamiaru go zabijać – powiedział Enrico. – Złapię go i wyniosę do lasu. Mam nadzieję, że prędko nie wróci.

Anne westchnęła. Tej nocy będzie spała trochę gorzej.

Enrico przeszukiwał młyn kąt po kącie, metr po metrze.

– Zostań przy drzwiach! – zawołał do Anne. – Daj mi znać, jeśli będzie uciekał.

Enrico szukał około dwudziestu minut, wreszcie znalazł węża, który zwinął się pomiędzy pudłem z książkami, drewnianym koszem i obramowaniem kominka. Nie było możliwości, żeby z tego miejsca zmusić go do wpełznięcia do kartonu. Najpierw więc wypłoszył go, szturchając kijem tak długo, aż zmusił zwierzę do ucieczki. Wąż wspiął się na półkę, owinał wokół glinianego posążka lwa, a potem próbował po dywanie uciec w kierunku drzwi. Enrico ciągle odcinał mu drogę, aż w końcu

gad nie miał innej możliwości i wpełzł do pudełka. Enrico poderwał karton do góry, wybiegł z młyna, śpiesznym krokiem wszedł na wzgórze i skierował się do lasu.

Anne poszła do Carli i usiadła obok niej przy stole pod orzechem.

– Czasem dobrze mieć w domu mężczyznę – powiedziała cicho Carla, wyławiając kawałki selera naciowego z panzanelli.

– A czasem jeszcze lepiej, żeby go nie było – stwierdziła Anne.

Carla uśmiechnęła się, Anne również. Lody zostały przełamane.

Kiedy zaszło słońce, nagle zrobiło się bardzo zimno. Po kolacji Anne i Carla włożyły ciepłe kurtki i grube skarpety, żeby jeszcze mogły posiedzieć na dworze. Enrico nadal był boso, w koszuli z krótkimi rękawami, i twierdził, że jest mu ciepło. Nie padało, lecz wokół domu wiał porywisty wieczorny wiatr i trzeba było przycisnąć obrus kamieniami. Orzech szumiał i przypominał Anne wietrzne dni nad morzem.

Carla zrobiła gorącą herbatę i przyniosła z kuchni herbatniki. Enrico siedział rozparty na swoim krześle i miał zamknięte oczy, jakby medytował lub marzył. Carla naleła Enricowi i Anne herbaty i złożyła ręce w geście oczekiwania.

– Po co tu przyjechałaś? – zapytała. – Dlaczego kupiłaś Valle Coronata? Właśnie próbuję oswoić się z myślą, że znowu będę musiała zaczynać wszystko od początku, ale skoro Enrica bawi ciągłe odbudowywanie domów, to mnie też... Chciałabym jednak wiedzieć, dlaczego chcesz ukryć się tu, w tej głuszy i na tym odludziu. Bez mężczyzny, który by ci wyłapywał węże w mieszkaniu.

– Dziesięć lat temu straciłam syna – powiedziała cicho Anne. – Felixa. Miał dziesięć lat. Małego, delikatnego, jasnowłosego chłopca. Spędzaliśmy urlop w La Pecora, to niedaleko stąd.

– Znam La Pecora – wtrąciła szybko Carla, żeby nie przerwać Anne. – Enrico ją restaurował.

Enrico otworzył oczy. Anne spojrzała na niego, nie odwzajemnił jej spojrzenia, wpatrywał się w ciemność.

– To stało się w Wielki Piątek w 1994 roku. Felix bawił się na dworze przy strumieniu, około stu metrów od domu. Jeszcze przed zapad-

nięciem zmroku wołaliśmy go na kolację, ale nie przyszedł. Kilka minut później rozpętała się straszna burza, zrobiło się zimno i wiał silny wiatr, z nieba lały się strumienie wody, a Felix miał na sobie szorty i T-shirt, mój mąż natychmiast pobiegł go szukać. Szukał przez całą noc i jeszcze przez następne dwa tygodnie. Dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ale go nie znalazł.

– Czy zwróciliście się o pomoc do policji? – zapytała Carla. Najwyraźniej opowieść Anne bardzo ją poruszyła.

– Oczywiście. Następnego dnia już o świcie policja z psami przeszukała cały las, pławonurkowie przeszukali jezioro... Akcja trwała kilka dni, nic nie znaleźli. Nawet najmniejszej wskazówki. Żadnego śladu. Żadnej części garderoby. W ogóle niczego. Po dwóch tygodniach musieliśmy wrócić do domu i do dzisiaj nie ujrzałam więcej Felixa.

– I nie możesz tego znieść – wyszeptwała Carla. – Tej niewiedzy, co się z nim stało...?

Anne przytaknęła z oczami wbitymi w ziemię.

Carla położyła rękę na dłoni Anne. Przez trwającą wieczność chwilę nikt nie powiedział ani słowa. Anne wpatrywała się światło pochodni, w którym skwiercząc, paliły się ćmy. I wtedy opowiedziała o Wielkanocy, kiedy zniknął Felix.

Kiedy skończyła, pobiegła do domu, żeby przynieść zdjęcie Felixa.

Enrico dobrze wiedział; o kim Anne mówiła. Wspomniany Wielki Piątek przed dziesięciu laty, kiedy burza przygnała chłopca prosto w jego ręce, na zawsze wrył mu się w pamięć. To niemożliwe, pomyślał wytracony z równowagi, to nie może być prawda. Że kilka godzin temu sprzedałem dom matce tego chłopca? To czyste szaleństwo! I teraz będziemy tu mieszkać... tak blisko siebie.

Anne wróciła ze zdjęciem i położyła je na stole.

– Tak wtedy wyglądał. Gdybym chociaż wiedziała, czy żyje. Czy w ten Wielki Piątek został zamordowany i gdzieś zakopany, czy go uprowadzono? Może handlarze dziećmi gdzieś go sprzedali albo dostał się w ręce mafii zajmującej się międzynarodowym przemysłem pornograficznym. Wszystko mogło się zdarzyć. Teraz miałby dwadzieścia

lat. Nie mogę nosić żałoby, nie mogę go opłakiwać i nie odzyskam spokoju, dopóki się nie dowiem, co się z nim stało.

Carla długo przyglądała się zdjęciu.

– Nigdy nie widziałam tego dziecka. O ile pamiętam, w 1994 byłam podczas Wielkanocy w Niemczech. Mój ojciec miał wtedy zawał serca.

Podążyła zdjęcie Enricowi, który patrzył na nie ze zmarszczonym czołem.

– Nie znam tego chłopca – powiedział do Anne, potrząsając głową – lecz jeśli chcesz, chętnie pomogę ci go szukać.

Nikt nie znał Felixa tak dobrze jak on. Spędził z nim kilka dni w młynie, już dokładnie nie pamiętał ile. Dwa? Albo trzy? A może nawet cztery?

Tydzień przed Wielkanocą, kiedy wybrał się na spacer w pobliżu La Pecora, zobaczył go przypadkiem, chłopiec bawił się nad strumieniem. Od tamtej pory codziennie go obserwował i stale miał przy sobie butelczkę z eterem. Chciał być gotowy we właściwym momencie. Ten chłopiec go fascynował. Niezwykle poważny i skoncentrowany gromadził kawałki drewna i patyki, przywlekał kamienie i zbierał mech, żeby spiętrzyć wodę w strumieniu i zbudować szałas nad stworzonym przez siebie jeziorem. Całe dni pracował niezmiernie, godzinami stał na cienkich, sinych nogach w lodowatej wodzie i od czasu do czasu podśpiewywał sobie zawsze tę samą piosenkę. Piosenkę, której Enrico nie znał.

W ten Wielki Piątek Felix wspiął się dość wysoko na wzgórze, żeby poszukać więcej drewna. Robił to z takim zapałem i był tak zajęty, że burza całkowicie go zaskoczyła i nie słyszał wołania matki.

Enrico pojawił się w chwili, kiedy Felix już kompletnie przemoczony drżał z zimna i potwornie bał się grzmotów i błyskawic. Nie odważył się pobiec przez łąkę do domu. Enrico stał się jego wybawcą w potrzebie, więc natychmiast mu zaufał. Enrico bez trudności przekonał go, żeby wsiadł na kilka minut do jego samochodu i przeczekał, aż burza przejdzie.

Ten chłopiec nie był taki nieufny jak Benjamin. Nie myślał o ucieczce, Enrico nie musiał nawet trzymać go za rękę. Chłopiec po prostu

przeszedł kilka metrów do samochodu, a nawet prawie przebiegł, i od razu wsiadł.

Burza okazała się dla Enrica szczęśliwym przypadkiem. Długo się zastanawiał, jak wywabić chłopca z jego piekła nad wodą, i nawet sobie nie wyobrażał, że pójdzie to tak łatwo.

– Podwożę cię parę metrów do domu – powiedział i zapalił silnik, a chłopiec rozpromienił się z radości.

Kiedy rozklekotany jeep, który już dawno temu zakończył swój żywot na złomowisku, ruszył w przeciwnym kierunku, dla Felixa było już za późno.

Po kilku minutach, a może były to tylko sekundy, Felix zrozumiał, że ten mężczyzna nigdy nie zawiezie go do domu, i na jego twarzy pojawił się blady strach.

– Nie martw się – uspokoił go Enrico, niespodziewanie zahamował i przycisnął Felixowi do twarzy chustkę nasączoną eterem. Głowa Felixa natychmiast opadła i Enrico mógł nienagabywany pokonać długi odcinek drogi przez las. W Valle Coronata od razu zaniósł go do młyna. Carli tam nie było. Nikogo tam nie było. Byli całkiem sami i mieli nieskończenie dużo czasu.

– Dlaczego jesteś taki milczący? – zapytała Carla. – Czy coś się stało?

Enrico gwałtownie ocknął się z zadumy.

– To niemożliwe – powiedział powoli. – To niemożliwe, żeby dziecko tak po prostu zniknęło. Nie w tej okolicy. Tutaj nie ma handlarzy żywym towarem ani porywaczy polujących na dzieci dla porno-biznesu! Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby mógł tu grasować tajemniczy morderca dzieci. Jeśli już, to mordowałby częściej. A nie tylko jeden raz. I przecież znaleziono by zwłoki.

– Co ty mówisz? – zdziwiła się Anne. – Wszędzie tu stoją opuszczone domy, a do prawie każdego domu należy kilka hektarów ziemi. Jeśli się tu kogoś zakopie... czy można kiedykolwiek odnaleźć ciało?

– Nikt tu też nie chodzi – dodała Carla – można kopać godzinami i nikt tego nie zauważy. W Niemczech jest trudniej.

– To prawda – skłamał Enrico. – Ale to mnie jeszcze do końca nie przekonuje. – Rozmowa zaczynała go bawić. Była igraniem z ogniem i to go ekscytowało.

– W takim razie jak sądzisz, co mogło stać się z Felixem? – Anne zwróciła się do Enrica i mówiła dalej: – Jeśli podważasz wszystkie możliwości i teorie... czy masz lepszy pomysł?

– To musiał być głupi przypadek. Po prostu twój syn znalazł się o niewłaściwej porze w niewłaściwym miejscu. Może po prostu zdarzył się nieszczęśliwy wypadek. Może ktoś go przejechał traktorem albo przez omyłkę zastrzelił go kłusownik, albo zagryzł go pies pasterza, ponieważ Felix uciekał i prawdopodobnie upadł. Człowiek, który tu żyje, jest stale narażony na tego rodzaju nieszczęścia. Jego życie wciąż jest zagrożone. I dlatego ciało Felixa po prostu zniknęło. Tak jak mówicie, zostało gdzieś zakopane albo wrzucone do starej studni.

– Ale to niewiele posuwa mnie naprzód. – Anne zapaliła papierosa. Pierwszego tego dnia. – To są tylko przypuszczenia. Dopóki nie zobaczę zwłok, będę miała nadzieję, że on żyje.

– Rozumiem, że go szukasz – powiedział Enrico – ale po co od razu kupujesz dom? A jeśli twoje poszukiwania bardzo szybko zaprowadzą cię gdzieś dalej?

– Możliwe. W ubiegłych latach przecucie zawsze mi mówiło, że muszę pojechać do Włoch. Tęskniłam za tym krajem, ponieważ czułam, że gdzieś tu jest Felix. Wtedy go zostawiliśmy, mimo że nie doprowadziliśmy sprawy do końca, wróciliśmy do Niemiec, teraz chcę być wreszcie blisko niego.

Jakże szybko mógłbym raz na zawsze zakończyć twoje poszukiwania, pomyślał Enrico, ale nie zrobię tego. Do diabła, nie zrobię tego.

– Właśnie pomyślałam sobie o obu niedorozwiniętych synach Giacomina – zastanawiała się Carla. – Mają teraz ponad czterdzieści lat i codziennie jeżdżą po okolicy na vespach. Pojawiają się wszędzie tam, gdzie człowiek najmniej się ich spodziewa. Od czasu do czasu pomagają przez parę dni przy pracach leśnych, a kiedy im się znudzi, po prostu przestają pracować i siadają gdzieś z butelką piwa w rękę. Nigdy nie chodzą do wsi, zabronili im tego rodzice, ponieważ wstydzą się

swoich synów. I raz na jakiś czas znikają na kilka miesięcy, kiedy jadą na leczenie do kliniki psychiatrycznej w Sienie.

Enrico zaprzeczył:

– Kręci się tu dużo różnych cudaków, ponieważ we Włoszech się ich nie izoluje tak jak w Niemczech. Jeśli taki nie pójdzie do kliniki dobrowolnie, nikt go tam nie umieści na siłę. Tutaj takimi osobami zajmują się rodzice. A jeśli ktoś taki jest dorosły i szalony, po prostu zostawia się go w spokoju. Według mnie synowie Giacomina są nieszkodliwi. Uważam, że żaden z nich nie skrzywdziłby muchy.

– Nigdy nie wiadomo. Tego się nie wie wcześniej. Dopiero kiedy coś się naprawdę stanie, wszyscy są mądrzy po szkodzie.

– Co mam zrobić? – zapytała bezradnie Anne. – Może powinnam pójść do tego Giacomina i zapytać jego synów, czy w Wielkanoc tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego roku zabili w La Pecora mojego syna? Przecież to głupota!

– Moglibyśmy przynajmniej się dowiedzieć, czy w tym czasie nie byli w klinice.

– Harald rozwiesił wtedy setki ulotek na drzewach i w okolicznych wioskach, rozmawiał z każdym napotkanym człowiekiem. Nikt niczego nie widział, niczego nie zauważył. Jakby ktoś rzucił czary. Tylko jakaś stara kobieta kilka dni później zwróciła uwagę na jasnowłosego chłopca w szarym porsche.

– Właściciel sklepu Alimentari w Castelnuovo Berardenga jeździ srebrzystoszarym porsche – powiedział Enrico. – Nikt nie wie, skąd wziął pieniądze na ten samochód. Większość czasu porsche stoi w jego garażu za domem, a właściciel tylko go czyści i pucuje. Najwyżej raz w miesiącu jeździ nim do Florencji. Tak wolno, że wstrzymuje cały ruch na drodze. I każdy zadaje sobie pytanie, czego on właściwie szuka w tej Florencji...

– Skąd wiesz to wszystko? I dlaczego nigdy mi o tym nic nie mówiłeś?

– Nie mogę powtarzać wszystkich głupot, jakie ludzie opowiadają w składzie budowlanym. Zajęłoby mi to zbyt dużo czasu. – Rozmowa Enrica z Carlą przybrała ostrzejszy ton.

– Jak się nazywa ten sklepikarz? – Anne nie chciała dopuścić do zmiany tematu.

– Enzo Martini. Tak mi się wydaje. Nie jestem pewny, bardzo rzadko bywamy w Castelnuovo Berardenga.

– To co mam zrobić? – Anne stwierdziła teraz, że wszystko było inaczej, niż sobie wyobrażała. Okazała się bardzo naiwna. A miało być tak pięknie: pojedę do Włoch i poszukam mojego dziecka. Zaczę tam, gdzie zniknął dziesięć lat temu. Muszę gdzieś znaleźć jakiś ślad, jakąś wskazówkę. W jakiś sposób dowiem się, co wtedy zaszło.

Tak myślała. A teraz wiedziała, do kogo należy srebrzystoszare por-sche, dowiedziała się o dwóch umysłowo chorych mężczyznach, którzy bez celu jeżdżą po okolicy i przez przypadek mogli spotkać w lesie małego chłopca, a jednak nie posunęła się do przodu. Coś takiego zdarza się tylko na filmie lub w powieści – niestety rzeczywistość wygląda inaczej.

Anne była przybita. Cały jej plan w ogóle nie miał sensu. Zachowała się jak idiotka – powinna zostać w domu we Fryzji. Prawdopodobnie Harald znowu miał rację. Wtedy urodziłaby to drugie dziecko i mogłaby zacząć nowe życie. Dziecko miałoby teraz osiem lat. Może znowu byłby to chłopiec. Chłopiec taki jak Felix.

– Nie możesz nic zrobić – Enrico przerwał jej rozmyślenia. – Właściwie tylko policja mogłaby tu coś poradzić. Ale nie potrafię sobie wyobrazić, żeby po dziesięciu latach można było jeszcze znaleźć w por-sche jakiś użyteczny ślad.

– Jestem zmęczona, chyba pójdę się położyć. – Anne wstała. Nagle poczuła się tak rozbita, że trudno jej było wstać z krzesła. – Dobranoc. I dziękuję za wszystko.

Poszła wolnym krokiem do młyna i zamknęła drzwi. Nagle przeszła ją straszna myśl, że wkrótce będzie sama w dolinie.

Anne natychmiast zasnęła. We śnie widziała siebie, jak leży na stole operacyjnym, przymocowana, oślepiają ją ostro świecące lampy, tak że z trudem może rozpoznać maski i czepki chirurgiczne niemych postaci, które się nad nią pochylają. Bała się. Panicznie się bała. Próbowwała uwolnić się z pasów, bezsilność prawie odbierała jej rozum. Co oni ze mną robią? Chciała krzyknąć, ale z jej ust wydobywało się tylko charczenie. Postacie pochylły się niżej. Była pewna, chociaż nie mogła tego zobaczyć, że się uśmiechają. Co to ma być, przecież jestem zdrowa? Czy napływały jej do oczu, a może jej współczuli.

Nagle go rozpoznała. To był Enrico, ściągnął maskę, zdjął okulary i splunął na szkła. Po czym roztarł żółtawą mętną i ciągnącą się ślinę na kleistą papkę.

– Twoja matka miała wypadek – powiedział i znowu włożył okulary, zza których nie było już widać jego oczu. – Przeszczepimy ci teraz serce.

Źrenice Anne rozszerzyły się z przerażenia, oślepiało ją jaskrawe światło, lampy kręciły się dookoła, coraz szybciej i szybciej, aż wpadły w wir i zniknęły w małym czerwonym punkcie.

Chcieli ją zabić. Jęczała:

– Dlaczego? Jestem zdrowa. Proszę, dajcie jej serce komuś innemu!

– Nie czytałaś testamentu? – Pytanie ją przerażyło i poczuła, jakby podpalono pod nią stos.

– Ale ja jestem zdrowa! – Anne myślała, że się udusi, chciała się poruszyć, nie mogła. Mogła tylko szeptać: – Jestem jeszcze młoda. Po co mi serce starej kobiety? Enrico. Pomóż mi! Nie rób mi tego!

– Ona tak chciała. Masz być taka jak ona.

– Nie! – Anne nie miała już siły. Igła strzykawki coraz bardziej się zbliżała. W oczach Haralda, którego teraz rozpoznała bez trudności, lśnił triumf. Gorączkowo zastanawiała się, czy istnieje jeszcze jakieś wyjście.

– Harald, jeśli mi pomożesz, stanę z tobą. Tylko z tobą. Sprzedam dom we Włoszech. Może jeszcze będziemy mieli dziecko. Spróbuję, obiecuję ci to!

Niema postać, która była Haraldem, potrząsnęła głową i nie powiedziała ani słowa. Maską nawet się nie poruszyła, jakby w ogóle nie musiała oddychać. Enrico bezlitośnie i nieznośnie powoli nawlekał igłę.

Był jej katem. Traciła przytomność. Język wypadł jej z ust.

Nie żyję, pomyślała, a więc tak to jest. Tak po prostu.

Anne obudziła się zlaną potem. Jej T-shirt był mokry i kleił się do ciała. Poczowała lekki przeciąg wiejący przede wszystkim tuż nad podłogą, ponieważ drzwi nie były szczelne. Pomiędzy drzwiami a podłogą istniała szpara szerokości dwóch, trzech centymetrów. Anne wstrząsały dreszcze. Wstała i zapaliła światło. Na dworze krzyknął przestraszony ptak. W torbie podróźnej znalazła świeży T-shirt i przebrała się. Potem otworzyła ciężką klapę w podłodze, oparła ją o ścianę i powoli zeszła po prymitywnych drewnianych schodach do pomieszczenia na parterze.

Było ciemno. Zakłęta, ponieważ nie miała ze sobą latarki. Musi kupić małą latarkę, którą mogłaby zawsze nosić w kieszeni spodni. Ta dolina była czarną dziurą tej ziemi. Bez latarki człowiek był tu zgubiony.

Staby promień światła z góry oświetlał zaledwie pierwsze stopnie schodów. Koniecznie będzie musiała wymienić wszystkie żarówki w obu domach, Enrico wkręcił wszędzie dwudziestkiptki, żeby oszczędzać prąd. Choć on i tak prawie nie używał światła.

Na końcu schodów powoli wodziła ręką po ścianie, starając się znaleźć włącznik światła. Modliła się przy tym, żeby nie dotknąć jakiegoś skorpiona, które siedziały we wszystkich szparach, przyklejały się do sufitów i szukały schronienia w butach, swetrach i ręcznikach. Anne przysięgła sobie, że następnego dnia rano milimetr po milimetrze wyczyści odkurzaczem cały młyn i wytępi wszystkie skorpiony, pająki i wije, które osiągały tu niespotykane rozmiary. Carla rezygnowała z takich czynności. Nie zabiłaby żadnego pająka, skorpiona ani skorka – była taka sama jak Enrico. Czasami wynosiła do ogrodu skorpiona, którego znalazła na przykład w garnku lub w filizance, ale przeważnie

zostawiała zwierzęta tam, gdzie były. Dlatego w ostatnich latach bardzo się rozpleniły, mogły się bez przeszkód rozmnażać i zawładnęły oboma domami.

Światło dochodzące z pokoju ledwo oświetlało mały taras przed basenem. W nocy woda była czarna i lekko marszczyła się na wietrze. Anne pomyślała o węzłach, żabach i traszkach, które ukrywały się w czarnej wodzie i gęstych wodorostach. Kiedyś zbuduję w tym miejscu normalny basen, pomyślała, pomalowany jasną niebieską farbą i z kryształowo czystą wodą. Trochę chloru i pompa cyrkulacyjna, która cały czas oczyszcza wodę, sprawią, że traszki i ropuchy przestaną czuć się tu jak w domu. Będę się kąpać rano w promieniach wschodzącego słońca i już nie będę się bać, że wokół kostki owinie mi się wąż lub ropucha wskoczy mi na ramię.

Myśl o tym naprawdę ją ucieszyła, choć zdała sobie też sprawę, że do tego trzeba przeprowadzić rozległe prace budowlane. Trzeba będzie zburzyć stary basen i zbudować nowy. Z pomieszczeniem technicznym na wodociąg, zawór odcinający, pompy i filtry. Może przy okazji da się powiększyć basen o kilka metrów.

To była muzyka przyszłości. Będzie kosztowało majątek, a teraz po raz pierwszy nie miała grosza przy duszy.

Poszła do łazienki i usiadła na sedesie. Dopiero kiedy skończyła siusiać, zauważyła, że nie było tam papieru toaletowego. Nie było nawet jednej chusteczki higienicznej lub czegoś podobnego. Zdenerwowana wstała i podciągnęła majtki. Czegoś takiego nie znosiła śmiertelnie. Było dopiero pół do piątej. Weźmie prysznic najpóźniej za dwie godziny.

Napiła się zimnej wody prosto z kranu. Miała pragnienie po wypitym winie. Zastanawiała się, dlaczego tu, w młynie, zawsze nawiedzały ją we śnie koszmary, o wiele częściej niż dawniej. Czasem miesiącami nie miała żadnego, a tu prawie co noc budziła się w panice.

Prawdopodobnie muszę najpierw przyzwycząić się do ciszy i ciemności, pocieszała się, ale niemiłe uczucie pozostało. I znowu ogarnął ją strach, jak ma tu wytrzymać, jak żyć tu sama. Coś bardzo ją niepokoiło, czuła to, lecz nie wiedziała co.

Po wypiciu wody doznała pewnej ulgi. Zastanawiała się, czy może już nie zasypiać i poczytać coś do wschodu słońca, jednak kiedy się położyła, poczuła, jak bardzo była jeszcze zmęczona.

W Enricu i Carli znalazłam przyjaciół, pomyślała, dobrze, że zamieszkają w Casa Mèria. Świadomość, że istnieje miejsce, dokąd o każdej porze można pójść i gdzie jest ktoś, kto pomoże drugiemu, bardzo uspokajała. Co za życie byłoby tu bez Enrica i Carli, pomyślała nieco patetycznie, zanim zapadła w niespokojny sen.

Carla zdążyła już zrobić kawę, kiedy kwadrans po ósmej bardzo zaspana Anne wyszła z młyna.

– Czy zdążę jeszcze przed śniadaniem wziąć prysznic? – zapytała. Carla skinęła głową.

– Oczywiście. Enrico też nie jest jeszcze gotowy. Ładuje narzędzia do samochodu. Jeszcze dzisiaj chce zacząć prace w Casa Mèria.

Anne ziewnęła i potykając się, wróciła do młyna.

Kwadrans później, kiedy przysiadła się do Carli na śniadanie, czuła się odświeżona i całkowicie wyspana.

– Nie mogę zapomnieć tego, co opowiedziałaś wczoraj wieczorem – rzekła Carla. – Zanim przyjechałam z Enrikiem do Włoch, pracowałam jako przedszkolanka. Dzieci są czymś cudownym. Dobrze rozumiem, jak się czujesz i co musiałaś przeżyć.

– Dużo lepiej się poczułam, kiedy mogłam o tym komuś opowiedzieć – stwierdziła Anne. Kawa była mocna i gorąca i rozgrzewała aż po czubek głowy.

– Możesz opowiadać mi o Feliksie tak często i tak dużo, jak tylko chcesz. Skoro ci to pomaga. Chętnie posłucham. I z chęcią dowiem się o nim dużo więcej.

– Chwileczkę. – Anne wstała. – Czy ten mały odtwarzacz CD, który stoi w młynie na biurku, działa?

Carla przytaknęła. Anne wbiegła do domu i zostawiła szeroko otwarte drzwi. Po chwili zabrzmiał wysoki, czysty jak dźwięk dzwonu chłopięcy sopran. Felix śpiewał:

Wzdłuż rzeki Mexico River posuwa się wóz farmerski, o, jakże jestem szczęśliwy, ach, piękny mój los kowbojski.

Ja z Zachodniego Teksasu, konie pode mną aż tańczą, spójrz, tam pod lasem daleko – moje ukochane rancho.

*Wieczorem siadam przy ogniu, kowbojskie serce się zmienia, wspominam
przebrzmiałą miłość, wierność, tęsknotę, cierpienia.*

*Gdy ruszę w ostatnią podróż, gdy skończy się życie moje, nad rzeką Mexico
River wykopcie mi grób, kowboje.*

Anne walczyła ze łzami i ledwo mogła mówić.

– To była jego ulubiona piosenka. Ciągłe ją śpiewał. Bez przerwy. Czasem działało mi to już na nerwy. – Na jej twarzy ukazał się nieszcześliwy uśmiech. – A teraz dałabym wszystko, żeby jeszcze raz ją zaśpiewał.

– Puść to jeszcze raz – poprosiła Carla. – Rzadko miałam okazję słyszeć taki piękny dziecięcy głos.

– Mieliśmy nagranie na kasecie, ale kazałam wypalić je na CD, żeby broń Boże go nie stracić. – Anne ponownie włączyła odtwarzacz.

W pierwszej chwili było to jak *déjà vu*. Ten czysty dziecięcy głos. Enrico odwrócił się i przez ułamek sekundy sądził, że widzi Felixa, jak skokami zbiega z góry i zbliża się prosto do niego. Ale starał się myśleć trzeźwo i powiedział sobie, że to przecież niemożliwe, i oczywiście kiedy ponownie spojrzął na drogę, nie dojrzał tam nikogo.

Enrico szybko oddychał i było mu gorąco. Ciągłe słyszał dziecięcy głos. Świadomie wstrzymał oddech, żeby lepiej słyszeć, znał tę piosenkę. Była to piosenka, którą śpiewał nad strumieniem Felix. Tylko dlatego zwrócił na nią uwagę.

Enrico usiadł na chwilę na miejscu pasażera, zostawił szeroko otwarte drzwi i zamknął oczy. Słowa, które słyszał, płonęły mu w duszy: ...*wspominam przebrzmiałą miłość, wierność, tęsknotę, cierpienia. Gdy ruszę w ostatnią podróż, gdy skończy się życie moje, nad rzeką Mexico River wykopcie mi grób, kowboje.*

Widział, jak Anne wstała i odniosła odtwarzacz do młyna.

Felix, pomyślał, psiakrew, Felix, skąd mogłem przypuszczać, że ta kobieta jest twoją matką.

Kiedy Enrico pozbierał się i oddech wrócił mu do normy, poszedł powoli w kierunku domu.

Po śniadaniu Enrico natychmiast wyjechał. Carla chciała zrobić pranie i trochę posprzątać. Anne zapytała, czy mogłaby jej pomóc, ale Carla odmówiła. Anne wyczuła, że chciała mieć chwilę spokoju. Anne odłożyła więc na później program eksterminacji insektów i wybrała się pieszo do La Pecora. Koniecznie chciała powiedzieć Eleonore o kupnie młyna i że teraz będą sąsiadkami.

Droga do La Pecora była męcząca. Przez długi kawałek prowadziła stromo pod górę. Anne, nieprzyzwyczajona do takiego marszu, często robiła postoje. W pewnym momencie zadzwoniła jej komórka. To był Kai.

– Czy możemy dziś wieczorem uczcić transakcję? – zapytał.

– Możemy. Gdzie się spotkamy?

– O siódmej w Sienie na Campo? Znam w pobliżu małą restauracyjkę. Nie dla turystów, nie przesadnie droga, ale wyborna.

– Już się cieszę – powiedziała Anne i rozłączyła się. W tej chwili przyszło jej na myśl, że może dziś wieczorem powinna włożyć do torebki szczoteczkę do zębów. Serce biło jej z podniecenia, czuła się jak młoda dziewczyna przed pierwszą randką i teraz wspinała się pod górę znacznie sprawniej niż przedtem.

Kiedy Anne przyszła do La Pecora, Eleonore właśnie smażyła konfitury z moreli. Ucieszyła się z odwiedzin Anne i pogratulowała kupna Valle Coronata.

Siedziały na tarasie i wyjmowały pestki z moreli, kiedy Eleonore zadała to samo pytanie, co Carla poprzedniego wieczoru:

– Co cię skłoniło, żeby kupić tę odludną dolinę?

I tak samo jak poprzedniego wieczoru Anne opowiedziała całą historię i krótko powtórzyła też spekulacje na temat zniknięcia Felixa, które snuli wczoraj wieczorem.

A potem Eleonore powiedziała coś bardzo istotnego: zaginęły też inne dzieci. W 1997 roku jedenastoletni Włoch, Filippo, który w drodze do szkolnego autobusu musiał iść dziesięć minut przez las i pewnego dnia nie dotarł do szkoły; i w 2000 roku Marco, już trzynastoletni, ale dość niski jak na swój wiek, wydawał się również młodszy.

Umówił się z kolegami nad jeziorem w pobliżu Cenniny; koledzy czekali na niego nadaremnie. Marco do dziś się nie odnalazł. Tak samo jak Filippo.

Eleonore była miłośniczką kryminałów. Czytała wyłącznie powieści kryminalne i kiedy usłyszała o zaginionych dzieciach, bardzo zainteresowała się oboma przypadkami.

Czy nie było tak, że tajemniczy morderca dzieci grasował wyłącznie w tej okolicy i ukrywał zwłoki w tak pewnych kryjówkach, że do tej pory żadnej nie odnaleziono. W tym momencie Anne straciła nadzieję, że Felix może jeszcze żyć. Zdziwiła się, że Enrico i Carla nic nie słyszeli o innych zaginionych dzieciach.

Kiedy Anne dotarła na Piazza del Campo w Sienie, była o ponad godzinę spóźniona i nadzwyczaj wzburzona. Tego popołudnia nic jej się nie udawało. Za długo rozmawiała z Eleonore, za późno wyruszyła w drogę powrotną, i kiedy przyszła do doliny zakurzona, spocona i rozbita, miała już bardzo mało czasu. Mimo to dość, żeby wziąć gorący prysznic. Chciała jeszcze tylko umyć włosy, wysuszyć je i wyruszyć do Sieny.

Ale w dolinie nie było prądu, a przez to bieżącej wody, ponieważ nie pracowała pompa. Po krótkiej, lecz gwałtownej burzy wyskoczył główny bezpiecznik, a Carla nie wiedziała, gdzie Enrico trzyma klucz do skrzynki z bezpiecznikami. Enrico nie wrócił jeszcze z Casa Mèria. Na pewno będzie pracował do zachodu słońca, czyli do około dwudziestej pierwszej.

Anne była bliska obłędu. Tak się cieszyła na wieczór z Kaiem, a czuła się lepka i brudna. Zastanawiała się, czy nie wejść na górę, gdzie jej komórka miała zasięg, i nie zadzwonić do niego, żeby odwołać spotkanie... choć czuła, że nie zrobi już ani kroku. A już na pewno nie pod górę.

Obmyła się wodą z ciemnozielonego, zarośniętego wodorostami basenu i przeklinała Carlę za jej brak wiedzy i samodzielności. Carla w niczym nie widziała problemu. Zdarzały się gorsze rzeczy niż brak prądu. Do czegoś takiego trzeba się przyzwyczaić w Valle Coronata, stwierdziła.

Anne nie wdawała się w dalszą dyskusję. Przebrała się w świeże rzeczy, pobieżnie umalowała, wrzuciła do torebki najważniejsze kosmetyki, szczoteczkę do zębów i pobięła do samochodu.

Na kamienistej polnej drodze niedaleko Duddova natknęła się na jadący z przeciwka traktor, który stanął i nie zamierzał się ruszyć, oczywiście oczekując, że Anne wycofa się po krętej, stromej szutrowej

drodze do miejsca, gdzie mogliby się wyminąć. Miała ochotę wysiąść i wytłumaczyć temu głupiemu robotnikowi leśnemu, jakie to proste zjechać traktorem na pole oliwek, ale brakowało jej słów. Ten tubylec z pewnością wziął ją za turystkę i tym bardziej chciał postawić na swoim. Jeszcze nikt nie wiedział, że była nową właścicielką i mieszkanką Valle Coronata.

Manewr wymijania kosztował ją następne pięć minut i dopiero za dwadzieścia siódma skręciła wreszcie w asfaltową drogę w kierunku Sieny.

Dla Anne Siena była najpiękniejszym miastem na świecie, miała tylko jeden defekt: brak parkingów. Do tej pory przyzwyczała się parkować przy Stadio Comunale i potem szła pieszo do Campo, lecz tego wieczoru drogi dojazdowe do stadionu były kompletnie zapchane. Anne stała w korku i nerwowo spoglądała na zegarek. Pięć po siódmej. Dotarcie na Campo będzie trwało jeszcze całą wieczność. Oby Kai miał aż tyle cierpliwości.

Parking przy stadionie był zamknięty, dookoła kręcili się setki ludzi pragnących kupić bilety na jutrzejszy mecz.

– To po prostu niemożliwe – złorzeczyła Anne. – Dobry Boże, miej mnie w swojej opiece i broń przed wszystkimi moralnymi uchybieniami i cielesnymi grzechami, tak nie może być, psiakrew. – Wściekle waliła rękami w kierownicę i trąbiąc brutalnie, wykonywała slalom pomiędzy czekającymi samochodami.

Zielone światło, jeszcze jedno, jechała przed siebie i nie wiedziała już, gdzie jest. Czuła tylko, że coraz bardziej oddala się od centrum.

Kiedy rzeka samochodów uniosła ją za miejskie mury, postanowiła się zatrzymać i spojrzeć na mapę, jednak musiała przejechać jeszcze trzy skrzyżowania, aż wreszcie dostrzegła tabliczkę z nazwą ulicy. Viale Giuseppe Mazzini znajdowała się na górze przy samym brzegu planu. Zawróciła z piskiem opon, żeby przejechać przez Porta Olive, a następnie w kierunku Palazzo Salimbeni, ale ulice były tak poplątane i wytyczone zupełnie inaczej niż na planie, że wylądowała przy Porta Camollia, która znajdowała się daleko za stadionem, dokąd się kiero-

wała, a na dodatek ta brama miejska Sieny mieściła się najdalej od Piazza del Campo.

Parę minut przed pół do ósmej Anne była już bliska szaleństwa i zastanawiała się, czy po prostu nie zawrócić i nie pojechać grzecznie z powrotem do doliny, żeby w ciszy pod orzechem zakończyć ten dzień przy butelce wina, kiedy zadzwoniła komórka. Miała zielone światło, a za nią trąbiła ciężarówka. Wcisnęła zielony przycisk odbioru rozmowy i wrzasnęła do telefonu, nie upewniając się, czy rzeczywiście był to Kai, i nie słuchając, co do niej mówi:

– Jadę. Kiedyś dojadę, pod warunkiem, że znajdę w tym cholernym mieście po pierwsze, Campo, a po drugie, miejsce parkingowe! – Potem się rozłączyła.

Przez następny kwadrans krążyła po okolicy i wreszcie zaparkowała przy Piazza della Libertà, ale za to znowu była w pobliżu stadionu. Potem następne dwadzieścia minut pieszego marszu i wreszcie dieście po ósmej doszła na Campo. Zestresowana i całkowicie wyczerpana. Pot spływał jej cienkimi strużkami po twarzy, a tusz do rzęs został wąskie szarawe paski na makijażu.

Zobaczyła go, jak stał przy fontannie. Rozpięta koszula, rękawy lekkiej letniej marynarki podwinięte, ręce w kieszeniach. Wyglądał, jakby cicho gwizdał jakąś melodię. Psiakrew, ale ten facet jest przystojny, pomyślała, a ja zjawiam się tu jak czarownica, która przez trzy dni leciała na miotle przez burzę.

Roześmiał się, kiedy ją zobaczył.

– Myślałem, że już zapuszczę tu korzenie – powiedział zamiast powitania. – Nic już nie mów, dobrze, że jesteś.

Położył ręką na jej ramieniu i pociągnął w dół na obramowanie fontanny.

– Najpierw usiądź i chwilę odpocznij. A potem zastanowimy się, co dalej.

– Nie mogę tak iść do restauracji, cała się lepię! W Valle Coronata wysiadł prąd, zrobiłam sobie forsowny marsz do La Pecora i nie mogłam wziąć prysznic! – Spojrzała na niego i nawet się uśmiechnęła. – Po prostu dzisiaj wszystko źle mi się układa.

– Zapraszam cię na prysznic i zimnego jak lód drinka na moim tarasie. Co ty na to? To tylko kilka minut pieszo. Potem będziemy mogli pójść coś zjeść.

– Co prawda nie jestem w stanie zrobić już ani kroku, ale to brzmi cudownie.

Powoli wstała i przeciągnęła się.

– Chodźmy. Na pewno masz też jakieś krzesło lub fotel, na którym siedzi się wygodniej niż tu, na tych kamieniach.

Powiedziała fotel, chociaż właściwie myślała tylko o jego łożku.

Kai był wdzięczny, że Anne wzięła prysznic, a nie kąpała się jak Al-lora, inaczej również jej musiałby zaoferować płyn do prania wełny zamiast dodatków do kąpeli. Kiedy skończyła, wyszła na taras w jego płaszczu kąpielowym w niebiesko-zielone paski i usiadła na leżaku.

– Tego mi było potrzeba – oznajmiła, a on nie mógł sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek jakaś kobieta wyglądała tak pięknie jak ta tutaj w jego olbrzymim płaszczu kąpielowym.

Podał jej campari z wodą sodową i cytryną i stuknął się z nią swoją whisky.

– *Salute* – powiedział – żebyś była szczęśliwa w Valle Coronata.

Anne skinęła głową i milczała. Piła powoli małymi łyчками i rozkoszowała się widokiem na miasto.

– Cudownie – wyszeptała. – Ten widok jest po prostu bajeczny! Moja dolina ma raczej coś z Gór Fichtel, to tutaj to są Włochy!

– Może chciałabyś obejrzeć jeszcze inne obiekty. Z większości domów rozpościerają się piękne rozległe widoki, a w dolinie może ci ich niekiedy brakować.

– Może, może, może – odparła zadumana. – Nie można mieć wszystkiego, ale ta dolina pociąga mnie swoją magią. To miejsce mnie oczarowało, ma w sobie coś wyjątkowego, czego nie potrafię opisać. Kiedy tam pojechaliliśmy, wcale nie miałam uczucia, że jestem tam po raz pierwszy, to wszystko było takie znajome... Nie, Kai, tak jest dobrze. Los rzucił mnie do tego małego rajku i teraz jestem ciekawa, co się ze mną stanie. – Mówiąc to, Anne kręciła słomką w campari. – Wiesz

co – powiedziała – chodźmy teraz do łóżka, a potem opowiem ci, dlaczego naprawdę przyjechałam do Włoch i czego tu szukam.

Wstała i uśmiechnęła się. Potem wzięła go za rękę i pociągnęła w kierunku drzwi do pokoju.

Kai był zmieszany. Oczywiście liczył się z tym, że ten wieczór może skończyć się w łóżku – jednak czegoś takiego się nie spodziewał. Szedł za nią, nie stawiając oporu, i serce biło mu jak szalone. Krew szumiała mu w uszach i czuł się tak podniecony, jakby to był jego pierwszy raz.

Początkowo Enrico tylko czuł, że nie jest sam na placu budowy. Usłyszał szelest, chociaż plaskał cementem w szpary w murze, a kielnia głośno i nieprzyjemnie skrobała, kiedy natrafiała na większe kamienie. Najpierw pomyślał, że to wąż, ale węże natychmiast uciekały, kiedy ruch i hałas na budowie zakłócał im spokój. Nie przychodziło mu do głowy żadne zwierzę, które nie rzuciłoby się spontanicznie do ucieczki, i to go zaniepokoiło.

Zrobił się bardziej ostrożny, czujny i częściej rozglądał się dookoła. Nadal miał uczucie, że ktoś go obserwuje. Nawet kiedy stał przy hałasującej betoniarce i łopata wrzucał piach do bębna, czuł na plecach czyjeś spojrzenie.

W pobliżu nikt nie przechodził. Nie był to sezon łowiecki, nie rosły jeszcze grzyby, a Włosi nie chodzili na spacerzy tylko tak, dla przyjemności. Bardzo mu to odpowiadało. Musiał śpieszyć się z pracami. Skoro nie miał pozwolenia na budowę, lepiej postawić urzędników przed faktem dokonanym i mieć nadzieję na *condono*. Wprawdzie w tym wypadku trzeba zapłacić karę, ale w końcu budowa na czarno i tak zostanie zaakceptowana i nie trzeba będzie jej burzyć.

Jak do tej pory jeszcze nigdy nie starał się o pozwolenie na budowę i zawsze miał szczęście. Kiedy budował dom, nienawidził podporządkowywania się przedłużonemu ramieniu włoskiego prawa w postaci niskiego brzuchatego geometry. Głęboko gardził tymi wszystkimi miernotami, których największym dążeniem było życie zgodne z prawem, trzymanie się przepisów i zdobywanie dziesiątków zezwoleń, żeby w końcu wybudować dom, którego wcale nie chcieli, lecz którego inaczej nie wolno byłoby zbudować.

Enrico czuł się artystą, a sztuka miała wiele wspólnego ze spontanicznością. Chciał rano przy śniadaniu decydować, czy okno wstawić wyżej, czy niżej, czy ma być węższe, czy szersze albo czy nie lepiej

zrobić z niego drzwi. Każda jego decyzja wiązała się z estetyką i nie pozwoli tego zniszczyć temu geometrze, który nigdy nie zrozumie jego ambicji.

W tym czasie dwa razy przyprowadził tu Carlę, żeby mogła poznać Casa Mèria. Na pierwszy rzut oka była niezbyt zachwycona. Ona chciała mieć taras od południowej strony, on od północnej. Nie miało dla niej znaczenia, że taras widać z drogi, dla niej najważniejsze było słońce.

– Przecież to żaden problem, można rozstawić na tarasie parasol od słońca – orzekła. – A tak moglibyśmy siedzieć na dworze również wiosną i jesienią, kiedy w cieniu jest już za chłodno.

Enrico twierdził, że zimniejsza północna strona nadaje się znacznie lepiej, ponieważ dom zasłania drogę, a widok na głęboki wąwóz i ciemny las go uspokaja. Ciągłe poszukiwanie słońca i ciepła uważał za specyficzny kobiecy kaprys, sam wolał siedzieć w cieniu, a kiedy to było konieczne, wkładał gruby sweter.

Ostatecznie Carla mogła sobie mówić i przedstawiać argumenty: a i tak to on budował dom i taras, i to dokładnie tak, jak chciał. Ponieważ Carla nie miała większego wpływu niż geometra lub włoskie ustawodawstwo.

Tylko raz napotkał trudności, kiedy dziesięć lat temu odrestaurowywał Valle Coronata. Właśnie wylał cementem basen, kiedy zjawił się *maresciallo di forestale* i urządził piekielne przedstawienie, ponieważ Enrico nie miał zezwolenia na budowę.

Enrico do tej pory pamiętał, że jeszcze nigdy nie wpadł w taką panikę jak wtedy. Był zaskoczony, poirytowany i całkowicie speszony. Jego mózg pompował przez pulsujące skronie tylko jedną myśl: zyskać na czasie! Momentalnie odłożył łopatę i na jego twarzy pojawił się czarujący uśmiech. Potem zaprosił *maresciallo* na kieliszek Vin Santo i podarował mu dwie butelki Grappa di Brunello, której sam nie pił, ale zawsze trzymał w domu na łapówki.

Wyjaśnił, że chciał jedynie umocnić naturalną nieckę stawu, ponieważ po każdym deszczu woda przerywa obramowanie i zatapia dolinę. Zalewa wtedy młyn i już parę razy zniszczyła ważne papiery do jego

pracy naukowej. W młynie panuje taka wilgoć, że dostał astmy, a jego przyjaciółka reumatyzmu w kolanach.

Nie miał zielonego pojęcia, że tego rodzaju środki zaradcze, które mogły wyjść tylko na dobre dolinie, domowi i przyrodzie, wymagają zezwolenia. Dlatego pracował ciężko i szybko, żeby zapobiec dalszym szkodom, a oprócz tego chciał zrobić przyjemność swojej przyjaciółce, która uwielbia ten basen i kąpie się w nim prawie przez cały rok. A już niewiele brakowało, żeby potęga wody na zawsze zniszczyła ten mały naturalny zbiornik w sercu doliny. On, Enrico, przysięga, że już nigdy nie rozrobi ani jednego worka cementu, jeśli wcześniej nie załatwi pozwolenia. Szanuje włoskie prawo i stosuje się do niego, ponieważ jest mądre i sprawiedliwe, o ile jako Niemiec może oceniać, ponieważ niestety zna je o wiele za mało, co w dużej mierze jest winą słabej znajomości języka włoskiego. Ale właśnie dlatego co wieczór przeznaczają dwie godziny, żeby rozszerzyć i udoskonalić swoją wiedzę w tym zakresie.

Następnie pokazał szefowi *forestale*, który miał dużo więcej do powiedzenia na włoskiej wsi niż burmistrz i którego wszyscy się bali, stworzony przez siebie prawie z niczego dom i zdjęcia zapuszczonej ruiny.

Maresciallo był pod wrażeniem tego Niemca, który włożył tu tak wiele pracy, miał taki dobry gust i najwidoczniej chciał też robić wszystko zgodnie z prawem.

Po dwóch godzinach podziękował za grappę, zaniechał nałożenia kary, a tym bardziej żądania zburzenia basenu, serdecznie pożegnał się ze swoim *amico* Enrikiem, ponieważ był przekonany, że świat byłby dużo lepszy, gdyby żyło na nim więcej ludzi myślących podobnie jak Enrico.

Od tamtej pory Enrico miał spokój i mógł gospodarować i rządzić w Valle Coronata, tak jak chciał. I dokładnie tak samo chciał działać w Casa Mèria.

A teraz znalazł się ktoś, kto go obserwował.

To było najgorsze, co mógł sobie wyobrazić, ponieważ dopóki nieznajoma postać się nie pokaże, nie mógł od niej zażądać wyjaśnień, przepędzić lub złapać.

Dopiero po trzech tygodniach pierwszy raz zobaczył jej cień znikający pomiędzy drzewami. Głowę, która świeciła jak jasny punkt między gałęziami.

Dwa dni później zobaczył ją wyraźniej. Stała za cyprysem i przygryzała białe słomiane włosy, kiedy obserwowała go swoimi ciemnymi oczami. Nie miała zamiaru uciekać. Wpatrywała się w niego, jakby chciała przybić go gwoździami do kamiennego muru, który wznosił dopiero wczoraj. Nie był pewny, czy jej wzrok sygnalizuje strach, czy agresję. Prawdopodobnie jedno i drugie.

– *Buongiorno* – powiedział i starał się być uprzejmy, chociaż miał ochotę zabić łopatą tę istotę, która obserwowała go już od dłuższego czasu, naprzykrzała mu się i przede wszystkim denerwowała.

Nie odpowiedziała, mruknęła coś, co zabrzmiało jak ostrzegawczy charkot dużego psa.

– Wynoś się – krzyknął. – Nie masz tu czego szukać!

Allora powoli potrząsnęła głową i rękami złapała się za serce. Potem pogardliwie splunęła.

– *Allora* – bąknęła i podrapała się pomiędzy udami, zanim usiadła na pniu drzewa, i dalej wpatrywała się w Enrica. Bez ruchu, świdrującym spojrzeniem, które jeszcze ani razu nie zostało przerwane mrugnięciem powieką.

W pokoju na parterze, w którym była jeszcze mocna udeptana gli-niana podłoga, a nie było jeszcze sufitu, Enrico złożył swoje narzędzia budowlane i ogrodnicze. Dwoma krokami znalazł się w pomieszczeniu i chwycił widły, którymi zaatakował Allorę.

Allora ześlizgnęła się z pnia zwinnie jak kot, kilkoma susami odskoczyła na bok, ledwo uniknęła wideł i piszcząc jak zraniona małpa, zniknęła w lesie.

Enrico jeszcze nigdy nie widział tak dziwacznej postaci i nie wierzył, że przepędził ją na zawsze. Wbił widły w ziemię i zastanawiał się, czy rzeczywiście dobrze by zrobił, gdyby nadział na ostre końce wideł do gnoju tę białowłosą i na swój sposób piękną czarownicę.

Allora biegła. Jak jeszcze nigdy w życiu. Ten mężczyzna, którego kiedyś, przed wielu laty, uważała za anioła i jeszcze nigdy nie odważyła się dotknąć, próbował nadziać ją na widły. Czuła ból w piersi, jakby żelazne końce wideł utkwiły w jej ciele, i biegła, żeby uciec od tego bólu.

Biegła godzinę lub dłużej, nie wiedziała, ponieważ nie zważała na to. Ból w piersi stawał się coraz silniejszy. Umieram, pomyślała, i w każdej chwili liczyła się z tym, że jej serce przestanie bić. Ale ono waliło w jej piersi niezmordowanie i coraz mocniej, a krew pulsowała w tyle głowy.

Nagle Allora się zatrzymała. Sapała i próbowała uspokoić rozszalały oddech. Po kilku sekundach jako tako doszła do siebie i stała całkowicie bez ruchu. Tylko nos się jej marszczył i dziurki w nosie się rozdymały jak końskie nozdrza. Poczwała zapach trufli.

Allora opadła na kolana i obwąchiwała ściółkę leśną. Pod krzywym dębem, którego gałęzie wyciągały się ku wszystkim czterem stronom świata, zapach był tak intensywny, że musiała podrapać się w nos, zanim zaczęła kopać.

Okazała trufla letnia, którą wykopała z leśnego podłoża, miała wielkość kociej głowy i była usiana sporymi czarnymi brodawkami. Allora oparła się o dąb, szeroko rozstawiła nogi i błogo chrząkała. Tak bardzo się cieszyła, że znowu znalazła swój ulubiony grzyb, że przestała odczuwać ból.

Najpierw starannie wylizła go do czysta, wypluła ziemię i przeżuła kilka liści dębu, żeby pozbyć się gorzko-kwaśnego smaku leśnego podłoża. Potem zaczęła powoli i z rozkoszą obgryzać grzyb, myślała przy tym o Enricu, o którym nie wiedziała, jak się nazywa.

To musiało być jakieś dziesięć lat temu, kiedy zobaczyła go pierwszy raz podczas swoich wędrówek. Od tamtej pory często za nim cho-

działa, ponieważ uznała go za pięknego. Piękniejszego niż wszyscy inni, którym wchodziła do łóżka. Patrzyła, jak nago brodził w strumieniu aż do miejsca, gdzie woda spiętrzała się jak w małej wannie. Kiedy się mył, pocierała się między nogami, aż całkowicie się zaspokajała i zasypiała.

Był pierwszym mężczyzną, przy którym czuła coś takiego jak wstyd. Do którego nie odważyła się zbliżyć, którego nie zaczęła, któremu się nie pokazała. Był dla niej kimś zupełnie wyjątkowym, miał siłę i urodę, po prostu anioł.

Dziesięć lat temu, kiedy przeobraził ruinę w Valle Coronata w fantastyczny dom, przychodziła prawie każdego dnia i obserwowała go przy pracy. Czekwała na moment, kiedy zdejmie zakurzone rzeczy, żeby umyć się w strumieniu. Zawsze był sam. Nosił na ramionach kamienie, worki z cementem i belki. Przeważnie biegiem, jakby żaden ciężar tego świata nie mógł mu zaszkodzić.

Kiedy po zapadnięciu zmroku znikał z doliny, wchodziła do domu, delikatnie głaskała dłońmi świeżo otynkowane ściany i wyobrażała sobie, że to jego skóra. Pieściła gołe cegły, które wystawały ze ściany, i wmawiała sobie, że to jego mięśnie, jego ramiona, jego tyłek. Potem siedziała w ciemności na schodach prowadzących z kuchni na piętro i pragnęła, żeby wszedł po cichu i usiadł przy niej.

Ale nigdy nie przychodził w nocy. Allora wiedziała, że siedział w przerdzewiałym busie stojącym na placu drzewnym powyżej Dudova i jadł kolację z jasnowłosą kobietą. To też obserwowała.

Kiedy dwa pokoje w domu były gotowe, do doliny przybyła kobieta. Postawili stół i dwa krzesła przed kuchennymi drzwiami i od tej pory jedli kolacje na dworze. Kiedy robiło się ciemno, zapalali świecę. Mało rozmawiali ze sobą. Przeważnie milczeli. Tych niewielu słów, które do siebie mówili, Allora nie mogła zrozumieć, jej kryjówka w lesie była za daleko.

Kiedy na dworze robiło się za zimno, wchodzili do domu i kładli się na materacu na nowo ułożonej podłodze ze starych zwietrzałych *mattoni*. Czasem Allora zaglądała przez okno, lecz nigdy nie zauważyła, żeby coś się poruszyło.

Po prostu on był nietykalny. Inny powód w ogóle nie przychodził jej do głowy.

Kobieta była tam cały czas. Rzadko się stamtąd oddalała. Sadziła kwiaty i karmiła koty. Najpierw było ich dwa, potem pięć, potem dziesięć. Allora nie mogła już wędrować po domu i wyobrażać sobie, że jest blisko niego. Była wściekła na kobietę i przychodziła coraz rzadziej, zwłaszcza że odkąd mężczyzna zbudował łazienkę, nie mył się już w strumieniu.

Tak minęło kilka miesięcy. Bus zniknął, a do domu przyjeżdżało coraz więcej mebli i innych rzeczy. Raz lub dwa razy w miesiącu Allora robiła sobie spacer do Valle Coronata, tkwiła kilka godzin w swojej kryjówce i obserwowała ich oboje. Mężczyzna dużo przesiadywał przed drzwiami i czytał, podczas gdy kobieta ciągle zajmowała się roślinami. Całe otoczenie domu przekształciła w ogród, przy świeżo postawionej ścianie zasadziła rozmaryn, szałwię i lawendę, wsadziła dziewannę i margerytki. Na każdym stopniu toskańskich schodów prowadzących na górny taras stała doniczka z różnokolorowymi pelargoniami, na parapetach kwitły fiołki, w donicach z terakoty rosły bazylika, pietruszka i szczypiorek. Przed urwiskiem nad strumieniem jako naturalną granicę posadziła słoneczniki, róże i chryzantemy – Valle Coronata była jedynym morzem kwiatów.

Natępnej wiosny, kiedy Allora przyszła, żeby zobaczyć kwitnące w dolinie tulipany i hiacynty, kobiety tam nie zastała. Allora czekała. Ale nie pojawiła się, również wieczorem, kiedy zrobiło się ciemno i zimno.

Następnego i jeszcze następnego dnia Allora znowu tam była, lecz kobieta zniknęła na stałe. Allora triumfowała w duchu. Kiedyś znowu wejdzie do domu i położy się na materacu, na którym on śpi.

Zauważyła, że mężczyzna zmienił bieg strumienia. Mały staw, w którym gromadziła się spadająca woda, zanim – zatrzymywana przez występ skalny – płynęła dalej, był wyschnięty. Piękny staw z dzikimi roślinami przy brzegu, z porośniętymi mchem kamieniami i grząską trawą w miejscach, które ciągle zalewała woda, wyglądał jak nieżywy, zaniedbany i ponury. Allora wzdrygnęła się ze wstrętem, dostała gęsiej skórki na całym ciele. Nad pustym stawem leżały przykryte plastiko-

wą folią worki z cementem, sterczały tam góra piachu i gotowa do pracy betoniarka.

Nie rozumiała, co to wszystko miało znaczyć, po prostu była tylko smutna.

Było krótko przed Wielkanocą i miała dużo pracy w San Vincenti. W Wielki Czwartek musiała posprzątać w kościele: zetrzeć kurz ze świętych figur, zmienić obrus na ołtarzu, umyć klosze w lampach, nawoskować ławki, odkurzyć konfesjonały, zamieść i przetrzeć posadzkę. Codziennie musiała zmieniać dekoracje z kwiatów. W Wielki Czwartek w pobliżu ołtarza stały tylko trawy, w Wielki Piątek usuwano wszystkie kwiaty, a przed sobotnią nocą i sumą Fiamma osobiście jeździła na targ i kupowała mnóstwo rozmaitych kwiatów.

Przed wszystkim Allora sprzątała zakrystię, przeglądała szaty kapłańskie, które przez zimę nadgryzły mole, a jeśli znalazła butelkę mszalnego wina, wypijała ją. Na koniec kładła się na kościelnej ławce i przesypiała dwie godziny, dopóki Fiamma jej nie znalazła, nie obudziła i nie dała w twarz.

Musiała też do czysta zamieść mały plac przed kościołem i wypieścić przerwy pomiędzy kamiennymi płytami.

Wielkie sprzątanie odbywało się nie tylko w kościele, również w domu burmistrza, Fiamma jak sierżant w wojsku goniła Allora od rana do wieczora, od jednej pracy do drugiej. Allora nie mogła zniknąć i pójść do doliny. Żeby dostać się z San Vincenti do Valle Coronata, potrzebowała dwie i pół godziny, nawet jeśli większą część drogi biegła i bardziej skakała, niż szła.

Podczas mszy wielkanocnej stała w małym kościele San Vincenti cichutko za kolumną i była jak zahipnotyzowana światłem świecy wielkanocnej, którą trzymała w dłoniach.

– Dobry Boże – modliła się – chroń proboszcza i burmistrza, geometrę, właściciela składu budowlanego i anioła w dolinie. Spraw, żeby dożyli stu lat, i pomóż, żeby nic się nie stało. W San Vincenti i w okolicy. Spraw, żeby nie wybuchł pożar, żeby nie zdarzył się potop i trzęsienie ziemi, i pilnuj, żeby z nieba nie spadła gwiazda. – Siebie i Fiammy nie uwzględniła w modlitwie.

Kiedy skończyła, próbowała uchwycić wzrok proboszcza, ale on nie spojrzał na nią. Ani razu nie mrugnął do niej. Allora była trochę zawiedziona i postanowiła możliwie jak najszybciej znowu wślizgnąć się pod jego kołdrę i ogrzać mu plecy.

W poniedziałek wielkanocny Fiamma nie miała dla niej żadnych zadań. Nikt nie zwracał na nią uwagi i Allora wybrała się na wycieczkę.

Dolina wyglądała dziwnie. Wszystkie okna i drzwi w obu domach były pozamykane. Allora jeszcze nigdy się z czymś takim nie spotkała. Nie było widać ani mężczyzny, ani kobiety. Ale kiedy już się uspokoiła i na chwilę wstrzymała oddech, usłyszała ciche kwilenie, coś jak miauczenie kota.

Allora dłubała w nosie i czekała. Miauczenie milkło na kilka minut, potem odzywało się znowu. Kiedy usłyszała wysoki przeraźliwy pisk, skuliła się i zaczęła drzeć. Powoli obezwładniał ją strach. Co to było? Czy nie powinna po prostu pójść tam i zapukać? Nie miała na tyle odwagi. Anioł nie był człowiekiem, przy którym można się po prostu zjawić i powiedzieć „allora”. Anioł miał w sobie coś, przed czym się wzdrygała. Jakby był owinięty niewidzialnym drutem kolczastym, który, jeśli podeszło się za blisko, jednych tylko lekko ranił, a innym rozszarpał skórę.

I po raz pierwszy przyszło jej na myśli, że może anioł wcale nie jest aniołem.

Słońce już dawno schowało się za horyzontem i zapadła noc. W lesie szybko zrobiło się ciemno, o wiele szybciej niż na otwartej przestrzeni. Allora nie myślała jeszcze o powrocie, bez przerwy patrzyła w kierunku młyna. Lamy po lewej i prawej stronie drzwi nie paliły się, w domu też panowała całkowita ciemność.

Kiedy Allora już tylko z trudem rozpoznawała kontury domu, uświadomiła sobie, że straciła poczucie czasu, teraz nie mogła wracać. Musiałyby spędzić noc w lesie. Nagle usłyszała krzyk. Długi, nieprzerwany, niekończący się krzyk. I w tym momencie Allora zrozumiała, że to nie był kot, lecz człowiek.

Allora zatykała uszy, dopóki krzyk nie ucichł. Potem zapanowała śmiertelna cisza. Z młyna nie dobiegał żaden odgłos. Przecierała oczy,

które piekły, jakby siedziała za blisko ognia i zbyt długo wpatrywała się w płomienie.

Była jak sparaliżowana. Usiadła w wykrocie i nie była zdolna wykonać najmniejszego ruchu. W jej gołe stopy wpełzał chłód i powoli obejmował całe nogi. Allora jeszcze głębiej wcisnęła się do dziury, zgarnęła wokół siebie gałęzie, liście i mech, wszystko, czego mogła dosięgnąć bez opuszczania kryjówki. Następnie objęła nogi ramionami, oparła brodę na kolanach i czekała. Jej oddech się uspokoił, serce biło teraz wolniej. Była jednak bardzo czujna, wszystkie zmysły skoncentrowała na milczącym młynie. Nic się tam jednak nie działo. Z młyna nie dochodził żaden dźwięk. Żaden odgłos. Okna i drzwi były nadal zamknięte. Mężczyzna już nie wyszedł z domu.

Zahukał puszczek. Tak samo jak w nocy, kiedy umarła stara Giulietta. Jej ukochana niania.

Następnego dnia Allora nie była pewna, czy przez całą noc siedziała i czuwała, czy spała.

O świcie usłyszała skrzypienie zawiasów drewnianych drzwi kuchennych. Nad wierzchołkiem góry pojawiły się właśnie pierwsze promienie słońca, kiedy mężczyzna wyszedł z domu. Niósł na rękach chłopca – który nie wykazywał oznak życia – zupełnie tak samo, jak ją nosiła niania. Głowa chłopca zwisała przechylona przez lewe ramię mężczyzny, usta były otwarte. Jego jasne włosy lekko poruszały się na wietrze. Prawe ramię mężczyzny znajdowało się pod kolanami martwego chłopca, którego nogi bezwładnie dyndały na wszystkie strony, kiedy mężczyzna szedł z nim do wyschniętego stawu i ostrożnie układał na ziemi.

Wkrótce potem z ogłuszającym łoskotem zaczęła obracać się betoniarka, i wtedy Allora rzuciła się do ucieczki. Mężczyzna, którego od tej pory już nigdy nie nazywała aniołem, nie zauważył jej.

Allora miała zdrętwiałe i zziębnięte kończyny, płytki oddech i była tak zaprzątnięta myślami, że bieg sprawiał jej dużą trudność. Potrzebowała trzech godzin, aby dotrzeć do San Vincenti. Nikt nie zapytał, gdzie spędziła noc.

Poszła do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko, nawet nie zmywając ziemi z rąk i nóg. Naciągnęła kołdrę po same uszy i próbowała zrozumieć, co się stało, ale nic z tego nie wyszło.

A więc twardo ukrywała to, co zobaczyła, w swoim sercu i z nikim o tym nie rozmawiała. Ale też już nigdy więcej nie poszła do Valle Coronata. Przez dziesięć lat.

Zapach i smak trufli zamroczyły zmysły Allory. Przez kilka minut o niczym nie myślała i była szczęśliwa. Potem znowu przypomniała sobie o mężczyźnie, który odbudowywał dom Nonny, i ponownie złość podeszła jej do gardła jak palące kwasy żołądkowe, które zostawiały gorzki smak. Przy ostatnich kęsach z zapałem mlaskała i dopóki się dało, nie przetykała śliny, jednak myśl o mężczyźnie wracała jak dokuczliwa czkawka.

Biegł do niej z widłami i próbował ją na nie nadziać. Dokładnie tak samo wyglądał szatan z trójzębem, którego widziała na świętym obrazku w jednej z ksiązek do nabożeństwa w San Vincenti. Pod rysunkiem widniał napis: „Szatan, świat i jego zgraja mogą tylko drwić i łąjać. Niech się śmieją, drwię do woli, Bóg mnie skrzywdzić nie pozwoli”. Don Matteo czytał jej to zdanie kilka razy, kiedy go o to prosiła, dlatego je zapamiętała.

A przed domem Nonny znowu obracała się betoniarka. Tak samo jak wtedy w Valle Coronata. Allora zastanawiała się przez chwilę i zgrzytała zębami. Potem powiedziała *allora*, co zabrzmiało jak przyrzeczenie.

Kilka dni po tym wydarzeniu Enrico doprowadził Casa Mèria do takiego stanu, że mógł się przynajmniej prowizorycznie wprowadzić wraz z Carlą. Dach nie przeciekał, a w dwóch pokojach odmalował ściany i położył podłogi. Pomieszczenie, gdzie znajdował się stół, dwa krzesła i komoda, na której stała butla z gazem do gotowania i miska do zmywania, służyło za kuchnię, w drugim pokoju leżał materac do spania – i to było wszystko. Carla postawiła kwiaty na parapecie, zawiesiła fotografię przedstawiającą spróchniałe drewniane toskańskie drzwi, w oknie powiesiła kilka sznurków koralu, aby nadać kuchni choć drobny osobisty akcent. Naczynia i artykuły spożywcze ustawiła w stopy w kilku skrzynkach i umieściła pod ścianą, na stole postawiła świczkki.

Enrico zamówił pojemnik na dwa tysiące litrów wody. Woda ze zbiornika spływała długim węzłem z góry za murem z naturalnego kamienia i służyła jako woda do prania i do mycia. Na kilku wystęпах skalnych Carla rozstawiła mydło, szampon i szczoteczki do zębów w kubeczkach, lusterko i ręczniki zawiesiła na drzewie. Tworząc w ten sposób namiastkę łazienki, wykazała dobrą wolę i chęć przystosowania się do nowej sytuacji i do spartańskiego trybu życia.

Enrico uznał, że obecne warunki całkowicie wystarczą mu do życia. Najchętniej w ogóle nie sprowadzałby mebli, które pozostały jeszcze w Valle Coronata. Posiadanie w ogóle uważał za ciężar. Być może sprzedał Valle Coronata, aby przynajmniej przez kilka miesięcy cieszyć się tą cudowną sytuacją posiadania wyłącznie rzeczy absolutnie niezbędnych.

Carla milczała na ten temat i Enrico wiedział, że miała całkiem inne zdanie. Lubiała biurko, przy którym pisała listy, malowała, uczyła się włoskiego albo dziergała robótki, lubiła regał z kilkoma książkami, jakie posiadali, i bardzo potrzebowała rustykalnej szafy, w której mogła

trzymać ubranie, pościel i ręczniki. Cierpiała z powodu każdej skrzyżni, która musiała jej teraz wystarczyć.

Enrico pogłaskał ją delikatnie po włosach, tak delikatnie, że prawie ich nie dotknął, i powiedział:

– Nie martw się, wykończę ten dom. Będzie kuchnia i łazienka, sypialnia i pokój stołowy. Sprowadzimy też z Valle Coronata wszystko, co dla ciebie jest ważne. A kiedy następnym razem będziesz w Niemczech, zbuduję ci nawet basen.

Carla uśmiechnęła się. On to wszystko robił dla niej. Jej siostra nigdy by nie zrozumiała, że coś takiego to właśnie miłość.

Kiedy Carla i Enrico wprowadzili się do swoich dwóch prowizorycznych pokoi w Casa Mèria, Anne w Valle Coronata przez tydzień nie widziała ani nie słyszała ludzi, nie zamieniła też z nikim ani słowa.

Było pół do dziesiątej rano, kiedy Anne usłyszała silnik samochodu. Właśnie przed chwilą brała prysznic. Miała jeszcze mokre włosy, ubrana była w wysłużone dżinsy i cienką bluzkę w kwiatki. Wstrzymała oddech, stała bez ruchu z gorącą nadzieją, że się przestyszała.

Kiedy szum samochodu coraz bardziej się zbliżał, ścisnęło ją w gardle ze strachu. Ktoś jedzie, pomyślała, ale nie będę się bała i nie będę sobie niczego wyobrażać, przecież to całkiem normalne. Prawdopodobnie to turyści albo zakochani, którzy szukają ładnego miejsca na piknik. Jeśli bowiem masz przy każdym odgłosie silnika samochodu wpadać w panikę, lepiej wracaj od razu do Niemiec albo poddaj się leczeniu. A może ktoś zabłądził, ktoś chce cię odwiedzić albo coś powiedzieć. Przecież nie można się z tobą porozumieć telefonicznie.

Nie było w tym nic nadzwyczajnego, że leśną drogą jeździły auta. Nikogo to nie złościło. Tylko tu, w Valle Coronata, wydawało się to zagrożeniem.

– Witaj, Anne – powiedział Kai, kiedy wysiadł ze swego czarnego jeepa. – Mam nadzieję, że nie przyjechałem za wcześnie i nie w porę, ale siedzisz tu już całą wieczność sama na tym odludziu, a ja nic nie wiem, co się z tobą dzieje. Martwiłem się o ciebie, a także zatęskniłem. – Kai westchnął głęboko po tym przemówieniu i wyszczerzył zęby w szarmanckim uśmiechu.

– Nie całą wieczność, tylko jeden tydzień! Ale dla mnie to naprawdę cała wieczność. Masz rację.

– Świetnie wyglądasz. Widać, że samotność ci służy.

– Dziękuję za kwiaty. – Anne nie uwierzyła ani jednemu słowu Kaia, zdawała sobie sprawę, że jest straszliwie nieatrakcyjna

w spranych dżinsach i z mokrymi włosami. – Zaparz kawę, a ja szybko się ogarnę.

Weszli do domu, Anne pobiegła wąskimi schodami na górę do sypialni.

Kai rozejrzył się po kuchni. Była perfekcyjnie urządzona, Anne zmieniła jedynie niektóre drobiazgi, wszystko jednak wydawało mu się teraz bardziej schludne i uporządkowane, niż było wcześniej. Być może polegało to na tym, że teraz w kuchni paliło się światło, podczas gdy u Enrica zawsze panowała ciemność.

W miejscu, gdzie nad narożnikiem kuchennym wisiał obraz Carli, teraz widniała fotografia Felixa. Stał na plaży na Krecie w kąpielówkach, wysunął zawadiacko do przodu dolną wargę, uśmiechał się wesoło i napinał dumnie i trochę ironicznie mięśnie cienkich ramion. Zdjęcie zostało zrobione podczas ostatniego urlopu w Grecji, dziewięć miesięcy przed zniknięciem chłopca.

Fotografia zafascynowała Kaia. Promieniowała z niej radość życia, odwaga i zdecydowanie. Kai łatwo mógł sobie wyobrazić, że Felix był wrażliwym, ale pogodnym dzieckiem. Już nieraz zastanawiał się nad tym, jak by mógł pomóc Anne w beznadziejnym poszukiwaniu Felixa, jednak nie przychodziła mu do głowy żadna strategia. Po prostu od zaginięcia chłopca upłynęło zbyt wiele czasu.

Kiedy Anne przebrana i z wysuszonymi włosami wróciła do kuchni, ekspres do kawy syczał, a Kai właśnie wąskim sitkiem niczym trzepaczką ubijał mleko na piankę w małym dzbanuszk.

– Chodźmy na taras – zaproponowała Anne i postawiła na stole filiżanki, cukier, butelkę wody mineralnej i koszyk z owocami.

Pod drzewem orzechowym o tej porze panował głęboki cień.

– Przykro mi, że tyle czasu się nie pokazywałem – powiedział Kai. – Miałem dużo pracy, sprzedawałem jeden dom w pobliżu Greve w Chianti i jeden nad morzem w Castiglione della Pescaia i musiałem stale jeździć tu i tam. A podróż z Sieny nad morze zajmuje pół dnia.

– Wiem.

– A ty? Jak ci się tu żyje, w tej samotni?

Kai nie wiedział dlaczego, lecz Anne wydała mu się jakaś odmieniona. Spokojniejsza, bardziej zamknięta w sobie. A także trochę blada, co podczas gorącego lata właściwie wydawało się czymś niezwykłym.

– Było okay. Dość trudno, ale okay.

– Opowiedz.

– Było niezwykle. I nieprawdopodobnie spokojnie. Kiedy Carla i Enrico jeszcze tu mieszkali, od czasu do czasu zamienialiśmy kilka słów, nie milczeliśmy przecież godzinami. I nagle wszystko się skończyło. Tylko cisza. Sama sobie wydałam się trochę śmieszna. Właściwie się nie bałam. Myślałam, że w nocy będzie mnie ogarniać wielka panika, ale nic takiego się nie stało. Spałam jak suseł i dzięki Bogu budziłam się dopiero wówczas, kiedy już było jasno.

Anne nie przyznała się Kaiowi, że niemal odchodziła od zmysłów ze strachu przed niewiadomym. Całymi dniami siedziała, nie wiedząc, co ma ze sobą robić. Próbowwała się czymś zająć, aby zapomnieć, gdzie się znajduje, jednak jej się to nie udawało. Szła do kuchni, parzyła sobie kawę, po czym jej nie piła. Prała bieliznę i przesadzała pelargonie, aby tylko coś robić. Wyrwała chwasty ze żwiru na podwórku, choć wydawało jej się to głupim zajęciem. Siadała na leżaku na górnym tarasie pod oknem sypialni i próbowała czytać, lecz za każdym razem zamykała książkę już po kwadransie, ponieważ nie mogła się skoncentrować na żadnym zdaniu. Szła na spacer i z każdym krokiem coraz bardziej się bała nadchodzącej nocy.

Kiedy tylko słońce chowało się tu za górami i nastawał zmierzch, Anne szła do domu, siadała przy stole w kuchni i pogrążała się niemal w rozpacz na myśl o długim samotnym wieczorze. Dolina wydawała jej się jakby rajem, gdy wieczorem z Carłą i Enrikiem siedzieli pod orzechem, rozmawiali, popijali wino i śmiali się. Teraz, kiedy była tu sama, miejsce to wydawało jej się piekłem.

Ciszę i samotność odczuwała tak, jakby przygniatał ją gruby koc i zapierał dech! Kiedy zamieszkała tu na próbę z Enrikiem, nie miała takiego uczucia.

W pobliżu nie było ani jednej żywej istoty, nie rozlegał się żaden dźwięk, tylko wodospad szumiął nieprzerwanie dzień i noc.

Tak pochopnie kupować Valle Coronata to był błąd, olbrzymi błąd. Teraz to sobie boleśnie uświadomiła.

– To bardzo się cieszę, ogromnie się cieszę – powiedział Kai. – Bo już się bałem, że mogłabyś żałować swojej decyzji. – Wziął ją za rękę. – Mam dziś cały dzień wolny. Zróbmy sobie jakąś przyjemność. Musisz od czasu do czasu gdzieś się stąd wyrwać.

Anne skinęła głową. W tej chwili nie mogła sobie wyobrazić niczego lepszego. Była Kaiowi nieskończenie wdzięczna.

W ciągu ostatnich czterech tygodni wielokrotnie spotykała się z Kaiem, kilka razy nocowała u niego. Był dobrym kochankiem i miłym towarzyszem rozmów. Dobrze się z nim czuła, na parę godzin mogła zapomnieć, po co właściwie tu jest. Czuła się pewna i wolna, kiedy on był w pobliżu, znacznie młodsza, niż była, niezwykle kobieca. Istniało wiele powodów, dla których chciała podtrzymywać tę znajomość. Anne często zastanawiała się, czy jest zakochana w Kaiu, ale nie wiedziała tego tak naprawdę. Kiedy za nim tęskniła albo cieszyła się na jego przyjazd, niemal tak właśnie uważała. Być może zakochanie wygląda inaczej, jeśli nie jest się już młodą dziewczyną. Ona знаła dobrze mechanizmy związku, nic jej już nie mogło zaskoczyć.

W ciągu dnia nie chciała Kaiowi przeszkadzać, jednak wieczorami zawsze miała wielką ochotę, aby do niego zatelefonować. W tym celu musiałaby po ciemku wdrapać się na górę, a nie miała odwagi. Już sam fakt, że w dolinie nie było zasięgu i telefon nie mógł zadzwonić, przyprowadził ją niemal o szaleństwo.

– Myślę, że powinnam mieć telewizor – powiedziała nagle Anne ni stąd, ni zowąd. – To straszne, kiedy człowiek w ogóle nie słyszy ludzkiego głosu. Niechby to był chociaż głos prezentera telewizyjnego. Nie wiem w ogóle, co się dzieje na świecie. Gdyby nastąpił wybuch bomby atomowej, tu nic bym o tym nie wiedziała.

– Mogę się postarać o telewizor. Znam kogoś, kto instaluje anteny satelitarne. No i co? – zapytał Kai po chwili milczenia. – Czy podjęłaś już jakieś kroki w związku z Felixem? Zauważyłem fotografię w kuchni. Bardzo ładna!

Anne skinęła głową.

– Tak, jest świetna, też tak uważam. Nie podjęłam jeszcze żadnych kroków. Może powinniśmy nawiązać kontakt z rodzinami dwojga innych zaginionych dzieci. Nie wiem, co mogłoby z tego wyniknąć, ale powinniśmy spróbować. Czy mógłbyś mi pomóc? Mój włoski nie wystarczy na tego rodzaju rozmowy.

– Oczywiście. Pytanie tylko, jak zdobyć adresy. Moglibyśmy zapytać proboszcza albo karabinierów...

– Albo spróbujmy w barze. Tam na ogół można się o wszystkim dowiedzieć.

– Masz rację – potwierdził Kai i ugryzł jabłko. – Pomysł jest znakomity. A teraz powiedz, dokąd dziś pojedziemy? Do Montalcino? Do Pienzy? Do San Gimignano? Czego jeszcze nie znasz?

– Pojedźmy do Montalcino – zdecydowała Anne i wstała. – Mogłabym tam kupić trochę wina. Ale pod jednym warunkiem.

– Słucham cię.

– Obiecaj mi, że kiedy wrócimy, przenocujesz u mnie. Zgoda?

– Zgoda.

Kai pochylił się i pocałował Anne w usta, zanim zniknęła w domu z tacą.

Allora chciała koniecznie wiedzieć, kto teraz mieszka w Valle Coronata, od kiedy mężczyzna z widłami i kobietą o blond włosach wprowadził się do domu jej Nonny. Była też ciekawa, czy przez te wszystkie lata, kiedy tu nie zaglądała, zaszyły jakieś zmiany w domu.

W drodze do Valle Coronata drzazga weszła jej w stopę. Usiadła na pniu drzewa, wyssała duży palec i zaklęła cicho. Potem poszła dalej. Szła tak długo, aż nie czuła już bólu.

Przed nią rozpościerała się dolina, cicha i spokojna. Była taka, jaką ją zachowała we wspomnieniach. Kwiaty kwitły jak dawniej, tylko krzewy rozmarynu, lawendy i szaławii rozrosły się i sięgały do okien kuchennych.

Allora przykucnęła w swojej starej kryjówce, którą bez trudu odnalazła. Może ktoś spał w domu. Wstała i poszła kawałek dalej, aż jej oczom ukazał się parking. Zobaczyła na nim tylko małego starego fiata, którego opony obrośnięte były zielskiem. Już od dawna nikt tym autem nie jeździł. Najwidoczniej nikogo nie było w domu.

Allora szła pochylona przez las, który naprzeciwko domu graniczył bezpośrednio ze strumieniem, i nie spuszczała domu z oczu. Od czasu do czasu przystawała i nasłuchiwała. Nic. Żadnego odgłosu. Nic się nie poruszało.

Dzisiaj okna i drzwi były tak samo zamknięte jak wtedy, ale dzisiaj nie było słychać cichego skomlenia.

Od parkingu Allora przemknęła ostrożnie do domu, wdrapała się najpierw na górę po toskańskich schodach i zajrzała do sypialni. Łóżko pod olbrzymią moskitierą było porządnie zaścienione, leżała na nim lniana narzuta we wzorek. Na komodzie naprzeciwko łóżka stało lustro i kosmetyki.

Allora dalej się przemykała. Do pokoju stołowego nie mogła zajrzeć, bo musiałyby w tym celu użyć drabiny. Pokój gościnny był rów-

niez posprzątany, podobnie jak sypialnia. Nie dało się stwierdzić, czy w łóżku w ciągu ostatnich dni ktoś spał.

Potem Allora zajrzała do kuchni i zamarła. Polizała lekko zakurzoną szybę, aby lepiej widzieć. Na fotografii wiszącej nad narożnikiem poznała chłopca, którego mężczyzna, nazywany przez nią kiedyś aniołem, wyniósł na rękach, a następnie zabetonował w wyschniętym stawie, w którym teraz znów jest woda. Jej serce waliło jak szalone. Próbowwała zrozumieć, dlaczego tu, w tej kuchni, zobaczyła zdjęcie tego chłopca, lecz myśli jej uciekały, miała uczucie, że ma głowę wypchaną watą. Z wściekłości i rozpaczony waliła czołem w szybę, mocno, coraz mocniej, nie czując przy tym bólu. Dopiero kiedy szyba pękła i po twarzy Allora popłynęła krew, powoli zaczęły jej wracać myśli, które próbowała uporządkować. Nazywała się Allora. Słońce świeciło i było gorąco. Znajdowała się w lesie, w dolinie, a dom stał pusty. Nikogo nie było i nikt jej nie widział. Allora wyłamała z ram kilka sterzących w drzwiach odłamków szkła, które mogłyby ją skaleczyć, i wcisnęła się przez otwór do kuchni.

W zlewie zobaczyła dwie brudne filiżanki po kawie. Ktoś tu pił dziś rano kawę. Allora zrobiła to samo, co robiła również w lesie, ukłękła i węszyła po całym domu. Delikatny zapach unosił się w powietrzu. Zapach podobał się Allora. Wąchała również gnijącą sałatę w pojemniku na kompost, ser w lodówce, kurz na półce z naczyniami pod zlewem. Wąchała spaloną pajęczynę w gniazdku wtykowym, z którego jeszcze niedawno ktoś korzystał, wąchała nalot na cegłach, wilgoć firanek, obwąchiwała jedyny orzech w koszyku, już zjełczały, a w łóżku wdychała specyficzny zapach kobiety.

Potem wróciła powoli do kuchni i zdjęła ostrożnie fotografię Felixa ze ściany.

Mężczyzny tu nie było, teraz Allora miała już całkowitą pewność. Kiedy siedziała w krzakach i obserwowała dom, kobieta o blond włosach bezgłośnie ładowała kamienie na taczkę, wjeżdżała na drogę, wysypywała kamienie, następnie starannie wyrównywała, tak że między kamieniami prawie nie było odstępów, wszystkie do siebie pasowały. Najwidoczniej kobieta chciała kamieniami wyłożyć drogę przed domem. Była spocona i Allora z przykrością na to patrzyła, ponieważ wiedziała, jak daleko jest z Casa Mèria do San Vincenti. Aby dojść do San Vincenti, potrzeba było dokładnie tyle samo czasu, ile na ugotowanie Nonnie minestrone. A minestrone należało gotować długo, ponieważ Nonna nie miała już zębów i mogła rozgniatać marchewkę i ziemniaki tylko językiem na podniebieniu. Allora wyobrażała sobie, że kobieta o blond włosach z pewnością skończy brukowanie drogi, dopiero kiedy będzie tak stara, jak Nonna, kiedy umierała. I dlatego było jej przykro z powodu tej blondynki.

Ale powoli Allora zaczęła tracić cierpliwość, dopóki bowiem kobieta wykonywała tę beznadziejną pracę, ona nie mogła wejść do domu. A chciała położyć mężczyźnie fotografię na stole. Nie rozumiała do końca, co zdarzyło się wówczas w Valle Coronata i dlaczego dziecko było martwe, lecz wiedziała, że to było jego dziecko. On je niósł, on je włożył do stawu, z całą pewnością należało do niego. Dlatego też on musiał mieć tę fotografię. Nie należała ona do kobiety w Valle Coronata, bo była obca w tym domu, ta fotografia należała do mężczyzny z *forcona*. Choć Allora była wściekła na mężczyznę i bała się go. Wyobraziła sobie, że ktoś dostał tę fotografię od Nonny, a więc musiała ona należeć również do niej. To ona pielęgnowała Nonnę i zaniosiła ją do kościoła, kiedy była martwa. I ona kochała Nonnę. Z pewnością mężczyzna również kochał dziecko.

Kiedy Allora pomyślała, jak by to było pięknie móc nosić fotografię Nonny zawsze przy sobie, popłynęły jej łzy z oczu. Wtedy przesta-

łaby ona być tak całkiem martwa. Tymczasem naprawdę z coraz większą trudnością wciąż od nowa ożywiała obraz Nonny we własnym sercu, przypominała ją sobie i widziała jak żywą. Nie pamiętała na przykład już tak dokładnie, jaki nos miała Nonna. Wydawało jej się, że gruby, lekko zagięty, z dużymi porami, które wyglądały jak małe dziurki... ale nie była już tego taka pewna.

Allora uznała, że mężczyzna musi mieć tę fotografię, nawet jeśli jest diabłem. Nie odważyła się jednak dać mu jej wprost, bała się, że on ją naprawdę przewierci diabelskimi szponami. Dlatego musi położyć fotografię po kryjomu na stole i zniknąć.

Kobieta wciąż jeszcze układała kamienie. Allora ziewnęła. Wpadła jej przy tym mucha do ust, chciała ją wypluć, tymczasem już ją połknęła i teraz zaczęła się dławić. Najwidoczniej kobieta coś usłyszała, ponieważ przerwała pracę i rozglądała się. Allora przestała się dławić i wstrzymała oddech. Ale tak ją męczył kaszel, że omal się nie udusiła, kiedy próbowała go stłumić. Jej zazwyczaj blada twarz zrobiła się czerwona i przybrała barwę krwi, która zaschła na jej czole.

W tej chwili kobieta przeciągnęła się. Przez chwilę pochylała i prostowała swoje obolałe plecy, po czym weszła do domu.

Allora kaszłała gwałtownie i wreszcie udało jej się wypluć muchę w krzaki. Potem dotknęła ostrożnie zdjęcia, które wsadziła pod koszulę. Było ciepłe i lekko wilgotne. Wyciągnęła je i przyglądała się spokojnie. Gładziła lekko palcem ramię chłopca i uśmiechała się.

W tej chwili kobieta wróciła. Miała w ręku książkę, obeszła dom dookoła. Chwilę później Allora usłyszała, jak skrzypią zardzewiałe haczyki hamaka.

Wreszcie nadeszła ta chwila. Allora wstała i wśliznęła się bezgłośnie do domu.

Okna jeepa były pootwierane, Anne rozkoszowała się ciepłym wiatrem, kiedy jechali przez Crète. Wzgórza i pola znajdowały się teraz w najgorętszym okresie lata, brązowe łąki były wyschnięte, a wraz z szarością dziwacznych skał wapiennych ten niepowtarzalny krajobraz tworzył niemal posępny widok.

– Czy widziałaś Crète chociaż raz wiosną? – zapytał Kai. – O tej porze jest najpiękniejsza. Na wszystkich wzgórzach widać lśniąca świeżością zieleni zbóż jarych, które falują na wietrze jak ocean. To fantastyczny widok. W Crète domy sprzedają się tylko wiosną.

– Jestem bardzo ciekawa. – Anne zamknęła oczy. Próbowwała zatrzymać tę cudowną chwilę. Wszystkie problemy wydały się jej teraz bardzo odległe, upajała się jazdą przez Toskanię i nie musiała myśleć o Feliksie. Myśl o nim raniła jak żądło tkwiące w ciele, które wciąż od nowa powoduje ból, kiedy tylko się je poruszy. A dziś właśnie był dzień, w którym mogła zapomnieć o bólu.

– Czy masz ochotę obejrzeć klasztor benedyktynów Abbazia di Monte Oliveto Maggiore? Będziemy przejeżdżali obok.

– Oczywiście, czemu nie.

Kai pokonywał wąskie kręte serpentyny płynnie i pewnie. Samochód sprawiał wrażenie jakby zrosniętego z drogą. Anne była na ogół krytycznym pasażerem. Woląca sama prowadzić, wyczuwała każdą słabość kierowcy, nie mogła znieść, kiedy jechał na zbyt małych albo zbyt dużych obrotach. Zawsze jej się wydawało, że lepiej wyczuwa niebezpieczeństwo i błędy innych niż osoba siedząca za kierownicą, i rzadko umiała się odprężyć, jadąc jako pasażer. Przy Kaiu było całkiem inaczej, czuła się zrelaksowana i miała ochotę pogłaskać go po ramieniu, ale zaniechała tego gestu.

Kiedy dojechali do opactwa, na parkingu stało pięć wielkich autokarów.

– Proszę cię, nie – jęknęła Anne. – Proszę cię, żadnych tłumów turystów, które przesuwają się przez klasztor. Obejrzymy go sobie innym razem. Może w zimie, kiedy nie ma wycieczek.

– Okay. – Kai miał minę, jakby Anne wyjęła mu te słowa z ust.

Kręta droga ciągnęła się jeszcze prawie do Buonconvento, średnio-wiecznego miasteczka otoczonego bardzo wysokimi i zupełnie nienaruszonymi murami miejskimi. Kiedy potem skręcili z drogi krajowej w kierunku Rzymu, po kilkuset metrach droga do Montalcino wiała się kilometrami coraz wyżej i wyżej, Montalcino w górze było cały czas widoczne.

Kai zaparkował tuż koło *castello*, najwyższego punktu Montalcino, i spacerował z Anne wąskimi ulicami, które od czasu do czasu odsłaniały cudowny widok na dolinę. Położył rękę na ramieniu Anne. Wyglądamy jak para, która od wielu lat jest małżeństwem, pomyślała Anne rozbawiona, a przy tym jestem żoną całkiem innego mężczyzny, który teraz właśnie prawdopodobnie patrzy na zegarek, wygląda do poczekalni i mówi: „Jeszcze trzech pacjentów, potem przerwa obiadowa”. Mam nadzieję, że pani Böhme nie będzie znów tyle opowiadała...

Anne zachwyciła się miastem. Nie było takie małe jak Ambra, nie tak duże jak Siena, spokojne, ale trochę wymarłe.

– Gdybym musiała mieszkać w mieście, to może właśnie w tym – pomyślała głośno. – Sienę również bardzo lubię, lecz potrzebuję co najmniej dziesięciu lat, aby przestać się w niej gubić.

W niewielkiej osterii znaleźli malutki stolik na balkonie, pod którym ziała pięćdziesięciometrowa przepaść, a balustrady zabezpieczające przeważnie się chwiały. Widok przez dolinę do San Quirico zapierał dech w piersi.

– W drodze powrotnej musimy wstąpić na chwilę do Sant’Antimo – powiedział Kai, zając z apetytem *crostino* z pastą wątrobową. – To jeden z najpiękniejszych kościołów, jakie istnieją. Legenda głosi, że aniołowie zbudowali go w ciągu jednej nocy. Kolumny nosili podobno na własnych głowach, a kamienie na rękach.

– Nie wyglądasz wprawdzie na takiego, ale jesteś beznadziejnym romantykiem, prawda? – zapytała Anne.

– Stałem się taki we Włoszech. Dawniej byłem całkiem inny. Dawniej byłem zarozumiałym yuppie, który dwa razy w miesiącu chodził do fryzjera, wydając wszystko, co zarobił, na płyn po goleniu, od czasu do czasu podgrzewał sobie w mikrofalce w swej lśniącej chromem kuchni bagietkę z bistra, a podczas jedzenia śledził w telewizji wiadomości giełdowe, wykonywał krótki telefon do banku, a potem w barze dla artystów oświetlonym lampami neonowymi wypijał tak wiele dżinu z tonikiem, że ledwie mógł się utrzymać na nogach. Moje znajomości i romanse trwały przeciętnie od godziny dwudziestej drugiej do trzeciej nad ranem, bieliznę raz w tygodniu załatwiały mi pralnie, chemiczna i zwykła, moja łazienka była wyłożona czarnymi kafelkami, a moje jedyne zwierzęta domowe to były wirusy grypy, które co roku przynosiłem z biura do domu. – Kai zaśmiał się z przekąsem. – Uważam, że romantyzm to całkiem co innego.

Anne roześmiała się.

– To nie do wiary. A ja byłem wierną i troskliwą żoną i matką, która każdego dnia wyczarowywała z kapelusza trzy posiłki, karmiła psa, kota i świnkę morską, przygotowywała dla męża odpowiednie krawaty i spinki do mankietów, kiedy szliśmy do teatru. Która w gabinecie męża była pielęgniarką, pomocą, księgową, a w domu pomagałam dziecku odrabiać lekcje. Byłam osobą sprzątającą kuchnię, zamiatającą podłogę, zrywającą jabłka, osobą wymyślającą dla całej rodziny prezenty na Boże Narodzenie i nigdy nie pozwoliłam sobie na romans. Ponieważ zawsze się bałam, że mogłoby się wydać. Mój romantyzm wyglądał następująco: latem podróż na Wyspy Kanaryjskie, zimą tydzień na nartach w Saas Fe. I spacer po plaży. Właściwie tylko wówczas, kiedy były jakieś problemy do omówienia.

Teraz Kai się roześmiał.

– To wspomniałeś. Jednego nie rozumiem. Skąd miałeś pieniądze na Valle Coronata? I pieniądze, aby tu móc siedzieć całe tygodnie czy miesiące, czy lata? I nic nie robić?

Kelnerka przyniosła papardelle z cinghalle, wstążki z sosem z dzika, dla obojga.

– Moja chrzestna coś mi zapisała. Przed rokiem zmarła na raka. Nie miała nikogo oprócz mnie i obie dobrze się rozumialiśmy. Kiedy

była chora, opiekowałam się nią miesiącami, aż do jej śmierci. Ale nie miałam pojęcia, że ma takie duże oszczędności.

– A praktyka męża? Jak idzie interes bez ciebie?

Anne wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. Chyba jakoś idzie. Nie mam pojęcia. Jeśli dłużej tu zostanie, Harald będzie musiał prawdopodobnie kogoś zatrudnić. A ja po prostu zrobiłam sobie przerwę w małżeństwie. Harald nie jest jednak całkiem niewinny.

– Inna kobieta?

– To też. Ale głównym powodem jest Felix. Odkąd zaginął, nasze małżeństwo coraz bardziej się rozpada. Oboje po prostu inaczej to przeżywaliśmy, a tolerowanie tego nie udało się żadnemu z nas. Ja chciałam wiedzieć, co się stało. Harald po pewnym czasie już tego nie chciał. Na samym początku jego ból był tak wielki, że wściekał się i był pełen zapału do działania. Przez dwadzieścia godzin dziennie przebywał poza domem, szukał, poruszał wszystko, co można było poruszyć, podczas gdy ja jak sparaliżowana siedziałam w domu i czekałam, i nic nie mogłam robić. Nie mogłam po prostu wykonać żadnego ruchu. Nie rozumiałam tego. Po kilku miesiącach niewiele się we mnie zmieniło, choć w głowie rozgrywało się to wszystko, co jeszcze mogłabym spróbować zrobić. Przede wszystkim we Włoszech. Z Haraldą natomiast uleciało powietrze. Któregoś dnia zamknął całą sprawę i zaczął żyć zgodnie z mottem: nie daj się ogłupić sprawom, których nie możesz zmienić.

– Dosadnie sformułowane.

– Oczywiście, dosadnie sformułowane. Jednak na tej płaszczyźnie po prostu nie mogliśmy współpracować. To było całkiem niemożliwe.

– Rozumiem.

Przez chwilę oboje milczeli. Potem Kai zapytał:

– Chcesz jeszcze mięsa? A może rybę?

Anne pokręciła głową.

– Nie, dziękuję. Jestem już najedzona. Ale kawa by nie zaszkodziła.

Kai skinął na kelnerkę.

– Ale nie tu. Kawę zamówimy w fiascheterii. Kiedy jesteś w Montalcino, musisz koniecznie poznać smak tej kawy.

Carli wkrótce zrobiło się za gorąco w hamaku. Zamknęła książkę, którą dał jej do czytania Enrico i która ją straszliwie nudziła. *Zbrodnia i kara* Fiodora Dostojewskiego. Nie radziła sobie ze skomplikowanymi nazwiskami bohaterów, a pompatyczny język uznała za trudny i straszny. Była dopiero na stronie pięćdziesiątej trzeciej i właśnie czytała list długości trzynastu stron, który składał się z jednego akapitu. Prawie nic nie rozumiała. To prawdziwa męczarnia, uznała Carla, ale co miała robić? Za kilka dni Enrico zacznie z nią dyskutować o książce, będzie jej zadawał pytania i będzie się uśmiechał znużony, kiedy ona nie potrafi na nie odpowiedzieć. Nienawidziła tego, uważała, że w takich sytuacjach Enrico jest nieznośnie arogancki, i wiedziała dobrze, że on – jeśli chciał – potrafił zadawać takie pytania, na które ona nie umiała odpowiedzieć. Ta straszna książka miała siedemset trzydzieści stron. Nigdy przez nie nie przebrnie.

Do tego potrzebuję lat, pomyślała, zwłaszcza że czytam zaledwie trzy strony dziennie, ponieważ książka jest tak nudna, że regularnie nad nią zasypiam. Carla wiedziała, że Enrico czytał ją niezliczoną ilość razy. Wciąż i wciąż od nowa, jak gdyby na świecie istniała wyłącznie ta jedna książka. Całe strony znał na pamięć i często w długie zimowe wieczory recytował jej długie fragmenty. Że Carla kiedyś przy tym zasnęła, zauważył dopiero, kiedy zmienił się jej oddech i zaczęła cicho chrapać. Wziął więc książkę ostrożnie w rękę jak jakiś skarb i po cichu bez słowa poszedł do łóżka. Przez wiele dni nie odzywał się do Carli. Kiedy nie mogła już dłużej znieść milczenia, obiecała mu, że przy najbliższej okazji sama przeczyta książkę. I teraz nadszedł odpowiedni czas, aby spełnić obietnicę. Przeklinała w duchu ów wieczór, kiedy zasnęła. Gdyby to się nie zdarzyło, oszczędziłaby sobie tych nieznośnych siedmiuset trzydziestu stron. Jak oszołomiona poszła do domu. Upał przygniatał ją jak ciężkie palto zimowe w przegrzanym pomiesz-

czeniu. Zamrugnęła, kiedy z jaskrawego światła słonecznego weszła do ciemnej chłodnej kuchni, i musiała chwilę poczekać, aż oczy przyzwyczają się do innego światła.

Kilka sekund później zobaczyła to, ponieważ stała tuż przed tym. Fotografia Felixa leżała na stole zrobionym z surowych desek i lśniła wręcz na ciemnym brązie blatu. Była to fotografia, która jeszcze niedawno wisiała na ścianie w Valle Coronata. Często na nią patrzyła i za każdym razem wyobrażała sobie, co musiała odczuwać Anne, kiedy Felix nie wrócił do domu. Zakłopotana Carla przyglądała się fotografii, usiadła, zgarnęła z czoła mokre od potu włosy i zauważyła, że jej ręka drży ledwie dostrzegalnie. Co tu się wydarzyło? W jaki sposób fotografia znalazła się na stole? Na krótko przedtem, zanim z książką w rękę położyła się na hamaku, weszła jeszcze do kuchni, aby się napić wody. Zdjęcia nie było wówczas na stole, wiedziała to z całą pewnością. Ale kto je tu położył? I dlaczego?

Anne? Nie, to niemożliwe. Usłyszałaby ją i zobaczyła. Z hamaka miała dobry widok na drogę do domu. Poza tym Anne by się wcześniej zapowiedziała. Zadzwoniłaby i zapewne zostałaby choć na chwilę, aby się napić tyk wina. I po co miałyby tu przynosić fotografię swego syna? Na pewno nie po to, aby ją pokazać, ponieważ Anne wiedziała, że zarówno Enrico, jak i Anne znali tę fotografię. A więc nie było powodu. Anne czuła się szczęśliwa, że miała to zdjęcie, że wisiało ono w tym pięknym miejscu w Valle Coronata, a przede wszystkim, że łatwiej jej było znosić to wszystko, kiedy mogła stale patrzeć na syna. Nie. To nie mogła być Anne. A więc kto?

Enrico? Nie. On też nie miałby powodu. Enrico zazwyczaj dawał krótki sygnał klaksonem, kiedy wjeżdżał na górę, żeby wiedziała, że to on nadjeżdża, no i dlaczego miałby przywozić fotografię z Valle Coronata i po kryjomu kłaść ją tutaj na stole? Nie, to wszystko nie miało sensu.

Ale oprócz Anne, Enrica i jej samej nikt więcej nie znał chyba Valle Coronata ani Casa Mèria. Może jeszcze Kai. Ten makler. Ale on nie ma teraz z nimi prawie nic do czynienia. Jeśli idzie o Kaia, również nie przychodzi jej do głowy żaden powód, dla którego miałby grać rolę tajnego przekaziciela fotografii.

Fotografia nie miała ramek. Carla pamiętała, że na ścianie wisiała w ramce za szkłem. Może ramka się zepsuła. To było możliwe. Ale mimo to fotografia nie mogła sama przefrunąć wiele kilometrów z jednej doliny do drugiej. Carla poczuła, że nagle zaczyna ją boleć głowa. Wstała i napiła się wody, która cały czas stała pod ręką w karafce. Była letnia, ale Carli to nie przeszkadzało. Piła dużo, aby usmierzyć ból i znów mieć jasną głowę.

Coś tu się wydarzyło, coś się stało. Coś, co miało związek z Anne i jej synem. Odkąd ta kobieta tu przebywała, coś się zmieniło, Carla to czuła, lecz nie wiedziała, co.

Enrica nie było w domu. Nigdy go nie było, kiedy był potrzebny. Chciała od niego usłyszeć, co myśli o tej tajemniczej sprawie i jakie wytłumaczenie ma pod ręką. On, który zawsze wszystko wiedział, wszystko potrafił uporządkować i nigdy nie popadał w zakłopotanie. On, który nie wierzył w żadną mistykę, w żaden przypadek, w nic ponadzmysłowego, w nic ze sfery parapsychologicznej, w żadne czary ani telepatię. Wierzył tylko w siebie i w to, co widział i słyszał, i co mógł poczuć i zrozumieć. Carla ucieszyła się niemal z powodu owej fotografii, która nagle znalazła się w domu, ponieważ chciała choć raz zobaczyć Enrica, jak zaniemówi, jak będzie stał bezradny i nie potrafi znaleźć odpowiedzi ani żadnego rozsądnego wytłumaczenia tego zjawiska.

Była wściekła, że Enrica nie ma w domu, ponieważ nie wiedziała, jak wypełnić czas, zanim on wróci.

Wzięła zdjęcie ze stołu i zaniósła do sąsiedniego pokoju, wsunęła je między dwa albumy o Toskanii, przez chwilę stała w oknie. W oddali na niewielkim wzgórzu widziała Montebenichi w blasku słońca. Fotografia Felixa, pomyślała, do diabła, fotografia Felixa na moim stole. To jakiś znak, ale nie rozumiem go mimo najlepszych chęci.

W drodze do domu Kai i Anne wieźli z tyłu na miejscu za kierowcą i pasażerem dwa koszyki butelek, w każdym po siedemnaście litrowych butelek montalcino, które miało być odkorkowane i opróżnione w Valle Coronata. Anne spała prawie przez całą drogę. Obudziła się dopiero wówczas, kiedy jeep zaczął podskakiwać na zwirowej drodze, jadąc przez las oliwkowy.

– Jesteśmy już na miejscu – mruknęła zaspana. – Jak pięknie! Całą drogę przespałam, nadrobiłam popołudniową drzemkę.

– A więc dziś wieczorem i dziś w nocy będziesz w dobrej formie!

– Kai uśmiechnął się od ucha do ucha, Anne też się uśmiechnęła. Poczowała lekkie łaskotanie w podbrzuszu, które w tej chwili przyjęła z dużą przyjemnością. Był to wyraźny znak, jak bardzo się cieszyła, że będzie dziś spała z Kaiem.

Podczas gdy w Duddova słońce jeszcze świeciło i starzy mężczyźni siedzieli jeszcze na ulicy i gawędzili, słońce w Valle Coronata już dawno zniknęło za górami. Choć był to wyjątkowo gorący dzień, Anne tu, w dolinie, czuła wilgotny chłód, który otulał ją jak mokra chusta.

– Valle Coronata to nie Toskania – powiedziała Anne. – Nie ma tu prawdziwego włoskiego lata.

– Tylko co?

– Biała plama na mapie – odpowiedziała Anne, śmiejąc się. – Raj, który dopiero ja odkryłam.

Kai zajechał jepeem pod samą kuchnię, aby nie trzeba było dźwigać daleko ciężkich koszy.

Anne natychmiast zauważyła zbitą szybę w drzwiach kuchennych. Pierwsze włamanie, pomyślała, nawet dość szybko. Była niezmiernie wdzięczna losowi, że tej nocy nie będzie sama, i postanowiła poprosić Kaia, aby nie wyjeżdżał, aż drzwi zostaną naprawione.

Anne wysiadła i podeszła do drzwi. Niechcący spojrzała na podłogę i ujrzała zaschnięte krople krwi. Podniosła głowę i zwróciła się do kuchni. Stała chwilę jak skamieniała, po czym wydała przeraźliwy okrzyk.

W sklepie z materiałami budowlanymi było pełno ludzi i Enrico już się zastanawiał, czy nie lepiej przyjechać tu jutro rano. Ale wtedy straci pół przedpołudnia na zakupy, a to było jeszcze gorsze. Pozostał więc, starając się zachować spokój. Teraz, po pracy, okoliczni rzemieślnicy kupowali materiały na następny dzień, uzupełniali brakujące narzędzia i wykorzystywali spotkanie w *negozio ferramenta* na małą pogawędkę. Wielu próbowało nawiązać rozmowę z Enrikiem. Enrico, uprzejmy, lecz nieprzystępny i powściągliwy, odpowiadał na pytania tak oschle, jak to tylko było możliwe.

– Kupiłeś Casa Mèria, dom tej starej czarownicy? – zapytał Mario, robotnik leśny.

Enrico skinął głową.

– Tej starej, co się spaliła? – upewniał się Piero.

– Ona się nie spaliła. Była już nieżywa, a potem ta wariatka podpałała dom.

Enrico słyszał już o owej wariatce, ale jeszcze nigdy jej nie widział. Nie interesowało go zresztą to wszystko, chciał być jak najszybciej obsłużony.

– Odbudowujesz dom?

Enrico znów skinął głową.

– A masz już pozwolenie? – To pytanie Mario zadał bardzo cieniem głosem.

– Jeszcze nie. – Właśnie takich rozmów Enrico serdecznie nienawidził, ponieważ wszystko, co powiedziano u handlarza materiałami budowlanymi, jeszcze tego samego wieczoru rozchodziło się po wsi z prędkością wiatru.

– I już budujesz?

– Jeszcze nie. – Enrico uśmiechnął się i odwrócił głowę. Miał jeszcze dwa i pół miesiąca. Dopiero wtedy zaczynał się sezon na polowania,

dopiero wtedy od czasu do czasu będą tędy przechodzili myśliwi i zobaczą, że dom został odbudowany. Enrico najczęściej zapraszał spotykanych myśliwych do siebie na wino i starał się być bardzo miły. Myśliwi za to nie byli złośliwi i nie donosili na niego do nadleśnictwa.

Włosi wytłumaczyli sobie mrukliwość Niemca jego trudnościami językowymi i przestali się nim interesować. Enrico czekał jeszcze cierpliwie następne pół godziny, wreszcie został obsłużony i nabył przynajmniej większą część śrub, których potrzebował do zrobienia okien.

W drodze powrotnej do Casa Mèria Enrico zauważył, że jedzie za nim czarny jeep. Kiedy się odwrócił, jeep dał sygnał świetlny i Enrico poznał Anne i Kaia. Pomachał im do lusterka wstecznego i przyspieszył. Jeep jechał za nim.

Enrico jęknął. Czego, u licha, ci dwoje chcą wieczorem od niego? Nie odpowiadała mu niespodziewana wizyta. Pracował od siódmej rano, a potem zmarnował czas w sklepie, co stargało mu nerwy bardziej, niż gdyby przez pięć godzin dźwigał kamienie. Myślał tylko o tym, że by zdjąć robocze spodnie i zmyć z siebie kurz z cementu, który wraz z potem przylepił mu się do ciała. Nie miał ochoty na pogawędkę albo gładką konwersację.

Chyba już nigdy nie wróca czasy jak te w Valle Coronata, gdzie nikt go nie znał, nikt nie odwiedzał, ponieważ ten adres oficjalnie w ogóle nie istniał.

Carla stała już przed domem, kiedy oba samochody, jeden za drugim, zjeżdżały drogą, uśmiechnęła się i objęła Anne i Kaia na powitanie.

– Jak świetnie, że wpadliście – powiedziała i próbowała nadać swemu głosowi wesołe brzmienie, choć w duchu zastanawiała się gorączkowo, czy te odwiedziny nie mają czegoś wspólnego z fotografią, która leżała na stole w kuchni.

– Wyglądasz, jakby cię coś dręczyło – Enrico zwrócił się łagodnym tonem do Anne, a ona kiwnęła głową. Carlę pogładził na powitanie lekko po ramieniu.

– Rozgoście się – zaprosił. – Tylko wezmę prysznic. Pięć minut, potem opowiecie mi, co się stało.

Anne i Kai usiedli pod sękatym drzewem figowym. Carla uważała, że jest szczególnie piękne, i urządziła w tym miejscu mały kącik wypoczynkowy. Poszła do domu, aby przynieść wino.

Kai i Anne rozglądali się.

– Nie do wiary, jak dużo Enrico zrobił w tak krótkim czasie – zauważyła Anne. – Pracuje jak mrówka. Obserwowałeś go kiedyś? On robi prawie wszystko niemal w biegu.

– Anne – Kai wziął ją za rękę i mówił bardzo cicho – czego my tu szukamy? Enrico i Carla nie włamali się przecież do Valle Coronata.

– Nie. Ale od czegoś musimy zacząć. Może oni będą mieli jakiś pomysł, jakieś podejrzenie. Nie możemy teraz siedzieć w Valle Coronata i starać się zapomnieć o wszystkim. – Anne mówiła do Kaia bardziej zagniewanym tonem, niż właściwie tego chciała, złościła ją jednak to, że ze swego miejsca mogła oglądać, jak Enrico się namyślał i splukiwał prysznicem, i wcale mu nie przeszkadzało, że ktoś go przy tym obserwuje.

W tej chwili do stołu podeszła Carla z wodą, winem, oliwkami, serem i chlebem.

– Nic więcej niestety nie mamy w domu – usprawiedliwiała się, stawiając tacę.

– Wszystko jest wspaniałe – powiedziała Anne. – My wcale nie jesteśmy głodni.

Kai zmarszczył czoło i uśmiechnął się. On był straszliwie głodny.

Enrico włożył krótkie spodenki i T-shirt, podszedł do stołu, susząc sobie jeszcze po drodze włosy, i usiadł.

– Co się stało? – zapytał. – Co się wydarzyło?

Carla rozlała trochę wody mineralnej, tak bardzo drżały jej ręce przy nalewaniu, ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

– Najpierw jedno pytanie, Enrico – odezwała się Anne. – Dlaczego mówiłeś, że tu, w tej okolicy, nie było żadnych morderstw dzieci? W pobliżu oprócz mojego Felixa zaginęło jeszcze dwoje dzieci, Filippo i Marco. Filippo miał jedenaście lat, Marko trzynaście. Jeśli coś takiego się zdarza, ludzie wiele tygodni o tym rozprawiają, w barach, w sklepach, na targu, na *piazza*, wszędzie. Sama osobiście to przeżyłam. A wy o niczym nie słyszeliście?

– Naprawdę o niczym nie wiedziałam – wydyszała Carla. Na jej kościach policzkowych utworzyły się czerwone nerwowe plamy.

– Ja wiedziałem – odrzekł Enrico cicho, nie odrywając oczu od podłogi. – Być może Carla o tym nie słyszała, zdaje mi się, że w tym czasie była akurat w Niemczech.

– A o zniknięciu Felixa też słyszałeś?

Enrico kiwnął głową.

– A kiedy Felix zniknął, Carla też przebywała w Niemczech?

– Tak – powiedziała Carla – przecież ci mówiłam. Mój ojciec miał zawał. Anne wykonała niedbały gest, który oznaczał mniej więcej: zgadza się, zapomniałam. Spojrzała na Enrica. Jej wzrok miotał pioruny, głos brzmiał dość głośno.

– To dlaczego nic mi nie powiedziałaś o tych dwojgu zaginionych dzieciach?

– Nie chciałem cię straszyć, Anne. – Głos Enrica był ciepły i serdeczny. – Miałaś przecież wystarczająco dużo trosk i problemów. A przede wszystkim nie chciałem ci odbierać nadziei, że pewnego dnia może odnajdziesz swojego Felixa żywego. Może był to błąd z mojej strony. Może, nie wiem tego. Ale jeśli zrobiłem coś nie tak, to bardzo mi przykro. Wybacz, Anne.

W tej chwili Anne nie była już wściekła, raczej zawstydzona i zapytała cicho:

– A więc ty nie wierzysz, że on jeszcze żyje?

Enrico potrząsnął głową. Carla przycisnęła dłoń do ust, ponieważ przed chwilą zaczęła płakać. Anne pytała niewzruszenie dalej:

– A więc tu, w tej okolicy, grasuje morderca dzieci, który co kilka lat atakuje i tak dobrze ukrywa ciała, że prawdopodobnie nigdy nie zostaną odnalezione?

– Być może tak – powiedział Enrico, unikając wzroku Anne.

Przez chwilę panowała cisza.

Anne nabrała głębokogo powietrza.

– Myślę, że morderca dzieci pojawił się dziś w Valle Coronata.

– Co takiego? – Enrico poczuł lekki zawrót głowy i musiał się skoncentrować na własnym oddechu.

Ponieważ Anne nerwowo szukała w torebce papierosów, Kai włączył się do rozmowy:

– Wybraliśmy się dziś do Montalcino. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Valle Coronata, wszystko było okay, ale kiedy wróciliśmy, szyba w kuchni była wybita. Na podłodze zauważyliśmy ślady krwi. Sprawca musiał się skaleczyć o wybitą szybę. Przetrzęsaliśmy cały dom. Niczego nie brakowało. Przesiępca nie przeszukiwał domu.

– Nawet pieniądze w szufladzie w kuchni pozostały – dorzuciła Anne.

– Brakowało tylko fotografii! Fotografii Felixa, która wisiła w kuchni nad stołem. Tylko ją skradziono. Tylko ją jedną. – Kai spojrzał na Enrica i Carlę. – O co tu chodzi? Po prostu nie rozumiemy tego.

Carla zerwała się z miejsca, mruknęła słowa przeprosin i wbiegła do domu.

– Co jej się stało?

– Nie mam pojęcia. – Enrico nie zamierzał teraz zaprzętać sobie głowy Carlą. Był zdenerwowany, bardzo zdenerwowany. On w ogóle nie umiał znieść sytuacji, która go przerastała i której nie rozumiał. – To nie ma sensu! – powiedział, potrząsając głową. – Ktoś włamuje się do domu w Valle Coronata tylko po to, aby skraść fotografię?

– Ja tego też nie rozumiem! – Anne zaciągnęła się głęboko. – Ale mogę sobie wyobrazić, że to był morderca. Morderca Felixa. Być może przypadkiem przejeżdżał przez Valle Coronata, ogarnęła go ciekawość, zajrzał do kuchni, a ponieważ zobaczył fotografię chłopca, którego przed dziesięciu laty zamordował, oczywiście zapragnął ją mieć. I to koniecznie. Na pamiątkę. Albo jako trofeum. Jak to zwykle bywa. W jego wspomnieniach morderstwo już prawie całkiem wyblakło, teraz nagle wszystko wróciło. Nagle ujrzał je ponownie, jeszcze raz to przeżył i rozkoszował się swoją zbrodnią. I będzie się rozkoszował wciąż na nowo, ponieważ teraz ma fotografię. Tylko w ten sposób można wytłumaczyć fakt, że ten człowiek wcale nie był zainteresowany kradzieżą moich pieniędzy ani mojego laptopa.

Carla wróciła. Wklepała sobie w twarz zimną wodę i była jeszcze zaczerwieniona.

– No i co, do jakiego wniosku doszliście?

Kai powtórzył w kilku słowach to, co powiedziała Anne. Carla przytaknęła i usiadła.

– Źle się czujesz? – zapytała ją Anne.

– Nie, nie, to nic takiego. – Carla próbowała się uśmiechnąć.

Enrico miał uczucie, że jego serce na chwilę przestało bić, a teraz nieregularnie drżało. Co to było? Czy jest ktoś, kto wie za dużo?

– Zawiadomiliście policję? – zapytała Carla.

– Z powodu fotografii wartości dwudziestu euro? Uznają, żeśmy zwariowali! – Kai potrząsnął głową.

– Coś się dzieje w Valle Coronata, co w jakiś sposób wiąże się z Felixem. Ale nie rozumiem tego. – Anne zapaliła następnego papierosa.

– Jesliby to był morderca – zastanawiał się Enrico – byłby to niewiarygodny przypadek, nie potrafię sobie tego wytłumaczyć. A w ogóle nie wierzę w przypadki. Nie wierzę też w los, który w tajemniczy sposób kieruje naszymi drogami, a my nic nie możemy na to poradzić. Nie. To czysty wymysł. Zawsze kiedy my, ludzie, czegoś nie rozumiemy, przywołujemy na pomoc los i wtedy jesteśmy spokojniejsi. Musi istnieć jakieś wytłumaczenie faktu, że fotografia Felixa zniknęła, prawdopodobnie całkiem proste wytłumaczenie, tylko my na nie nie wpadliśmy.

– Ale co może się kryć za tym włamaniem? Powiedz mi! Jakie może być proste, rzeczowe wytłumaczenie? Cieszyłabym się niewymownie, gdybyś takie znalazł! Tylko nie chcę teraz słuchać żadnych filozoficznych mądrości, chcę wiedzieć, co się zdarzyło w Valle Coronata i co ma z tym wspólnego mój syn!

Enrico milczał. Carla i Kai również milczeli. Przez minutę, która zdawała się nie mieć końca, nikt nie powiedział ani słowa.

– Czy w Valle Coronata zdarzyło się kiedykolwiek włamanie? Czy w ogóle przeżyliście coś takiego?

Carla potrząsnęła głową.

– Nie. Bogu dzięki nigdy. Ale wiem o kilku położonych na odludziu domach, do których się włamywano. Za każdym razem byli to menele. Szukali pieniędzy, zabrali kilka butelek wina i wynieśli się. Na

szczęście nas, jak dotąd, oszczędzono. Enrico zawsze powtarzał, że Valle Coronata nikt nie znajdzie. Jest zbyt dobrze ukryte. Ale chyba się mylił.

Ja się nie myślę, pomyślał Enrico, ja się nigdy nie myślę.

Mały kot wskoczył Enricowi na kolana. Mężczyzna pogłaskał go i z powrotem postawił na podłodze. Kot natychmiast znów wskoczył mu na kolana i Enrico pozwolił mu tak siedzieć i dalej go głaskał.

– Jeśli chcesz, Anne, Carla i ja możemy zawsze u ciebie nocować w Valle Coronata. Tak długo, aż przestaniesz się bać. Albo odkryjesz, co się stało.

– Nie trzeba. Dziś w nocy ja zostanę z Anne. A jeśli będzie chciała, również przez następne dni. – Kai był bardzo energiczny i nie przejmował się tym, co sobie pomyślał Enrico i Carla. Lecz ci dwoje w ogóle nie zwrócili na to uwagi.

– Jest wiele dzieci, które wyglądają podobnie jak Felix. Może ktoś go pomylił z jakimś innym chłopcem – odezwał się Enrico.

– Może, może, może. – Anne wstała, jej twarz wciąż jeszcze płonęła. Wzięła do ręki kieliszek wina i wypła jednym haustem. – A może ktoś zamordował też mojego Felixa przez pomyłkę. Może to miał być całkiem kto inny, ale teraz Felix nie żyje. Kai, proszę cię, odwieź mnie do domu, okropnie boli mnie głowa.

Kai wstał i wziął Anne mocno za rękę, aby ją podtrzymać.

– Dzięki za wszystko – powiedział do Enrica i Carli. – Będziemy w kontakcie.

Potem poszedł z Anne wolnym krokiem do samochodu.

– Ależ ona ma bujną wyobraźnię – szepnął Enrico do Carli, kiedy Anne i Kai zniknęli już z pola widzenia. – To całkiem jasne. Ona musi się najpierw przyzwyczaić do ciszy, samotności, ciemności, do tego zupełnie innego życia wśród przyrody. Człowiek w takiej sytuacji często widzi rzeczy, których w ogóle nie ma, i wymyśla sytuacje całkowicie nieprawdziwe.

– Ale fotografia jednak zginęła. Ona sobie tego przecież nie wymyśliła! – Carla nie rozumiała, dlaczego Enrico coś takiego powiedział.

– Wiesz to na pewno? Byłaś przy tym? Ona jest w sytuacji wyjątkowej. Valle Coronata to dla niej coś w rodzaju szkoły przetrwania. A matki robią często dziwne rzeczy po doznaniu tak bolesnej straty. Być może ona sama zdjęła fotografię ze ściany, zniszczyła ją, ponieważ pragnęła w ten sposób zakończyć tę historię. Ponieważ nie chciała, aby fotografia przez wiele godzin każdego dnia przypominała jej o Feliksie. Ponieważ przyjechała tu po to, aby rozpocząć nowe życie. Czy to rozumiesz?

– A rozbita szyba? A krew na podłodze? Gdyby chciała pozbyć się fotografii, po prostu by ją wyrzuciła. I koniec. Z tego powodu nie musiała demolować własnego domu. Ta teoria nie jest prawdziwa. Ale poczekaj chwilę.

Carla pobiegła do domu.

Ona ma rację, pomyślał Enrico. Anne, która odczuwała wielką potrzebę bezpieczeństwa, nie zniszczyłaby drzwi własnego domu tylko po to, aby pozbyć się fotografii. Takie rzeczy robią szaleńcy, a Anne nie była szalona. Enrico myślał gorączkowo, lecz wciąż nie umiał znaleźć racjonalnego wytłumaczenia tego, co się zdarzyło.

Carla wróciła i położyła fotografię na stole.

Enrico spojrział na nią zdumiony.

– To ty? – zapytał bezdźwięcznie. – Byłaś w Valle Coronata i rozbiłaś drzwi, aby zabrać fotografię? Carla, czyś ty postradała rozum?

Carla uśmiechnęła się zmęczona.

– Brukowałam dziś drogę. Kiedy zrobiło mi się za gorąco, weszłam do domu, aby się czegoś napić. Piłam wodę z karafki, która stała na stole w kuchni. Potem znów wyszłam i położyłam się w hamaku, aby trochę poczytać. Trwało to jakiś kwadrans. Potem zrobiło mi się za gorąco w hamaku i wróciłam do domu. A na stole leżała ta fotografia.

Enrico wierzył każdemu słowu Carli. Poczł, że robi mu się zimno. Lodowato. Jeszcze nigdy nie czuł się taki bezsilny, taki bezradny.

– Dlaczego nie powiedziałaś, że masz tę fotografię?

– Żeby Kai i Anne uwierzyli w to, w co ty przedtem uwierzyłeś? Że to byłam ja? Nie, nie. Ten, kto ma to zdjęcie, to właśnie on. To przecież całkiem logiczne. I to jest jedyne możliwe wytłumaczenie. Nigdy

się nie przyznam, że mam tę fotografię, i ty również nikomu tego nie mów, przyrzekasz?

Enrico tylko kiwnął głową.

– Idę spać – powiedziała Carla. – Jestem śmiertelnie zmęczona, myślę, że dziś wieczorem nie posuniemy się dalej. Chodź, idziemy się położyć, może jutro wpadnie nam do głowy coś, co dzisiaj przeoczyliśmy. – Teraz Carla poczuła się znacznie lepiej. Pokazując fotografię Enricoowi, przekazała mu także odpowiedzialność. Jej niepewność gdzieś uleciała. W tej chwili było jej całkowicie obojętne, w jaki sposób fotografia znalazła się na jej stole. Chciała usnąć i nie zamierzała dłużej łamać sobie nad tym głowy.

– Tak, tak, ja też zaraz idę – powiedział Enrico, nie patrząc na nią, nie pocałował jej też w policzek. – Dobranoc.

Carla weszła do domu.

Enrico zgasił świecę i siedział bez ruchu w ciemności.

Musiał się zastanowić. Coś się wydarzyło. Sprawa wymknęła mu się z rąk, stracił nad nią kontrolę. Ktoś się zorientował w sytuacji i teraz zaczyna prowadzić z nim grę. I w tej chwili owa nieznana osoba była co najmniej o jeden ruch przed nim.

Noc była chłodna, ale Enrico nie poszedł do domu, aby przynieść sobie sweter. Jego myśli kłębiły się.

Powoli słabło cykanie świerszczy. Trwało jeszcze godzinę, po czym całkiem ucichło. I w tym momencie Enrico już wiedział, kto prowadzi z nim grę.

Anne. Oczywiście. To nie był przypadek, że kupiła właśnie ten dom, w którym on zabił jej małego syna. Przypadki nie istnieją. Powinien był wpaść na to znacznie wcześniej. Dlaczego nie uderzyło go to, że Anne tak bez namysłu zdecydowała się na kupno Valle Coronata? Nie kupuje się domu tak pochopnie. Na ogół człowiek ogląda wiele obiektów, zanim się zdecyduje. Anne widziała tylko ten jeden. Przybyła do Włoch, aby kupić Valle Coronata. Makler to była tylko przykrywką, tylko środek do celu, Anne chciała jedynie niepostrzeżenie zbliżyć się w ten sposób do niego i móc sprawiać wrażenie całkiem zwyczajnej interesantki. Jej głównym celem był on, Enrico. Był zbyt

łatwowierny, powinien z miejsca stać się nieufny, powinien dostrzec czerwone światło.

Anne wszystko wiedziała. Wiedziała, że jej syn nie żyje i że to on jest mordercą. Jej przyjaźń jest tylko fasadą, za którą kryje się głęboka nienawiść. Dlaczego czekała tak długo, zanim się przyznała, że szuka swojego syna? Bo się bała, że nie sprzeda jej domu, jeśli pozna prawdziwy powód. Z całą pewnością tak było. Oczywiście by go nie sprzedał, gdyby wcześniej wiedział, o co tu chodzi. Anne miała całkowitą rację.

Była wyrafinowaną kobietą. Chciała dowodów. Najpierw będzie go trzymała w niepewności i będzie próbowała obudzić w nim niepewność i nerwowość. Upajała się tym, że ma nad nim władzę. Chciała mu udowodnić, że stracił kontrolę nad sytuacją. Chciała widzieć jego strach, a pewnego dnia rozkopie basen i go zdemaskuje.

Pomysł z fotografią był znakomity. Anne zręcznie uknuła intrygę i uprawdopodobniła ją, całkowicie zbijając go z tropu.

Enrico pamięta jeszcze ów poranek, kiedy załadował auto narzędziami i z parkingu nagle usłyszał, jak Felix śpiewa swoim jasnym dziecięcym głosem. Była to piosenka, którą chłopiec śpiewał wówczas nad strumieniem. Enrico bardzo się przestraszył, przez chwilę było mu bardzo nieprzyjemnie słuchać tego głosu. Wtedy Anne rozpoczęła swój terror psychologiczny. Ale również to nie dało mu do myślenia.

Pozostaje jednak pytanie: skąd Anne wiedziała to wszystko? I jak go tu znalazła? Gdyby wówczas obserwowała, jak Felix w dniu Wielkanocy podczas burzy wsiadał do jego auta, natychmiast zawiadomiłaby policję. A gdyby widziała albo słyszała, że Felix przebywał w Valle Coronata, również poszłaby na policję i uratowała chłopca. A więc tak nie mogło być.

Zdarzyło się to dziesięć lat temu. Przez dziesięć lat nie było żadnych pytań, żadnych śledstw, niczego. On pozostawał całkowicie anonimowy. Również jeśli idzie o Filippa i Marca, nikt nie wpadł na jego trop. Nigdy nie był podejrzewany. Nigdy nie doszło do rozmowy z policjantem. I oto nagle zjawia się matka jednego z chłopców, która zna rozwiązanie zagadki! Dlaczego nie udała się od razu na policję, nie ka-

zała go aresztować, dlaczego nie rozpruła całego basenu? Czy tylko dlatego, aby go podręczyć? Aby rozkoszować się zemstą?

Musi znaleźć odpowiedź na te pytania, jeśli chce znowu odzyskać spokój. Z pewnością Anne nie liczyła się z tym, że on ją przejrzy. To był plus dla niego. Teraz będzie wet za wet, i to nie kobieta da mu na końcu mata. Nie dopuści do tego. Jeszcze nigdy nie przegrał i tym razem również nie przegra.

Kiedy Carla wczesnym rankiem wyszła z domu, ujrzała, że Enrico wciąż jeszcze siedzi przy stole. W takiej samej pozycji, w jakiej go przed paroma godzinami zostawiła. Zaspana Carla mrugała oczami w ostrym świetle poranka. Postanowiła nie rozmyślać dłużej na ten temat, tylko najpierw zaparzyć kawę.

– Pogoda się zmienia – powiedział Kai w drodze powrotnej. – Już teraz potwornie wieje, jutro będzie padało.

Kai wybrał dłuższą drogę z Casa Mèria do Valle Coronata, drogę, która prowadziła cały czas przez las. Kontrola pojazdu lub stanu trzeźwości przez karabinierów była w dniu dzisiejszym ostatnią rzeczą potrzebną im do szczęścia. Kai przejeżdżał przez San Vincenti, rozglądał się uważnie, czy gdzieś na brzegu drogi nie siedzi Allora, ale nigdzie jej nie widział. Potem wjechał na krętą szutrową drogę do Montebenichi, już w samej miejscowości skręcił przed osterią w prawo na wyboistą drogę, która im dłużej nią jechali, tym stawała się gorsza. Po blisko dwóch kilometrach dotarli do odgałęzienia na La Pecora. Kai spojrzął na Anne, lecz w jej wyrazie twarzy nic się nie zmieniło.

Nagle Anne krzyknęła. Kai nacisnął na hamulec i w tej chwili drogę tuż przed nim przecięło stado dzików.

Potem jechali powoli dalej przez gęsty las jodłowy do Il Padiglione, a następnie drogą pełną serpentyn w dół do Duddova, skąd skręcili na wąską drogę do Valle Coronata.

– Valle Coronata nie jest już święte – powiedziała Anne zamyślna. – Zostało sprofanowane. Ktoś był w moim domu, być może chodził po wszystkich pokojach, grzebał w mojej garderobie, dotykał mojej pościeli, używał mojej szczotki do włosów i przeglądał się w moim lustrze. To prawda, niczego nie zniszczył, ale nie jest już tak jak dawniej. To okropne uczucie, że ktoś bez mojej wiedzy przebywał w moim domu. Czy ty to rozumiesz?

– Oczywiście. Jeśli masz jakieś deski, zabiję ci dziś wieczorem drzwi do kuchni.

Anne miała jeszcze w szafie butelkę czerwonego wina, którą otworzyła, podczas gdy Kai zmiatał odłamki szkła z drzwi kuchennych, po czym dwiema deskami zabił otwór.

– Niezbyt to pięknie wygląda – stwierdził – ale przynajmniej człowiek ma lepsze samopoczucie.

– Zadaję sobie pytanie, czy morderca rzeczywiście przypadkiem odkrył fotografię... – zastanawiała się Anne. – Jeśli bowiem tak było, to również on musiał przeżyć szok. Zagląda do kuchni, niczego nie przeczuwając, i widzi zdjęcie swojej ofiary! Wyobraź sobie! Nie mogę też uwierzyć, że mógł to być przypadek. Przyznaję rację Enricowi. W końcu Felix zniknął w La Pecora. Valle Coronata jest zamkniętą doliną, nikt tu nie chodzi ot tak sobie na spacer. Co wspólnego ma Valle Coronata z La Pecora?

Kai wzruszył tylko ramionami.

– W każdym razie morderca teraz wie, kim jestem i po co tu jestem. A to, do diabła, nie jest przyjemnym dla mnie uczuciem. A może on wiedział cały czas, kim jestem i po co tu jestem, i specjalnie przyjechał do Valle Coronata. Być może po to, aby trochę powęszyc, aby sprawdzić, czy już coś odkryłam. A na widok fotografii po prostu nie mógł się oprzeć. Musiał ją mieć. I ta druga możliwość wywołuje jeszcze gorsze uczucie. – Twarz Anne płonęła. – Boję się, Kai. Mam cholernego pietra. Ponieważ teraz wiem, że jestem bardzo blisko. Ponieważ teraz wiem, że morderca jest tu gdzieś naprawdę i że wciąż przebywa na wolności. I kiedy o tym pomyślę, że jeszcze jedną noc mam spędzić sama w tym przeklętym domu, robi mi się niedobrze. Wydaje mi się, że tego nie wytrzymam.

Kai przysiadł się do Anne i położył rękę na jej ramieniu.

– Spokojnie. Twoja teoria, że morderca ukradł zdjęcie, mogłaby nawet być słuszna. W każdym razie nie przychodzi mi do głowy nic bardziej logicznego. Ale to jest tylko teoria. To wcale nie musi być morderca! Nie rozpędzaj się za bardzo z tymi myślami! A czy nie uderzyło cię to, że cały czas mówisz o „mordercy”? Dziś rano nie byłaś jeszcze nawet pewna, że Felix nie żyje. A może jednak żyje? Czyżbyś straciła już nadzieję? Tylko dlatego, że jego fotografia została skradziona?

– Myślę jednak, że on nie żyje. Myślę, że to wiem. Straciłam już nadzieję, że on pewnego dnia jako dorosły mężczyzna stanie przede mną. Tak, straciłam nadzieję.

– Właśnie dzisiaj? Z powodu tej tajemniczej historii?

Anne skinęła głową.

– Tak. To był znak.

Pół godziny później poszli spać. Anne wtuliła głowę w ramię Kaia i dziękowała Opatrzności, że nie była teraz całkiem sama. Choć zupełnie inaczej wyobrażała sobie dzisiejszy wieczór i noc.

O godzinie szóstej Anne się obudziła. Nasłuchiwała regularnego oddechu Kaia i cichego szumu kasztanowca za oknem. Tu i ówdzie zaczynały już śpiewać ptaki i im jaśniej robiło się na dworze, tym głośniejszy stawał się świergot. Przed kilkoma dniami był to jeszcze dla mnie prawdziwy raj, myślała tęsknie, czułam się tu całkowicie bezpieczna, a teraz tęsknię za Fryzją.

W jej głowie kołatało wciąż jedno pytanie: co wspólnego ma La Pecora z Valle Coronata? W jaki sposób oba miejsca są powiązane ze sobą? Po co morderca przybył z La Pecora tutaj? Muszę porozmawiać z Eleonore, pomyślała Anne, Eleonore dużo wiedziała, może znajdzie jakieś wytłumaczenie?

O siódmej Anne obudziła Kaia, który otworzył oczy, ziewnął szeroko i wziął ją w ramiona.

– Wiesz, co teraz zrobię? Wskoczę do basenu, do tych wszystkich ropuch, salamander i węży, a ty chodź ze mną!

– Nie! Za nic w świecie! – Anne wysunęła się z jego ramion i pobiegła do drzwi. – Rób, jak chcesz, ja wolę wziąć prysznic.

Kiedy Kai wyszedł z basenu, szczękał zębami i złościł się.

– Przekłęte bajoro! Jest lodowate, ponieważ płynie przez nie źródłana woda, poza tym coś cały czas plątało mi się pod nogami. Prawdopodobnie to tylko glony i rośliny wodne, wpadłem jednak w prawdziwą panikę. Zupełnie nie rozumiem, jak Enrico mógł tam wchodzić każdego dnia. Musisz to koniecznie zburzyć i zbudować nowy basen. Bez zwierząt, bez szlamu i bez glonów. Coś takiego jak to tutaj jest obrzydliwe!

Kai wszedł do Anne pod prysznic i przesunął palcami po jej ciele.

– Wyobraź sobie, że jesteś pod wodą, i nie wiesz, co w niej jest...

Anne objęła go za szyję i przyciągnęła mocno do siebie.

– Nie, Kai, nie strasz mnie...

Kai wziął ją za rękę i trzymał mocno. Anne zamknęła oczy, rozkoszowała się ciepłą wodą, spływającą jej po twarzy, i jego ręką, której dotknięcia zdawały się współgrać ze strumieniami wody. A potem zapadła się w siebie i płynęła na fali, która pozwoliła jej zapomnieć, że się boi i że mieszka w domu, który staje się dla niej z godziny na godzinę coraz bardziej niesamowity.

Po śniadaniu Kai pojechał do biura. Anne wiedziała, że ma wiele umówionych spotkań, i nie poprosiła go, żeby znów przyjechał wieczorem. Mimo niepewności nie chciała wyjść na niesamodzielną nastolatkę, nie chciała też wywierać na Kaia nacisku. Kiedy jego auto zniknęło za górą, już po chwili żałowała, że nie umówiła się z nim na następne spotkanie.

Anne widziała przed sobą górę czasu i strach nie do pokonania. Nie wyobrażała sobie, że może teraz zostać w Valle Coronata. Pospieszenie wstawiła naczynia ze śniadania do zlewu, zgarnęła pieniądze do portmonetki, starannie zamknęła wszystkie okna i drzwi, przeszła jeszcze raz przez pomieszczenia, aby wszystko sprawdzić, i wyszła z domu. Nie upłynął jeszcze nawet kwadrans od wyjazdu Kaia.

– O mój Boże – powiedziała Eleonore. – Już prawie wszystko zapomniałam, człowiek ma taką krótką pamięć... – Eleonore oddychała ciężko, siwe włosy przykleiły jej się do czoła, głębokie zmarszczki nadawały twarzy wesoły wyraz. – Może było tego trochę za wiele, tego wrywania chwastów w upał, lecz kiedy ogarnia mnie zapał do pracy, muszę to koniecznie wykorzystać! – Kobieta uśmiechnęła się i otarła twarz zakurzonym rękawem kurtki. – Teraz napijemy się zimnej wody cytrynowej, wówczas będę mogła trzeźwo myśleć i może coś ci opowiem.

Dwie minuty później wróciła z dwiema dużymi szklankami lodowatej wody ze studni, do której wcisnęła sok z połowy cytryny. – La Pecora i Valle Coronata... No tak... Jaki to ma związek? Chyba nie ma żadnego, tak myślę. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim, między nimi wznosi się olbrzymia góra. – Eleonora usiadła, a Anne piła z wdzięcznością zimną orzeźwiającą wodę cytrynową.

– Kiedy kupiłaś La Pecora?

– W 1996. W lecie. Pino i Samantha dali ogłoszenie do gazety za pośrednictwem maklera, przeczytałam ogłoszenie i z miejsca zakochałam się w tym domu. Prawdopodobnie ze mną jest tak samo jak z tobą, jestem kobietą, która szybko podejmuje decyzję. – Jej skóra była teraz czerwona jak burak, ale ogólnie sprawiała wrażenie, że jest zdrowa, tylko pozazdrościć.

– Znałaś Valle Coronata?

– Nie. Poznałam je dopiero, kiedy Enrico zaczął przebudowywać dla mnie ten dom tutaj. Tak, żebym jego część mogła wynająć. Enrico zaprosił mnie kiedyś do Valle Coronata na posiłek.

– A więc Enrico jest jedynym łącznikiem – mruknęła Anne. – On rozbudował Valle Coronata i przebudował La Pecora. Jednak ten fakt nie posuwa naszej sprawy ani trochę do przodu.

– Też tak uważam.

– I nie byłaś z niego zadowolona. To dziwne, ponieważ mam wrażenie, że wszystko, co on robi, jest znakomite!

– To częściowo robi dobre wrażenie, owszem. Niestety nic poza tym. Ten człowiek jest estetą. Dba o wygląd zewnętrzny, o wrażenie ogólne, ale jeśli chodzi o rzemiosło, to całkowity dyletant. Jeszcze się o tym przekonasz, jak dłużej pomieszkasz w tym domu. Kiedy przyjdzie zima z trwającymi wiele tygodni deszczami. Kiedy od okien będzie ciągnęło, ponieważ się nie domykają, kiedy woda będzie się wlewała do mieszkania przez drzwi, kiedy zawiedzie ciepła woda, a ogrzewanie wysiądzie, ponieważ ten człowiek nigdy nie widział na oczy pracującego hydraulika, a w dodatku kupował wyłącznie najtańsze rury. Wszystko połączył byle jak śrubami i raczej źle niż dobrze, a szambo przelewa się, ponieważ skierował odpływ w górę, zamiast w dół. Kiedyś stwierdzisz, że drenaż do niczego się nie nadaje, a dach nie jest właściwie izolowany, ponieważ ściany atakuje pleśń. I wściekiesz się, kiedy nie będziesz mogła skorzystać z kominka, bo będzie dymił, dla Enrica bowiem kominek to kamienny podest i dziura w suficie, a to przecież trochę za mało... Ach, mogłabym ci jeszcze opowiadać godzinami...

– Jesteś wściekła na niego?

– Oczywiście, że jestem wściekła. On tu przebudowywał jak szalony. Wszystko za szybko. Wszystko na łapu-capu! Nie zadawał sobie zbyt wiele trudu, a ja wówczas tego nie zauważyłam. Każdą usterkę budowlaną wyrównywał cementem i ustawiał oryginalny kamień, żeby zasłonić fuszerkę. Cały ten złom sprzedał mi jako swoją „sztukę”. Byłam zachwycona. Wierzyłam we wszystko, co mówił. Dopóki nie zamieszkałam w tym domu. Wtedy urządzenia po kolei zaczęły się psuć, a ja wreszcie zrozumiałam, że w gruncie rzeczy ten człowiek tylko udaje, że się na wszystkim zna. Dlatego pracował zawsze sam, nigdy nie miał pomocnika. Jestem pewna, że wiedział wszystko tylko po łebkach, uważam, że niczego nie nauczył się porządnie. Ale nigdy się do tego nie przyzna. Za każdym razem sprowadzałam do domu armię rzemieślników, aż wreszcie całość zaczęła jako tako funkcjonować.

– Czy to było w 1996?

Eleonore skinęła głową.

– Być może tak bardzo się spieszył z La Pecora, ponieważ jeszcze w listopadzie rozpoczynał odbudowę nowej ruiny, Casa Lascone, powyżej Badia a Ruoti. Znasz ten dom?

Anne potrząsnęła głową.

– Byłam tam kilka razy. Na pierwszy rzut oka człowiek ma wrażenie, jakby przy odbudowie Casa Lascone Enrico zadał sobie trochę więcej trudu. Ale z nim nigdy nic nie wiadomo. Na zewnątrz wszystko zawsze wygląda fantastycznie.

– Jesteś pierwszą osobą, którą spotykam, która nie wyraża się o Enrico w samych superlatywach. To mnie szczerze dziwi.

Eleonore wzruszyła ramionami.

– Napijesz się wina?

– Nie, dziękuję. Jest za gorąco. A potem jadę jeszcze do Sieny. – Wiesz, co się stało z Casa Lascone?

– Wiem, że kupił ją jakiś Belg. Enrico jak zwykle oddał posiadłość śmiesznie tanio. Prawdopodobnie dlatego, że z powodu fuszerki miał nieczyste sumienie. – Eleonore zaśmiała się. – I wyobraź sobie, niedawno słyszałam, że ten Belg jest wściekły, ponieważ z jego basenu stale ucieka woda. Chyba będzie musiał go rozebrać. – Eleonore spojrzała przyjaźnie na Anne. – Naprawdę nie życzę ci tego, ale myślę, że w Valle Coronata będziesz miała jeszcze duże problemy.

Anne roześmiała się.

– To zdumiewające, jak ty świetnie potrafisz pomstować! I co było potem?

– Potem tu, w Toskanii, coraz trudniej udawało się znaleźć niedrogą ruinę, którą można by odbudować i rozbudować. Ceny szły raptownie w górę. Wiem to od Carli, z którą kilka razy rozmawiałam, kiedy spotkałam ją na poczcie albo na targu. Enrico szukał nawet w Umbrii, choć tak naprawdę chciał budować dalej tu, w tej okolicy. Carla bowiem za nic na świecie nie chciała opuścić Valle Coronata. Dlatego dziwię się, że sprzedał ją tobie.

– Po tym wszystkim, co mi opowiedziałaś, ja również się dziwię.

– Ale Enrico znowu miał szczęście. Wiedział, co w trawie piszczycy, i usłyszał o ruinie La Roccia położonej na południe od Solaty. Ruinę tę nabył całkiem tanio i rozbudował. Ale nie wiem jak, nigdy tam nie byłem. Nikt tam nie był. Nie znam nikogo, kto by go tam odwiedził podczas budowy. Niewiele osób w ogóle wie, gdzie ten dom się znajduje. Też bym go nie znalazła. O ile wiem, we Florencji spotkał przypadkiem człowieka, który natychmiast kupił od niego odbudowaną ruinę. Było to przed dwoma laty. No tak, a teraz, jak słyszałam, buduje chyba w pobliżu San Vincenti.

– Tak, i już tam mieszka. Potrzebował czterech tygodni, żeby móc zamieszkać w jednym pokoju.

– No widzisz! – Eleonore wyduła pogardliwie usta. – To przecież nic nie jest warte. Tam, gdzie solidne firmy budowlane pracują sześć miesięcy w pięć osób, Enrico buduje sam w trzy miesiące? Niech mi ktoś wytłumaczy, jak to jest możliwe.

– Enrico niewiele opowiadał o swojej przeszłości – powiedziała Anne. – On niechętnie mówi o sobie. A co ty wiesz o nim?

– Również niewiele. Wiem tylko, że rozpowiada dokoła, że dawniej był menedżerem w Niemczech. Ale mój wrodzony instynkt mówi mi, że to nieprawda. Jeśli ten człowiek był menedżerem, to ja jestem królową angielską.

– Jak to?

– Widziałas kiedyś, jak on się podpisuje? On nie pisze, on maluje litery. Jak człowiek, który w swoim życiu dopiero ze trzy razy musiał się podpisywać, a nie jak ktoś, kto składał trzydzieści podpisów dziennie. Swoją księgowość prowadzi ołówkiem na kratkowanym papierze, jego segregatory wyglądają jak zeszyty w drugiej klasie szkoły podstawowej. Nie ma zielonego pojęcia o komputerze, Internecie i czym tam jeszcze, cała nowoczesna komunikacja przeszła obok niego, nie pozostawiając śladu. Taki człowiek może potrafi żyć w lesie, lecz nie umie kierować przedsiębiorstwem. Kiedy się go słucha, okazuje się, że wszystko potrafi, wszystko wie i wszystko już kiedyś robił. Ale kiedy się zajrzy choć trochę za kulisy i popatrzy z bliska, okazuje się, że to jedynie złudzenie, że to wszystko kłamstwo. Można powiedzieć jedna

wielka megalomania. Ten człowiek to wielki megaloman, Anne. On nigdy nie powie: „nie mam o tym pojęcia, nie potrafię tego...”, nie, on mówi zawsze: „w tydzień zaprojektuję ci wieżowiec i zrobię kalkulację mostu nad Oceanem Wielkim”.

Anne milczała.

– Teraz sama nie wiem, czy mówisz tak, ponieważ jesteś na niego wściekła, czy naprawdę tak dobrze go znasz.

– Nie musisz wierzyć w to wszystko, co mówię, nie chcę cię też przekonywać, ale wyrobiłam sobie własną opinię na jego temat. To sympatyczny człowiek. Zawsze przyjacielski i szarmancki, nie ulega wątpliwości. Kiedy go spotykasz, z miejsca ulegasz jego urokowi i wierzysz każdemu jego słowu. Ufasz mu, jesteś gotowa oddać mu ostatnią koszulę. Ledwie zostajesz znów sama, stwierdzasz, że ten typ wystawił cię do wiatru. Postanowiłam, że nie dam mu się dłużej mamić i okłamywać.

Anne milczała. To, co powiedziała Eleonore, całkiem wyprowadziło ją z równowagi. To prawda, ona sama ślepo ufała Enricowi i naprawdę oddałaby mu ostatnią koszulę. Czyżby się tak bardzo pomyliła? A może Eleonore miała złośliwą intrygantką żyłkę, którą umiała zręcznie ukryć pod przyjaznym sposobem bycia?

– Myślę, że mogłabym napić się teraz kieliszek wina – zmieniła temat Anne. Eleonore uśmiechnęła się, wstała i zniknęła w kuchni.

Kiedy wróciła z winem, powiedziała:

– Co za wspaniały dzień, piękna pogoda, jesteśmy zdrowe i wesołe, nie mamy zmartwień, korzystajmy z życia, a wino nie może przecież zaszkodzić.

Potem Anne opowiedziała o włamaniu do Valle Coronata i tajemniczym zniknięciu fotografii.

Anne poczuła lekki zawrót głowy, kiedy około drugiej jechała z La Pecora z powrotem do Valle Coronata. Wino sprawiło, że była ociężała i senna. W domu stwierdziła, że wszystko jest tak, jak zostawiła, położyła się do łóżka i natychmiast zasnęła.

Z głębokiego snu wyrwał ją szum silnika, tak bliski i taki głośny, jak jeszcze nigdy dotąd. Przestraszyła się. Wyskoczyła z łóżka. Wirowało jej w głowie, kiedy rzuciła się do okna. Tuż pod drzwiami do kuchni stał jeep. Był tak blisko, że ze stopnia samochodu od strony pasażera można było wejść wprost do kuchni, nie dotykając ziemi.

Po podwórku chodził mężczyzna w wojskowych butach, w spodniach od munduru i marynarce lotniczej, na lekko rozstawionych nogach. Uśmiechnął się ironicznie, kiedy Anne otworzyła okno szarpnięciem i łamanym włoskim, który wskutek wzburzenia był jeszcze mniej zrozumiały, zapytała, co to ma znaczyć i czego on szuka na tym skrawku ziemi, który jest jej własnością.

– *Che cosa vuole?*

Nie chodziło tylko o skrawek ziemi. Małe podwórko między kuchnią a młynem było jej salonem, zuchwały wjazd jeepa właściwie naruszał jej spokój domowy.

Mężczyzna wyczuł niepewność Anne i uśmiechał się jeszcze bardziej bezczelnie. Jeszcze szerzej rozstawił nogi i z wyniosłą miną zwycięzcy wziął się pod boki.

Anne widziała tylko jego jasnoniebieskie świdrujące oczy. Jakie złe oczy, pomyślała, o Boże, co za oczy, co mam robić? Enrico miał rację. W nocy była bardziej bezpieczna. Wtedy mogła zniknąć w ciemności, teraz natomiast nie miała żadnych szans, mężczyzna będzie jechał za nią i z pewnością będzie szybszy i silniejszy niż ona.

– *Vattene!* – krzyknęła. – Precz stąd, to mój dom! *Emia casa. Vattene!*
– Wykonała przy tym gest wściekłości, wyciągnęła palec wskazujący

przed siebie i wskazała kierunek. Mężczyzna potrząsnął głową, sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął paczkę papierosów, wsunął jeden papieros do ust i zapalił go, jak gdyby miał nieskończenie dużo czasu.

Anne odeszła od okna, zbiegła po schodach, przycisnęła się obok jeepa i wyszła na dwór. Stała teraz przed uśmiechającym się szyderczo natrętem, któremu ta sytuacja najwidoczniej bardzo się podobała.

A potem się odezwał. Mówił szybko, twardo i agresywnym tonem. Każde słowo brzmiało jak policzek, a ona nic z tego nie rozumiała.

– *Non ho capito niente* – powiedziała, a mężczyzna powtórzył swoją tyradę, choć Anne nie rozumiała z tego ani trochę.

– Nadal niczego nie rozumiem – powtórzyła. – A teraz niech pan się stąd wynosi, bo wezwę policję! – Typ najprawdopodobniej nie wiedział, że nie mając telefonu stacjonarnego i komórkę bez zasięgu i tak nie mogłaby zadzwonić. – Jeśli pan ma jakiś problem, niech pan do mnie napisze list!

Teraz on wściekły skrzyżował przed sobą ramiona w geście obronnym i w tym momencie jedynym pragnieniem Anne było trzymanie w garści pojemnika z gazem pieprzowym w sprayu.

Mężczyzna nabrał powietrza i zaczął krzyżeć. Uderzył płaską dłońią w maskę silnika wojskowego jeepa, po czym – cały czas krzyżąc – podszedł do Anne, grożąc pięścią, którą wymachiwał jej przed oczami. Anne cofała się coraz dalej, wreszcie oparła się dosłownie plecami o ścianę młyna. Poczwała oddech mężczyzny, przesiąknięty alkoholem. Co za prymitywny typ, pomyślała, co za nieokrzesany cham, co za obrzydliwa świnia. I znów próbowała rozpaczliwie obudzić się z tego koszmarnego snu.

Mężczyzna przeklinał, tyle Anne rozumiała. Nagle podszedł do samochodu, otworzył drzwi od strony kierowcy i wskoczył do środka. Przez otwarte okno krzyżał do niej, że jeszcze tu wróci. Jeśli zaistnieje taka potrzeba, to nawet codziennie będzie wracał. Aż Anne zrozumie, że on ma prawo tu przebywać. Ma prawo do drogi i kiedy tylko zechce, może przejeżdżać przez jej podwórko, aby dostać się na swoją posesję.

W końcu powoli odjechał. Jechał wolno przez podwórze, zahamował w pewnej chwili, obejrzał się na Anne, jakby chciał jeszcze raz za-

wrócić, wreszcie przejechał przez strumień tuż obok basenu i zniknął w lesie.

Anne jeszcze długo słyszała szum silnika, kiedy zasypywała nogą ślady opon na żwirze, jakie pozostawił jeep. Ostatnie zdanie zrozumiała. O co mu chodziło z tym „prawem do drogi”? Czy coś jest nie w porządku z umową? Czy Kai coś przeoczył? Czy umowa zawierała jakiś punkt, którego jej nie przetłumaczył albo źle zinterpretował? Albo może w ogóle została oszukana?

Anne pobiegła do domu i wyjęła z szuflady umowę kupna. Następnie zamknęła starannie wszystkie okna i wszystkie drzwi, zaryglowała, co się dało, co było do zaryglowania, i poszła do swojego auta.

I znów pojawił się ktoś, kto ją straszy. Chciała wiedzieć, o co chodzi. Teraz, natychmiast. Kiedy mężczyzna następnym razem wróci, chciała mu skutecznie stawić opór albo móc wyjaśnić nieporozumienie.

Dopiero w drodze do Sieny uświadomiła sobie, że nawet nie zapytała mężczyzny, jak się nazywa i z czyjego polecenia tu przybył.

Anne wjechała tym razem do Sieny przez Porta Romana i od razu znalazła miejsce do zaparkowania przed Ospedale Psichiatrico S. Nicole, potężnym, budzącym respekt budynkiem. Była za dziesięć piąta, Anne cieszyła się, że zrobi Kaiowi niespodziankę, i miała gorącą nadzieję, że jest już w domu.

Anne wlokła się Via Roma w dół, bez pośpiechu. Ruch na ulicy przybierał na sile, niektóre sklepy otwierano dopiero teraz po długiej sjeście.

W małym sklepiku kupiła butelkę czerwonego wina, faszzerowane tortellini z rukolą i 100 gramów prosciutto, wędzonej szynki, która pasowała do rukoli. Skoro już odwiedzała Kaia, chciała przynajmniej przywieźć coś na kolację, wiedziała, że w jego kawalerskiej lodówce najczęściej panowała pustka. Kiedy Kai był głodny, wołał pójść do trattorii na rogu, niż pichcić coś samemu. Na dłuższą metę było to dość drogie życie, ponieważ nawet w skromnej trattorii nie można już dostać potrawy z pasty w cenie poniżej dwunastu euro.

Kiedy Anne doszła do Piazza del Campo, zastanawiała się, czy nie powinna jeszcze chwilę posiedzieć na placu w słońcu, ale po chwili odrzuciła tę myśl i zdecydowała się pójść od razu do Kaia. Zawsze mogła tu wrócić, gdyby okazało się, że Kaia nie ma w domu. Anne czuła, że wbrew własnej woli idzie coraz szybciej. Choć oboje rozstali się zaledwie przed kilkoma godzinami w Valle Coronata, nie mogła sobie wyobrazić, że go zobaczy.

Odkąd poznała Kaia, Harald coraz rzadziej pojawiał się w jej myślach. Marzyła o tym, aby więcej czasu spędzać z Kaiem. Przerazała ją myśl, że mógłby nagle zniknąć z jej życia. Dni w Valle Coronata wlokłyby się wówczas w nieskończoność, Włochy jawiły jej się puste i zięjące chłodem. Brakowało jej Kaia, musiała to teraz przyznać, brakowało go każdego dnia, który spędzała samotnie, a jeszcze bardziej brakowało go w nocy.

Wypełniło ją głębokie szczęście, kiedy pomyślała o zbliżającym się wieczorze, i prawie zapomniała o dziwnym kierowcy jeepa w Valle Coronata i o prawdziwej przyczynie jego wizyty.

Na Via dei Rossi zatrzymała się na chwilę i spojrzała w górę na jego okna. Teraz, po południu, dom znajdował się w cieniu, a okna były otwarte. Serce Anne waliło jak szalone. A więc siedział w domu, wiedziała bowiem, że kiedy wychodził, zawsze zamykał okna.

Drzwi domu były tylko przymknięte. W korytarzu śmierdziało stęchlizną. Podczas swojej pierwszej wizyty wcale tego nie zauważyła, ale wtedy myślała tylko o jego łóżku, o niczym więcej.

Serce waliło jej jak młotem, czuła, że jest czerwona jak burak, kiedy przyciskała guzik dzwonka. Upłynęło kilka sekund, potem Anne usłyszała, jak w mieszkaniu trzasnęły drzwi, a następnie rozległ się grzechot, jak gdyby ktoś przeszukiwał szufladę pełną rozmaitych kluczy i innych drobnych rzeczy. Anne czekała w napięciu. Po dwudziestu sekundach znów zadzwoniła i prawie natychmiast drzwi się otworzyły.

Anne ze strachu zaparło dech w piersiach. Przed nią stała kobieta, której wiek trudno było określić. Jej białe włosy sterczały gęste i niesforne na głowie i sprawiały, że twarz kobiety wydawała się jeszcze bardziej wąska i niemal przezroczysta. Była boso i miała na sobie płaszcz kąpielowy, ten sam, który nosiła również Anne owego pierwszego wieczoru u Kaia.

Lwica, pomyślała Anne, biała lwica, której w żadnym razie nie ustąpię pola.

– *Buonasera* – powiedziała Anne przesadnie wesoło. – *Kai c'è?* – Nie czekała na odpowiedź, tylko przecisnęła się obok lwicy do przedpokoju.

– *Allora* – powiedziała Allora i zamknęła drzwi za Anne.

Anne zawołała kilka razy „Kai!”, otworzyła łazienkę, sypialnię i pokój, ale nikogo nie było. Ani śladu Kaia. Potem poszła do kuchni.

Na stole kuchennym stała duża miska z musli. Najwidoczniej Allora jadła śniadanie. Była tam także marmolada, mleko, karafka z wodą, szklanki, stos brudnych naczyń i torebka chipsów.

– Co się tu dzieje, do cholery? – zapytała Anne ostrym tonem. – Gdzie jest Kai i kim ty jesteś?

– Allora – odparła Allora i uśmiechnęła się. Anne zauważyła, że kobieta ma ranę na czole. Stała teraz swobodnie, oparta o zlew, i zdrapywała z przyjemnością strupy, aż krew zaczęła jej powoli spływać po twarzy.

Anne zrobiło się niedobrze, zemdlilo ją na ten widok.

Zrobiła krok w kierunku Allora, aby postawić produkty spożywcze koło zlewu. Allora zinterpretowała jej ruch jako atak. Wsunęła się więc do przodu i ugryzła Anne w przedramię tak szybko, że Anne nawet nie zauważyła, kiedy to się stało.

Anne jęknęła, a Allora zaczęła piszczeć, wskoczyła na stół, ominęła przy tym miskę z musli i mlekiem i weszła bosymi nogami w marmoladę. Nie przestając piszczeć, patrzyła na Anne wściekłym wzrokiem, sprawiała wrażenie, że za chwilę rzuci się na nią ze stołu.

Anne podniosła ręce w geście obrony.

– Przestań! – krzyknęła. – Dostyc tych głupot, przecież ja tylko chcę porozmawiać!

Ale Allora nie przestawała, szalała dalej.

Anne wyszła z mieszkania tak szybko, jakby uciekała. Jeszcze po drodze słyszała, jak lwica wrzeszczy, wydawała dźwięki przypominające okrzyki bólu ranionego zwierzęcia.

Anne jechała wyjątkowo powoli, ponieważ nie mogła się skupić na ruchu ulicznym. Przytąpała się na tym, że nie jest pewna, czy sprzęgło znajduje się z prawej czy z lewej strony, gaz pośrodku, a hamulec z prawej albo odwrotnie. Kiedy na drodze szybkiego ruchu tuż przed nią zahamowała ciężarówka przed jakąś budową, wpadła w panikę, ponieważ nacisnęła na gaz, kiedy próbowała włączyć sprzęgło, i w swojej nerwowości nie znalazła hamulca. Kiedy samochód wreszcie stanął, pot spływał jej z czoła na oczy i zasłaniał widok.

Jestem załatwiona, pomyślała Anne, całkowicie, muszę jak najszybciej wracać do domu. Moje życie wciąż traci równowagę. Muszę się położyć i spróbować zebrać razem to wszystko, co jeszcze jest w porządku. Muszę znaleźć coś, czego mogłabym się przytrzymać.

Z minuty na minutę jej poczucie bezpieczeństwa się zmniejsza. W końcu się zakochała, zaufała Kaiowi, on uczynił ją szczęśliwą i wyrwał z samotności. To wszystko teraz minęło. Najwidoczniej ten niewinny romans ona traktowała bardziej poważnie niż mężczyzna. Stosunek Kaia do niej nigdy nie był tak naprawdę poważny, miał jednocześnie inne kobiety, sypiał z dziką lwicą tak samo jak z nią. Pozwalał, aby to monstrum panoszyło się w jego domu podczas jego nieobecności, żeby nosiło jego rzeczy, żeby spało w jego łóżku, w którym ona również leżała, a w dodatku ta lwica była tak ograniczona umysłowo, że nie potrafiła sklecić nawet jednego zdania.

Przejechała zjazd do Bucine. Musiała wykonać dwudziestokilometrowy objazd i miała wrażenie, że nigdy nie dojedzie do domu.

Kiedy wreszcie przyjechała do Valle Coronata, znów przeszła wolnym krokiem z pomieszczenia do pomieszczenia i sprawdzała każdy szczegół, aby się upewnić, że w czasie jej nieobecności nikt nie wdarł się do domu. Stało się to niemal rytuałem.

Potem położyła się na leżaku pod orzechem i słuchała pluskania wody, która z kamiennego występu spadała do naturalnego basenu. Anne poczuła nagle pilną potrzebę, aby zadzwonić do Haralda. Z pewnością byłoby dobrze, gdyby przyjechał tu na kilka dni. Harald był w każdym calu realistą. On spojrzałby na dolinę całkiem innym, pragmatycznym okiem. Opowiedziałaby mu wszystko, co się wydarzyło, i być może Haraldowi udałoby się sprowadzić ją z powrotem na ziemię. W samotnej dolinie stały dwa domy. Nic więcej. Żadnej tajemnicy i nikogo, kto by jej zagrażał, kto chciałby ją pozbawić życia. I szarmancki makler, z którym spędziła piękne chwile, który jednak ani nie przysięgał jej wierności, ani do niczego się wobec niej nie zobowiązywał. Nie chciała zatajać przed Haraldem romansu z Kaiem, ponieważ Harald zawsze widział sprawy dokładnie tak, jak one wyglądały, nie inaczej. Tego teraz potrzebowała.

Anne postanowiła odpocząć przez chwilę, a potem wdrapać się na górę, aby zatelefonować. Pięć minut później zasnęła.

– Anne, obudź się – powiedział głos, który Anne bardzo przestraszył. Było ciemno, choć oko wykol. Przed nią stał mężczyzna, który świecił jej latarką w twarz. Widziała tylko zarys sylwetki, ale głos wydał się jej znajomy.

– To ja, Kai! Co, u diabła, robisz na dworze o tej godzinie?

Anne powoli przypominała sobie, co się wydarzyło. Zasnęła na leżaku i nie zapaliła jeszcze światła przed domem.

– Która godzina? – wyszeptwała.

– Prawie jedenasta. Poczekaj, wejdę do domu i zapalę światło.

Anne usiadła z trudem. Od leżenia na leżaku bolały ją wszystkie kości, nie była bowiem do tego przyzwyczajona. Poza tym zmarzła. Miała na sobie tylko T-shirt, a noce w dolinie są zimne. W tej chwili zaświeciły się wszystkie lampy i oświetliły małe patio i część ogrodu, sięgając prawie do basenu.

Anne wstała, przeciągnęła się i chciała właśnie wejść do domu, aby przynieść sobie kurtkę, kiedy w półcieniu za tokańskimi schodami zobaczyła lwicę. Kobieta stała skulona za krzewem oleandra i wyglądała na mocno wystraszoną.

Anne ogarnęła nagle wściekłość.

– Co to ma znaczyć? – syknęła cicho do Kaia, który właśnie znów wyszedł na tras. – Dlaczego przywlokłeś tu to aspołeczne monstrum? Jaką grę ze mną prowadzisz?

– Właśnie chcę ci to wytłumaczyć.

– Wsadź ją z łaski swojej do auta. Jeśli już, to chcę rozmawiać tylko z tobą. Nie obchodzi mnie, co robisz w swoim domu, ale nie wydaje mi się, żebym musiała przyjmować jeszcze twoje kochanki w moim własnym domu. – Ton Anne był ostry, skrzyżowała ramiona, ponieważ zaczęła drżeć z zimna.

Kai uśmiechnął się.

– Chyba nie będziesz zazdrosna, jeśli to biedne stworzenie weźmie w moim domu kąpiel i coś zje? Znam kogoś, kto jakiś czas temu również koniecznie potrzebował wziąć prysznic!

– Tak. I właśnie dlatego wiem również, jak to się kończy.

Anne zniknęła w domu. Kai poszedł za nią powoli. Oparł się skrzyżowanymi z tyłu dłońmi o zlewomywak i czekał, aż Anne znów zejdzie po schodach.

– Rozumiem, że byłaś wściekła. Ale nie rozumiem, dlaczego musiałaś ją tak pobić – powiedział Kai rozgniewany. – Kiedy wróciłem do domu, kobieta wyglądała jak zombi. Jej twarz była zalana krwią.

– No to co? Przecież to nie jest mój problem. Nawet jej nie dotknęłam! Nie bój się, nie zamierzam pozbawiać życia twoich kochanek.

– Kuchnia była jednym polem walki, Anne. Musli, marmolada, mleko, wszystko znalazło się na podłodze. Allora pokaleczona i całkiem roztrzęciona. A jako mały gościniec torba z twoimi produktami spożywczymi. Czy uważasz, że Allora sama się zraniła i zdemolowała kuchnię?

– Uważam, że to nie do wiary, że posądzasz mnie o coś takiego! – zawołała Anne. – Owszem, ona szalała na stole i wszystko zrzucała, tak po prostu i tylko dlatego, że jest szalona! Nic jej nie zrobiłam, za to ona mnie ugryzła, ta twoja wspaniała przyjaciółka.

– Nie wierzę ani jednemu twojemu słowu! Allora nie szaleje bez powodu. A jeśli już, to znaczy, że musiała się ciebie okropnie przestraszyć!

– Powiedz mi, czy ja tu jestem oskarżona, czy co? Dlaczego wierzysz bardziej jej niż mnie? Nie mam najmniejszej ochoty wysłuchiwać tych bzdur, które pleciesz, i tych beznadziejnych zarzutów. Po co tu przyjechałeś? Aby się ze mną pokłócić? Aby na mnie krzyczeć? Mogłeś sobie tego oszczędzić. Wynoś się! Ale szybko! I zabieraj ze sobą tego potwora! Sama sobie świetnie dam radę!

Anne była bliska płaczu.

W tym momencie odezwał się ochrypy głos:

– Allora!

Allora stała w drzwiach kuchni i potrząsała nieustannie głową. Wymachiwała w geście obronnym rękami i mruzczała bez przerwy „allo-ra”, co brzmiało mniej więcej jak: „Prześcieńcie, skońście wreszcie, prześcieńcie się kłócić!”.

Kai i Anne patrzyli na nią, a Allora wskazywała nieustannie czołem na wymaginowane drzwi kuchni i pokazywała ranę, wreszcie Kai zrozumiał i powiedział:

– To ty? To ty czołem zbiłaś szybę w drzwiach?

Allora skinęła energicznie głową.

– Ale dlaczego? Czego szukałaś w tym domu?

Allora pokazała miejsce na ścianie, gdzie wisiała fotografia.

– Ukradłaś zdjęcie?

Allora znów kiwnęła energicznie głową.

– Ale dlaczego?

Allora złożyła ręce jak do modlitwy i westchnęła.

– Czy masz jeszcze fotografię Felixa? – Kai zwrócił się do Anne, a Anne skinęła głową. – Przynieś szybko.

Anne pobiegła po schodach do sypialni i wróciła po kilku chwilach z małą fotografią, na której widać było Felixa przy biurku, kiedy odrabiał lekcje i gryzł ołówkę.

Kai pokazał Alloraze fotografię.

– Znasz tego chłopca?

Allora skinęła głową. Anne oparła się o ścianę. Kolana się pod nią ugiwały, ledwie mogła utrzymać się na nogach.

– Widziałaś go kiedyś?

Allora skinęła.

– Jeszcze jedno, Allora. Dlaczego zabrałaś zdjęcie chłopca z tego domu?

Allora wykrzywiła twarz, co miało oznaczać: sama nie wiem.

– Znałaś tego chłopca i chciałaś go sobie przypomnieć?

Allora znów skinęła głową i uśmiechnęła się udręczona.

– Gdzie widziałaś tego chłopca?

Allora nic nie odpowiedziała, ponieważ jej uwaga była rozproszona, usiłowała bowiem za wszelką cenę wyłowić mola ze szklanki, która do połowy napełniona stała na płycie kuchennej. Jęczała przy tym, bo bała się, że mól się utopi.

– Powoli, tylko powoli. Z Allora można się dogadać, lecz nie jest to łatwe.

Anne nie odzywała się. Napięcie było wprost nie do zniesienia. Oto znalazł się ktoś, kto choć trochę wiedział, nie mogła wprost w to uwierzyć.

Mól został uratowany. Teraz za krzewem lawendy pojawiła się tłusta ropucha, toczyła się powoli i ociężale po żwirze, powodując przy tym szmer, jakby to człowiek szedł po żwirze. Allora podbiegła do ropuchy, wzięła ją do ręki i głaskała czule po karku.

– To straszne – szepnęła Anne.

– Allora kocha zwierzęta. Ona kocha wszystkie stworzenia. Nie skrzywdzi nawet muchy. Nie robi różnicy między sobą a innymi żywymi istotami. – Allora przykucnęła i dalej głaskała ropuchę. Była tym całkowicie pochłonięta i nie zwracała uwagi na Kaia i Anne.

– Ona się nazywa Allora – szepnął Kai – ponieważ umie wymawiać tylko to jedno słowo. Mieszka w San Vincenti u Fiammy. Fiamma wzięła ją przed wieloma laty z sierocińca. Najpierw dziewczyna mieszkała u starej Giulietty i pomagała kobiecie, dopóki ta nie zmarła. A wiesz, gdzie mieszkała Giulietta z Allora? – Anne pokręciła głową.

– W Casa Mèria, w domu Enrica.

Allora posadziła ropuchę na grządce z kwiatami i uśmiechnęła się zadowolona.

– Allora, czy dawno widziałaś chłopca? – Kai znów zwrócił się do kobiety.

Allora skinęła głową.

– Ale mimo to dobrze go pamiętasz?

Allora skinęła głową.

– A co robił wtedy ten chłopiec? Bawił się?

Allora patrzyła przez chwilę zdumiona. Potem potrząsnęła gwałtownie głową przecząco.

– A co robił?

Allora wciąż kręciła głową.

– Czy chłopiec był sam?

Allora znów pokręciła głową.

– A kto był z nim. Mężczyzna?

Allora znów pokręciła głową.

– No to kto? Zwierzę?

Allora tym razem potrząsnęła przecząco głową wyjątkowo szybko i energicznie.

– Kobieta?

Również teraz Allora zaprzeczyła ruchem głowy.

Kai spojrzał na Anne.

– No więc jak? Rozumiesz coś z tego?

– Chwileczkę. – Anne pobiegła do domu i wyszła po chwili, trzymała w ręce blok i ołówek i podała Alloraze.

– Allora – powiedział Kai – czy możesz narysować, kto był wówczas z małym chłopcem? Potrafisz?

Allora skinęła głową. Wszyscy troje poszli z powrotem do kuchni i usiedli. Allora trzymała ołówek mocno w dłoni i rysowała bardzo powoli i z dużym wysiłkiem i wciąż była niezadowolona ze swego dzieła. Anne i Kai nie mogli niczego zobaczyć, ponieważ Allora już po kilku kreskach darła kartkę.

– Rysuj dalej, Allora – próbował ją zachęcać Kai. – Rysunek nie musi być szczególnie ładny ani doskonały. Tylko taki, aby można było na nim coś rozpoznać.

– Allora – powiedziała Allora i westchnęła. Potem rysowała dalej i już nie podarła kartki.

Kiedy była gotowa, na kartce widniała twarz z rogami na głowie, do twarzy przyczepiony był tułów bez szyi. Postać miała na sobie spodnie i w rękę trzymała widły.

Kai przyglądał się rysunkowi zakłopotany.

– To diabeł – powiedział – ona narysowała diabła.

Allora skinęła głową i uśmiechnęła się.

– Allora – powiedziała dumnie.

– W ten sposób się nigdy nie porozumiemy – jęknęła Anne.

– Ależ tak. Potrzeba nam tylko trochę cierpliwości.

Allora spojrzała z miłością na Kaia. Potem usiadła mu na kolanach i mocno go pocałowała.

– Czy możesz mi to wszystko wytłumaczyć? – zapytała Anne zdeznerwowana.

– Tak – mruknął Kai – tylko później – i otarł sobie rękawem usta, kiedy już Allora zeszała mu z kolan i wróciła na swoje krzesło. – Posłuchaj, Allora, chcemy wiedzieć jeszcze dużo więcej o tym małym chłopcu. To ważne, rozumiesz... Anne jest matką chłopca i bardzo martwi się o niego. Bo nie wie, gdzie jest jej dziecko. A ty wiesz, gdzie jest chłopiec?

Allora skinęła głową.

Serce Anne przestało na chwilę bić.

– Gdzie, Allora, gdzie?

Allora wstała i wybiegła z kuchni. Biegła na bosaka przez podwórko i za młynem zwinnie i lekko jak sarna. Potem zniknęła za domem i przez chwilę nie było jej widać. Wreszcie znów się ukazała. Stała na krawędzi basenu, wyglądała jak szara nierealna postać. Jej białe włosy lśniły w świetle księżycy. Pokazała palcem na czarną powierzchnię wody.

Teraz byli już blisko. Na zjeździe Valdarno Bettina wzięła zakręt zbyt szybko, tak że miała trudności z odzyskaniem panowania nad pojazdem. Opony zgrzytały i lekko zarzuciło czerwonym passatem, zanim Bettina zdołała zahamować.

– O czym ty myślisz? – zapytała Mareike przestraszona.

– Już nie mogę – mruknęła Bettina. – Od tej jazdy zrobiło mi się niedobrze.

– To się zamienimy.

– Nie na ostatnich metrach. Popatrz lepiej na mapę, abyśmy na koniec nie zabłądziły.

Bettina uiszczyła w kasie opłatę za przejazd autostradą, mruknęła zmęczonym głosem *grazie, buonasera*, skręciła w prawo i jechała przez przemysłową dzielnicę Montevarchi.

Wyjechały w piątek rano z Berlina i są już dwa dni w drodze. W bawarskim miasteczku Holzkirchen, niedaleko granicy austriackiej, przenocowały w hotelu „Pod Starą Poczta”. Edda i Jan zjedli zachwyceni na kolację pieczeń wołową w marynacie z knedlami, wieczór natomiast uznali za beznadziejny, ponieważ w małej miejscowości nie było nic do oglądania, nie było co robić, a już na pewno trudno byłoby coś przeżyć. Po półtoragodzinnej wspólnej grze w inteligencję Edda i Jan z ulgą zniknęli w swoim pokoju, aby oglądać telewizję, Mareike i Bettina natomiast zostały jeszcze w barze i piły piwo.

Kiedy miały już dostatecznie ciężkie głowy, poszły do swojego pokoju, sąsiadującego z pokojem Eddy i Jana. Mareike nasłuchiwała jesz-

cze chwilę pod ich drzwiami, ale ponieważ było cicho i nic nie słyszała, uspokoiła się.

Mareike leżała w łóżku ze skrzyżowanymi pod głową rękami i z oczami wbitymi w sufit. Najwidoczniej myślami była wciąż jeszcze w biurze. Bettina przytuliła się do niej i zaczęła delikatnie drapać przyjaciółkę w ucho.

– Postaraj się nie wymyślać, co teraz się zdarzy. Nie musisz niczego ustalać, mówię ci: teraz sporządzą typ B przestępcy. Łagodne wprowadzenie o podłożu seksualnym bezradnej i bezbronnej ofiary. – Następnie Bettina podciągnęła w górę koszulę nocną Mareike i przesuwiała powoli językiem po ciele przyjaciółki. Mareike zaśmiała się i westchnęła głęboko. Wreszcie odwróciła się do Bettiny i wzięła ją w ramiona.

Skąpy top Eddy kończył się tuż nad piercingiem na pępku i wałeczkiem tłuszczu w talii. Dziewczyna wciągnęła brzuch z przyzwyczajenia i znudzona zdjęła z uszu słuchawki discmana.

– I w tej zaszranej okolicy chcecie spędzić urlop? Chyba macie nie po kolei w głowie!

– Poczekaj – powiedziała Bettina. – Jeszcze nie jesteśmy na miejscu. I nie będziemy mieszkały w mieście, tylko na górze otoczonej lasem.

– *Cool* – ucieszył się dwunastoletni Jan i naciskał nerwowo swojego gameboya. Edda z powrotem wsadziła do uszu słuchawki discmana i przewróciła oczami.

– Trzymaj się lewej strony – powiedziała Mareike. – Nie jedź postem na Montevarchi, tylko w lewo w kierunku Levane. To jest skrót.

Do twarzy jej w tych okularach, pomyślała Mareike, kiedy rzuciła krótkie spojrzenie w bok, wygląda jak bibliotekarka. Podoba mi się.

Za Bucine krajobraz stał się bardziej wiejski, a kiedy dotarli do Ambrj, od razu znaleźli odgałęzienie do Montebenichi.

I nagle znaleźli się w Toskanii. Przed nimi rozpościerały się przepiękne pagórki ze średniowiecznymi widokami, gaje oliwkowe i winnice odciskały swe piętno na krajobrazie. Tu i ówdzie wznosiły się

domy z naturalnego kamienia, otoczone cyprysami, tablica stojąca na skraju drogi informowała, że wszystkie gospodarstwa są nastawione na agroturystykę.

– No, powoli i tu przychodzi – mruknęła Bettina.

Mała miejscowość Montebenichi odpowiadała dokładnie ich wyobrażeniom i marzeniom.

– La Pecora – informowała tablica i Bettina skręciła na prawo od osterii „L’Orciaia” na szutrową drogę, która z lewej strony była ograniczona murem, z prawej zaś wywołującą zawrót głowy przepaścią.

– Co ja zrobię, jeśli teraz ktoś będzie jechał naprzeciw mnie?

– Pojedziesz z powrotem do miejscowości, z której przyjechałaś – powiedziała Mareike, bawił ją widok przerażonej twarzy Bettiny.

Odgałęzienie do La Pecora nietrudno było znaleźć. Bettina jechała, jak mogła najwolniej, ponieważ ulica tak naprawdę nie była ulicą, raczej drogą polną pełną głębokich dziur i szerokich bruzd, które deszcz wyłóbił w ziemi. Eleonore stała już przed domem, kiedy wszyscy czworo wysiedli.

– Serdecznie witamy w La Pecora – powiedziała Eleonore. – Jak pięknie, że wszyscy przyjeżdżacie w dobrym zdrowiu i w dobrym nastroju.

Mareike i Bettina były zachwycone pełnym zakamarków mieszkaniem z ukośnymi ścianami, zmurszałymi belkami i starymi mattoni, a wielki taras, z którego roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na doliny i góry, odpowiadał dokładnie wyobrażeniom Mareike.

– No jak tam, młody człowieku – zagadnęła Eleonore Jana – podobają ci się tu? – Jan skinął głową trochę niepewnie. – Zobaczysz, jak można tu wędrować, jeździć na rowerze, wałęsać się po lesie, bawić nad potokiem i pływać w jeziorze. Prawdziwy raj dla takiego chłopca jak ty.

Jan promieniał. Słuchał tych słów z radością, wszystko było dokładnie tak, jak chciał. Był pewien, że czekają go piękne wakacje, i postanowił jeszcze tego wieczoru pójść nad potok, aby zbadać okolicę.

Kai pozostawał cały tydzień w Valle Coronata. W sobotę dowiedzieli się w barze w Ambrze adresu Filippa Corellego, który mieszkał w La Scatola razem ze swoimi rodzicami i dwojgiem młodszego rodzeństwa, a zaginął w 1997 roku.

Raffaella Corelli miała gęste siwe włosy spięte na karku olbrzymią perłową klamrą. Miała najwyżej metr pięćdziesiąt wzrostu i drobne dziecięce rączki. Obrączka na palcu sprawiała wrażenie, że pochodzi prosto z automatu z gumą do żucia. Kobieta nosiła długą czarną sukienkę, a jedynym barwnym akcentem były jaskrawe fioletowe cienie na powiekach.

Wobec obojga Niemców, którzy pragnęli się czegoś dowiedzieć o Filippie i okolicznościach jego zniknięcia, zachowywała się powściągliwie, była zamknięta w sobie. Dopiero kiedy usłyszała, że niemiecka kobieta opłakuje swoje zaginione dziecko, nabrała zaufania.

Pewnego ciepłego dnia latem Filippo, na tydzień przed wakacjami, jak zwykle wyszedł o siódmej z domu. Miał około dwudziestu minut drogi do przystanku autobusu szkolnego w Badia a Ruoti. Stamtąd odjeżdżał autobus do szkoły podstawowej w Ambrze. Filippo był w dobrym humorze i cieszył się na popołudnie, ponieważ jego suczka marmemba o imieniu Elisabetta oszczeniła się, małe miały teraz cztery tygodnie i przy ładnej pogodzie chłopiec wychodził z nimi na łąkę, aby się trochę pobawić.

Filippo wędrował jak każdego ranka zwirowaną drogą przez pola i łąki, na których pasterz Roberto wypasał swoje owce. Oba psy pasterskie obstały chłopca jak zwykle z głośnym radosnym szczekaniem. Filippo pogłaskał je i poszedł dalej. Lisa, właścicielka gospodarstwa agroturystycznego „Casa Emanuela”, która zawsze wstawała rano, przypomniała sobie, że również tego ranka słyszała ujadanie obu psów pasterskich. Ale nie wyrzała przez okno, od razu poszła do łazienki.

A więc nie widziała Filippa, sądziła jednak, że tak jak każdego dnia o tej porze przechodził koło jej gospodarstwa.

Luisa nie potrafiła już powiedzieć, czy auto przejeżdżało obok jej domu. Tego lata Enrico przebudowywał ruinę Casa Lascone w gaju oliwkowym powyżej Casa Emanuela. Wielokrotnie w ciągu dnia przejeżdżał w tę i z powrotem swym rozklekotanym busem, którym transportował materiały budowlane. Lisa nie zwracała na to uwagi, jak powiedziała, miała co innego do roboty.

W drodze do szkoły Filippo musiał przejść jeszcze obok posiadłości handlarza materiałami budowlanymi, ale o tej porze dom sprawiał wrażenie wymarłego, ponieważ cała rodzina była zajęta w sklepie. Tylko zapchlony pies ze sfilcowaną sierścią czochrał się nieustannie o płot, drapiąc się w ten sposób, i szczekał za każdym razem, kiedy Filippo przechodził. Ale nikt nie słyszał szczekania psa. Żaden pieszy, żaden kierowca, od tej chwili nikt nie widział Filippa.

Na koniec Filippo miał zagrodę i ruinę i musiał przejść przez mały lasek, zanim doszedł do przystanku autobusowego u wylotu miejscowości Badia a Ruoti.

Nigdy jednak nie dotarł do tego przystanku i do dziś nie znalazłno śladu po nim, ani nie natrafiono na żaden znak życia. Było to siedem lat temu.

Raffaella przeżegnała się trzykrotnie, zanim powiedziała, że nie wierzy, żeby jej syn jeszcze żył.

Potem zdobyła się na całkiem nieoczekiwany gest zaufania, wzięła Anne za rękę i pociągnęła do pokoju. Na brzegu kominka stała fotografia w czarnych ramkach. Portret Filippo. Mały chłopiec, który odchylił głowę do tyłu, śmiał się na całe gardło, ukazując nierówne zęby. Siekacze zachodziły trochę jeden na drugi. Włosy miał krótko ostrzyżone, wyglądał jak radosny potomek rodziny Simpsonów.

– *Bello?* – zapytała Raffaella ze łzami w oczach i pogładziła fotografię.

– *Molto bello* – szepnęła Anne. Potem spojrzała na Kaia wzrokiem, który mówił: chodź, idziemy, nie wytrzymam tego dłużej, tu i tak nie posuniemy się ani o krok dalej.

Raffaella odstawiła fotografię z powrotem na kominek i wyszła z pokoju z wysoko podniesioną głową.

Byłoby niegrzecznie nie przyjąć zaproszenia kobiety na kawę. Usiedli więc jeszcze w kuchni.

– Bracia Filippa byli jeszcze bardzo mali, kiedy to się stało – opowiadała Raffaella. – Nie pamiętają go. Mój syn Manuel ma teraz jedenaście lat. Tyle samo, ile miał wówczas Filippo. Każdego ranka, kiedy idzie do szkoły, przeżywam wszystko od nowa i boję się, że on nie wróci. To jest prawdziwe piekło, mówię wam. Nic nie mogę poradzić. Modlę się tylko i czekam, aż usłyszę, że i on idzie przez podwórko i kopie emaliowaną konewkę, tak że toczy się po żwirze. Stawiam ją każdego dnia w tym samym miejscu, aby każdego dnia mógł ją kopnąć. Dopiero kiedy usłyszę ten dźwięk, moje życie potoczy się dalej.

Carabinieri szukali miesiąc, tak samo jak w przypadku Felixa przeszukiwano pola i lasy, nurkowie przeszukiwali jeziora, pytano przyjaciół, krewnych, znajomych, sąsiadów, rozmawiano z kolegami szkolnymi i nauczycielami Filippa, prawie każdy mieszkaniec Badia a Ruoti był przesłuchiwany – wszystko na próżno. Filippo jakby się zapadł pod ziemię, nie pojawiła się nawet jego teczka ani żadna część garderoby, nie natrafiono na najmniejszy ślad.

Raffaella opowiedziała, że trzy lata później zniknęło następne dziecko. Mały Marco. Również Marca poszukiwano, być może nawet dłużej i bardziej intensywnie, w końcu był to, jak dotąd, już trzeci chłopiec, który w ciągu sześciu lat zginął w tej okolicy. Ale również w przypadku Marca nikt niczego nie widział ani nie słyszał, policja była całkiem bezradna.

Matka Marca od zniknięcia swego syna nie powiedziała ani słowa. Do nikogo. Nie rozmawiała ani ze swoim mężem, ani z krewnymi, a już na pewno nie z policją. Toteż Raffaella nie wierzyła również w to, że matka Marca mogłaby choć trochę posunąć sprawę dalej.

Kai i Anne serdecznie podziękowali Raffaelli za wszystkie informacje i pożegnali się.

– To wszystko nic nie da – powiedziała Anne, kiedy stali pod drzwiami domu Torellich. – Uważam, że marnujemy czas. Dzieci znikają, nikt niczego nie widział, nikt niczego nie wie. Można zwariować!

– Chodź – zaproponował Kai. – Pójdziemy na mały spacer. Pokażę ci Casa Lascone. Dom, który również odbudowywał Enrico. Jest bardzo ładny.

Anne pokazała na swoje sandały.

– Nie jestem przygotowana do takiego intensywnego marszu.

– Nic nie szkodzi, droga wcale nie jest trudna, będziemy szli najwyżej dziesięć minut. To niedaleko stąd.

Dom był wspaniały. Wielki i imponujący, stał niczym monument pośród gajów oliwkowych wprost na stoku. Od frontu miał odkryty, oparty na kolumnach taras, z którego roztaczał się piękny widok na dolinę Ambry. Drugi taras Enrico umieścił z tyłu domu, był nieco ukryty między drzewami oliwkowymi i owocowymi, roztaczał się z niego widok na las i głęboką przepaść aż do góry leżącej naprzeciwko, po drugiej stronie doliny, z małą miejscowością Rapale. Poniżej tarasu Enrico zbudował basen z naturalnego kamienia. Chwilowo nie było w nim wody.

– Co tu się stało? – Anne podeszła bliżej brzegu basenu i zajrzała w głąb. Na dnie dojrzała wymurowane czerwonymi cegłami słowo CARLA.

– On chciał postawić Carli pomnik albo wyznać miłość, kto to wie...

– Ach, co za głupoty! – stwierdziła Anne. – Po co pisać imię własnej przyjaciółki w basenie domu, w którym nie zamierza się zamieszkać, ponieważ chce się go sprzedać? To nienormalne! Przeszkadzałoby mi, gdybym kupiła dom, gdzie na dnie basenu wypisano by imię kobiety, z którą nie mam nic wspólnego!

Kai wzruszył ramionami.

– Enrico robi czasem dziwne rzeczy, których nikt nîe rozumie. Dla mnie on zawsze był i pozostanie szalonym fantastą, ale sympatycznym. Po prostu nie należy traktować poważnie tego, co mówi, ten człowiek cierpi na manię wielkości. A tacy ludzie najczęściej są całkiem interesujący... Carla była akurat w Niemczech, a Enrico budował basen. I wtedy właśnie jako niespodziankę wmurował w dno basenu jej imię. Taką miał zachciankę. Trochę wariacki pomysł. Być może wypił o jedną butelkę wina za wiele.

– A dlaczego nie ma tu teraz wody?

– Basen jest nieszczęsny. Belg, który kupił dom, jest chwilowo nieobecny. Kiedy wróci jesienią, będzie szukał nieszczęsnego miejsca. W razie konieczności musi rozebrać basen albo wylać jeszcze jedną warstwę betonu. Ale wówczas basen będzie płytszy, a i tak nie jest zbyt głęboki.

– Zgadza się. Eleonore opowiadała mi o nieszczęsnym basenie.

Szli wolno dokoła domu.

– Przy budowie tego domu Enrico zadał sobie naprawdę wiele trudu – powiedział Kai. – Więcej niż w Valle Coronata. Być może przez ten czas zdobył trochę więcej doświadczenia w pracy na budowie.

– Czuję jakiś dziwny niepokój – powiedziała Anne, kiedy wracali. – Choć sama nie wiem, przed czym. Odnosi się to nie tylko do Valle Coronata. Znasz to uczucie, kiedy w blasku słońca idziesz przez ukwieconą łąkę, jak okiem sięgnąć nigdzie ani śladu żywej duszy, jest ciepło. Motyle fruują, świerszcze cykają, mógłbyś być właściwie bezgranicznie szczęśliwy, lecz masz przeczucie, że zaraz coś złego się wydarzy. Zielona łąka nagle staje się dla ciebie zagrożeniem. Rozpaczliwie szukasz możliwości ucieczki albo jakiegoś miejsca, gdzie mógłbyś się schować, ale niczego takiego nie znajdujesz. Ani drzewa, ani krzewu, ani szafasu, niczego. I w jednej chwili jesteś przekonany, że kwitnąca łąka jest śmiertelną pułapką, bardziej niebezpieczną niż pusta klatka schodowa w środku nocy. Czy nawiedzają cię czasem takie myśli?

– Nie – powiedział Kai i spojrzał zatroskany na Anne. – Naprawdę nie. Nie histeryzuj, Anne. Nikt nie chce ci zrobić krzywdy. Nikt ci nie zagraża. Kupiłaś piękny dom, zacznij wreszcie się nim naprawdę cieszyć!

– Jak mam się cieszyć, kiedy czuję, że wszystko, co robię, wszystko, ale to wszystko, co się w tym domu zdarza, każdy podmuch wiatru, który owiewa mnie w tej dolinie, nierozzerwalnie wiąże się z Felixem?

Kai nie powiedział nic więcej. Anne płakała cicho, do chwili, aż dotarli do parkingu, na którym wciąż jeszcze stał obrośnięty chwastami i trawą mały fiat.

Zarówno Kai, jak i Anne zdawali sobie sprawę z tego, że Kai nie może wiecznie mieszkać w Valle Coronata, tylko po to, aby tłumić lęki Anne. Kai stwierdził, że nieprzyjemny mężczyzna w jeepie to był Carlo, brygadzysta Filotti, do którego należały dobra ziemskie położone powyżej doliny. Obowiązujące prawo drogowe istniało od niepamiętnych czasów, ale Filotti nigdy nie robił z niego użytku. Zresztą Enrico zbudował w lesie drogę, z której Filotti mógł korzystać, aby dojechać do swojej posiadłości, i nie musiał dzięki temu jeździć przez wewnętrzny dziedziniec. Zachowanie Carla w dolinie było więc czystą złośliwością. Gdyby powtórzyło się jeszcze raz, trzeba będzie porozmawiać z Filottim – przecież rozsądnym i życzliwym człowiekiem.

Anne uspokoiła się i wierzyła, że następnym razem będzie mogła zachować się grzeczniej wobec Carla.

Kiedy wreszcie znów została sama, ćwiczyła w miarę możliwości normalną postawę. Tak jakby nigdy niczego się nie bała, jak gdyby w Valle Coronata nigdy nie zdarzyło się nic niezwykłego. Kupiła telewizor, pralkę i zamrażarkę. Kiedy teraz jej dzinsy, bluzki i swetry powiewały na wietrze na tarasie przed sypialnią na górze, miała przynajmniej mgliste uczucie, że jest „w domu”. Większą część produktów spożywczych, jakich codziennie potrzebowała, zamrażała w dużych ilościach i nie musiała już opuszczać doliny tylko po to, aby kupić chleb albo trochę pecorino. Najbardziej lubiła usiąść wygodnie wieczorem w pokoju i obejrzeć film. W ten sposób wprowadzała do swego samotnego domu kawałek ojczyzny i trochę poczucia bezpieczeństwa.

Minął dokładnie tydzień od czasu, kiedy ktoś skradł fotografię Felixa. W niezwykle chłodny poranek Anne otworzyła okno w sypialni i znów ujrzała Allorę. Stała powyżej basenu w beżowej sukience do kostek, która w porannym słońcu lśniła pomarańczowo. Jej białe włosy przylegały do głowy, prawym przedramieniem zasłaniała oczy, jak

gdyby oślepiła ją wschód słońca. Wyglądała jak piękna nierealna postać, niemal Madonna.

Być może była w wodzie, pomyślała Anne mimowolnie, kiedy ujrziała włosy Allora, być może naprawdę weszła o tej porze do tej wstrętnej zielonej brei.

Anne otworzyła okno. Allora natychmiast usłyszała zgrzyt antaby okiennej i spojrzała w górę.

– Allora – powiedziała zamiast powitania i uśmiechnęła się. Anne po raz pierwszy zobaczyła przy tym jej poplamione zęby i zdziwiła się, że ten nieprzyjemny widok tak bardzo ją poruszył.

Allora stała jak posąg anielski w lesie i nie poruszyła się, nawet wówczas, kiedy Anne nakryła stół pod orzechem na dwie osoby.

Kiedy kawa była gotowa, Anne zawołała:

– Allora, chodź tu! – i skinęła dłonią w jej stronę.

W tej chwili Allora uwolniła się z odrętwienia. Schodziła powoli do basenu. Dopiero teraz Anne zobaczyła, co Allora ma w dłoni. Były to czerwone róże krzaczaste, które Allora dotychczas trzymała ukryte za plecami, dłuższe i krótsze, nie tworzyły bukietu, raczej różaną gęstwinę.

Przy basenie Allora zatrzymała się i stała przez chwilę bez ruchu. Potem obrywała kwiaty róż i wrzucała pojedynczo do wody.

Poruszone spływającą z góry wodą źródlaną kwiaty tańczyły na ciemnozielonej powierzchni wody i wreszcie gromadziły się przed wąskim odpływem.

– Allora – mruknęła Allora i poszła wolnym krokiem drogą za młynem do głównego budynku. Ostrożnie i bardzo niepewnie usiadła obok Anne przy stole.

– Często się – powiedziała Anne uprzejmie. – Na co masz ochotę? Na kawę? Mleko? Chleb? Marmoladę? Świeże figi?

Allora wypła pośpiesznie mleko z dzbanka i beknęła głośno. Potem wzięła łyżkę i zaczęła powoli nabierać miód z dwulitrowego wiaderka. Promieniała przy tym i mlaskała radośnie jak niedźwiedź, który wybiera miód z ula.

– Zawsze możesz tu przychodzić, Allora – dodała Anne. – Jesteś zawsze mile widziana. Rozumiesz?

Allora skinęła głową i dalej zajadała miód, aż Anne od samego patrzenia zrobiło się niedobrze.

– Jedz, ile chcesz – powiedziała Anne i weszła do domu, potrzebowała do toalety. Zapytam ją o Felixa, pomyślała, myśl ta powracała do niej jak bumerang. Zapytam bardzo ostrożnie. Bez nacisku. Chcę zrozumieć, dlaczego wrzuca róże do wody i dlaczego pokazała na wodę, kiedy zapytaliśmy ją o Felixa. Jest w tym coś niesamowitego, że Allora nie mówi! Czyżby chciała dać do zrozumienia, że Felix jest w basenie? To niemożliwe! Przecież to Enrico budował basen. To nie może być! Czego ona chce?

Kiedy Anne wróciła na taras, była całkiem pewna, że nawet z milczącej Allora potrafi wydobyć jej tajemnicę, i sporządziła ogólny plan pytań, jakie zamierzała zadać.

Ale Allora już nie było przy stole. Allora poszła sobie razem z dwulitrowym wiaderkiem miodu.

Kai i Anne byli sami w biurze. Monika poszła dziś wcześniej do domu, ponieważ rzekomo bolała ją głowa, lecz Kai wiedział, że poznała właśnie pewnego fryzjera z Sycylii, któremu chciała pokazać miasto. Kai już wczoraj zauważył, że coś się tu nie zgadza, ponieważ Monika ufarbowała sobie włosy na blond i nałożyła znacznie więcej cieni na powieki niż zazwyczaj. Dziś przez cały dzień była niespokojna i zdenerwowana i sprawiała wrażenie, że nie może chwili usiedzieć spokojnie. Ponieważ bez przerwy się myliła, pisząc na maszynie, błędnie segregowała dokumenty i była zajęta wyłącznie swoim manikiurem, Kaiowi zwyczajnie ulżyło, kiedy wreszcie drzwi się za nią zamknęły.

Kiedy Kai wyjął z lodówki butelkę prosecco i nalał dwa kieliszki, Anne rozłożyła na biurku mapę, na której była zaznaczona nie tylko prawie każda mała miejscowość, ale również niektóre większe posiadłości. Czerwonymi szpilkami Anne zaznaczyła miejscowości, w których zaginęli trzej chłopcy, niebieskimi miejsca, gdzie mieszkali.

– Popatrz – powiedziała Anne do Kaia. – Filippo mieszkał w La Scatola, a zniknął niedaleko Badia a Ruoti. To niecały kilometr. Marco mieszkał w Cenninie, do jeziora było jakieś dwa kilometry. Felix zniknął pod La Pecora. A teraz popatrz na wszystkie miejscowości. La Pecora, Valle Coronata, La Scatola, Cennina, jezioro... to w rzeczywistości bardzo nieduży obszar. Morderca zawsze mordował w zasięgu dwudziestu kilometrów. To znaczy, że siedzi tu jak pająk w sieci, czuje się całkowicie bezpiecznie i prawdopodobnie znów zamorduje jakieś dziecko. Tu, w tej okolicy. W bliskim sąsiedztwie.

– Przecież policja by to wiedziała!

– Może tak, a może nie. Nie mam pojęcia, jak oni tu pracują, ale jestem więcej niż pewna, że żaden policjant nie zaprzęta już sobie głowy Felixem. I jeszcze coś, Kai. Felix zaginął w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym, Filippo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym

siódmym, a Marco w dwutysięcznym. Co trzy lata jeden chłopiec. Zaskakująca regularność. W ostatnim roku nic się nie wydarzyło. Dlaczego nie? Czy morderca zrezygnował, czy coś mu przeszkodziło, a może kolejne morderstwo jest już blisko?

Kai wzruszył ramionami i podniósł kieliszek.

– Wypij najpierw łyk, potem będzie się lepiej myślało.

Anne ledwie umoczyła usta w prosecco i od razu odstawiła kieliszek na podręczny stolik. Nie chciała, aby cokolwiek zakłócało dziś jej plany.

– Musimy się zastanowić, czy i co łączy te trzy miejscowości. Jakie osoby żyją w każdej z nich? O kim można by powiedzieć, że właśnie tam spotykał dzieci na swojej codziennej drodze? Może piekarz, który dostarcza codziennie świeży chleb do Montebenichi, Cenniny i Badia a Ruoti? A może ksiądz, który opiekuje się wszystkimi trzema parafiami. Albo też geometra, który odpowiada za wszystkie działki w tej okolicy. A może *maresciallo di forestale*, który często włóczy się po lasach, aby sprawdzić, czy ktoś nie buduje się bez zezwolenia.

– Albo makler, który wynajmuje domy i ruiny i prawie cały czas przebywa w terenie. Posłuchaj, Anne, według twojej teorii podejrzany może być każdy, kto mieszka w tej okolicy, ponieważ każdy, kto tu żyje, jeździ w różne miejsca, odwiedza znajomych albo zbiera grzyby i co tam jeszcze. Nie możesz tego ograniczyć tylko do pewnych osób, tak nie może być.

Anne nie dała się zbić z tropu. Była poważna i skoncentrowana, na jej twarzy malowało się napięcie.

– Kiedy właściwie Enrico rozbudowywał swoje domy? Czy wiesz to?

Kai westchnął:

– Nie, nie potrafię wyciągnąć tej informacji ot tak wprost z rękawa, ale mogę to sprawdzić, pośredniczyłem przy sprzedaży wszystkich ruin.

– Zrób to.

– Teraz? – Kai zrobił przerażoną minę. – Myślałem, że pójdziemy coś zjeść. Dziś od rana wypłem trzy butelki wody mineralnej i nawet nie przegryzłem do tego herbatnika. Po tym łyku sektu czuję się trochę dziwnie.

– Proszę cię, poszukaj. Teraz.

Kai szybko znalazł odpowiednie dokumenty, ale przerzucał je dość niechętnie.

– A więc – powiedział i założył wąskie okulary do czytania. – Tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi – zaczął rozbudowywać Valle Coronata, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty – przebudowywał w La Pecora, tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty szósty – kupił Casa Lascone, a w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym – La Roccia.

– Tak – zastanawiała się Anne. – W dwutysięcznym zniknął Marco... Czy wiesz także, kiedy Enrico odsprzedał La Roccia?

Kai znów zajrzał do swoich notatek.

– W lutym dwa tysiące drugiego.

– Wobec tego prawdopodobnie przeliczył się ze swoimi finansami i teraz, latem dwa tysiące czwartego, musiał sprzedać nawet Valle Coronata. Swoją ojczyznę, w której zawsze mieszkał, kiedy budował gdzie indziej.

– Dzieło sztuki – parsknął Kai pogardliwie. – On zawsze sprzedawał za tanio, nigdy nie trzymał się powszechnie obowiązujących cen. Byłem wściekły na niego, wciąż przysięgałem sobie, że nie będę więcej prowadził z nim interesów, ale sama wiesz, jak to jest. Jego zwariowany upór spowodował, że ceny w okolicy spadły. Z pewnością wyszedłby na swoje z pieniędzmi, które posiadał, gdyby nie był taki głupi.

– On wcale nie jest głupi, Kai. Z pewnością istnieje jakiś inny powód, dla którego on tak tanio sprzedaje. Może się boi, że jak będzie chciał więcej, domy się nie sprzedadzą?

Kai dołał sobie prosecco.

– Jeśli będziesz próbowała zrozumieć postępowanie Enrica, nigdy nie posuniesz się dalej. W interesach jest on prawdziwym oszołomem. I nikt nie potrafi go rozgryźć.

– Ten człowiek zawsze budował w pobliżu miejsca, gdzie ginęły dzieci. A Carla była za każdym razem w Niemczech, kiedy dzieci zniknęły.

– Przestań, Anne. Nie zaczynaj od nowa fantazjować. Enrico to wyjątkowy oryginał, ale jest uczynnym, miłym człowiekiem i nie skrzywdziłby

nawet muchy. Nie przyczepiaj każdemu mężczyźnie, którego spotkasz, od razu etykiety mordercy. Stajesz się przez to całkowicie niewiarygodna. Poprzednio stwierdziliśmy, że to może być każdy. I piekarz, i ksiądz, a także ja jako makler jesteśmy w myśl twojej teorii tak samo podejrzani jak Enrico.

– Masz rację – powiedziała Anne półgłosem. – Ja tylko tak głośno myślałam. Enrico jest moim przyjacielem i jest ostatnią osobą, którą posądziłabym o taką zbrodnię. Ale mimo wszystko... – Anne wtykała teraz żółte szpilki w miejsca, gdzie Enrico w ostatnich latach budował domy. Wszystkie znajdowały się w promieniu dwudziestu kilometrów. Anne wytyczyła ten promień.

– Ja tylko tak myślę – powiedziała.

Tematy dnia właśnie się skończyły i Anne zastanawiała się, czy nie obejrzyć jeszcze amerykańskiego thrillera, który zaczął się o godzinie pół do dziewiętej, kiedy na parkingu zatrąbił klakson. W pierwszej chwili przeraziła się okropnie, potem przyszło jej na myśl, że przecież nikt, kto chciałby na nią napaść, nie będzie trąbił i że taki właśnie zwyczaj miał Enrico. Zapowiadał się w ten sposób i oznajmiał swoje przybycie.

Anne zapaliła światło na dworze, wyszła przed dom i patrzyła, jak mężczyzna idzie drogą pod górę. Była godzina pięć po pół do dziewiętej, Enrico musiał mieć jakiś powód, skoro o tej porze zdecydował się na odbycie trudnej drogi przez las.

– Hallo, Enrico! – zawołała Anne, kiedy znalazł się już prawie pod drzwiami kuchni.

– Jak się masz? – zapytał Enrico uprzejmie, jakby to było czymś najbardziej oczywistym na świecie, że o tej porze zjawia się w tej chacie na odludziu, w której mieszka samotna kobieta.

– Dobrze. Czy coś się stało?

– Nie, nic. Chciałem cię tylko zobaczyć. To wszystko.

Anne zdumiała się, ale nie zareagowała na słowa Enrica.

– Wejdz – powiedziała. – Na dworze jest już potwornie zimno.

– Tak sądzisz? Ja zawsze siedzę na dworze. Jeśli trzeba, to nawet całą noc.

Weszli do domu.

– Co słyhać u Carli? – zapytała Anne.

– Już śpi. Przez cały dzień brukowała drogę i była bardzo zmęczona. Nawet nie zauważyła, że wyjechałem, musiałem koniecznie wyrwać się z domu.

Anne skinęła głową. Sytuacja była trochę dziwna, ale próbowała zachowywać się naturalnie, jak gdyby nigdy nic.

– Kieliszek wina?

– Chętnie.

Anne postawiła wino na stole i usiadła naprzeciwko Enrica. Jeszcze przed kwadransem była śmiertelnie zmęczona, teraz zaś poczuła w sobie rześkość.

– Czy zaaklimatyzowałaś się już w Valle Coronata? – zapytał Enrico.

– W pewnym stopniu. Gdyby nie historia z fotografią Felixa, byłoby mi łatwiej.

Enrico pokiwał głową.

– To tajemnicza sprawa. Czy podejrzewasz już coś, domyślasz się, kto by to mógł być?

– Nie, zupełnie nie. Nic mi nie przychodzi do głowy. Prawdopodobnie do końca życia nie odkryję, co się wówczas wydarzyło. Tak samo jak prawdopodobnie nigdy się nie dowiem, co się stało z Felixem.

– Anne dziwiły jej własne słowa. Byłoby łatwiej, gdyby opowiedziała Enricowi o Allorze, jednak z jakiegoś powodu, którego sama nie знаła, nie zrobiła tego. Postąpiła tak całkiem nieświadomie.

– Często myślę o tobie – powiedział Enrico cicho. – Wyobrażam sobie, jak ty tu żyjesz. Sama, w milczeniu, w ciemności. Szczególnie kiedy pracuję, zawsze jesteś przy mnie obecna. Podziwiam cię. Jesteś silną kobietą, Anne, niewiele osób tak potrafi. Ale boję się, że coś ci się stanie. Dlatego przyjechałem. Czasami zastanawiam się w środku nocy, czy nie powinienem pojechać do ciebie, aby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

Anne uśmiechnęła się.

– Nie jestem już dzieckiem. Potrafię sobie dawać radę. A poza tym Kai często jest tutaj. – Wprawdzie Anne czuła się pochlebiona zainteresowaniem Enrica, ale jednocześnie zakiełkowało w niej niedobre uczucie i próbowała rozgryźć, o co mu właściwie chodzi.

– To piękne, że oboje się odnaleźliście. Bardzo lubię Kaia, to miły człowiek.

Ple-ple-ple, pomyślała Anne, to wszystko obłuda. W rzeczywistości Kai obchodzi Enrica tyle co zeszłoroczny śnieg.

– Chcę oczyścić basen – powiedziała Anne ni stąd, ni zowąd i zauważyła całkiem wyraźnie, że Enrico ledwie dostrzegalnie drgnął. Zraz potem się roześmiał.

– Skąd ci to przyszło do głowy?

– Denerwuje mnie, kiedy widzę, jakie stworzenia w nim pływają. Boję się do niego wejść. Ostatnio Kai się kąpał i płały mu się pod nogami najrozmaitsze stwory. To prawdziwy horror. Powiedz mi, proszę, jak można z niego spuścić wodę? Nie znalazłam żadnego zaworu, który dałoby się odkręcić, ani żadnej rury, która prowadziłaby na zewnątrz. Niczego.

– Poczekaj do wiosny. Teraz idzie jesień, teraz to nie ma sensu. Jest już za zimno na kąpiel w basenie.

– Mimo wszystko muszę wiedzieć, w jaki sposób spuszcza się wodę. Chyba musiałeś przewidzieć taką okoliczność?

– Kiedy wracasz do Niemiec?

– Nie wiem. – Wzrok Anne powędrował po kuchni. – Czasem budzę się i chcę spakować manatki i od razu się wynosić. Czasem myślę, że wytrzymam tu jeszcze parę tygodni. A potem przychodzą takie dni, kiedy w ogóle nie chciałabym tam wracać. A więc naprawdę nie wiem kiedy.

– Coś ci zaproponuję. – Enrico opróżnił kieliszek jednym haustem, czego Anne jeszcze u niego nie widziała. – Zapomnij o basenie. Czy zdajesz sobie sprawę, jaka to brudna robota czyszczenie takiego obiektu? Będziesz musiała stać wiele dni w szlamie i wybierać szuflą brud ze zbiornika. Coś obrzydliwego, takie stanie w bajorze wśród węży, ropuch i salamander. Obiecuję, że oczyszczę ci ten basen, kiedy będziesz w Niemczech. A jak wrócisz, zastaniesz czysty zbiornik i przejrzystą wodę.

Anne zastanawiała się przez chwilę.

– Może przy okazji wbuduję pompę cyrkulacyjną i trochę go większą. Muszę porozmawiać z Haraldem, może będzie mógł wysułać jeszcze parę euro na ten cel. To przecież idiotyczne mieć wspaniały basen i nie móc z niego korzystać.

– Aby wbudować pompę cyrkulacyjną, musisz wszystko zburzyć i zbudować na nowo. Na to potrzebne jest pozwolenie, a zdobycie go

potrwa na pewno rok. Będziesz miała wówczas na działce olbrzymi plac budowy i do tego zapłacisz krocie. Chcesz tego?

– Może. Jeszcze się nad tym nie zastanawiałam.

– Zanim to nastąpi, oczyszczę ci basen. Zgoda?

– Nie będziesz wciąż dla mnie pracować, Enrico, tak nie można.

– Owszem, można. – Enrico ujął dłoń Anne i bawił się delikatnie jej małym palcem. Anne odczuła to jak intymny kontakt, do jakiego jeszcze nigdy między nimi nie doszło, i była poirytowana. Nie cofnęła jednak dłoni.

– To miło z twojej strony. Ale masz przecież dość roboty u siebie w Casa Mèria.

Enrico nie odpowiedział, tylko się uśmiechnął.

– Czy tu w ogóle jest jakiś odpływ?

– Tak. Na dnie. Gdzieś na dnie w odległości jednej trzeciej od wospadu. Trzeba się zanurzyć i grzebać w mule, aż się go wymaca. Nie jest to łatwe zadanie. I piekielnie zimne. Na rurze jest dekiel, aby go odkręcić, potrzeba dużo siły. Bez narzędzi się nie da. Mam odpowiednie narzędzia, lecz jeśli człowiek się na tym nie zna, czynność ta w wodzie pełnej szlamu, w której nic nie widać, jest prawie niewykonalna.

Anne zamilkła.

– No to ładnie – powiedziała po chwili zrezygnowana. – A więc wymyśliłeś prawdziwie praktyczne rozwiązanie. Basen jest rzeczywiście wyjątkowo prosty w obsłudze.

– Dla mnie był to raczej rodzaj stawu, a nie obiekt użyteczny. Chciałem, aby rozprzestrzeniły się w nim glony i rośliny wodne, żeby zamieszkały zwierzęta. Nie miałem zamiaru spuszczać z niego kiedykolwiek wody ani oczyszczać zbiornika. To przypadek, że w ogóle zbudowałem odpływ, początkowo zamierzałem wszystko po prostu zalać betonem.

– Wspaniale. – Anne była całkiem sfrustrowana. – A więc mogę zapomnieć o basenie.

– Jeśli chcesz, doprowadzę go do porządku. Obiecuję ci. Być może wymyślę nawet praktyczne rozwiązanie, abys sama mogła z niego spuszczać wodę.

Anne skinęła głową. Rozzłościł ją ten idiotyczny system i nagle przestała mieć obiekcje, że Enrico weźmie na siebie tę obrzydliwą robotę.

Nalała jeszcze po kieliszku wina i wstawiła pustą butelkę do zlewu. Enrico podniósł się cicho i stanął za nią. Anne nie słyszała go i zauważyła dopiero wówczas, kiedy ją delikatnie ujął za ramiona i odwrócił twarzą do siebie.

– Czułem to, kiedy po raz pierwszy szłaś drogą do Valle Coronata.

– Co takiego? – szepnęła Anne. Nie mogła sobie wyobrazić, że Enrico chciał tego naprawdę, i nie wiedziała, co ma zrobić.

– To, że między nami powstanie coś całkiem szczególnego. Pokrewieństwo dusz, które jest niemożliwe z żadnym innym człowiekiem! – Przesunął czubkami palców po brwiach, policzkach, a następnie po szyi aż do piersi Anne. – Chyba jesteś jedyną osobą, która kiedykolwiek rozumiała, dlaczego mieszkałem w Valle Coronata, i prawdopodobnie ja jestem jedyny, który wie, dlaczego ty chcesz tu mieszkać. Tu i nigdzie indziej.

Anne uchyliła się i znów usiadła przy stole. Nie miała najmniejszej ochoty przeżywać z Enrikiem intymnej sytuacji i złościła ją jego bezczelność.

– Dlaczego?

Zamiast odpowiedzi na pytanie Enrico rzekł:

– Czy masz coś przeciwko temu, że dziś przenocuję w młynie?

Anne przestraszyła się tego pytania. Oczywiście, że miała coś przeciwko temu. Chociaż czy w ogóle mogła mieć coś przeciwko temu? W końcu to on pozwalał jej przez wiele tygodni mieszkać w młynie, do czasu, aż wszystkie umowy zostaną sfinalizowane.

Enrico wyczuł jej wahanie.

– Wino uderzyło mi do głowy. Nie mam ochoty jechać teraz przez las.

Sytuacja stawała się coraz bardziej nieprzyjemna. Anne oblała się potem. Dlaczego nie zostawią jej w spokoju w tym domu?

– Oczywiście możesz spać w młynie – powiedziała powoli. – Ale nie zaniósłam materaca do dolnego pomieszczenia, ponieważ chwilowo go nie potrzebuję.

Enrico skinął głową.

– To żaden problem.

– A co powie Carla, jeśli jutro rano nie będzie cię w domu?

– Zanim się obudzi, będę już od dawna w domu. Jeśli jej nie obudzę, śpi najczęściej bardzo długo. Czasem nawet do południa.

Anne kiwnęła głową i zgasiła świeczkę.

– Nie jest łatwo sprzedać dom, który się samemu zbudowało – powiedział Enrico nagle całkiem bez związku. – To jest tak jak z dzieckiem, które dorasta i przenosi się do innego kraju. Dokądkolwiek, gdzie jest prawie nieosiągalne. Przed tobą były tu trzy osoby zainteresowane kupnem Valle Coronata, ale im nie sprzedałem.

– Kai nic mi o tym nie mówił.

– On nie pośredniczył w przypadku tamtych osób. Dałem anons do lokalnej gazety w Ambrze. Zasztyfrowany.

– Dlaczego nie sprzedałeś tym ludziom Valle Coronata?

Enrico wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia. Miałem niejasne poczucie, że to nie są ci właściwi ludzie. Że nie potrafią docenić walorów Valle Coronata, a najważniejsze było to, że oni po prostu tu nie pasowali. A kiedy ty przyjechałaś... – Enrico zrobił wiele mówiącą pauzę i uśmiechnął się – wtedy od razu wiedziałem, że ten dom czekał właśnie na ciebie.

– Byłoby pięknie, gdybyś miał rację – powiedziała Anne cicho.

– To magiczne miejsce – rzekł Enrico.

– Dostrzegam to już od jakiegoś czasu, właściwie każdego dnia. – A więc Enrico również zauważył, że Valle Coronata ma w sobie coś szczególnego. Była to niemal uspokajająca myśl.

– Trzeba się obchodzić delikatnie z tym miejscem, Anne, nie wolno zburzyć magii, bo inaczej zginie pokój, który unosi się nad tą doliną.

Enrico wstał i objął Anne.

– Śpij dobrze. I dziękuję za azyl. – Uśmiechnął się, pocałował Anne lekko w policzek i wyszedł z kuchni. Anne widziała jeszcze, jak w młynie zabłyśnięło światło i zasłony za oszklonymi drzwiami zostały zaciągnięte.

Trochę później, leżąc już w łóżku, Anne zastanawiała się nad tym, co powiedział Enrico. W jaki sposób można zburzyć pokój w dolinie? Czy kiedy się urządza imprezę? Albo kiedy się ścina drzewa czy przebudowuje basen?

Jutro rano zapytam go, o co mu chodziło, pomyślała Anne i po chwili zasnęła.

Ale Anne nie miała już okazji zapytać go o to. Kiedy krótko po wschodzie słońca obudził ją śpiew ptaków, Enrica już nie było. Młyn wyglądał dokładnie tak jak poprzedniego dnia, materac stał oparty pod drzwiami do łazienki w pomieszczeniu na dole. Anne w żaden sposób nie mogła stwierdzić, czy Enrico nocował w młynie, czy nie.

Podczas gdy Bettina w czasie tego urlopu zdawała się niemal tryskać energią, Mareike popadła w głęboki letarg, pragnęła jedynie spać i przez cały dzień mogła leżeć bez ruchu na leżaku. Tego ranka Bettina już o siódmej wyskoczyła z łóżka z prędkością, która u Mareike z pewnością spowodowałaby zapaść serca. Już pod prysznicem Bettina śpiewała na całe gardło ckliwe piosenki Julia Iglesiasa. Mareike słuchała tego w półśnie i zastanawiała się, czy takie zachowanie Bettiny wyrażało radość życia, czy było brutalnym sposobem budzenia dzieci. Kiedy po mieszkaniu rozszedł się zapach gorącej kawy, Mareike wstała. Nie chciała drażnić przyjaciółki.

Był to niezwykle ciepły dzień październikowy. Mareike zjawiała się w szortach i podkoszulku na tarasie, na którym Bettina nakryła już do śniadania. Pocałowała Bettinę w policzek, a Bettina promieniała.

– O Boże, ale mamy szczęście! – zachwyciła się Mareike. – W październiku jeść śniadanie na dworze! To fantastyczne. W Niemczech jest teraz wstrętna pogoda!

– Co byś powiedziała na to, gdybyśmy dziś pojechały nad morze w kierunku Grosseto? Pospacerowałybyśmy trochę po plaży, zjadłybyśmy rybę w jakiejś przyjemnej knajpce...

– Cudownie – odpowiedziała Mareike – rzeczywiście to doskonały pomysł. Ale mnie zostaw w domu, dobrze? Siedzenie w samochodzie półtorej godziny w jedną stronę i półtorej w drugą to dla mnie stanowczo za wiele. No i za dużo tam ludzi jak dla mnie.

Bettina nie umiała ukryć rozczarowania. Cały urok dzisiejszego dnia zdawał się pryskać.

– Nawet nie wiedziałam, że jestem taka wykończona – oświadczyła Mareike – że tak bardzo potrzebuję wypoczynku. W Berlinie najwięcej pracowałam ponad siły. Pragnę wyłącznie spokoju, inaczej cały urlop pójdzie na marne.

Bettina skinęła głową zawiedziona.

– Chyba to rozumiesz?

– Oczywiście, że rozumiem. Wszystko jasne. Pojadę więc sama z dziećmi. – Nie brzmiało to przekonująco.

Kwadrans później zjawiła się Edda, jak zawsze skrzywiona i ze znudzoną miną. Zaplotła cienkie pasemka włosów w małe warkoczki, które sterczały we wszystkie strony. Za nią szedł Jan, potykając się na tarasie, cały czas naciskając klawisze gameboya, tak że nawet nie patrzył pod nogi.

– O wielkie nieba – powiedziała Bettina, widząc głowę Eddy. – Kiedy ty to zrobiłaś? To musiało trwać godziny!

– Wczoraj wieczorem. Nie mogłam spać.

– Dzień dobry, moje ślicznotki. Weź sobie kromkę chleba, Janie. Chcesz jajko, Eddo?

Edda potrząsnęła głową.

– Jestem na diecie.

Mareike jęknęła, ale zmilczała.

– Co powiecie na to, żebyśmy dziś pojechali nad morze? – zapytała Bettina.

– Super – odpowiedział Jan.

– O Boże, to straszne – przeraziła się Edda. – Prawdopodobnie będziemy godzinami spacerowali po plaży, a to ostatnie, co bym chciała robić!

– Ale to dobre dla twojej figury – powiedziała Mareike, uśmiechając się ironicznie.

Godzinę później Mareike była sama. Poczytała dziesięć minut, potem weszła do domu, aby włożyć długie spodnie. Kiedy człowiek leży spokojnie i bez ruchu na leżaku, robi mu się chłodno. Po dziesięciu minutach na tarasie zjawiła się Eleonore. Na dłoniach miała rękawice robocze, a w ręku nożyce do cięcia róż. Mareike roześmiała się w duchu, wiedziała, że Eleonore była po prostu ciekawa swoich gości i szukała kontaktu, a cięcie róż to z pewnością tylko pretekst.

– Dzień dobry – odezwała się Eleonore. – Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzało, że będę cięta różę. Trzeba to zrobić teraz, jesienią, postaram się jak najszybciej.

– Niech pani tnie – powiedziała Mareike. – Wcale mi to nie przeszkadza.

Eleonore nie wytrzymała nawet pięciu minut w milczeniu.

– Pani przyjaciółka opowiadała mi, że pani jest komisarzem – rzuciła ostrożnie.

– Tak, to prawda.

– I prowadzi pani dochodzenia w sprawie morderstw?

– Tak.

– Wyobrażam sobie, że to nie jest łatwe.

– Bo nie jest.

– Ile czasu potrzebuje pani tak na ogół, aby wyjaśnić sprawę morderstwa?

Mareike jęknęła w duchu. To było pytanie tylko dla samego pytania. Podobnie absurdalne jak wciąż powtarzające się pytanie dziennikarzy do aktora, ile czasu potrzebuje, aby nauczyć się tekstu na pamięć.

– To zależy – odpowiedziała Mareike mimo wszystko bardzo uprzejmie. – Czasem chwytamy przestępcę bardzo szybko, a czasem nigdy. To nie tylko kwestia sprawnego dochodzenia, potrzeba także trochę szczęścia.

– To prawda.

Mareike zamknęła książkę. Sytuacja była korzystna.

– Proszę mi powiedzieć – rzekła Mareike – słyszałam, że podczas ostatnich dziesięciu lat tu, w tej okolicy, zaginęły dzieci. Wie pani coś o tym?

Eleonore kiwnęła głową, odłożyła na bok nożyce do cięcia róż i usiadła.

– Trzech małych chłopców zniknęło. Przepadli podczas zabawy albo w drodze do szkoły i słuch o nich zaginął. Nikt nie wie, co się stało. Nie znaleziono żadnych śladów, nikt nie jest podejrzany, to okropne.

– A gdzie to było dokładnie?

– Tu, w tej okolicy. Jeden chłopiec zaginął nawet tu, przed tym domem. Jego rodzice są Niemcami, spędzali tu urlop. Chłopiec bawił się na dole nad strumieniem i nagle przepadł.

– I nikt niczego nie słyszał? Żadnego krzyku, niczego?

– Niczego. Ale ja znam tę historię tylko ze słyszenia. Matka chłopca niedawno kupiła dom w pobliżu. Ponieważ chce zbadać, gdzie jest chłopiec i czy może jeszcze żyje.

Mareike próbowała ukryć poruszenie, jakie wywołała w niej ta informacja, i powiedziała obojętnym tonem:

– Właściwie nie miałam zamiaru podczas urlopu robić czegokolwiek, co by wiązało się z moją pracą, albo choć trochę ją przypominało... tym niemniej chętnie porozmawiałabym z tą kobietą.

– To bardzo proste. Nie możemy do niej zatelefonować, ale ona właściwie prawie zawsze jest w domu. Co by pani powiedziała na mały spacer? Albo możemy pojechać autem.

– Nie, nie trzeba, trochę ruchu dobrze mi zrobi. – Mareike wstała. – Proszę poczekać, tylko wezmę kurtkę.

– Przepraszam za tę niespodziewaną wizytę – wydyszała Eleonore, kiedy w towarzystwie Mareike zeszła do doliny. – Ale chciałabym ci przedstawić panią Koswig. Jest moim gościem i chciałaby cię poznać.

Wyraźniej nie można było tak prosto z mostu skierować rozmowy na zamierzony tor. Anne była dość wyczerpana i spocona, właśnie wysprzątała cały dom i trzymała jeszcze w ręku ścierkę od podłogi. Wczoraj po południu pojechała do wsi i przy okazji zajrzała do skrzynki mailowej. Harald zostawił jej wiadomość, w której nieoczekiwanie zapowiedział swoje odwiedziny. O godzinie 17.00 musiała go odebrać z lotniska we Florencji. Chciała zaprezentować mu Valle Coronata z jak najlepszej strony, stąd te porządki. Eleonore wyglądała tak, jak gdyby już tylko wiadro zimnej wody mogło ją uchronić przed zapośnięciem. Kobieta natomiast, która pozostała dyskretnie z tyłu, robiła wrażenie, że marsz z La Pecora do Valle Coronata wcale jej nie zmęczył. Na jej twarzy malował się szczery, subtelny uśmiech i na pierwszym rzut oka wydała się Anne sympatyczna.

Anne objęła Eleonore i podała rękę Mareike.

– Usiądźcie, proszę, przyniosę coś do picia.

Kiedy wróciła ze szklankami, dwiema butelkami wody, jedną gazowaną i jedną niegazowaną, i częstką limonki, Eleonore opowiadała właśnie o osobliwościach doliny.

– Czy chciałaby pani, abym ją oprowadziła i wszystko pokazała? – zapytała Anne.

– Chętnie zobaczę. – Dolina fascynowała Mareike, bardzo chciała zobaczyć jak najwięcej.

Kiedy zrobili obchód domu, przeszły nad strumieniem, wokół basenu, nad wodospadem, przez parking i z powrotem, Anne już wiedziała, że Mareike jest komisarzem policji kryminalnej i spędza urlop w La Pecora ze swoją przyjaciółką i dwojgiem jej dzieci.

To nie do wiary, że taka kobieta do mnie zawitała. Być może niebo ją tu zesłało, w każdym razie ona niewątpliwie sprawi, że wreszcie zacznie się tu coś dziać. Anne miała wrażenie, że poruszyła mały kamyczek i teraz patrzy ze zdumieniem, jak powstała z tego potężna lawina kamieni, która zmiata wszystko, co napotyka na swej drodze.

Anne opowiedziała Mareike, jak Felix zniknął przed dziesięciu laty, co zrobiła policja i że dwóch następnych chłopców w tej okolicy przepadło bez wieści. Dodała, że kupiła Valle Coronata tylko po to, aby móc w spokoju chodzić śladami swojego syna. Nie przemilczała również włamania, podczas którego została skradziona jedynie fotografia Felixa. O Allorze, która tu wracała i wrzucała róże do basenu, Anne nie wspomniała.

Mareike słuchała w skupieniu i nie przerywała Anne ani razu. Anne spoglądała w jasnoniebieskie przejrzyste oczy Mareike i była pewna, że kobieta wszystkiego słuchała uważnie, gromadziła w pamięci i ani jedno jej słowo nie zostanie zapomniane. Choć Mareike nie okazywała żadnej reakcji, Anne czuła, że doskonale ją rozumie.

– Jak pani sądzi, czy mogę mieć jeszcze jakąkolwiek nadzieję? – zapytała Anne, kiedy już opowiedziała wszystko do końca.

Mareike potrząsnęła głową przecząco.

– Przykro mi to mówić, ale sądzę, że nie. Niestety.

Anne pokiwała głową.

– Tymczasem sama na własną rękę poczyniłam pewne kroki.

Wstała, weszła do domu i wróciła po chwili ze zdjęciami Felixa i mapą, którą rozpostarła przed Mareike i Eleonorą. Mareike przypominała sobie ścisły związek między poszczególnymi miejscami, o których wspomniano już w sprawozdaniu telewizyjnym.

– Zakładam, że ten zbrodniarz tu żyje – powiedziała Mareike. – Tu, wśród was. Prawdopodobnie jest miłym sąsiadem, którego każdy zna, choć z pewnością nie utrzymuje on zbyt wielu kontaktów towarzyskich. Wzbudza zaufanie i należy po prostu do tej niewielkiej wspólnoty w Valdarno. I co parę dni chodzi na polowanie, nikomu nie wadzi, nikomu się nie naprzykrza, ponieważ doskonale orientuje się w okolicy. Duża samotna posiadłość nie jest tu rzadkością, a więc człowiek ten nie ma żadnych problemów z zakopaniem zwłok albo z ich zlikwidowaniem.

A ponieważ jak dotąd nikt nie wpadł na jego trop, nikt go nawet nie podejrzewa, nikomu też nie przyszło do głowy, aby szukać na jego posesji. I dzieci nigdy nie zostaną odnalezione.

Eleonore rzuciła Anne triumfujące spojrzenie, które oznaczało: Tylko słuchaj! Może ona rzeczywiście potrafi ci pomóc.

– Niekiedy myślę, że gdyby Felix zaginął w Niemczech, już dawno znaleziono by mordercę albo porywacza. A Włosi nie podejmują żadnych kroków! Nie mam poczucia, że zależy im na tym, aby sprawę wyjaśnić. W ciągu ostatnich dziesięciu lat nie miałam ani jednego telefonu w tej sprawie od włoskiej policji, ani jednego listu. Nic się nie dzieje wokół tej sprawy, jest mi z tego powodu bardzo przykro.

Mareike pokiwała głową.

– Myślę, że Włosi prowadzą śledztwo, tylko pani o tym nic nie wie, ponieważ nie informują pani na bieżąco. Może tu nie ma takiego zwyczaju, trudno mi powiedzieć. Zbrodnia jest wyjątkowo trudna do wykrycia również dlatego, że sprawca najwidoczniej wybiera swoje ofiary całkiem przypadkowo. Jestem raczej pewna, że one po prostu same stają mu na drodze. Przypadkowo. I jak tu się do tego zabrać, od czego zacząć szukanie przestępcy, skoro on tak ostrożnie działa, skoro nie pozostawia żadnych śladów? Prawdopodobnie policja nie zna nawet miejsc zbrodni, jeśli dzieci rzeczywiście zostały zamordowane, a więc nie można też pobrać materiału do badań DNA. – Mareike westchnęła. – Przesłane seksualnych, których nic nie łączy z ofiarą, bardzo trudno jest wykryć. W miastach bywa czasem łatwiej, ponieważ przestępca często jest zmuszony do porzucenia zwłok gdziekolwiek, rzadko może się ich pozbyć w sposób niezauważalny, ale tu, na tym odludziu? To bardzo trudny przypadek.

Mareike westchnęła głęboko i spojrzała na Anne ze współczuciem.

– Boję się, że niewiele będę pani mogła pomóc. A już na pewno nie podczas krótkiego urlopu.

Anne pokiwała głową.

– Tak, oczywiście. Nie oczekiwałam tego.

– Jak pani sądzi – Eleonore po raz pierwszy wtrąciła się do rozmowy – czy znów coś się zdarzy? Czy znów zaginie jakieś dziecko?

Mareike zastanawiała się przez chwilę.

– Myślę, że tak. Oczywiście również morderca nie jest wieczny. Może zginąć w wypadku samochodowym, dostać zawału serca i umrzeć, może spaść z drzewa przy zbiorze oliwek. Wszystko jest możliwe. I wtedy seria morderstw się zakończy. Ale dopóki żyje, będzie mordował. Czeka tylko na właściwy moment. Czeka cierpliwie, aż wpadnie mu w ręce jakieś dziecko.

– O Boże! – jęknęła Anne.

Eleonore wypijała już czwartą szklankę wody z cytryną, jej twarz nabrała z powrotem normalnego koloru.

– Ludzie tu, w tej okolicy, powinni zachować ostrożność. Powinni uważać na swoje dzieci, nie pozwalać im bawić się samotnie w lesie albo nad jeziorem. A jeśli dzieci mają długą drogę do szkoły przez niezabudowany teren, powinny być odwożone i przywożone ze szkoły samochodem.

– Ale tego nikt nie wie! Już dawno zapomniano o zaginionych dzieciach, a na trzyletni cykl jeszcze nikt nie zwrócił uwagi!

– Powinno się to jak najszybciej nadrobić. Cała historia powinna zostać jeszcze raz opisana w prasie, chociaż... – Mareike zgarnęła włosy z czoła. Biła się z myślami. – Istnieją typy przestępców, których kampania prasowa szczególnie motywuje do działania. Daje im napęd do uderzenia właśnie wtedy, kiedy cały świat na to czeka i boi się kolejnego morderstwa. I znów ciało nie zostaje znalezione. Przestępca śmieje się w kułak i czuje się jeszcze wspanialszy i jeszcze bardziej nieuchwytny i bezkarny niż przy trzech pierwszych morderstwach. Upaja się swoją siłą, ponieważ może zademonstrować policji, jaka jest bezradna, i dalej spokojnie mordować w coraz krótszych odstępach czasu. Traci umiar i wręcz ogarnia go szał mordowania. – Mareike zwinęła chusteczkę higieniczną w mały rulonik i dalej mówiła: – Mogę sobie wyobrazić, że mamy tu do czynienia z takim właśnie typem mordercy. Jest bliski obłądu, ponieważ nikt nie trafia na jego ślad. Żyje w pobliżu miejsc zbrodni, a nikt go nie podejrzewa. To niezwykle. Przestępca jest też przekonany, że niewykrywalność zbrodni zawdzięcza swojej nieprzeciętnej inteligencji. – Mareike zapaliła papierosa

i wypuściła dym w górę. – Myślę, że lepiej będzie nie chodzić z tym do prasy. Im bardziej niezauważalny czuje się przestępca, tym lepiej. W przeciwnym razie uczyniono by z niego jeszcze ważniejszą osobę, a on i tak czuje się już dostatecznie ważny.

– To mi wszystko wyjaśnia – powiedziała Anne. – Ale czy w związku z tym nie możemy nic, ale to nic uczynić?

– Można mieć tylko nadzieję, że zbrodniarz nie będzie dalej mordował albo że następnym razem popełni jakiś błąd. Może gdzieś ktoś go podpatrzy, sama nie wiem.

Anne wyglądała na pogrążoną w myślach. W czasie pauzy, która teraz nastąpiła, Mareike zapytała:

– Czy mogłabym skorzystać z toalety?

– Oczywiście. – Anne pokazała jej łazienkę i Mareike zniknęła z tyłu domu.

– Ona jest wspaniała, nie uważasz? – zapytała Eleonore.

– Owszem. Byłoby zbyt piękne, gdyby ona mogła się zająć tym przypadkiem, ale rozumiem, że chce mieć urlop.

– W Niemczech prowadzę dochodzenia w sprawach dotyczących morderstw dzieci – powiedziała Mareike, kiedy wróciła i z powrotem usiadła przy stole. – Nasz morderca jest ulepiony z innej gliny niż przestępca tutaj, w Toskanii. Niemiecki morderca wprawdzie również zabijał małych chłopców, którzy byli mniej więcej w tym samym wieku co zaginione dzieci tutaj, ale on mordował w różnych stronach Niemiec. Miejsca jego przestępstw znajdują się w odległości setek kilometrów od siebie. Oprócz tego nie ukrywa zwłok, tylko prezentuje je policji wręcz na tacy, budując małe sceny, na których sadza zwłoki, jak gdyby były jeszcze żywe. Choć podarował nam całe mnóstwo punktów zaczepienia, od roku 1983 nie natrafiiliśmy na jego ślad. To dla mnie nie do zniesienia, świadomość, że ten typ jest wciąż na wolności i śmieje się w nos policji, która nie potrafi go ująć.

– Nigdy o tym nie słyszałam – mruknęła Anne.

– Do ostatniego morderstwa doszło przed piętnastu laty. Potem z jakiegoś powodu człowiek ten przestał mordować. Może już nie żyje. To byłoby najlepsze, bardzo bym chciała usłyszeć, że tak jest. Ma-

my także jego DNA, ale to nie posuwa sprawy ani o krok dalej. On nigdzie nie jest zarejestrowany, nigdzie nie podpadł, nic nie przeszkrobał. To dziwne w przypadku mordercy na tle seksualnym.

– Z jaką regularnością ten typ mordował w Niemczech?

– Też co trzy lata.

– Wydaje się, że jest to ulubiona rozpiętość czasowa – powiedziała Eleonore i uśmiechnęła się ironicznie.

– Napijemy się kieliszek wina? – zapytała Anne.

– Ja dziękuję. – Eleonore ziewnęła. – Bo nie przeżyję powrotnego marszu.

W ciągu najbliższego kwadransa kobiety rozmawiały o klimacie we Włoszech, o winie, o Włochach, a potem Eleonore i Mareike ruszyły w drogę powrotną. Mareike poprosiła Anne, aby mogła zatrzymać fotografię Felixa, tylko tak, na wszelki wypadek. Anne chętnie wręczyła jej jedno zdjęcie i obiecała, że za tydzień wpadnie do La Pecora. Mareike poprosiła jeszcze Anne, aby nie mówiła nic jej przyjaciółce o zniknięciu dzieci. Bettina jest ostatnio przeczulona, jeśli chodzi o wszelkie morderstwa, zwłaszcza morderstwa na urlopie. Gdyby się dowiedziała, że Mareike zajmuje się tym przypadkiem, choćby tylko w myślach, ukręciłyby jej głowę.

Anne obiecała, że nic nie powie, i pomachała kobietom na pożegnanie. Po chwili zniknęły za górą. A więc będzie przynajmniej o tym myślała, pocieszała się Anne, ona po prostu nie może inaczej. Dobrze i tyle. Może dzięki temu posuniemy się choć o jeden krok do przodu.

Kiedy Anne spojrzała na zegarek, przeraziła się. Było tuż przed trzecią. Musiała się pospieszyć, jeśli chciała Haralda odebrać punktualnie z lotniska. W szalonym pośpiechu schowała mopa, szczotkę i ścierki, uprzątnęła szklanki ze stołu, przejechała grzebieniem po włosach, zamknęła starannie dom i poszła szybkim krokiem na parking, gdzie jak zawsze stało jej auto.

Samolot miał wylądować pięć minut po godzinie piątej. Punkt piąta Anne ledwie żywa wpadła do hali przylotów na lotnisku Vespuciego we Florencji i poczuła ulgę, kiedy na tablicy informacyjnej przeczytała, że samolot ma trzydzieści minut opóźnienia. W małym barku wypła espresso, następnie usiadła z książką na jednym z krzeseł w niewielkiej hali dla oczekujących i czekała.

Hala przylotów była niezwykle mała, brzydka i w żadnym razie nie odpowiadała oczekiwaniom turysty lądującego we Florencji. Pasowała raczej do jakiegoś nieznanego miasta na pustyni niż do jednego z najważniejszych miast Włoch.

Kilku Włochów rozmawiało głośno, nie przeszkadzało im, że każdy mógł słyszeć, co mówią, mała czarnowłosa Włoszka trzymała przed sobą dużą czarną tablicę, na której było napisane „Frau Küppersberg”. Anne się uśmiechnęła. Żaden Włoch nie potrafił przeczytać ani wymówić tego nazwiska, oni łamią sobie język już przy łańtych słowach, takich jak *Küken* albo *Kuchen*.

Na małym ekranie pod sufitem, obok napisu: Samolot Lufthansy z Monachium, ukazała się informacja małymi literami *arrivato* i zaraz potem Harald przeszedł przez otwierające się automatycznie rozsuwane drzwi.

Świetnie wygląda, pomyślała Anne, o wiele lepiej niż dawniej. Dobrze mu to zrobiło, że przez kilka tygodni nie gotowałam dla niego.

Harald uśmiechnął się szeroko jak mały chłopiec, kiedy dostrzegł Anne wśród oczekujących osób.

– Hallo – przywitał ją, kiedy podszedł do niej.

– Hallo – odpowiedziała Anne. Oboje patrzyli na siebie trochę zakłopotani i nie wiedzieli, co jeszcze powiedzieć. Po chwili Harald przyciągnął Anne do siebie i pocałował w policzek. – Jak dobrze, że jesteś – wyjąkała Anne i wzięła go za rękę. – Chodź, postawiłam auto

w niedozwolonym miejscu tuż przed halą odlotów. Wyobrażam sobie twoją minę, jak zobaczysz pierwszy raz dolinę.

Harald był zachwycony podobnie jak Anne, kiedy po raz pierwszy ujrzała Valle Coronata.

– O Boże, jakie to romantyczne – powiedział, kiedy schodzili drogą do domu. – Fantastyczne. Nie wyobrażałem sobie, że to tak wygląda. Teraz rozumiem, że straciłaś głowę dla tego skrawka ziemi.

Postawił walizkę pod orzechem i wszedł do domu. Powoli obszedł wszystkie pomieszczenia, tu dotknął ściany, tam pogładził dłonią podłogę. Sprawdzał okna i zamki w drzwiach i nic nie mówił.

– Czy dach nie przecieka? – zapytał, kiedy już skończył obchód.

– Myślę, że nie, ale dotąd jeszcze nie było tak obfitych opadów.

– Nie jest najlepszy – stwierdził Harald wreszcie. – Drzwi i okna są wykonane trochę po dyletancku, lecz dom jest ładny. Ma klimat, myślę, że powinienem ci życzyć dużo szczęścia w twojej dolinie.

Powiedział „w twojej”, nie w „naszej”.

Potem wziął Anne w ramiona, a ona wsparła się na nim całym ciężarem, zadowolona i odprężona. Akceptacja męża sprawiła, że poczuła się bardzo dobrze, i dopiero teraz zauważyła, jak bardzo tęskniła za tym uczuciem.

Anne przygotowała sałatkę z tuńczyka z groszkiem, ugotowała do tego penne all'arrabbiata, ponieważ wiedziała, że Harald lubi ostry sos pomidorowy z chili.

Harald opowiadał prawie cały wieczór, ponieważ Anne chciała znać wszystkie nowości z Fryzji. Zapytała również o Pamelę, Harald odparł, że nie widział jej już od paru tygodni, być może wcale jej nie ma wsi, nie wie tego. Anne mu uwierzyła.

Kiedy Harald mówił, Anne czuła, że budzi się w niej tęsknota za Fryzją, i postanowiła najpóźniej za miesiąc wrócić do domu. W żadnym razie nie chciała spędzać zimy samotnie w dolinie.

Anne nie miała właściwie zamiaru opowiadać Haraldowi już zaraz pierwszego dnia o wszystkim, co przeżyła, ale kiedy wypili dwie butelki wina, nie mogła się przed tym powstrzymać. Kiedy Harald zadał

jej niemal nic nieznaczące pytanie: – No i co? Czy zdobyłaś jakieś informacje na temat Felixa? – Anne opowiedziała mu całą historię. Niczego nie przemilczała. Ani romansu z Kaiem, ani niezwyklej Allo-ry, ani komisarz Mareike, która przed kilkoma godzinami tu była. I oczywiście opowiedziała o fotografii i wszystkich spekulacjach na ten temat.

Harald słuchał w milczeniu tak samo jak Mareike, Anne zauważyła, że od nosa do kącików ust zrobiły mu się głębokie zmarszczki, które przedtem nie rzucały się w oczy. Wyraz jego twarzy był nie tylko uważny, ale także poważny, i to ją uspokoiło.

Kiedy skończyła opowiadać, zastanawiała się przez chwilę, masowała kosteczki palców rąk i przygryzała górną wargę. Potem Harald się odezwał:

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że kupiłaś tę dolinę ot tak po prostu, bo ci się spodobała, a teraz okazuje się, że jest to miejsce, gdzie grasuje morderca, a może nawet pochowany jest nasz Felix. I w dodatku może nawet w basenie? To jest piramidalny pomysł. Wymyślasz sobie taką historię tylko dlatego, że jakaś szalona osoba, która nawet nie potrafi czytać, pisać ani mówić, od czasu do czasu wrzuca do basenu róże? To wszystko próbujesz mi opowiedzieć? Chcesz wiedzieć, co o tym myślę?

Anne kiwnęła głową.

– Że całkiem zwariowałaś, moja droga. Że masz nierówno pod sufitem. Często się zdarza, że ludzie dziwaczejają, kiedy zaszyją się na odludziu i nocami wpatrują się tylko w czarny las i słuchają hukania puszczyków. Nagle widzą wokół basenu tańczące złe czarownice, diabły i duchy. Uważam, że jest tu pięknie, jednak nie wyskakuj mi z takimi bredniami.

– Ty niczego nie rozumiałaś. – Anne miała kluskę w gardle i ledwie mogła mówić.

– Bardzo dobrze wszystko rozumiałem. Ale jestem realistą, Anne. A ty jesteś histeryczką. To wszystko. Kiedy idziesz przez las i widzisz stos liści, zaczynasz kopać, bo myślisz, że pod nim leżą zwłoki. Ty widzisz już tylko zwłoki. Wszędzie. A to nie jest zdrowy objaw, moja droga.

Anne cieszyła się swobodnym nastrojem i harmonią, jaka zapanaowała między nią a Haraldem od chwili jego przybycia, a teraz wszystko minęło. On wszystko zburzył. Chciała teraz być sama, bała się spać z nim w jednym łóżku. On przybył z innego świata, on nigdy nie zrozumie jej świata. Wszystko minęło. Nie istniała już między nimi żadna więź, niczego nie da się już skleić.

– Wiesz, gdzie jest łazienka i sypialnia – powiedziała Anne i poszła na górę. Nie chciała zmywać makijażu ani myć zębów, chciała tylko spać i nie zastanawiać się nad tym, dlaczego jej mąż nie mógł pojąć, że znajdowała się o krok od wyjaśnienia tajemnicy zniknięcia Felixa i rozwiązania ich wspólnego problemu. Dla niego była kobietą, która postradała zmysły.

Kiedy Harald pół godziny później przyszedł do sypialni, zobaczył, że jasek był mokry i że Anne płakała przed zaśnięciem.

Cicho i ostrożnie wsunął się pod kołdrę i zgasił światło. Potem pocałował jej włosy i szepnął:

– Jutro rano wszystko będzie wyglądało inaczej, jutro rano rozwiążemy wszystko jeszcze raz, nie martw się.

Ale ona tego nie słyszała.

Kiedy Anne nazajutrz rano obudziła się, połowa łóżka obok niej była pusta. Korzystano z niej, ponieważ kołdra była zwinięta w taki sposób, jak zawsze robił to Harald. Związał ją i zostawiał jako wałek w nogach łóżka.

Anne wstała i wyrzała przez okno. Harald stał w bokserkach na brzegu basenu i spoglądał zamyślony w wodę. Anne pośpiesznie włożyła płaszcz kąpielowy i wybiegła na dwór. Harald uśmiechnął się, kiedy nadeszła.

– Co za obrzydliwa breja – powiedział. – Można tu wchodzić tylko wówczas, jeśli się chce, aby pijawki wyssały człowiekowi ostatnią kropkę krwi. Gdzie według Enrica jest tu odpływ?

– Gdzieś na początku basenu. Miał mi to dokładnie wyjaśnić. Powiedział, że trzeba się zanurzyć, wymacać w szlamie zawór, a następnie odkręcić go z całej siły, najlepiej za pomocą jakiegoś narzędzia. Prawdopodobnie zawór tak zardzewiał, że trudno będzie go ruszyć.

– Nasz drogi Enrico ma pomysły – rzucił Harald pogardliwie. – Jak można zbudować tak niepraktyczny obiekt? To beczelność. Zrób mocnej kawy, już ja sobie z tym jakoś poradzę. W każdym razie oczyszczę ci ten twój basen.

– Chcesz tam wejść i zanurkować? – Anne nie mogła uwierzyć i patrzyła przerażona na swego męża, który na cienkich białych nogach i w szortach sprawiał wrażenie człowieka bardzo delikatnego.

– Zrobię to, choćby nie wiem co. Setką koni nie odciągniesz mnie od tego zamulonego bajora. Gdzie masz jakieś narzędzia?

Anne pokazała mu małą szopę koło drzwi do łazienki i miejsca, gdzie były ułożone kamienie, gruz budowlany, drewniane belki, żelazne kraty i podobne rzeczy. Enrico po skończeniu budowy albo nie miał ochoty, aby to wszystko uprzętnąć, albo sądził, że to czy tamto jeszcze mu się do czegoś przyda.

Kiedy Anne robiła śniadanie, Harald grzebał w resztkach materiałów pozostałych po budowie.

Kiedy wyniosła tacę, zobaczyła, że Harald znalazł łom żelazny i grzebał nim na dnie basenu. Anne zawołała go na śniadanie, lecz Harald tylko machnął ręką i dalej grzebał w największym skupieniu. Nagle drgnął, najwidoczniej coś znalazł i natrafił na opór.

Ze wszystkich sił wbijał łom w basen i przeklinał przy tym.

Anne obserwowała go spod orzecha. Może zrobiło mu się przykro, że wczoraj wieczorem był dla niej taki nieprzyjemny, pomyślała, bo inaczej z pewnością by tego nie robił. Trudno się z nim rozmawia, ale czasem, na szczęście, sam się opamiętuje.

Anne smarowała sobie właśnie chleb marmoladą, kiedy Harald wydał radosny okrzyk. Jednocześnie z rury poniżej muru okalającego basen wytrysnął gruby strumień wody.

Harald śmiał się zadowolony i szedł pod górę do domu.

– Tylko umyję ręce i coś włożę na siebie – powiedział – potem zjemy spokojnie śniadanie. Poczekamy, aż basen się opróżni, i wreszcie będziemy mogli go oczyścić. Czasem wystarczy tylko trochę siły i energii. Czy jest tu gdzieś w okolicy sklep, gdzie można by kupić zawór?

Anne skinęła głową, a Harald zniknął w domu.

Allora stała w swojej kryjówce i wszystko obserwowała. I znów był tu mężczyzna, którego nie znała, dlatego nie odważyła się na przebywanie w pobliżu Anne. I również ten mężczyzna robił jakieś dziwne rzeczy przy basenie. I znów z basenu wyleciała wszystka woda, tak jak wówczas, kiedy Diabeł, *Diavolo*, wyszedł z domu z dzieckiem na ręku.

Allora bała się. Dostała na całym ciele gęsiej skórki. Zaczęła drzeć i przykucnęła w trawie. Róże, które przyniosła, rozgniotła palcami. Nie mogła nic zrobić, pozostało jej tylko czekać i patrzeć, co będzie się dalej działo.

Cztery godziny leżała tak na czatach. Potem Anne i mężczyzna przestali wreszcie szorować basen. Wygramolili się ze zbiornika, miotły, szczotki, wąż ogrodowy, łopaty wsadzili do szopy koło łazienki i poszli do domu. Allora nie czekała długo, kiedy oboje znów wyszli na podwórze. Anne miała na sobie jasny sweter, mężczyzna brązowe kortowe spodnie i skórzaną marynarkę. Zamknęli starannie dom, poszli na parking i odjechali.

Allora usłyszała jeszcze, jak Anne mówiła do mężczyzny:

– Spróbujemy najpierw w Ambrze, a jeśli tam nie dostaniemy zaworu, pojedziemy do Montevarchi. Tam znam więcej sklepów.

Słońce świeciło wysoko nad doliną. Allora siedziała w kucki na brzegu basenu i czekała cierpliwie, aż dno wyschnie od ciepła. Potem przystąpiła do pracy.

Piętnaście po drugiej zatelefonowała Carla z wiadomością, że dojechała szczęśliwie do Hamburga i teraz chce pojechać do szpitala, aby jeszcze raz zobaczyć ojca.

– Dobrze – powiedział Enrico. – Bądź dzielna i zadzwoń znów jutro wieczorem, dobrze?

– Tak, oczywiście, zadzwonię – szepnęła Carla. – I proszę cię, pamiętaj, że cię kocham. – Po czym odłożyła słuchawkę.

Enrico wyłączył komórkę. Teraz miał znów półtora dnia spokoju aż do następnego telefonu.

Wydarzenia potoczyły się całkiem niespodziewanie. Wczoraj w południe nagle pod drzwiami stanęła Fiamma. A więc swoją groźbę wizyty potraktowała jednak poważnie, ta stara flądra, pomyślał Enrico i uśmiechnął się przyjaźnie.

– Fiamma! Jak to miło, że pani przyjechała – powiedział Enrico szarmancko. – Czym mogę panią poczęstować?

Fiamma rozglądała się uważnie, kiedy szła wolnym krokiem w jego stronę. Nie było dla niej nic bardziej interesującego niż obce domy. Jak gąbka wchłaniała wszystkie szczegóły nowego domu i na ich podstawie tworzyła sobie obraz człowieka, który w nim mieszka. Nie mogła się doczekać, aby móc zobaczyć, jak żyje ten przystojny pół-Włoch, ale nie miała żadnego pretekstu, aby wpaść do niego i zaspokoić swoją ciekawość. Dziś rano przyszedł jej z pomocą przypadek w postaci pościańca z Ambry, który trzymał w ręce telegram i nie wiedział, jak trafić do Casa Mèria. Do tej pory Enrico i Carla sami odbierali korespondencję na pocztę.

Fiamma wzięła telegram i zaszczębiotała, że w Casa Mèria mieszkają jej przyjaciele, zaraz się do nich uda i dostarczy telegram. Pościańiec niezwykle zadowolony pojechał z powrotem do Ambry, a Fiamma poszła do domu, aby zrobić świeży makijaż i włożyć jakiś ekstraciuch.

Fiamma i Enrico usiedli pod drzewem figowym.

– Wygląda pani fantastycznie – skłamał Enrico, a Fiamma była zachwycona. Ten mężczyzna podobał jej się coraz bardziej.

Carla przyniosła sok brzoskwiniowy i wodę do rozcieńczenia.

– Pięknie tu macie – stwierdziła Fiamma. – To nie do opisania, co pan zrobił z tego domu, a właściwie z tej ruiny. Potrafię to docenić, bo dobrze pamiętam, jak tu wszystko wyglądało, kiedy stara Giulietta mieszkała tu z Allorą.

– Allora, Allora... – mruknął Enrico. – Nie wydaje mi się, żebym ją znał.

– To całkiem możliwe – odparła Fiamma – choć na pewno już ją pan kiedyś widział. Jest szczupła, wygląda na młodszą, niż jest w rzeczywistości, ma włosy białe jak słoma i potrafi powiedzieć tylko jedno słowo: „allora”.

Teraz wszystko stało się dla Enrica jasne. Allora to była owa czarownica, która przyglądała się, jak pracował, i której omal nie nadział na widły. Teraz, kiedy wiedział, że ona dawniej tu mieszkała, mógł nawet zrozumieć, że siadywała w swojej kryjówce i przyglądała mu się.

– Piękną mamy pogodę, jesień... a jest ładniej niż w lecie. Powinno się korzystać z każdej chwili.

– Całkiem słusznie, my mamy jeszcze dużo do zrobienia. Do zimy Enrico chce skończyć dom – odezwała się Carla. Fiamma wydała się jej wyjątkowo niesympatyczna i taka też była naprawdę.

– Ach – Fiamma uśmiechnęła się słodko w stronę Enrica – tu u was jest tak pięknie, że byłabym całkiem zapomniała, z czym przyszłam. Proszę.... Poślaniec dał mi telegram... Carla Rodhe... – czytała Fiamma specjalnie powoli. – Czy to pani?

– Tak. – Carla wzięła telegram z ręki Fiammy i rozerwała go. Przebiegła wzrokiem.

– To od mojej siostry – szepnęła bezdzwięcznie do Enrica. – Papa zmarł. Muszę jechać do Niemiec. – Potem pobiegła do domu.

Enrico przetłumaczył Fiammie, co powiedziała Carla.

– O Boże, takie nieszczęście! Bardzo mi przykro! – Fiamma wstała, trochę zawiedziona, że jej wizyta tak szybko i tak nieoczekiwanie się kończy.

– Jak pani przyjdzie następnym razem, pokażę pani dom – powiedział Enrico. – Być może na wiosnę, wtedy będzie wykończony.

Fiamma skinęła głową i poszła dumnym krokiem do swojego auta. Zmarnowana szansa, i to w taki głupi sposób, pomyślała, ale pożegnała się serdecznie z Enrikiem. – Niech pan pożegna ode mnie swoją piękną przyjaciółkę – mruknęła, zanim wsiadła do auta i odjechała.

Carla była spokojna. Niewiele mówiła i pakowała się w szalonym pośpiechu.

– Jak długo zamierzasz zostać w Niemczech? – zapytał Enrico.

Carla wzruszyła ramionami.

– Dopóki będzie to konieczne. Matka mnie teraz potrzebuje. Musimy zobaczyć, jak ona będzie sobie radzić sama w domu. Na pewno potrwa to jakieś trzy, cztery tygodnie.

– Zbuduję ci basen – planował Enrico. – Kiedy tu wrócisz, będzie gotowy, a na wiosnę będziesz się mogła w nim kąpać.

– Wykończ najpierw dom – powiedziała Carla sucho. – Myślę, że ważniejsza jest dobrze funkcjonująca łazienka i ładna kuchnia. Basen możesz zbudować równie dobrze w przyszłym roku.

– Sądziłem, że się ucieszysz. – Enrico specjalnie nadał twarzy wyraz rozczarowania.

– Przecież się cieszę.

– No właśnie!

Dyskusja była skończona. On i tak zbuduje basen, nadarzała się po temu sprzyjająca okazja.

Carla zdążyła jeszcze złapać w Montevarchi wieczorny pociąg, którym bez przesiadki dojedzie przez Florencję do Monachium. Dalsze połączenie do Hamburga nie stanowiło żadnego problemu.

Enrico długo machał za pociągiem, aż nie mógł już rozpoznać ręki Carli, która również mu machała. Wreszcie został sam.

Enrico chodził dokoła domu i szukał odpowiedniego miejsca na basen. Sprawdzał położenie słońca, zwracał uwagę również na to, aby w pobliżu nie rosły dęby, bo liście będą wpadały do wody. Badał również stabilność podłoża. Zawsze bowiem istniało niebezpieczeństwo, że

basen położony na stoku z biegiem lat i wskutek silnych deszczów może się obsuwać.

Wreszcie Enrico znalazł odpowiednie miejsce, niezbyt daleko od domu, które spełniało wszystkie warunki. Drewnianymi kołkami oraz taśmą zaczął właśnie wytyczać granice basenu, kiedy nagle usłyszał głosy, które stawały się coraz bliższe. Jeśli tak dalej pójdzie, będę musiał zmienić plany. W Casa Mèria kłębiło się jak w ulu. Tyle wizyt, ile tu w ostatnich dniach, w Valle Coronata nie miał w ciągu dziesięciu lat.

Oparł się na łopacie i patrzył na nadchodzące osoby niezbyt uradowany.

Po fakcie trudno powiedzieć, czy być może wszystko nie ułożyłoby się całkiem inaczej i miałoby szczęśliwy finał, gdyby Mareike tego ranka nie potknęła się, idąc do łazienki. Z małej sypialni na piętrze prowadziły wąskie kręte schody na dół do łazienki, a stopnie były różnej wysokości i szerokości.

Mareike miała na nogach klapki kąpielowe, była jeszcze odurzona snem i rozkojarzona, potknęła się na przedostatnim stopniu, upadła tak nieszczęśliwie, że zwichnęła sobie kostkę.

Już przy śniadaniu kostka mocno spuchła i z minuty na minutę puchła coraz bardziej.

Eleonore natychmiast zaofiarowała się, że zawiezie Mareike do Ambry do *dottoressa*, która zadecyduje, co dalej, Bettina zaś postanowiła pójść z dziećmi na długą wędrowkę. Ponieważ tego dnia właściwie mieli zamiar wszyscy razem pojechać do Sieny, aby obejrzeć katedrę, Piazza del Campo i ewentualnie jeszcze jeden czy drugi kościół, Jan i Edda byli mile zaskoczeni zmianą planów.

Około pół do dziesiątej Mareike, opierając się na Eleonore, pokuśtykała do auta, aby pojechać do lekarki, i mniej więcej w tym samym czasie wyruszyła także Bettina z Janem i Eddą. Wszyscy troje mieli w plecakach butelki z wodą i odpowiednią ilość prowiantu, ponieważ wędrowka, którą zaplanowali, miała potrwać kilka godzin.

Bettina zaopatrzyła się w szczegółową mapę turystyczną. Wytoczyła trasę przez Montebenichi w kierunku San Vincenti, następnie w poprzek doliny wejście na Monte di Rota i przez Casa Cinghale z powrotem do La Pecora.

Eleonore i Mareike siedziały dwie godziny w poczekalni *dottoressa*. Kiedy wreszcie przyszła na nie kolej, lekarka rzuciła krótkie spojrzenie na stopę i odesłała kobiety do pierwszej pomocy, do Pronto Soc-

corso, do szpitala w Montevarchi. Uznała, że trzeba koniecznie przeświecić stopę, a następnie rozpocząć leczenie.

Po trzech godzinach Mareike opuściła szpital o kulach. Na zdjęciu rentgenowskim nie stwierdzono złamania, zabandażowano mocno nogę i z dobrą radą, aby trzymać stopę wysoko i w miarę możliwości oszczędzać, wypuszczono ją do domu.

– No, przynajmniej nie ma złamania – powiedziała Eleonore w drodze powrotnej.

– To zabawne, ale mam wrażenie, że nie potrafię zrobić kroku – zastanawiała się Mareike. – A to w moim zawodzie jest nie do pomyślenia.

Do San Vincenti droga przebiegała bez żadnych przeszkód, Jan i Edda byli niezwykle zgodni i mniej niż zazwyczaj stroili fochy. Edda plotła trzy po trzy, udawała, że pije wodę ze źródła, i opowiadała bez przerwy o zaletach swojego przyjaciela Mike'a, który był w dwunastej klasie i chciał zostać informatykiem. Mike miał trądzik, wzrost metr dziewięćdziesiąt pięć i nie opanował jeszcze skoordynowanych ruchów ciała. Kiedy ktoś się do niego zwracał, robił się czerwony jak burak i wstydził się, że w ogóle żyje na tym świecie. To wszystko w najmniejszym stopniu nie przeszkadzało Eddzie w byciu zakochaną, potrafiła przez dwie i pół godziny opowiadać o chłopaku, który nie otwierał ust. Ani do rozsądnej rozmowy, ani do pocałunku.

Bettina uznała za wzruszające to, że Edda tak się przed nią otworzyła, potrafiła docenić ten dowód zaufania. Kiedy sama była w wieku Eddy, kochała się bez pamięci w swojej nauczycielce chemii i z rozpaczy zaczęła seplenić i jąkać się. Pod tym względem Edda okazała się zasadniczo lepsza. Zrobili trzy przerwy w marszu, ponieważ komórka Eddy zadzwoniła, Miki (co ona wymawiała Maiki) telefonował. Wtedy Edda biegła w zarośla i szeptała coś dziesięć minut, po czym znów się zjawiała cała czerwona. Bettina nie umiała sobie wyobrazić, co w tego rodzaju rozmowach mogło być tak poruszającego.

Za Montebenichi poniżej stadniny koni Jan znalazł żółwia. Głaskał jego pancerz i pieścił szyję, którą żółw wyciągał ku niemu, ponieważ

najwidoczniej sprawiało mu to przyjemność. Jan był miły, a kiedy Bettina pozwoliła mu zatrzymać zwierzę, nie posiadał się ze szczęścia. Do kieszeni spodni napchał tyle zielska na kolację dla zółwia, ile tylko zdołał zmieścić. Niósł zwierzę ostrożnie w dłoniach jak surowe jajko. Dyskutował z Bettiną, jak nazwać zółwia, kiedy Edda nabrała powietrza i zarządziła krótką przerwę na SMS-a do Mike'a.

Tak przeszli przez San Vincenti. Bettina była już trochę zmęczona, ale ani Jan, ani Edda nie odczuli intensywnego marszu, zbyt zajęci swoimi ulubieńcami. Zaraz przy wyjściu z miejscowości Bettina wybrała drogę, o której sądziła, że prowadzi we właściwym kierunku. Na mapie zaznaczony był wprawdzie inny szlak, który zaczynał się w centrum, lecz nie mogli go znaleźć.

Po półgodzinnym marszu dotarli nagle do budynku, który stał ukryty za małym pagórkem. Bettina nie spodziewała się tu żadnego domu, ponieważ z drogi również nie był on widoczny. Nagle Bettinę ogarnęło paraliżujące uczucie, że znajduje się na cudzym terenie. Jan i Edda paplali bez ładu i składu, podczas gdy Bettina rozglądała się, czy nie ma w pobliżu kogoś, kogo mogłaby przeprosić za zakłócenie spokoju.

– Bądźcie ciszej – poprosiła, kiedy przechodzili pod domem.

Enrico siedział pod drzewem figowym, założył nogę na nogę i uśmiechał się przyjaźnie.

– Hallo! – powiedział. – Co za mili goście! Na ogół nikt tu się nie zapuszcza. Coś mi się zdaje, że chce wam się pić.

Bettina była zaskoczona tak miłym przyjęciem, zdziwiło ją też, że z miejsca ktoś zagadnął ją po niemiecku.

– Skąd pan wie, że jesteśmy Niemcami? – zapytała na początek.

– To widać – odpowiedział Enrico, śmiejąc się. – Chociaż nie tylko to, dotarli do mnie również strzępki waszej rozmowy. Proszę, usiądźcie na chwilę.

– Dziękuję. – Bettina chętnie przyjęła zaproszenie i usiadła. Jan i Edda również. Enrico przyniósł wodę, soki owocowe i włoskie słone ciasteczka, które miał zawsze w domu na wypadek, gdyby skończył mu się chleb.

To, co teraz nastąpiło, było swobodną konwersacją, w której brali udział nawet Jan i Edda. Od razu na pierwszy rzut oka Enrico wydał się

całej trójce sympatyczny. Bettina opowiedziała, że mieszkają w pięknym wakacyjnym domku w La Pecora, a Enrico stwierdził, że to miły przypadek, bo on dobrze zna La Pecora, jest to bowiem jeden z tych domów, które budował lub przebudowywał.

Bettina dowiedziała się, że był architektem i przybyszem z Niemiec, niestety chwilowo słomianym wdowcem, ponieważ jego żona wyjechała na kilka dni do swoich rodziców. Opowiadał o swoim prostym życiu na odludziu i o pragnieniu, aby dotychczasowe życie biznesmena mieć już na sobą i żyć skromnie, w miarę możliwości bez zdobyczy cywilizacji, takich jak radio, telewizja, komputer, a nawet rezygnując z prądu.

Jan i Edda spojrzeli na siebie, jak gdyby spotkali przybysza z innej planety. O Boże, życie bez telewizji i komputera! To szaleństwo! Takie życie wydawało im się całkowicie niemożliwe, ale Bettina była mężczyzną zafascynowana.

Jan pozwolił Harry'emu, tak nazwał żółwia, pobiegać w wysokiej trawie, ale ani przez chwilę nie spuszczał go z oczu, ponieważ żółw potrafił bardzo szybko się poruszać i chłopiec bał się, że go straci. Enrico pokazał mu, jak wygląda lwi ząb, który żółwie jedzą szczególnie chętnie, i pokroił jabłko na cienkie plasterki, a Harry zjadł je z wielkim apetytem.

– Przyjdź do mnie znów za kilka dni – powiedział Enrico do Jana – zbuduję ci wybieg dla żółwia. Będzie mógł swobodnie biegać w La Pecora, a ty nie będziesz musiał bez przerwy go pilnować. To straszne bać się bez przerwy, że zwierzę ucieknie.

– Naprawdę? – zapytał Jan. Nie mógł uwierzyć, że ten obcy mężczyzna chce dla niego coś zrobić.

– Naprawdę – odpowiedział Enrico i pogładził chłopca przyjaźnie po głowie.

Kiedy Bettina w pewnej chwili spojrzała na zegarek, przeraziła się. Rozmawiali trzy godziny i całkowicie zatracili poczucie czasu. Na powrót potrzebowali co najmniej tyle samo czasu. Bettina była bardzo zmęczona. Czuła, że teraz po tej długiej przerwie nie będzie mogła zrobić kroku.

Enrico zaofiarował się, że ich odwiezie do La Pecora. Bettina miała obiekcje, że tak wykorzystuje gospodarza, lecz Enrico sprawiał wrażenie, że naprawdę zrobi to chętnie, i przyjęła propozycję.

W drodze powrotnej Enrico powiedział:

– Będzie mi bardzo miło, jeśli znów mnie odwiedzicie, zanim wrócicie do domu. Popołudnie z wami bardzo mi się podobało! – W lusterku wstecznym ujrzał Jana, który siedział z tyłu, i mrugnął do niego. Jan uśmiechnął się. Edda zasnęła.

– Chętnie jeszcze tu przyjedziemy – obiecała Bettina. – Porozmawiam z Mareike.

– A więc, jak już powiedziałem, zawsze będziecie mile widziani.

W ciągu popołudnia, jakby to było całkiem oczywiste, przeszli na ty. Bettina nie miała wcale wrażenia, że siedzi naprzeciwko obcego człowieka, wydawało się jej, że to wieloletni przyjaciel.

Enrico nie dojechał do samego domu, zatrzymał się przy rozgałęzieniu drogi do La Pecora.

– Nie gniewajcie się, że was nie odwożę pod same drzwi, dawno nie widzieliśmy się z Eleonore. To miła osoba, bardzo ją lubię, ale kiedy mnie zobaczy, będę musiał zostać tu cały wieczór, a teraz nie mam na to siły. Dziś wieczorem muszę jeszcze coś przeczytać.

– Oczywiście – powiedziała Bettina. – Rozumiem, i tak wspaniale, że nas w ogóle odwozłeś. Dzięki, tysiącne dzięki. Być może kiedyś zdarzy się okazja, aby ci się zrewanżować.

– Na pewno – potwierdził Enrico i uśmiechnął się. Potem zawrócił i popędził przed siebie.

Wieczorem Bettina i Mareike jeszcze długo siedziały na tarasie. Mareike trzymała nogę w górze i była wyjątkowo milcząca. Płomienie świec migotały na wietrze. Bettina opowiadała o Enricu. Mareike jeszcze nigdy nie widziała, żeby Bettina była tak zafascynowana jakimś mężczyzną.

– Musisz go koniecznie poznać – przekonywała Bettina. – To niezwykły mężczyzna, jestem pewna, że ci się spodoba. Czy to nie cudowne, że tu, na tym pustkowiu w górach, spotkaliśmy tak interesującego człowieka?

Było jeszcze całkiem jasno, kiedy Anne i Harald wrócili do Valle Coronata. Objechali wiele sklepów z artykułami budowlanymi, wreszcie Harald kupił dwa dekle, które według niego powinny pasować.

– Choć ten system oczywiście jest zasadniczo przestarzały – stwierdził, rzucając dekle na tylne siedzenie samochodu. – Nie możemy przecież każdego roku rozwalać dekła po to tylko, aby oczyścić basen. Wielki mistrz sztuki murarskiej, który budował ten dom, myślał dość ciasno i na krótką metę. Chodziło mu tylko o to, aby basen był szczelny i gotowy. A co się stanie za rok, to go już nie interesuje.

– Coś jesteś na niego cięty.

– Tak, nie znam go. Może to całkiem sympatyczny człowiek, być może, lecz gdybym miał go oceniać na podstawie jego dzieł, to już nie byłbym taki zachwycony.

Anne i Harald zjedli jeszcze potem w Bucine pizze, każda o średnicy pięćdziesięciu centymetrów, cieniutkie i bardzo skąpo obłożone, mimo to bardzo smaczne.

– Teraz się cieszę na zimne piwo – powiedział Harald, kiedy zjeżdżali do doliny. – Masz coś w lodówce?

Anne potrząsnęła głową przecząco.

– Przykro mi, zapomniałam przygotować je dla ciebie.

– Opowiedz mi o tym Kaiu – rzucił Harald ni stąd, ni zowąd. – Co to za człowiek?

– Teraz nie – odrzekła Anne – proszę cię. To świetny facet. Swobodny i wesoły, uważam, że jest dobrym kumplem. Teraz nie chce mi się o nim gadać.

Anne wysiadła z samochodu i poszła prosto do basenu. Harald wziął jej torebkę, dekle i warzywa, które po drodze kupili, i poszedł wolnym krokiem za nią.

Anne stała na skraju basenu i patrzyła bez ruchu w głąb. Nieruchomo, jak zahipnotyzowana.

– Anne! – zawołał Harald. – Co się stało? – Ale ona nie zareagowała. Zawołał jeszcze kilka razy, za każdym razem coraz głośniej, ale Anne nawet nie podniosła głowy. Stała jak zamurowana, jak porażona.

Harald rzucił na ziemię wszystko, co trzymał w ręce, i pobiegł do Anne.

Położył dłoń na jej ramieniu, kiedy zjrzał do basenu. Betonowe dno było teraz suche i miało jasnoszary kolor. Na tym tle odznaczał się zarys chłopca naturalnej wielkości. Z różnych resztek kamieni, pyłków kwiatowych i ziemi powstał obraz, który łatwo było rozpoznać. Chłopiec miał na sobie krótkie spodenki i T-shirt, blond włosy. Na twarz naniesiono bardziej żółty pyłek kwiatowy, aby lepiej ją było widać.

– Czy wciąż jeszcze uważasz, że fantazuję i jestem histeryczką? Jej płatki nosa tak zbieleły, jakby za chwilę miała zemdleć.

– Nie. Chodź stąd. – Harald trzymał Anne mocno w ramionach i prowadził powoli do domu. Szła z nim całkiem bezwolna. Harald posadził ją w kuchni przy stole i podał szklankę wody. – Masz, wypij łyk. Jesteś blada jak ściana.

Potem sam usiadł przy niej i wziął ją za rękę. Ręka była zimna jak lód.

– Zastanówmy się nad tym. Spokojnie. Nie bój się, już nie będę cię uważał za histeryczkę, sam widzę, że coś tu nie gra. Czy możesz mi wytłumaczyć, o co tu chodzi?

Anne potrząsnęła głową.

– Być może znów tu była ta dziwna kobieta, która nie potrafi mówić i która ukradła fotografię Felixa.

– Oczywiście, może tak być. Ona przychodzi od czasu do czasu. Opowiadałam ci, że wrzuciła kilka razy róże do wody.

– Wiesz, co myślę?

– Ja myślę to samo.

– Ale nie chce mi się wierzyć.

– Mnie także nie. Co to wszystko ma znaczyć? Musimy skuć dno basenu, Haraldzie, bo inaczej nie zaznamy spokoju. Teraz chcę naprawdę wiedzieć, czy tam coś jest, czy nie.

– Jak to sobie wyobrażasz?

– Sama nie wiem! – Anne ogarnęła wściekłość. – Ten przeklęty basen musi zostać rozbity! Przecież nie jest zbudowany na całą wieczność!

Harald zastanawiał się.

– Kilofem się nie uda. Będę kuł ze cztery tygodnie, aby osiągnąć cel. Tu potrzebna jest koparka. To jedyna możliwość.

– No to sprowadźmy koparkę.

– Ale musisz wiedzieć, że wówczas przez całe najbliższe lato nie będziesz mogła się kąpać.

– Wszystko mi jedno.

– Wobec tego, kiedy teraz wszystko rozkujemy, musisz złożyć wniosek o pozwolenie na budowę nowego basenu, tym razem basenu z prawdziwego zdarzenia. Będzie to trwało z pewnością wiele miesięcy, jeśli nie ze dwa lata. Następnie musimy się zastanowić, na który bank napaść, aby zdobyć pieniądze na basen, a potem możemy zacząć budować. Prawdopodobnie nawet przez dwa albo trzy lata nie będziesz miała basenu.

– Wszystko mi jedno. I tak nie korzystam z niego, ponieważ stale myślę, że tam... a więc... – Anne szukała odpowiednich słów, nie chciała wymówić tego najgorszego, które kołatało się w jej głowie – ponieważ stale sobie wyobrażam, co tam jest.

– Okay. Znasz jakiegoś operatora koparki?

– Nie. Ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, pójdę teraz na górę, dopóki jest jasno, i zatelefonuję do Kaia. On kieruje też budowami i na pewno od razu załatwi mi koparkę.

– Trzeba mieć odpowiednich przyjaciół, wówczas wszystko w życiu się udaje – powiedział Harald i uśmiechnął się ironicznie. – Zgoda, zadzwoń do niego. Żeby to widmo w dolinie wreszcie zniknęło.

Mareike nie mogła spać całą noc, tak bardzo bolała ją noga. Około czwartej rano obudziła Bettinę, bo pilnie potrzebowała tabletki przeciwbólowej. Bettina przyniosła jej tabletkę i szklanek wody i natychmiast z powrotem zasnęła.

Mareike leżała i rozmyślała. Ten potwór, który tu w okolicy uprawiał swój nieczyny proceder, albo był tak bezczelny i pewny siebie, że nie zamierzał uciekać ani zmieniać miejsca pobytu, albo zbrodniarz miał rodzinę i był z tym miejscem związany. Ponieważ dotychczas nie natrafiono na żadne cenne ślady, jeśli wierzyć temu, co opowiadały Eleonore i Anne, wiele przemawiało za tym, że zbrodniarz zabijał dzieci u siebie w domu i ukrywał zwłoki gdzieś w pobliżu. Miał czas, nikt go nie obserwował, czuł się całkowicie bezpiecznie. Wersja z rodziną była w tym przypadku raczej nieprawdopodobna.

Ojciec rodziny we Włoszech, który zabija małe dzieci, wydawał się Mareike także czymś absurdalnym, bezczelny singiel, pewnie mieszkał w domu położonym na odludziu i tam mógł niepostrzeżenie pozbierać się zwłok – to brzmiało bardziej przekonująco.

Gdybym ja tu mieszkała ze swoimi dziećmi, nie miałabym spokojnej chwili, pomyślała Mareike. Leżała wyprostowana na plecach, próbowała się odprężyć i równo oddychała, lecz i tak nie mogła zasnąć.

O siódmej Mareike, w płaszczu kąpielowym, zsunęła się na siedzeniu ze schodów i usiadła na tarasie. Właśnie wzeszło słońce. Mareike oddychała głęboko i przegoniła nocne zmyły ze swoich myśli. Wszystko było takie cudowne. W jej rodzinie wszyscy byli zdrowi i weseli, spędzali urlop w tym przepięknym miejscu, a jej stopa znów będzie sprawna. Tak się tylko złożyło, że chwilowo jest chora. Coś takiego nigdy jeszcze jej się nie zdarzyło podczas jej wieloletniej służby w policji, ale z pewnością dobrze jej to robi.

O siódmej Bettina wstała i przygotowywała śniadanie.

– Muszę jeszcze pojechać do szpitala – oznajmiła Mareike. – Coś jest nie w porządku ze stopą, niech ją jeszcze raz zbadają. Może coś przeoczyli. Usztywnienie ochronne, zimne okłady i wiara w to, że będzie lepiej, niewiele mi pomagają.

– Okay – powiedziała Bettina – zawiozę cię.

– Nie, daj spokój, pojedę z Leonore. Ona dobrze zna ten straszny szpital, który jest prawie tak duży jak elektrownia atomowa, urząd zatrudnienia i giełda frankfurcka razem wzięte. Poza tym ona zna trochę włoski i całkiem dobrze sobie radzi. My obie byśmy się całkiem pogubiły.

– Zgoda – Bettina uśmiechnęła się – ale ja dziś tu zostanę. Posiedzę na tarasie, odpocznę i zaczekam na ciebie.

– A Jan i Edda? Co oni będą robili?

– Nie mam pojęcia. Trzeba ich zapytać.

Podczas śniadania Jan i Edda byli jeszcze zaspiani, w złych humorach i nie mieli żadnych pomysłów na dzisiejszy dzień.

O dziewiątej Mareike pojechała z Leonore do Montevarchi, a Bettina czytała powieść, którą zabrała ze sobą na urlop. Były to *Stupy ognia* Kena Folleta. Już po pierwszych stu stronach zalała się łzami.

Edda siedziała w kuchni i pisała tasiemcowy list do Mikiego, Jan siedział w kucki na tarasie, bawił się z Harrym, który wciąż próbował uciec, i nudził się.

– Czy mogę pojeździć na rowerze? – zapytał po chwili.

Bettina spojrzała znad książki i zdjęła okulary do czytania.

– Pojeździć na rowerze? Skąd ci to przyszło do głowy?

– Leonore ma rower górski. Stoi za domem, przy drzwiach do kuchni. Powiedziała, że mogę na nim jeździć, kiedy tylko będę chciał.

Bettinie było przykro, że Jan się nudzi.

– No tak, ale dokąd chcesz pojechać? Tylko tak sobie pojeździć po okolicy?

– Mógłbym odwiedzić Enrica. On powiedział, że jak do niego przyjadę, zbuduje mi wybieg dla Harry'ego. Możemy go razem zbudować, a potem po mnie przyjedziesz.

Bettina zastanawiała się. Pomysł nie był zły. U Enrica Jan znajdował się w dobrych rękach, miałby sensowne zajęcie, a kiedy Mareike

wróci ze szpitala, mogłyby tam pojechać. Wówczas Mareike poznała-
by Enrica.

– A trafisz tam?

– No jasne! – Jan poczuł się obrażony tym pytaniem. – Cały czas
prosto. Do Montebenichi, potem do San Vincenti i zaraz za San Vin-
centi skręć w prawo. Jak tu się można zgubić?

– No dobrze – Bettina westchnęła. – Jeśli o mnie chodzi, możesz
jechać. Tylko jedź ostrożnie, słyszysz? Nie pędź jak wariat. I uważaj
przede wszystkim na zakrętach, na żwirze łatwo się wywrócić.

– No jasne! – Jan był zachwycony, podskoczył i pocałował Bettinę
w policzek. – Super! Uważaj tymczasem na Harry'ego.

Bettina skinęła głową. Jan wsadził żółwia z powrotem do miski do
prania, w której żółw spędził noc razem ze stosem mniszka, i pobiegł
za dom, aby przyprzewieźć rower.

Po chwili był z powrotem.

– Cześć! – Jan pomachał Bettinie i wskoczył na rower.

– Najpóźniej po południu przyjedziemy po ciebie, okay?

– Okay!

– I pozdrów ode mnie Enrica.

– Pozdrowię! – Jan nacisnął na pedały i pojechał wznoszącą się za
domem drogą.

Bettina zamknęła oczy i rozkoszowała się ciepłymi promieniami
słońca, które muskały jej skórę. Jeszcze nie zauważyła, że komórka Ja-
na leżała na ziemi obok miski.

Około dziesiątej koparka podążała z turkotem drogą w dół do Valle Coronata. Kai jechał za nią swoim samochodem. Kiedy Harald i Kai podali sobie dłonie, spojrzeli na siebie przez chwilę wzrokiem, który mówił: „Ja wiem o tobie, a ty wiesz o mnie, ale teraz nie będziemy sobie nawzajem wybijali zębów”.

Anne była trochę niepewna, zagłuszyła swą niepewność nerwową ruchliwością, parząc kawę i biegając bez przerwy między kuchnią a stołem pod orzechem, znacznie częściej, niż to było konieczne.

Kai wytłumaczył operatorowi koparki, co jest do zrobienia, i mężczyzna przystąpił do pracy. Uderzał szuflą koparki w beton i kawałek po kawałku kruszył płytę basenu.

Anne, Harald i Kai stali w milczeniu na krawędzi basenu i przyglądali się, jak operator koparki uprzęta dno basenu.

Pierwszą rzeczą, jaką Anne ujrzała, był mały kawałek wieży Eiffla. Wydała okrzyk i chwyciła Haralda mocno za sweter, jak gdyby się bała, że wpadnie do basenu.

– T-shirt z Paryża, to T-shirt Felixa, który kupiliśmy mu w Paryżu. Miał go na sobie w Wielki Piątek – wykrztusiła Anne z trudem i pokazała ręką na dno.

Harald wsunął Anne w ramiona Kaia.

– Trzymaj ją mocno! – powiedział.

Operator pracował spokojnie dalej. Ponieważ miał na uszach ochraniacze, a koparka robiła wielki hałas, nie usłyszał okrzyku Anne ani nie dostrzegł poruszenia, jakie powstało.

– Niech pan przestanie! – krzyknął Harald, mężczyzna jednak nic nie słyszał i ze stoickim spokojem pracował dalej. Harald pobiegł więc na przeciwległą stronę basenu i wymachiwał rękami niczym kontroler lotów, który chce naprowadzić samolot do lądowania.

Operator koparki zatrzymał maszynę i zdjął z uszu ochraniacze.

– Mała chwila przerwy – powiedział Kai po włosku. Mężczyzna wzruszył ramionami i zeskoczył z siodełka. Jeszcze nie zauważył, co odstoniło się w basenie.

Operator zapalił papierosa i patrzył, jak Harald wskoczył do basenu. Ostrożnie podnosił oskardem kawałki pokruszonej betonowej płyty i stopniowo oczom zebranych ukazywały się T-shirt, krótkie spodenki i wreszcie cały tułów. Cement dobrze zakonserwował ciało. Nie ulegało wątpliwości. Znaleźli Felixa.

Anne nie płakała. Skrzyżowała ręce na piersi, patrzyła na dno basenu i ledwie oddychała. Kai objął ją ramieniem i trzymał mocno. Harald opierał się dłonią o ścianę basenu i próbował zrozumieć, że jego martwy syn leży u jego stóp. Operator koparki chwycił się za głowę i wyszeptał ledwie dosłyszalnie:

– *O dio!*

Anne usiadła na ziemi. Opuściły ją wszystkie siły, skuliła się w sobie. Następnie podniosła głowę i spojrzała na Kaia. Jej twarz była biała i jak z wosku.

– Enrico go zabił – powiedziała bezdźwięcznie. – A my przez cały czas pozwalaliśmy mu się zwodzić.

Operator rozgniół papierosa między palcami, po czym wyskoczył nagle z basenu. Wąską ścieżką tuż za basenem pobiegł w górę. Nikt nie zwracał na niego uwagi.

Anne, Harald i Kai milczeli kilka minut i próbowali uświadomić sobie fakt, że Felix naprawdę został zabetonowany w tym basenie.

Anne pierwsza oprzytomniała. Weszła do basenu i dotykała ostrożnie zwłok. Dopiero w tym momencie zaczęła płakać.

Harald otarł sobie twarz rękawem marynarki, położył ostrożnie rękę na ramieniu Anne i powiedział:

– Pojedźmy tam. Pokaż mi, gdzie on mieszka. Chcę mu spojrzeć w oczy, a potem go załatwić.

Harald wyszedł z basenu. Operator przybiegł bez tchu z góry i zawołał:

– *Ho telefonato. Vengono. I carabinieri vengono!*

Anne patrzyła niepewnie, jak gdyby nie rozumiała, co mężczyzna powiedział. Kai skinął głową, a Harald wybuchnął:

– Coś ty zrobił najlepszego, ty durniu! Telefonować na policję? Co cię to obchodzi! – Twarz mu poczerwieniała. – Tu leży nasz martwy syn – krzyczał dalej. – Dziesięć lat go szukaliśmy, a ty po prostu zawiadamiasz policję! To jest mój problem, nie twój, kretynie! – Głos Haralda przechodził sam siebie. – Pójdę tam teraz, obetnę ją ja mordercy tego chłopca, a potem sam zatelefonuję do *carabinieri*. Ja to zrobię, rozumiesz? I to wtedy, kiedy ja będę chciał. Może za pół godziny, może za godzinę albo dopiero jutro rano. Zrobię to wówczas, kiedy uznam to za właściwe, ty włoski głupku!

Anne jeszcze nigdy nie słyszała Haralda tak krzyżącego. Rzucił się do operatora, który nie zrozumiał ani jednego słowa, chwycił go za marynarkę, jak gdyby zamierzał go bić. Ale Kai stanął pomiędzy nimi.

– Daj spokój – powiedział ostrzegawczym tonem. – Ten człowiek nie jest niczemu winien. Zrobił to, co uznał za słuszne. I uważam, że postąpił słusznie. Policja musi tu przyjechać. A potem zobaczymy. Doskonale rozumiem, że chcesz Enricowi skręcić kark. I nie będę ci stawał na drodze.

Harald patrzył na Kaia jak na ducha. Wreszcie skinął głową.

– Okay, okay, okay, okay – a potem się rozplakał.

Około drugiej Eleonore i Mareike wróciły do La Pecora. Stopa Mareike była w gipsie. Na zdjęciu rentgenowskim dopatrzono się jednak, że ścięgno Achillesa zostało zerwane. Mareike była dobrej myśli, teraz przynajmniej wiedziała, co jest i jak ma postępować. Trzy tygodnie w gipsie szybko miną.

Mareike zdziwiła się, że Jan nie wybiegł jej jak zwykle na spotkanie, kiedy wróciła. Bettina oznajmiła, że Mareike nie musi się martwić, Jan pojechał na rowerze do Enrica, jej nowego znajomego, którego wczoraj poznała. Ma razem z nim budować wybieg dla żółwia. Po południu pojedą po niego.

– Co takiego? – krzyknęła Mareike. – Pozwoliłaś mu samemu jechać przez nieznaną okolicę do zupełnie obcego mężczyzny, z którym wczoraj rozmawiałaś zaledwie godzinę? Czyś ty całkiem postradała zmysły? – Bettina została całkowicie zbita z tropu wybuchem Mareike.

– Nie rozumiem, o co ci chodzi, dlaczego tak na mnie napadłaś. Przecież on umie jeździć na rowerze. Więc co? I chyba już dorósł do jazdy na rowerze? Tu wszędzie są drogi leśne i ścieżki dla pieszych. W Berlinie też jeździ na rowerze na boisko, aby pograć w piłkę, i nie panikujesz. A przecież w Berlinie jest o wiele bardziej niebezpiecznie. Tu pojechał do mężczyzny, którego znam i który jest bardzo sympatyczny. Gdzie tu problem? – Bettina była teraz wściekła.

Mareike usiadła powoli na leżaku i ułożyła nogę w gipsie wysoko, czuła w środku gwałtowne pulsowanie.

– Problem polega na tym – wyjaśniała cicho – że tu, w okolicy, dokładnie w pobliżu nas, w promieniu dwudziestu kilometrów prawdopodobnie grasuje morderca dzieci. Trzej mali chłopcy w wieku Jana zaginęli bez śladu. Eleonore opowiadała mi o tym, a potem rozmawiałam z matką jednego z dzieci, które zaginęły. Nie mówiłam ci o tym,

żebyś się na mnie nie złościła, że zajmuję się w czasie urlopu takimi sprawami.

– Gdybyś mnie uprzedziła – syknęła Bettina – nie pozwoliłabym mu pojechać.

Edda stała w otwartych drzwiach kuchni i przysłuchiwała się rozmowie Bettiny i Mareike.

– Jestem takiego samego zdania jak Bettina – powiedziała. – Uważam, że Enrico jest okay. – Potem spojrzała na Mareike. – Chyba trochę przesadzasz. Powoli za każdym drzewem zaczynasz dostrzegać mordercę. To chorobliwe.

– Być może masz rację. Być może przesadzam i tylko sobie wszystko imaginuję. Czy znacie numer telefonu do Enrica? Byłabym spokojniejsza, gdybym wiedziała, że Jan dojechał szczęśliwie.

– Enrico nie ma telefonu – wyjaśniła Bettina – tylko komórkę i włącza ją jedynie w razie konieczności. Nie można do niego telefonować, ponieważ pragnie mieć spokój. Być może cierpi na telefonofobię.

– To zadzwoń do Jana. Chyba ma ze sobą komórkę?

Bettina potrząsnęła głową.

– Znalazłam ją na ziemi. Leżała obok miski Harry'ego.

– Do diabła! – Mareike uderzyła z wściekłością pięścią w leżak. Nocne myśli znów przeleciały jej przez głowę. Telefonofobia! Bufonowaty singiel, który nie życzy sobie, aby mu przeszkadzano! Bettina opowiadała wprawdzie, że jego żona jest właśnie w Niemczech u swoich rodziców, ale to wcale nie musi być prawda. W ciągu długiego dnia można wiele naopowiadać.

– Pojedźmy tam – zdecydowała Mareike. – Proszę cię.

– Już teraz? – Bettina spojrzała na zegarek. – Jest dopiero druga. Powiedziałam Janowi, że przyjedziemy po południu. Będzie zły...

– Być może skutek zawodu, jaki uprawiam, jestem przewrażliwiona i rzeczywiście za każdym drzewem widzę mordercę, ale teraz chcę koniecznie, i to natychmiast, tam pojechać, Bettino! – Mareike powiedziała to niezwykle ostrym tonem.

– No dobrze. Możemy pojechać. Przyniosę tylko moje rzeczy.

Weszła do domu.

Edda włożyła na plecy swój amarantowy plecak.

– Ja też jadę.

– Nie – sprzeciwiła się Mareike. – Ty zostaniesz tutaj. Nie gniewaj się, chciałabym, aby ktoś tu był na wypadek, gdyby Jan wrócił do domu.

Edda skinęła głową i zdjęła plecak. Smutek, który z niej promieniował, kiedy siedziała na kamieniu i spoglądała na zalesione wzgórza, ścisnął Mareike za serce.

Kiedy dojechały do Casa Mèria, Bettina zatrąbiła dwa razy.

– Żeby się nie przestraszyli. W końcu raczej nikt tędy nie przechodzi.

Zatrzymała się tuż obok domu i wysiadła.

– Enrico! Jan! – zawołała, ale nikt nie odpowiedział.

Mareike potrzebowała trochę więcej czasu, żeby wysiąść z samochodu i dokuśtykać o kulach przed dom.

– Nie ma nikogo – stwierdziła Bettina. – Samochód Enrica też zniknął. To dziwne.

Mareike czuła, jak ogarnia ją panika. Tylko spokojnie, mówiła do siebie, nie reaguj teraz jak matka, lecz jak komisarz policji. Dobrze wiesz, co masz zrobić.

– Najpierw obejdźmy dom dookoła – zwróciła się do Bettiny. – Dobrze się rozglądaj. Powiedz mi, jeśli coś rzuci ci się w oczy, jeśli coś zmieniło się od wczoraj.

Bettina poszła przodem, Mareike pokuśtykała za nią.

– Nic – oznajmiła Bettina. – Nie widzę żadnej różnicy. Ale oczywiście wczoraj nie rozglądałam się tak dokładnie. Nie przeczuwałam...

– Już dobrze – ucieła Mareike, kiedy zobaczyła, że Bettinie zbiera się na płacz. Potem podeszła do pierwszych lepszych drzwi i nacisnęła klamkę. Były otwarte. – Zostań na dworze i daj mi znać, kiedy ktoś przyjdzie. Rozejrzę się trochę w środku.

Mareike zniknęła wewnątrz, a Bettina przechadzała się przed domem w tę i z powrotem tak, aby cały czas mieć dobry widok na drogę dojazdową.

Mareike drżała na całym ciele, jednak zmusiła się, żeby przeszukać dom szybko i uważnie, jak to robiła już iks razy w innych domach. Kule w niewielkim stopniu przeszkadzały jej przy rewizji, ale modliła się, żeby nie musiała uciekać, co o kulach byłoby po prostu niemożliwe.

Zaczęła od kuchni. Stał w niej kredens z zadziwiająco małą ilością zapasów, nie było w nim nawet najpotrzebniejszych produktów. Szafka z naczyńiami, pod zlewem ścierka i środek do mycia naczyń. Szuflada ze sztuczkami, druga ze świeczkami, i to wszystko. Żadnych pieniędzy, czasopism, porzucanych książek, nawet pudełka na rupiecie. Mareike trudno było uwierzyć, że w tej kuchni człowiek je, pije, że w ogóle ktoś może tu żyć.

W jeszcze niewykończonym pomieszczeniu, które w przyszłości miało być salonem, znalazła skrzynię z pościelą, ręcznikami i kilkoma książkami. *Zbrodnia i kara* Dostojewskiego, *Ulisses* Jamesa Joyce'a, *Brat snu* Roberta Schneidera oraz *Hrabia Monte Christo* Aleksandra Dumasa. Poza tym pokój był pusty, a kominek jeszcze nieużywany.

W przylegającym pokoju Mareike natychmiast zauważyła, że przebywała tu kobieta. Na stole, który służył za biurko, stał wazon z jednym jeszcze niezwiędniętym zawilcem. A więc jeszcze niedawno była tu kobieta. W pięknie rzeźbionej kryształowej szklance tkwiły dwa wieczne pióra, kilka długopisów i ołówków, na środku stołu leżał papier listowy. Obok sterta czasopism, papierów i kilka segregatorów. Kiedy Mareike przeglądała ułożoną stertę, nagle się wzdrzygnęła. Od razu rozpoznała chłopca na fotografii. Było to zdjęcie Felixa. Chłopak stał na plaży i zabawnie prężył drobne muskuły.

A więc jednak, pomyślała Mareike. Włamał się do Valle Coronata, ukradł zdjęcie, a potem ukrył je w rzeczach żony.

Kiedy przekopywała się przez jeszcze nierozpakowane pudła, które stały na podłodze w pokoju Carli, dalej się zastanawiała.

Czy Enrico włożył zdjęcie do jej rzeczy, ponieważ nie wiedział, co z nim zrobić? Gdyby nie istniała żona, byłoby to jego biurko. Bardzo kobiece biurko. Czyli homoseksualista, który zabił małego chłopca i prawdopodobnie przedtem wykorzystał. To jeszcze bardziej paśowało Mareike do obrazu sytuacji.

Mareike zrobiła się mokra od potu. Co tu zaszło? I gdzie byli Enrico i Jan?

W sypialni na podłodze leżał materac, na nim kurtka i spodnie Enrica. W każdym razie nie było innego miejsca, w którym Enrico przechowywał swoje osobiste rzeczy.

Na koniec Mareike zajęła się warsztatem Enrica, który w przeciwieństwie do skromnego umeblowania domu wydawał się zadziwiająco dobrze wyposażony. To była mozolna praca, ale zmusiła się, żeby otworzyć każdą małą puszkę z najróżniejszymi śrubami, kołkami i gwoździami. Nauczyła się tego dziesiątki lat temu w szkole policyjnej. Gdzie najlepiej ukryć niezwykły diament? Pomiędzy innymi diamentami.

Dokąd oni pojechali?, myślała Bettina. Może tylko do sklepu, żeby kupić kilka śrub i części do ogrodzenia. To całkiem możliwe. W takim razie dlaczego nie ma tu roweru Jana? Przecież człowiek nie bierze ze sobą roweru tylko po to, żeby zrobić kilka sprawunków. A jeśli wybrali się na krótki spacer lub przejażdżkę rowerową, dlaczego nie ma samochodu Enrica?

A może Jan w ogóle tu nie przyjechał i to tylko przypadek, że Enrica nie ma w domu?

Zaczęła się modlić tak pokornie, jak nie robiła tego od czasów dzieciństwa.

Bettina nie umiała później powiedzieć, czy minęło pół godziny, czy tylko kilka minut od czasu, kiedy przyjaciółka wyszła z domu. W rękę trzymała małe pudełko. Bettina jeszcze nigdy nie widziała takiego wyrazu twarzy Mareike, ponieważ w chwili, kiedy Mareike dokuśtykała do niej i milcząc, spojrzała w oczy, wiedziała, że stało się coś strasznego. Katastrofa, która miała związek z Janem.

– Ostatecznie będę mogła to stwierdzić w stu procentach dopiero wówczas, kiedy to, co znalazłam, zostanie zbadane w laboratorium – odezwała się Mareike. – Ale uwierz mi, Bettino, tu mieszka morderca dzieci, który zabił w Niemczech trzech małych chłopców i co najmniej tyle samo we Włoszech. – Otworzyła pudełko. – Przypatrz się dokładnie, Bettino. To są jego trofea. Sześć zębów na kawałku aksamitu. Jestem pewna, że to są zęby Daniela, Benjamina, Floriana, Felixa, Filipa i Marca.

Dom, który Enrico pokazał Janowi, miał zamurowane okna i drzwi. Wyglądał jakoś ponuro i martwo, uznał Jan, ale jednocześnie miał w sobie coś intrygującego i przejmującego grozą z powodu wybitego w zamurowanym oknie niewielkiego otworu, który pozwalał dostać się do środka.

W środku było ciemno i wilgotno. Czuło się kwaskowaty zapach stęchlizny, jak w domu, kiedy w spizarni za regałem z puszkami konserw rozkłada się martwa mysz.

– Zaczekaj chwilę – powiedział Enrico do Jana. – Tylko przyniosę coś z samochodu. Zaraz wracam.

Enrico przecisnął się przez okno, Jan kucnął na podłodze. Niewiele widział. Podłoga z gliny, nie potrafił wyczuć, czy była mokra, czy tylko zimna. Powoli badał ręką ścianę. Twarz opłotła mu pajęczyna, wstrząsnął się z obrzydzenia. Mozolnie starał się usunąć z włosów nici pajęczyny, która przyklejała mu się do palców jak wata cukrowa do zębów. Tylko że wata cukrowa była słodka i nie wywoływała uczucia wstrętu. Właśnie kiedy Jan się zastanawiał, czy nie powinien wyjść przez okno na zewnątrz, wrócił Enrico. Zapalił świecę i Jan zobaczył, co jeszcze przyniósł ze sobą. Koc, ścierkę kuchenną, butelkę z wodą, butelkę grappy, linę i obcęgi.

Enrico uśmiechnął się w świetle świecy.

– Musisz być cicho – wyszeptał. – Nikt nie powinien wiedzieć, że tu jesteście. To jest tajemne miejsce, które ma magiczną moc. Jeśli spędzi się tu noc, można wyrazić życzenie. I to życzenie się spełni.

Jan przestraszył się.

– Nie mogę tu zostać! Bettina po mnie przyjedzie!..

– Gdzie?

– Do twojego domu!

– Kiedy ma przyjechać?

– Po południu. Nie wiem dokładnie. Prawdopodobnie o trzeciej albo o czwartej.

– Dlaczego nic mi o tym nie powiedziałeś?

– Wszystko poszło tak szybko i mówię, że zaraz wrócimy. Nie mogłym przyjąć tu innym razem?

– Nie.

– Ale ja nie mogę tu zostać! – Jan zaczął drżeć. Zdawał sobie sprawę, jak szybko Bettina i Mareike zaczynają się martwić. Kiedyś widział płaczącą Bettinę, to było okropne, i już nigdy więcej nie chciał oglądać takiego widoku. Edda poszła do przyjaciółki, żeby u niej przenocować, a kiedy o jedenastej Mareike tam zadzwoniła, nikt nie odebrał telefonu. O dwunastej też nie i o pierwszej nie, i o drugiej też nie. Mareike bolały palce od wykręcania numeru, a Bettina siedziała w salonie na dywanie i płakała. Przytulona do ulubionego słonika Eddy. O pół do trzeciej Mareike poprosiła o pomoc kilku kolegów i pojechali szukać Eddy. Jan został z Bettiną, która nie mogła się uspokoić. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że człowiek może być tak zrozpaczony i smutny.

O pół do piątej rano wróciła Mareike z Eddą. Znalazła ją razem z jej przyjaciółką w dyskotecie. Nie przypuszczały, że ich potajemna wyprawa do dyskoteki wyjdzie na jaw.

Mareike nie powiedziała tego wieczoru już ani słowa. Bettina wzięła Eddę w objęcia i dopiero wtedy naprawdę się rozplakała. To było nie do zniesienia. Jan przysiągł sobie, że nigdy nie zrobi czegoś, co mogłoby doprowadzić Bettinę do takiego płaczu.

– Nie mogę – wyszeptał. – Naprawdę nie mogę. Ale jutro to co innego. Bettina na pewno pozwoli mi tu przenocować. Wtedy wezmę ze sobą śpiwór.

– Za dużo gadasz – powiedział Enrico. – Dzieci, które dużo mówią, działają mi na nerwy.

Jan oniemiał. Nie spodziewał się takiego tonu po sympatycznym Enricu.

– Kładź się na kocu! – rozkazał Enrico. – Na brzuchu.

– Po co? – Stopniowo sytuacja przejmowała Jana zgrozą. Poczul na plecach lodowatą rękę strachu, która powoli przesuwiała się w górę.

– Rób, co ci każe!

Jan położył się na kocu. Serce podeszło mu do gardła.

Enrico złapał go za ręce i wprawnymi ruchami zaczął wiązać mu je na plecach. Jan próbował się bronić.

– Uspokój się – wyszczał Enrico. – Inaczej naprawdę cię zaboli.

Kiedy Jan leżał na ziemi ze związanymi rękami i nogami, zakneblowany ścierką kuchenną, Enrico wyjął nóż z kieszeni i rozciął na nim ubranie.

Mamo, błagał w duchu Jan, zabierz mnie stąd. Proszę, przyjdź i pomóż mi! Przecież zawsze wiesz, kim są mordercy i gdzie ich szukać. I masz pistolet! Mareike! Bettina! Edda! Proszę! A potem pomyślał o Harrym, który był tak samo uwięziony w swojej misce jak on. Uwolnię cię, kiedy się stąd wydostanę, wypuszczę cię na wolność, przysięgł. Nie będziesz musiał jechać ze mną do Niemiec.

Próbował targować się z losem i nie przychodziło mu do głowy, czego ważnego mógłby się wyrzec.

Enrico pochylił się nad nim. W świetle świecy Jan zobaczył jego zimne oczy. Dlaczego na mnie nie patrzy?, pomyślał Jan. Dlaczego wygląda tak dziwnie?

I w tym momencie zrozumiał, że już nigdy nie wyjdzie z tego domu żywy.

Mareike wyjęła komórkę z torebki i właśnie chciała zadzwonić na policję, kiedy zobaczyła, że drogą jadą dwa samochody. Jeden prywatny, drugi to karabinierzy.

W prywatnym siedzieli Kai i Harald. Anne została w Valle Coronata. Mareike i Bettina dowiedziały się, że w Valle Coronata znaleziono ciało zaginionego Felixa. Kai tłumaczył, a Mareike wyjaśniała włoskim kolegom w skąpych zdaniach, kim jest i że jej syn znajduje się w rękach domniemanego mordercy i prawdopodobnie grozi mu wielkie niebezpieczeństwo.

Krótko potem rozpoczęła się największa policyjna akcja poszukiwawcza, jaką kiedykolwiek zarządzono na obszarze pomiędzy Florencją, Arezzo i Sieną. Helikoptery krążyły nad terenem pomiędzy Valle Coronata i Casa Mèria i szukały samochodu Enrica. Ale ten stał obok zrujnowanego domu, w którym Enrico ukrył się z Janem, i nie było go widać z powietrza. Półtorej godziny później przybył stuosobowy oddział policji z Florencji i przeczesał okolicę, wojsko stacjonujące w Pienza dotarło około osiemnastej do Ambry i przyłączyło się do poszukiwań policji. Ustawiono blokady na drogach wylotowych w kierunku Rzymu i Mediolanu oraz kontrole w punktach pobierania opłat na autostradach i co pół godziny powtarzano w radiu komunikat o poszukiwaniu Enrica, telewizje Rai Uno, Rai Due i Rai Tre prosiły ludność o pomoc.

To był wyścig z czasem.

Jan się nie poruszał. Enrico opróżnił butelkę z grappą prawie do połowy i obserwował go w świetle świecy. Jeszcze długo z nim nie skończy.

Jan leżał tak cicho i nieruchomo, że przez chwilę Enrico zląkł się, że mógł być nieżywy. Że mógł tak po prostu umrzeć, całkiem niepostrzeżenie.

Enrico wściekł się. Ten mały gnojek nie popsuje mu wszystkiego i nie pozbawi go tej najpiękniejszej chwili. Chwili, kiedy leżało przed nim już tylko bezwolne ciało, które przestało walczyć. Które poddało się swojemu przeznaczeniu i bez oporu wchodziło w objęcia śmierci. On – Enrico – chciał decydować, kiedy to nastąpi. Przeważnie trwało to zaledwie sekundy, a było bardziej orgiastyczne niż wszystko, co człowiek mógł przeżyć. Siła tego doznania była tak wielka, że wypełniała go jeszcze całe miesiące i czyniła lekkim i szczęśliwym. Właśnie boskim.

Zerwał się na równe nogi i kopnął chłopca w nerki. Jan wyprężył się z bólu. A więc jeszcze żył.

Enrico przechylił się do tyłu i niemal brutalnie włożył rękę w spodnie, aby się nieco pohamować. Powoli. Bardzo powoli. Jan potrzebował teraz chwili wytchnienia, bo inaczej Enrico nie dozna tej rozkoszy, jaką zamierzał jeszcze z nim przeżyć. A szkoda by było.

Zresztą i tak grappa go zmęczyła. W zasadzie mógłby się przespać kilka godzin.

Oczywiście będą szukać Jana. Ale prawdopodobnie dopiero wieczorem, kiedy już się ściemni. Bettina mu ufała. Nawet gdyby nie zastała nikogo w Casa Mèria, nie nabrałaby od razu podejrzeń. Bettina uroiła sobie, że Jan jest bezpieczny z Enrikiem. Bettina była taka miła, taka prostoduszna, wyjątkowo głupia krowa. A szukanie po ciemku nie miało sensu. A więc zaczną szukać najwcześniej jutro rano. Rzeczywiście mógł się odważyć przespać kilka godzin. O północy znowu znacznie, a do świtu było dużo czasu. Cudownie.

Zgasił świecę i już nie myślał. Natychmiast zasnął.

Albano Lorenzo, *maresciallo di carabinieri*, kierował szeroko zakrojoną akcją poszukiwawczą, którą rozpoczęto o świcie. Wydzielono cztery oddziały poszukiwawczy. Pierwszy sprawdzał, jak już dzień wcześniej, teren wokół domu Enrica Casa Mèria oraz od San Vincenti po Montebenichi i La Pecora; drugi miał na celowniku okolice wokół La Roccia, Solata i Cennina; trzeci Casa Lascone, Badia a Ruoti aż do małej wioski Rapale; czwarty przeczesywał lasy wokół Valle Coronata, La Pecora, Casa Lascone, La Roccia i wreszcie Casa Mèria.

Mareike spędziła prawie całą noc razem z Anne w *ufficio maresciallo*. Był tam też Kai, który w miarę swoich możliwości służył za tłumacza. W tym czasie Mareike przekazała *capo carabinieri* obszerne informacje na temat Enrica. Pokazała mu trofea Enrica, zęby, które znalazła w jego domu, i wyraziła przypuszczenie, że niemiecki i włoski morderca dzieci może być jedną i tą samą osobą.

O trzeciej w nocy przyszły pierwsze wyniki z patologii we Florencji, gdzie wieczorem dostarczono zwłoki Felixa. Na tę chwilę jedno ustalono na pewno: także Felixowi wyrwano przedni ząb *post mortem*. Czy jeden ze znalezionych zębów należał do Felixa, nie można było w tej chwili z całą pewnością stwierdzić.

Jeszcze tej samej nocy Karsten Schwieters wysłał e-mailem z Niemiec do Włoch najważniejsze wyniki dochodzenia. Do skomplikowanego przetłumaczenia tekstów dotyczących technik kryminalnych i medycyny sądowej Lorenzo sprowadził tłumaczkę i ekspertkę Marisę Forelli z Arezzo, która kilka godzin później zjawiała się na posterunku policji i tłumaczyła simultanicznie, to znaczy, czytała *maresciallo* po włosku to, co było napisane w aktach po niemiecku.

O świcie Lorenzo był dostatecznie poinformowany, dlatego posłał oddziały poszukiwawcze również do miejsc, w których dawniej działał

Enrico. Oprócz tego zarządził natychmiastową rozbiórkę basenów w Casa Lascone i La Roccia.

Giancarlo Ponticini spał tej nocy źle i o wiele za krótko, toteż był w kiepskim nastroju. Kierował grupą poszukiwawczą numer cztery i uznał za zbędne powtórne przeszukanie okolicy wokół Valle Coronata, Casa Vigna, Il Nido i jeziora, ponieważ już wczoraj przyjrano się z przodu i z tyłu każdemu źdźbłu trawy rosnącemu na brzegu jeziora, jak lekceważąco wyraził się Giancarlo. Poza tym w Il Nido okna i drzwi już od wielu lat były zamurowane i jeszcze nigdy nie zabłąkała się tam żadna kurna ani lis. Giancarlo jako myśliwy dobrze znał okolicę. Był absolutnie pewny, że już wczoraj zauważyłby coś niezwykłego, gdyby tylko było.

Giancarlo, który był na wojennej stopie z *maresciallo* i dlatego krytykował i ganił każdą decyzję swojego przełożonego, obstawał za przeszukaniem okolicy wokół San Pancrazio. Bardzo gęsty las o wiele lepiej nadawał się na kryjówkę. Zwłaszcza że kilka lat temu znaleźli tam zakochaną parę w samochodzie, która popełniła samobójstwo. Samochód został tak dobrze ukryty w kotlinie za gęstymi zaroślami, że znaleziono ciała dopiero po dziesięciu dniach. Giancarlo dokładnie zapamiętał to miejsce, według niego nie było lepszego, żeby ukryć się z dzieckiem lub pozbyć się zwłok.

Kiedy Giancarlo zadzwonił z komórki do *maresciallo* i tłumaczył mu, że poszukiwania nad jeziorem i w jego okolicy uważa za bezsensowne i że raczej powinno się skierować uwagę na tereny wokół San Pancrazio, całkowicie wytrącił z równowagi również przemęczonego *maresciallo*. Wysokim falsetem wrzasnął na Giancarla, że albo będzie łaskawie wykonywał jego rozkazy, i to tak dokładnie, jak to tylko możliwe, albo *maresciallo* osobiście postara się, żeby Giancarlo został przeniesiony do Palermo. Ma swoje powody, dlatego jeszcze raz należy szukać nad jeziorem i basta.

Giancarlo poddał się losowi. Wiedział, jak rozległe stosunki miał Lorenzo, a Palermo było ostatnim miejscem, w którym chciałby wylądować. Na krótko przed emeryturą nie miał ochoty na rozprawianie się z mafią.

Ludzie Giancarla przeszukali więc Casa Vigna, na pół zawalony i opuszczony dom, z którego korzystano tylko raz w roku podczas zbiorów oliwek. Oprócz resztek oliwek na podłodze i zaschniętego peperoncini, twardego jak kamień chleba i opróżnionej do połowy butelki wina, które do tej pory zmieniło się w ocet, nie znaleźli niczego, co mogłoby wskazywać, że w ostatnich tygodniach przebywał tu człowiek.

Psy obwąchiwały drogi i zarośla na stromo opadającym zboczach za Casa Vigna, prawie aż do Casa Cinghale, ogrodzonej ze wszystkich stron i strzeżonej przez psy posiadłości, gdzie nie było możliwości zniknąć niezauważenie.

Następnie tyraliera ludzi odwróciła się w lewo i powoli przeszła do doliny i jeziora.

Giancarlo sięgnął po komórkę i zadzwonił do żony.

– Ugotuj coś dobrego – powiedział. – Jestem zestresowany. Te bezsensowne poszukiwania działają mi na nerwy.

Potem podążył za swoimi ludźmi i psami, którzy stopniowo zbliżali się do Il Nido.

Jan próbował we śnie precyzyjnie palce przez kratę, zła czarownica ssała jego palec wskazujący, wysmarkała mu się na twarz i krzyknęła: Ty wstrętna kupo gnoju, wciąż jesteś za chudy i jeszcze długo nie będziesz dość tłusty!

Ile tygodni i miesięcy ma tu jeszcze leżeć i czekać, aż ta wiedźma go pożre? Chciał zrobić wszystko, co wiedźma rozkaże, chciał wszystko wypić i zjeść, ale niczego tam nie było. Tylko chłód i ciemność, w której nie mógł nawet policzyć swoich palców. Jak miał się utuczyć?

Kiedy się obudził, zobaczył w półmroku, że mężczyzna śpi. Bał się oddychać, żeby go nie obudzić. Ścisnęło go w żołądku i było mu niedobrze. Nie wiedział, czy kręci mu się w głowie, ponieważ nie potrafił odróżnić, gdzie góra, a gdzie dół.

Mareike i Bettina. Jego obie mamy, już ich nie było, nie żyły, inaczej dawno by przyszły i uwolniły go. Jeszcze żył, ale został sam, i to było gorsze niż śmierć.

Spróbował się podnieść, ale się nie dało. Nie mógł poruszać rękami ani nogami i teraz znów zrozumiał, dlaczego. Mężczyzna był lekarzem, mocno go związał i operował, ponieważ wąż wpełzł mu do pupy i wyżerał wnętrzności.

– Oj, jak boli – krzyknął i wyprężył się. Potem znowu stracił przytomność.

Enrico bardzo się wystraszył. W mgnieniu oka zerwał się na równe nogi i przez szparę w murze wyrzwał na zewnątrz. Na dworze było już widno, przepała cenny czas, który sobie zostawił. Z wściekłością uderzył głową o ścianę i spojrzał na Jana, który leżał na plecach na wilgotnym betonie. Miał wyciągniętą szyję, lekko otwarte usta, palce wykrzywione jak szpony. Trzepotał powiekami i płytko oddychał.

Enrico instynktownie wyczuł, że nie ma już dużo czasu, zastanawiał się gorączkowo, co powinien zrobić. Uciekać? Zostawić Jana? Próbować uciekać razem z Janem? Ale dokąd? Jeśli szukają dziecka, to szukają go wszędzie. W takim razie nigdzie nie było pewnej kryjówki.

Nie dostaną mnie, pomyślał i uspokoił się, skoro nie złapali mnie przy poprzednich razach, teraz też im się nie uda.

Nagle zeszytniał i zamarł w bezruchu, żeby móc lepiej słyszeć. Z oddali dochodziły głosy, które powoli, bardzo, bardzo powoli się zbliżały. Szczekały psy i od czasu do czasu rozlegał się krótki gwizd.

Enrico skinął głową i uśmiechnął się. Najwidoczniej było już za późno na ucieczkę. Zastrzelą go, a jeśli chciał w tym życiu o czymś decydować, to o własnej śmierci. Postanowił, że nawet gdyby dotknęła go śmiertelna choroba, sam zdecyduje o czasie i sposobie swojej śmierci, chyba że ulegnie nieszczęśliwemu wypadkowi. I w żadnym razie nie pozwoli, żeby odebrali mu życie rozwścieczeni karabinierzy, którzy aż się palą do tego, aby choć raz w życiu użyć broni. I nie odda im również Jana. Jana, który teraz należał do niego, jak wszyscy inni, którzy należeli wyłącznie do niego aż do śmierci. Jan nie może zostać podłączony do maszyny w szpitalu i gwałtownie przywrócony do życia. Jan powinien odejść. Na jego oczach. Może trochę szybciej niż inni. Podaruje mu spokój, wybawi go.

Jan nie czuł już, jak ręka prawie z czułością kładzie mu się na szyi i ściska ją. Chwył się rozluźniał i ponownie zaciskał. Nie miał już szansy pomodlić się do Pana Boga, zawołać swoje matki lub przeprosić siostrę za ciągłe drobne sprzeczki. Nie mógł płakać i stawiać oporu, nie czuł bólu ani strachu. Był całkowicie w rękach mordercy.

Można określić to jako bez mała ironię losu, że właśnie Giancarlo był tym, który jako pierwszy odkrył dziurę w murze za krzakami jeżyn. Giancarlo dał znak kolegom, żeby się zatrzymali, odbezpieczył broń i puścił przodem psy, które natychmiast wskoczyły do ciemnego wnętrza domu.

Giancarlo liczył w duchu – dwadzieścia jeden, dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy – chciał właśnie włożyć pistolet do kabury, kiedy rozległo się ogłuszające, rozdzierające serce ujadanie psów, które w końcu przeszło w nerwowe szczekanie.

Giancarlo przecisnął się przez szparę w murze, a za nim dwóch ludzi. Serce waliło mu jak szalone i z trudem łąpał oddech. W jaskrawym świetle latarek, które trzymali w rękach policjanci, widać było Enrica pochylonego nad małym ciałem i niereagującego na to, co się wokół niego działo. Psy siedziały obok, warcząc, już nie szczekały. Giancarlo bez namysłu rzucił się na Enrica i szarpnął go do tyłu. Ten miękko potoczył się na plecy i nawet parę razy się zakołysał, jakby chciał tym sprokować policjantów. Potem wszystko poszło bardzo szybko. Giancarlo wprawnym chwytem złapał Enrica za nadgarstki i zatrzaskał na nich kajdanki.

Jeden z policjantów zajął się Janem.

– Szybko, sprowadźcie lekarza! – krzyknął. – Wydaje mi się, że wyczuwam słaby puls chłopaka. Psiakrew, on jeszcze żyje!

– Och – powiedział cicho Enrico – nie chciałem tego. – I jego zimna arogancja zamieniła się w prawdziwe przerażenie.

Kiedy Mareike wróciła do domu, Bettina i Edda siedziały na tarasie nieruchomo jak gipsowe posągi. Mareike nic nie powiedziała, a Bettina nie pytała, ponieważ na jej twarzy było napisane, że nie znaleźli Jana. Żadnej wiadomości, żadnego śladu. Enrico i Jan byli nie do znalezienia.

Mareike usiadła, a Bettina nalała jej drżącymi rękami filiżankę letniej kawy.

– W tej chwili nie możemy nic zrobić – powiedziała Mareike. – Zupełnie nic. Tylko czekać i mieć nadzieję, że go znajdą. Że może znajdą go jeszcze żywego. – Objęła filiżankę obiema dłońmi, jakby chciała ogrzać prawie zimną kawę. – To dlatego już od wielu lat nie mordował w Niemczech. Ponieważ robił to tu, we Włoszech. Ponieważ ukrył się tu, w górach, i zgrywał na wielkiego artystę i pustelnika. Tu nikt mu się nie naprzykrzał, aż popełnił duży błąd.

– Jaki?

– Nigdy nie powinien był sprzedać matce ofiary domu, w którym zamordował i zakopał ciało.

– Dlaczego Jan? Dlaczego jeszcze Jan? – Bettina wstała i objęła Mareike. – Trzymaj mnie mocno – wyszeptwała. – Dłużej tego nie wytrzymam.

– Jeszcze nie przegrałyśmy – mruknęła Mareike i objęła przyjaciółkę na kilka sekund, które im obu wydawały się wiecznością.

Zadzwoiła komórka. Bettina i Mareike drgnęły jednocześnie. Edda odebrała telefon.

– Nie, Miki – powiedziała – nie możemy teraz rozmawiać, linia musi być wolna, mój młodszy brat zaginął i szuka go policja. – Tak, jak go znajdą, natychmiast zadzwonię i będziemy mogli porozmawiać. No jasne. Na razie. Cześć.

Rozłączyła się i położyła telefon na stole.

Mareike usiadła przy niej i położyła rękę na jej ramieniu.

– Mam nadzieję, że już niedługo będziesz mogła zadzwonić do swojego Mikiego – powiedziała.

O dziewiątej przyjechali do La Pecora Anne, Harald i Kai. Nie wytrzymali w Valle Coronata, ponieważ byli tam nieosiągalni przez telefon i całkowicie odcięci od bieżących informacji.

Eleonore zażyła dwa proszki na serce i wzięła na siebie przyrządzenie dla całej grupy czekających świeżej gorącej kawy i zapiekanych panini z kiebasą i serem. Zniknięcie Jana i w tej chwili prawie stuprocentowa pewność, że sympatyczny i zawsze gotowy do pomocy Enrico okazał się wielokrotnym mordercą, było ponad jej siły i powodowało kołatanie serca.

Anne była szczególnie milcząca, ale sprawiała wrażenie spokojnej i opanowanej. Nastąpił kres jej niepewności. Jej syn nie żył, cierpiał straszne męczarnie, ale to już przeszłość. Nie mogła mu już pomóc, pragnęła dla niego jeszcze tylko godnego grobu, gdzie mogłaby być przy nim. Sama i żeby nikt nie zakłócał jej spokoju. Będzie tam dalej żył w jej myślach i będzie mogła zachować go w pamięci takim, jaki był do owego Wielkiego Piątku w 1994 roku.

Harald ledwo mógł usiedzieć. On, który przysięgę Hipokratesa uczynił maksymą swojego życia, przez całą noc był targany żądzą przemocy. Pierwszy raz w życiu pragnął zabić innego człowieka. Nie zważając na konsekwencje. Gdyby dostał Enrica w swoje ręce, zrobiłby to.

Słońce weszło wyżej, teraz cały taras znajdował się w jego promieniach. Wydawało się, że dzień znowu będzie tak ciepły jak w środku lata w Hamburgu.

Była jedenasta dwadzieścia trzy, kiedy odezwała się komórka Mareike. Dzwonił *maresciallo*. Mareike bez słowa przekazała aparat Kaiowi. Bała się, że coś źle zrozumie lub w ogóle nie zrozumie tego, co powie jej *maresciallo*. Na dodatek czuła, jak ze strachu serce podchodzi jej do gardła. Nie była w stanie przyjąć wiadomości – niezależnie od tego, jaka by ona była.

Kai słuchał. Od czasu do czasu mówił *va bene* lub *subito* i *sicuro*, ale przeważnie tylko oddychał, przejeżdżał ręką po włosach i głucho przytakiwał do telefonu. Pozostali zastygli w bezruchu. Czas się zatrzymał. Nawet wiatr zamarł. Na chwilę ziemia przestała się obracać.

Kiedy wreszcie Kai się rozłączył i spojrzał na Mareike i Bettinę, jego oczy były zaczerwienione, jakby miał za sobą trzy noce pijaństwa.

– Znaleźli go – powiedział cicho. – W niezamieszkanym domu, który od lat stoi pusty. Niedaleko od Valle Coronata.

– A Jan? Żyje? – Bettina prawie zadławiła się tymi kilkoma słowami.

– Tak, żyje – przytaknął Kai. – Ale jest z nim bardzo, bardzo źle. Cały czas jest w śpiączce. Nie ma pewności, czy się z tego wygrzebie. Ambulanza właśnie wiezie go do Montevarchi.

Edda przycisnęła dłoń do twarzy i zaczęła głośno szlochać.

– Zawiozę was – powiedziała Eleonore i wstała. Bettina i Edda pobiegły do samochodu, Mareike kuśtykała za nimi o kulach tak szybko, jak tylko mogła.

– Gdzie jest ta świnia? – zapytał Harald.

Kai wzruszył ramionami.

– Sądzę, że zabrano go do aresztu śledczego w Arezzo. Ale dokładnie nie wiem.

Harald uderzył ręką o stół i chodził po tarasie tam i z powrotem jak tygrys w klatce.

– Jan żyje – wyszeptała Anne. – I to jest najważniejsze w tej chwili. Przynajmniej jednemu się udało.

Epilog

Berlin Moabit, listopad 2005

Już od sześciu lat mieszkał w Moabicie. Podwórze z tyłu domu, parter, trzydzieści osiem metrów kwadratowych. Dzielił swoje domostwo z ogromną masą karaluchów i szcurów, które zjadały odpadki kuchenne, ale zachowywały się bardzo powściągliwie, najwyraźniej zainteresowane tym, aby nie narażać na niebezpieczeństwo przytulnej wspólnoty mieszkaniowej. Tylko nocami słyszał od czasu do czasu popiskiwanie szcurów, kiedy rzucały się na resztki jedzenia i walczyły o nie ze sobą. Chętnie słuchał tych pisków, brał je za pociechę, przynajmniej nie był całkiem sam.

Odkąd zamieszkał tu, w Moabicie, ani razu jeszcze nie sprzątał, ani razu nie robił porządków, nie wyrzucał przeczytanych gazet, nie wynosił na śmietnik pustych butelek po piwie lub starych pudełek po pizzy. Teraz panował tu nieopanowany chaos, który dosłownie przerastał go o głowę, i nie mógł już tego zmienić. Półmetrowa warstwa śmieci oraz jego rzeczy zajmowały całą podłogę mieszkania, mógł jedynie próbować zaznaczyć przynajmniej te miejsca, gdzie były zakopane najważniejsze rzeczy.

Miał dach nad głową. Nic więcej. I czasem ta myśl wystarczała, aby wywołać przebłysk zadowolenia.

Kiedy wychodził z domu, zawsze przyjaźnie pozdrawiał napotkanych ludzi i sam był równie przyjaźnie pozdrawiany. Ale z nikim nie rozmawiał i dlatego też nie znał nikogo. Nikt nie wiedział o jego przeszłości, o jego losie. Był spokojnym, sympatycznym lokatorem o rzadkich siwych włosach, który wyglądał jak siedemdziesięcioletek, chociaż naprawdę miał dopiero pięćdziesiąt cztery lata. W domu cieszył się szacunkiem, ponieważ nie urządzał żadnych imprez, nigdy nie słuchał głośnej muzyki i nie zapychał pojemników na śmiecie.

Przywiązywał dużą wagę do tego, aby mieć zawsze zaciągnięte zasłony. Nikt nie powinien widzieć, gdzie są śmiecie, których oszczędzał współmieszkańcom.

Jeśli naprawdę kochał coś na tym świecie, to swoją pracę. Od trzech lat sprzątał budynek sądu i był najczystszy, najdokładniejszy, najbardziej skrupulatny i niezawodny spośród wszystkich swoich kolegów.

Sprawiło mu przyjemność przechodzenie przez wysoki hol wejściowy, w którym zawsze panował przyjemny chłód, i uwielbiał odgłos własnych kroków wczesnym rankiem, kiedy oprócz brygady sprzątajacej w sądzie nie było jeszcze nikogo. To olbrzymie pomieszczenie z wysokimi kolumnami, galeria, na której kręciło mu się w głowie, kiedy spoglądał w dół na hol, szerokie schody z niewiarygodnie płaskimi stopniami, które można było pokonać biegiem... miał uczucie, że pozwolono mu pracować w świętym miejscu, i to dawało mu poczucie wolności.

Uwielbiał też długie korytarze z podłogami pachnącymi woskiem, na których jego gumowe podeszwy skrzypiały przy każdym kroku. Nie potrafił wyobrazić sobie piękniejszej pracy niż przecieranie wilgotną szmatką wypolerowanych na wysoki połysk stołów w salach rozpraw, a znalezienie jeszcze jakiegoś zakurzonego rogu uznawał za szczęśliwy traf. Nadzwyczaj dokładnie sprawdzał każde miejsce do siedzenia, każdy pulpit i sumiennie oddawał odzwiernemu każdy zapomniany dokument, każdy długopis, każdą zapalniczkę, nawet chusteczki higieniczne i do połowy puste pudełka papierosów.

I dopóki przebywał w budynku sądu i wdychał zapach środków czyszczących, zapominał o śmierdzącym, zaśmieconym mieszkaniu, w którym nie mógł robić nic innego, jak tylko rozmyślać i czekać na następną dzień pracy.

Nadał sobie imię Pit. Na Picie można było zawsze w stu procentach polegać. Był dobrym kumplem, ale nigdy nie chodził po pracy z kolegami na wódkę. Również żaden z jego kolegów z sądu nie wiedział, gdzie mieszka, nikt nie miał też najmniejszego pojęcia, kim naprawdę był.

Tego ranka wszystko odbyło się inaczej. Szczury zniknęły wystraszone i w popłochu za górą poduszek, kiedy już o czwartej rano stoczył

się z kanapy, żeby w spokoju poszukać białej koszuli. Dobrze wiedział, że ma jeszcze jedną, nieużywaną i zapakowaną w plastikową folię. Była prezentem na gwiazdkę od żony, która umarła osiemnaście lat temu. Od tamtej pory figura niewiele mu się zmieniła, raczej trochę schudł, odkąd mniej pił, ponieważ po prostu nie wystarczało mu pieniędzy na większą konsumpcję piwa. Przez te wszystkie lata nie miał okazji, żeby włożyć białą koszulę, ale dzisiaj musiał się w nią ubrać. Koniecznie.

Znalazł ją o pół do szóstej na dole regału, którego wyższe półki już dawno się załamały. Uprzątnięcie regału było trudne i długo trwało, zanim dostał się do najniższej półki, i podwyższył górę śmieci za kanapą prawie o metr, jednak się udało.

Kiedy włożył jeszcze nieużywaną koszulę, poczuł przyływ energii, która jak ciepła rzeka rozlała się po jego zmęczonych członkach. Już od lat nie czuł się tak uskrzydłony.

Nie mógł się doczekać, kiedy pójdzie do pracy. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, dzisiejszy dzień będzie najważniejszym dniem w jego żałobnym życiu.

Sąd karny

Mareike trzęsa się ze zdenerwowania podczas pierwszego dnia procesu przeciwko Alfredowi Fischerowi, z ojca Heinrich, alias Enricowi Pescatore, mordercy jej adoptowanego syna Jana. Jan po uratowaniu z zamurowanego domu nie obudził się ze śpiączki i pięć dni później zmarł w szpitalu w Montevarchi.

Mareike próbowała potem stłumić swój ból w pracy i z całych sił wspierała włoskich kolegów w końcowej fazie dochodzenia. W Casa Lascone oraz w La Roccia zburzono baseny i znaleziono ciała Filippa i Marca.

We wszystkich siedmiu przypadkach morderstw porównano ślady DNA z DNA Enrica, alias Alfreda Fischera. Nie ulegało wątpliwości, że to on był mordercą dzieci. Przyporządkowano także zęby wszystkim ofiarom.

Podczas gdy Mareike resztkami sił przygotowywała się do procesu, Bettina pogrążyła się w głębokiej depresji, ogłuszała rozpacz coraz sil-

niejszymi lekarsztwami i od miesiący nie nadawała się do pracy. I chociaż razem z Mareike miała występować przed sądem jako oskarżyciel posiłkowy, była do tego stopnia niestabilna psychicznie, że nie mogła uczestniczyć w procesie.

Mareike rozmawiała przez telefon z Bettiną kilka razy dziennie, ponieważ żyła w ciągłym strachu, że Bettina może w którymś momencie ugiąć się pod tym wewnętrznym ciężarem i zrobić coś głupiego.

Tego dnia, na kilka minut przed rozpoczęciem procesu, Mareike chodziła tam i z powrotem po korytarzu sądu, mocno przyciskała do ucha komórkę i próbowała dodać przyjaciółce odwagi. Alfred zostanie sprawiedliwie ukarany, tłumaczyła jej już tysięczny raz, to absolutnie pewne. Łańcuch dowodów nie miał żadnych luk, a Alfred przyznał się do winy, chociaż nie okazał skruchy. Wprawdzie ukaranie Alfreda nie wróci życia żadnemu z dzieci, ale on z całą pewnością nie skrzywdzi już nikogo więcej.

Do otwarcia sali rozpraw zostało jeszcze dwadzieścia minut. Ale już teraz na korytarzu utworzył się tłum czekający na otwarcie drzwi.

Dlatego Mareike nie zwróciła właściwie uwagi na sprzątacza w zielonym fartuchu, który z opuszczoną głową wprawnymi ruchami posuwał mopem po wyłożonej linoleum podłodze. Zastanawiała się wprawdzie przez chwilę, czy mycie podłogi nie jest bezsensowne, skoro tyle ludzi chodzi po korytarzu, jednak natychmiast zapomniała o tym.

Pit spojrzął na zegarek. Zamknął sprzęt do sprzątania w specjalnym niedużym pomieszczeniu, zdjął fartuch i podszedł do drzwi sali sądowej.

Przed drzwiami stał pracownik ochrony Kober, którego Pit znał już od lat. Pit pozdrowił przyjaźnie Kobera.

– Co z tobą? – zapytał Kober i pokazał palcem na niezwykle odświętne ubranie Pita. – Masz urodziny?

– Nie – uśmiechnął się Pit – ale mam dziś wolne, a ta sprawa bardzo mnie interesuje. Przecież nie mogę wejść na salę w fartuchu.

– Co racja, to racja – potwierdził Kober. – Musisz się jeszcze uzbroić w cierpliwość. Dziesięć minut, dopiero wtedy mogę otworzyć.

Przed salą rozpraw zaczęła gromadzić się również prasa i telewizja. Anne Golombek, ojciec Daniela Dolla i komisarz Karsten Schwiers

udzielali krótkich wywiadów SAT 1 i RTL, tylko Mareike wycofała się, nienagabywana przez prasę, na koniec korytarza, żeby móc bez przeszkód rozmawiać przez telefon z Bettiną, która nie przestawała płakać.

Kilka minut później Kober otworzył drzwi sali rozpraw. Pit był pierwszą osobą, która została przeszukana przez ochronę, a oprócz tego sprawdzona wykrywaczem metalu. Potem wszedł do sali i usiadł po prawej stronie przy samym oknie, tuż przy kaloryferze i gaśnicy.

Kiedy Mareike zakończyła rozmowę, nic nie wskórawszy, ponieważ Bettina wciąż płakała, była jedną z ostatnich osób, które weszły na salę rozpraw. Usiadła również po prawej stronie, na ławce obok prokuratora Märtena, właściwego dla oskarżycieli posiłkowych.

Sala rozpraw 17A

Kiedy Mareike zajmowała miejsce, krótko i przyjaźnie skinęła głową Anne. Anne także była oskarżycielem posiłkowym i siedziała trzy miejsca dalej. W ciągu minionych miesięcy nie zerwała kontaktu z Anne. Anne wróciła do męża Haralda do Szlezwiku-Holsztynu i od dłuższego czasu próbowała sprzedać Valle Coronata. Nie udawało się to nawet tak zręcznemu pośrednikowi jak Kai, wspomnienie tego, co tam zaszło, było jeszcze zbyt świeże. Nikt nie chciał kupić domu, w którym zamordowano dziecko. Mareike wiedziała też, że Anne znowu była w ciąży, i cieszyła się, że będzie mieć dziecko.

Kiedy wprowadzono oskarżonego, na sali zrobiło się cicho. Alfred wszedł z wysoko uniesioną głową, nie starał się ukrywać twarzy, najwidoczniej rozkoszował się skupieniem na sobie uwagi wszystkich obecnych. Wyglądał blado. Przez długi czas pobytu w areszcie śledczym stracił zdrową opaleniznę i sprawiał wrażenie starszego. Tylko jego pewność siebie wydawała się niezłomna.

Kiedy przedstawiono jego personalia i prokurator zaczął czytać liczący wiele stron akt oskarżenia, rozluźniony rozparł się na krześle.

Mareike wpatrywała się w jego zimne niebieskie oczy i nie spuszczała wzroku, kiedy odwzajemniał jej spojrzenie z niemal zarozumiałym uśmieszkiem. Ten proces, skazanie tego wielokrotnego mordercy,

mógł być największym sukcesem w jej karierze komisarza policji, ale teraz w tym sądzie mówiono o jej największej osobistej porażce. Ostatecznie to on zwyciężył, zabijając także jej syna.

W ostatnim rzędzie dla publiczności siedziała Carla. Miała na sobie szeroką wełnianą pelerynę, a prócz tego wełniany szal owinięty kilka razy wokół szyi i twarzy, tak że było widać tylko jej oczy. Nikt w sądzie z nią nie rozmawiał i była pewna, że również Alfred się nie domyślał, że tu jest.

Wiedziała, że to, co mówił prokurator, było prawdą, ale mimo to nie mogła uwierzyć. On był kiedyś jej Alfredem, za którego oddałaby wszystko i z którym żyła czternaście lat. Mężczyzną o miękkim głosie, który kochał i szanował przyrodę, któremu radość sprawiały świecące robaczki świętojańskie i który mógł godzinami patrzeć w niebo, rozpoznając w chmurach zmieniające się kształty i wymyślając różne historie.

Mareike nie musiała słuchać odczytywania aktu oskarżenia. Znała go w szczegółach, sto razy odtwarzała w myślach cierpienia dzieci i okrutną śmierć również jej małego Jana, starała się nie słuchać i myśleć o czymś innym. Gdyby jeszcze raz musiała to wszystko przeżyć, nie mogłaby przetrwać tego procesu.

Błądziła wzrokiem i rozglądała się po sali dla publiczności. Znała wiele twarzy. Ojciec Daniela Dolla wydawał się w najwyższym stopniu skoncentrowany, unikał patrzenia na Alfreda i cały czas czytał akta. Wyraz twarzy Anne był nieporuszony i nieprzenikniony, również ona nie uznała Alfreda za godnego obdarzenia go spojrzeniem i tylko od czasu do czasu obracała na palcu obrączkę ślubną. Zjawili się oboje rodzice Floriana Hartwiga i cały czas trzymali się za ręce.

Obok kaloryfera siedział mężczyzna, który także wydał się jej znajomy, ale mimo najszczerzych chęci nie potrafiła go z nikim skojarzyć. Założył nogę na nogę, a głowę oparł na ręce w taki sposób, że nie można było rozpoznać jego twarzy.

Mareike co jakiś czas spoglądała na tego mężczyznę i kiedy prokurator zaczął czytać o Benjaminie Wagnerze, mężczyzna na moment podniósł głowę i utkwiał wzrok w prokuratorze. I w tej chwili go poznała. To był Peter Wagner, ojciec Benjamina.

Kiedy prokurator mówił o Feliksie Golombku, Mareike obserwowała, jak ręka Petera Wagnera wślizguje się za gaśnicę, wyjmując coś i błyskawicznie chowa w kieszeni marynarki. Mareike wstrzymała oddech. Wiedziała, co Peter ma teraz w kieszeni, nie tylko się domyślała, była tego prawie w stu procentach pewna. Ale nic nie zrobiła. Siedziała spokojnie na swoim miejscu i nie spuszczała Petera Wagnera z oczu.

Ich spojrzenia spotkały się na ułamek sekundy, kiedy Peter rozglądał się po sali, oceniając, czy naprawdę nikt niczego nie zauważył.

Peter Wagner rozpoznał komisarz Mareike Koswig. Zdenerwował się, widząc jej przenikliwe wytężone spojrzenie. Zastanawiał się, czy obserwowała go tak cały czas. Ale na jej ustach pojawił się ślad ledwie widocznego uśmiechu. Peter Wagner odprężył się i krótko odwzajemnił uśmiech. Gdyby coś zauważyła, już dawno by coś zrobiła.

Peter Wagner ponownie skoncentrował uwagę na Alfredzie.

Odczekał jeszcze dwie minuty. Potem wstał i powoli poszedł w kierunku wyjścia. Na czole Mareike wystąpił lodowaty pot. Peter znajdował się na jej wysokości, prawie dokładnie przy niej. Udaremnienie jego zamiarów byłoby czymś niezmiernie łatwym. Przez setny ułamek sekundy nawet o tym pomyślała, jednak nic nie zrobiła.

Peter Wagner przeszedł obok prokuratora, potem odwrócił się, teraz trzymał w ręku pistolet. Błyskawicznie zrobił dwa kroki w stronę Alfreda i spojrzał w przezroczyste bładoniebieskie oczy, które nie chciały uwierzyć w to, co widzą, i wycelował.

Trafił Alfreda w środek czoła.